

FREDERICK FORSYTH

NEGOCJATOR

(Przełożył: Robert Kruszyński)

OBSADA

AMERYKANIE

John Cormack - prezydent Stanów Zjednoczonych

Michael Odell - wiceprezydent Stanów Zjednoczonych

James Donaldson - sekretarz stanu

Morton Stannard - minister obrony

Bill Walters - prokurator generalny

Hubert Reed - minister skarbu

Brad Johnson - doradca ds. bezpieczeństwa narodowego

Don Edmonds - dyrektor Federalnego Biura Śledczego (FBI)

Philip Kelly - asystent dyrektora FBI, szef wydziału śledczego

Kevin Brown - zastępca asystenta dyrektora FBI, wydział śledczy

Lee Alexander - dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA)

David Weintraub - zastępca dyrektora CIA ds. operacyjnych

Quinn - negocjator

Duncan McCrea - młodszy agent ds. operacyjnych CIA

Irving Moss - zdrajca wyrzucony z CIA

Sam Somerville - agent ds. operacyjnych FBI

Charles Fairweather - ambasador USA w Londynie

Patrick Seymour - radca prawny ambasady USA w Londynie

Lou Collins - oficer łącznikowy CIA w Londynie

Cyrus Miller - magnat naftowy

Melville Scanlon - armator

Peter Cobb - przemysłowiec, producent broni

Ben Salkind - przemysłowiec, producent broni

Lionel Moir - przemysłowiec, producent broni

Creighton Burbank - dyrektor Secret Service

Robert Easterhouse - kontraktowy doradca w sprawach bezpieczeństwa w Arabii Saudyjskiej

Steve Pyle - dyrektor generalny Investment Bank w Arabii Saudyjskiej

Andy Laing - urzędnik Investment Bank w Arabii Saudyjskiej

Simon - amerykański student w Balliol College w Oksfordzie

BRYTYJCZYCY

Margaret Thatcher - premier Wielkiej Brytanii

Sir Harry Marriott - minister spraw wewnętrznych

Sir Peter Imbert - nadkomisarz Metropolitan Police (in. Scotland Yard)

Nigel Cramer - zastępca komisarza Scotland Yardu, departament służb wyspecjalizowanych

Komandor Peter Williams - oficer śledczy, departament służb wyspecjalizowanych Scotland Yardu

Julian Hayman - prezes firmy ochroniarskiej

ROSJANIE

Michail Gorbaczow - sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego

Władimir Kriuczukow - szef KGB

Major Kerkorian - rezydent KGB w Belgradzie

Wadim Kirpiczenko - pierwszy zastępca szefa Zarządu Pierwszego KGB

Iwan Kozłow - marszałek ZSRR, radziecki szef sztabu

General major Ziemschow - szef zarządu planowania sztabu generalnego

Andriej - agent ds. operacyjnych KGB

INNI

De Kuyper - belgijski bandyta

Van Eyck - dyrektor Walibi Theme Park w Belgii

Dieter Lutz - hamburski dziennikarz

Hans Moritz - właściciel browaru w Dortmundzie

Horst Lenzlinger - handlarz bronią z Oldenburga

Werner Bernhardt - były najemnik z Kongo

Papa De Groot - prowincjonalny naczelnik policji w Holandii

Główny Inspektor Dykstra - prowincjonalny detektyw holenderski

PROLOG

Ten sam sen nawiedził go znowu tuż przed deszczem. Tak go pochłonał, że nie usłyszał nawet deszczu.

Znów przyśniła mu się polanka w lesie na Sycylii, wysoko powyżej Taorminy. Wyszedł z lasu i zbliżał się powoli - zgodnie z umową - do środka przecinki. W prawym ręku trzymał walizeczkę. Na środku polany przystanął, postawił walizeczkę na ziemi, zawrócił sześć kroków i padł na kolana. Zgodnie z umową. Walizeczka zawierała miliard lirów.

Upłynęło półtora miesiąca, zanim wynegocjowano uwolnienie dziecka, bezprecedensowe zawrotne tempo. Czasem takie sprawy wlokły się miesiącami. Przez półtora miesiąca siedział razem z ekspertem z rzymskiego oddziału *carabinieri*, również Sycylijczykiem, tyle że po stronie stróżów prawa, i uzgadniał taktykę. Mówił wyłącznie oficer *carabinieri*. Wreszcie uwolnienie córki mediolańskiego jubilera, porwanej z letniskowej posiadłości rodzinnej opodal plaży Cefalu, zostało uzgodnione. Suma miała wynosić blisko milion dolarów amerykańskich, chociaż z początku żądano pięciokrotnie wyższej kwoty, ale w końcu mafia się zgodziła.

Z drugiej strony polany wyłonił się mężczyzna, nie ogolony, o bandyckim wyglądzie, w masce na twarzy, z dubeltówką lupara przewieszoną przez ramię. Trzymał za rękę dziesięcioletnią dziewczynkę. Mała była boso, miała bladą, wystraszoną twarz, ale wszystko wskazywało na to, że nie wyrządzono jej żadnej krzywdy. W każdym razie pod względem fizycznym. Podeszli oboje ku niemu: widział wbity w siebie zza maski wzrok tamtego, następnie rzut oka na las za jego plecami.

Mafioso zatrzymał się przy walizeczce, warknął na dziewczynkę, żeby stała cicho. Usłuchała. Patrzyła tylko wielkimi, ciemnymi oczyma na swojego wybawiciela. Już niedługo, maleńka. Wytrzymaj, kochanie.

Bandyta przerzucał pliki banknotów w walizeczce, dopóki nie uznał z zadowoleniem, że go nie oszukano. Wysoki mężczyzna i dziewczynka patrzyli na siebie. Mrugnął do niej, mała odpowiedziała nikłym uśmiechem. Bandyta zamknął walizeczkę i zaczął się oddalać patrząc przed siebie, w swoją stronę polany. Doszedł już do drzew, kiedy to się stało.

To nie byli *carabinieri* z Rzymu, tylko miejscowy dureń. Rozległ się łoskot strzałów karabinowych, bandyta z walizeczką potknął się i upadł. Jego kumple stali, rzecz jasna, tyralierą wśród sosen za jego plecami. Odpowiedzieli ogniem. W jednej sekundzie cała polanę przecięły łańcuchy śmigających kul. Krzyknął po włosku: - Padnij! - ale dziewczynka

nie usłyszała albo wpadła w popłoch, bo usiłowała biec w jego kierunku. Zerwał się z kolan i jednym susem pokonał dzielącą ich odległość.

Prawie mu się udało. Widział ją tam, już niemal pod własnymi palcami, kilka cali od swojej mocnej prawej ręki, która by ją pociągnęła bezpiecznie w wysoką trawę; widział strach w jej dużych oczach, białe ząbki w rozkrzyczanej buzi... i wtedy jaskrawa szkarłatna róża wykwitła na przedzie cienkiej bawełnianej sukienki. Mała padła, jak gdyby szturchnięta w plecy: pamiętał, że na niej leżał, osłaniając ją swoim ciałem, aż do ustania strzelaniny, kiedy to *mafioso* zbiegł przez las. Pamiętał, jak tam siedział, trzymając ją w ramionach, kołysząc jej drobne bezwładne ciało, płakał i krzyczał na nic nie rozumiejącego, zbyt późno kajającego się miejscowego policjanta: - Nie, nie. Jezu miłosierny, znów to samo...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LISTOPAD 1989

Zima tego roku przyszła wcześniej. Już pod koniec miesiąca pierwsze jej zwiastuny niesione przenikliwym wiatrem z północno-wschodnich stepów hulały po dachach, żeby wybadać system obrony Moskwy.

Gmach kwatery głównej radzieckiego Sztabu Generalnego mieści się przy ulicy Frunzego 19, szary murowany budynek z lat trzydziestych, a naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, znacznie nowocześniejszy, wysoki ośmiopiętrowy blok. Szef sztabu radzieckiego stał przy oknie na najwyższym piętrze starego gmachu wpatrzony w lodową śnieżycę, w nastroju równie ponurym jak nadchodząca zima.

Marszałek Iwan K. Kozłow miał sześćdziesiąt siedem lat, czyli przekroczył już o dwa lata przepisowy wiek emerytalny, ale w Związku Radzieckim, podobnie jak wszędzie indziej, ci, którzy ustanawiali prawa nie uważali bynajmniej, że mogłyby się one odnosić do nich samych. Na początku roku, ku zdumieniu większości oficerów, objął schedę po przeniesionym w stan spoczynku marszałku Achromiejewie. Ci dwaj byli tak do siebie niepodobni jak ogień i woda. Achromiejew był intelektualistą drobnej postury, chudym jak patyk, tymczasem Kozłow był siwym, rubasznym olbrzymem, żołnierzem z krwi i kości, synem, wnukiem i bratankiem wojskowych. Chociaż przed awansem zajmował jedynie trzeciorzędne stanowisko pierwszego zastępcy dowódcy, przeskoczył teraz dwóch innych kandydatów, którzy cicho odeszli na emeryturę. Nikt nie miał wątpliwości, dlaczego właśnie on dotarł na sam szczyt; w latach 1987-1989 spokojnie i sprawnie zawiadywał radzieckim wycofywaniem się z Afganistanu, która to operacja obyła się bez skandalów, bez większych porażek i (co najważniejsze) bez rozpropagowanej utraty twarzy, chociaż wilki Allacha deptały Rosjanom po piętach przez całą drogę aż do przełęczy Salang. Ta akcja przyniosła mu w Moskwie wielkie uznanie, zwróciła nań uwagę samego sekretarza generalnego

Kiedy jednak wykonywał swoje obowiązki, czym zasłużył na marszałkowską buławę, poprzysiął sobie w skrytości ducha, że nigdy więcej nie poprowadzi ukochanej armii radzieckiej do odwrotu, gdyż mimo niesmacznych doprawdy przechwałek w środkach masowego przekazu, Afganistan oznaczał przecież porażkę. Właśnie mającąca na horyzoncie perspektywa kolejnej porażki wprawiła go w taki ponury nastrój, kiedy wpatrywał się przez podwójne okno w poziome ruchy drobnych lodowych ziaren, które przemykały za szybą.

Przyczyna tego nastroju kryła się w raporcie leżącym na biurku, a sam go zamówił u jednego z najinteligentniejszych swoich protegowanych, młodego generała majora, którego zabrał wraz ze sztabem generalnym ze sobą do Kabulu. Kaminski stanowił typ akademika, myśliciela, a zarazem wielce utalentowanego organizatora, toteż marszałek przydzielił mu drugie co do ważności zadanie na polu logistyki. Kozłowski wiedział lepiej od innych, że o wygranej w bitwie nie przesądza odwaga ani poświęcenie, ani nawet mądry generałowie, lecz odpowiednie wyposażenie w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie, i to w dużej ilości.

Do dzisiaj wspominał z goryczą dni, kiedy jako osiemnastoletni kawalerzysta widział świetnie uzbrojone wojska niemieckie przełamujące w blitzkriegu zapory obronne ojczyzny, gdy tymczasem Armia Czerwona, wykrwawiona do białości przez czystki stalinowskie z roku 1938, wyposażona w przestarzałą broń, usiłowała powstrzymać falę naporu. Jego rodzony ojciec zginął podczas próby utrzymania niemożliwej do obrony pozycji w Smoleńsku, podejmując walkę zwykłymi karabinami przeciwko nacierającym z rykiem oddziałom pancernym Guderiana. Następnym razem, poprzysiągł sobie, będą mieli odpowiednie wyposażenie, i to w dużej ilości. Większą część swojej kariery wojskowej poświęcił temu celowi, a teraz objął dowództwo nad pięcioma rodzajami wojsk Związku Radzieckiego: wojskami lądowymi, marynarką wojenną, lotnictwem wojskowym, strategicznymi siłami rakietowymi, obroną powietrzną kraju, i wszystkie one stały w obliczu ewentualnej porażki z powodu trzystustronicowego raportu leżącego na jego biurku.

Przeczytał go dwa razy - raz nocą w swoim spartańskim mieszkaniu przy Prospekcie Kutuzowskim i po raz wtóry tego ranka w swoim gabinecie, gdzie zjawił się o siódmej z rana i zdjął słuchawkę z widełek. Teraz odwrócił się od okna, podszedł do wielkiego biurka u szczytu stołu konferencyjnego w kształcie litery T i znowu wrócił do ostatnich kilku stron raportu.

PODSUMOWANIE. Rzecz więc nie w tym, iż zgodnie z przewidywaniami w ciągu następnych dwudziestu lub trzydziestu lat na całej planecie zabraknie ropy naftowej, lecz w tym, iż w ciągu najbliższych siedmiu lub ośmiu lat z całą pewnością skończy się ropa w Związku Radzieckim. Faktu tego dowodzi niezbicie tabela wykazanych zasobów umieszczona na poprzednich stronach niniejszego raportu, zwłaszcza zestawienie liczb określających współczynnik RP. Współczynnik "rezerw produkcji" oblicza się dzieląc roczną produkcję kraju wydobywającego ropę przez znane zasoby tego kraju, zwykle szacowane w miliardach baryłek.

Dane z końca roku 1985 - dane z Zachodu, albowiem nadal musimy, niestety, polegać na danych zachodnich, żeby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja na Syberii, mimo moich bliskich kontaktów z naszym przemysłem naftowym - wskazują na to, iż w owym roku wyprodukowaliśmy 4,4 miliarda baryłek ropy, co daje nam czternaście lat możliwych do eksploatacji złóż, przy założeniu, że w ciągu tego okresu produkcja utrzyma się na tym samym poziomie. Jest to jednak założenie optymistyczne, gdyż nasza produkcja, a zatem wykorzystanie zasobów musiało się od tamtej pory zwiększyć. Na dzień dzisiejszy nasze rezerwy szacuje się na siedem do ośmiu lat.

Przyczyna wzrostu popytu jest dwojakiej natury. Po pierwsze, leży we wzroście naszej produkcji przemysłowej, głównie w sferze artykułów konsumpcyjnych zgodnie z żądaniami Biura Politycznego od czasu wprowadzenia nowych reform gospodarczych; po drugie zaś w pochłaniającej nadmierne ilości paliwa nieudolności tychże gałęzi przemysłu, i to nie tylko tradycyjnych, lecz również nowych. Nasz przemysł wytwórczy jest, generalnie rzecz biorąc, wysoce wadliwy zważywszy jego energochłonność, a w wielu dziedzinach zastosowanie przestarzałych maszyn prowadzi do kompletnego rozkładu. Na przykład samochody radzieckie ważą trzykrotnie więcej niż ich amerykańskie odpowiedniki - i to nie z powodu, jak się podaje do powszechnej wiadomości, naszych surowych zim, lecz dlatego, że krajowe huty nie potrafią wyprodukować blachy w dostatecznie cienkich arkuszach. Stąd też produkcja jednego samochodu wymaga więcej energii elektrycznej pochodzącej z ropy naftowej, przy czym tenże samochód zużywa potem w eksploatacji więcej benzyny.

PERSPEKTYWY. Reaktory jądrowe do tej pory wytwarzały 11 procent energii elektrycznej Związku Radzieckiego, a nasi planiści liczyli na to, że do roku 2000 będą wytwarzały 20 albo i więcej procent. Aż do Czernobyla. Niestety, 40 procent wytwarzanej przez nas energii jądrowej pochodziło z elektrowni zbudowanych według tego samego planu co Czernobyl. Od tamtej pory większość z nich zamknięto celem "modernizacji" - w istocie jest wysoce nieprawdopodobne, że kiedykolwiek znów je się otworzy - budowę zaś innych, przewidzianych w planach, wstrzymano. Wskutek tego nasza produkcja ujęta w procentach zamiast wyrażać się w dwucyfrowych liczbach, spadła do siedmiu i nadal spada.

Dysponujemy największymi na świecie zasobami gazu ziemnego, problem jedynie w tym, że ów gaz znajduje się na krańcach Syberii, nie wystarczy go zatem wydobyć z ziemi. Potrzebna jest nam, nieosiągalna w tej chwili, rozległa infrastruktura gazociągów i sieci wysokiego napięcia, żeby doprowadzić gaz z Syberii do naszych miast, fabryk i elektrowni.

Jak pamiętamy, na początku lat siedemdziesiątych, kiedy ceny ropy po wojnie Jom Kippur osiągnęły zawrotne ceny, zaproponowaliśmy, że będziemy zaopatrywać Europę

Zachodnią w gaz ziemny dostarczany gazociągiem na zasadzie długoterminowych transakcji. Stać by nas wówczas było na założenie sieci rozprowadzania dzięki inwestycjom, które Europejczycy byli gotowi sfinansować. Ponieważ jednak Ameryka nie wyniosłaby z tego żadnych korzyści, USA ucięły tę inicjatywę grożąc daleko idącymi sankcjami ekonomicznymi dla każdego, kto zechce z nami podjąć współpracę, toteż projekt upadł. Obecnie, od czasu tak zwanej "odwilży", takie przedsięwzięcie byłoby zapewne do pomyślenia pod względem politycznym, jednakże akurat teraz ceny ropy na Zachodzie są niskie, nikt więc nie potrzebuje naszego gazu. Kiedy światowy niedostatek ropy znów wywinduje ceny w krajach Europy Zachodniej, co mogłoby je zmusić do korzystania z naszego gazu, dla Związku Radzieckiego będzie już za późno.

Praktycznie więc żadna z tych dwóch możliwości nie rokuje szans na przyszłość. Ani gaz ziemny, ani energia jądrowa nie przyjdą nam z pomocą. Przemożna większość gałęzi naszego przemysłu i przemysłu naszych partnerów, którzy zależą od nas pod względem energetycznym, jest nierozzerwalnie związane z paliwami i zasilaniem opartym na ropie naftowej.

SOJUSZNICZY. Krótka dygresja na temat naszych sojuszników w Europie Środkowej, określanych przez zachodnią propagandę mianem naszych "krajów satelitarnych". Choć ich łączna produkcja - głównie z niewielkiego zagłębia rumuńskiego Ploeszti - wynosi 2 miliardy baryłek rocznie, jest to zaledwie kropla w morzu w porównaniu z ich potrzebami. Reszta pochodzi od nas i tworzy jeden z więzów, które przytrzymują je w naszym obozie. Aby zmniejszyć nieco ich żądania od nas, zezwoliliśmy na kilka transakcji wymiennych między nimi a Bliskim Wschodem. Gdyby jednak te kraje zyskały całkowitą niezależność od naszej ropy, a zatem zależność od Zachodu, z pewnością w niedługim, i to w bardzo niedługim czasie Niemiecka Republika Demokratyczna, Polska, Czechosłowacja, Węgry, a nawet Rumunia wymknęłyby się na łono obozu kapitalistycznego. Nie mówiąc już o Kubie.

WNIOSKI...

Marszałek Kozłow zerknął na zegar ścienny. Jedenasta. Niebawem zacznie się uroczystość na lotnisku. Uznał, że tam nie pojedzie. Nie miał zamiaru podlizywać się Amerykanom. Przeciągnął się, wstał, znów podszedł do okna trzymając w ręku raport w sprawie ropy naftowej autorstwa Kaminskiego. Był to nadal dokument ściśle tajny i Kozłow dobrze już teraz wiedział, że musi takim pozostać. Zawierał nazbyt piorunujące informacje, żeby miał krążyć po gmachu Sztabu Generalnego.

Jeszcze do niedawna każdy oficer sztabowy, który sporządziłby równie szczery raport jak Kaminski, mierzyłby własną karierę w mikronach, lecz Iwan Kozłow, chociaż sam był

zagorzałym tradycjonalistą niemal pod każdym względem, nigdy nie karał otwartości. To bodaj jedyna cecha, jaką podziwiał u sekretarza generalnego; chociaż nie mógł ścierpieć nowatorskich pomysłów tego człowieka, żeby dawać telewizory chłopom i pralki gospodyniom domowym, musiał przyznać, że można powiedzieć Michaiłowi Gorbaczowowi naprawdę, co się ma na wątrobie, nie zarabiając tym samym na bilet do Jakucji w jedną stronę.

Raport naprawdę nim wstrząsnął. Marszałek wiedział już od dawna, że sytuacja ekonomiczna bynajmniej się nie poprawiła od czasu wprowadzenia *pierestrojki* - przebudowy - ale jako wojskowy spędził całe życie w tej strukturze, a wojsko zawsze miało pierwszy dostęp do zasobów, surowców i osiągnięć techniki, stanowiło więc jedyną dziedzinę radzieckiego życia, w której można było zapewnić kontrolę jakości. Jeżeli suszarki do włosów dla cywilów groziły śmiercią, buty zaś przemakały, to nie jego zmartwienie. Teraz wszakże nastąpił kryzys, od którego nawet wojsko nie było wolne. Wiedział, że najboleśniejże uklucie następuje dopiero w zakończeniu raportu. Stając przy oknie wrócił do lektury.

WNIOSKI. Mamy przed sobą jedynie cztery, i to nader mroczne, perspektywy.

1) Możemy kontynuować własną produkcję ropy na obecnym poziomie mając absolutną pewność, że najdalej za osiem lat wyczerpiemy jej zasoby i będziemy zmuszeni przystąpić do rynku światowego jako kupcy. Znaleźlibyśmy się tam w absolutnie najgorszym momencie, kiedy ceny światowe zaczną w sposób bezlitosny i nieuchronny niebotycznie zwyżkować. Aby pokryć na tych warunkach chociażby częściowo nasze zapotrzebowanie na ropę, musielibyśmy zużyć wszystkie swoje zasoby twardej waluty, złota syberyjskiego i brylantowych kolczyków, nic by więc nie zostało na konieczny import zboża i najnowszych urządzeń technicznych, które stanowią podstawę obsesji Biura Politycznego modernizacją przemysłu.

Nie poprawią też nowej sytuacji transakcje wymienne. Przeszło 55 procent złóż światowej ropy znajduje się w pięciu krajach Bliskiego Wschodu, których potrzeby lokalne są nikłe w porównaniu z ich zasobami, czyli niebawem te właśnie kraje będą dyktować warunki. Niestety, pominiwszy broń i niektóre surowce naturalne, nasze radzieckie artykuły nie są dla Bliskiego Wschodu atrakcyjne, zatem nie mamy co liczyć na handel wymienny w celu pokrycia naszego zapotrzebowania na ropę. Będziemy musieli płacić ciężką, żywą gotówką, a nie leży to w naszych możliwościach.

Istnieje wreszcie strategiczne ryzyko zależności w kwestii ropy od źródeł zewnętrznych tym większe, im lepiej rozważymy charakter i dzieje pięciu odnośnych krajów Bliskiego Wschodu.

2) Moglibyśmy odrestaurować i zmodernizować istniejące u nas zakłady produkcji ropy, aby uzyskać większą wydajność, a tym samym zmniejszyć konsumpcję bez straty zysków. Nasze zakłady produkujące ropę są przestarzałe, w stanie ogólnego rozkładu, potencjał zaś eksploatacji złóż ustawicznie naruszany wskutek nadmiernego wydobycia dziennego. (Przy obecnych cenach, na przykład, wydajemy na nasze najlepsze pola naftowe 3 dolary amerykańskie, żeby zapobiec utracie produkcji równej i dolarowi. Nasze rafinerie zużywają przeciętnie trzy razy więcej energii na produkcję tony czystego paliwa niż ich amerykańskie odpowiedniki.) Musielibyśmy przebudować wszystkie nasze pola wydobywcze, rafinerie oraz infrastrukturę rurociągów naftowych, żeby przedłużyć możliwość korzystania z zasobów naszej ropy o kolejne dziesięć lat. Musielibyśmy zacząć już teraz, co jednak wymaga astronomicznych nakładów.

3) Moglibyśmy skierować wszystkie wysiłki na przebudowę i modernizację technologii wiercenia ropy na morzu. Morze Arktyczne to nasz najbardziej obiecujący teren potencjalnych złóż nowej ropy, problemy jednak związane z wydobyciem znacznie przewyższają problemy wydobywcze na Syberii, gdyż nie istnieje tam żadna infrastruktura rurociągów dostarczających ropę wprost do użytkowników, ponadto nawet plan badań jest już opóźniony o pięć lat. I znów niezbędne nakłady finansowe musiałyby być ogromne.

4) Moglibyśmy powrócić do gazu ziemnego, którego to, jak wspomniano, mamy największe zasoby na świecie, praktycznie rzecz biorąc, niewyczerpane. Musielibyśmy jednak uruchomić dalsze olbrzymie nakłady na wydobycie, technologię, wykwalifikowaną siłę roboczą, infrastrukturę gazociągów i przestawienie setek tysięcy fabryk na ten rodzaj paliwa.

Nasuwa się wreszcie pytanie: skąd miałyby pochodzić nakłady wspomniane w punktach 2, 3 i 4? Zważywszy konieczność wydawania obcej waluty na import zboża, aby wyżywić nasz naród, a także przekonanie Biura Politycznego, że resztę należy wydawać na importowaną nowoczesną technologię, musimy najwyraźniej znaleźć te środki we własnym zakresie. Wziąwszy z kolei pod uwagę przekonanie Biura Politycznego o dalszej modernizacji przemysłu, nie możemy wykluczyć, że pokusi się ono o szukanie tych rezerw poprzez uszczuplanie zasobów wojska.

*Towarzyszu Marszałku, pozostaję z należytych szacunkiem PIOTR W. KAMINSKI
(generał major)*

Marszałek Kozłow zaklął pod nosem, zamknął teczkę i zapatrzył się na ulicę. Lodowa śnieżycza przeszła, ale nadal wiał przenikliwy wiatr; z wysokości ósmego piętra widział małych przechodniów, którzy przytrzymywali papachy na głowach (futrzane klapy opuszczone, głowy zwieszane), przemykając ulicą Frunzego.

Upłynęło blisko czterdzieści pięć lat od czasu, kiedy jako dwudziestoletni porucznik zmotoryzowanych strzelców pod dowództwem Czujkowa wpadł jak burza do Berlina i wspinał się na dach kancelarii Hitlera, żeby zedrzyć powiewającą tam flagę ze swastyką. W wielu podręcznikach historii zamieszczono jego zdjęcie podczas tego wyczynu. Od tamtej pory drapał się krok po kroku do góry w szeregach armii, służył na Węgrzech podczas rewolty 1956 roku, nad rzeką Ussuri na granicy z Chinami, w służbie garnizonowej w NRD, potem znów w Dowództwie Dalekiego Wschodu w Chabarowsku, w Naczelnym Dowództwie Okręgu Południe w Baku, a stamtąd już trafił do Sztabu Generalnego. Odśłużył swoje, przetrwał mroźne noce na posterunkach na dalekich rubieżach imperium; rozwiódł się z jedną żoną, która nie chciała z nim jeździć, pochował drugą, która zmarła na Dalekim Wschodzie. Przeżył ślub córki z inżynierem górnictwa, a nie z wojskowym, na co w skrytości ducha liczył, a także odmowę wstąpienia do wojska przez syna. Spędził te czterdzieści pięć lat patrząc, jak armia radziecka potężnieje, będąc, jego zdaniem, najwaleczniejszą siłą na tej ziemi, oddana obronie *rodiny*, ojczyzny, oraz pokonywaniu wrogów.

Tak jak wielu tradycjonalistów wierzył, że pewnego dnia użyje się tej broni wyprodukowanej w pocie czoła przez masy ludzkie i że jego żołnierze staną do boju, prędzej więc padnie trupem, niż pozwoli, żeby jakiegokolwiek okoliczności czy jacykolwiek ludzie osłabili jego ukochaną armię, dopóki on jest u władzy. Odznaczał się bezwzględnością wiernością partii - bez niej nie zaszedłby tam dokąd zaszedł - ale jeżeli ktokolwiek, chociażby ludzie stojący obecnie u steru tejże partii, myśli, że może obciąć budżet na wojsko o miliardy rubli, wówczas on, Kozłow, będzie musiał zrewidować swoją wobec nich wierność.

Im dłużej myślał o końcowych stronach raportu trzymanego w ręku, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Kaminski, mimo całej swojej bystrości, przeoczył dopuszczalną piątą możliwość. Gdyby Związek Radziecki przejął wpływy polityczne nad istniejącym już źródłem bogatej surowej ropy naftowej, nad terytorium znajdującym się obecnie poza granicami kraju... gdyby mógł importować ową ropę na zasadach wyłączności za dopuszczalną przez siebie cenę, innymi słowy, dyktować... i to zanim wyczerpie się jego własna ropa...

Odłożył raport na stół konferencyjny, przeszedł przez cały pokój do mapy świata pokrywającej pół ściany naprzeciwko okien. Zgłębiał ją uważnie, kiedy zegar odmierzał

kolejne minuty pozostałe do południa, i nieodmiennie jego wzrok padał na jeden zakątek świata. Wreszcie podszedł do biurka, włączył ponownie linię wewnętrzną i zadzwonił po swojego adiutanta.

- Poproście generała majora Ziemszkowa, żeby się tu natychmiast stawiał - rzucił do słuchawki.

Usiadł za biurkiem w fotelu z wysokim oparciem, podniósł pilota telewizyjnego, włączył odbiornik na konsoli po lewej stronie biurka. Ukazał się obraz programu pierwszego, zapowiadana transmisja na żywo z Wnukowa, portu lotniczego dla wybitnych osobistości leżącego pod Moskwą.

Samolot sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych numer i stał w pełni zatankowany, gotów do startu. Był to nowy Boeing 747, którym nie tak dawno zastąpiono starego, wysłużonego 707, mógł więc pokonać odległość między Moskwą a Waszyngtonem bez międzylądowania, co było nieosiągalne dla starego 707. Żołnierze z 89 Wojskowego Oddziału Lotniczego, który odpowiada za ochronę i utrzymanie samolotu prezydenckiego stacjonującego w Bazie Sił Powietrznych Andrews, stali wokół samolotu na wypadek, gdyby jakiś owładnięty nadmiernym entuzjazmem Rosjanin usiłował się do niego zbliżyć, żeby coś przyczepić albo zajrzeć do środka. Rosjanie jednak zachowywali się jak prawdziwi dżentelmeni, podobnie zresztą jak podczas całej trzydniowej wizyty.

O kilka metrów od czubka skrzydła samolotu ustawiono podium z wysokim pulpitem pośrodku. Przy tym pulpicie stał teraz sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Michaił Siergiejewicz Gorbaczow. kończąc swoją mowę pożegnalną. U jego boku siedział z gołą głową o stalowoszarych włosach rozwiewanych przez przenikliwy wiatr jego gość John J. Cormack, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Po obu stronach tych dwóch mężów stanu siedziało dwunastu członków Biura Politycznego.

Przed podium stała na baczność kompania honorowa milicji, formacji podlegającej Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, MWD, i druga, z Zarządu Ochrony Pogranicza KGB. Aby nadać uroczystości ludzki wymiar, na czwartej stronie pustego placu zgromadzono dwustu inżynierów, techników i członków personelu lotniska, którzy tworzyli tłum. Ale punkt centralny dla mówcy stanowiła bateria kamer telewizyjnych, fotografów i dziennikarzy stojących między dwiema kompaniami honorowymi. Był to bowiem podniosły moment.

Tuż po swojej inauguracji w styczniu, John Cormack, nieoczekiwany zwycięzca kampanii wyborczej z listopada ubiegłego roku, napomknął, że chciałby się spotkać z radzieckim przywódcą i że byłby gotów udać się w tym celu do Moskwy. Michaił Gorbaczow

nie zwlekał z wyrażeniem zgody i ku swojemu zadowoleniu przekonał się przez ostatnie trzy dni, że ten wysoki, surowy, lecz nade wszystko ludzki amerykański akademik wygląda na kogoś, z kim, aby użyć określenia pani Thatcher, “można załatwiać interesy”.

Podjął więc pewne ryzyko wbrew radom swoich służb bezpieczeństwa i doradców ideologicznych. Wyraził zgodę na osobiste życzenie prezydenta, żeby ów Amerykanin mógł przemówić do narodu radzieckiego w transmisji na żywo, nie przedkładając uprzednio tekstu do aprobaty. W Związku Radzieckim nie istnieje na dobrą sprawę coś takiego, jak telewizja “na żywo”; prawie wszystko bardzo uważnie się redaguje, przygotowuje, przetrawia i dopiero wtedy pokazuje jako nadające się do spożycia przez społeczeństwo.

Zanim Michaił Gorbaczow przystał na dziwną prośbę Cormacka, skonsultował się wcześniej z ekspertami od telewizji państwowej. Byli tym faktem równie zaskoczeni, jak i on, ale zwrócili mu uwagę, że po pierwsze, jedynie niewielki procent obywateli radzieckich rozumie Amerykanina, muszą więc polegać na tłumaczeniu (które można stonować, gdyby mówca posunął się za daleko), a po wtóre, przemówienie Amerykanina (zarówno wizję, jak i fonię) można opóźnić o jakieś osiem do dziesięciu sekund, jeżeli więc mówca naprawdę posunie się za daleko, można zarządzić nagłą przerwę w transmisji. Wreszcie uzgodniono, że gdyby sekretarz generalny zażyczył sobie taką przerwę, wystarczy, jeżeli poskrobie się palcem wskazującym w brodę, a już technicy dokonają reszty. Nie odnosiło się to do trzech amerykańskich ekip telewizyjnych ani do BBC z Wielkiej Brytanii, ale to już bez znaczenia, bo ich materiał nigdy nie dotrze do radzieckich obywateli.

Kończąc swoją orację słowami pozdrowienia dla narodu amerykańskiego i wyrażając nadzieję na pokój między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, Michaił Gorbaczow zwrócił się do gościa. John Cormack wstał. Rosjanin wskazał ręką pulpit i mikrofon, po czym ustąpił prezydentowi miejsca, a sam zasiadł z boku. Prezydent stanął za mikrofonem. Nie miał przed sobą żadnych notatek. Uniósł tylko głowę, patrzył wprost w oko kamery telewizji radzieckiej i zaczął mówić.

- Zwracam się do was, mężczyźni, kobiety i dzieci Związku Radzieckiego.

Marszałek Kozłow w swoim gabinecie poderwał się z fotela, wpatrzony intensywnie w ekran. Brwi Michaiła Gorbaczowa na podium drgnęły raz, zanim sekretarz znów odzyskał równowagę. W budce za radziecką kamerą młody człowiek, który mógłby uchodzić za absolwenta Harvardu, zakrył ręką mikrofon i zadał szeptem pytanie starszemu funkcjonariuszowi obok siebie, który potrząsnął głową. Albowiem John Cormack wcale nie mówił po angielsku; mówił płynnie po rosyjsku.

Chociaż prezydent nie znał rosyjskiego, przed przyjazdem do Związku Radzieckiego nauczył się na pamięć - w zaciszu swojej sypialni w Białym Domu - dwustronicowego przemówienia po rosyjsku, ćwicząc z pomocą taśm i nauczycieli, aż mógł wygłosić mowę całkiem płynnie, z idealnym akcentem, nie rozumiejąc z niej ani słowa. Nawet jak na byłego profesora prestiżowego uniwersytetu należącego do tak zwanej Ligi Bluszczu był to imponujący wyczyn.

- Przed pięćdziesięciu laty przez ten kraj, waszą ukochaną ojczyznę, przetoczyła się wojna najeżdźcza. Wasi mężczyźni walczyli i ginęli jak żołnierze bądź żyli jak wilki we własnych lasach. Wasze kobiety i dzieci mieszkaly w piwnicach i żywiły się odpadkami. Miliony ludzi zginęło. Kraj został spustoszony. Chociaż nic takiego nigdy nie wydarzyło się w moim kraju, daję wam słowo, że rozumiem, jak bardzo musicie nienawidzić i lękać się wojny.

Przez czterdzieści pięć lat oba nasze narody, zarówno radziecki, jak i amerykański, wznosiły między sobą mury, przekonując się nawzajem, że ten drugi będzie kolejnym najeżdźcą. Zbudowaliśmy zatem góry - góry stali, broni, czołgów, okrętów, samolotów i bomb. A jeszcze wyżej piętrzyły się mury kłamstw, ażeby usprawiedliwić owe góry stali. Są tacy, którzy powiadają, że ta broń jest nam potrzebna, gdyż pewnego dnia zostanie użyta w celu wyniszczenia się nawzajem.

Nu, ja skazu: my pojdiom drugim putiom.

Nastąpiło słyszalne niemal wstrzymanie oddechu przez publiczność zgromadzoną na lotnisku Wnukowo. Wypowiadając słowa: „A ja mówię: pójdziemy inną drogą”, zapożyczył sformułowanie Lenina znane w Związku Radzieckim każdemu dziecku. Po rosyjsku słowo „put” znaczy “droga” w dosłownym i metaforycznym sensie. Dalej prezydent bawił się słowem “droga”, odwołując się do różnych jego znaczeń.

- Mówię o drodze do stopniowego rozbrojenia i pokoju. Mamy do życia tylko tę jedną planetę, i to piękną. Możemy albo na niej żyć razem, albo razem zginąć.

Drzwi do gabinetu marszałka Kozłowa otworzyły się cicho i zamknęły. Przy drzwiach stanął oficer po pięćdziesiątce, kolejny protegowany Kozłowa, a zarazem as jego ekipy planistów, i wpatrywał się bez słowa w ekran w rogu pokoju. Prezydent amerykański kończył:

- Nie będzie to łatwa droga. Pełno na niej kamieni i wybojów. Ale przy jej końcu czeka pokój i bezpieczeństwo dla obu naszych narodów. Jeżeli bowiem każda ze stron będzie miała dosyć broni, żeby zapewnić sobie obronę, niedostateczną natomiast jej ilość, żeby zaatakować drugą stronę, jeżeli ponadto obie strony będą o tym wiedziały i będą miały możliwość to sprawdzić, wówczas będziemy mogli przekazać naszym dzieciom i wnukom

świat prawdziwie wolny od tego koszmarnego strachu, który znamy od pięćdziesięciu lat. Jeżeli pójdziecie ze mną tą drogą, to i ja, w imieniu narodu amerykańskiego, pójdę z wami. I z tymi słowy, Michaiła Siergiejewicza, wyciągam do pana rękę.

Prezydent Cormack odwrócił się do sekretarza Gorbaczowa i wyciągnął prawą rękę. Chociaż Rosjanin sam był wielkim znawcą w sprawach propagandy, nie miał innego wyjścia, jak tylko wstać i również wyciągnąć rękę. Po czym z szerokim uśmiechem na twarzy objął Amerykanina lewą ręką w niedźwiedzim uścisku.

Rosjanie to dziwny naród, zdolny do wielkiej paranoi i ksenofobii, ale też do wielkich emocji. Pierwsi przerwali ciszę pracownicy lotniska. Rozległy się burzliwe oklaski, potem wzniosły się wiwaty, a po kilku sekundach futrzane papachy zaczęły fruwać w powietrze, kiedy ci cywile, zwykle zdyscyplinowani aż do perfekcji, stracili nad sobą panowanie. Następnie dołączyli milicjanci; ściskając w lewych rękach karabiny w pozycji "spocznij", zaczęli wiwatować wymachując szarymi czapkami z czerwonymi otokami.

Oddziały KGB spojrzały na swojego szefa stojącego za podium, generała Władimira Kriuczkowa. Nie bardzo pewien, co robić, wstał tak jak całe Biuro Polityczne i klaskał wraz z innymi. Żołnierze ochrony pogranicza uznali to za wskazówkę (jak się później okazało - niesłusznie) i zaczęli wiwatować razem z milicją. Na przestrzeni pięciu stref czasowych 80 milionów radzieckich mężczyzn i kobiet poszło niejako w ich ślady.

- *Czort wozmi...* - marszałek Kozłow sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.

- Nasz ukochany sekretarz generalny - mruknął przymilnie generał major Ziemskow. Marszałek kilka razy pokiwał markotnie głową. Najpierw śmiało przestrogi raportu Kaminskiego, a teraz coś takiego. Wstał, wyszedł zza biurka, wziął raport ze stołu.

- Weźmiecie to i przeczytacie - powiedział. - Dokument ściśle tajny i taki ma pozostać. Istnieją tylko dwa egzemplarze, ja mam ten drugi. Zwróćcie szczególną uwagę na to, co Kaminski pisze we wnioskach.

Ziemskow skinął głową. Domyślił się z posępnej miny marszałka, że chodzi o coś więcej niż samo przeczytanie raportu. Przed dwoma laty był zaledwie zwykłym pułkownikiem, kiedy zauważył go marszałek Kozłow wizytując dowództwo manewrów w NRD.

Manewry odbywały się między Radzieckimi Siłami Zbrojnymi w Niemczech z jednej strony a wschodnioniemiecką Armią Ludową z drugiej. W poprzednich ćwiczeniach Niemcy pozorowali atak Amerykanów i zdruzgotali radzieckich towarzyszy broni. Tym razem Rosjanie odnieśli miażdżące zwycięstwo, co zawdzięczali planom Ziemskowa. Gdy tylko marszałek Kozłow objął najwyższe stanowisko przy ulicy Frunzego, natychmiast posłał po

błyskotliwego planistę i włączył go do własnego sztabu. Teraz podprowadził młodszego od siebie mężczyznę do mapy ściennej.

- Kiedy skończycie, przygotujecie taki niby to Specjalny Plan Awaryjny. W istocie ów SPA będzie drobiazgowo opracowanym planem, aż do ostatniego żołnierza, karabinu i pocisku, dotyczącym inwazji wojskowej i zajęcia obcego państwa. Może wam to zabrać nawet cały rok.

Generał major Ziemskow uniósł brwi.

- Z pewnością nie tak długo, towarzyszu marszałku. Mam do dyspozycji...

- Macie do dyspozycji jedynie własne oczy, ręce i głowę. Nie wolno się wam z nikim konsultować, z nikim tego omawiać. Wszelkie dane musicie zdobywać podstępem. Będziecie pracować sami, bez niczyjej pomocy. Zabierze wam to wiele miesięcy, a na końcu opracujecie plan w jednym egzemplarzu.

- Rozumiem. A ten kraj?... Marszałek postukał w mapę.

- Tutaj. Pewnego dnia ta ziemia musi należeć do nas.

Houston, stolica amerykańskiego, a wedle niektórych, światowego przemysłu naftowego, to dziwne miasto, ma bowiem nie jedno, lecz dwa centra. Na wschodzie znajduje się Śródmieście, centrum handlowe, bankowe, korporacyjne i przemysłowe, które widziane z daleka stanowi las lśniących wieżowców na płaskiej, nijakiej południowo-zachodniej równinie teksańskiej wznoszących się ku błękitnemu niebu. Na zachodzie znajduje się tak zwana Galleria, centrum zakupowe, restauracyjne i rozrywkowe, nad którym górują wieżowce Post Oak, Westin i Transco mieszczące największe skupisko sklepów pod jednym dachem, właśnie ową Gallerię.

Dwa serca miasta patrzą na siebie przez cztery mile jednopiętrowych przedmieść i parków niczym strzelcy gotowi do pojedynku o przewagę, jeżeli tylko się nań zdecydują.

Pod względem architektonicznym nad Śródmieściem góruje najwyższy wieżowiec, Texas Commerce, siedemdziesiąt pięć pięter szarych marmurowych płyt i ciemnoszarego szkła. Mając 1041 stóp wysokości, stanowi najwyższy budynek na zachód od rzeki Missisipi. Drugim co do wielkości jest wysokościowiec Allied Bank, sześćdziesięciopięciopiętrowa wieża z zielonego odblaskowego szkła. Wokół stoi kilkanaście innych drapaczy chmur rozmaitych projektów: od neogotyckich tortów przez ołówki ze szkła odblaskowego po zupełnie szalone konstrukcje.

Ciut niższy od budynku Allied Bank wznosi się gmach Pan-Global, którego najwyższe dziesięć pięter zajmują budowniczowie i właściciele owego wysokościowca, Korporacja Ropy Naftowej Pan-Global, dwudziesta ósma co do wielkości spółka naftowa w całej

Ameryce, a dziewiąta z kolei w Houston. Przy łącznych aktywach w wysokości 3¼ miliarda dolarów amerykańskich spółkę Pan-Global prześcigały jedynie firmy Shell, Tenneco, Conoco, Enron, Coastal, Texas Eastern, Transco i Pennzoil. Pod jednym wszakże względem różniła się od innych; właścicielem i dyrektorem był jej leciwy już założyciel. Miał wprawdzie akcjonariuszy i członków zarządu, ale sam zachował nad nią kontrolę, toteż w obrębie jego własnej korporacji nikt nie mógł kwestionować jego władzy.

Dwanaście godzin od chwili, w której marszałek Kozłow wydał polecenia swojemu głównemu planiście, osiem stref czasowych na zachód od Moskwy, Cyrus V. Miller stał przy oknie sięgającym od sufitu do podłogi swojego apartamentu na szczycie własnego budynku i patrzył na zachód. Z odległości czterech mil, przez mgiełkę późnolistopadowego popołudnia, odwzajemniał jego spojrzenie wieżowiec Transco. Cyrus Miller pozostał tak jeszcze chwilę, po czym stąpając po puszystym dywanie podszedł z powrotem do biurka i znów się zagłębił w lekturze leżącego na nim raportu.

Przed czterdziestu laty, kiedy Miller zaczął prosperować, nauczył się, że informacja równa się władzy. Wiedza o tym, co w trawie piszczy, a bodaj ważniejsze, co będzie piszczało, daje człowiekowi więcej władzy niż stanowisko polityczne czy nawet pieniądze. Właśnie wtedy założył w swojej rozwijającej się korporacji Dział Badań i Statystyki, zatrudniając w nim najinteligentniejszych i najbystrzejszych analityków, absolwentów najlepszych uczelni kraju. Z nastaniem ery komputerowej wyposażył swój Dział Badań i Statystyki w najnowsze banki informacji, dysponujące rozległymi danymi na temat ropy naftowej i innych gałęzi przemysłu, zapotrzebowania handlowego, krajowej działalności ekonomicznej, trendów rynkowych, osiągnięć naukowych i ludzi - setek tysięcy ludzi, z najrozmaitszych dziedzin życia, którzy mogliby mu się ewentualnie pewnego dnia przydać.

Raport leżący przed nim wyszedł spod pióra Dixona, młodego absolwenta Uniwersytetu Stanowego w Teksasie, człowieka o przenikliwym umyśle, zatrudnionego tu przed dziesięciu laty, który wrósł w firmę. Mimo wysokiej pensji, zamyślił się Miller, analityk bynajmniej nie próbował go czarować w dokumencie leżącym teraz na jego biurku. Ale on to doceniał. Po raz piąty przeczytał wnioski Dixona.

Wszystko się zatem sprowadza do tego, że w wolnym świecie po prostu kończy się ropa naftowa. Na razie nie dostrzegają tego szerokie rzesze Amerykanów, dzięki kolejnym udanym zabiegom rządu, aby utrzymywać fikcję, iż obecna sytuacja „taniej ropy” będzie trwała w nieskończoność.

Dowód owego kończenia się ropy leży w wykazie globalnych zasobów ropy zamieszczonym wcześniej. Z czterdziestu jeden krajów wydobywających dzisiaj ropę, zaledwie

dziesięć posiada znane nam rezerwy wystarczające na więcej niż trzydzieści lat. Nawet ten obraz jest optymistyczny. Prognoza tych trzydziestu lat zakłada dalszą produkcję na dotychczasowym poziomie. Faktem jest, że zużycie, a zatem i wydobywanie ciągle rośnie, czyli u producentów o niewielkich zasobach skończy się ona wcześniej, wydobywanie natomiast pozostałych będzie się musiało zwiększyć, żeby zaspokoić popyt. Bezpieczniej jest więc szacować okres potencjalnych zasobów na dwadzieścia lat we wszystkich poza dziesięcioma krajach produkujących ropę.

Nie ma mowy, żeby alternatywne źródła energii przybyły na czas w sukurs. Następne trzydzieści lat oznacza dla wolnego świata posiadanie ropy naftowej albo śmierć gospodarczą.

Sytuacja Ameryki zmierza szybkimi krokami ku katastrofie. W okresie, kiedy kraje OPEC wywindowały gwałtownie cenę z 2 do 40 dolarów za baryłkę, rząd USA przytomnie uruchomił wszelkie inicjatywy w zakresie badań, odkryć, wydobywania i rafinowania lokalnych złóż przemysłu naftowego do maksimum. Od czasu rozpadu wewnętrznego OPEC i boomu produkcyjnego Arabii Saudyjskiej w roku 1985 Waszyngton po prostu kapie się w sztucznie zaniżonej cenowo ropie z Bliskiego Wschodu, pozwalając krajowemu przemysłowi umrzeć śmiercią naturalną. Ta krótkowzroczność zbierze straszliwy plon.

Amerykańska reakcja na tanią ropę to zwiększony popyt, rosnący import surowej ropy i jej pochodnych oraz kurcząca się produkcja krajowa, całkowite zaniechanie badań, zamykanie indywidualnych rafinerii i kryzys bezrobocia gorszy niż w roku 1932. Nawet gdyby Ameryka uruchomiła zaraz, w trybie pilnym, szeroko zakrojone inwestycje i bodźce federalne na masową skalę, trzeba by dziesięciu lat, żeby odtworzyć potencjał ludzki, odnowić lub wdrożyć urządzenia i uruchomić prace, które przywróciłyby właściwe proporcje naszej obecnej całkowitej zależności od Bliskiego Wschodu. Jak dotąd, nic nie wskazuje na to, jakoby Waszyngton zamierzał popierać tego typu odnowę w produkcji amerykańskiej ropy naftowej.

Składają się na to trzy powody - wszystkie z gruntu fałszywe.

a) Koszt znalezienia nowej ropy amerykańskiej wynosiłby 20 dolarów za baryłkę, tymczasem koszt produkcji ropy z Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu wynosi jedynie 10-15 centów za baryłkę, za którą my płacimy przy kupnie 16 dolarów. Zakłada się, że taka sytuacja będzie trwała wiecznie. Nic bardziej mylnego.

b) Zakłada się, że Arabowie, zwłaszcza z Arabii Saudyjskiej, będą nadal kupowali astronomiczne ilości broni amerykańskiej, urządzeń technicznych, artykułów i serwisu dla własnej infrastruktury społecznej i obronnej, a zatem będą wymieniać z nami petrodolary. To

się jednak skończy. Ich infrastruktura jest na dobrą sprawę zaspokojona, już teraz nie wiedzą, na co wydawać dolary, a ich niedawne (z roku 1986 i 1988) zakupy myśliwców Tornado w Wielkiej Brytanii zepchnęły nas na drugie miejsce w kategorii ich dostawców broni.

c) Zakłada się, że księstwa i sułtanaty z Bliskiego Wschodu są dobrymi i lojalnymi sojusznikami, którzy nigdy się nie obrócą przeciwko nam, nie wywindują znów gwałtownie cen i zawsze będą pozostawać przy władzy. Co do pierwszego założenia, ich jawny szantaż wobec Ameryki w latach 1973-1985 wskazuje na ich intencje, ponadto na ziemiach tak niestabilnych jak Bliski Wschód każdy reżim może w ciągu tygodnia stracić władzę.

Cyrus Miller wpatrywał się w referat. Nie spodobało mu się to, co przeczytał, ale wiedział, że to prawda. Jako krajowy producent i właściciel rafinerii ropy wycierpiał srodze (we własnym mniemaniu) przez ostatnie cztery lata. Żadne usilne prośby w Waszyngtonie ze strony amerykańskiego przemysłu naftowego nie przekonały Kongresu, żeby przydzielił dzierżawy pól ropy w Arktycznym Parku Narodowym na Alasce, najbardziej obiecującym obszarze kraju dla znalezienia nowej ropy. Nienawidził więc Waszyngtonu i wszystkich jego poczynań.

Spojrzał na zegarek. Pół do piątej. Nacisnął guzik na pulpicie sterowniczym biurka, na przeciwnej ścianie pokoju rozsunęła się cicho tekowa płyta ukazując 26-calowy ekran kolorowego telewizora. Przełączył na kanał wiadomości CNN i złapał główną informację dnia.

Samolot sił zbrojnych nr i wisiał nad pasem do lądowania w Bazie Sił Powietrznych Andrews pod Waszyngtonem, jak gdyby znieruchomiał na niebie, aż wreszcie jego wysunięte koła delikatnie trafiły na oczekującą nawierzchnię pasa i znów znalazł się na amerykańskiej ziemi. Kiedy zwalniał, a następnie zwrócił swoje masywne cielsko z pasa ku blisko milowej drodze do kołowania prowadzącej ku budynkom lotniska, na ekranie ukazała się twarz trajkoczącego spikera, który ponownie relacjonował przemówienie prezydenta sprzed dwunastu godzin, wygłoszone tuż przed jego odlotem z Moskwy.

Jak gdyby w dowód słów spikera ekipa telewizyjna CNN mając dziesięć minut do dyspozycji, zanim Boeing się zatrzyma, jeszcze raz pokazała, z angielskimi napisami, mowę prezydenta Cormacka wygłoszoną po rosyjsku, a także migawki ryczących i wiwatujących pracowników lotniska i milicjantów oraz Michaiła Gorbaczowa obejmującego amerykańskiego przywódcę w emocjonalnym niedźwiedziowatym uścisku. Żabie szare oczy Cyrusa Millera nawet nie mrugnęły, skrywając również w zaciszu gabinetu jego nienawiść dla tego patrycjusza z Nowej Anglii, który niespodziewanie zrobił tak błyskotliwą karierę i objął przed rokiem prezydenturę, a teraz zmierzał nawet dalej do odprężenia z Rosją, niż odważył

się Reagan. Kiedy prezydent Cormack stanął w drzwiach samolotu prezydenckiego i rozległy się pierwsze tony hymnu "Witaj nam, wodzu", Miller z odrazą wyłączył telewizor.

- Zakochany w komuchach łajdak - warknął i wrócił do raportu Dixona.

W gruncie rzeczy granica dwudziestu lat na wyczerpanie się zasobów ropy u wszystkich poza dziesięcioma z czterdziestu jeden jej producentów nie ma większego znaczenia. Zwyżkowanie cen zacznie się za dziesięć lat albo i prędzej. Ostatni raport Uniwersytetu Harvarda przewiduje podwyżkę ceny o 50 dolarów za baryłkę (to jest licząc w dolarach roku 1989) do roku 1999 w porównaniu z dzisiejszą ceną 16 dolarów. Raport zatajono, ale też brzmi on nazbyt optymistycznie. Perspektywa skutków takich cen w społeczeństwie amerykańskim zakrawa na koszmar. Co zrobią Amerykanie, kiedy im się każe płacić po 2 dolary za galon benzyny? Jak zareagują farmerzy, kiedy im się powie, że nie mogą karmić świń, uprawiać zboża ani nawet ogrzać własnych domów podczas surowych zim na północy kraju? Stoimy w obliczu rewolucji społecznej.

Nawet gdyby Waszyngton poparł masowe ożywienie starań zmierzających ku produkcji amerykańskiej ropy, to i tak przy obecnym poziomie konsumpcji posiadamy rezerwy na pięć lat. Europa jest w jeszcze gorszym położeniu; pomijawszy maleńką Norwegię (jeden z dziesięciu krajów z zasobami na przeszło trzydzieści lat, chociaż opartymi na bardzo małym wydobyciu morskim), Europa ma rezerwy na trzy lata. Kraje basenu Pacyfiku opierają się całkowicie na ropie z importu i mają olbrzymie nadwyżki twardej waluty. Skutek? Poza Meksykiem, Wenezuelą i Libią wszyscy będziemy się oglądać na to samo źródło zaopatrzenia: sześciu producentów z Bliskiego Wschodu.

Iran, Irak, Abu Dhabi i Strefa Neutralna mają ropę, ale dwa kraje są znacznie większymi producentami niż pozostałe spośród ośmiu razem wziętych - Arabia Saudyjska i sąsiadujący z nią Kuwejt; ostatecznie Arabia Saudyjska utrzyma kluczową pozycję w OPEC. Obecnie, przy rocznej produkcji 170 miliardów baryłek rocznie, 25 procent światowej produkcji ropy, które w ciągu dziesięciu lat wzrosną do 50 procent, kiedy trzydzieści jeden krajów utraci kolejno swoje zasoby, przy rezerwach na przeszło sto lat Arabia Saudyjska będzie sprawowała kontrolę nad światową ceną ropy, a zarazem nad Ameryką.

Przy przewidywanym wzroście cen ropy do roku 1995 rachunek Ameryki za import będzie wynosił 450 milionów dolarów dziennie - płatnych Arabii Saudyjskiej i ościennemu Kuwejtowi. Innymi słowy, dostawcy z Bliskiego Wschodu wejdą przypuszczalnie w posiadanie tych gałęzi przemysłu amerykańskiego, których potrzeby dzisiaj zaspokajają. Ameryka, mimo swojego postępu, rozwoju techniki, stopy życiowej i potęgi militarnej, stanie się pod względem ekonomicznym, finansowym, strategicznym, a zatem i politycznym zależna od zacofanego, na

wpół nomadycznego, skorumpowanego i kapryśnego małego narodu, nad którym nie będzie mogła roztoczyć władzy.

Cyrus Miller zamknął raport, odchylił się w fotelu i zapatrzył w sufit. Gdyby ktoś miał czelność powiedzieć mu w twarz, że wywodzi się z ultraprawicowego odłamu amerykańskiej myśli politycznej, zaprzeczyłby z całą gwałtownością. Chociaż był tradycyjnie wyborcą partii republikańskiej, nigdy się zanadto nie interesował polityką poza tym, co dotyczyło przemysłu naftowego. Jego partią polityczną był tak naprawdę patriotyzm. Miller kochał swój przybrany stan, Teksas, i swój ojczysty kraj tak bardzo, że czasem go to aż dławilo.

Mimo jednak swoich siedemdziesięciu siedmiu lat nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest to Ameryka jego własnych wyobrażeń, biała anglosaska protestancka Ameryka tradycyjnych wartości i bezkompromisowego szowinizmu. Żadną miarą, jak zapewniał Wszchemogącego w częstych codziennych modlitwach, nie miał nic przeciwko Żydom, katolikom, Latynosom lub czarnym - bo czyż nie zatrudniał ośmiu hiszpańskojęzycznych pokojówek w swojej rezydencji na ranczo na pogórzcu pod Austin, nie mówiąc już o kilkunastu Murzynach w ogrodach? - jeżeli tylko znali swoje miejsce i go przestrzegali.

Zapatrzył się w sufit, usiłując sobie przypomnieć nazwisko. Nazwisko człowieka, którego poznał mniej więcej przed dwoma laty na konferencji nafciarzy w Dallas, człowieka, który mu powiedział, że mieszka i pracuje w Arabii Saudyjskiej. Ich rozmowa nie trwała długo, ale ten człowiek wywarł na nim spore wrażenie. Miał go teraz przed oczyma; wzrostu około sześciu stóp, odrobinę niższy od Millera, krzepki, prężny jak zwinięta sprężyna, opanowany, bystry, myślący, człowiek z ogromnym doświadczeniem na Bliskim Wschodzie. Lekko utykał opierając się na lasce ze srebrną główką, pracował przy komputerach. Im bardziej Miller myślał, tym więcej sobie przypominał. Omawiali razem komputery, zalety sprzętu Millera marki Honeywell, przy czym tamten opowiadał się za firmą IBM. Po kilku minutach Miller zadzwonił do swojego Działu Badań i przedyskutował im to, co pamiętał.

- Dowiedzcie się, kto to taki - zażądał.

Na południowym wybrzeżu Hiszpanii, wybrzeżu zwanym Costa del Sol, zapadł już zmierzch. Chociaż sezon turystyczny dawno minął, całe wybrzeże od Malagi aż po Gibraltar lśniło tysiącem świateł, które z położonych nieco dalej gór wyglądały jak ognisty wąż wijący się przez Torremolinos, Mijas, Fuengirola, Marbella, Estepona, Puerto Duquesa i dalej aż do La Linea i Skały. Reflektory samochodów osobowych i ciężarówek mrugały ustawicznie na autostradzie Malaga-Kadyks przemierzając równinę między wzgórzami a plażami.

W górach opodal wybrzeża w pobliżu zachodniego końca, między Estepona a Puerto Duquesa ciągną się winnice południowej Andaluzji, produkujące nie sherry tak jak tereny od

Jerezu na zachód, ale ciężkie, mocne czerwone wino. Stolicą tego okręgu jest małe miasteczko Manilva, oddalone wprawdzie o pięć mil od brzegu, ale mające wspaniały, panoramiczny widok na morze. Manilwę otacza skupisko małych wiosek, niemal osad, zamieszkałych przez chłopów, którzy uprawiają ziemię na zboczach i doglądają winnic.

W jednej z nich, Alcantara del Rio, mężczyźni wracali do domów z pól, zmęczeni i obolali po całodziennej pracy. Winobranie dawno się już skończyło, ale teraz trzeba było przyszczyć winorośle i przygotować je do nadchodzącej zimy, co stanowiło nie lada wysiłek dla krzyża i ramion. Toteż przed rozejściem się do swoich porozrzucanych po okolicy domów większość mężczyzn wstępowała do jedynej we wsi gospody na kielicha i pogawędkę.

Alcantara del Rio nie bardzo miała się czym szcycić poza spokojem i ciszą. Znajdował się tam mały pobielany kościółek, nad którym pieczę sprawował stary ksiądz, równie zgrzybiały jak jego beneficjum, odprawiający nabożeństwo dla kobiet i dzieci, uważając się przy tym, że mężczyźni przedstawiciele jego trzódki w niedzielny poranek woleli bar. Dzieci chodziły do szkoły w Manilvie. Poza czterema tuzinami bielonych chat był tylko ten jeden bar Antonia zatłoczony teraz robotnikami winnic. Niektórzy z nich pracowali w spółdzielniach mieszczących się o wiele kilometrów stamtąd; inni byli właścicielami działek, harowali ciężko i zarabiali na skromne utrzymanie zależnie od plonów oraz cen oferowanych przez kupców w miastach.

Jako ostatni wszedł rosły mężczyzna, przywitał się z innymi skinieniem głowy i zajął jak zwykle swoje miejsce w kącie. Przewyższał wzrostem pozostałych, był smukły, dobrze po czterdziestce, miał jowialną twarz i wesołe oczy. Niektórzy wieśniacy zwracali się do niego "senor", lecz Antonio, który zakrzętnął się właśnie przy karafce wina i szklance, był z nim na bardziej zażyłej stopie.

- *Muy buenos, amigo. Va bien?*

- *Ola, Tonio* - odparł swobodnie wysoki mężczyzna - *si, va bien.*

Odwrócił głowę, kiedy z telewizora nad barem buchnęła głośna fala muzyki. Stacja TVE nadawała dziennik wieczorny, zebrani mężczyźni umilkli, żeby wysłuchać najważniejszych wiadomości dnia. Najpierw pokazał się spiker, zrelacjonował pokrótce wyjazd Johna Cormacka, prezydenta de los Estados Unidos, z Moskwy. Na ekranie zjawiono się Wnukowo, prezydent podszedł do mikrofonu i zaczął przemawiać. W hiszpańskiej telewizji nie było napisów, tylko głos spikera podawał przekład na hiszpański. Mężczyźni w barze słuchali w skupieniu. Kiedy John Cormack skończył i wyciągnął rękę do Gorbaczowa, kamera (ekipy BBC filmującej dla wszystkich stacji europejskich) pokazała wiwatujących

pracowników lotniska, następnie milicjantów, a wreszcie oddziały KGB. Znów na ekranie ukazał się hiszpański spiker. Antonio zwrócił się do wysokiego mężczyzny.

- *Es un buen hombre, Senior Cormack* - rzekł z szerokim uśmiechem i klepnął wysokiego mężczyznę po plecach wyrażając w ten sposób gratulacje, jak gdyby jego klient był, nie przymierzając, współwłaścicielem tego człowieka z Białego Domu.

- *Si* - pokiwał w zadumie głową wysoki mężczyzna - *es un buen hombre*.

Cyrus V. Miller nie odziedziczył swojego obecnego majątku przy urodzeniu. Pochodził z biednej rodziny farmerów w Kolorado. W dzieciństwie był świadkiem, jak spółka górnicza wykupiła małe gospodarstwo jego ojca i zniszczyła je swoimi urządzeniami. Młodzieniec uznawszy, że jeśli się z kimś nie da wygrać, trzeba się do niego przyłączyć, ukończył Szkołę Górniczą Kolorado w Denver, którą opuścił w roku 1933 z dyplomem w ręku i z tymi ubraniami, które miał na grzbiecie. Podczas studiów ropa naftowa zafascynowała go znacznie bardziej niż kamienie, udał się więc na południe do Teksasu. Było to jeszcze w czasach dzikich użytkowników, kiedy zgody planistów ani troski ekologiczne nie krępowały dzierzawy ziemi.

W roku 1936 wypatrzył tanią parcelę wystawioną na sprzedaż przez Texaco i obliczył, że spółka kopała w niewłaściwym miejscu. Przekonał wiertniczego z własnym sprzętem, żeby się do niego przyłączył, i nakłonił bank, żeby przyjął prawa do dzierzawy pod zastaw za pożyczkę. Firma dostarczająca urządzeń do pól naftowych wzięła dalsze prawa za resztę potrzebnego mu wyposażenia, już więc po trzech miesiącach powstał szyb, i to duży. Wykupił wiertniczego, zastawił własny sprzęt i za to wydzierżawił kolejne parcele. Wraz z wybuchem wojny w roku 1941 wszystkie jego parcele dawały maksimum produkcji, stał się więc bogaty. Jednakże apetyt mu rósł, i podobnie jak w roku 1939 przewidział wojnę, tak i w roku 1944 coś wzbudziło jego zainteresowanie. Pewien Anglik nazwiskiem Frank Whittle wynalazł silnik lotniczy bez propelera, z potencjalnie olbrzymią mocą. Miller zastanawiał się, jakiego paliwa używał.

W roku 1945 dowiedział się, że spółka Boeing/Lockheed nabyła prawa do silnika odrzutowego Whittle'a wcale nie napędzanego wysokooktanową benzyną, lecz niskogatunkową ropą. Topiąc większość swoich funduszy w opłacalnej rafinerii kalifornijskiej opartej na niskiej technologii, zwrócił się do właścicieli Boeinga/Lockheeda, którzy poszukiwali akurat nowego paliwa, lecz zaczęli mieć już dosyć łaski i arogancji największych firm naftowych. Miller zaproponował swój wkład i tak razem stworzyli nowe Paliwo Samolotowe Turbinowe - SAMTUR. Tania rafineria Millera stanowiła odpowiedni wkład dla produkcji SAMTUR-u. Kiedy pierwsze próbki zeszyły z taśmy produkcyjnej

wybuchła wojna koreańska. Wraz ze zwycięstwem myśliwców odrzutowych Sabre nad chińskimi Migami nastąpiła era odrzutowców. Firma Pan-Global weszła na orbitę i Miller wrócił do Teksasu.

Wtedy też się ożenił. Maybelle była drobniutka w porównaniu z mężem, ale to ona przez trzydzieści lat ich pożycia trzęsła domem i małżonkiem, który świata poza nią nie widział. Nie mieli dzieci - Maybelle twierdziła, że jest za mała i za delikatnej budowy, żeby rodzić dzieci - on zaś się z tym pogodził, szczęśliwy, że może spełniać wszystkie jej życzenia. Potem odkrył Boga. Nie przystał do żadnej zorganizowanej religii, tylko zwrócił się wprost do Boga. Zaczął rozmawiać z Wszechmogącym i stwierdził, że Pan mu odpowiada, udziela mu osobistych porad, jak najlepiej powiększyć majątek i jak służyć Teksasowi oraz Stanom Zjednoczonym. Zapewne umknęło jego uwagi, że Boże rady zbiegały się zawsze z tym, co chciał usłyszeć, oraz że Stwórca radośnie podzielał cały jego szowinizm, wszelkie uprzedzenia i fanatyzmy. Nadal unikał komiksowego stereotypu Teksasńczyka, a zatem był człowiekiem niepalącym, umiarkowanym w picciu, żyjącym w cnotcie, konserwatywnym co do stroju i mowy, zawsze uprzejmym i nie cierpiącym wulgarnego języka. Cicho zadzwonił brzęczyk wewnętrznego telefonu.

- Nazwisko człowieka, którego pan szukał, panie Miller? Kiedy pan go poznał, pracował w firmie IBM w Arabii Saudyjskiej. IBM potwierdza, że musi chodzić o tego człowieka. Odszedł od nich i teraz pracuje na własny rachunek. Nazywa się Easterhouse, pułkownik Robert Easterhouse.

- Proszę go odnaleźć - zażądał Miller. - Proszę go tu wezwać. Mniejsza o koszty. Proszę mi go sprowadzić.

ROZDZIAŁ DRUGI

LISTOPAD 1990

Marszałek Kozłow siedział niewzruszony za biurkiem i obserwował czterech mężczyzn siedzących po obu stronach stołu konferencyjnego w kształcie litery T. Wszyscy czterej czytali rozłożone przed sobą teczki z napisem *Ścisłe tajne*; wszyscy czterej byli ludźmi, którym mógł ufać, którym musiał ufać - chodziło bowiem o jego karierę, a może i o coś więcej.

Tuż po jego lewej siedział zastępca szefa sztabu (okręg Południe), który pracował z nim w Moskwie, ale sprawował ogólny nadzór nad południowym rejonem Związku Radzieckiego z jego burzącymi się republikami muzułmańskimi oraz granicą z Rumunią, Turcją, Iranem i Afganistanem. Dalej zajmował miejsce szef naczelnego dowództwa okręgu Południe w Baku, który przyleciał do Moskwy w mniemaniu, że przybywa na zwyczajną konferencję dowództwa. Ale ta konferencja nie miała w sobie nic zwyczajnego. Przed przybyciem do Moskwy siedem lat temu na stanowisko pierwszego zastępcy Kozłow dowodził w Baku, a człowiek, który siedział teraz czytając Plan Suworowa, zawdzięczał swój awans wpływom Kozłowa.

Naprzeciw tych dwu siedziała druga dwójka, również pochłonięta lekturą. Tuż obok marszałka znajdował się człowiek, którego lojalność i zaangażowanie byłyby nieocenione, gdyby powiódł się Plan Suworowa - zastępca szefa GRU, komórki wywiadu radzieckich sił zbrojnych. W nieustannej niezgodzie z większym rywalem, KGB, GRU było odpowiedzialne za wywiad wojskowy w kraju i za granicą, za kontrwywiad oraz wewnętrzne bezpieczeństwo sił zbrojnych. Co ważniejsze dla Planu Suworowa, GRU dowodziło Oddziałami Specjalnymi, Specnaz, które odgrywałyby kluczową rolę w początkach Planu Suworowa, gdyby doszło do jego realizacji. To właśnie komandosi ze Specnazu wylądowali zimą 1979 roku na lotnisku w Kabulu, przypuścili szturm na pałac prezydencki, zamordowali prezydenta Afganistanu i umieścili w jego miejsce radziecką marionetkę, Babraka Karmala, który wystosował natychmiast antydatowane wezwanie do wojsk radzieckich, żeby wkroczyły do kraju i stłumiły „zamieszki”.

Kozłow wybrał zastępcę, ponieważ szef GRU był od dawna człowiekiem KGB, „wtyczką” w Sztabie Generalnym, nikt więc nie miał wątpliwości, że nieustannie donosił koleśiom z KGB o każdej aferze na niekorzyść Naczelnego Dowództwa, jaką wytropił.

Pracownik GRU przyjechał z drugiego końca Moskwy, z budynku GRU na północ od głównego lotniska.

Za człowiekiem z GRU siedział inny, który przybył z siedziby na północnych przedmieściach i którego ludzie byłiby niezbędni dla Planu Suworowa - zastępca dowódcy WDW, czyli Powietrznych Sił Desantowych, spadochroniarzy, których zrzucono by nad kilkunastoma miastami określonymi w Planie Suworowa, żeby zabezpieczyli je w oczekiwaniu na most powietrzny.

Nie było w tym momencie potrzeby wprowadzać ani Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, ponieważ nie groziła inwazja na ZSRR; ani Strategicznych Sił Rakietowych, ponieważ rakiety nie będą potrzebne. Jeśli chodzi o piechotę zmechanizowaną, artylerię i wojska pancerne, naczelne dowództwo okręgu Południe rozporządzało dostateczną ich ilością do tego celu.

Pracownik GRU skończył czytać i podniósł wzrok. Miał się odezwać, ale marszałek uniósł dłoń i siedzieli obaj w milczeniu, dopóki pozostałych trzech nie skończyło. Posiedzenie zaczęło się trzy godziny wcześniej, kiedy to wszyscy czterej przeczytali skróconą wersję pierwotnego raportu Kaminskiego o ropie. Przygnębienie, z jakim przyjęli jego wnioski i przewidywania pogłębiał fakt, że w ciągu ostatniego roku kilka z jego prognoz się sprawdziło.

Już dokonano cięć w przydziałach na ropę; niektóre manewry trzeba było "przełożyć" (odwołać) z powodu braku benzyny. Obiecane elektrownie atomowe nie zostały ponownie otwarte, syberyjskie złoża wciąż dawały niewiele więcej niż zwykle, a eksploracja Arktyki wyglądała nadal fatalnie z powodu braku techniki, fachowców i funduszy. *Glasnost'*, *pierstrojka*, konferencje prasowe i apele Biura Politycznego wyglądały bardzo pięknie, ale trzeba było o wiele więcej, żeby zapewnić Rosji efektywność.

Po krótkiej dyskusji nad raportem o ropie Kozłow rozdał cztery teczki, po jednej dla każdego, zawierające Plan Suworowa, przygotowany w ciągu dziewięciu miesięcy od ubiegłego listopada przez generała majora Ziemskowa. Marszałek przetrzymał Plan Suworowa przez kolejne trzy miesiące, do czasu, gdy uznał, że sytuacja na południe od granic kraju osiągnęła punkt, w którym jego podwładni oficerowie będą bardziej otwarci na śmiałość Planu. Teraz skończyli czytać i spoglądali wyczekująco. Nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu.

- Dobrze - powiedział ostrożnie marszałek Kozłow. - Są uwagi?

- Cóż - odważył się zastępca szefa sztabu - zapewniłoby to nam dostęp do źródeł ropy, które starczyłyby do pierwszej połowy następnego stulecia.

- To końcówka - powiedział Kozłow. - A co z wykonalnością? Spojrzał na człowieka z naczelnego dowództwa okręgu Południe.

- Inwazja i opanowanie tych ziem to żaden problem - odparł przybyły z Baku generał z czterema gwiazdkami. - Z tego punktu widzenia plan jest doskonały. Nietrudno stłumić początkowy opór. Ale jak będziemy potem rządzić tymi draniami... To prawdziwi szaleńcy... Trzeba będzie zastosować bardzo surowe środki.

- To się da załatwić - zapewnił go łagodnie Kozłow.

- Będziemy musieli użyć oddziałów złożonych z Rosjan - uznał spadochroniarz. - Nasze oddziały składają się z nich i z Ukraińców. Chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę, że przy takim zadaniu nie możemy ufać naszym dywizjom z republik muzułmańskich.

Rozległ się pomruk zgody. Pracownik GRU podniósł głowę.

- Czasem się zastanawiam, czy dywizje muzułmańskie mogą nam być jeszcze do czegokolwiek przydatne. Między innymi dlatego podoba mi się Plan Suworowa. Pozwoliłby nam powstrzymać szerzenie się fundamentalizmu islamskiego w naszych południowych republikach. Zlikwidowałby jego źródło. Moi ludzie z południa twierdzą, że w przypadku wojny nie mamy co liczyć na muzułmańskie dywizje.

Generał z Baku nie chciał nawet o tym dyskutować.

- Cholerni tubylcy - ryknął. - Stają się coraz gorsi. Zamiast bronić południa, poświęcam połowę czasu na tłumienie zamieszek religijnych w Taszkencie, Samarkandzie i Aszchabadzie. Miałbym wielką ochotę zaatakować cholerną Partię Allacha w jego ojczyźnie.

- A więc - podsumował marszałek Kozłow - mamy trzy plusy. Plan jest wykonalny dzięki długiej i odsłoniętej granicy oraz chaosowi wewnętrznemu, zapewniłoby to nam ropę na pół wieku i raz na zawsze rozprawilibyśmy się z fundamentalistycznymi duchownymi. Czy coś przemawia przeciw?

- A co z reakcją Zachodu? - spytał generał spadochroniarzy.

- Mogłoby to posłużyć Amerykanom do rozpętania trzeciej wojny światowej.

- Nie sądzę - sprzeciwił się pracownik GRU, który studiując przez lata Zachód, wiedział o nim więcej niż pozostali. - Politycy amerykańscy bardzo się liczą z opinią publiczną, a obecnie większość Amerykanów życzy Irańczykom wszystkiego najgorszego. Tak widzą sprawy szerokie rzesze Amerykanów.

Wszyscy czterej znali dostatecznie dobrze niedawną historię Iranu. W następstwie śmierci Ajatollaha Chomeiniego jego miejsce zajął, po okresie bezkrólewia wypełnionym zaciętymi walkami wewnętrznymi w Teheranie, okryty krwią islamski sędzia Chalchali, który

ostatnio napawał się widokiem ciał Amerykanów przewiezionych z pustyni po nieudanej próbie odzyskania zakładników z ambasady amerykańskiej.

Chalchali starał się wzmocnić swoją słabą władzę przez wprowadzenie w Iranie kolejnych rządów terroru i odwołanie się do budzących lęk Gasht-e-Sarallah („Krwawych Patroli”).

Wreszcie, gdy najbardziej groźni z tych Strażników Rewolucji wymykali się spod jego władzy, wysłał ich za granicę, by dokonali szeregu terrorystycznych okrucieństw wobec obywateli i aktywów amerykańskich na Bliskim Wschodzie i w Europie, a kampania ta trwała przez ostatnie pół roku.

Jeszcze nim pięciu radzieckich żołnierzy spotkało się, żeby omówić inwazję i okupację Iranu, Chalchali został znienawidzony przez Zachód i ludność Iranu, która miała dość Świętego Terroru.

- Sądzę - podjął pracownik GRU - że gdybyśmy zdecydowali się powiesić Chalchaliego, opinia amerykańska dostarczyłaby nam sznura. Gdybyśmy wkroczyli, Waszyngton byłby wściekły, ale kongresmani i senatorowie zbadaliby opinię swoich wyborców i doradzili prezydentowi, żeby nie interweniował. A nie zapominajcie, że obecnie mamy się bratać z jankesami.

Wokół stołu przebiegł grzmot rozbawienia, do którego przyłączył się Kozłow.

- A więc skąd nadejdzie sprzeciw? - zapytał.

- Podejrzewam - rzekł generał z GRU - że nie z Waszyngtonu, o ile postawimy Amerykę przed faktem dokonanym. Uważam, że nadejdzie z Nowej Płoszczadi, ale człowiek ze Stawropola stłumi to niezadowolenie. (Nowaja Płoszczad, czyli Nowy Plac, to moskiewska siedziba Komitetu Centralnego, a wzmianka o Stawropolu była niezbyt pochlebnią aluzją do pochodzącego stamtąd Michaiła Gorbaczowa.)

Pięciu żołnierzy przytaknęło ponuro. Pracownik GRU uzasadniał swoje stanowisko:

- Wszyscy wiemy, że przez ostatni rok, od czasu, gdy ten przekłety Cormack stał się wielką rosyjską gwiazdą pop na lotnisku Wnukowo, zespoły z obu Ministerstw Obrony wypracowywały szczegóły układu o szeroko zakrojonym ograniczeniu zbrojeń. Za dwa tygodnie Gorbaczow leci do Ameryki, żeby go sfinalizować i zapewnić dość środków na rozwój naszego krajowego przemysłu naftowego. Dopóki sądzi, że w ten sposób zapewni sobie ropę, dlaczego miałby naruszać swój ukochany układ z Cormackiem, dając nam zielone światło do inwazji na Iran?

- A jeśli podpisze ten układ, czy Komitet Centralny go zatwierdzi? - zapytał generał z Baku.

- Teraz ma za sobą cały Komitet Centralny - burknął Kozłow. - W ciągu ostatnich dwóch lat wyeliminowano niemal całą opozycję.

Konferencja skończyła się tym pesymistycznym, ale pełnym zrezygnowanej zgody akcentem. Zebrano kopie Planu Suworowa i zamknięto je w sejfie marszałka; generałowie wrócili do swoich zadań, zdecydowani milczeć, patrzeć i czekać.

W dwa tygodnie później Cyrus Miller również odbył konferencję, chociaż tylko z jednym człowiekiem, wieloletnim przyjacielem i kolegą. Wspominali z Melvillem Scanlonem czasy wojny koreańskiej, gdy młody Scanlon był energicznym przedsiębiorcą z Galveston, który swój szczupły majątek ulokował w kilku małych tankowcach. (Nawiasem mówiąc, w tamtych czasach wszystkie tankowce były małe.)

Miller podpisał kontrakt na zaopatrzenie w nowe paliwo do odrzutowców Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych - dostawa miała być dostarczona na nabrzeże w Japonii, gdzie przejęłyby ją tankowce marynarki wojennej i przewiozły do oblężonej Korei Południowej. Przekazał kontrakt Scanlonowi, który dokonywał cudów, goniąc swoje porzewiałe wraki przez Kanał Panamski, ładując SAMTUR w Kalifornii i transportując przez Pacyfik. Używając tych samych statków do przewozu surowca z Teksasu przed zmianą ładunku i rejsem do Japonii, Scanlon nie miał pustych rejsów, Miller zaś posiadał dostatek surowca, który mógł przetworzyć na SAMTUR. Trzy załogi tankowców zatoniły na Pacyfiku, ale nie stawiano żadnych pytań, toteż obaj panowie zarobili mnóstwo pieniędzy, zanim Miller został w końcu zmuszony przekazać swoją technologię "majorom".

Scanlon stał się pośrednikiem hurtowego handlu ropą i spedytorem, kupował więc i rozwoził ładunki ropy po całym świecie, głównie z Zatoki Perskiej do Ameryki. Po 1981 roku Scanlon dostał ciężki cios, kiedy Arabia Saudyjska postanowiła, że wszystkie jej ładunki powinny być wywożone z Zatoki Perskiej na statkach pod "arabską banderą", ale potrafiła wymusić tę politykę jedynie wobec przewozu surowej ropy, to znaczy części należącej do kraju wydobywającego, a nie do towarzystwa naftowego.

Scanlon przewoził z Arabii do Ameryki właśnie surową ropę i został przyciśnięty do muru, zmuszony sprzedać lub wydzierżawić swoje tankowce Arabii Saudyjskiej i Kuwejtowi po niskich cenach. Przetrwał, ale nie żywił miłości do Arabii Saudyjskiej. Miał jeszcze kilka tankowców, które kursowały na trasie pomiędzy Zatoką Perską a Stanami Zjednoczonymi, przewożąc głównie ropę Aramco, nie podlegającą przepisowi o "arabskiej banderze".

Miller stał przy ulubionym oknie widokowym spoglądając na rozpościerające się pod nim Houston. To, że znajdował się tak wysoko nad resztą ludzkości, dawało mu niemal boskie poczucie. Po drugiej stronie pokoju Scanlon rozparł się w skórzanym fotelu klubowym

i bębnił palcami po raporcie naftowym Dixona, który dopiero co skończył czytać. Podobnie jak Miller wiedział, że cena ropy z Zatoki sięgnęła dwudziestu dolarów za baryłkę.

- Zgadzam się z tobą, stary. Stany Zjednoczone nie mogą nigdy uzależniać tak całkowicie swojego funkcjonowania od tych drani. Od czego, u licha, jest Waszyngton? Pośleli tam, czy co?

- Nie będzie żadnej pomocy z Waszyngtonu, Mel - powiedział spokojnie Miller. - Jeśli chcesz zmieniać rzeczywistość, rób to sam. Ta lekcja drogo nas kosztowała.

Mel Scanlon wyjął chusteczkę i otarł czoło. Pomimo klimatyzacji w biurze zawsze się pocił. W przeciwieństwie do Millera cenił tradycyjny teksański strój - kapelusze Stetsona, krawaty z rzemyka, spinki do krawata i kłamy do pasów w stylu Nawaho i buty z wysokimi obcasami. Niestety nie miał figury mieszkańca pogranicza, był niski i tęgi, ale za powierzchownością dobrego starego chłopaka krył się bystry mózg.

- Nie wiem, jak chcesz zmienić lokalizację tych bogatych złóż - powiedział z rozdrażnieniem. - Pola naftowe Hasa leżą w Arabii Saudyjskiej, i to jest fakt.

- Nie, nie chodzi mi o położenie geograficzne. Ale o kontrolę polityczną nad tymi polami - wyjaśnił Miller - a tym samym o możliwość dyktowania cen ropy saudyjskiej, i przez to cen światowych.

- O kontrolę polityczną? Którą miałyby sprawować inna banda Arabów?

- Nie, o naszą kontrolę - odrzekł Miller. - O kontrolę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeśli nasz kraj ma przetrwać, musimy kontrolować światową cenę ropy, ustalając ją tak, żeby była na naszą kieszeń, a to oznacza kontrolę nad rządem w Rijadzie. Ten koszmar, kiedy jesteśmy na każde zawołanie bandy pastuchów, trwa już dostatecznie długo. Trzeba coś zmienić, ale nie zrobi tego Waszyngton. Natomiast to może się okazać decydujące.

Wziął z biurka plik papierów, spiętych elegancko w sztywnych kartonowych okładkach bez żadnego podpisu. Scanlon się nachmurzył.

- Tylko nie kolejny raport, Cy - zaproponował.

- Przeczytaj to - nalegał Miller. - Podreperuj swój intelekt. Scanlon westchnął i otworzył teczkę. Strona tytułowa brzmiała po prostu:

ZNISZCZENIE i UPADEK DYNASTII SAUD

- Święty Boże - powiedział Scanlon.

- Nie - poprawił go spokojnie Miller. - Święty Terrorze. Czytaj.

ISLAM. Religia islamu (co oznacza „poddanie się” woli Boga) wywodzi się z nauk proroka Mahometa, powstała około 622 n.e., a dzisiaj obejmuje od 800 milionów do miliarda wiernych. W odróżnieniu od chrześcijaństwa nie posiada wyświęconych kapłanów; przywód-

cami religijnymi islamu są ludzie świeccy szanowani za swoją postawę moralną i zdolności intelektualne. Doktryny Mahometa zostały wyłożone w Koranie.

SEKTY. *Dziewięćdziesiąt procent muzułmanów należy do sunnickiego (prawowiernego) odłamu. Najważniejsza mniejszość to (stronniczy) odłam szyitów. Podstawowa różnica między nimi polega na tym, że sunnici wierzą w zapis wypowiedzi Proroka znany jako hadisy (tradycje), tymczasem szyici przypisują boską nieomylną swemu aktualnemu przywódcy (imamowi) i wyznają jego kierowniczą rolę. Twierdzami szyityzmu są Iran (100 procent) i Irak (55 procent). Sześć procent mieszkańców Arabii Saudyjskiej jest szyitami; tworzą oni prześladowaną, zniechęconą mniejszość, ich przywódca ukrywa się, a działają głównie w okolicach pól naftowych Hasa.*

FUNDAMENTALIZM. *Podczas gdy istnieją fundamentaliści sunniccy, naturalną ojczyzną fundamentalizmu jest odłam szyitów. Ta sekta w sekcie głosi doskonale stosowanie się do Koranu, interpretowanego przez niezwykłego Ajatollaha Chomeiniego, który do dziś nie ma następcy.*

HEZB'ALLAH. *W Iranie prawdziwa i ostateczna wiara fundamentalistyczna jest wyznawana przez rzeszę fanatyków, którzy nazywają siebie „Partią Boga”, czyli Hezb'Allah. Gdzie indziej fundamentalizm występuje pod odmiennymi nazwami, ale dla celów niniejszej pracy wystarczy wymienić Hezb'Allah.*

CELE I CREDO. *Podstawowa filozofia głosi, że cały islam, a w końcu cały świat powinien zostać podporządkowany woli Allacha interpretowanej i egzekwowanej przez Chomeiniego. Na tej drodze stawia się wiele warunków wstępnych, spośród których trzy są interesujące: wszystkie istniejące rządy muzułmańskie są nieprawomocne, ponieważ nie opierają się na bezwarunkowym poddaniu się Allachowi, a zatem Chomeiniemu; niemożliwe jest jakiegokolwiek współistnienie między Hezb'Allah a świeckim rządem muzułmańskim; świętym obowiązkiem Hezb'Allah jest karać śmiercią wszystkich przestępców na całym świecie, którzy popełnili wykroczenie przeciw islamowi, a szczególnie heretyków w łonie islamu.*

METODY. *Hezb'Allah postanowiła dawno temu, że w realizowaniu tego ostatniego celu nie będzie litości, współczucia, miłosierdzia, powściągliwości ani pohamowania, aż do męczeństwa włącznie. Nazywają to Świętym Terrorem.*

PROPOZYCJA. *Namówić, zgromadzić, pobudzić, zorganizować i wesprzeć fanatyków szyickich w przeprowadzeniu masakry 600 czołowych i mających największą władzę członków dynastii Saud, a tym samym w zniszczeniu dynastii i rządu w Rijadzie, które zostałyby zastąpione przez młodego księcia gotowego zaakceptować przyszłą amerykańską wojskową*

okupację pól Hasa i zdecydowanego ustalać ceny ropy na poziomie „proponowanym” przez USA.

- Kto to, u licha, napisał? - zapytał Scanlon odkładając raport, który przeczytał tylko do połowy.

- Człowiek, który od roku jest moim konsultantem - odrzekł Miller. - Chcesz go poznać?

- Jest tutaj?

- Czekaj na zewnątrz. Przybył przed dziesięcioma minutami.

- Jasne - powiedział Scanlon - warto przyjrzeć się temu szaleńcowi.

- Za chwilę - powiedział Miller.

Rodzina Cormacków, na długo zanim profesor John Cormack porzucił karierę akademicką, by zająć się polityką jako kongresman reprezentujący stan Connecticut, posiadała dom letniskowy na wyspie Nantucket. Przyjechał tu po raz pierwszy jako młody nauczyciel ze swoją nową narzeczoną przed trzydziestu laty, zanim Nantucket stało się popularne jak Martha's Vineyard lub Cape Cod, i oczarowała go czysta prostota tamtejszego życia.

Nantucket leżące na wschód od Martha's Vineyard, opodal wybrzeża Massachusetts, szczyliło się wówczas tradycyjną wioską rybacką, cmentarzyskiem indiańskim, ożywczymi wiatrami, złotymi plażami, kilkoma domami letniskowymi i niewiele czym więcej. Ziemia była dostępna, toteż młoda para zaczęła ciułać oraz oszczędzać, żeby kupić czteroakrową działkę w Shawkemo, wzdłuż Plaży Dziecięcej, na skraju otoczonej lądem laguny zwanej po prostu portem. Tam John Cormack zbudował drewniany dom, pokryty deskami, z drewnianymi gontami na dachu i grubo ciosanymi drewnianymi meblami, futrzakami i kołdrami w stylu ludowym.

Później przybyło im pieniędzy, dokonano więc ulepszeń i rozbudowano dom. Kiedy przed dwudziestu miesiącami przybył do Białego Domu, powiedział, że pragnie spędzać wakacje letnie w Nantucket, ale na stary dom spadł mały huragan. Z Waszyngtonu przybyli specjaliści, popatrzyli z przerażeniem na brak kwater, niedostatki bezpieczeństwa, brak łączności... Wrócili i powiedzieli, tak, panie prezydencie, wszystko będzie wspaniale, trzeba tylko zbudować kwatery dla stu ludzi z Secret Service, przygotować lądowisko dla helikoptera, kilka domków dla gości, stenografów i służby domowej - nie wypadało już, żeby Myra Cormack sama słała łóżka - och, i może antenę satelitarną lub dwie dla ludzi z łączności... Prezydent Cormack odwołał całe przedsięwzięcie.

Następnie, tego roku w listopadzie, podjął ryzyko wobec człowieka z Moskwy, zapraszając Michaiła Gorbaczowa do Nantucket na długi weekend. Rosjaninowi bardzo się tam spodobało.

Goryle z KGB wpadli w szal, podobnie jak ludzie z Secret Service, ale obaj przywódcy kazali im się pogodzić z sytuacją. Dwaj mężczyźni, opatuleni przed ostrym wiatrem znad Cieśniny Nantucket (Rosjanin przywiózł Amerykaninowi czapkę z soboli) odbywali długie spacery po plaży, tymczasem ludzie z KGB i Secret Service sunęli za nimi, inni ukrywali się w zwiędłej trawie i mamrotali coś do nadajników, helikopter przebiegał się nad nimi przez wiatry, a kuter straży przybrzeżnej unosił się w górę i w dół nad linią morza.

Nikt nie starał się nikogo zabić. Dwaj mężczyźni weszli niezapowiedziani do miasteczka Nantucket, a rybacy przy Prostym Nabrzeżu pokazywali im świeżo złowione homary i małże. Gorbaczow podziwiał połów, był cały rozpromieniony, po czym obaj poszli na piwo do baru na nadbrzeżu i wrócili spacerem do Shawkemo, wyglądając obok siebie jak buldog i bocian.

Wieczorem, po homarach z rusztu w drewnianym domku, przyłączyli się do nich eksperci do spraw obrony z obu stron oraz tłumacze, wypracowali ostatnie punkty porozumienia i naszkicowali swoje oświadczenia.

We wtorek dopuszczono prasę, zawsze wokół kręcili się jej przedstawiciele "gromadząc" zdjęcia i słowa - bo w końcu to była Ameryka - ale we wtorek przybyły zmasowane bataliony. W południe obaj mężczyźni pojawili się na drewnianej werandzie i prezydent odczytał oświadczenie. Wyrażało ono zdecydowaną wolę przedłożenia Komitetowi Centralnemu oraz Kongresowi szeroko zakrojonego i radykalnego porozumienia o ograniczeniu sił konwencjonalnych po obu stronach i na całym świecie. Pozostały jeszcze do dopracowania pewne problemy z weryfikacją, ale tym mieli się zająć technicy; miano ogłosić w późniejszym terminie konkretne szczegóły dotyczące typów uzbrojenia i ilości, która miała zostać odstawiona, zamrożona, oddana na złom lub zdemontowana. Prezydent Cormack mówił o honorowym pokoju, bezpiecznym pokoju i pokoju dobrej woli. Gorbaczow, kiedy docierał do niego przekład, potakiwał energicznie głową. Nikt wówczas nie wspomniał, chociaż zrobiła to potem szeroko prasa, że przy deficycie w budżecie amerykańskim, rażącym chaosie ekonomicznym i szalejącym kryzysie naftowym, żadne z mocarstw nie mogło sobie ostatecznie pozwolić na kontynuowanie wyścigu zbrojeń.

Ponad dwa tysiące mil stamtąd, w Houston, Cyrus V. Miller wyłączył telewizor i spojrzał na Scanlona.

- Ten człowiek puści nas z torbami - powiedział z ukrytym jadem. - To niebezpieczny człowiek. Zdrajca.

Doszedł do siebie i zbliżył się do mikrofonu łączności wewnętrznej na biurku.

- Louise, wpuść zaraz pułkownika Easterhouse'a, dobrze?

Ktoś kiedyś powiedział: "Wszyscy ludzie śnią, ale najbardziej niebezpieczni są ci, którzy śnią z otwartymi oczyma". Pułkownik Robert Easterhouse siedział w eleganckiej poczekalni na szczycie wieżowca Pan-Global i patrzył przez okno na panoramiczny widok Houston. Ale jego bładoniebieskie oczy widziały sklepienie nieba oraz ochrowe piaski Nejd; marzył o kontrolowaniu dochodów z pól naftowych Hasa dla dobra Ameryki i całej ludzkości.

Urodzony w 1945 roku, miał trzy lata, gdy jego ojciec przyjął pracę nauczyciela w Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie. W tamtych czasach stolica Libanu była rajem, elegancka, kosmopolityczna, bogata i bezpieczna. Przez pewien czas uczęszczał do szkoły arabskiej, miał francuskich i arabskich kolegów; gdy jego rodzina wróciła do Idaho, miał trzynaście lat i mówił biegle po angielsku, francusku i arabsku.

Po powrocie do Ameryki młodzieniec stwierdził, że jego koledzy szkolni są powierzchowni, lekkomyślni i zadziwiająco głupi, oraz opętani rock and rollem i twórczością młodego piosenkarza nazwiskiem Presley. Szydzili sobie z jego opowieści o kołyszących się cedrach, fortcach krzyżowców i pióropuszcach dymu z obozowisk Druzów unoszących się nad przełęczami gór Szuf. Tak więc uciekł w świat książek, a szczególnie pociąg czuł do *Siedmiu filarów mądrości* T. E. Lawrence'a. W wieku osiemnastu lat, porzucając college i randki z dziewczętami, wstąpił na ochotnika do 82 Dywizji Desantowej i w chwili śmierci Kennedy'ego odbywał jeszcze wstępne szkolenie.

Przez dziesięć lat był spadochroniarzem, trzy razy trafił do Wietnamu, skąd powrócił wraz z ostatnimi oddziałami w 1973 roku. Żołnierze szybko awansują, kiedy jest dużo ofiar, został więc najmłodszym pułkownikiem w 82 Dywizji. Uległ okaleczeniu nie na wojnie, ale w głupim wypadku. Był to treningowy skok nad pustynią; miejsce zrzutu miało być płaskie i piaszczyste, prędkość wiatru miała wynosić pięć węzłów. Jak zwykle dowództwo się pomyliło. Prędkość wiatru przy ziemi wynosiła ponad 30; spadochroniarze zostali zniesieni na skały i w żleby. Trzech zginęło, dwudziestu siedmiu było rannych.

Na późniejszym zdjęciu rentgenowskim kości lewej nogi Easterhouse'a wyglądały jak pudełko zapalek rozrzuconych na czarnym aksamicie. W 1975 roku w szpitalu oglądał w telewizji zenującą ucieczkę ostatnich oddziałów amerykańskich z ambasady w Sajgonie, tego bunkra nad bunkrami, który znał z ofensywy T. W szpitalu wpadła mu w ręce książka o komputerach i zdał sobie sprawę, że te maszyny stanowią drogę do władzy - przy

odpowiednim wykorzystaniu dają szansę skorygowania szaleństw świata, a także wniesienia porządku i rozsądku w chaos oraz anarchię.

Występując z wojska, poszedł do college'u, zrobił dyplom z informatyki, przepracował trzy lata w firmie Honeywell, po czym przeniósł się do IBM. Był rok 1981, petrodolarowa siła Arabii Saudyjskiej była u szczytu, Aramco podpisało z IBM kontrakt na konstrukcję doskonałych systemów komputerowych do nadzorowania produkcji, przepływu pieniędzy, eksportu i przede wszystkim opłat za eksploatację w ich monopolu w Arabii Saudyjskiej. Znając płynnie arabski i będąc geniuszem w dziedzinie komputerów Easterhouse okazał się najlepszym kandydatem. Przez pięć lat pilnował interesów Aramco w Arabii Saudyjskiej, specjalizując się w nadzorowanych przez komputer systemach bezpieczeństwa zapobiegających oszustwom i malwersacji. W 1968 roku, wraz z upadkiem kartelu OPEC, władza przeszła z powrotem w ręce konsumentów, Arabowie czuli się odrzuceni, toteż bardzo im zależało na kulejącym geniuszu od komputerów, znającym ich język i obyczaje - zaproponowali mu fortunę, żeby wystąpił z firmy i pracował dla nich, a nie dla IBM i Aramco.

Znał jak tubylec kraj i jego historię. Już jako chłopiec czytał opowieści z dreszczykiem o założycielu, wysiedlonym nomadzkim szejku Abdulu Aziz al-Saud nadciągającym z pustyni, by przypuścić szturm na fortecę Musmak w Rijadzie i rozpocząć swoją drogę do władzy.

Zdumiewała go przebiegłość Abdula Aziza, który poświęcił trzydzieści lat na podbicie trzydziestu siedmiu plemion w głębi kraju, zjednoczył Nejd z Hejaz i Hadramaut, poślubił córki pokonanych wrogów i złączył plemiona w naród, czy coś na kształt narodu. Później poznał nagą prawdę i podziw przemienił się w rozczarowanie, pogardę i nienawiść.

Jego praca w IBM polegała na zapobieganiu i wykrywaniu oszustw komputerowych w systemach zaprogramowanych przez oderwanych od życia majsterkowiczów ze Stanów, nadzorowaniu przekładu danych o wydobywaniu ropy na język księgowości i bilansów bankowych, tworzeniu doskonałych systemów, które można by zintegrować z systemem skarbowości Arabii Saudyjskiej. Rozrzutność i obłądana korupcja skłoniły jego pierwotnie purytańskiego ducha ku przekonaniu, że pewnego dnia będzie mu dane stać się narzędziem, które zmiecie szaleństwo i korupcję kapryśnego losu, co ofiarował ogromne bogactwo i władzę takim ludziom; to on przywróci porządek i zlikwiduje szalone kontrasty Bliskiego Wschodu, tak żeby ten Boży dar ropy naftowej służył przede wszystkim wolnemu światu, a zatem ludziom całego świata.

Mógł wykorzystać swoje umiejętności na “zgarnięcie” dla siebie z dochodów za ropę prawdziwej fortuny, jak robili to książęta, ale nie pozwalała mu na to jego moralność. Tak więc, by spełnić swe marzenie, potrzebował poparcia ludzi posiadających władzę, wpływy, fundusze, i wówczas został wezwany przez Cyrusa Millera, żeby rozebrać skorumpowaną budowlę i przenieść ją do Ameryki. Musiał tylko przekonać tych barbarzyńskich Teksaszczyków, że jest ich człowiekiem.

- Pułkownik Easterhouse? - przerwał mu słodki głosik Louise.- Pan Miller teraz pana przyjmie.

Wstał, oparł się przez kilka sekund na lasce, dopóki nie minął ból, a potem wszedł za sekretarką do gabinetu Millera. Kiedy drzwi się zamknęły, przywitał się z szacunkiem z Millerem i został przedstawiony Scanlonowi.

Miller przeszedł od razu do rzeczy.

- Panie pułkowniku, chciałbym, żeby mój przyjaciel i kolega nabrał przekonania, podobnie jak ja, co do wykonalności proponowanego przez pana przedsięwzięcia. Cenię sobie jego zdanie, chciałbym więc, żeby z nami współpracował.

Scanlon docenił ten komplement. Easterhouse wyczuł, że to kłamstwo. Miller nie cenił sobie zdania Scanlona, ale obaj potrzebowali statków Scanlona. żeby potajemnie sprowadzić broń potrzebną do zamachu stanu. Traktował Scanlona z szacunkiem.

- Czytał pan mój raport? - spytał go Easterhouse.

- Tak... to znaczy... ten fragment o facetach z Hezbollah. Trudne sprawy, masa dziwnych nazw. Jak, pana zdaniem, można się nimi posłużyć do obalenia monarchii, a co ważniejsze, do przekazania Ameryce pól naftowych Hasa?

- Panie Scanlon, nie sposób kontrolować pól naftowych Hasa i przekazywać ich produktu do Ameryki, nie roztaczając najpierw kontroli nad oddalonym o setki kilometrów rządem w Rijadzie. Ten rząd trzeba przekształcić w marionetkowy reżim, zdany całkowicie na doradców amerykańskich. Ameryka nie może otwarcie obalić dynastii Saud, reakcja Arabów byłaby przerażająca. Mój plan polega na sprowokowaniu do tego małej grupy fundamentalistów szyickich, oddanych Świętemu Terrorowi. Gdyby zwolennicy Chomeiniego opanowali Półwysep Arabski, wzbudziłoby to falę paniki w całym świecie arabskim. Z Omanu na południu, emiratów Kuwejtu, Syrii, Iraku, Jordanu, Libanu, Egiptu i Izraela nadeszłyby od razu jawne lub tajne prośby do Ameryki o interwencje i ocalenie przed Świętym Terrorem.

Ponieważ przez dwa lata opracowywałem skomputeryzowany program bezpieczeństwa wewnętrznego Arabii Saudyjskiej, wiem o istnieniu takiej grupy fanatyków

Świętego Terroru kierowanej przez imama, który darzy chorobliwą nienawiścią króla, jego braci, mafię wewnętrzną zwaną Al-Fahd i całą dynastyczną rodzinę złożoną z trzech tysięcy książąt. Imam publicznie potępił ich wszystkich jako prostytutujących islam, profanujących Święte Miejsca, to znaczy Mekkę i Medynę. Musiał się ukrywać, ale mogę go ochronić do czasu, gdy będzie nam potrzebny, usuwając z centralnego komputera wszelkie informacje o jego miejscu pobytu. Mam z nim również kontakt przez rozczarowanego pracownika Mutawain, wszechobecnej i znienawidzonej Policji Religijnej.

- A więc po co przekazywać Arabię Saudyjską takim marionetkom? - indagował Scanlon. - Skoro dzienny dochód Arabii Saudyjskiej wynosi trzysta milionów dolarów... do licha, doprowadziliby kraj do całkowitej ruiny.

- Właśnie. Czego nie zniósłby świat arabski. Każdy kraj w tym obszarze poza Iranem prosiłby Amerykę o interwencję. Waszyngton byłby pod silną presją i musiałyby wysłać Siły Szybkiego Reagowania do bazy przygotowanej dla nich w Omanie, na Półwyspie Mussandam, a potem do Rijadu, Dharramu i Bahrajnu, żeby zabezpieczyły pola naftowe, zanim zostaną bezpowrotnie zniszczone. W tej sytuacji nasze oddziały musiałyby tam zostać, żeby nigdy więcej się to nie powtórzyło.

- A co się stanie - zapytał Scanlon - z tym imamem?

- Zginie - powiedział spokojnie Easterhouse - a jego miejsce zajmie jedyny książę z dynastii, który nie będzie obecny podczas masakry, ponieważ zostanie uprowadzony do mojego domu i dzięki temu ją przetrwa. Dobrze go znam: wykształcony na Zachodzie, pro-amerykański, słaby, chwiejny, i do tego pijak. Ale uprawomocni pozostałe arabskie apele, wystosowując własny apel przez radio z naszej ambasady w Rijadzie. Jako jedyny ocalały członek dynastii wezwie Amerykę do interwencji i przywrócenia prawowitej władzy. Od tej chwili na zawsze pozostanie naszym człowiekiem.

Scanlon zastanowił się nad tym. Wrócił do propozycji zawartych w tekście.

- Ale co my będziemy z tego mieli? Nie chodzi mi o USA. Chodzi mi o nas.

Tu wkroczył Miller. Znał Scanlona i wiedział, jak zareaguje.

- Mel, jeśli ten książę będzie rządził w Rijadzie, a jego doradcą będzie od świtu do nocy pułkownik, przełamiemy monopol Aramco. Czekają nas nowe kontrakty, dostawy, zamówienia importowe, możliwości przetwórcze. A wiesz, kto na tym pierwszy skorzysta?

Scanlon skinął ze zgodą głową.

- Na kiedy planujecie to... wydarzenie?

- Może panowie wiedzą, że szturm na fortecę Musmak nastąpił w styczniu 1902 roku, nowe królestwo ustanowiono w 1932 roku. Za piętnaście miesięcy, wiosną 1992 roku, król z

dworem będą obchodzić dziewięćdziesiątą rocznicę pierwszego wydarzenia i diamentowy jubileusz ustanowienia królestwa. Planują zakrojony na szeroką skalę, kosztujący miliard dolarów festiwal dla publiczności z całego świata. Buduje się nowy kryty stadion. Ja nadzoruję wszystkie jego komputerowo sterowane systemy bezpieczeństwa: bramy, drzwi, okna, klimatyzację. Na tydzień przed uroczystym wieczorem odbędzie się próba generalna, w której weźmie udział sześćuset najdostojniejszych członków dynastii Saud, ściągniętych ze wszystkich stron świata. Wtedy każę uderzyć zwolennikom Świętego Terroru. Zamkną się za nimi elektronicznie bramy. Pięciuset żołnierzom ze straży królewskiej wyda się wadliwą amunicję, sprowadzoną pańskimi statkami wraz z karabinami maszynowymi potrzebnymi Hezb'Allah do wykonania zadania.

- A potem? - spytał Scanlon.

- Potem, panie Scanlon, nie będzie śladu po dynastii Saud. Śladu po terrorystach. Albowiem na stadionie wybuchnie pożar, a kamery będą pracować, aż się stopią. Wówczas nowy Ajatollah, samozwańcze wcielenie imama, spadkobierca ducha i duszy Chomeiniego pojawi się w telewizji i ogłosi swoje plany świata, który przed chwilą był świadkiem tego, co stało się na stadionie. Sądzę, że nie trzeba będzie długo czekać na apele do Waszyngtonu.

- Panie pułkowniku - spytał Cyrus Miller - jakich funduszy pan potrzebuje?

- Żeby móc od razu planować na przyszłość, milion dolarów. Później dwa miliony na zakupy za granicą i łapówki w twardej walucie. Wewnątrz Arabii Saudyjskiej, nic. Mogę zdobyć fundusz w wysokości kilku miliardów riali na zakupy w kraju i na łapówki.

Miller pokiwał głową. Ten dziwny wizjoner żądał groszy za to, czego chciał dokonać.

- Dopilnuję, żeby pan je otrzymał. Proszę zaczekać chwilę na zewnątrz. Chcę zaprosić pana do domu na kolację.

Pułkownik Easterhouse odwrócił się, żeby odejść, lecz zatrzymał się w drzwiach.

- Istnieje, albo może się pojawić, jeden problem. Jedyne nieprzewidywalny czynnik, jaki tu dostrzegam. Prezydent Cormack jest człowiekiem oddanym pokojowi i z tego, co zaobserwowałem w Nantucket, zależy mu bardzo na nowym układzie z Kremlem. Ten układ prawdopodobnie zostanie zerwany po naszym wkroczeniu na Półwysep Arabski. Taki człowiek mógłby nawet odmówić wysłania Sił Szybkiego Reagowania.

Kiedy wyszedł, Scanlon zaklął, na co Miller zmarszczył brwi.

- Wiesz, Cy, on może mieć rację. Boże, gdyby tylko Odell był w Białym Domu.

Chociaż wybrany osobiście przez Cormacka na jego kompana, wiceprezydent Michael Odell był również Teksaszczykiem, człowiekiem interesu, który samodzielnie dorobił się

milionów i miał o wiele bardziej prawicowe poglądy niż Cormack. Miller, o władnięty niezwykłą namiętnością, odwrócił się i chwycił Scanlona za ramiona.

- Mel, wielokrotnie modliłem się do Boga z powodu tego człowieka. Prosiłem o znak. I właśnie ustami tego pułkownika Bóg dał mi znak. Cormack musi odejść.

Na północ od stolicy hazardu, Las Vegas w Nevadzie, rozpościera się na ogromnym obszarze Baza Sił Powietrznych Nellis, gdzie hazard zdecydowanie nie jest przewidziany w programie. Albowiem 11.274-akrowa baza znajduje się w najtajniejszym poligonie Ameryki, poligonie Tonapah, gdzie testuje się nowe bronie i gdzie zabłąkany prywatny samolot, który naruszył 3.012.770-akrową przestrzeń poligonu, podczas prób otrzymuje jedno ostrzeżenie, a potem zostaje zestrzelony.

To tutaj w jasny rześki poranek grudniowy dwie grupy mężczyzn wysiadły z kawalkady limuzyn, aby być świadkami pierwszych prób i demonstracji fantastycznej nowej broni. Pierwszą grupę tworzyli producenci Wielorakietowej Wyrzutni, stanowiącej podstawę systemu, a towarzyszyli im ludzie z dwóch współpracujących ze sobą spółek, które zbudowały rakiety i elektroniczne układy sterujące.

Jak większość współczesnego sprzętu, DESPOTA, najskuteczniejszy niszczyciel czołgów, nie był prostym urządzeniem, ale składał się z sieci złożonych układów, wyprodukowanych przez trzy odrębne spółki.

Cobb był dyrektorem odpowiedzialnym za realizację programu i najpoważniejszym udziałowcem w Zodiac OPB Inc., spółce specjalizującej się w produkcji opancerzonych pojazdów bojowych, skąd pochodził skrót w jej nazwie. On osobiście i cała jego spółka wszelkie nadzieje ulokowali w DESPOCIE, nad którym pracowali na własny koszt przez siedem lat, a który został zaakceptowany i kupiony przez Pentagon. Nie miał na dobrą sprawę wątpliwości; DESPOTA wyprzedzał o całe lata system Pancernego Tygrysa Boeinga i nowszy system Cichej Tęczy. Wiedział, że wychodzi on naprzeciw nieustannej troski planistów z NATO, którą było odizolowanie pierwszej fali radzieckiego ataku czołgowego na Wielkiej Równinie Niemieckiej od drugiej fali.

Jego kolegami byli Moir z Zakładów Lotniczych Pasadena w Kalifornii, które wyprodukowały części do Kestrela i Goshawka, oraz Salkind ze Spółki Przemysłowej ECK w Dolinie Krzemowej koło Palo Alto w Kalifornii. Tym dwóm, jak również ich firmom, bardzo zależało na zakupie DESPOTY przez Pentagon. Spółka Przemysłowa ECK miała swój udział w produkcji prototypu "niewidzialnego" bombowca B2 dla Sił Powietrznych, ale ten projekt był pewny.

Ekipa Pentagonu przybyła w dwie godziny później, kiedy wszystko już przygotowano. Było ich, łącznie z dwoma generałami, dwunastu. Tworzyli grupę techniczną, której rada będzie decydująca dla opinii Pentagonu. Kiedy już wszyscy usiedli pod markizą przed rzędem ekranów telewizyjnych, rozpoczęła się próba.

Moir zaczął od niespodzianki. Skłonił publiczność do przekręcania się na miejscach i lustrowania pobliskiej pustyni. Była płaska, pusta. Wszyscy zdradzali zaintrygowanie. Moir nacisnął przycisk na tablicy przed sobą. O niecałe kilkanaście jardów od nich pustynia się wzburzyła. Pojawiły się wielkie metalowe kleszcze, wysunęły do przodu i szarpnęły. Z piasku, gdzie leżał zagrzebany, niewidzialny dla myśliwców zwiadowczych i skierowanego na ziemię radaru, wyłonił się DESPOTA. Wielka masa szarej stali na kołach i gąsienicach, bez okien, niezależny, pewny siebie, odporny na bezpośredni atak wszelkich rodzajów broni poza pociskiem ciężkiej artylerii lub dużą bombą, odporny na atak atomowy, gazowy lub bakteriologiczny, wydobył się z grobu, który sobie wykopał, i przystąpił do działania.

Ukryci w środku czterej ludzie włączyli silniki zasilające wszystkie układy, odsunęli stalowe ekrany osłaniające wzmocnione szklane iluminatory i wysunęli antenę radaru, który miał ostrzegać przed nadchodzącym atakiem oraz antenę czujnikową pomagającą sterować pociskami. Na ekipie Pentagonu zrobiło to wrażenie.

- Załóżmy - powiedział Cobb - że pierwsza fala radzieckich czołgów przekroczyła Łabę przez kilka istniejących mostów oraz wiele przerzuconych w nocy mostów pontonowych i wjechała do Niemiec Zachodnich. Siły NATO starają się opanować pierwszą falę. Nastręcza to sporo problemów. Ale z ukrycia, z lasów Niemiec Wschodnich wyłania się jeszcze większa, druga fala czołgów radzieckich i kieruje się ku Łabie. Mają one dokonać wyłomu i przedrzeć się ku granicy francuskiej. Opancerzone pojazdy bojowe DESPOTA, ukryte i rozciągnięte w Niemczech na linii Północ-Południe, otrzymują rozkazy. Odnaleźć, zidentyfikować, zniszczyć.

Nacisnął inny przycisk i na szczycie OPB otworzyła się kłapa. Z otworu, na wyrzutni, wyłoniła się wysmukła niczym ołówek rakietą. Miała średnicę dwudziestu cali, długość ośmiu stóp. Włączył się mały silnik i rakietą poszybowała w bladobłękitne niebo, gdzie - sama barwy bladobłękitnej - znikła z pola widzenia. Mężczyźni powrócili do ekranów, na których kamery o dużej ostrości śledziły Kestrela. Na wysokości stu pięćdziesięciu stóp włączył się turboodrzutowy silnik dwuprzepływowy, rakietą zamarała i opadła, z boku pojawiły się krótkie grube skrzydła, a tylne lotki nadawały jej kierunek. Miniaturowa rakietą zaczęła lecieć jak samolot i nadal wznosiła się nad poligonem. Moir wskazał na wielki ekran radaru. Obrotowe ramię krążyło wokół tarczy, ale nie pojawił się żaden kształt.

- Kestrel jest wykonany w całości z włókna szklanego - podjął z dumą Moir. - Jego silnik jest wykonany z ceramicznopodobnego materiału, żaroodpornego, niedostrzegalnego dla radaru. Kiedy dodamy trochę ulepszeń technicznych z "niewidzialnego" bombowca, będzie całkowicie niewidoczny dla oka i urządzeń. Na ekranie radaru wygląda jak zięba. A może nawet jest mniej widoczny. Ruch skrzydeł ptaka pozwala go wykryć radarowi. Kestrel nie czyni takich ruchów, a ten radar jest o wiele nowocześniejszy niż sprzęt, którym dysponują Sowieci.

Podczas wojny Kestrel, rakietą dalekiego zasięgu, może dotrzeć od dwustu do pięciuset mil za linię wroga. Podczas tej próby wzniósł się na operacyjny poziom piętnastu tysięcy stóp, przeleciał sto mil nad poligonem i zaczął wolno kołować; będzie znajdował się w powietrzu przez dziesięć godzin, poruszając się z prędkością stu węzłów. Podjął również elektroniczną obserwację terenu. Zaczęły działać jego liczne czujniki. Niczym ptak na łowach monitorował teren w dole, nadzorując okrąg o średnicy siedemdziesięciu mil.

Jego działające na podczerwień detektory przeczesywały teren, potem zaczął go badać za pomocą radaru o paśmie milimetrycznym.

- Jest tak zaprogramowany, że uderza tylko wówczas, gdy cel wydziela ciepło, jest stalowy i porusza się - powiedział Moir. - Cel musi wydzielać dostatecznie dużo ciepła, by mógł to być czołg, a nie samochód, ciężarówka lub pociąg. Nie uderzy w ognisko, ogrzewany dom lub zaparkowany samochód, ponieważ się nie poruszają. Z tego samego powodu nie uderzy w reflektory; a także w cegłę, drewno lub gumę. ponieważ nie są ze stali. A teraz, proszę spojrzeć na cel na ekranie.

Obrócili się ku ogromnemu ekranowi; obraz przekazywała oddalona o setki mil kamera telewizyjna. Duży teren został przygotowany jak plan zdjęciowy w Hollywoodzie. Były tam sztuczne drzewa, drewniane chaty, zaparkowane furgonetki, ciężarówki i samochody. Były gumowe czołgi, które zaczęły pełznąć, ciągnięte przez niewidzialne druty. Były też rozniecone przy użyciu benzyny ogniska, które buchały płomieniami. W pewnej chwili zaczął sunąć jedyny prawdziwy czołg, sterowany drogą radiową. Lecący na wysokości piętnastu tysięcy stóp Kestrel wytropił go od razu i zareagował.

- Panowie, oto nowa rewolucja, z której słusznie jesteśmy dumni. W dawniejszych systemach myśliwy rzucał się na cel, ulegając zniszczeniu wraz z całą drogą technologią. Było to bardzo nieopłacalne. Kestrel postępuje inaczej; wzywa Goshawka. Proszę obserwować DESPOTE.

Publiczność znowu się obróciła w krzesłach, w samą porę, żeby dostrzec błysk jardowej długości pocisku Goshawk, który usłuchał wezwania Kestrela i zmierzał na rozkaz do celu. Teraz komentarz przejął Salkind.

- Goshawk wzniesie się na wysokość stu tysięcy stóp, obróci i poszybuj na grzbiecie. Przelatując obok Kestrela, Goshawk otrzyma od tej zdalnie sterowanej rakiety ostateczne dane o celu. Komputer Kestrela poda położenie celu, a Goshawk uderzy z dokładnością do osiemnastu cali. Goshawk trafi w cel w tym promieniu. Teraz schodzi w dół.

Pośród wszystkich tych domów, chat, ciężarówek, furgonetek, samochodów, ognisk, gumowych makiet czołgów, stalowy czołg (stary egzemplarz typu Abrams Mark I) sunął z chrzęstem niczym na wojnie. Nastąpił raptowny błysk, wydawało się, iż jakaś potężna pięść spadła na Abramsa. Jak gdyby w zwolnionym tempie wyprostował się, boki się rozstały, lufa podskoczyła kierując się oskarżycielsko w niebo i czołg stanął w słupie ognia. Wszyscy zebrani pod markizą odetchnęli.

- Jakie uzbrojenie znajduje się w dziobie rakiety? - spytał jeden z generałów.

- Żadne, panie generale - odparł Salkind. - Goshawk jest jak rozpędzony gład. Spada z prędkością około dziesięciu tysięcy mil na godzinę. Poza odbiornikiem, który otrzymuje informacje z Kestrela, i małym radarem, który naprowadza na cel przez ostatnie piętnaście tysięcy stóp, nie ma żadnych urządzeń technicznych. Dlatego jest tak tani. Ale efekt dziesięciu kilogramów stali wolframowej uderzającej z tą prędkością w czołg przypomina... wystrzał ze śrutu prosto w karalucha. Ten czołg otrzymał uderzenie równe sile dwóch parowozów Amtrak pędzących z prędkością stu mil na godzinę. Został po prostu spłaszczony.

Próby trwały przez następne dwie godziny. Producenci dowiedli, że potrafią przeprogramować Kestrela w trakcie lotu; jeśli mu rozkazali, żeby szukał obiektów otoczonych wodą z ziemią po obu końcach, wybierał mosty. Jeśli zmienili program bojowy, uderzał w pociągi, barki lub jadące kolumny ciężarówek. Ale musiały się poruszać. Jeśli były nieruchome, Kestrel nie odróżniał stalowej ciężarówki od małej stalowej budki. Jego czujniki przenikały deszcz, chmury, śnieg, grad, deszcz ze śniegiem, mgłę i ciemność. Wczesnym popołudniem grupki się rozeszły, a komitet z Pentagonu szykował, żeby wsiąść w limuzyny i odjechać do Bazy Nellis, a potem odlecieć do Waszyngtonu.

Jeden z generałów podał rękę producentom.

- Jako czołgista - powiedział - nigdy w życiu nie widziałem niczego równie przerażającego. Zamierzam za tym głosować. Ulica Frunzego będzie chora ze strachu. Być tropionym przez człowieka to nieszczęście, ale być tropionym przez robota, do diabła, co za koszmar!

Ostatnie słowo miał jeden z cywilów.

- Panowie, jest wspaniały! To najlepszy zdalnie sterowany system przeciwczołgowy na świecie. Ostrzegam jednak, że jeśli przejdzie ta nowa umowa z Nantucket, nigdy go pewnie nie zamówimy.

Cobb, Moir i Salkind, wracając razem samochodem do Las Vegas, uświadomili sobie, że Nantucket może narazić ich oraz ich spółki, wraz z tysiącami innych z kompleksu przemysłu zbrojeniowego, na całkowitą ruinę.

W wigilię Bożego Narodzenia w Alcantara del Rio nikt nie pracował, ale do późna w nocy trwało wielkie pijaństwo. Już po północy Antonio zamknął swój mały bar. Niektórzy z jego klientów mieszkali na miejscu we wsi, inni wracali pieszo lub samochodami do swoich chat rozrzuconych na wzgórzach opodal. Dlatego Jose Francisco, zwany Pablem, przechodził zataczając się w upojeniu drogą koło domu wysokiego cudzoziemca, nie odczuwając bólu poza niewielkim uciskiem w pęcherzu. Stwierdziwszy, że musi sobie ulżyć, odwrócił się do kamiennego muru podwórka, na którym stał zaparkowany rozklekotany, mały dzip SEAT Terra, rozpiął rozporek i rozkoszował się drugą w kolejności przyjemnością człowieka. Nad jego głową spał wysoki mężczyzna i znowu śnił mu się koszmar, który sprowadził go w te strony. Przechodząc znów wszystko po raz setny, oblewał się potem. Wciąż we śnie, otworzył usta i krzyknął: - Nie-e-e!

W dole Pablo dał susa i padł jak długi na drogę, mocząc najlepsze, niedzielne spodnie. Potem się podniósł i zaczął biec; mocz spływał mu po nogach, miał nie zapięty rozporek, a jego członek był wystawiony na niezwykły dlań powiew świeżego powietrza. Jeśli olbrzymi, długonogi cudzoziemiec miał wpaść w szal, on, Jose Francisco Echevaria, dzięki Bogu, nie zamierza się temu przypatrywać. Ten człowiek był grzeczny, porządny i mówił dobrze po hiszpańsku, ale miał w sobie coś dziwnego.

W połowie stycznia student pierwszego roku jechał rowerem wzdłuż St Giles Street w starym angielskim mieście Oksford, szykując się na spotkanie ze swoim nowym opiekunem i ciesząc się pierwszym dniem w Balliol College. Miał na sobie grube spodnie sztruksowe i pikowany anorak chroniący przed zimnem, ale uparł się, żeby na to włożyć czarną szatę studenta Uniwersytetu Oksfordzkiego. Trzepotała na wietrze. Później miał się dowiedzieć, że większość studentów nosiła je tylko podczas posiłków w jadalni, lecz jako nowo przybyły był z niej bardzo dumny. Wolałby mieszkać w college'u, ale rodzice wynajęli mu ogromny dom z siedmioma sypialniami przy Woodstock Road. Minął Pomnik Męczenników i wjechał w Magdalen Street.

Za jadącym studentem zatrzymała się, nie zauważona przez niego, typowa limuzyna. Siedziało w niej trzech mężczyzn, dwóch z przodu i jeden z tyłu. Trzeci mężczyzna wychylił się.

- Magdalen Street jest zamknięta dla ruchu. Nie mogą w nią wjeżdżać samochody. Będą panowie musieli pójść pieszo.

Mężczyzna na przednim siedzeniu dla pasażera zaklął cicho i wysiadł na chodnik. Szybkim krokiem przemykał się przez tłum, idąc za pedałującą przed nim postacią. Po wskazówkach siedzącego z tyłu mężczyzny samochód skręcił w prawo w Beaumont Street, potem w lewo w Gloucester Street, a następnie w George Street. Zatrzymał się na drugim końcu Magdalen Street w chwili, gdy pojawił się tam rowerzysta. Student zszedł z roweru u wylotu Broad Street, za skrzyżowaniem, więc samochód nie ruszył. Trzeci mężczyzna wyszedł z Magdalen Street, zaczerwieniony od lodowatego wiatru, rozejrzał się, zauważył samochód i dołączył do pozostałych.

- Co za cholerne miasto - stwierdził. - Same jednokierunkowe ulice i obszary zamknięte dla ruchu.

Mężczyzna z tyłu zachichotał.

- Dlatego studenci jeżdżą rowerami. Może my też powinniśmy.

- Tylko obserwujcie - powiedział bez humoru kierowca. Mężczyzna obok niego umilkł i poprawił pistolet pod lewą pachą.

Student zszedł z roweru i wpatrywał się w krzyż ułożony z brukowców na środku Broad Street. Dowiedział się z przewodnika, że w tym miejscu w 1555 roku spalono na rozkaz katolickiej królowej Marii dwóch biskupów, Latimera i Ridleya. Kiedy objęły ich płomienie, biskup Latimer zawołał do swego współmęczennika: - Nie trap się, mistrzu Ridley, i zachowuj się jak mężczyzna. Tego dnia rozpalimy w Anglii, z Bożą pomocą, taki płomień, że nikt go nie ugasi.

Miał na myśli płomień wiary protestanckiej, ale historia nie zanotowała odpowiedzi biskupa Ridleya, albowiem płonął już wówczas jak pochodnia. W rok później, w 1556, na tym samym miejscu na śmierć poszedł, jak oni, arcybiskup Cranmer. Płomienie ze stosu osmały znajdujące się o kilka jardów dalej drzwi Balliol College. Później zdjęto te drzwi i zawieszono u wejścia na Dziedziniec Wewnętrzny, gdzie do dziś są wyraźnie widoczne ślady osmalenia.

- Cześć - rozległ się głos obok studenta. Chłopak odwrócił wzrok. On był wysoki i kościsty, ona niska z ciemnymi błyszczącymi oczyma i pulchna niczym przepiórka. - Jestem Jenny. Zdaje się, że mamy tego samego opiekuna.

Dwudziestojednoletni student, przyjęty do Oksfordu po dwóch latach w Yale na jednoroczny kurs dla cudzoziemców, uśmiechnął się.

- Cześć, jestem Simon.

Podeszli do łukowatego wejścia do college'u, młody człowiek pchał rower. Był tu dzień wcześniej, żeby spotkać się z dziekanem, ale wówczas przyjechał samochodem. W połowie sklepienia pod łukiem wyłoniła się przed nimi miła, choć nieprzejednana postać Tima Ward-Barbera.

- Jest pan nowy w college'u, prawda? - zapytał.

- No tak - odrzekł Simon. - To mój pierwszy dzień.

- Świetnie, w takim razie musimy poznać pierwszą obowiązującą u nas regułę. Nigdy, pod żadnym pozorem, pijani, naćpani, czy na wpół śpiący nie prowadzimy, wnosimy ani nie dosiadamy rowerów pod łukiem prowadzącym na dziedziniec. Jeśli pan łaskaw, proszę go postawić przy murze obok innych.

W uniwersytetach pracują rektorzy, dyrektorzy, dziekani, inspektorzy, prodziekani, kwestorzy, profesorowie, wykładowcy i adiunkci zhierarchizowani według porządku dziobania. Ale główny portier college'u należał zdecydowanie do starszyny. Jako były podoficer w 16 kompanii 5 pułku ułanów, Tim walczył w swoim czasie z wieloma oddziałami. Kiedy wrócili, pokiwał życzliwie głową i powiedział:

- Zdaje się, że jesteście u doktora Keena. W rogu dziedzińca, schodami w górę.

Kiedy dotarli do zagraconego pokoju na szczycie schodów, należącego do ich wykładowcy historii średniowiecznej, i przedstawili się, Jenny tytułowała go "profesorem", a Simon mówił do niego "proszę pana". Doktor Keen spojrzał na nich wesoło zza okularów.

- A więc - powiedział z humorem - nie toleruję tylko dwóch rzeczy. Po pierwsze, marnowania waszego i mojego czasu, po drugie, kiedy ktoś zwraca się do mnie per „pan”. Powinniście się zwracać do mnie "doktorze Keen", potem możecie się promować na „Maurice”. Przy okazji, Jenny, nie jestem też profesorem. Profesorowie mają katedry, a ja, jak widzicie, takiej nie posiadam; przynajmniej takiej, która nadawałaby się do użytku.

Zaprosił ich wesołym gestem na wpół zapadnięte fotele, gdzie jego studenci usiedli, i powiedział, żeby się czuli wygodnie. Simon od razu się zapadł w pozbawiony nóżek fotel w stylu królowej Anny, tak że znalazł się trzy cale nad podłogą, po czym zaczęli wspólnie omawiać postać Jana Husa i rewolucję husycką w średniowiecznych Czechach. Simon uśmiechnął się. Wiedział, że spodoba mu się w Oksfordzie.

Był to czysty zbieg okoliczności, że Cyrus Miller znalazł się w dwa tygodnie później obok Lionela Cobba na urządzonym dla zebrania funduszy wystawnym obiedzie w Austin, w

Teksasie. Nienawidził takich obiadów i zwykle ich unikał; urządzono go na rzecz lokalnego polityka, a Miller znał wartość tropów zostawianych w świecie polityki; później można się było zwrócić do takiego polityka z prośbą o przysługę. Postanowił zignorować siedzącego obok mężczyznę, który nie miał nic wspólnego z przemysłem naftowym, dopóki Cobb nie wyraził swego głębokiego sprzeciwu wobec układu z Nantucket i Johna Cormacka, który go podpisał.

- Trzeba zapobiec temu cholernemu układowi - stwierdził Cobb. - Trzeba jakoś przekonać Kongres, żeby odmówił ratyfikacji.

Według najświeższych wiadomości układ był w ostatniej fazie opracowań, miał zostać podpisany w kwietniu przez ambasadorów obu stron w Waszyngtonie i Moskwie, zatwierdzony przez Komitet Centralny w Moskwie w październiku po przerwie wakacyjnej, a przedłożony Kongresowi przed końcem roku.

- Czy sądzi pan, że Kongres go odrzuci? - zapytał ostrożnie Miller. Kontrahent przemysłu zbrojeniowego spojrzał ponuro w swój piąty kieliszek.

- Nie - odrzekł. - Faktem jest, że ograniczenie zbrojeń cieszy się zawsze dużą popularnością w szerokich kręgach, a pomimo małych szans Cormack posiada charyzmę i popularność, które pozwolą mu przeforsować układ. Nie znoszę tego faceta, ale tak wyglądają fakty.

Miller podziwiał realizm pokonanego.

- Zna pan już warunki, na jakich układ został zawarty? - spytał. - Dosyć dobrze - odparł Cobb. - Chcą zredukować kredyty na obronę o dziesiątki miliardów. Po obu stronach żelaznej kurtyny. Mówi się o czterdziestu procentach, oczywiście po obu stronach.

- Czy wielu myśli podobnie jak pan? - spytał Miller. Cobb był zbyt pijany, by zrozumieć pytanie.

- Prawie cały przemysł zbrojeniowy - burknął. - Grożą nam masowe redukcje i ogromne straty, które dotkną mnóstwo spółek i osób prywatnych.

- Hmm. Jaka szkoda, że Michael Odell nie jest prezydentem - rozmarzył się Miller.

Mężczyzna ze spółki Zodiac, Inc. roześmiał się zgryźliwie.

- To pobożne życzenie. Jest przeciw ograniczeniu zbrojeń. Ale pozostanie wice, a Cormack prezydentem.

- Doprawdy? - powiedział cicho Miller.

Niedługo potem, w ostatnim tygodniu miesiąca Cobb, Moir i Salkind spotkali się ze Scanlonem i Millerem na prywatnej kolacji wydanej przez Millera w zacisznym, luksusowym

apartamencie hotelu Remington w Houston. Przy brandy i kawie Miller kazał im się zastanowić nad okupowaniem przez Johna Cormacka Ovalnego Gabinetu.

- Musi odejść - podjął Miller. Inni się z nim zgodzili.

- Nie chcę być wmieszany w zamach - powiedział pośpiesznie Salkind. - Mamy jeszcze w pamięci śmierć Kennedy'ego. Pod wpływem jego śmierci zatwierdzono w Kongresie wszystkie prawa obywatelskie, których on sam nie potrafił przeforsować. Miało to wprost przeciwny skutek, biorąc pod uwagę cele zamachowców, i to właśnie Johnson wprowadził te prawa.

- Zgadzam się - powiedział Miller. - Takie posunięcie nie wchodzi w grę. Ale musi być jakiś sposób wymuszenia jego rezygnacji.

- Podaj choćby jeden - zażądał Moir. - Jak, u diabła, można do tego doprowadzić? Ten człowiek jest czysty jak łąza. Nie ciągną się za nim żadne skandale. Cała klika dobrze to sprawdziła, zanim ściągnęli go na to stanowisko.

- Musi się coś znaleźć - powiedział Miller. - Jakaś pięta achillesowa. Nie brak nam determinacji, wpływów i pieniędzy. Potrzebujemy organizatora.

- A może ten twój człowiek, pułkownik? - zaproponował Scanlon.

Miller pokręcił głową.

- Mimo wszystko traktowałby każdego prezydenta USA jako swego dowódcę. Nie, to musi być ktoś inny... musi się gdzieś taki znaleźć...

Miał na myśli jakiegoś zdrajcę, przebiegłego, bezwzględnego, inteligentnego, lojalnego tylko wobec pieniędzy i takiego zamierzał szukać.

ROZDZIAŁ TRZECI

MARZEC 1991

Trzydzieści mil na północny zachód od Oklahoma City leży więzienie federalne El Reno. Jego oficjalna nazwa brzmi Federalny Zakład Poprawczy, w rzeczywistości jednak jest to jedno z najcięższych więzień w Ameryce. Któregoś chłodnego poranka w połowie marca w ponurej bramie głównej otworzyły się małe drzwiczki i pojawił się w nich mężczyzna.

Średniego wzrostu, nieco zbyt tęgi, bez grosza przy duszy i o twarzy naznaczonej więzienną bladością był człowiekiem do głębi zgorzkniałym. Rozejrzał się dokoła, mało zobaczył (bo i mało było do oglądania) i zaczął iść w kierunku miasta. Wysoko, nad jego głową, niewidoczny strażnik na wieży popatrzył za nim bez zbytniego zainteresowania, potem odwrócił wzrok. W zaparkowanym samochodzie ze znacznie większą uwagą przyglądał mu się ktoś inny. W dyskretnej odległości od bramy głównej, wystarczająco daleko, aby nie można było dostrzec jej znaków rejestracyjnych, stała długa limuzyna. Mężczyzna spoglądający przez tylną szybę odłożył lornetkę na bok i mruknął:

- Idzie.

Dziesięć minut później gruby mężczyzna minął samochód, rzucił nań nieznacznie okiem i szedł dalej. Ale jego anteny alarmowe odebrały sygnał - mężczyzna był wyszkolonym profesjonalistą. Znajdował się sto metrów przed samochodem, kiedy zabrzmiał uruchamiany silnik i limuzyna podjechała tuż obok niego. Wsiadł z niej młody, sympatycznie wyglądający mężczyzna o atletycznej budowie i krótko obciętych włosach.

- Pan Moss?

- A kto pyta?

- Mój pracodawca, sir. Pragnie z panem porozmawiać.

- Przypuszczam, że nie wymieni pan jego nazwiska - powiedział gruby.

Jego rozmówca uśmiechnął się.

- Na razie nie, sir. Ale mamy ciepły samochód, prywatny samolot i nie chcemy pana skrzywdzić. Niech pan się nad tym zastanowi, panie Moss. Czy ma pan jakieś inne miejsce, żeby się udać?

Moss myślał. Samochód i mężczyzna wydawali się nie mieć nic wspólnego ani z Agencją (CIA), ani z Biurem (FBI), jego zaprzysięgłymi wrogami, i rzeczywiście, nie miał żadnego innego miejsca, dokąd mógłby pójść. Usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, młody

mężczyzna ulokował się obok niego i limuzyna ruszyła. Nie w kierunku Oklahoma City, ale na północny zachód, w stronę lotniska Wiley Post.

W roku 1966, kiedy miał dwadzieścia pięć lat, Irving Moss pełnił funkcję młodszego oficera (GS12) w CIA. Świeżo ze Stanów znalazł się w Wietnamie, gdzie przydzielono go do prowadzonego przez CIA programu Phoenix. Były to lata, kiedy Siły Specjalne, czyli Zielone Berety, systematycznie wycofywały się ze swych jak dotychczas dosyć udanych i niegłupich przedsięwzięć na obszarze delty Mekongu i przekazywały je w gestię armii południowowietnamskiej, ARVN. Ta ostatnia traktowała instrukcje na temat nakłaniania wieśniaków do zaprzestania współpracy z Vietcongiem ze znacznie mniejszą zręcznością i humanitaryzmem. Ludzie z programu Phoenix mieli utrzymywać stały kontakt z ARVN, a oddziały Zielonych Beretów przestawiały się w coraz większym stopniu na typowe akcje bojowe i często brały jeńców z Vietcongu albo po prostu zwykłych podejrzanych. Ci przesłuchiwani byli przez ARVN pod nadzorem ludzi z programu Phoenix. Wtedy właśnie Moss za jednym zamachem odkrył swoje skryte upodobania i swój prawdziwy talent.

W młodości zdumiewała go i doprowadzała do depresji własna seksualna obojętność, z wciąż żywą goryczą wspominał kpiny, na które był narażony jako nastolatek. Do reszty zgłupiał - lata pięćdziesiąte to okres, kiedy kontakty między nastolatkami były stosunkowo niewinne - gdy stwierdził, że podnieca go, i to natychmiast, dźwięk ludzkiego krzyku. Dla kogoś takiego dyskretna wietnamska dżungla, w której nikt nie zadaje niepotrzebnych pytań, była prawdziwym rajem. Sam jeden, przydzielony do operującego na tyłach wietnamskiego oddziału, objął w nim funkcję głównego śledczego. W przesłuchaniach podejrzanych pomagało mu kilku podobnie usposobionych południowowietnamskich kaprali.

To były dla niego trzy wspaniałe lata. Skończyły się pewnego dnia w roku 1969, kiedy niespodziewanie z lasu wyłonił się młody, wysoki i dumny sierżant Zielonych Beretów. Z lewego ramienia płynęła mu krew, jego dowódcy odesłali go na punkt opatrunkowy. Młody wojownik przyglądał się przez kilka sekund temu, co robi Moss, bez słowa odchylił się i wyprowadził potężny cios prawą, łamiąc mu kość nosową. Lekarze w Da Nang starali się, jak mogli, ale kości przegrody nosowej były tak potrzaskane, że trzeba było lecieć do Japonii. Nawet wówczas, po zabiegu chirurgicznym, zrośnięta kość była szersza i bardziej płaska, a zatoki doznały tylu uszkodzeń, że przy oddychaniu wciąż gwizdał i sapał, szczególnie gdy był podniecony.

Nigdy nie zobaczył tego sierżanta ponownie, nie został też złożony oficjalny raport. Udało mu się zatrzeć za sobą ślady i pozostać w Agencji. Do roku 1983. Wtedy właśnie, po wielu awansach, pojawił się w Hondurasie, w związku z udzielanym przez CIA wsparciem

dla ruchu kontrastów. Kontrolował obozy położone w dżungli, wzdłuż granicy z Nikaraguą. Kontrasi, z których wielu służyło przedtem pod rozkazami obalonego i znieawidzonego dyktatora Somozy, wyprawiali się sporadycznie do kraju, który niegdyś pozostawał pod ich władzą. Któregoś dnia grupa powróciła z trzynastoletnim chłopcem, nie sandinistą, lecz zwyczajnym wiejskim wyrostkiem.

Przesłuchanie odbyło się na polanie w buszu, prawie pół kilometra od obozu kontrastów, ale w nieruchomym tropikalnym powietrzu słychać było wyraźnie krzyki oszalałego z bólu chłopaka. W obozie nikt nie spał. Przed świtem krzyki ucichły. Zataczając się jak pod działaniem narkotyków, Moss wrócił do obozu, rzucił na polowe łóżko i zapadł w głęboki sen. Dwaj dowódcy oddziału nikaraguańskiego po cichu wyszli z obozu, zagłębili się w busz i wrócili po dwudziestu minutach. Chcieli widzieć się z komendantem. Pułkownik Rivas spotkał się z nimi w swoim namiocie, w którym kończył pisać raporty przy świetle syczącej lampy naftowej. Dwaj partyzanci rozmawiali z nim przez kilka minut.

- Nie możemy z nim pracować - podsumował pierwszy. - Rozmawialiśmy z naszymi ludźmi. Oni mówią to samo, panie pułkowniku.

- *Es un malsano* - dodał drugi - *un animal*.

Pułkownik Rivas westchnął. Był kiedyś członkiem somozowskich szwadronów śmierci, zdarzyło mu się wtedy wyciągnąć z łóżka paru malkontentów czy działaczy związkowych. Widział kilka egzekucji, brał w nich nawet udział. Ale dzieci... Sięgnął po radio. Nie chciał doprowadzić do buntu ani masowej dezercji. Zaraz po świcie nad obozem zaterkotał amerykański helikopter wojskowy. Po wylądowaniu wyskoczył z niego krępy, ciemnowłosy mężczyzna. Był nim świeżo mianowany zastępca szefa sekcji latynoamerykańskiej CIA, odbywający właśnie podróż zapoznawczą po podległym sobie obszarze. Rivas towarzyszył Amerykaninowi w spacerze przez busz. Wrócili po kilku minutach.

Irving Moss obudził się, bo ktoś kopnął ramę jego łóżka. Uniósł mętny wzrok i ujrzał przypatrującego mu się mężczyznę w zielonym mundurze polowym.

- Moss, jesteś zwolniony - powiedział tamten.

- A Kim, u diabła, jesteś? - zapytał Moss.

- Jednym z nich - stwierdził mężczyzna szyderczo. - Tak, jednym z nich. A ty możesz się zabierać. Z Hondurasu i z Agencji. - Pokazał Mossowi kartkę papieru.

- To nie przyszło z Langley - zaprotestował Moss.

- Nie - odparł tamten. - Jest podpisana przeze mnie. A ja przybyłem z Langley. Zabieraj się stąd i wskakuj do helikoptera.

Pół godziny później David Weintraub patrzył, jak helikopter unosi się w porannym powietrzu. W Tegucigalpie Moss spotkał się z szefem stacji. Ten potraktował go chłodno i formalnie i osobiście dopilnował jego odlotu do Miami i Waszyngtonu. Moss nigdy już nie wrócił do Langley. Na lotnisku krajowym w Waszyngtonie oddano mu jego papiery i powiedziano, żeby się wynosił. Przez pięć lat pracował dla coraz mniej sympatycznych dyktatorów na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Środkowej, zapotrzebowanie na jego usługi było duże. Potem zajął się przerzutem narkotyków dla generała Noriega w Panamie. To był błąd. Amerykańska Agencja do Spraw Zwalczania Narkotyków umieściła go na swojej liście najbardziej poszukiwanych.

W roku 1988 znalazł się na londyńskim lotnisku Heathrow i tam właśnie stojący na straży brytyjskiego prawa funkcjonariusze ze zwodniczą kurtuazją zapytali go, czy mógłby z nimi zamienić słówko na osobności. "Słówko" dotyczyło pistoletu ukrytego w jego walizie. Normalna przy ekstradycji procedura trwała tym razem rekordowo krótko i po trzech tygodniach wylądował na ziemi amerykańskiej. Na procesie dostał trzy lata. Ponieważ w konflikt z prawem wszedł po raz pierwszy, mógł liczyć, że spędzi je w normalnym więzieniu, o nie zaostrzonym rygorze. Ale w czasie, gdy czekał na ogłoszenie wyroku, dwaj ludzie spotkali się na dyskretnym lunchu w ekskluzywnym Metropolitan Club w Waszyngtonie.

Jednym z nich był krepły mężczyzna o nazwisku Weintraub, niedawno awansowany w CIA na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych. Drugim był Oliver „Buck” Revell, niegdyś wspaniały pilot w szeregach Marines, teraz zastępca dyrektora do Spraw śledczych FBI. W młodości grał w amerykański futbol, nie na tyle długo jednak, aby dostać rozmiękczenia mózgu. W Hoover Building było paru takich, którzy twierdzili, że funkcjonuje on jeszcze całkiem sprawnie. Weintraub zaczekał, aż Revell skończy swój stek i pokazał mu teczkę z dokumentami i kilkoma zdjęciami. Revell zamknął teczkę.

- Rozumiem - powiedział krótko.

Z nie wyjaśnionych powodów Moss odsiedział wyrok w El Reno, którego lokatorami byli poza nim najbardziej zdeprawowani mordercy, gwałciciele i szantażyści aktualnie pozostający pod kluczem w Ameryce. Kiedy wyszedł, wypełniała go patologiczna nienawiść do Agencji, do Biura, do Brytyjczyków... A był to dopiero początek listy.

Limuzyna odprowadzona kiwnięciem głowy przejechała przez bramę prowadzącą na pas startowy lotniska Wiley Post i skierowała się ku oczekującemu Learjetowi. Oprócz numerów rejestracyjnych, które Moss natychmiast zapamiętał, maszyna nie była w żaden sposób oznakowana. Po pięciu minutach byli w powietrzu, po czym samolot zatoczył długi łuk z

zachodu na południe. Przybliżony kierunek Moss mógł poznać po wschodzącym słońcu. Wiedział, że lecą w stronę Teksasu.

Zaraz za Austin zaczyna się kraina nazywana przez Teksaszczyków Hill Country. Tutaj właśnie właściciel towarzystwa Pan-Global miał swoją wiejską posiadłość położoną wśród wzgórz na przestrzeni 20 tysięcy akrów. Okna rezydencji były zwrócone na południowy wschód. Rozciągał się z nich szeroki widok na wielką równinę teksańską sięgającą daleko aż do Galveston i Zatoki Meksykańskiej. Oprócz licznych zabudowań dla służby, bungalowów dla gości, basenu i strzelnicy, posiadłość dysponowała własnym pasem startowym i na nim właśnie krótko przed południem wylądował Learjet.

Mossa skierowano do jednego z bungalowów i dano pół godziny na umycie, ogolenie i zmianę ubrania. Następnie zaprowadzono go do rezydencji, do chłodnego, obitego skórą pokoju. Po dwóch minutach stanął przed nim wysoki starszy mężczyzna o siwych włosach.

- Pan Moss? - zapytał. - Pan Irving Moss?

- Tak, sir - powiedział Moss. Poczul zapach pieniędzy, dużych pieniędzy.

- Nazywam się Miller - powiedział mężczyzna. - Cyrus V. Miller.

KWIECIEŃ

Spotkanie zwołano w Sali Posiedzeń Gabinetu mieszczącej się za biurem prywatnego sekretarza patrząc od strony Owального Gabinetu. Prezydenta Cormacka, jak wielu innych, zdumiały szczupłe rozmiary Owального Gabinetu, kiedy zobaczył go po raz pierwszy. W Sali Posiedzeń, gdzie pod portretem George'a Washingtona pędzla Stuarta stał wielki stół na osiem osób, było o wiele więcej miejsca. Można tam było swobodnie porozkładać papiery i nie trącać się ciągle łokciami.

Tego ranka John Cormack zaprosił członków swego wewnętrznego gabinetu: bliskich, zaufanych przyjaciół oraz doradców, aby wspólnie z nimi rozpatrzyć ostateczną wersję Traktatu z Nantucket. Szczegóły zostały opracowane, procedury weryfikacyjne sprawdzone, eksperci z niechęcią wyrazili zgodę - albo nie, jak stało się w wypadku dwóch generałów i trzech sztabowców z Pentagonu, którzy woleli złożyć rezygnację - Cormack pragnął jednak usłyszeć ostatnie uwagi od najściślejzego kręgu swoich współpracowników.

W wieku sześćdziesięciu lat znajdował się u szczytu swoich zdolności intelektualnych i politycznych, bez skrzępowania ciesząc się popularnością i autorytetem stanowiska, którego nigdy nie spodziewał się pełnić. Kiedy latem roku 1988 Partia Republikańska stanęła przed widmem kryzysu, partyjna starszyzna poczęła gorączkowo rozglądać się za kimś, kto wkroczyłby na scenę i wystartował do prezydenckiego wyścigu. Jej zbiorowe oko spoczęło wtedy na kongresmanie z Connecticut, potomku bogatej, patrycjuszowskiej rodziny z Nowej

Anglii, który odziedziczone bogactwa oddał na rzecz kilku fundacji, a sam obrał karierę profesora na uniwersytecie w Cornell, żeby następnie w wieku lat trzydziestu kilku zająć się polityką w rodzinnym stanie.

Reprezentant liberalnego skrzydła republikanów, John Cormack. był w kraju osobą prawie zupełnie nieznaną. Bliscy współpracownicy znali go jako człowieka zdecydowanego, humanitarnego i uczciwego, zapewnili też partyjny aeropag, że jest czysty jak łąza. Nie występował dotychczas w telewizji - a osobowość telewizyjna jest teraz czymś, bez czego nie sposób sobie wyobrazić kandydata - niemniej jednak ostatecznie zdecydowano się na niego. Według środków masowego przekazu nie miał żadnych szans, i wtedy, w ciągu czterech miesięcy kampanii, w czasie której przemierzył cały kraj, nieznanymi kongresman z niemożliwego uczynił możliwe. Wbrew utartym zwyczajom patrzył wprost w oko telewizyjnej kamery i dawał prostą odpowiedź na każde dowolne pytanie. Miało go to doprowadzić do katastrofy. Obraziło się kilka osób, głównie na prawicy, ale one i tak nie miały na kogo innego oddać swoich głosów. Spodobał się o wiele większej liczbie wyborców. Protestant noszący nazwisko wywodzące się z Ulsteru, zanim zgodził się kandydować, postawił warunek, że sam wybierze sobie wiceprezydenta. Wybrał katolika z Teksasu Michaela Odella, zatwardziałego irlandzkiego Amerykanina.

Byli do siebie całkiem niepodobni. Odell usytuowany był o wiele bardziej na prawo niż Cormack i pełnił już stanowisko gubernatora swojego stanu. Cormack polubił go po prostu i zaufał wiecznie żującym gumę człowiekowi z Waco. W jakiś sposób układ okazał się skuteczny; wyborcy, z nielicznymi wyjątkami, opowiedzieli się za kandydatem, którego prasa (niesłusznie) porównywała ciągle z Woodrowem Wilsonem, ostatnim amerykańskim prezydentem - profesorem, i za jego towarzyszem broni, który bez ogródek oświadczył kiedyś Danowi Ratherowi: „Nie zawsze zgadzam się z moim przyjacielem Johnem Cormackiem, ale, do wszystkich diabłów, żyjemy w Ameryce i wypruję flaki z każdego, kto uważa, że pozbawiony jest tutaj prawa mówienia tego, co myśli”.

Układ działał. Kombinacja, złożona z obdarzonego potężną siłą przekonywania, wyprostowanego jak struna mieszkańca Nowej Anglii oraz udającego populistę południowca uzyskała poparcie kluczowej części elektoratu: Murzynów, Chicanos i Irlandczyków, i odniosła zwycięstwo. Od momentu objęcia stanowiska, Cormack z rozmysłem włączał Odella w proces podejmowania decyzji na najwyższym szczeblu. Teraz siedzieli naprzeciwko siebie, aby przedyskutować traktat, który, o czym Cormack wiedział, budził głęboką niechęć Odella. Prezydenta otaczali czterej jego bliscy współpracownicy: sekretarz stanu Jim Donaldson,

prokurator generalny Bill Waters, Hubert Reed z Ministerstwa Skarbu i Morton Stannard z Obrony.

Po stronie Odella siedzieli: Brad Johnson, genialny Murzyn z Missouri, który prowadził kiedyś wykłady z problematyki obronności na Cornell University, a teraz pełnił funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, oraz Lee Alexander, dyrektor CIA, który zastąpił na tym miejscu sędziego Billa Webstera w parę miesięcy po objęciu przez Cormacka prezydentury. Był obecny, na wypadek gdyby Rosjanie zamierzali naruszyć warunki traktatu. Ameryka musiałaby wtedy potrzebować błyskawicznych informacji uzyskanych za pośrednictwem satelitów i organizacji wywiadowczych z całą ich siecią agentów i informatorów.

Z ośmiu mężczyzn studiujących ostateczne warunki traktatu, żaden nie miał wątpliwości, że jest to najbardziej kontrowersyjne porozumienie, jakie Stany Zjednoczone zawarły w swojej historii. Na prawicy i w kołach związanych z przemysłem zbrojeniowym już teraz budziło ono gorące sprzeciwy. Jeszcze w roku 1988, za Reagana, Pentagon zgodził się obciąć 33 miliardy dolarów z planowanej sumy wydatków na obronę, aby wynosiła ona łącznie 299 miliardów. W latach 1990-1994 siły zbrojne miały zmniejszyć planowane wydatki odpowiednio o 37,1, 41,3, 45,3 i 50,7 miliardów dolarów rocznie. Ale cięcia te ograniczyłyby jedynie wzrost wydatków do 2 procent rocznie. Tymczasem traktat z Nantucket przewidywał znaczny spadek wydatków na obronę. Już ograniczenie wzrostu wywołało problemy. Nantucket miało wywołać katastrofę.

Zasadnicza różnica polegała na tym, jak wielokrotnie podkreślał Cormack, że poprzednim ograniczeniom wzrostu nie towarzyszyły żadne cięcia w Związku Radzieckim. W Nantucket Moskwa zgodziła się zmniejszyć swoje własne siły zbrojne w nie spotykanym dotychczas stopniu. Co więcej, Cormack wiedział, że oba mocarstwa nie mają wielkiego wyboru. Od chwili, gdy doszedł do władzy, razem z Reedem zmagał się z rosnącym w astronomicznym tempie deficytem handlowym i budżetowym. Wymykały się one spod kontroli grożąc zachwianiem pomyślnego rozwoju nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego zachodniego świata. Opierał się na analizach swoich własnych ekspertów, które mówiły, że Związek Radziecki, choć z innych przyczyn, znajduje się w takiej samej sytuacji. Bez osłonek powiedział to Michaiłowi Gorbaczowowi: „Mnie potrzebne są cięcia budżetowe, tobie pieniądze, które mógłbyś zabrać wojskowym i przeznaczyć na inne cele”. Rosjanie zajęli się pozostałymi krajami Paktu Warszawskiego. Cormack przezwyciężył opory w NATO, najpierw Niemców, potem Włochów i pomniejszych członków paktu, na koniec Brytyjczyków. Warunki traktatu, z grubsza rzecz biorąc, brzmiały następująco:

Wojska lądowe. Związek Radziecki zgodził się na zmniejszenie o połowę swych wojsk stacjonujących w Niemczech Wschodnich, liczących obecnie dwadzieścia jeden dywizji bojowych wszystkich rodzajów i potencjalnie stanowiących siłę zdolną dokonać inwazji na zachód wzdłuż Wielkiej Niziny Niemieckiej. Dywizje nie zostaną rozwiązane, lecz przesunięte za granicę radziecko-polską i nie wrócą więcej na zachód. Są to wszystko dywizje kategorii pierwszej. Ponadto Związek Radziecki zredukuje siłę liczebną swojej całej armii o 40 procent.

- Jakież uwagi? - zapytał prezydent.

Głowę uniósł Stannard z Pentagonu, człowiek, który z przyczyn naturalnych miał najwięcej zastrzeżeń do traktatu - prasa bez powodzenia spekulowała już na temat jego rezygnacji.

- Dla Rosjan jest to jądro traktatu, bo dla nich wojska lądowe są najważniejsze - powiedział, cytując dosłownie, choć się do tego nie przyznawał, opinię przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. - Dla przeciętnego człowieka z ulicy wygląda to fantastycznie; zachodni Niemcy już tak uważają. Ale nie jest to tak wspaniałe, jak wygląda.

- Z jednej strony, Rosjanie nie są w stanie utrzymać stanu liczebnego 177 dywizji liniowych bez pełnego zaangażowania w tym celu południowych grup etnicznych - mam na myśli muzułmanów - a wiemy, że marzą o tym, żeby rozwiązać znaczną część składających się z nich dywizji. Z drugiej strony, to co naprawdę spędza sen z oczu naszym planistom, to nie jest chaotyczna i niezorganizowana armia radziecka, lecz armia o połowę od niej mniejsza, za to działająca profesjonalnie. Mała zawodowa armia jest o wiele bardziej użyteczna od wielkiej, ale nieskutecznej, a taką właśnie teraz dysponują.

- Ale jeżeli wycofają się na swoje własne terytorium - zaproponował Johnson - nie zdołają zaatakować Niemiec Zachodnich. Lee, gdyby chcieli z powrotem przerzucić wojska przez Polskę do Niemczech Wschodnich, czy moglibyśmy tego nie zauważyć?

- W żadnym wypadku - stwierdził autorytatywnie szef CIA. - Nawet jeśli uda się oszukać satelity za pomocą zamaskowanych ciężarówek i pociągów, uważam, że my i Brytyjczycy mamy w Polsce wystarczającą liczbę informatorów, żeby nie uszło to ich uwagi. Do diabła, również wschodni Niemcy wcale nie mają ochoty na to, by ich kraj znalazł się w środku działań wojennych. Przypuszczalnie sami nam powiedzą.

- Okay, co za to oddajemy? - zapytał Odell.

- Kilka oddziałów, wcale nie tak dużo - odparł Johnson. - Sowieci wycofują dziesięć dywizji, każda po 15.000 żołnierzy. Nasz personel w Europie Zachodniej liczy 326.000 osób. Zmniejszymy go do poziomu poniżej 300.000, pierwszy raz od roku 1945. Jeśli porówna się

ich 150.000 z naszymi 25.000, to jest to całkiem niezłe osiągnięcie; ich sześciu wycofanych przypada na naszego jednego. A liczyliśmy na stosunek cztery do jednego.

- Tak - zaproponował Stannard - ale zgodziliśmy się również nie tworzyć dwóch naszych nowych dywizji, jednej pancernej i jednej zmechanizowanej.

- Jakie są oszczędności, Hubert? - zapytał miękko prezydent. Zamierzał pozwolić innym mówić, uważnie ich wysłuchać, poczynić kilka krótkich i jak zwykle trafiających w sedno uwag, a następnie powziąć decyzję. Minister skarbu popierał traktat. Pozwoli mu o wiele łatwiej zrównoważyć jego rachunki.

- Trzy i pół miliarda dywizja pancerna, trzy przecinek cztery dywizja zmechanizowana - powiedział - ale są to tylko koszty początkowe. Potem oszczędzamy trzysta milionów rocznie, które trzeba by wydać na ich utrzymanie. Następnie, dzięki wstrzymaniu programu DESPOTA, oszczędzamy kolejne siedemnaście miliardów dolarów. Tyle kosztowałoby trzysta zespołów bojowych tego systemu.

- Ale DESPOTA jest najlepszym na świecie systemem do zwalczania czołgów - zaprotestował Stannard. - Jest nam potrzebny, do diabła.

- Żeby zniszczyć czołgi, które wycofały się właśnie do Brześcia Litewskiego? - spytał Johnson. - Jeżeli ograniczą do połowy liczbę czołgów stacjonujących w Niemczech Wschodnich, poradzimy sobie z nimi używając sprzętu, którym dysponujemy, myśliwców A-10 i naziemnych stanowisk antyczołgowych. Co więcej, za pewną część zaoszczędzonych pieniędzy możemy rozbudować bardziej statyczną sieć obrony. Traktat na to pozwala.

- Europejczykom się to podoba - stwierdził sekretarz stanu Donaldson. - Nie muszą redukować liczebności swoich wojsk, a jednak dziesięć albo jedenaście radzieckich dywizji znika im po prostu z oczu. Wydaje mi się, że na lądzie jesteśmy górą.

- Przyjrzyjmy się, jak przebiega bitwa na morzu - zaproponował Cormack.

Związek Radziecki zgodził się zniszczyć pod nadzorem połowę swojej floty podwodnej; wszystkie łodzie o napędzie nuklearnym klasy Hotel, Echo i November oraz wszystkie napędzane ropą i elektrycznością klasy Juliet, Foxtrot, Whiskey, Romeo i Zulu. Ale, jak szybko zauważył Stannard, ich stare łodzie nuklearne dysponowały technologią, która dawno wyszła z użycia i nie była bezpieczna, z reaktorów nieustannie następowały przecieki neutronów i promieni gamma. Inne łodzie przeznaczone do rozbiórki były także starej konstrukcji. Po ich wycofaniu Rosjanie będą mogli skoncentrować środki i najlepsze siły ludzkie na łodziach klasy Sierra, Mike i Akula, o wiele skuteczniejszych z technicznego punktu widzenia i dlatego bardziej niebezpiecznych.

Mimo to przyznawał, że 158 łodzi podwodnych to nielecha kupa złomu i że cele, na które nakierowany jest amerykański system zwalczania łodzi podwodnych, zostaną w drastyczny sposób zredukowane, czyniąc wysyłanie konwojów do Europy zadaniem o wiele prostszym, na wypadek gdyby kiedykolwiek doszło jednak do konfliktu.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że łodzie przeznaczone do zniszczenia służyły do zwalczania celów morskich. O łodziach zaopatrzonych w rakiety nie wspominało się w traktacie częściowo dlatego, że broń nuklearna wchodziła w zakres Traktatu o Ograniczeniu Strategicznych Sił Nuklearnych z roku 1989, który nastąpił po Traktacie INF z 1988, a częściowo, ponieważ rosyjskie łodzie, w żargonie Departamentu Marynarki Wojennej, nie są „poważne”. Radziecka broń nuklearna rozmieszczona jest głównie na lądzie, a to z bardzo rosyjskiego powodu. Wielka Brytania i Ameryka pozwalają swoim kapitanom łodzi podwodnych na pływanie całymi miesiącami bez zgłaszania się i określania pozycji. Kapitanom się ufa. Inaczej w Moskwie, mimo że na pokładzie każdej łodzi znajduje się oficer polityczny, otoczony powszechną antypatią „politruk”. Dlatego co dwadzieścia cztery godziny każda rosyjska łódź podwodna musi wystawić antenę i zawołać: „Tu jesteśmy, matko ojczyzno”, co z wdzięcznością odnotowują Amerykanie, ustalając w ten sposób jej pozycję.

Na koniec, Moskwa zgodziła się pociąć na żyłki pierwszy z czterech lotniskowców klasy Kijów i nie budować dalszych - niewielkie ustępstwo, jeśli się zważy, że zbyt kosztowne okazało się zapewnienie im wspomaganie.

Najbardziej kosztowną pozycję w każdym budżecie wojskowym obejmującym broń konwencjonalną stanowią lotniskowce. Sam lotniskowiec wart jest 4 miliardy dolarów, każdy z osiemdziesięciu samolotów 30 milionów plus 40 milionów na uzbrojenie. Do tego dochodzi eskorta składająca się z niszczycieli wyposażonych w broń raketową, fregat i helikopterów do zwalczania łodzi podwodnych. Następnie własne bojowe łodzie podwodne i krążące cały czas w powietrzu samoloty zwiadowcze typu Orion P-3, których zadaniem jest wykrywanie broni podwodnej. Traktat Nantucket ustalał, że Stany Zjednoczone zatrzymują świeżo zwodowane lotniskowce *Abraham Lincoln* i *George Washington*, pozbywając się *Midway* i *Coral Sea* oraz następnych, jeśli idzie o wiek, *Forrestal* i *Saratoga*, razem z należącymi do nich dywizjonami lotniczymi. Przywrócenie dywizjonów do sprawności bojowej po ich obecnym rozwiązaniu zajęłoby trzy do czterech lat.

- Ruscy powiedzą, że ograniczyli o 18 procent naszą zdolność do zadania ciosu ich ojczyźnie - narzekał Stannard - a wszystko, co dostaliśmy w zamian, to te sto pięćdziesiąt osiem łodzi, które i tak długo nie pozostałyby na stanie.

Ale gabinet, widząc oszczędności rzędu 20 miliardów rocznie, na które składały się w połowie koszty personelu i w połowie koszty wyposażenia, zaaprobował część morską traktatu, przy sprzeciwie Odella i Stannarda. Decydująca batalia miała rozegrać się w powietrzu. Cormack wiedział, że dla Gorbaczowa tam kryje się klucz do traktatu. Porównując ustępstwa, Ameryka wygrywała na lądzie i na wodzie, ponieważ i tak nie miała zamiaru dokonać agresji; chciała tylko uzyskać pewność, że nie będzie tego w stanie uczynić Związek Radziecki. W odróżnieniu od Stannarda i Odella, Cormack i Donaldson zdawali sobie sprawę z tego, że wielu obywateli radzieckich było szczerze przekonanych, iż pewnego dnia Zachód zaatakuje ich ojczyznę. To samo odnosiło się do ich przywódców.

Traktat przewidywał zaprzestanie prac nad myśliwcem TFX, czyli F-18, oraz wycofanie się ze wspólnego europejskiego projektu Multi-Role Combat Fighter, który miał wejść na wyposażenie lotnictwa Włoch, Niemiec Zachodnich, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Moskwa miała wstrzymać dalsze prace nad Migiem 31. Na złom pójść miał także Blackjack, czyli opracowana w zakładach Tupolewa wersja amerykańskiego bombowca B-1 oraz 50 procent powietrznych tankowców, znacznie redukując w ten sposób groźbę strategicznego ataku powietrznego na Zachód.

- Skąd będziemy wiedzieli, czy nie konstruuja Backfire'a w jakimś innym miejscu? - zapytał Odell.

- W zakładach Tupolewa będą przebywać nasi oficjalni inspektorzy - zaznaczył Cormack. - Zbudowanie nowej fabryki Tupolewa w szczerym polu wcale nie jest takie łatwe. Prawda, Lee?

- Tak jest, panie prezydencie - odpowiedział dyrektor CIA. Przerwał. - Poza tym, mamy wtyczki w kierownictwie zakładów Tupolewa.

- O! - Donaldson był poruszony. - Jako dyplomata nie chcę nic o tym wiedzieć.

Na twarzach pojawiły się uśmieški. Donaldson znany był ze swojej pruderii.

Prezydent Cormack był tradycjonalistą, jeśli chodzi o zwracanie się do ludzi. Nie znosił mówienia sobie po imieniu po trwającej ledwie dziesięć sekund znajomości. Po imieniu zwracał się do swoich najbliższych współpracowników, żaden z nich jednak nie ośmieliłby się odezwać do niego inaczej jak "panie prezydencie". Na gruncie prywatnym tylko Odell, Reed, Donaldson i Walters mówili do niego John. Znali się bardzo długo.

Najbardziej bolesne dla Ameryki w części traktatu dotyczącej sił powietrznych było to, że miała wycofać się z projektu "niewidzialnego" bombowca B-2, maszyny o rewolucyjnym znaczeniu, ponieważ została skonstruowana w ten sposób, że nie był jej w stanie wykryć żaden radar. Mogła dostarczyć swój nuklearny ładunek, gdzie i kiedy tylko

chciała, co bardzo niepokoiło Rosjan. Dla Michaiła Gorbaczowa to jedno ustępstwo ze strony Stanów wystarczyłoby, żeby dokonać ratyfikacji traktatu. Uchroniłoby go to od konieczności wydania minimum 300 miliardów rubli na gruntowną przebudowę wojsk ochrony powietrznej kraju, których zadaniem było wykrycie każdego ataku zagrażającego ojczyźnie. To były pieniądze, które chciał przeznaczyć na nowe fabryki, technologię i wydobywanie ropy.

Projekt "niewidzialnego" bombowca miał kosztować Amerykę 40 miliardów dolarów i zaniechanie go przynosiło duże oszczędności, wiązało się jednak z koniecznością zwolnienia 50.000 pracowników przemysłu obronnego i z potrzebą przeznaczenia dużych środków na stworzenie miejsc pracy w nowych "wzschodzących" przemysłach, aby złagodzić w ten sposób szkody społeczne.

- A może powinniśmy po prostu zostawić wszystko tak jak jest i doprowadzić drani do bankructwa? - zasugerował Odell.

- Michael - powiedział ze spokojem Cormack - w takim wypadku będą musieli przystąpić do wojny.

Po dwunastu godzinach gabinet zaaprobował tekst. Rozpoczął się żmudny proces przekonywania Kongresu, kół przemysłowych i finansowych, środków przekazu i narodu, że jest to traktat słuszny i właściwy. Taka jest demokracja. Z budżetu obrony odjęto sto miliardów dolarów.

MAJ

W połowie maja pięciu mężczyzn, którzy w styczniu ubiegłego roku jedli obiad w Remington Hotel, utworzyło, za sugestią Millera, Grupę Alamo, na pamiątkę tych, którzy w 1836 walczyli pod Alamo o niepodległość Teksasu z meksykańskimi wojskami generała Santa Anna. Projekt obalenia saudyjskiego domu panującego nazwany został Planem Bowie'ego. Uczczono w ten sposób pamięć nożownika Jima Bowie'ego, który padł pod Alamo. Akcję mającą na celu podważenie pozycji prezydenta Cormacka poprzez szeptaną kampanię propagandową prowadzoną za pieniądze grupy w kołach przemysłowych, środkach przekazu i w Kongresie opatrzone kryptonimem Plan Crocketta. Davy Crockett, pionier i pogromca Indian, również zginął pod Alamo. Obecnie spotkali się, aby zapoznać się z raportem Irvinga Mossa na temat posunięć, które ugodziłyby prezydenta do tego stopnia, by zgodził się cofnąć swoje decyzje i odejść ze stanowiska. Był to Plan Trávisa, nazwany tak na cześć człowieka, który dowodził Teksasńczykami.

- Są tu fragmenty, przy czytaniu których dostają gęsiej skórki - powiedział Moir stukając palcem w swoją kopię raportu.

- Ja też - stwierdził Salkind. - Ostatnie cztery strony. Czy musimy posuwać się tak daleko?

- Panowie! Przyjaciele! - zahuczał Miller. - Rozumiem w pełni waszą troskę, nawet waszą niechęć. Proszę tylko, żebyście uświadomili sobie, o jaką stawkę toczy się gra: nie tylko my, ale cała Ameryka znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Znacnie propozycje, które wysunął ten judasz zasiadający w Białym Domu, a które mają na celu pozbawienie naszego kraju środków obrony i zjednanie sobie antychrysta w Moskwie. Ten człowiek musi odejść, zanim zniszczy nasz ukochany kraj, a wszystkich nas doprowadzi do ruiny. Zwłaszcza was, którzy stoicie teraz przed widmem bankructwa. Obecny tu pan Moss zapewnił mnie, że nigdy nie dojdzie do zastosowania środków, o których mowa jest na ostatnich kilku stronach. Cormack odejdzie, zanim staną się one konieczne.

Irving Moss ubrany w biały garnitur siedział milcząc u szczytu stołu. Jego plan zawierał rzeczy, które nie znalazły się w raporcie, o których mógł napomknąć tylko prywatnie Millerowi. Oddychał przez usta, aby uniknąć niskiego gwizdu, który dobywał się z nosa. Nagle Miller zaskoczył wszystkich.

- Przyjaciele, poprośmy o radę Tego, który rozumie wszystkie ludzkie sprawy. Pomódlmy się razem.

Ben Salkind rzucił szybkie spojrzenie na Lionela Cobba, który uniósł tylko brwi Cyrus Miller położył obie dłonie płasko na stole, zamknął oczy i zwrócił twarz ku sufitowi. Nie był człowiekiem nawykłym do zginania karku, nawet kiedy zwracał się do Wszechmocnego. Byli przecież, mimo wszystko, starymi znajomymi.

- Panie - zaintonował magnat naftowy. - Usłysz nas, modlimy się do Ciebie, usłysz nas, prawdziwych i wiernych synów tej wspaniałej ziemi, którą Ty stworzyłeś i którą Ty raczyłeś dać nam we władanie. Poprowadź nasze ręce, pokrzep serca, natchnij nas odwagą, abyśmy wypełnili zadanie, które stoi przed nami i któremu, jesteśmy tego pewni, udzielasz swego błogosławieństwa. Pomóż nam ocalić Twoją ziemię wybraną i wybrany przez Ciebie naród...

Przemawiał w tym stylu przez kilka minut, potem milczał trochę dłużej. Kiedy opuścił głowę i spojrzał na pięciu swoich towarzyszy, w jego oczach płonęła wiara. Taka wiara spływa na ludzi, którzy nie mają nigdy żadnych wątpliwości.

- Panowie, On przemówił. Łączy się z nami we wszystkich naszych wysiłkach. Musimy iść naprzód, nie cofać się, w imię naszego kraju i naszego Boga.

Pozostałych pięciu nie miało wielkiego wyboru. Skinęli głowami na znak zgody. Godzinę później Irving Moss miał prywatną rozmowę z Millerem w jego gabinecie. Były

dwie rzeczy, postawił to jasno, kluczowe dla całej akcji, których on, Moss, nie mógł zorganizować. Jedną był produkt wysoko zaawansowanej radzieckiej technologii, drugą - wtyczka umiejscowiona w ciałach doradczych w samym środku Białego Domu. Wyjaśnił dlaczego. Miller w zamyśleniu kiwał głową.

- Postaram się o jedno i drugie - powiedział. - Masz swój budżet i zaliczkę na poczet honorarium. Postępuj zgodnie z planem bez żadnej zwłoki.

CZERWIEC

Pułkownik Easterhouse został przyjęty przez Millera w pierwszym tygodniu czerwca. Miał do załatwienia jakieś sprawy w Arabii Saudyjskiej, ale wezwanie było kategoryczne, wobec czego przyleciał z Dżuddy via Londyn do Nowego Jorku i zaraz przesiadł się na samolot do Dallas. Czekał tam na niego samochód, który zawiózł go na prywatne lotnisko W. P. Hobby'ego na południowo-wschodnim krańcu miasta, skąd Learjet zabrał go prosto na ranczo. Widział je po raz pierwszy. Jego raport był optymistyczny i został dobrze przyjęty.

Mógł stwierdzić, że jego pośrednik z Policji Religijnej z entuzjazmem zareagował na wzmiankę o możliwości zmiany rządu w Rijadzie. Powiadomiony przez Easterhouse'a o tajnym miejscu pobytu zbiegłego imama szyickich fundamentalistów, skontaktował się z nim. Fakt, że imam nie został zdradzony, świadczył o tym, że człowiekowi z Policji można było ufać.

Imam wysłuchał propozycji - nie wymienione zostały żadne nazwiska, ponieważ z pewnością nie zgodziłby się na to, by niewierny w rodzaju Easterhouse'a stał się narzędziem w ręku Allacha - i według raportu odniósł się do niej z równym entuzjazmem. - Problem w tym, panie Miller, że fanatycy Hezb'Allah, Partii Boga, jak na razie nie starali się sięgnąć po władzę w Arabii Saudyjskiej, próbując najpierw pokonać i opanować Irak, co im się nie udało. Przyczyną ich powściągliwości jest obawa, że próba obalenia panującego domu saudyjskiego wywołała ostrą reakcję ze strony do tej pory niezdecydowanych Stanów Zjednoczonych. Zawsze uważali, że Arabia Saudyjska i tak dostanie im się w odpowiednim momencie. Imam zdaje się skłaniać ku zdaniu, że przyszła wiosna - obchody 60-lecia królestwa wyznaczono nieodwołalnie na kwiecień - będzie właśnie tym odpowiednim momentem, w którym objawi się wola Allacha.

Podczas obchodów do Rijadu przybędą, aby złożyć hołd domowi panującemu, liczne delegacje wszystkich trzydziestu siedmiu głównych klanów zamieszkujących kraj. Wśród nich będą klany z regionu Hasa, do których należy wielu robotników pracujących na polach naftowych, w większości członków sekty szyickiej. W tłumie ukrytych będzie dwustu wybranych przez imama zabójców, nie uzbrojonych aż do momentu, gdy rozdzielone zostaną

wśród nich lekkie karabiny maszynowe i naboje dostarczone nielegalnie przez jeden z tankowców Scanlona.

Easterhouse mógł na koniec zameldować, że pewien wyższy oficer egipski - egipski Zespół Doradców Wojskowych odgrywał kluczową rolę, jeśli chodzi o wyposażenie techniczne armii saudyjskiej - zapewnił, że zadba o to, by Gwardii Królewskiej została wydana wadliwa amunicja, wskutek czego nie będzie ona w stanie w krytycznym momencie bronić swoich panów. Warunkiem było zapewnienie dostępu do saudyjskiej ropy jego krajowi, borykającemu się z wysokim przyrostem naturalnym i brakiem kapitału. Miller w zamyśleniu kiwał głową.

- Spisał się pan dobrze, pułkowniku - powiedział i zmienił temat. - Proszę mi powiedzieć, jaka będzie reakcja radziecka na amerykański udział w przewrocie w Arabii Saudyjskiej?

- Najwyższe wzburzenie, tak sędzę - powiedział pułkownik.

- Wystarczające, aby położyć koniec Traktatowi Nantucket, którego pełną wersję właśnie poznaliśmy? - zapytał Miller.

- Tak uważam - powiedział Easterhouse.

- Jaka grupa wewnątrz Związku Radzieckiego ma najwięcej powodów, aby odnosić się do traktatu z dużą niechęcią i pragnie, by nie doszedł on do skutku?

- Sztab Generalny - odpowiedział bez wahania pułkownik. - Jego znaczenie w Związku Radzieckim zbliżone jest do tego, jakie u nas mają potraktowane łącznie Kolegium Szefów Sztabów i lobby zbrojeniowe. Traktat ograniczy jego władzę, jego prestiż, jego budżet i liczebność wojsk o 40 procent. Nie wyobrażam sobie, aby odnosili się do niego przychylnie.

- Dziwni sojusznicy - zamyślił się Miller. - Czy jest jakiś sposób, żeby się z nimi skontaktować?

- Mam... pewne znajomości - stwierdził ostrożnie Easterhouse.

- Chcę, żeby pan je wykorzystał - powiedział Miller. - Proszę powiedzieć tylko tyle, że pewne grupy interesu w USA odnoszą się do Traktatu Nantucket z podobnie małą przychylnością jak oni, że sądzą, iż w Ameryce uda się go zastopować i pragną tę sprawę wspólnie omówić.

Królestwo Jordanii nie jest krajem szczególnie proradzieckim, ale król Husajn wykonał już niejedną wolnę, aby pozostać na swym tronie w Ammanie i w swoim czasie zakupił nieco radzieckiej broni, mimo że jego haszymidzki Legion Arabski wykwapowany jest głównie w broń zachodnią. W Ammanie stacjonuje trzydziestoosobowa grupa radzieckich

doradców wojskowych, na której czele stoi attache wojskowy ambasady rosyjskiej. Easterhouse spotkał się z nim kiedyś, gdy na zlecenie swych saudyjskich chlebodawców uczestniczył w testowaniu w warunkach pustynnych radzieckiego ciężkiego uzbrojenia na wschód od Akaby. W drodze powrotnej Easterhouse zahaczył o Amman.

Attache wojskowy, pułkownik Kutuzow, pracujący, o czym Easterhouse był przekonany, dla GRU, radzieckiego wywiadu wojskowego, nadal sprawował swoją funkcję. Spotkali się nieoficjalnie na obiedzie. Amerykanin zdumiony był szybkością reakcji. Dwa tygodnie później skontaktowano się z nim w Rijadzie i oznajmiono, że pewni panowie byliby radzi spotkać się z jego przyjaciółmi w okolicznościach zapewniających maksymalną dyskrecję. Otrzymał grubą paczkę, w której zawarte były instrukcje podrózne. Przywiózł ją do Houston nie otwierając.

LIPIEC

Ze wszystkich krajów komunistycznych Jugosławia jest najbardziej liberalna, jeśli idzie o turystykę. Wizy wjazdowe można tu otrzymać, po krótkich formalnościach, bezpośrednio po przylocie na belgradzkie lotnisko. W połowie lipca tego samego dnia, jednak różnymi lotami i z różnych kierunków, przyleciało do Belgradu pięciu mężczyzn. Przylecieli rejsowymi liniami z Paryża, Rzymu, Wiednia, Londynu i Frankfurtu. Żaden z nich, będąc posiadaczem amerykańskiego paszportu, nie potrzebował wizek, aby znaleźć się w którymkolwiek z tych miast. Wszyscy złożyli podanie o tygodniową wizę, jako cel podróży deklarując niewinną turystykę. Pierwszy przybył rano, dwóch następnych w porze lunchu, kolejni dwaj po południu. W rozmowie z urzędnikami wizowymi wszyscy wyjaśnili, że przybyli, aby zapolować na dziki i jelenie na słynnych terenach łowieckich w Karadjordjewe. Jest to ciesząca się powodzeniem u bogatych gości z Zachodu dawna forteca na Dunaju, obecnie służąca jako punkt wypadowy dla myśliwych. Kiedyś gościł tu amerykański wiceprezydent George Bush. W drodze do Karadjordjeva każdy z przybyłych, jak poinformował przy odbiorze wizek, miał zamiar spędzić noc w superluksusowym hotelu Petrovaradin w Nowym Sadzie, 80 kilometrów na północny zachód od Belgradu, i każdy dojechał do hotelu taksówką.

Urzędnicy wizowi zmieniają się w porze lunchu, w związku z czym tylko jeden z przybyłych wpadł w oko funkcjonariuszowi o nazwisku Pavlic, który, tak się zdarzyło, był ukrytym informatorem na liście płac radzieckiego KGB. Dwie godziny po zakończeniu przez Pavlica swojej zmiany sporządzony przez niego rutynowy raport dotarł na biurko radzieckiego rezydenta w jego gabinecie mieszczącym się w ambasadzie, w centrum Belgradu.

Paweł Kerkorian nie był w najlepszej formie. Nie spał wiele poprzedniej nocy i to bynajmniej nie w związku z ciężącymi na nim obowiązkami. Po prostu jego żona była gruba i wiecznie narzekała, a on nie mógł się oprzeć jasnowłosym bośniackim dziewczynom. Następnie miał za sobą ciężki lunch, tym razem absolutnie w ramach obowiązków, z ostro pijącym członkiem jugosłowiańskiego Komitetu Centralnego, którego miał nadzieję nakłonić do współpracy. Mało brakowało, a odłożyłby raport Pavlica na bok. Amerykanie walili w tych dniach do Jugosławii drzwiami i oknami - niemożliwością było sprawdzenie ich wszystkich. Ale coś charakterystycznego było w nazwisku wymienionym w raporcie. Właściwie nie w nazwisku, to było dość banalne, ale w imieniu. Gdzieś już widział to imię Cyrus, pytanie tylko gdzie?

- Odnalazł je godzinę później w swoim gabinecie; w starym numerze *Forbes Magazine* zamieszczony był artykuł o Cyrusie V. Millerze. Czasem tego rodzaju zbieg okoliczności decyduje o przeznaczeniu. Przyłot tego człowieka do Belgradu nie miał sensu, a żyłasty major z armeńskiego KGB nie lubił rzeczy, które nie mają sensu. Po co człowiek dobiegający osiemdziesiątki i znany ze swego patologicznego antykomunizmu miałby przylatywać do Jugosławii rejsowym samolotem, aby zapolować tu na dziki, skoro był dostatecznie bogaty, aby polować, na co chce, w Ameryce Północnej i na dodatek latać własnym odrzutowcem? Wezwał dwie osoby ze swego personelu, młodzieńców świeżo przybyłych z Moskwy, i wyraził nadzieję, że nie schrzanią tej sprawy. (Jak zauważył ostatnio na cocktail-party w rozmowie ze swoim kolegą po fachu z CIA, ciężko jest w dzisiejszych czasach o pomocników, na których można by polegać. Facet z CIA w pełni się z nim zgodził.)

Młodzi agenci Kerkoriana mówili po serbsko-chorwacku, poradził im jednak, żeby zdali się na kierowcę, Jugosłowianina, który miał lepsze rozeznanie w terenie. Zameldowali się później, tego samego wieczoru, dzwoniąc z automatu z hotelu Petrovaradin. Major splunął. Jugosłowianie z pewnością podsłuchiwali rozmowę. Kazał im zadzwonić z jakiegoś innego miejsca.

Miał już iść do domu, kiedy zgłosili się ponownie, tym razem ze skromnej gospody położonej niedaleko od Nowego Sadu. Nie było jednego Amerykanina, ale pięciu, powiedzieli. Może mają spotkanie w hotelu, ale wygląda na to, że wszyscy znają się dobrze. W recepcji przeszły z rąk do rąk pieniądze i agenci byli w posiadaniu kserokopii pierwszych trzech stron każdego z amerykańskich paszportów. Rano mikrobus ma ich zabrać na tereny łowieckie, poinformowali agenci. Co mają teraz robić? Zostańcie tam, gdzie jesteście, powiedział Kerkorian. Tak, całą noc. Chcę wiedzieć, dokąd pojechali i z kim się widzieli.

Trzeba traktować ich we właściwy sposób, myślał idąc do domu. Ci młodzi za często idą na łatwiznę w dzisiejszych czasach. Sprawa najprawdopodobniej jest żadna, ale dzięki niej żółtodzioby zdobędą przynajmniej trochę doświadczenia. Następnego dnia, w południe zjawili się z powrotem, zmęczeni, nie ogoleni, ale z triumfem w oku. To, co powiedzieli, wprowiło Kerkoriana w osłupienie. Mikrobus punktualnie podjechał pod hotel i zabrał pięciu Amerykanów. Przewodnik nosił cywilne ubranie, ale wyglądał zdecydowanie na wojskowego i Rosjanina. Zamiast skierować się na tereny łowieckie, mikrobus zawrócił w kierunku Belgradu, potem skręcił w stronę bazy lotniczej Batajnica. Amerykanie nie okazali swoich paszportów przy bramie wjazdowej - przewodnik wyjął je z własnej kieszeni, pokazał i szlaban uniósł się w górę.

Kerkorian znał Batajnicę - była to duża jugosławińska baza lotnicza, dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Belgradu, zdecydowanie nie leżąca na żadnej z turystycznych tras wyznaczonych dla Amerykanów. Lądowały tu między innymi radzieckie wojskowe samoloty transportowe, zaopatrujące stale liczną grupę radzieckich doradców wojskowych w Jugosławii. To oznaczało, że na lotnisku znajdował się zespół radzieckich pracowników technicznych. Jeden z nich pracował dla Kerkoriana. Jego zadaniem była kontrola ładunku. Dziesięć godzin później Kerkorian wysłał pilny Raport do Jazenewa, siedziby Zarządu Pierwszego KGB. Trafił on prosto na biurko zastępcy szefa, generała Wadima Kirpiczenki, który po zasięgnięciu kilku dodatkowych informacji wewnątrz Związku

Radzieckiego, przesłał rozszerzony raport bezpośrednio na ręce swego przełożonego, generała Czebrikowa.

Kerkorian donosił, że pięciu Amerykanów zaraz po wyjściu z mikrobusu zaprowadzono pod eskortą do transportowego odrzutowca Antonow 42, który właśnie przybył z ładunkiem z Odessy i natychmiast wystartował z powrotem. Następny raport od rezydenta z Belgradu mówił, że Amerykanie powrócili tą samą drogą dwadzieścia cztery godziny później, spędzili jeszcze jedną noc w hotelu Petrovaradin i wspólnie opuścili Jugosławię, nie upolowawszy ani jednego dzika. Kerkorian został wyróżniony za okazaną czujność.

Sierpień

Upał wisiał nad Costa del Sol niczym ciężka kołdra. Na plażach miliony turystów obracały się z brzucha na plecy i z pleców na brzuch, niczym steki na płonącym grillu, odważnie nacierając i oblewając się olejkami. Wszystko po to, by w ciągu dwóch bezcennych tygodni ich opalenizna nabrała mahoniowego odcienia, niestety, zbyt często przypiekali się po prostu na raka. Niebo było błękitnie blade, prawie białe i nawet wiejąca zwykle od morza bryza ograniczyła się do lekkiego zefirka.

Daleko na zachodzie, mającąc na horyzoncie, unosił się w rozgrzanym powietrzu zarys Skały Gibraltarskiej; na jej zboczu niczym blizny na skórze trędownego widniały zbudowane przez saperów Jej Królewskiej Mości jasne betonowe kanały zbierające wodę do podziemnych cystern.

Na wzgórzach za plażą Casares powietrze było trochę chłodniejsze, ale niezbyt wiele; prawdziwej ulgi można było zaznać tylko o świcie i tuż przed zachodem słońca. Pracujący w winnicach Alcantara del Rio wstawali więc o czwartej rano, by po sześciu godzinach schronić się przed słońcem. Po lunchu, gdy zaczynała się tradycyjna hiszpańska sjesta, zapadali w drzemkę i spali aż do piątej, ukryci za grubymi, chłodnymi, pobielanymi ścianami swoich domów. Potem pracowali do zmierzchu, który nadchodził koło ósmej.

Winogrona dojrzewały w promieniach słońca. Na zbiory trzeba było jeszcze trochę poczekać, ale zapowiadały się dobre tego roku. W swoim barze Antonio przyniósł jak zwykle cudzoziemcowi karafkę wina i rozpromienił się.

- *Sera bien, la cosecha?* - zapytał.

- Tak - odparł z uśmiechem wysoki mężczyzna - w tym roku zbiory będą bardzo dobre. Będziemy mogli zapłacić nasze rachunki w barze.

- Antonio wybuchnął śmiechem. Wszyscy wiedzieli, że cudzoziemiec posiadał na własność własny kawałek gruntu i nigdy nie pił na kredyt.

Dwa tygodnie później Michaił Siergiejewicz Gorbaczow nie był w nastroju do żartów. Na ogół wesoły i znany ze swego poczucia humoru i dobrych stosunków z pracownikami, potrafił też wpaść w szewską pasję, gdy, na przykład, jacyś przybysze z Zachodu prawili mu kazania na temat praw człowieka, albo wyprowadził go z równowagi podwładny. Siedział teraz przy biurku na siódmym i zarazem ostatnim piętrze budynku Komitetu Centralnego przy Nowej Płoszczadzi i gniewnie spoglądał na raporty rozrzucone na stole. Gabinet był długi i wąski, szeroki na sześć i długi na osiemnaście metrów. Biurko sekretarza generalnego stało naprzeciwko drzwi. Siedział plecami obrócony do ściany, po swojej lewej stronie mając okna wychodzące na plac. W oknach wisały firanki i żółte aksamitne zasłony. Biurko znajdowało się u szczytu zwyczajnego konferencyjnego stołu ustawionego na środku pokoju.

W odróżnieniu od swoich poprzedników Gorbaczow gustował w jasnym i lekkim wystroju wnętrza; stół, podobnie jak biurko, zrobiony był z białego buka, z każdej strony przystawiono doń osiem prostych, ale wygodnych krzeseł. Na tym właśnie stole leżały raporty zebrane przez jego przyjaciela i kolegę Eduarda Szewardnadze, na którego prośbę z niechęcią przerwał swoje wakacje w Jałcie na Krymie. Ze złością myślał, że wolałby kąpać się teraz w morzu ze swoją wnuczką, niż siedzieć tutaj w Moskwie i czytać te bzdury.

Sześć lat minęło już od tego mroźnego marcowego dnia w roku 1985, kiedy Czernienko nareszcie pożegnał się z tym światem kiedy on sam w oszałamiającym tempie - choć przecież od dawna planował i przygotowywał się do tego - został wyniesiony na najwyższe stanowisko. Przez sześć lat starał się chwycić ukochany przez siebie kraj za kark i wprowadzić go w ostatnią dekadę dwudziestego wieku w stanie, w którym - na równych warunkach - mógłby się zmierzyć i zatriumfować nad kapitalistycznym Zachodem.

Jak każdy Rosjanin z krwi i kości, połowicznie podziwiał, a zarazem w pełni pogardzał Zachodem; jego dobrobytem, finansową potęgą, jego nadętą pewnością siebie. W przeciwieństwie do większości Rosjan jednak przez długie lata nie przyzwyczyił się do myśli, że w jego ojczyźnie nigdy nic się nie zmieni; że korupcja, lenistwo, biurokracja i letarg są częścią tego systemu, że zawsze nim były i będą. Już jako młody człowiek zdawał sobie sprawę, że ma w sobie energię i dynamizm, które pozwolą na zmianę tego stanu rzeczy, jeśli tylko dana mu będzie szansa. To była jego siła motoryczna, ukryty motyw, który kierował nim podczas studiów i pracy partyjnej w Stawropolu, przekonanie, że któregoś dnia stanie przed swoją szansą.

Miał ją przez sześć lat. I zdał sobie sprawę, że nawet o n nie doceniał siły oporu i inercji. Pierwsze lata były krytyczne, szedł po bardzo cienkiej linii, niejednokrotnie groziło mu skrzywienie karku.

Najpierw trzeba było dokonać czystki w partii, pozbyć się wszystkich twardogłowych i betonu... powiedzmy, prawie wszystkich. Obecnie wiedział, że ma w ręku Biuro Polityczne i Komitet Centralny: wiedział, że wysunięci przez niego ludzie kontrolują rozbite po czystkach republikańskie sekretariaty partyjne w całym Związku Radzieckim i że podzielają jego przekonanie, iż tylko kraj silny gospodarczo może realnie współzawodniczyć z Zachodem. To dlatego większość jego reform miała na celu zmiany w sferze ekonomii, a nie moralności.

Jako przekonany komunista wierzył w to, że jego kraj posiada już moralną przewagę - nie było, według niego, potrzeby, by to udowadniać. Nie był jednak na tyle głupi, żeby oszukiwać się, jeśli chodzi o ekonomiczną siłę dwu obozów. Teraz, w obliczu kryzysu naftowego, z którego świetnie zdawał sobie sprawę, potrzebował olbrzymich środków, aby wpompować je w Syberię i Arktykę. To oznaczało obcięcie wydatków gdzie indziej, i to doprowadziło do Traktatu Nantucket i nieuniknionego starcia z jego własnym establishmentem wojskowym.

Podobnie jak każdy radziecki przywódca, wiedział, że trzema fundamentami, na których opiera się władza, są partia, armia i KGB, i że nikt nie da rady przeciwstawić się dwóm jednocześnie. To, że był ze swymi generałami na wojennej ścieżce, stanowiło

wystarczający powód do niepokoju, nie mógł pozwolić sobie na to, by na dodatek KGB pchała mu z tyłu nóż w plecy. Zawartość leżących na stole raportów, sporządzonych przez ministra spraw zagranicznych na podstawie zachodnich mass mediów, była mu bardzo nie na rękę, zwłaszcza że amerykańska opinia publiczna wciąż jeszcze mogła skłonić Senat do odrzucenia Traktatu Nantucket i nalegać na budowę i wprowadzenie do użycia morderczych (dla Rosji) "niewidzialnych" bombowców.

Osobiście nie darzył szczególną miłością Żydów. Chcieli opuścić ojczyznę, która dała im wszystko. Michaił Gorbaczow był typowym Rosjaninem, gdy chodziło o dysydentów i innych rozrabiaczy. Ale w sprawie, która miał przed sobą, gniewał go fakt, że to, co się stało, nie wydarzyło się przypadkiem, akcja była z góry przygotowana i wiedział, kto za nią stoi. Nadal z rozdrażnieniem wspominał krążącą kilka lat temu po Moskwie łajdacka kasetę wideo, która atakowała jego żonę za to, że wydaje pieniądze na hulanki w Londynie. Wiedział, kto stał i za tamtą sprawą. Ci sami ludzie. Poprzednik tego, którego właśnie wezwał i którego oczekiwał.

Rozległo się pukanie do drzwi przylegających do półki z książkami po przeciwnej stronie pokoju. Do środka zajrzał jego prywatny sekretarz i lekko kiwnął głową. Gorbaczow podniósł dłoń na znak, żeby chwilę poczekał.

Wrócił do biurka i zasiadł za jego obszernym, pustym blatem, na którym stały jedynie trzy telefony i pudełko z kremowego onyxu przeznaczone na przybory do pisania. Wtedy dopiero skinął głową. Młody sekretarz otworzył szeroko drzwi.

- Towarzysz przewodniczący, towarzyszu sekretarzu generalny - powiedział i wycofał się.

Był w pełnym umundurowaniu - tego należało się spodziewać - i Gorbaczow pozwolił mu przemierzyć cały długi pokój bez oddania salutu. Potem wstał i wskazał ręką na rozrzucone papiery.

Generał Władimir Kriuczukow, przewodniczący KGB, był bliskim przyjacielem i protegowanym swego poprzednika - zażartego ultrakonserwatysty Wiktora Czebrikowa. Był także człowiekiem o zbliżonych do niego poglądach. Sekretarz generalny spowodował ustąpienie Czebrikowa w czasie wielkiej czystki, którą przeprowadził na jesieni roku 1988. Pozbył się w ten sposób ostatniego wpływowego oponenta w Biurze Politycznym. Nie miał jednak wyboru i na zwolnione stanowisko musiał wyznaczyć jego pierwszego zastępcę - generała Kriuczukowa. Mógł sobie pozwolić na jedną dymisję; dwie stanowiłyby masakrę. Są pewne granice, nawet w Moskwie.

Kriuczukow rzucił okiem na papiery i podniósł brew. Drań, pomyślał Gorbaczow.

- Nie było potrzeby tłuc ich tuż pod okiem kamery - powiedział, jak zwykle, bez długich wstępów, przechodząc od razu do sedna rzeczy. - Sześć zachodnich ekip telewizyjnych, ośmiu reporterów radiowych i dwudziestu pismaków z gazet i magazynów, połowa z tego to Amerykanie. Nie mieliśmy ich tyłu na igrzyskach olimpijskich w osiemdziesiątym roku.

Kriuczkow podniósł brew.

- Żydki urządziły nielegalną demonstrację, drogi Michaile Siergiejewiczu. Osobiście byłem w tym czasie na urlopie. Ale wierzę, że pracownicy Zarządu Drugiego postępowali w sposób właściwy. Ci ludzie nie chcieli się rozejść na wezwanie i moi ludzie użyli normalnych w takich okolicznościach metod.

- To stało się na ulicy. Powinna się tym zająć milicja.

- Ci ludzie to wywrotowcy. Rozpowszechniają antyradziecką propagandę. Proszę spojrzeć na transparenty. To jest sprawa wchodząca w kompetencje KGB.

- A to, że zbiegła się cała zagraniczna prasa?

Szef KGB wzruszył ramionami. - Te szakale wszędzie się dostaną.

Tak, jeśli się do nich zadzwoni i poufnie poinformuje, pomyślał Gorbaczow. Zastanawiał się, czy sprawa może posłużyć za pretekst do zdymisjonowania Kriuczkowa. Żeby zwolnić ze stanowiska szefa KGB, trzeba zwołać posiedzenie Biura Politycznego. No i powodem nie może być pobicie kilku Żydów. Niemniej jednak był wściekły i miał zamiar powiedzieć, co o tym wszystkim myśli. Trwało to pięć minut. Kriuczkow milczał z zaciśniętymi ustami. Nie lubił być besztany przez kogoś młodszego od siebie, choćby to był jego zwierzchnik. Gorbaczow obszedł biurko, dwaj mężczyźni byli tej samej wagi, niscy i krępi. Spojrzenie Gorbaczowa było jak zwykle nieustraszone. To właśnie wtedy Kriuczkow popełnił błąd.

W kieszeni miał raport od agenta KGB w Belgradzie, wzmocniony kilkoma elektryzującymi wiadomościami uzyskanymi przez Kirpiczenkę z Zarządu Pierwszego. Był z pewnością wystarczająco ważny, aby dostarczyć go osobiście samemu sekretarzowi generalnemu. Wstrzymaj się, pomyślał rozgoryczony szef KGB. On może poczekać, i tak zatajony został raport z Belgradu.

WRZESIEŃ

Irving Moss miał teraz swoją kwaterę w Londynie, ale przed wyjazdem z Houston uzgodnił z Cyrusem Millerem ich własny prywatny szyfr. Wiedział, że urządzenia Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade prowadzą bezustanny nasłuch zagranicznych rozmów telefonicznych i że całe banki komputerów przesiewają miliardy słów w

poszukiwaniu czegoś interesującego. Nie mówiąc już o ludziach z brytyjskiego Głównego Urzędu Łączności, Rosjanach i dosłownie każdym, kto w dzisiejszych czasach może zainstalować urządzenie podsłuchowe. Ale tłok na łączach międzynarodowych jest tak olbrzymi, że wszystko, co nie budzi wyraźnych podejrzeń, ma szansę przejść nie zauważone. Szyfr Mossa oparty był na liście cen produktów warzywnych, przekazywanych telefonicznie ze słonecznego Teksasu do zasnutego chmurami Londynu. Z cennika wycinał nazwy produktów, zostawiając same cyfry, i w zależności od daty, odszyfrowywał je korzystając z jednorazowego kodu, którego kopie miał tylko Miller i on.

W tym miesiącu dowiedział się trzech rzeczy: że produkt wysoko zaawansowanej radzieckiej technologii, którego potrzebował, znajduje się w ostatnim stadium przygotowań i zostanie mu dostarczony w ciągu dwóch tygodni; że informator wewnątrz Białego Domu, o którego prosił, został wyszukany i opłacony; i że powinien teraz zgodnie z rozkładem przystąpić do realizacji Planu Trávisa. Spalił kartki i uśmiechnął się. Honorarium, które miał otrzymać, uzależnione było od sporządzenia planu, jego realizacji i osiągnięcia pozytywnych rezultatów. Teraz mógł przystąpić do punktu drugiego.

PAŹDZIERNIK

Trymestr jesienny na uniwersytecie w Oksfordzie trwa osiem tygodni, a ponieważ studenci starają się trzymać ściśle reguł logiki, czas określają mówiąc o Tygodniu Pierwszym, Tygodniu Drugim, Trzecim i tak dalej. Po zakończeniu trymestru odbywa się wiele imprez - głównie sportowych, teatralnych i dyskusyjnych - i jest to Tydzień Dziewiąty. Niezbyt wielu studentów pojawia się przed rozpoczęciem zajęć, żeby przygotować się do studiów albo znaleźć sobie mieszkanie, albo rozpocząć treningi. Ten okres nosi nazwę Tygodnia Zerowego.

Drugiego października, inaczej mówiąc pierwszego dnia Tygodnia Zerowego, z Vincent's Club, baru często odwiedzanego przez studenckich sportowców, wysypała się grupa wcześniej przybyłych. Był wśród nich wysoki szczupły student o imieniu Simon. Przygotowywał się właśnie do trzeciego i ostatniego trymestru w ramach jednorocznego programu dla studentów zagranicznych. Ktoś wesoło pozdrowił go z tyłu.

- Cześć, Simon. Wcześniej wróciłeś?

Był to John De'Ath, ongiś dowódca eskadry samolotów, obecnie Kierownik kwestury Jesus College i główny skarbnik Athletics Club, w skład którego wchodziła między innymi sekcja biegów przełajowych. Simon uśmiechnął się. - Tak, proszę pana.

- Mamy zamiar zrzucić trochę sadełka z wakacji, nieprawdaż? - uśmiechnął się emerytowany oficer sił powietrznych. Stuknął Simona brzuch, którego wcale nie było. -

Dobry chłopiec. W tobie pokładamy nasze główne nadzieje. Powinniśmy przetrzepać trochę skórę Cambridge w grudniu, w Londynie.

Wszyscy wiedzieli, że wielkim sportowym rywalem Oksfordu jest drużyna z Cambridge. Na każdych zawodach obie drużyny szły ze sobą łeb w łeb.

- Postaram się zacząć rano biegać i dopilnuję, żeby wrócić do formy, proszę pana - powiedział Simon.

I rzeczywiście rozpoczął serię wyczerpujących porannych biegów, wydłużając stopniowo dystans od pięciu do dwunastu mil w końcu tygodnia. W środę, dziewiątego października, wczesnym rankiem wsiadł jak zwykle na rower przed swym domem przy Woodstock Road w południowej części Summertown, na północy Oksfordu, i popedałował do śródmieścia. Minął Pomnik Męczenników i kościół św. Marii Magdaleny, skręcił w lewo w Broad Street, przejechał obok wejścia do Balliol College, gdzie studiował, a potem w dół Holywell i Longwall aż do High Street. Ostatni zakręt w lewo zaprowadził go tuż pod ogrodzenie Magdalen College.

Tutaj zeskoczył z siodełka, przymocował łańcuchem rower do balustrady i zaczął bieg. Najpierw mostem Magdalen przez Cherwell, potem w dół przez St. Clement's. Kierował się prosto na wschód. O szóstej trzydzieści rano miał przed sobą jeszcze cztery mile, aby zostawić za sobą ostatnie przedmieścia Oksfordu. Wkrótce w twarz zaświeci mu wschodzące słońce.

Tupiąc ciężko minął New Headington i przebiegł stalową kładką nad dwupasmową Ring Road. Kładka prowadziła do Shotover Hill. Nie było w zasięgu wzroku innych biegaczy. Był prawie sam. Przy końcu Old Road zaczęła się droga pod górę i poczuł ból, jaki towarzyszy długodystansowcom. Muskularne nogi zaprowadziły go na szczyt wzgórza i dalej na Równinę Shotover. Tu skończył się asfalt, był teraz na polnej drodze pełnej głębokich wertepów i wody stojącej w koleinach, pozostałej po spadłym w nocy deszczu. Przeskoczył na porośniętą trawą pobocze. Przyjemne sprężyste podłoże przynosiło ulgę stopom. Zmagał się z ogarniającym go bólem, upajając się poczuciem wolności, jakie daje bieg.

Spoza drzew porastających wzgórze wyłonił się za nim nie oznakowany samochód. Zjechał z asfaltu i zaczął podskakiwać na wertepach. Mężczyźni siedzący w środku znali tę drogę i mieli jej serdecznie dosyć. Pięćset jardów polnego traktu, na którego skraju leżały szare głazy, aż do zbiornika wody. Potem z powrotem asfalt i zjazd do wioski Wheatley przez osadę Littleworth.

Sto jardów przed zbiornikiem droga się zwążyła. Pochylał się nad nią olbrzymi jesion. Tu właśnie zatrzymała się furgonetka. Stała prawidłowo zaparkowana na poboczu. Był to

mocno używany zielony Ford Transit, z boku wymalowany miał napis „Barlow's Orchard Produce”. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Na początku października w całym hrabstwie wciąż widać było furgonetki Barlowa dostarczające do sklepów słodkie jabłka Oxfordshire. Każdy, kto spojrzalby na tylne drzwi furgonetki - niewidoczne dla mężczyzn w samochodzie, ponieważ Ford Transit stał przodem do nich - zobaczyłby ustawione jedne na drugich skrzynki z jabłkami. Ta sama osoba nie zorientowałaby się, że w rzeczywistości skrzynki istnieją tylko na papierze. Przedstawiające je obrazki zostały sprytnie przyklejone do dwóch bliźniaczych tylnych okien.

Wyglądało na to, że furgonetka złapała gumę. Przy przednim lewym kole kuczał mężczyzna trzymając klucz i starając się zdjąć je z osi. Samochód był na podnośniku, mężczyzna nachylony nad swoją robotą. Chłopaka imieniem Simon dzieliła od furgonetki tylko wypełniona koleinami szerokość drogi. Nie zatrzymując się biegł dalej. Kiedy minął przód furgonetki, dwie rzeczy wydarzyły się z oszałamiającą prędkością. Tylne drzwi otworzyły się i wyskoczyło przez nie dwóch mężczyzn w identycznych czarnych dresach i kominiarkach na twarzy. Rzucili się na zaskoczonego biegacza i przygnietli go do ziemi. Człowiek z kluczem do kół obrócił się i wyprostował. Pod swoim opuszczonym na oczy kapeluszem on również był zamaskowany. Klucz nie był kluczem, ale czeskim pistoletem maszynowym typu Skorpion. Mężczyzna nie czekając ani chwili otworzył ogień i przeszył kulami przednią szybę nadjeżdżającego z odległości dwudziestu jardów samochodu.

Siedzący za kierownicą zginął natychmiast trafiony w twarz. Samochód zbczył z drogi i ugrzązł w koleinach. Człowiek, który siedział na tylnym siedzeniu, zareagował jak kot, otwierając drzwi, wyskakując na zewnątrz, wykonując dwa obroty i lądując na ziemi w pozycji strzeleckiej. Jego Smith&Wesson kaliber 9 mm z krótką lufą zdążył oddać dwa strzały. Pierwszy pocisk pokonał odległość jednej stopy, drugi dziesięciu. Już w momencie, gdy naciskał cyngiel, seria pocisków ze Skorpiona trafiła go w klatkę piersiową. Nie miał najmniejszej szansy.

Mężczyzna siedzący obok kierowcy wydostał się z samochodu sekundę po tym. Drzwi samochodu były szeroko otwarte i próbował właśnie przez opuszczoną szybę strzelić w kierunku mężczyzny ze Skorpionem, kiedy trzy kule przeszły blachę i trafiły go w brzuch, rzucając na ziemię. W ciągu pięciu następnych sekund zabójca znalazł się w Fordzie na miejscu obok kierowcy, pozostali dwaj wrzucili studenta do tyłu i zamknęli drzwi, furgonetka zjechała z podnośnika, błyskawicznie wykręciła na podjeździe prowadzącym do zbiornika i skierowała się na drogę prowadzącą do Wheatley.

Śmierć zaglądała w oczy agentowi Secret Service, ale był to naprawdę dzielny człowiek. Jęcząc z bólu doczołgał się cal po calu do otwartych drzwi samochodu, sięgnął po mikrofon leżący pod deską rozdzielczą i chrapliwym głosem nadał swój ostatni meldunek. Nie martwił się o znaki rozpoznawcze, szyfry ani odpowiednie procedury; na to było za późno. Pięć minut później, kiedy przybyła pomoc, był martwy. Jego ostatni meldunek brzmiał: „Pomocy... potrzebujemy pomocy. Ktoś właśnie porwał Simona Cormacka”

ROZDZIAŁ CZWARTY

W ślad za radiowym meldunkiem umierającego agenta amerykańskiej Secret Service sprawy zaczęły toczyć się niezmiernie szybko. Porwanie jedynego syna prezydenta nastąpiło o 7.05 rano. Meldunek odebrano o 7.07. Chociaż nadawca używał "zastrzeżonej" długości fali, mówił otwarcie. Szczęśliwie nikt nieupoważniony nie słuchał tego, co nadawano na policyjnej częstotliwości o tej porze. Meldunek usłyszano w trzech miejscach.

W wynajętej willi niedaleko Woodstock Road znajdowało się dziesięciu innych agentów Secret Service, których zadaniem było strzeżenie prezydenckiego syna podczas jego rocznych studiów w Oksfordzie. Ośmiu było jeszcze w łóżkach, dwóch na nogach, w tym nocny oficer dyżurny, który prowadził nasłuch na zastrzeżonej częstotliwości.

Dyrektor Secret Service, Creighton Burbank, od samego początku był przeciwny, aby syn prezydenta studiował za granicą podczas trwania kadencji jego ojca. Ustąpił przed prezydentem Cormackiem, który nie widział żadnej rozsądnej przyczyny, żeby pozbawiać swego syna z dawna wymarzonej szansy rocznych studiów w Oksfordzie. Burbank schował do kieszeni swoje obiekcje i zażądał, aby grupa jego ludzi w Oksfordzie liczyła pięćdziesiąt osób.

I znowu John Cormack ugiął się przed prośbami syna. - "Daj mi normalnie żyć, tato; będę wyglądał jak eksponat na wystawie bydła rasowego z pięćdziesięcioma gorylami kręcącymi się wokół mnie" - specjalna grupa ostatecznie została ograniczona do dwunastu agentów. Ambasada w Londynie wynajęła dużą willę w północnej części Oksfordu i po kilkumiesięcznych konsultacjach z władzami brytyjskimi zaangażowała trzech starannie sprawdzonych angielskich pracowników: ogrodnika, kucharza i panią do sprzątanania i prania. Chodziło o to, aby Simon Cormack mógł czuć się jak normalny student.

Grupa miała zawsze co najmniej ośmiu ludzi w pełnej gotowości, czterech dostawało przepustkę na weekend. Ósemka podzielona była na cztery dwuosobowe zespoły; trzy zmiany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę prowadziły obserwację domu, ostatni zespół eskortował Simona, kiedy udawał się on gdzieś poza Woodstock Road. Agenci zagrozili rezygnacją, jeśli nie będą mogli być w pełni uzbrojeni - w Wielkiej Brytanii obowiązuje przepis, że żaden cudzoziemiec nie może mieć przy sobie nabitej broni. Zawarto typowy kompromis: poza domem w samochodzie miał się znajdować uzbrojony brytyjski sierżant z Oddziału Specjalnego. Formalnie rzecz biorąc, Amerykanie mieli działać pod jego nadzorem i wolno im było mieć broń. Była to fikcja, ale znający dobrze Oxfordshire ludzie z Oddziału

Specjalnego okazali się użytecznymi przewodnikami i szybko nawiązały się między nimi a Amerykanami przyjazne stosunki. To właśnie brytyjski sierżant był tym, który wyskoczył z tylnego siedzenia napadniętego samochodu i starał się użyć swego Smith&Wessona, zanim zastrzelono go na Równinie Shotover. W ciągu kilku sekund po odebraniu meldunku od umierającego agenta willa przy Woodstock Road wypełniła się krzykami i przekleństwami. Członkowie grupy specjalnej rzucili się do dwóch pozostałych samochodów i pognali nimi w kierunku Shotover. Trasa biegu była w sposób jasny oznaczona i wszyscy ją znali. Oficer dyżurny pozostał wraz z jeszcze jednym agentem i szybko zatelefonował w dwa miejsca. Pierwszy telefon był do pogrążonego w głębokim śnie Creightona Burbanka w Waszyngtonie, pięć godzin różnicy czasowej w stosunku do Londynu; drugi do radcy prawnego amerykańskiej ambasady w Londynie, który właśnie golił się w swoim domu w St. John's Wood.

Przedstawicielem FBI w każdej amerykańskiej ambasadzie jest zawsze radca prawny. W Londynie jest to odpowiedzialne stanowisko. Stałe są powiązania między istniejącymi w obu krajach instytucjami powołanymi do strzeżenia prawa. Patrick Seymour zastąpił na tym miejscu przed dwoma laty Darrella Millsa. Stosunki z Brytyjczykami układały mu się dobrze i lubił swoją pracę. Otrzymałszy telefon zbladł jak ściana i trzęsącą się ręką wykręcił numer dyrektora FBI Donalda Edmondsona. Ten spał właśnie smacznie w swojej rezydencji w Chevy Chase.

Drugim miejscem, w którym usłyszano radiowy meldunek, był wóz patrolowy policji Obszaru Doliny Tamizy, która obsługuje trzy hrabstwa: Oxfordshire, Berkshire i Buckinghamshire. Chociaż amerykański zespół z towarzyszącym mu funkcjonariuszem Oddziału Specjalnego pozostawał bez przerwy w bliskiej styczności z Simonem Cormackiem, lokalna policja przestrzegała zasady, aby jeden z jej wozów patrolowych znajdował się zawsze nie dalej jak milę od tego miejsca, pełniąc rolę najbliższego punktu kontaktowego. Radio w samochodzie policyjnym nastawione było na zastrzeżoną częstotliwość. Samochód przejeżdżał właśnie przez Headington i pokonał dzielącą go od miejsca zdarzenia milę w pięćdziesiąt sekund. Niektórzy mówili później, że siedzący w nim sierżant i kierowca minęli miejsce napadu i próbowali dogonić uciekającą furgonetkę. Spóźniony refleks; widząc trzy ciała leżące na polnej drodze zatrzymali się, żeby stwierdzić, czy nie trzeba udzielić pomocy i czy nie dowiedzą się czegoś na temat napastników. Za późno było na jedno i drugie. Trzecim miejscem, do którego dotarł meldunek, był budynek dowództwa policji Obszaru Doliny Tamizy w Kidlington. Policjantka Janet Wren kończyła nocną zmianę o 7.30 i właśnie szeroko ziewała, kiedy chrapliwy głos z amerykańskim akcentem zatrzeszczał w jej słuchawkach. Była do tego stopnia zdumiona, że przez długą sekundę myślała, że to żart.

Potem spojrziała na instrukcje i wystukała kilka liter na klawiaturze komputera po swojej lewej stronie. Na monitorze natychmiast rozbłysły długie rządki poleceń, które ciężko przestraszona dziewczyna zaczęła wypełniać co do joty.

Rok wcześniej, po długich konsultacjach pomiędzy dowództwem lokalnej policji, Scotland Yardem, Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, ambasadą amerykańską w Londynie i Secret Service ustalono zasady wspólnych działań mających na celu ochronę Simona Cormacka. Dano im nazwę Operacja Yankee Doodle. Zasady zostały wprowadzone do pamięci komputera, podobnie jak procedury postępowania w różnych nadzwyczajnych okolicznościach - takich jak udział syna prezydenta w kłótni przy barze, w ulicznej bójce, w wypadku drogowym, politycznej demonstracji, jego choroba albo zamiar wyjazdu do innego hrabstwa. Funkcjonariuszka Wren uruchomiła opcję „Porwanie” i na monitorze rozbłysła odpowiedź.

W ciągu kilku minut u jej boku pojawił się blady z przejęcia dyżurny oficer sekcji obserwacyjnej i rozpoczął serię rozmów telefonicznych. Pierwszą odbył z szefem Departamentu Dochodzeń Kryminalnych, który wziął na siebie powiadomienie swego kolegi - szefa Oddziału Specjalnego Policji Obszaru Doliny Tamizy. Dyżurny oficer z Kidlington zatelefonował również do zastępcy naczelnika do spraw operacyjnych, który w chwili, gdy zabrzmiał dzwonek telefonu, atakował właśnie dwa jajka na miękko. Wysłuchał swego rozmówcy z uwagą i natychmiast skierował do niego serię pytań i poleceń.

- Gdzie to było, dokładnie?

- Na Równinie Shotover, sir - odparł inspektor w Kidlington. - Patrol Delta Bravo jest na miejscu. Zawrócono prywatny samochód jadący z Wheatley, dwóch innych biegaczy i kobietę, która wyprowadzała psa na spacer od strony Oksfordu. Obaj Amerykanie nie żyją, tak samo sierżant Dunn.

- Jezus - szepnął zastępca naczelnika. To będzie największa sprawa w całej jego karierze i od niego jako szefa sekcji operacyjnej, stanowiącej silne ramię policji, zależało, żeby została poprowadzona właściwie. Nie może chybić ani o włos. Nie wybaczyłyby sobie tego.

- Zorganizuj tam szybko co najmniej pięćdziesięciu ludzi w cywilu - powiedział do słuchawki. - Posterunkowi, podoficerowie, oficerowie. Chcę, żeby cały teren został zamknięty... natychmiast. Wyślij tam wszystkich ludzi z ekipy zabezpieczającej, jakich masz pod ręką. Zarządź blokady na drogach. Ta droga nie kończy się ślepo, prawda? Czy uciekli w stronę Oksfordu?

- Delta Bravo twierdzi, że nie - odpowiedział inspektor w Kidlington. - Nie wiemy, ile czasu upłynęło między napadem a nadaniem meldunku przez Amerykanina. Jeśli niewiele, Delta Bravo znajdowała się na szosie w Headington i twierdzi, że nie mijął ich nikt jadący z Shotover. Dowiemy się z odcisków opon, pełno tam błota. - Blokadę skoncentrujcie na północy i południu, po wschodniej stronie - powiedział zastępca. - Szefa zostawcie mnie. Czy mój samochód jest w drodze?

- Powinien już być przed domem - odparł inspektor. Rzeczywiście. Zastępca naczelnika wyjrzał przez okno swojego salonu i zobaczył podjeżdżający samochód. Normalnie powinien się zjawić czterdzieści minut później. - Kto już wyjechał na miejsce zdarzenia? - zapytał.

- Departament Dochodzeń Kryminalnych, Oddział Specjalny, ekipa zabezpieczająca i teraz grupa w cywilu.

- Wezwij wszystkich detektywów, niech odłożą na bok inne sprawy i przeprowadzają wywiady - powiedział zastępca. - Jadę prosto do Shotover.

- Zasięg blokadę drogową? - zapytał oficer sekcji obserwacyjnej w dowództwie. Blokadę drogową łatwiej bowiem zarządzić niż wykonać. Hrabstwa w tej części Anglii, wszystkie gęsto zaludnione i szczycące się długą historią, połączone są istnym labiryntem wiejskich dróg, traktów i drugorzędnych szos biegnących między miastami, wioskami i osadami. Kiedy sieć zarzuci się zbyt szeroko, pomniejsze drogi będzie można liczyć w setkach; kiedy zrobi się to na mniejszym obszarze, skurczy się odległość, którą będą musieli przebyć porywacze, żeby ująć pogoni.

- Granice Oxfordshire - odparł zastępca. Odłożył słuchawkę i natychmiast zatelefonował do swego zwierzchnika. W brytyjskich policjach lokalnych codzienna rutynowa policyjna robota spada na barki zastępcy naczelnika do spraw operacyjnych. Sam naczelnik może, ale nie musi mieć doświadczenia w pracy w policji, ponieważ powinien się zajmować głównie polityką, moralnością, opinią publiczną i stosunkami z Londynem. Wykręcając numer zastępcy naczelnika spojrział na zegarek. Była 7.31.

Naczelnik policji Obszaru Doliny Tamizy mieszkał w wiosce Bletchingdon, w przyjemnym domku, w którym niegdyś mieściła się plebania. Ocierając usta z marmolady pośpieszył z jadalni do swego gabinetu, żeby odebrać telefon. Kiedy usłyszał wiadomość, zapomniał o śniadaniu. Dziewiątego października wiele osób czekał jeszcze popsuty ranek.

- Rozumiem - powiedział, kiedy dotarły do niego zgromadzone do tej pory informacje.
- Tak, prowadź sprawę dalej. Ja... zadzwonię do Londynu.

Na biurku w jego gabinecie stało kilka aparatów telefonicznych. Jeden z nich łączył go specjalną linią z biurem zastępcy dyrektora departamentu F4 Home Office, brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, które sprawuje kontrolę nad Scotland Yardem i lokalnymi siłami policyjnymi. O tej porze urzędnika nie było jeszcze w jego biurze, ale naczelnik natychmiast uzyskał połączenie z jego domem w Fulham w Londynie. Z ust dygnitarza wyrwało się przekleństwo. Wykonał dwie rozmowy telefoniczne i pospieszył prosto do wysokiego białego budynku przy Queen Anne's Gate, na rogu Victoria Street, gdzie mieściło się jego ministerstwo.

Pierwszą rozmowę odbył z oficerem dyżurnym w departamencie F4, polecając, żeby cały personel został natychmiast wezwany do ministerstwa, a jego biurko oczyszczone z innych spraw. Nie podał przyczyny. Nie orientował się na razie, ilu ludzi wiedziało już o masakrze na Równinie Shotover, ale będąc przykładowym urzędnikiem państwowym nie zamierzał powiększać ich liczby, jeśli tylko było to w jego mocy.

Nie było to w jego mocy w przypadku drugiego rozmówcy. Był nim podsekretarz stanu, najwyższy rangą dygnitarz w całym ministerstwie, nie licząc oczywiście ministra. Na szczęście obaj panowie mieszkali raczej bliżej centrum Londynu, a nie na jego odległych przedmieściach, i spotkali się w budynku ministerstwa już o 7.51. Sir Harry Marriott, minister spraw wewnętrznych w rządzie konserwatystów, dołączył do nich o 8.04 i został poinformowany o sprawie. Natychmiast połączył się z Downing Street numer 10 i nalegał, żeby pozwolono mu mówić z samą panią Thatcher.

Telefon odebrał jej prywatny sekretarz. W Whitehall, siedzibie brytyjskiej administracji, można spotkać niezliczonych "sekretarzy"; niektórzy z nich to sami ministrowie, inni to wyżsi urzędnicy albo osobiści doradcy, nieliczni tylko zajmują się rzeczywiście pracą w sekretariacie. Charles Powell należał do przedostatniej grupy. Wiedział, że pani premier od godziny pracuje już w swoim prywatnym gabinecie, doprowadzając do porządku stosy papierów, w czasie gdy większość jej kolegów przewraca się dopiero na drugi bok. Taki miała zwyczaj. Powell wiedział również, że sir Harry należał do jej najbliższych współpracowników i przyjaciół. Poinformował ją krótko, kto dzwoni, i natychmiast podniosła słuchawkę.

- Pani premier, muszę się z panią zobaczyć. Teraz. Muszę zaraz do pani przyjechać.

Margaret Thatcher zmarszczyła brwi. Pora i ton były niezwykle.

- W takim razie przyjeżdżaj, Harry - powiedziała.

- Za trzy minuty - zabrzmiało w telefonie. Sir Harry Marriott odłożył słuchawkę.

Przed budynkiem czekał już samochód po to, by przewieźć go 500 jardów dalej. Była 8.11.

Porywaczy było czterech. Zabójca, który siedział teraz obok kierowcy, umieścił pistolet maszynowy między stopami i zdjął z głowy wełnianą kominiarkę. Pod spodem miał perukę i przyklejone wąsy. Na nos założył grube oprawki od okularów bez szkieł. Kierowca był przywódcą grupy; on także nosił perukę i sztuczną brodę. Obaj użyli tych prowizorycznych środków, bo mieli jeszcze do przebycia kilka mil i musieli wyglądać naturalnie.

Z tyłu pozostali dwaj porywacze poskramiali wściekle walczącego Simona Cormacka. Nie stanowiło to problemu. Jeden z nich, potężny mężczyzna przytrzymał po prostu młodego Amerykanina w niedźwiedzim uścisku, podczas gdy drugi, chudy i żyłasty, przyłożył mu maskę nasyoną eterem. Furgonetka podskakując na wertepach wypadła z traktu prowadzącego w stronę zbiornika i wjechała na asfaltową drogę prowadzącą do Wheatley. Hałasy dochodzące z tyłu umilkły - syn prezydenta stracił przytomność.

Zjeżdżali w dół przez Littleworth z jego rozrzuconymi na zboczu domkami, a potem prosto do Wheatley. Minęli elektryczny wózek mleczarza dostarczającego tradycyjną szklanekę świeżego mleka, a sto jardów dalej kierowca miał przez sekundę wrażenie, że przygląda mu się chłopak roznoszący gazety. Za Wheatley wjechali na autostradę A40 prowadzącą do Oksfordu, jechali nią przez pięćset jardów w kierunku miasta, a potem skręcili w prawo w drugorzędną drogę B4027 mijając Forest Hill i Stanton St John.

Przez obie wioski furgonetka przejechała z normalną szybkością, potem przecięła skrzyżowanie przy New Inn Farm i posuwała się dalej w kierunku Islip. Ale milę za New Inn, zaraz za Fox Covert, zjechała w lewo i stanęła przy bramie prowadzącej na farmę. Mężczyzna siedzący obok kierowcy wyskoczył, otworzył kłódkę przy bramie - zamienili kłódkę farmera na swoją własną dziesięć godzin wcześniej - i furgonetka wtoczyła się na podwórko. Podjechała dziesięć jardów aż do drzwi na pół zrujnowanej, stojącej za drzewami drewnianej stodoły, którą porywacze odkryli podczas rekonesansu dwa tygodnie wcześniej. Była 7.16.

Robiło się coraz jaśniej i czterech mężczyzn szybko przystąpiło do pracy. Ten, który strzelał, otworzył na oścież drzwi stodoły i wyjechał z niej dużą limuzyną Volvo, którą wstawiono tutaj o północy. Do środka wjechała furgonetka. Kierowca wysiadł z niej zabierając Skorpiona i dwie wełniane kominiarki. Sprawdził, czy nie zostało nic z przodu furgonetki i zatrzasnął drzwi. Pozostali dwaj wyszli tylnymi drzwiami dźwigając ciało Simona Cormacka, które umieścili w obszernym bagażniku Volva, wyposażonym w duże otwory do oddychania. Wszyscy czterej ściągnęli swoje czarne dresy. Pod spodem ubrani byli jak szanujący się biznesmeni: w garnitury, koszule z kołnierzykami i krawaty. Zatrzymali na

razie swoje peruki, wąsy i okulary. Zwinięte ubrania powędrowały do bagażnika razem z Simonem. Skorpion ukryty został pod kocem na podłodze przy tylnym siedzeniu Volva.

Kierowca i zarazem przywódca grupy siadł za kierownicą Volva i czekał. Chudy mężczyzna umieścił ładunki wybuchowe w furgonetce, olbrzym zamknął drzwi stodoły. Obaj usiedli z tyłu limuzyny, która ruszyła w stronę bramy i wyjechała na drogę. Ten, który strzelał, zamknął bramę, zabrał swoją kłódkę i zastąpił ją starą, zardzewiałą, należąca do farmera. Była przecięta, ale z daleka nie było tego widać. Volvo zostawiło ślady w błocie, ale na to nie można było nic poradzić. Opony były standardowe i wkrótce mieli je wymienić. Mężczyzna usiadł koło kierowcy i Volvo skierowało się na północ. W tym czasie zastępca naczelnika do spraw operacyjnych właśnie zdążył wyszeptać „Jezus” do telefonu.

Porywacze pojechali na północny zachód aż do wioski Islip, tam skręcili o dziewięćdziesiąt stopni i wjechali na prostą jak strzała drogę A421 w kierunku Bicester. Nie przekraczając dozwolonej prędkości przejechali przez to przyjemne targowe miasteczko położone na północno-wschodnim krańcu Oxfordshire i trzymali się dalej A421 zmierzając ku Buckingham - stolicy sąsiedniego hrabstwa. Zaraz za Bicester pojawił się za nimi duży policyjny Range Rover. Jeden z mężczyzn z tyłu mruknął ostrzegawczo i sięgnął w dół po Skorpiona. Kierowca warknął na niego, żeby siedział cicho i nadal nie przekraczał dozwolonej prędkości. Sto jardów przed nimi stała duża tablica. *Witajcie w Buckinghamshire*, głosił wymalowany na niej napis. Granica hrabstwa. Przy tablicy Range Rover zwolnił, zawrócił i stanął. Policjanci zaczęli wyładowywać z niego stalowe bariery. Volvo jechało dalej i wkrótce znikło z oczu. Była 8.05. W Londynie sir Harry Marriott brał właśnie słuchawkę, żeby zadzwonić na Downing Street.

- Stoimy właśnie - opowiadał sir Harry swojej Debbie - w obliczu największego cholernego kryzysu w stosunkach z jankesami od czasu Suez, a jej pierwsza myśl dotyczy ojca. Nie syna, zwróć uwagę, ale ojca.

Sir Harry nie miał dzieci i nie pełnił swojej funkcji w styczniu 1982. W przeciwieństwie do emerytowanego sekretarza gabinetu sir Roberta Armstronga, który wcale by się nie dziwił takiej reakcji, nie pamiętał udręki, jaką przeszła Margaret Thatcher, kiedy jej syn zaginął podczas Rajdu Paryż-Dakar na algierskiej pustyni. Sama w nocy, płakała wtedy z bólu, tego czystego, jedyne w swoim rodzaju bólu, odczuwanego przez rodziców, których dzieci znajdują się w niebezpieczeństwie. Mark Thatcher odnaleziony został żywy przez patrol po sześciu dniach.

Kiedy podniosła głowę, była już opanowana. Nacisnęła przycisk na interkomie.

- Charlie, chcę, żebyś połączył mnie osobiście z prezydentem Cormackiem. Powiedz ludziom w Białym Domu, że sprawa jest pilna i nie może czekać. Tak, oczywiście, wiem, która godzina jest teraz w Waszyngtonie.

- Może ambasador amerykański, przez ministra spraw zagranicznych... - ośmielił się wtrącić sir Harry Marriott. - Może on mógłby... być może...

- Nie, zrobię to sama - ucięła pani premier. - Proszę, zwołaj posiedzenie zespołu COBRA, Harry. Chcę otrzymywać raporty co godzina.

W tak zwanej gorącej linii między Downing Street a Białym Domem nie ma nic szczególnie gorącego. W rzeczywistości jest to normalna, zastrzeżona linia telefoniczna biegnąca przez satelitę, tyle że na obu końcach zaopatrzona w specjalne urządzenia kodujące, które uniemożliwiają jakikolwiek podsłuch. Uzyskanie połączenia trwa normalnie około pięciu minut. Margaret Thatcher odsunęła na bok papiery i czekała, spoglądając przez pancerne szyby w oknach swego prywatnego gabinetu.

Brytyjska pani premier jest kobietą bardzo uczuciową, daleko bardziej aniżeli jej pięciu męskich poprzedników. Mimo że w skrajnych okolicznościach prędzej niż którykolwiek z nich potrafi zachować zimną krew, nie jest osobą, której obce byłoby wzruszenie. Sir Harry opowiadał później swojej żonie, że kiedy przekazał wiadomość, oczy pani premier wypełniły się łzami. Zakryła twarz rękoma i wyszeptała: „O, mój Boże. Biedny człowiek”.

Równina Shotover dosłownie roiała się od ludzi. Dwaj policjanci z pełniącego patrol Delta Bravo znali się na rzeczy dostatecznie dobrze, żeby nie dopuszczać nikogo do miejsca napadu i samemu poruszać się tam z największą ostrożnością, gdy badali ofiary w poszukiwaniu znaków życia. Kiedy ich nie znaleźli, zostawili zwłoki tak, jak leżały. Śledztwo może zostać w bardzo łatwy sposób zaprzepaszczone już na samym początku, gdy ktoś łązi po dowodzie rzeczowym, który ma nieocenioną wartość dla ekipy dochodzeniowej, albo wdeptuje w błoto łuskę od naboju, niszcząc odciski palców, które dałoby się jeszcze uratować.

Ludzie w cywilu ogrodzili teren, to jest całą drogę od osady Littleworth u stóp wzgórza aż do stalowej kładki przebiegającej nad Ring Road pomiędzy Shotover i Oksfordem. Wewnątrz kordonu ekipa dochodzeniowa szukała wszystkiego, co dało się znaleźć. Odkryli, że sierżant z brytyjskiego Oddziału Specjalnego strzelił dwa razy; wykrywacz metali odkrył jeden pocisk w błocie tuż przed nim - sierżant musiał nacisnąć spust padając na kolana. Drugiego pocisku nie odnaleźli. Mógł trafić jednego z porywaczy, napisali w raporcie. (Nie trafił, ale o tym nie wiedzieli.)

Znaleziono łuski naboju od Skorpiona, dwadzieścia osiem sztuk, wszystkie w tej samej kałuży; każdą sfotografowano w miejscu, gdzie leżała, podniesiono pincetą i zapakowano dla chłopców z laboratorium. Jeden z Amerykanów wciąż leżał na kierownicy, drugi - tam gdzie zmarł, przy drzwiach od strony pasażera. Pokrwawione ręce przyciskał do trzech dziur w brzuchu, mikrofon kołysał się na kablu. Wszystko zostało z każdej strony sfotografowane, zanim cokolwiek ruszono. Ciało przewieziono do szpitala w Radcliffe, dokąd pośpieszył z Londynu lekarz sądowy ministerstwa spraw wewnętrznych.

Szczególne zainteresowanie wzbudziły odciski w błocie: wgłębienie w miejscu, w którym Simon Cormack padł na ziemię, kiedy rzuciło się na niego dwóch mężczyzn, odciski butów porywaczy - wkrótce okazało się, że jest to bardzo pospolite obuwie sportowe niemożliwe do wytropienia - i ślady opon pojazdu, szybko zidentyfikowanego jako furgonetka. Był jeszcze podnośnik samochodowy, fabrycznie nowy, dostępny w każdym ze sklepów sieci Unipart. Podobnie jak na 9-milimetrowych łuskach od Skorpiona, nie znaleziono na nim żadnych odcisków palców.

Trzydziestu detektywów przeprowadzało wywiady. Ich żmudna, ale mająca decydujące znaczenie praca, przyniosła wkrótce pierwsze informacje. Dwieście jardów na wschód od zbiornika, przy drodze do Littleworth, stały dwa domy. W pierwszym z nich kobieta zaparzając o godzinie siódmej herbatę usłyszała dochodzące z drogi jakieś trzaski i hałasy, ale nic nie widziała. Pewien mężczyzna w Littleworth widział trochę po siódmej zieloną furgonetkę jadącą w kierunku Wheatley. Tuż przed godziną dziewiątą detektyw odnalazł mleczarza i chłopca roznoszącego gazety, pierwszego z nich przy śniadaniu, drugiego w szkole.

Mleczarz był najlepszym świadkiem. Zielony, poobijany Ford Transit ze znakiem Barlowa z boku. Dyrektor do spraw handlowych Barlowa potwierdził, że żadna z furgonetek firmy nie znajdowała się o tej porze na tamtym terenie. Wszystkie zostały sprawdzone. Policja miała zatem swój poszukiwany samochód; ogłoszono pogotowie najwyższego stopnia. Nie pytać o powód; po prostu odnaleźć. Nikt nie skojarzył na razie całej sprawy z płonącą stodołą przy drodze do Islip.

Inni detektywi krążyli wokół domu w Summertown, pukając do drzwi przy Woodstock Road i w sąsiedztwie. Czy ktoś widział parkujące samochody, furgonetki itp. Czy ktoś widział osoby obserwujące dom w dole ulicy. Składali wizyty w domach znajdujących się na trasie biegu aż do centrum Oksfordu i dalej, po drugiej stronie miasta. Około dwudziestu osób stwierdziło, że widziały młodego biegacza, za którym podążali ludzie w samochodzie - zawsze jednak okazywało się, że chodzi o samochód Secret Service.

O godzinie dziewiętej zastępcę naczelnika do spraw operacyjnych ogarnęło znajome uczucie; nie będzie szybkiego finału, szczęśliwych okoliczności, błyskawicznego ujęcia porywaczy. Kimkolwiek byli, znajdowali się już daleko. Naczelnik ubrany w mundur dołączył do niego na Równinie Shotover i obserwował ekipy przy pracy.

- Wygląda na to, że chce to przejąć Londyn - powiedział naczelnik. Zastępca chrząknął. Był to afront, ale zarazem spadała mu z ramion piekielna odpowiedzialność. Wystarczająco trudne okazywało się ustalenie tego, co zaszło, nie mówiąc o pomyślnym zakończeniu sprawy. - Nie rozumiesz? Ludzie z Whitehall uważają, że mogą nas w ten sposób uwolnić od niezłego kłopotu. Chcą powierzyć sprawę Scotland Yardowi. Czy jest ktoś z gazet?

- Na razie nie, sir. Ale rzecz nie utrzyma się długo w tajemnicy. Za duży kaliber.

Nie wiedział, że kobieta, która wyprowadzała na spacer psa i przepłoszona została z miejsca porwania przez policjantów z Delta Bravo, widziała dwa z trzech ciał. Uciekła do domu ciężko przerażona i opowiedziała o wszystkim mężowi. Nie wiedział też, że jej mąż jest drukarzem w *Oxford Mail* i że po przyjeździe do redakcji zdecyduje się wspomnieć o wydarzeniu dyżurnemu redaktorowi.

Telefon z Downing Street odebrał starszy oficer dyżurny w Centrum Łącznościowym Białego Domu, usytuowanym w podziemnej części skrzydła zachodniego, zaraz za Pokojem Sytuacyjnym. Była 3.34 rano czasu waszyngtońskiego. Słyszając, kto dzwoni, oficer odważnie zgodził się powiadomić najwyższego rangą agenta Secret Service pełniącego akurat dyżur na posterunku w rezydencji.

Agent patrolował właśnie Hol Centralny, tuż obok prywatnych apartamentów na drugim piętrze. Aparat na jego biurku naprzeciwko złożonych drzwi do windy zaterkotał dyskretnie. Agent podniósł słuchawkę. - Czego ona chce? - wyszeptał. - Czy ci Angole wiedzą, która tu jest godzina?

Słuchał dłuższą chwilę. Nie przypominał sobie, kiedy ktoś ostatnio budził prezydenta o tej porze. Coś takiego zdarza się, pomyślał, w przypadku wojny. Być może o to właśnie teraz chodziło. Jeśli nie, Burbank nieźle natrze mu uszu. Z drugiej strony... brytyjska premier we własnej osobie...

- Odwieszam teraz słuchawkę, zaraz oddzwonię - powiedział dyżurnemu w Centrum Łącznościowym. Londynowi zakomunikowano, że prezydent właśnie jest budzony; mają odwieść słuchawkę. Tak też zrobili.

Strażnik Secret Service, który nazywał się Lepinsky, wszedł przez podwójne drzwi do Salonu Zachodniego. Po lewej stronie miał drzwi prowadzące do sypialni państwa

Cormacków. Stał w miejscu, wziął głęboki oddech i delikatnie zapukał. Nikt nie odpowiadał. Ujął dłonią klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Mając przed oczyma swoją zrujnowaną karierę, wszedł do środka. W dużym podwójnym łóżku mógł dojrzeć dwie śpiące postaci; wiedział, że prezydent będzie leżał bliżej okna. Na palcach obszedł łóżko, poznał brązową piżamę i potrząsnął prezydenta za ramię.

- Panie prezydencie, sir. Proszę się obudzić, sir.

John Cormack ocknął się, poznał stojącego nad nim wystraszonego mężczyznę, spojrzał na żonę i nie zapalił światła.

- Która to godzina, panie Lepinsky?

- Kilka minut po wpół do czwartej, sir. Przepraszam bardzo, ale... panie prezydencie, brytyjska premier jest na linii. Mówi, że nie może z tym czekać. Przykro mi, sir.

John Cormack namyślał się przez chwilę, potem delikatnie, żeby nie zbudzić Myry, spuścił nogi z łóżka. Lepinsky podał mu szlafrok. Po prawie trzech latach sprawowania prezydentury Cormack poznał dość dobrze brytyjską premier. Dwa razy widział się z nią w Anglii - ostatnim razem podczas dwugodzinnego postoju, kiedy wracał do domu z lotniska Wnukowo - a ona dwa razy odwiedziła go w Stanach. Oboje byli ludźmi czynu; rozumieli się dobrze. Jeżeli to ona, sprawa musi być poważna. Wyspać może się później.

- Niech pan wróci do Holu Centralnego, panie Lepinsky - szepnął. - Proszę się nie martwić, dobrze pan zrobił. Odbiorę telefon w moim gabinecie.

Prezydencki gabinet - miał ich kilka, ale tylko jeden w apartamentach prywatnych - wciśnięty jest między sypialnię i znajdujący się w rotundzie centralnej Żółty Pokój Ovalny. Jego okna, podobnie jak okna sypialni, wychodzą na trawniki prowadzące ku Pennsylvania Avenue. Prezydent zamknął drzwi do sypialni, zapalił światło, zamrugał kilka razy oczyma, usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę. Po dziesięciu sekundach zgłosiła się jego rozmówczyni.

- Czy ktoś już kontaktował się z panem? Poczuję, jak coś ściska go w żołądku.

- Nie... nikt. Dlaczego?

- Sądzę, że pan Edmonds i pan Burbank muszą już wiedzieć - powiedziała. - Przykro mi, że to ja muszę być pierwsza...

Powiedziała mu. Trzymał słuchawkę bardzo mocno i patrzył na zasłony nie widząc ich. W ustach mu zaschło i nie mógł przełknąć śliny. Słyszał zdania... wszystko, ale to wszystko zostało zrobione... najlepsze ekipy Scotland Yardu... nie uciekną... Powiedział „tak” i „dziękuję” i odłożył słuchawkę. To było jakby ktoś uderzył go mocno w klatkę piersiową.

Pomyślał o Myrze, wciąż śpiącej w sypialni. Będzie musiał jej powiedzieć, to będzie dla niej straszny cios.

- Och, Simon - wyszeptał. - Simon, mój chłopcze.

Wiedział, że sam sobie z tym nie poradzi. Potrzebował przyjaciela, który objąłby prowadzenie sprawy, podczas gdy on będzie z Myrą. Po kilku minutach podniósł słuchawkę. Głos miał bardzo opanowany.

- Proszę połączyć mnie z wiceprezydentem Odellem. Tak, teraz. W swojej rezydencji w Obserwatorium Morskim Michael Odell w identyczny sposób został obudzony przez agenta Secret Service.

Wezwanie było kategoryczne, nie towarzyszyły mu żadne wyjaśnienia. Proszę, przyjeżdżaj prosto do rezydencji. Drugie piętro. Gabinet prywatny. Teraz, Michael, teraz, proszę.

Tekszański VIP usłyszał odkładaną z drugiej strony słuchawkę, odłożył własną i zdarł opakowanie z miętowej gumy do żucia. Guma pomogła mu się skoncentrować. Wezwał telefonicznie samochód i podszedł do szafy, żeby się ubrać. Jako wdowiec Odell spał sam i nie było nikogo, kogo mógłby krzając się obudzić. Dziesięć minut później, w marynarskich spodniach, butach i swetrze założonym na koszulę, siedział już na tylnym siedzeniu w swojej limuzynie, przyglądając się na zmianę przystrzyżonemu karkowi kierowcy i światłom pograżonego w śnie Waszyngtonu, aż do momentu kiedy ukazał się przed nimi iluminowany zarys Białego Domu. Minął Portyk i Wejście Południowe, oba bardzo okazałe, i wszedł do środka, małymi drzwiami od strony zachodniej. Przed sobą miał biegnący parterem korytarz. Kierowcy kazał poczekać. Powiedział, że niedługo wróci. Omylił się. Była godzina 4.07.

W sytuacjach nadzwyczajnych w Wielkiej Brytanii koordynacją działań na najwyższym szczeblu zajmuje się pośpiesznie zwołany komitet. Jego skład jest różny w zależności od natury kryzysu. Nie zmienia się tylko miejsce, w którym zwoływane są posiedzenia. Jest nim prawie zawsze Sala Odpraw Biura Rządu, czyli Gabinet Office Briefing Room, spokojne, klimatyzowane pomieszczenie, położone dwie kondygnacje pod poziomem ulicy, pod Biurem Rządu przylegającym do rezydencji przy Downing Street. Od jego inicjałów posiedzenia komitetu określane są nazwą COBRA.

Sir Harry'emu Marriottowi i jego personelowi ponad godzinę zabrało zwołanie swojej, jak to teatralnie nazywał, "obsady" z domów, z dowożących ich do centrum pociągów i rozrzuconych po mieście biur - i zgromadzenie ich wszystkich w Biurze Rządu. Zajął swój fotel o 9.56.

Porwanie stanowiło oczywiste przestępstwo i podpadało pod kompetencję policji, która działała w ramach ministerstwa spraw wewnętrznych. W tym jednak przypadku było wiele dalszych powiązań. Oprócz Home Office w sprawę zostało włączone również ministerstwo spraw zagranicznych, którego zadaniem miało być utrzymywanie stosunków z Departamentem Stanu w Waszyngtonie, a co za tym idzie z Białym Domem. Co więcej, gdyby Simona Cormacka jakimś cudem przeszmyglowano do Europy, rola ministerstwa byłaby kluczowa na poziomie politycznym. Odpowiedzialna przed ministerstwem spraw zagranicznych była Tajna Służba Wywiadowcza, czyli MI6, innymi słowy Firma; jej zadaniem było zbadanie, czy w sprawę nie są zamieszane zagraniczne grupy terrorystyczne. Przedstawiciele Firmy przybyli ze swojej siedziby położonej po drugiej stronie Tamizy w Century House i mieli zdać sprawozdanie swojemu szefowi.

Ministerstwu spraw wewnętrznych, prócz policji, podlegała także Służba Bezpieczeństwa, czyli MI5, organizacja kontrwywiadowcza, której zainteresowania terroryzmem były bardziej niż przelotne, jeśli uderzał on wewnątrz Wielkiej Brytanii. Jej człowiek przybył z Curzon Street w Mayfair, gdzie trwało już zakrojone na szeroką skalę sprawdzanie dossier wszystkich możliwych kandydatów i skąd skontaktowano się z wieloma informatorami, żeby zadać im jedno palące pytanie: Kto?

Obecny był wyższy urzędnik z ministerstwa obrony, zawiadujący komandosami ze Specjalnej Powietrznej Grupy Uderzeniowej z Hereford. W przypadku, gdyby miejsce przebywania Simona Cormacka i jego porywaczy zostało szybko odkryte i doszło do jego oblężenia, grupa komandosów mogła zostać użyta do odbicia zakładnika, operacji, w której była wyspecjalizowana. Nikomu nie trzeba było przypominać, by oddział pozostający w stałym półgodzinnym pogotowiu - w tym przypadku, zgodnie z kolejnością służby, spadochroniarze z jednostki numer siedem, Eskadry B - cicho przeszedł w stan alarmu "bursztynowego" (pełna gotowość w ciągu dziesięciu minut), a jego grupa wspierająca z pogotowia dwugodzinnego na sześćdziesięciminutowe.

Był również ktoś z ministerstwa transportu, kontrolującego brytyjskie porty i lotniska. W powiązaniu ze strażą graniczną i urzędem celnym jego instytucja powinna zarządzić pełną obserwację na granicy, ponieważ sprawą o pierwszorzędym znaczeniu było teraz zatrzymanie Simona Cormacka wewnątrz kraju, na wypadek gdyby porywacze mieli inne plany. Rozmawiał już z przedstawicielami departamentu handlu i przemysłu, którzy nie kryli, że sprawdzenie każdego zamkniętego i zaplombowanego kontenera opuszczającego kraj jest absolutnie niemożliwe. Niemniej wszystkie prywatne samoloty, jachty, motorówki, kutry rybackie, przyczepy samochodowe czy furgonetki, które opuszczają kraj i wiozą dużą

skrzynię, kogoś leżącego na noszach albo po prostu odurzonego i nieprzytomnego, będą starannie sprawdzane przez funkcjonariuszy celnych i straż graniczną.

Najważniejszy człowiek siedział jednak po prawicy sir Harry'ego. Nazywał się Nigel Cramer.

W przeciwieństwie do prowincjonalnych organizacji policyjnych policja w Londynie, Metropolitan Police, w skrócie "Met", a mówiąc najprościej Scotland Yard, nie jest zarządzana przez naczelnika, lecz przez nadkomisarza. Stanowi ona największą siłę policyjną w kraju. Nadkomisarzowi, w tym przypadkiem sir Peterowi Imbertowi, pomagają w pracy czterej komisarze. Każdy ma pod sobą oddzielny departament. Drugim z nich jest departament służb wyspecjalizowanych.

Ma on trzynaście wydziałów. Pięć z nich z niewiadomych przyczyn nie istnieje. Wśród pozostałych znajdują się brygady: inwigilacyjna, zwalczania poważnych przestępstw, lotna, zwalczania nadużyć i terenowa. Do tego dochodzi wydział specjalny (kontrwywiad), wydział zwiadu środowiska przestępczego (SO11) i brygada antyterrorystyczna (SO13).

Człowiekiem, którego sir Peter Imbert wyznaczył jako przedstawiciela Scotland Yardu na posiedzeniu komitetu COBRA, był zastępca komisarza departamentu służb wyspecjalizowanych Nigel Cramer. Od tego momentu miał on składać raporty z jednej strony komisarzowi i samemu nadkomisarzowi, z drugiej - komitetowi COBRA. Do niego miały płynąć informacje od wyznaczonego oficjalnie do sprawy oficera śledczego, do którego dyspozycji stały od tej pory wszystkie oddziały departamentu, które mogły okazać się pomocne.

Na to, aby Scotland Yard mógł przejąć sprawę podlegającą lokalnej policji, trzeba decyzji na szczeblu politycznym i premier podjęła już taką decyzję, usprawiedliwioną podejrzeniem, że Simon Cormack może równie dobrze znajdować się obecnie poza regionem działania policji Obszaru Doliny Tamizy. Sir Harry Marriott właśnie poinformował jej naczelnika o tej decyzji. Ludzie Cramera byli już na przedmieściach Oksfordu.

W posiedzeniu COBRY uczestniczyło dwóch ludzi spoza Wielkiej Brytanii. Pierwszym z nich był Patrick Seymour, człowiek FBI w ambasadzie; drugim - Lou Collins, londyński oficer łącznikowy CIA. Ich zaproszenie było czymś więcej niż tylko wyrazem kurtuazji; byli tutaj, a więc mogli informować swoje organizacje o skali wysiłków podejmowanych w Londynie dla rozwiązania sprawy i być może dostarczyć jakichś istotnych danych, do których zdołają dotrzeć ich ludzie.

Sir Harry otworzył posiedzenie i zdał krótką relację z tego, co ustalono do tej pory. Od porwania minęło właśnie trzy godziny. W tym punkcie uważał za konieczne wysunięcie

dwóch twierdzeń. Po pierwsze, Simona Cormacka nie ma już na Równinie Shotover i został ukryty w nieznanym miejscu; po drugie, porywacze są terrorystami i nie nawiązali dotychczas kontaktu z władzami.

Przedstawiciel MI6 zgłosił się zapewniając, że jego ludzie postarają się skontaktować z agentami, którzy pełnią role wtyczek w znanych w Europie grupach terrorystycznych. Być może uda się stwierdzić, która z nich ewentualnie stoi za porwaniem. Potrwa to kilka dni.

- Nasi agenci prowadzą bardzo niebezpieczny tryb życia - dodał. - Nie możemy tak po prostu zadzwonić do nich i zapytać, o co nam chodzi. W ciągu tygodnia w różnych miejscach zorganizujemy z nimi tajne spotkania i zobaczymy, czy uda nam się natrafić na jakiś ślad.

Człowiek z MI5 dodał, że jego instytucja podejmie podobne działania wymierzone przeciwko grupom miejscowym, które mogą być zamieszane w sprawę albo coś na jej temat wiedzieć. Wątpił, żeby porywacze byli stąd. Nie licząc IRA i INLA - obu irlandzkich - Wyspy Brytyjskie, jak każde inne miejsce na ziemi, zamieszkiwane są przez różnych szaleńców, niemniej bezwzględny profesjonalizm, z jakim dokonano akcji na Równinie Shotover, wydaje się wykluczać udział w niej zwyczajnych, robiących wiele hałasu malkontentów. Niezależnie od tego, MI5 skontaktuje się z wtyczkami, które ma w tych grupach.

Nigel Cramer stwierdził, że pierwsze wskazówki można będzie uzyskać na podstawie badań laboratoryjnych albo dzięki informacjom pochodzącym od przypadkowego świadka, do którego jeszcze nie trafiono.

- Wiemy, jaką furgonetką się posłużono - powiedział. - Był to pomalowany na zielono, dosyć stary Ford Transit, z obu stron noszący znajomy w Oxfordshire znak owocowej firmy Barlowa. Widziano go, jak jechał na wschód przez Wheatley oddalając się od miejsca przestępstwa, mniej więcej pięć minut po jego dokonaniu, Furgonetka nie należała do Barlowa - to już potwierdzono. Świadek nie zapisał numerów rejestracyjnych. Oczywiście trwają poszukiwania wszystkich, którzy widzieli furgonetkę, kierunek, w jakim podążała, i mężczyzn siedzących na przednim siedzeniu. Najprawdopodobniej było ich dwóch - widać było tylko niewyraźne zarysy za szybą - ale mleczarz twierdzi, że jeden z nich miał brodę.

- Z dowodów rzeczowych mamy podnośnik samochodowy, doskonale odbite ślady opon - ludzie z policji lokalnej zdjęli je dokładnie w miejscu, gdzie stała furgonetka - oraz całą kolekcję łusek od amunicji, najwyraźniej od karabinu maszynowego. Jadą do ekspertów wojskowych w Fort Halstead, podobnie jak pociski, które posłaną wydobyte z ciał dwóch agentów Secret Service i sierżanta Dunna z oksfordzkiego Oddziału Specjalnego. Z Fort Halstead dostaniemy dokładne informacje, ale na pierwszy rzut oka wyglądają na amunicję

będącą na wyposażeniu Układu Warszawskiego. Prawie każda grupa terrorystyczna w Europie, oprócz IRA, posługuje bronią wyprodukowaną w bloku wschodnim.

- Ludzie z ekipy dochodzeniowej w Oksfordzie znają się na rzeczy, mimo to wszystkie dowody rzeczowe zostaną dostarczone do ponownego zbadania w naszych laboratoriach w Fulham. Policja Obszaru Doliny Tamizy nadal będzie poszukiwać świadków.

- Tak więc, panowie, mamy cztery linie śledztwa. Furgonetka, świadkowie, którzy znaleźli się na miejscu przestępstwa albo w jego pobliżu, dowody rzeczowe pozostawione przez przestępców oraz kolejna sprawa, którą zajmie się policja lokalna - poszukiwanie wszystkich, którzy zauważyli, że dom przy Woodstock Road jest obserwowany. Pewne jest - tu spojrzal na dwóch Amerykanów - że od kilku dni Simon Cormack każdego ranka o tej samej porze biegł identyczną trasą.

W tym momencie zadzwonił telefon. Proszony był Cramer. Podszedł do aparatu, zadał kilka pytań, przez kilka minut słuchał, potem wrócił do stołu.

- Powierzyłem szefowi brygady antyterrorystycznej SO13, komandorowi Peterowi Williamsowi, funkcję oficera śledczego. Będzie prowadzić tę sprawę. To właśnie on dzwonił. Sądzę, że mamy furgonetkę.

Właściciel Whitehill Farm, położonej tuż obok Fox Covert przy drodze do Islip, wezwał straż pożarną o godzinie 8.10, w momencie gdy zobaczył dym i płomień unoszące się z jego starej, nie używanej stodoły. Stodoła stała na łące, tuż przy drodze, ale w odległości 500 jardów od domu mieszkalnego i odwiedzał ją rzadko. Straż pożarna z Oksfordu przybyła zbyt późno, by można było uratować budynek. Bezsilny farmer stał patrząc, jak płomień obejmowały drewnianą konstrukcję, jak runął w dół najpierw dach, a potem ściany.

Strażacy polewający ruiny zauważyli pod spalonymi deskami coś, co wyglądało jak wrak furgonetki. Była godzina 8.41. Farmer uparcie twierdził, że nie przechowywał żadnego pojazdu w stodole. Obawiając się, że w środku mogą być ludzie - Cyganie, włóczędzy albo obozowicze, strażacy zostali, żeby usunąć drewniane resztki konstrukcji. Kiedy dostali się bliżej, zajrzeli do środka furgonetki, ale nie zobaczyli żadnych śladów ciał. Na pewno jednak był to wrak Forda Transit.

Kiedy wracali z powrotem, ich dowódca, bystry człowiek, usłyszał przez radio, że policja poszukuje furgonetki tej marki, w związku, jak twierdzono, z "przestępstwem, przy którym użyto broni palnej". Natychmiast zadzwonił do Kidlington.

- Obawiam się, że furgonetka jest doszczętnie spalona - powiedział Cramer. - Opony prawdopodobnie zwęglone, odciski palców zniszczone. Mimo to zachowane są z pewnością

numery silnika i nadwozia. Moi ludzie z sekcji pojazdów są już w drodze. Jeżeli zostało tam cokolwiek - mam na myśli najdrobniejszą rzecz godną uwagi - będziemy to mieli.

W Scotland Yardzie sekcja samochodowa wchodzi w skład brygady zwalczania poważnych przestępstw departamentu służb wyspecjalizowanych.

Posiedzenie COBRY trwało, choć niektórzy z najważniejszych uczestników opuścili salę, podążając do swoich zajęć i pozostawiając swoich podwładnych, którzy mieli zawiadomić ich, gdy nastąpi jakiś przełom. Fotel przewodniczącego zajął wiceminister spraw wewnętrznych.

W świecie doskonałym, który nie istnieje, Nigel Cramer wolałby, żeby prasa trzymała się od tej sprawy z daleka, przynajmniej na razie. O godzinie jedenastej rano Clive Empson z *Oxford Mail* przybył do Kidlington pytając o raport na temat strzelaniny, która miała miejsce na Równinie Shotover niedługo po świcie i w której były ofiary śmiertelne. Zdziwiły go trzy rzeczy. Pierwsza, że od razu zaprowadzono go do szefa sekcji detektywów, który zapytał go, skąd ma te informacje. Odmówił odpowiedzi. Druga, że młodszy funkcjonariusze miejscowej policji wyglądali na autentycznie przerażonych. Trzecia, że nie udzielono mu żadnej pomocy. Przy dwóch osobach zabitych - żona drukarza widziała tylko dwa ciała - policja w normalnych okolicznościach zwróciłaby się do prasy z prośbą o współpracę, wydałaby oświadczenie, nie mówiąc już o zwołaniu konferencji prasowej.

Jadąc z powrotem do Oksfordu przemyślał sprawę jeszcze raz. Osoby, których zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, lądują w kostnicy miejskiej. Śmierć z rany postrzałowej wymaga zbadania delikwenta w szpitalu w Radcliffe, który ma odpowiednie wyposażenie. Przypadkiem utrzymywał raczej miłe stosunki z pielęgniarką z Radcliffe; nie pracowała w sekcji zwłok, ale być może знаła kogoś stamtąd.

W porze lunchu dowiedział się, że w Radcliffe jest wielka afera. W kostnicy znajdowały się trzy ciała: wszystko wskazywało na to, że dwaj zabici są Amerykanami, trzeci to brytyjski policjant; z Londynu przybył lekarz medycyny sądowej i ktoś z ambasady amerykańskiej. Wszystko to zadziwiło Empsona.

Ludzie z obsługi z pobliskiej bazy lotniczej Upper Heyford mogli przywieźć do szpitala zwłoki nie umundurowanego żołnierza; to, że w kostnicy znalazły się ciała amerykańskich turystów, mogło sprawić, że pofatygował się ktoś z ich ambasady, ale dlaczego milczą na ten temat z Kidlington? Pomyślał o studium tutaj - co było powszechnie wiadome - od dziewięciu miesięcy Simonie Cormacku i pojechał do Balliol College. Tam spotkał ładną walijską studentkę o imieniu Jenny.

Potwierdziła, że Simon Cormack nie przyszedł tego dnia na zajęcia, ale nie przejęła się tym zbytnio. Prawdopodobnie wyciska z siebie siódme poty trenując te swoje biegi przełajowe. Tak, mamy nadzieję, że dzięki niemu uda nam się pokonać Cambridge w grudniu. Trenuje intensywnie każdego ranka. Zwykle na Równinie Shotover. Clive Empson poczuł się tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Dawno pogodzony z myślą, że do końca życia obsługiwać będzie dział miejski w *Oxford Mail*, nagle zobaczył, jak mrugają na niego błyszczące światła Fleet Street. Prawie zgadł. Uznał, że Simona Cormacka zastrzelono. Tak pisał w artykule, który dostarczył jednej z głównych londyńskich gazet późnym popołudniem. W rezultacie rząd musiał wydać oświadczenie.

Waszyngtońscy bywalcy przyznają czasami w wielkiej dyskrecji swoim brytyjskim przyjaciołom, że brytyjski system rządowy bardzo im się podoba.

System brytyjski jest dość prosty. Głową państwa jest królowa, która się nie zmienia. Głową rządu jest premier i jest nim zawsze przywódca partii, która wygrała wybory. To daje mu podwójną przewagę. Człowiek posiadający największą władzę wykonawczą w państwie nie musi wodzić się za łby ze sformowaną przez partię opozycyjną większością parlamentarną (co ułatwia wprowadzenie koniecznych, choć nie zawsze popularnych ustaw); obejmujący swój urząd po wygranych wyborach premier jest prawie zawsze utalentowanym i doświadczonym politykiem na szczeblu krajowym i przeważnie byłym ministrem z czasów poprzedniej administracji. Doświadczenie, umiejętności, wiedza o tym, jak toczą się sprawy i jak sprawić, by toczyły się w odpowiednim kierunku - to są rzeczy, których nie musi się uczyć.

Londyn ma jeszcze trzecią przewagę. Za plecami polityków w długim szeregu stoją wyżsi urzędnicy państwowi. Przeważnie służyli oni pod poprzednią administracją, pod tą, co była wcześniej i jeszcze wcześniej. Ci "mandaryni", których tuzin przepracował łącznie w służbie państwowej ponad sto lat, stanowią nieocenioną pomoc dla nowych zwycięzców. Wiedzą, co i dlaczego wydarzyło się za poprzedniej kadencji, prowadzą protokoły, znają pola minowe, na których można wylecieć w powietrze.

W Waszyngtonie odchodzący prezydent zabiera ze sobą prawie wszystko - doświadczenie, doradców i komplet poufnych protokołów albo te z nich przynajmniej, których nie udało się podrzeć na strzepy jakiemuś sympatycznemu pułkownikowi. Nowy prezydent startuje od zera, jego jedyne doświadczenia w rządzeniu kończą się często na szczeblu stanowym. Sprowadza swoją własną ekipę doradców, którzy mogą być takimi samymi nowicjuszami jak on sam i nie odróżniają pola minowego od pola do gry w piłkę. Reputacja wielu z nich wkrótce doznaje trwałego kalectwa.

I tak, kiedy ogłuszony wiadomością wiceprezydent Odell opuścił rezydencję i o godzinie 5.05 tego październikowego ranka przeszedł do skrzydła zachodniego Białego Domu, zdał sobie nagle sprawę, że nie bardzo wie, co robić ani do kogo się zwrócić.

- Nie mogę sam zająć się tą sprawą, Michael - powiedział mu prezydent. - Będę starał się dalej pełnić obowiązki prezydenta, Zostaję w Pokoju Ovalnym. Ale nie będę zasiadał w Komitecie Antykryzysowym. Ta sprawa za bardzo mnie dotyczy, z którejkolwiek by patrzeć strony... Uratuj go, Michael, uratuj mojego syna.

Odell był człowiekiem o wiele bardziej ulegającym emocjom niż John Cormack. Nigdy nie widział i nie sądził, że ujrzy swego kostycznego, zawsze zachowującego profesorską rezerwę przyjaciela tak rozbitego. Objął swego prezydenta i przysiągł, że zrobi to, o co ten go prosi. Cormack wrócił do sypialni, gdzie lekarz Białego Domu podawał właśnie środek uspokajający Pierwszej Damie.

Odell zasiadł teraz u szczytu stołu w Sali Posiedzeń Gabinetu, zamówił kawę i zaczął telefonować. Porwanie miało miejsce w Wielkiej Brytanii, to znaczy za granicą; będzie mu potrzebny sekretarz stanu. Zadzwoił do Jima Donaldsona i obudził go. Nie mówił mu dlaczego, po prostu wezwał go bezpośrednio do Sali Posiedzeń. Donaldson protestował. Będzie tam, mówił, o dziewiętej.

- Jim, bierz tyłek w troki i przyjeżdżaj, natychmiast. To jest sprawa nie cierpiąca zwłoki, I nie dzwoń do prezydenta, żeby sprawdzić. Nie może odebrać twojego telefonu i prosił mnie, żebym zajął się wszystkim.

W czasie, gdy był gubernatorem Teksasu, sprawy zagraniczne zawsze stanowiły dla Michaela Odella zamkniętą księgę. Ale przebywał w Waszyngtonie i pełnił urząd wiceprezydenta wystarczająco długo, aby uczestniczyć w niezliczonych odprawach poświęconych problematyce międzynarodowej i sporo się nauczyć. Ci, którzy dali się nabrać na wygląd chłopka roztropka, który Odell z premedytacją przybierał, nie byli wobec niego sprawiedliwi i często sami tego później żałowali. Michael Odell nie zdobyłby zaufania i szacunku człowieka takiego jak John Cormack, gdyby był zwyczajnym głupcem. Tak naprawdę był kuty na cztery nogi.

Zadzwoił do prokuratora generalnego Billa Waltersa, politycznego szefa FBI; Walters był już na nogach, ubrany, po telefonie od Dona Edmondsa, dyrektora Biura. Już wiedział.

- Właśnie wyjeżdżam, Michael - powiedział. - Chcę zabrać ze sobą także Dona Edmondsa. Będziemy potrzebować ekspertyzy Biura. Co więcej, człowiek Dona w Londynie składa mu raport co godzina. Potrzebne nam są najświeższe informacje. Okay?

- Świetnie - z ulgą powiedział Odell. - Przywieź Edmondsa.

O szóstej, kiedy zebrała się pełna grupa, w jej skład wchodził także: Hubert Reed z Ministerstwa Skarbu (odpowiedzialny za Secret Service), minister obrony Morton Stannard, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Brad Johnson i dyrektor CIA Lee Alexander. W przedpokoju czekali Don Edmonds z FBI, Creighton Burbank Secret Service i zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych. Lee Alexander wiedział, że choć pełni urząd dyrektora Agencji, otrzymał tę nominację jako polityk, a nie zawodowy oficer wywiadu, człowiekiem, pod którego pieczę pozostawała cała operacyjna strona działalności Agencji, był jego zastępca, David Weintraub, wraz z innymi oczekującymi teraz za drzwiami.

Również Don Edmonds zabrał jednego ze swoich podwładnych. Dyrektorowi FBI podlegają trzej zastępcy, kierujący odpowiednio departamentami: służb policyjnych, administracji oraz dochodzeniowym. Szef ostatniego z nich, Buck Revell, był nieobecny z powodu choroby. Departament ten dzieli się na trzy wydziały: wywiadu, łączności międzynarodowej (w jego skład wchodził Patrick Seymour w Londynie) i śledczy. Edmonds przyprowadził ze sobą szefa wydziału śledczego, Philipa Kelly'ego. - Lepiej zaprosimy ich wszystkich do środka - zaproponował Brad Johnson. - Na razie wiedzą więcej od nas.

Wszyscy wyrazili zgodę. Później, na dole, w Pokoju Sytuacyjnym, obok Centrum Łącznościowego zebrała się sformowana przez ekspertów Grupa Antykryzysowa. Było to miejsce wygodne i zapewniające dyskrecję. Jeszcze później, kiedy w Ogrodzie Różanym za oknami Sali Posiedzeń zaczęły błyskać teleobiektywy fotoreporterów, dołączyli do nich członkowie Gabinetu.

Najpierw wysłuchali Creightona Burbanka, gniewnie i bez ogródek obwiniającego za całą katastrofę Brytyjczyków. Przekazał zgromadzonym wszystko, czego dowiedział się od swoich ludzi z Summertown. Raport obejmował wszystkie fakty do momentu wyjścia Simona Cormacka na trening z domu przy Woodstock Road tego ranka, a także to, co agenci zobaczyli i czego dowiedzieli się później na Równinie Shotover.

- Mam dwóch zabitych - mówił - dwie wdowy i trzy sieroty, którymi trzeba się zaopiekować. Wszystko dlatego, że ci idioci nie potrafią zapewnić należytej ochrony. Chcę, żeby zaprotokołowano, panowie, że moja instytucja wielokrotnie prosiła, aby Simon Cormack nie spędzał całego roku za granicą, i że potrzebowaliśmy tam nie dwunastu, ale pięćdziesięciu ludzi.

- Okay, mieliście rację - powiedział pojednawczo Odell.

Don Edmonds właśnie odebrał telefon z Londynu od tamtejszego agenta FBI Patricka Seymoura. Zdał sprawozdanie z wszystkiego, co wydarzyło się później aż do zamknięcia zwołanego w podziemiach Biura Rządu pierwszego posiedzenia COBRY.

- Jakie jest postępowanie w przypadku porwania? - miękko zapytał Reed.

Spośród wszystkich znajdujących się na tej sali bliskich doradców prezydenta Cormacka, Hubert Reed posiadał, według powszechnego mniemania, najmniej predyspozycji, by uczestniczyć w politycznej przepychance, nieodłącznie związanej z utrzymaniem się na najwyższych szczeblach władzy w Waszyngtonie.

Był niski i łagodny, sprawiał wrażenie nieśmiałego, nawet bezbronnego, co potęgowały jeszcze szkła o grubych soczewkach. Odziedziczył pokaźny majątek i wystartował na Wall Street jako dyrektor funduszu emerytalnego. Posiadał również dużą firmę maklerską. Miał dobry nos do inwestycji i w wieku lat pięćdziesięciu stał się czołowym finansistą. W ubiegłych latach zarządzał rodzinnymi depozytami Cormacka. Wtedy właśnie spotkał się i zaprzyjaźnił z przyszłym prezydentem.

To właśnie jego finansowe uzdolnienia sprawiły, że John Cormack zaprosił go do Waszyngtonu, gdzie, jako ministrowi skarbu, udało mu się utrzymać w pewnych ryzach rosnący w astronomicznym tempie amerykański deficyt budżetowy. Tak długo, dopóki chodziło o sprawy finansowe, Hubert Reed czuł się w swoim żywiole; ale gdy wtajemniczono go w niektóre szczegóły brutalnych operacji, prowadzonych przez Agencję do Spraw Zwalczenia Narkotyków i Secret Service (obie instytucje podlegały Ministerstwu Skarbu), czuł się wyjątkowo nieswojo.

Don Edmonds spojrzał na Kelly'ego. W tej sali był on człowiekiem, który najwięcej miał do czynienia z przestępstwami.

- Normalnie, jeżeli porywacze i ich kryjówka nie zostaną szybko wykryci, nawiązują oni kontakt i żądają okupu. Następnie usiłuje się wynegocjować zwrot zakładnika. Oczywiście cały czas trwają poszukiwania miejsca, w którym przebywają przestępcy. Jeżeli nie dadzą rezultatu, wszystko zależy od negocjacji.

- Przez kogo prowadzonych w tym konkretnym przypadku? - zapytał Stannard.

Zapadło milczenie. Ameryka dysponuje najbardziej rozwiniętymi systemami ostrzegania na świecie. Jej naukowcy skonstruowali czujniki podczerwone, które są w stanie wykryć ludzkie ciało z wysokości kilku mil nad powierzchnią ziemi; istnieją mikrofony, które potrafią zarejestrować oddech myszy z odległości jednej mili, a także urządzenia wrażliwe na światło, które umieszczone w przestrzeni kosmicznej mogą dostrzec na ziemi pojedynczy ognik papierosa. Żadna broń z tego rozległego arsenału nie może się jednak równać systemem

ostrzegania CYA, którego centrum znajduje się w Waszyngtonie. Został on uruchomiony przed dwiema godzinami i w chwili obecnej zmierzał ku pełnej zdolności operacyjnej.

- Musimy być tam obecni - nalegał Walters. - Nie możemy tak po prostu zostawić wszystkiego w rękach Brytyjczyków. Ludzie muszą widzieć, że coś robimy, coś konstruktywnego, coś co pozwoli nam odzyskać chłopaka.

- Tak, do diabła - wybuchnął Odell. - Możemy sobie gadać, że to przez nich go porwano, choć nie kto inny jak Secret Service upierała się, żeby brytyjski policjant siedział z tyłu... - Burbank spiorunował go wzrokiem. - Mamy pewne wpływy. Możemy domagać się włączenia nas do śledztwa.

- Nie możemy tak po prostu wysłać ekipy waszyngtońskiej policji, żeby przejęła śledztwo od Scotland Yardu i prowadziła je na ich własnym terenie - zauważył prokurator generalny Walters.

- Jak w takim razie mają wyglądać negocjacje? - zapytał Brad Johnson. Profesjonaliści nadal milczeli. Johnson w jaskrawy sposób naruszał główną zasadę CYA. Jej skrót tłumaczył się: Cover Your Ass, czyli Pilnuj Własnego Tyłka. Odell odezwał się, żeby pokryć ich wahanie.

- Jeżeli dojdzie do negocjacji - zapytał - kto jest najlepszym na świecie negocjatorem w sprawach o odzyskanie zakładników?

- Mamy w Quantico w FBI - odezwał się Kelly - sekcję psychologiczną. Zajmuje się negocjacjami z porywaczami tutaj w Ameryce. Są to najlepsi ludzie, którymi dysponujemy...

- Zapytałem, kto jest najlepszy na świecie? - powtórzył wiceprezydent.

- Negocjatorem, któremu udało się szczęśliwie odzyskać najwięcej zakładników - cicho stwierdził Weintraub - jest facet, który nazywa się Quinn. Znam go - to znaczy właściwie znałem go kiedyś.

Dziesięć par oczu zwróciło się na przedstawiciela CIA.

- Coś więcej na jego temat? - zapytał Odell.

- Jest Amerykaninem - powiedział Weintraub. - Po wyjściu z wojska zaczął pracować w firmie ubezpieczeniowej w Hartford. Po dwóch latach wysłali go, żeby kierował ich przedstawicielstwem w Paryżu, skąd obsługuje się wszystkich klientów w Europie. Ożenił się, miał córkę. Żona i dziecko zginęły w wypadku na autostradzie koło Orleanu. Zaczął pić i wylano go z firmy, potem zebrał się do kupy i zatrudnił w jednej z przybudówek towarzystwa asekuracyjnego Lloyda w Londynie, specjalizującej się w zapewnianiu ochrony swoim klientom, stąd i w prowadzeniu negocjacji z porywaczami.

O ile dobrze pamiętam, spędził tam dziesięć lat, od 1978 do 1988 roku. Potem odszedł na emeryturę. Do tego czasu doprowadził osobiście, albo jeśli wyłonił się problem językowy, w charakterze konsultanta, do uwolnienia zakładników w ponad dwunastu przypadkach, w różnych krajach Europy. Wiadomo, że jeśli idzie o kraje rozwinięte, najczęściej porwań następuje w Europie. Oprócz angielskiego, mówi, jak sędzę, jeszcze trzema językami, zna Wielką Brytanię i Europę jak swoją własną kieszeń.

- Czy to jest człowiek, o którego nam chodzi? - zapytał Odell. - Czy może poprowadzić tę sprawę dla Stanów Zjednoczonych?

Weintraub wzruszył ramionami.

- Zapytał pan, kto jest najlepszy na świecie, panie wiceprezydencie - powiedział. Za stołem z ulgą zaczęto kiwać głowami.

- Gdzie jest teraz? - spytał Odell.

- Sędzę, że przebywa na emeryturze na południu Hiszpanii. Wszystkie dane mamy w archiwach w Langley.

- Niech pan jedzie i go sprowadzi, panie Weintraub - powiedział Odell. - Niech pan sprowadzi tutaj tego Quinna. Bez względu na przeszkody.

O siódmej wieczorem pierwsze wiadomości uderzyły z ekranów telewizyjnych niczym eksplodująca bomba. Trajkoczący lektor Television Espanola poinformował zdumioną hiszpańską publiczność o wypadkach, które zaszły tego ranka na przedmieściach Oksfordu. Mężczyźni siedzący wokół baru u Antonia oglądali dziennik w milczeniu. Antonio na koszt firmy podał wysokiemu mężczyźnie szklankę domowego wina.

- *Mala cosa* - powiedział przyjaźnie. Mężczyzna nie odwrócił oczu od telewizora.

- *No es mi asunto* - powiedział zagadkowo. To nie moja sprawa.

O 10 rano czasu waszyngtońskiego David Weintraub wyleciał z bazy powietrznej Andrews koło Waszyngtonu na pokładzie USAF VC20A, stanowiącego wojskową wersję Gulfstream 3. Dwa silniki Rolls Royce Spey 511 pozwalają przebyć tej maszynie, przy pełnych zbiornikach paliwa i uwzględnieniu półgodzinnej rezerwy, dystans 4117 mil. Samolot, lecąc na wysokości 43.000 stóp z szybkością 483 mil na godzinę i mając korzystny wiatr z tyłu, pokonał Atlantyk w siedem i pół godziny.

Uwzględniając sześciogodzinną różnicę czasu, była godzina 11.30 wieczorem, kiedy zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych wylądował w bazie amerykańskiej marynarki wojennej w miejscowości Rota, oddzielonej wodami zatoki od Kadyksu w Andaluzji. Natychmiast przesiadł się do oczekującego helikoptera marynarki wojennej SH2F Sea Sprite. Nie zdążył nawet usiąść, kiedy ten uniósł się i skierował na wschód. Spotkanie było

wyznaczone na szerokiej płaskiej plaży o nazwie Casares. W samochodzie, który przyjechał prosto z Madrytu, czekał tu na niego pracownik madryckiej placówki CIA. Nazywał się Sneed, był młody, zdolny i bez kompleksów, świeżo po szkole CIA w Camp Peary w Virginii. Starał się wyrzeć odpowiednie wrażenie na zastępcy dyrektora, ale Weintraub tylko westchnął.

Ostrożnie przejechali przez Manilwę, gdzie operatywny Sneed dwa razy pytał się o drogę. Alcantara del Rio znaleźli tuż po północy. Trudniej było odnaleźć pobielaną stojącą za miastem *casitę*, drogę wskazał im uczynny wieśniak.

Było ciemno, kiedy limuzyna stanęła. Sneed zgasił motor. Wysiedli, przyjrzeni się pogrążonemu w ciemności domowi. Sneed spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte tylko na klamkę. Weszli prosto do dużego chłodnego pomieszczenia na parterze. Przy świetle księżycy Weintraub mógł rozpoznać szczegóły wyposażenia: wyprawione wołowe skóry na kamiennej podłodze, proste krzesła, stary, klasztorny stół z hiszpańskiego dębu, ściana wypełniona książkami.

Sneed zaczął kręcić się szukając kontaktu. Weintraub zauważył trzy lampy naftowe i wiedział, że tamten traci czas. Na pewno jest tu generator na ropę, dostarczający elektryczność do gotowania i mycia, prawdopodobnie wyłączany na noc. Sneed nie przestawał hałasować. Weintraub zrobił krok do przodu. Poczul czubek noża tuż pod płatkiem prawego ucha i zamarł. Mężczyzna musiał bezszelestnie zejść po kamiennych schodach prowadzących z sypialni.

- Dużo czasu minęło od Son Tay, Quinn - powiedział półgłosem Weintraub. Czubek noża odsunął się od żyły na jego szyi.

- O co chodzi, sir? - zapytał wesoło Sneed z drugiego końca pokoju. Po kamiennej podłodze przebiegł cień, w ciemności zajaśniał płomień zapałki i stojąca na stole lampa naftowa wypełniła pokój ciepłym światłem. Sneed podskoczył do góry. Major Kerkorian w Belgradzie pokochałby go za to.

- Męcząca podróż - powiedział Weintraub. - Nie przeszkadza ci, że usiądę?

Quinn był owinięty w pasie bawełnianym ręcznikiem, niczym wschodnim sarongiem. Nagi do pasa, pochylony, naznaczony ciężką pracą. Na widok pokrywających go szram, Sneedowi opadła szczęka.

- Ja już się w to nie bawię, David - powiedział Quinn. Usiadł przy klasztorным stole, na drugim jego końcu, naprzeciwko Weintrauba. - Jestem na emeryturze.

Pchnął kubek i kamienny dzban czerwonego wina w stronę Weintrauba. Ten nalał sobie, wypił i kiwnął głową z uznaniem. Proste czerwone wino. Takiego próżno szukać na stołach bogatych. Wino wieśniaków i żołnierzy.

- Proszę, Quinn.

Sneed był zdumiony. Zastępcy dyrektora nie mówią „proszę”. Oni wydają rozkazy.

- Nie jadę - powiedział Quinn. Sneed wszedł w krąg światła, miał rozpiętą marynarkę. Odwinął połą, tak żeby można było dostrzec kolbę pistoletu, tkwiącego w kaburze. Quinn nie spojrzał nawet na niego; patrzył na Weintrauba.

- Co to za dupek? - zapytał grzecznie.

- Sneed - odezwał się głośniejszym głosem Weintraub - idź, sprawdź powietrze w oponach.

Sneed wyszedł na zewnątrz. Weintraub westchnął.

- Quinn. Ta sprawa w Taorminie. Mała dziewczynka. Wiemy, że to nie była twoja wina.

- Czy ty nie rozumiesz? Ja już się w to nie bawię. Skończone. Nigdy więcej. Niepotrzebnie przyjeżdżałeś. Znajdź sobie kogoś innego.

- Nie ma innego. Brytyjczycy mają swoich ludzi, całkiem niezłych. Waszyngton twierdzi, że potrzebujemy Amerykanina. W kraju nie mamy nikogo, kto by mógł tobie dorównać.

- Waszyngton myśli tylko o tym, jak uratować własny tyłek - powiedział ostro Quinn.

- Tak było zawsze. Potrzebują kogoś, na kogo można będzie wszystko zwalić, jeśli rzecz się nie uda.

- Może i tak - przyznał Weintraub. - Ostatni raz. Quinn. Nie dla Waszyngtonu, nie dla tych, co rządzą, nawet nie dla chłopaka. Dla rodziców. Trzeba dla nich zrobić wszystko. Powiedziałem Komitetowi, że się włączysz.

Quinn rozejrzał się po pokoju, przyglądając się nielicznym posiadaniom przez siebie rzeczom, tak jakby nie miał ich już nigdy w życiu zobaczyć.

- Mam swoją cenę - powiedział w końcu.

- Wymień ją - odparł bez ogródek zastępca dyrektora.

- Zbierzcie moje winogrona. Zaczyna się winobranie.

Dziesięć minut później wyszli z domu. Quinn dźwigał jutowy worek, ubrany był w ciemne spodnie, trampki na gołych nogach i koszulę. Sneed otworzył drzwi samochodu. Quinn siadł na miejscu obok kierowcy, Weintraub za kierownicą.

- Ty zostajesz - powiedział do Sneeda. - Musisz zebrać winogrona.

- Zebrać co? - otworzył usta Sneed.

- Słyszałeś. Rano zejdiesz do wioski, wynajmiesz robotników i zbierzesz winogrona z tej plantacji. Zawiadomię szefa w Madrycie, że wszystko jest w porządku.

Przez krótkofalówkę wezwał helikopter. Kiedy przyjechali na plażę Casares, w powietrzu unosił się już Sea Sprite. Wdrapali się na pokład i tnąc przed sobą aksamitną ciemność odlecieli do Roty i do Waszyngtonu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Davida Weintrauba nie było w Waszyngtonie zaledwie dwadzieścia godzin. Na ośmiogodzinnym przelocie z Roty do Andrews zarobił dzięki różnicy czasu sześć i wylądował w marylandzkiej kwaterze 89 Wojskowego Oddziału Lotniczego o czwartej rano. Od nieprzewidzianego incydentu rządu Waszyngtonu i Londynu były faktycznie w stanie oblężenia.

Istnieje niewiele więcej budzących grozę obrazków, jak ten, kiedy sprzysiężone siły światowych mass mediów tracą resztki umiaru. Ich apetyt jest nienasycony, a metody brutalne.

Samoloty ze Stanów Zjednoczonych do Londynu lub dowolnego brytyjskiego portu lotniczego były zapchane od drzwi pokładu po toalety, jako że każde godne jakiegokolwiek wzmianki pismo posyłało swoją ekipę do stolicy brytyjskiego królestwa. Po dotarciu na miejsce dziennikarze wpadali w szal; każda minuta była na wagę złota, a tymczasem nic nie mieli do przekazania. W porozumieniu z Białym Domem Londyn postanowił trzymać się pierwotnej wersji w postaci nader lapidarnego komunikatu, który naturalnie zawierał tyle, co nic.

Ekipy telewizyjne i reporterzy obstawili willę na Woodstock Road, jakby jej ściany ukrywały zaginionego młodego człowieka. Drzwi pozostały jednak szczelnie zamknięte do chwili, gdy na rozkaz Creightona Burbanka grupa Secret Service spakowała dokładnie wszystko i była gotowa do odjazdu.

Oksfordzki koroner, korzystając ze swych uprawnień, na mocy artykułu 20 Nowelizacji Ustawy o Urzędzie Koronera, wydał zwłoki dwóch agentów Secret Service, jak tylko patolodzy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych skończyli obdukcję. Formalnie przekazano je ambasadorowi Charlesowi Fairweatherowi, występującemu w imieniu najbliższych krewnych, faktycznie zaś zostały odwiezione pod eskortą przez starszego rangą pracownika ambasady do amerykańskiej bazy opodal Upper Heyford. Straż honorowa dopilnowała tam załadunku trumien, które przetransportowano do Bazy Sił Powietrznych Andrews w asyście kolejnych dziesięciu agentów, po wyjściu z budynku w Summertown niemal stratowanych przez żadną informację tłum.

Dziennikarze wrócili do Stanów, by spotkać Creightona Burbanka i wszcząć znużające dociekanie przyczyn tego partactwa. W Anglii nie mieli już nic do roboty.

Nawet po zamknięciu willi w Oksfordzie garstka niepocieszonych reporterów wystawała w pobliżu, licząc na to, że coś się wydarzy. Inni ganiali po miasteczku uniwersyteckim i przepatrywali każdy kąt, ścigając ludzi, którzy kiedykolwiek znali Simona Cormacka: adiunktów, braci studencką, personel, barmanów, sportowców. Dwóch amerykańskich studentów z Oksfordu, acz z różnych college'ów, musiało się ukryć. Matka jednego, odszukana w Ameryce, była na tyle miła, by wyznać, że natychmiast ściągnie swojego chłopca i ulokuje w bezpiecznym miejscu w śródmieściu Miami. Spowodowało to notatkę w prasie, która postawiła damę w świetle reflektorów.

Ciało sierżanta Dunna przekazano rodzinie i policja Obszaru Doliny Tamizy przygotowała się do ceremonii pogrzebowej ze wszystkimi honorami.

Istniejące dowody rzeczowe sprowadzono do Londynu. Sprzęt wojskowy trafił do Królewskiego Instytutu Badawczo-Rozwojowego Wojsk Pancernych w Fort Halstead koło Sevenoaks w Kent, gdzie amunicję ze Skorpiona prędko zidentyfikowano, podkreślając, iż nie wyklucza się udziału europejskich terrorystów, czego jednak nie podano do wiadomości publicznej.

Inne dowody powędrowały do laboratorium Scotland Yardu w Fulham. Były to żdzbla pogiętej trawy z plamkami krwi, grudki gliny, odlewy opon, lewarek samochodowy, ślady stóp, kule wyjęte z ciał trójki zabitych i kawałki szkła z roztrzaskanej szyby ochronnej śledzącego samochodu. Pierwszego dnia przed zmrokiem Równina Shotover wyglądała, jakby ją przeleciało odkurzaczem.

Samochód pojechał na platformie ciężarówki do sekcji pojazdów brygady zwalczania poważnych przestępstw. Znacznie jednak ciekawsza była furgonetka odnaleziona w spalonej do cna stodole. Eksperci, którzy rozpełzli się po jej zwęglonych belkach, wychynęli czarni od sadzy. Zardzewiały łańcuch farmera został bez najmniejszych trudności zerwany z wrót; jedyne, co mogli zameldować, to fakt rozprawienia się z nim standardowym przecinakiem. Lepszą wskazówkę stanowił ślad limuzyny, która ruszyła z tego pola po zmianie wozów.

Wypaloną furgonetkę po przetransportowaniu jej do Londynu w specjalnej skrzyni metodycznie rozebrano na części. Tablice rejestracyjne były fałszywe, przestępcy dołożyli jednak nie lada starań, ponieważ mogłyby się teoretycznie znaleźć na aucie z tego rocznika produkcji.

Furgonetkę remontował, naprawiał i regulował fachowy mechanik - przynajmniej tyle byli w stanie stwierdzić. Ktoś próbował usunąć numery podwozia i silnika za pomocą wolframowo-karbidowej szlifierki kątowej, dostępnej w każdym sklepie z narzędziami,

sprężonej ze świdrem mechanicznym. Mało skutecznie. Numery, wytłaczane na metalu, ujawniono dzięki spektroskopowemu badaniu głębszej warstwy.

Główny komputer rejestracji pojazdów w Swansea ustalił prawdziwe numery rejestracyjne wraz z nazwiskiem ostatniego właściciela. Podał, że mieszka on w Nottingham. Adres sprawdzono; posiadacz się przeprowadził. Aktualnego adresu brak. I na tym wszystkie nici się urywały...

Nigel Cramer z wybiciem każdej kolejnej godziny składał meldunki komitetowi COBRA, ten natomiast przekazywał je swoim sekcjom. Langley upoważniło Lou Collinsa, ich człowieka w Londynie, do ogłoszenia, że oni też mobilizują wszystkich agentów, jacy przeniknęli do europejskich grup terrorystycznych. Zebrało się ich wcale dużo. Kontrywiad i służby antyterrorystyczne w krajach, gdzie działały takie grupy, również oferowały wszelką możliwą pomoc. Pościg zataczał coraz szersze kręgi, ale do wielkiego uderzenia nie doszło. Na razie.

Porywacze milczeli. Z chwilą pojawienia się pierwszej informacji w prasie linie telefoniczne do Kidlington, Scotland Yardu, ambasady amerykańskiej na Grosvenor Square i najrozmaitszych urzędów były okupowane na okrągło. Do obsługi musiano oddelegować dodatkowy personel. Trzeba przyznać, że Brytyjczycy naprawdę próbowali pomóc. Każdy telefon był sprawdzany, niemal wszystkie inne sprawy kryminalne zesłyły na drugi plan. Wśród tysięcy rozmówców trafiali się wariaci, pomyłenci, kawalarze, optymiści, natchnieni nadzieją, ludzie przydatni i zwyczajne głupki.

Pierwszy filtr stanowiła linia operatorów centrali telefonicznej, następny - mnóstwo policjantów, którzy w skupieniu wysłuchiwali uwag i zgadzali się, że sunący po niebie obiekt w kształcie cygara może być wielkiej wagi i sprawę rozpatrzy sama pani premier. Ostatecznego odsiewu dokonywali starsi oficerowie, przeprowadzając rozmowy z ich zdaniem „realnymi świadkami”. Zaliczyli do nich dwóch podróżujących wczesnym rankiem kierowców, którzy widzieli zieloną furgonetkę między Wheatley a Stanton St John. Ale wszystko kończyło się na stodole.

Nigel Cramer rozgryźł w swoim czasie parę trudnych przypadków. Zaczynał jako zwykły policjant, po czym przeniósł się do roboty detektywistycznej, w której strawił trzydzieści lat. Wiedział, że przestępca zawsze zostawia ślad, ilekroć człowiek czegoś dotknie, nieodmiennie zostawia mikroskopijne ślady. Dobry gliniarz potrafi je odkryć, zwłaszcza z pomocą nowoczesnej techniki, jeśli szuka dostatecznie uważnie. Co pochłania czas - a tego nie mieli. Zetknął się wprawdzie z kilkoma sprawami, wymagającymi błyskawicznego działania, ale nie takimi jak ta.

Wiedział też, że gdy odłożyć na bok całą światową technikę, skuteczny detektyw to zwykle fartowny detektyw. Prawie bez wyjątku “strzał w dziesiątkę” brał się ze szczęścia detektywa i pecha przestępcy. W przeciwnym razie bandzior bezszelestnie znikał. Ale fartowi można dopomóc, dlatego przykazał swym rozproszonym ekipom nie bagatelizować niczego, dosłownie niczego, choćby się rzecz mogła wydawać głupia czy błaha. Po upływie dwudziestu czterech godzin zaczął jednak myśleć jak jego kolega z policji lokalnej, że nic tu nie wskazuje na “szybkościowe”. Zwiali czyści i ich odnalezienie będzie oczywistą mordęgą.

W grę wchodził także inny aspekt - zakładnik. Fakt, że był synem prezydenta, czynił sprawę polityczną, a nie policyjną. Ale nawet syn sutenera to też istota ludzka. Ścigając kogoś z workiem skradzionych pieniędzy albo mordercę, człowiek koncentruje się wyłącznie na celu. Ze względu na zakładnika pościg powinien być bardzo dyskretny. Jeśli spłoszy się kidnaperów, wówczas nie zważając na zainwestowane w przestępstwo czas i pieniądze, mogą uciec, zostawiwszy za sobą trupa. To właśnie przekazał przygnębiłemu komitetowi tuż przed północą czasu londyńskiego. A godzinę później, Hiszpanii, David Weintraub raczył się z Quinnem kieliszkiem wina. Cramer, brytyjski gliniarz, nic o tym nie wiedział. Na razie.

Scotland Yard prywatnie przyzna, że ma z rodzimą prasą lepsze układy niż by się z pozoru mogło zdawać. W drobiazgach często się nawzajem drażnią, ale kiedy sprawa jest naprawdę poważna, wydawcy pism i ich właściciele zwykle ulegają wobec rzeczowych argumentów i trzymają język za zębami. Przez sprawę “poważną” rozumie się taką, kiedy zagrożone jest życie ludzkie bądź bezpieczeństwo państwa. Stąd też, choć redaktorzy znali większość szczegółów, niektóre przypadki porwań prowadzono bez cienia rozgłosu.

Tym razem z powodu wścibstwa pewnego młodego reportera w Oksfordzie wiadomość się rozniosła i prasa brytyjska niewiele mogła zrobić, żeby rzecz całą przystopować. Nadkomisarz sir Peter Imbert osobiście spotkał się z ośmioma właścicielami pism, dwudziestoma wydawcami, szefami dwóch sieci telewizyjnych i dwunastu rozgłośni radiowych. Dowodził, że bez względu na to, co zagraniczne mass media wydrukują albo powiedzą, istnieje szansa, że kidnaperzy, zaszyci gdzieś na terenie Wielkiej Brytanii, będą słuchać radia brytyjskiego, oglądać brytyjską telewizję i czytać brytyjskie gazety, Prosił o nieplodzenie żadnych wariackich opowieści tej treści, jakoby policja ich okrążała i że nadciąga godzina szturmowa ich fortecy. Taka właśnie historyjka wystarczyłaby im w zupełności, żeby zabić zakładnika i dać nogę. Uzyskał to, czego chciał.

W Londynie był wczesny ranek, gdy daleko na południu nad ciemniejącymi Azorami VC20A szybował do Waszyngtonu. Kidnaperzy istotnie się zaszyli. Poprzedniego ranka Volvo, minąwszy Buckingham, przecięło autostradę M1 na wschód od Milton Keynes i

skręciło na południe w kierunku Londynu, wtapiając się o tej porze w karawanę żelastwa sunącego ku stolicy, zagubione wśród molochów ciężarówek i ludzi kursujących regularnie ze swoich domów w Buckinghamshire, Bedfordshire i Hertfordshire do pracy i z powrotem. Na północ od Londynu Volvo udało się na M25, potężną obwodnicę, która opasuje miasto w odległości około dwudziestu pięciu mil od centrum. Z M25 rozchodzą się niczym szprychy koła magistrale łączące prowincję z Londynem.

Volvo przypuszczalnie pomknęło jedną z owych szprych i przed dziesiątą rano wśliznęło się do garażu willi opodal trzypasmowej alei, milę od centrum niewielkiego miasteczka, a niespełna czterdzieści mil w linii prostej od Scotland Yardu. Dom był dobrze wybrany: stał nie aż w takim odosobnieniu, by wzbudzać zainteresowanie potencjalnych nabywców, a przy tym nie zanadto blisko wścibskich sąsiadów. Nim tam dotarli, dwie mile od celu, szef rozkazał trzem kompanom zsunąć się i przycupnąć poniżej poziomu szyb. Dwaj siedzący z tyłu położyli się, jeden na drugim, naciągając na siebie koc. Osoba postronna mogła zobaczyć jednego tylko brodatego mężczyznę w garniturze, który, minawszy bramę, wjeżdża do garażu.

Drzwi garażu otworzył automat obsługiwany z wnętrza wozu i również automat je zamknął. Dopiero wówczas szef pozwolił swoim ludziom wychynąć na powierzchnię i wygramolić się na zewnątrz. Garaż stanowił część domu, do którego prowadziły wewnętrzne drzwi.

Przed otwarciem bagażnika cała czwórka na powrót wdziała czarne dresy i także wełniane kominiarki. Simon Cormack, lekko oszołomiony, popatrzył mętnie i zmrużył oczy od światła, które go nagle oślepiło. Nim zdążył się przyzwyczaić, zarzucono mu na głowę czarny serżowy kaptur. Nie dostrzegł ani kawałka swoich porywaczy. Nogi miał jak z waty.

Został wprowadzony do mieszkania, a potem schodkami w dół do piwnicy. Była już przygotowana; czysta podłoga z białego betonu, oświetlenie przesłonięte nietłukącym się szkłem, żelazne, przyśrubowane do podłoża łóżko i kubel z plastikową pokrywą, w drzwiach natomiast, zamykanych na rygiel i dwie stalowe zasuwy - judasz.

Mężczyźni nie byli brutalni. Przeniósłszy młodego człowieka na łóżko, olbrzym unieruchomił go, a ktoś inny zakładał obrączkę na kostkę, nie na tyle ciasno, by przyplątała się gangrena, dostatecznie jednak solidnie, żeby zapobiec ewentualnemu wysunięciu się stopy. Przez drugą obrączkę, zaciśniętą na dobre, przeciągnęli długi na dziesięć stóp łańcuch, który następnie szczepili kłódką. Drugi koniec łańcucha był już starannie przymocowany do nogi łóżka. Też na kłódkę, i wyszli. Nie powiedzieli ani słowa, nigdy zresztą nie powiedzą.

Odczekał pół godziny, nim odważył się ściągnąć kaptur. Nie wiedział, czy nadal tam są, mimo że słyszał trzask zamykanych drzwi i szcęk zasuw. Choć rąk mu nie skrępowali, ostrożnie zdejmował kaptur. Nic. Żadnych ciosów ani wrzasków. Nareszcie. Zmrużył oczy, a gdy przywykły do światła, rozejrzał się. Pamięć miał jak durszlak. Przypominał sobie bieg po miękkiej, sprężystej trawie, zieloną furgonetkę, człowieka zmieniającego koło, dwie podbiegające ku niemu zamaskowane na czarno postaci, huk wystrzału, uderzenie, ciężar czyjegoś ciała na sobie i trawę w ustach.

Zapamiętał otwarte drzwi furgonetki, usiłowanie krzyku, ból wszystkich kości, materace wewnątrz wozu, dużego człowieka, który go przytrzymał, coś aromatycznie słodkiego na wargach, a dalej już nic. Aż dotąd. Do tej właśnie chwili. Nagle oprzytomniał i gdy wróciła świadomość, ogarnął go lęk. I uczucie osamotnienia, kompletnej izolacji. Starał się być dzielny, lecz strach zwyciężył i łzy popłynęły mu z oczu.

- O, tato - wyszeptał. - Przepraszam, tato. Pomóż mi.

O ile urzędnikom w Whitehall doskwierały problemy związane z powodzią telefonów i pytań dziennikarzy, o tyle presja na Biały Dom była po trzykroć uciążliwsza. Pierwsza wzmianka o sprawie wyszła poza Londyn o siódmej wieczorem czasu brytyjskiego, o czym Biały Dom uprzedzono godzinę wcześniej. Tymczasem w Waszyngtonie była dopiero druga po południu i reakcja amerykańskich mass mediów okazała się zgoła szaleńcza.

Craig Lipton, rzecznik prasowy Białego Domu, strawił godzinę w Sali Posiedzeń z członkami komitetu, instruującymi go, co ma powiedzieć. Kłopot polegał na tym, że nie było tego wiele. Fakt uprowadzenia, jak też śmierć dwóch ludzi z Secret Service mogli potwierdzić. Plus to, iż syn prezydenta, świetny sportowiec, specjalizujący się w biegach przełajowych, odbywał w tym czasie trening.

To rzecz jasna nie rozwiąże sprawy. Najmądrzejszy po szkodzie jest wkurzony dziennikarz. Creighton Burbank, zgadzając się wprawdzie, że nie będzie krytykował prezydenta ani oskarżał Simona, oświadczył jasno i wyraźnie, iż nie pozwoli zwać winy na Secret Service, skoro specjalnie prosił o więcej ludzi. Osiągnięto kompromis: nie ośmieszać żadnej ze stron. Jim Donaldson zauważył, że jako sekretarz stanu nadal musi utrzymywać stosunki z Londynem, toteż zadrażnienia między dwiema stolicami absolutnie niczego nie załatwią, wręcz przeciwnie - mogą poważnie zaszkodzić. Nalegał, by Lipton zaznaczył, że został zamordowany także sierżant policji brytyjskiej. Na propozycję przystano, acz sztab prasowy Białego Domu nie przywiązywał do tego zbytnej wagi.

Lipton, stawivszy czoło rozwrzeszczanym dziennikarzom tuż po czwartej, złożył oświadczenie, emitowane na żywo przez telewizję i radio. Gdy tylko skończył, podniósł się

tumult. Zastrzegł, iż nie udzieli odpowiedzi na żadne pytanie. Z równym powodzeniem ofiara w rzymskim Koloseum mogłaby sugerować lwom, że jest w rzeczywistości przeraźliwie chudym chrześcijaninem. Zgiełk przybrał na sile. Dużo pytań w nim utonęło, ale niektóre zdołały dotrzeć do uszu stu milionów amerykańskich odbiorców i ziarno zostało posiane. Czy Biały Dom obwinia Brytyjczyków? Eee... cóż, nie... Czemu nie? Czy nie do nich należało zapewnienie ochrony? No niby tak, ale... Czy wobec tego Biały Dom obwinia Secret Service? Niezupełnie... Dlaczego było tylko dwóch do pilnowania syna prezydenta? Jak to się stało, że biegał prawie sam na takim odludziu? Czy to prawda, że Creighton Burbank zgłosił rezygnację? Czy kidnaperzy już się skontaktowali? Na to ostatnie mógł z wyraźną ulgą odrzec „nie”, lecz natychmiast sprowokowano go do rozwinięcia wypowiedzi. O to właśnie im chodziło. Reporterzy potrafią zwietrzyć umykającego rzecznika niczym limburski ser.

Wreszcie złany potem Lipton zrejęterował i skłonny był wrócić do Grand Rapids. Urok pracy w Białym Domu szybko prysł. Redaktorzy serwisów informacyjnych w telewizji i radiu oraz autorzy wstępniaków mogli mówić i wypisywać, co chcą, nie przejmując się odpowiedziami rozmówców. Do zmroku opinie prasy pod adresem Wielkiej Brytanii brzmiały coraz bardziej zjadliwie.

W ambasadzie brytyjskiej przy Massachusetts Avenue attache prasowy, który również słyszał o CYA, złożył oświadczenie. Wyrażając konsternację i szok swego kraju z powodu zajścia, prześliznął się do dwóch kwestii. Otóż nieznaczny udział policji brytyjskiej w zapewnieniu ochrony synowi prezydenta był zadośćuczynieniem prośbie Amerykanów, a sierżant Dunn jako jedyny oddał dwa strzały do porywaczy, co przypłacił życiem. Nie tego oczekiwano, lecz sporządzono dziennikarską notkę. Creighton Burbank wpadł w furję. Obaj panowie dobrze wiedzieli, że owa skromna - a faktycznie namolna - prośba wyszła od Simona Cormacka za pośrednictwem jego ojca, czego jednak nie wolno było powiedzieć.

Fachowcy z Grupy Antykryzysowej, spotkawszy się w ciągu dnia w usytuowanym w suterenie Pokoju Sytuacyjnym, rejestrowali potok informacji przesyłanych z COBRY w Londynie i w razie konieczności przekazywali wyżej. Usprawniono aparaturę kontrolną wszystkich połączeń telefonicznych do i z Wielkiej Brytanii na wypadek, gdyby porywacze odezwali się via satelita. Psychologowie FBI z Quantico sporządzili listę portretów psychologicznych dotychczasowych kidnaperów, wykaz czynności, jakie ludzie, którzy uprowadzili Cormacka, są lub nie są w stanie popełnić, tudzież zestawienie tego, co władze angielskie i amerykańskie powinny, a czego nie powinny robić. W Quantico lada chwila oczekiwali wezwania do stadnego lotu do Londynu i ogromnie byli zdumieni zwłoką, mimo że żaden z nich nigdy nie działał w Europie.

W Sali Posiedzeń komitet rządowy żył nerwami, kawą i tabletkami z antacidum. Był to pierwszy poważniejszy kryzys w tej kadencji, toteż politykom w średnim wieku przyszło odczuć na własnej skórze gorzką lekcję jego zażegnania. Odbije się ona dotkliwie na ich i śnie, więc śpij, człowieku, ile wlezie i kiedy to tylko możliwe. Członkowie rządu, zerwawszy się o czwartej rano, jeszcze o północy byli na nogach.

W tym czasie VC20A leciał właśnie nad Atlantykiem, spory kawałek na zachód od Azorów, ujrzenia lądu spodziewano się za trzy i pół godziny, lądowania za cztery. W przestronnym tylnym sektorze podsyiała para weteranów, Weintraub i Quinn. Za nimi drzemała trzyosobowa załoga, która prowadziła odrzutowiec do Hiszpanii, wieziona teraz z powrotem przez zmienników.

Panowie zebrani w Sali Posiedzeń Gabinetu wertowali dossier człowieka o nazwisku Quinn, wyszperane z kartotek Langley, uzupełnione danymi z Pentagonu. Wynikało z niego, że urodził się na farmie w Delaware. Stracił matkę, kiedy miał lat dziesięć; teraz liczył sobie czterdzieści sześć. Wstąpił do piechoty w 1963 roku jako osiemnastolatek, dwa lata później przeniesiony do Sił Specjalnych, Zielonych Beretów, po następnych czterech miesiącach pojechał do Wietnamu. Spędził tam pięć lat.

- Nigdy bodaj nie używa imienia - skrzywił się Reed, minister skarbu. - Piszą, że nawet przyjaciele mówią mu Quinn. Po prostu Quinn. Dziwne.

- Bo on jest dziwny - zauważył Bill Walters, bardziej zaawansowany w lekturze. - Odnotowują, że nienawidzi przemocy.

- Nie ma w tym nic dziwnego - zareplikował Jim Donaldson, prawnik z New Hampshire, sekretarz stanu. - Też nienawidzę przemocy.

W odróżnieniu od swego poprzednika, Geoga Shultza, który z rzadka wprawdzie, acz jednak uciekał się do miotania grubych przekleństw, Jim Donaldson był nudnym pedantem, co często czyniło zeń wymarzony przedmiot drwin Michaela Odella. Szczupły i kanciasty, wyższy nawet od Johna Cormacka, do złudzenia przypominał maszerującego w kondukcje żalobnym flaminga, nieodmiennie w trzyczęściowym ciemnoszarym garniturze, ze złotym zegarkiem na łańcuszku i sztywnym białym kołnierzykiem. Odell, ilekroć nasza' go chętką wykpienia oschłości prawnika z Nowej Anglii, z premedytacją napomynał o nieprzyzwoitych funkcjach ciała, na co ostry nos Donaldsona marszczył się z obrzydzenia. Jego stosunek do przemocy był podobny do wstrętu, jaki odczuwał wobec braku ogłady.

- Owszem - odparł Walters - ale nie przeczytałeś strony osiemnastej.

Donaldson zrobił to, Michael Odell również - i gwizdnął.

- Czy to rzeczywiście prawda? - zapytał. - Jeśli tak, facet powinien dostać medal Kongresu.

- Do medalu potrzebni są świadkowie - zauważył Walters. - Tymczasem potyczkę nad Mekongiem przeżyło tylko dwóch ludzi. Quinn niósł tego drugiego na własnym grzbiecie czterdzieści mil, a potem gość zmarł od ran w szpitalu wojskowym w Da Nang.

- Ale - wtrącił ostrożnie Hubert Reed - i tak zdobył Srebrną Gwiazdę, dwa Brązowe i pięć Purpurowych Serc. Jakby bycie rannym równało się przyjemności, bo dadzą człowiekowi więcej baretek.

- Razem z medalami wojennymi facet musi mieć ich ze cztery rządki - zadumał się Odell. - Ani słowem nie wspomnieli, jak poznał Weintrauba.

Nie wspomnieli. Weintraub, obecnie pięćdziesięcioletni, był osiem lat starszy od Quinna. Wstąpił do CIA w 1961 roku zaraz po skończeniu college'u, kiedy miał dwadzieścia cztery lata, odbył ćwiczenia w Farum - kryptonim Camp Peary nad rzeką York w Wirginii - po czym w 1965 roku pojechał do Wietnamu jako oficer GS12, mniej więcej w tym samym czasie, gdy młody Zielony Beret zwany Quinnem dotarł tam z Fort Bragg.

W roku 1961 i 1962 dziesięć drużyn A z amerykańskich Sił Specjalnych stacjonowało w prowincji Darlac, gdzie budowały z chłopami strategiczne, ufortyfikowane wioski zgodnie z wykorzystywaną przez Brytyjczyków w walce z komunistyczną partyzantką na Malajach teorią „oil-spot”, polegającą na odmawianiu terrorystom wsparcia, zaopatrzenia, żywności, schronienia, informacji i pieniędzy. Amerykanie określili to mianem polityki „serc i umysłów”, która pod nadzorem Sił Specjalnych sprawnie funkcjonowała.

W 1964 roku władzę objął Lyndon Johnson. Armia obstawała, by Siły Specjalne ponownie przekazać z CIA pod jej kuratelę. Wygrała. Przekreśliło to kontynuację polityki „serc i umysłów”, jakkolwiek trzeba było dwóch kolejnych lat, nim definitywnie runęła w gruzy. Właśnie wtedy doszło do spotkania Weintrauba i Quinna. Człowiek CIA zbierał informacje o Vietcongu, wprawnie i sprytnie, żywiąc odrazę do metod stosowanych przez ludzi pokroju Irvinga Mossa (nie widział go, odkąd znaleźli się w różnych częściach Wietnamu), choć miał pełną świadomość, że je niekiedy wykorzystywano w programie Phoenix, w którym sam brał udział.

Siły Specjalne coraz bardziej odciągano od programu budowy wiosek i wysyłano na misje poszukiwawczo-niszczycielskie w najgłębszą dżunglę. W barze przy piwie spotkało się dwóch mężczyzn; Quinn liczył lat dwadzieścia jeden i siedział w Wietnamie od roku, człowiek CIA dwadzieścia dziewięć i miał taki sam staż. Obaj mieli podstawę do przypuszczeń, że dowództwo nie wygra wojny, rzucając do ataku artylerię. Weintraub

ogromnie polubił owego nieustraszonego młodego żołnierza. Możliwe, że był samoukiem; miał głowę nie od parady, i co wśród wojskowych stanowiło rzadkość, biegle opanował wietnamski. Nie zerwali kontaktu. Ostatnio Weintraub widział Quinna podczas zdobywania Son Tay.

- Piszą, że facet był w Son Tay - wycedził Michael Odell. - Hultaj.

- Że też z taką przeszłością nie został oficerem - zdziwił się Morton Stannard. - Pentagon ma trochę ludzi z identycznymi odznaczeniami za Wietnam, którzy dostali szlify oficerskie przy pierwszej okazji.

David Weintraub mógłby im udzielić odpowiedzi, gdyby od celu nie dzieliło go sześćdziesiąt minut. Po odzyskaniu nadzoru nad Siłami Specjalnymi ortodoksyjni wojskowi, którzy nie będąc w stanie ich zrozumieć ziali nienawiścią, przez sześć lat, do roku 1970, sukcesywnie pomniejszali ich rolę i przekazywali coraz większe partie programu „serc i umysłów”, tudzież misje poszukiwawczo-niszczycielskie, armii południowowietnamskiej - z koszmarnymi rezultatami.

Mimo to Zielone Berety parły naprzód, próbując nawiązać walkę z Vietcongiem podstępem raczej i przebiegłością niż zmasowanym bombardowaniem czy defoliacją, najzwyczajniej dostarczającymi Vietcongowi rekrutów. Istniały operacje takie jak Omega, Sigma, Delta i Maczuga. Quinn był w Delcie, dowodzonej przez „Nacierającego Charliego” Beckwitha, który później, w roku 1977, zorganizuje oddział Deltę w Fort Bragg i ubłaga Quinna, żeby wrócił z Paryża do armii.

Kłopot z Quinnem polegał na tym, że rozkazy traktował jak życzenia. Czasem je kwestionował i wołał działać na własną rękę - co nie jest bynajmniej dobrą rekomendacją na oficera. Po sześciu miesiącach dostał stopień kaprała, po dziesięciu sierżanta, po czym zdegradowany do szeregowca znów został sierżantem i znów szeregowcem... Jego kariera przypominała bojo.

- Sądzę, że odpowiedź na twoje pytanie, Morton - odezwał się Odell - mamy tutaj. Sprawa po Son Tay. - Zachichotał. - Facet rozwalił generałowi szczękę.

5 Grupa Sił Specjalnych ostatecznie opuściła Wietnam 31 grudnia 1970 roku, trzy lata przed wycofaniem wszystkich jednostek łącznie z oddziałem pułkownika Easterhouse'a, a pięć lat przed zenującą ewakuacją przez dach ambasady pozostałych Amerykanów. Walkę w Son Tay stoczono w listopadzie roku 1970.

Napływały doniesienia o licznych amerykańskich jeńcach wojennych, osadzonych w więzieniu Son Tay, dwadzieścia cztery mile od Hanoi. Zdecydowano, że Siły Specjalne powinny ich odbić. Operacja była skomplikowana i śmiała. Wszystkich pięćdziesięciu ośmiu

ochotników z Fort Bragg w Karolinie Północnej przeszło w Bazie Sił Powietrznych Eglin na Florydzie zaprawę do walk w dżungli. Potrzebny był im tylko człowiek biegle władający wietnamskim. Weintraub, który także brał udział w przedsięwzięciu z ramienia służby wywiadowczej, oświadczył, że kogoś takiego zna. Quinn dołączył do grupy na Tajlandii, skąd już wspólnie polecili do celu.

Operacją dowodził pułkownik Arthur "Byk" Simons, szpica zaś, która ruszyła na mury więzienia, podlegała kapitanowi Dickowi Meadowsowi. Quinn w parę sekund po desancie od osłupiałego północnowietnamskiego wartownika wyciągnął informacje, że dwa tygodnie wcześniej Amerykanów przeniesiono. Żołnierze Sił Specjalnych wyszli cało, tylko kilku doznało powierzchownych obrażeń.

Po powrocie do bazy Quinn napadł na Weintrauba za parszywy wywiad. Człowiek CIA solennie go zapewnił, że duch jeden wiedział o zabraniu Amerykanów i kazał się kłaniać dowodzącemu generałowi. Quinn wmaszerował więc do baru klubu oficerskiego i złamał mu szczękę. Oczywiście incydent zatuszowano. Dobry adwokat może taką sprawą niełicho zapaprać życiorys. Quinn, znów zdegradowany do stopnia szeregowca, poleciał wraz z innymi do domu, a tydzień później złożył dymisję i zajął się ubezpieczeniami.

- Wichrzyciel! - oznajmił z obrzydzeniem Donaldson, zamknawszy akta. - To samotnik, politycznie niezależny, a na dodatek furiat. Myślę, że popełniliśmy błąd.

- Ma jednak niekwestionowane osiągnięcia jako negocjator w paktowaniu z porywaczami - zaznaczył prokurator generalny Bill Walters. - Piszą, że w pertraktacjach z tymi ludźmi nie brak mu sprytu i wyrafinowania. Czternaście udanych akcji w Irlandii, Francji, Holandii, Niemczech i Włoszech. Dokonanych albo przez niego, albo dzięki jego wskazówkom.

- Chodzi nam tylko o to - zauważył Odell - żeby odbił Simona Cormacka całego i zdrowego. Nie ma dla mnie znaczenia, czy walnie pięścią generała, czy zerżnie owcę.

- Proszę... - wtrącił błagalnie Donaldson. - Aha, byłbym zapomniał... Dlaczego odszedł z pracy?

- Zrezygnował - odparł Brad Johnson. - Miało to jakiś związek z zabiciem dziewczynki na Sycylii przed trzema laty. Wziął odprawę, zainkasował polisy i nabył kawałek ziemi na południu Hiszpanii.

Adiutant z Centrum Łącznościowego wetknął głowę w drzwi. Była czwarta rano, dwudziesta czwarta godzina, odkąd ich tutaj ściągnięto.

- Zastępca dyrektora CIA i jego kompan właśnie wylądowali w Andrews - zameldował.

- Sprowadź ich do nas niezwłocznie - polecił Odell. - A nim się zjawia, daj tu dyrektora CIA, szefa FBI i pana Kelly'ego.

Quinn, z trzydniowym zarostem, ciągle miał na sobie ubranie, w którym opuścił Hiszpanię. Naciągnął tylko sweter, dobyty z jutowego worka, żeby się nieco ogrzać. Prawie czarne spodnie od jego jedyne go garnituru, dobre na mszę w Alcantara del Rio - albowiem w wioskach Andaluzji nadal przy takich okazjach obowiązywała czerń - były paskudnie wygniecione. Sweter też pamiętał lepsze czasy.

Członkowie komitetu prezentowali się lepiej. Zmiany świeżo wypranej bielizny, odprasowanych koszul i garniturów dostarczono im z odległych domów, a łazienka była tuż obok. Weintraub przebył trasę Andrews-Biały Dom, nigdzie się nie zatrzymując. Quinn wyglądał jak wyrzutek z szajki doliniarzy.

Człowiek CIA wkroczył pierwszy, po czym usunął się na bok, zrobił przejście koledze i zamknął drzwi. Dyplomaci waszyngtońscy wbili wzrok w Quinna. W ciszy. Wysoki mężczyzna nie rzekłszy słowa podszedł do krzesła u końca stołu, nie czekając za zaproszenie usiadł i powiedział:

- Jestem Quinn.

Wiceprezydent Odell odchrząknął.

- Panie Quinn, poprosiliśmy pana tutaj, ponieważ rozważamy możliwość powierzenia panu misji wynegocjowania bezpiecznego uwolnienia Simona Cormacka.

Quinn skinął głową. Zakładał, że nie sprowadzano by go taki szmat drogi, żeby pogawędzić o futbolu. - Macie aktualne wiadomości o sytuacji w Londynie? - spytał.

Komitet odetchnął z ulgą, gdy od razu przystąpił do rzeczy. Brad Johnson pchnął po stole wydruk dalekopisu, który Quinn zaczął studiować w milczeniu.

- Kawy, panie Quinn? - zaproponował Hubert Reed. Ministrowie skarbu na ogół niczego takiego nie serwują, lecz teraz

Reed podszedł do stojącego przy ścianie ekspresu. Pito straszliwe ilości kawy.

- Bez mleka - powiedział Quinn, czytając. - Jeszcze się nie skontaktowali? Nie było potrzeby pytać, kto.

- Nie - odparł Odell. - Kompletna cisza. Oczywiście były setki telefonów od dowcipnisiów. Niektóre w Anglii. W samym Waszyngtonie odnotowaliśmy tysiąc siedemset. Szaleńcy mają prawdziwe święto.

Quinn czytał dalej. Podczas lotu Weintraub wyczerpująco naświetlił mu tło sprawy. Właśnie dochodził do ostatnich wydarzeń. Było ich diablo mało.

- Czy ma pan jakąś sugestię, panie Quinn, kto by to mógł być? - zapytał Donaldson.

Quinn podniósł oczy.

- Panowie, istnieją cztery rodzaje kidnaperów. Tylko cztery. Z naszego punktu widzenia najlepsi byliby amatorzy. Planują źle. Jeśli powiedzie im się porwanie, zostawiają ślady. Przeważnie można ich zlokalizować. Mają słabe nerwy, co bywa niebezpieczne. Zazwyczaj grupa, która odbija zakładnika, skutecznie wkracza do akcji. Przechytrza ich i uwalnia ofiarę. Ale ci to nie amatorzy.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Przykuł uwagę wszystkich.

- Najgorsi są maniacy, tacy, jak z bandy Mansona. Nieprzystępni i nielogiczni. Nie chcą nic konkretnego, zabijają dla zabawy. Na szczęście ci ludzie nie zakrawają mi na maniaków. Przygotowali się bardzo skrupulatnie, działali według dokładnego planu.

- A dwa pozostałe rodzaje? - spytał Bill Walters.

- Z dwóch pozostałych gorsi są fanatycy, polityczni albo religijni. Ich żądania bywają czasem nie do spełnienia - dosłownie. Nade wszystko szukają sławy i rozgłosu. Mają cel. Niektórzy gotowi są dla niego umrzeć, a wszyscy dla niego zabijają. Nam może się wydawać, że ten cel jest szalony, im - nie. i wcale nie są głupi, tylko o władnięci nienawiścią do establishmentu i stąd do swoich ofiar, które do niego należą. Zabijają niejako z zasady, nie w samoobronie.

- A czwarty typ? - zapytał Morton Stannard.

- Zawodowi przestępcy - odpowiedział bez wahania Quinn. - Chcą pieniędzy, to proste. Biorą zakładnika, sporo inwestują i niechętnie skasują taką lokatę.

- A ci ludzie? - chciał wiedzieć Odell.

- Kimkolwiek są, jedno działa na ich niekorzyść, co wróży dobrze albo źle. Partyzanci w Ameryce Środkowej i Południowej, mafia sycylijska, Camorra w Kalabrii, ludzie w górach Sardynii czy Hezb'Allah na południu Bejrutu operują w bezpiecznych rodzimych warunkach. Nie muszą zabijać, bo się im nie spieszy. Mogą marudzić w nieskończoność. Tymczasem ci zaszyli się w Wielkiej Brytanii, najgorszym z miejsc, w bardzo dla nich nieprzyjaznym otoczeniu. Choćby samo to mocno ich stresuje. Będą chcieli szybko dobić targu i prysnąć.

I dobrze. Ale w obawie przed rychłym nakryciem mogą też wszystko rzucić i zwać, zostawiając zwłoki. A to już źle.

- Będzie pan z nimi negocjował? - spytał Reed.

- Jeśli dam radę. Jeśli się odezwą, a ktoś musi.

- Płacenie takim mętom staje mi kością w gardle! - nie wytrzymał Philip Kelly z wydział śledczego FBI.

Do Biura trafiali ludzie z różną przeszłością. Kelly przyszedł z nowojorskiej policji.

- Zawodowcy okazują więcej miłosierdzia od fanatyków? - zdziwił się Brad Johnson.

- Żadni kidnaperzy nie okazują miłosierdzia - stwierdził sucho Quinn. - To najplugawsza zbrodnia pod słońcem. Cała nasza nadzieja w ich chciwości.

Michael Odell popatrzył po kolegach. Jeden za drugim przytakując kiwali głowami.

- Panie Quinn, pokusi się pan o negocjowanie w sprawie uwolnienia tego chłopca?

- O ile porywacze się zgłoszą, tak. Pod pewnymi warunkami.

- Oczywiście. Proszę je podać.

- Nie pracuję dla rządu USA. Chociaż będzie mnie we wszystkim wspomagał, pracuję wyłącznie dla rodziców. Tylko dla nich.

- Zgoda.

- Działam w Londynie, nie tutaj. Stąd za daleko. Nikt mnie nie będzie sprawdzał, nie chcę żadnego rozgłosu, nic. Dostanę lokum linie telefoniczne według mojego uznania, i pierwszeństwo w negocjacjach, co wymaga ustalenia z Londynem. Niepotrzebna mi wojna ze Scotland Yardem.

Odell rzucił spojrzenie sekretarzowi stanu.

- Sądzę, że potrafimy nakłonić rząd brytyjski do przyjęcia takiego warunku - powiedział Donaldson. - Mają pierwszeństwo prowadzeniu czynności dochodzeniowych, które będą kontynuowane równoległe z negocjacjami. Coś jeszcze?

- Pracuję po swojemu, sam podejmuję decyzje, jak się z tymi ludźmi uporać. Możliwe, że będzie konieczna wymiana pieniędzy.

Trzeba o tym pamiętać. Moje zadanie polega na dostaniu chłopca, wszystko. Po jego uwolnieniu możecie ich sobie ścigać do upojenia.

- Będziemy - złowieszczo burknął Kelly.

- Pieniądze to nie problem - oznajmił Hubert Reed. - Chyba pan rozumie, że nie ma ograniczeń co do sumy, jaką jesteśmy skłonni wyłożyć.

Quinn milczał, acz zdawał sobie sprawę, że powiedzenie tego kidnaperom byłoby najgorszym wyjściem.

- Nie chcę tłoku, żadnych aniołów stróżów ani indywidualnych akcji. A zanim wyjadę, chcę się widzieć z prezydentem Cormackiem W cztery oczy.

- Mówi pan o prezydencie Stanów Zjednoczonych - zaznaczył Lee Alexander z CIA.

- Jest także ojcem zakładnika - odparł Quinn. - Pewne rzeczy, które muszę wiedzieć o Simonie Cormacku. może mi objaśnić tylko on.

- Jest w głębokiej rozpaczycy - zauważył Odell. - Nie mógłby mu pan tego oszczędzić?

- Z mojego doświadczenia wynika, że ojcowie często mają ochotę z kimś porozmawiać, choćby z kimś obcym. A może przede wszystkim z obcym. Wierzcie mi.

Mówiąc to wiedział, że marne ma szansę na spotkanie. Odell westchnął.

- Zobaczą, co się da zrobić. Jim, mógłbyś załatwić sprawę z Londynem? Powiedz, że Quinn przyjeżdża i że tego właśnie chcemy. Ktoś musi mu zorganizować trochę ubrań. Zechciałby pan, panie Quinn, skorzystać z łazienki w korytarzu i nieco się odświeżyć? Ja tymczasem zadzwonię do prezydenta. Jakie jest najszybsze połączenie z Londynem?

- Trzy godziny, Concorde z Dulles - powiedział bez chwili wahania Weintraub.

- Rozejść się - oznajmił Odell i wstał. Wszyscy wstali.

O 10 rano Nigel Cramer miał wiadomości dla komitetu COBRA podległego Whitehallowi. W centrum rejestracji kierowców i pojazdów w Swansea natrafiono na ślad. Przed miesiącem mężczyzna o identycznym nazwisku co zaginiony, właściciel furgonetki Ford Transit nabył i zarejestrował inny samochód, Sherpa. Tym razem był adres - w Leicester. Komandor Williams, szef SO13 i oficer śledczy z urzędu, leciał tam właśnie policyjnym śmigłowcem. Jeśli właściciel już wozu nie posiadał, zapewne go komuś odsprzedał, nie było bowiem meldunku o kradzieży.

Po naradzie sir Harry Marriot odciągnął Cramera na stronę.

- Waszyngton chce się zająć negocjacjami, jeśli do nich dojdzie - powiedział. - Wysyłają swojego człowieka.

- Panie ministrze, stanowczo nalegam, żeby Scotland Yard miał pierwszeństwo na wszystkich odcinkach - zaznaczył Cramer. - Do negocjacji zamierzam pchnąć dwie osoby z wydziału zwiadu środowiska przestępczego. To nie jest terytorium amerykańskie.

- Żałuję - przyznał sir Harry - ale jestem zmuszony to unieważnić. Ustaliłem już z Downing Street. Skoro takie wyrażają życzenie, powinniśmy przystać.

Cramer poczuł się znieważony, co wzmogło jego sprzeciw. Utrata pierwszeństwa w negocjacjach bardziej niż kiedykolwiek utwierdziła go w chęci sfinalizowania sprawy i znalezienia kidnaperów siłami policji śledczej

- Wolno spytać, kim jest ich człowiek, panie ministrze?

- Mówili, że nazywa się Quinn.

- Quinn?

- Tak. słyszał pan o nim?

- Naturalnie. Pracował dla Lloyda. Myślałem, że przeszedł na emeryturę.

- Cóż, Waszyngton donosi, że wrócił. Jest dobry?

- Wprost nadzwyczajnie. Wspaniałe osiągnięcia w pięciu krajach, nie wyłączając Irlandii lata temu. Wtedy go spotkałem. Ofiarą padł obywatel brytyjski, biznesmen, porwany przez kilku renegatów z IRA.

Osobiście Cramerowi ulżyło. Obawiał się jakiegoś psychologa, którego wprowadziłby w zdumienie fakt, że Brytyjczycy jeżdżą lewą stroną.

- Znakomicie - orzekł sir Harry. - Wobec tego uważam, że powinniśmy wspaniałomyślnie ustąpić pola. Będziemy w ścisłej współpracy, dobrze?

Minister spraw wewnętrznych, który także słyszał o zasadzie "Cover Your Ass" (CYA), czyli "Pilnuj Własnego Tyłka" - choć najchętniej wymawiałby i literował ostatnie słowo skrótu jako „Arse”, dupa - nie był wcale zeżłony żądaniem Waszyngtonu. W końcu gdyby coś poszło nie tak...

W godzinę po opuszczeniu Sali Posiedzeń Quinnowi wskazano drogę do prywatnego gabinetu, mieszczącego się na drugim piętrze rezydencji prezydenta. Odell zaprowadził go tam osobiście, jednak nie przez okolony żywopłotem z ostrokrzewu i bukszpanu Ogród Różany, w którym rosły bezlistne jesienią magnolie i lustrowały go z półmilowej odległości wycelowane nań teraz kamery Long Tom, tylko podziemnym korytarzem, połączonym schodami z parterem.

Ciemny garnitur prezydenta Cormacka wyraźnie kontrastował bladością jego zmęczonej twarzy. Zdenerwowanie dało o sobie znać mocno napiętymi mięśniami wokół ust i plamami bezsenności pod oczyma. Uściskawszy im dłonie, skinał na swego zastępcę, który wyszedł z pokoju.

Gestem wskazał Quinnowi krzesło, sam zaś zajął miejsce za biurkiem. Reakcja obronna, mechanizm uruchamiający dystans nie do pokonania. Właśnie zamierzał się odezwać, gdy Quinn zagaił: - Jak się miewa pani Cormack?

Nie „pierwsza dama”, tylko „pani Cormack”, jego żona. Był zaskoczony.

- Śpi. To był straszny szok. Zażyła środek uspokajający. - Zamilkł. - Brał pan już udział w czymś takim, panie Quinn?

- Wiele razy, sir.

- Jak więc pan widzi, za całą tą wytworną fasadą kryje się zwykły człowiek, mocno zatroskany człowiek.

- Tak, sir, wiem. Proszę opowiedzieć mi o Simonie.

- O Simonie?

- Jaki jest. Jak mógłby zareagować na... coś takiego. Dlaczego miał go pan tak późno?

Absolutnie nikt w Białym Domu nie poważyłby się o to spytać. John Cormack spojrział zza biurka. Sam był wysoki, sześć stóp i dwa cale, tymczasem ten mężczyzna dorównywał mu wzrostem. Nosił gustowny szary garnitur, prążkowany krawat, białą koszulę - wszystko co prawda pożyczone, ale prezydent o tym nie wiedział. Świeżo ogolony, spalona słońcem twarz o kamiennym wyrazie, spokojne szare oczy, wrażenie siły i ciepłości.

- Późno? Bo ja wiem. Ożeniłem się w wieku trzydziestu lat; Myra miała dwadzieścia jeden. Byłem wówczas młodym profesorem... Myśleliśmy o skompletowaniu rodziny w ciągu dwóch, trzech lat, ale tak się nie stało. Czekaliśmy. Zdaniem lekarzy nie było żadnych przeciwwskazań... i po dziesięciu latach małżeństwa przyszedł na świat Simon. Miałem czterdziestkę, Myra trzydzieści jeden. To nasze jedno jedyne dziecko... Simon.

- Bardzo go pan kocha, prawda?

Prezydent Cormack popatrzył na Quinna zdumiony. Pytanie wprowadziło go w osłupienie. Wiedział o przemożnej niechęci Odella do dwójki własnych dorosłych dzieci, nigdy się jednak nie zastanawiał, jak bardzo kocha swego jedynaka. Wstał, obszedł biurko i przysiadł na krawędzi krzesła, znacznie bliżej Quinna.

- Jest dla mnie wszystkim, panie Quinn, dla nas obojga. Proszę go nam sprowadzić do domu.

- Niech mi pan coś opowie o jego dzieciństwie, kiedy był mały. Prezydent poderwał się.

- Mam zdjęcie! - obwieścił triumfalnie.

Z sekretarzyka, do którego podszedł, zdjął fotografię w ramce, przedstawiała silnego, cztero- lub pięcioletniego brzdąca w kąpielówkach, stojącego na plaży z wiaderkiem i łopatką, a tuż za nim, roześmiany od ucha do ucha, kucał dumny ojciec.

- Zrobione w Nantucket w siedemdziesiątym piątym. Akurat zostałem wybrany na członka Kongresu w New Haven.

- Proszę mi opowiedzieć o Nantucket - wtrącił łagodnie Quinn.

Prezydent mówił godzinę. Chyba poczuł się lepiej. Kiedy Quinn wstał, zbierając się do wyjścia, Cormack naskrobał na bloczku numer telefonu i wręczył go swemu gościowi.

- To mój prywatny numer. Niewiele osób go zna. Jestem pod nim uchwytany o każdej porze dnia i nocy... - Wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Powodzenia, panie Quinn. Niech Bóg pana prowadzi - próbował zapanować nad sobą.

Quinn skłonił się i pospiesznie wyszedł. Widział już takie reakcje; nadzieja, ta potworna nadzieja.

Podczas gdy Quinn wciąż siedział w łazience, Philip Kelly wrócił do J. Edgar Hoover Building, gdzie miał nań czekać jego zastępca, Kevin Brown. Wiele ich łączyło, dlatego tak nalegał na tę nominację. Kevin był już w biurze i czytał akta Quinna. Kelly zerknął na nie przelocie i usiadł.

- A więc to jest nasz as. Co o nim myślisz?

- Walczył wcale dzielnie - przyznał Brown. - A poza tym kuty na cztery nogi. Jedyna rzecz, jaka mi się u faceta naprawdę podoba, to nazwisko.

- No cóż, wciągnęli go w tę robotę za plecami FBI - stwierdził Kelly. - Don Edmonds nie protestował. Być może bierze poprawkę na to, że jeśli wszystko źle pójdzie... Tak czy owak sukinsyny, które to zrobiły, złamały co najmniej trzy amerykańskie prawa, i chociaż do incydentu doszło na terytorium brytyjskim, nasze Biuro w dalszym ciągu sprawuje jurysdykcję. Nie chcę, żeby to jo-jo, Quinn, działał na własną rękę, bez żadnego nadzoru, choćby nie wiem kto tak uważał.

- Racja - przystał Brown.

- Znasz Patricka Seymoura, człowieka Biura w Londynie?

- Ze słyszenia - mruknął Brown. - Jest w dobrej komitywie z Brytyjczykami. Może nawet za dobrej.

Wyrazy uwielbienia Kevina Browna - niegdyś pracownika policji bostońskiej, Irlandczyka jak Kelly - do Wielkiej Brytanii i Brytyjczyków spokojnie zmieściłyby się na rewersie znaczka pocztowego, a i to jeszcze zostałoby sporo wolnego miejsca. Nie dlatego, żeby miał słabość do ludzi z IRA; capnął nawet dwóch handlujących z nimi dostawców broni, którzy jednak nie powędrowali za kratki, bo wszystko skończyło się w sądzie.

Był staroświeckim, przestrzegającym prawa oficerem i nie chciał mieć nic wspólnego z przestępcami jakiegokolwiek pokroju. Pamiętał, jak w dzieciństwie spędzonym w slumsach Bostonu z szeroko otwartymi oczami słuchał opowieści babki o ludziach mrących w okresie głodu 1849 roku z ustami zielonymi od jedzenia trawy, o szubienicach i strzelaninie w roku 1916. Irlandia, której nigdy nie odwiedził, jawiła mu się jako kraina mgieł i łagodnych wzgórz, pobrmiewających grą na skrzypkach i śpiewem, gdzie bładzili i tworzyli poeci miary Yeatsa czy O'Faolaina. Wiedział, że Dublin roi się od uroczych barów, w których pogodny lud, siedząc nad porterkiem opodal torfowych ognisk, chłonie dzieła Joyce'a i O'Caseya.

Mówiono mu, jakoby w Dublinie istniał najpoważniejszy w Europie problem narkomanii wśród młodzieży, był jednak przekonany, że to tylko londyńska propaganda. Słyszał wypowiedź irlandzkiego premiera na amerykańskiej ziemi, protestującego przeciw

dofinansowywaniu IRA; no cóż, ludzie mają prawo do własnych zapatrywań. On też miał swoje zdanie. Bycie pogromcą przestępców nie wymagało od niego lubienia tych, których uważał za wiecznych prześladowców kraju jego przodków. Siedzący po drugiej stronie biurka Kelly powziął decyzję.

- Seymour jest blisko z Buckiem Revellem, ale ten chwilowo choruje. Dyrektor upoważnił mnie do zajęcia się sprawą z ramienia Biura. A ja nie mam ochoty spuszczać tego Quinna z oka. Chcę, żebyś zebrał dobry zespół i poleciał tam. Samolot startuje w południe. Wylądujesz w parę godzin po Concorde, ale to bez znaczenia. Ulokuj się w ambasadzie. Na wszelki wypadek powiem Seymourowi, że jesteś szefem.

Brown wstał, uradowany.

- Jeszcze coś, Kevin. Potrzebny nam specjalny agent do Quinna. Na stałe, w dzień i w nocy. Jak tylko facet czknie, musimy o tym wiedzieć.

- Znam kogoś idealnego - pośepnie powiedział Brown. - Niezła praktyka, nieustępliwość i bystrość. Poza tym miła powierzchowność. Agent Sam Somerville. Wszystko ci zaraz pokrótce zreferuję...

Tymczasem w Langley David Weintraub rozmyślał, czy kiedykolwiek będzie miał jeszcze szansę na sen. Podczas jego nieobecności papiery służbowe zdołały urosnąć w pokaźną górkę, której lwią część stanowiły akta wszystkich znanych europejskich grup terrorystycznych: najświeższe dane, nazwiska agentów, miejsca pobytu liderów, ewentualne wypadki do Anglii w ciągu ostatnich czterdziestu dni... Już sam wykaz zawartości zdawał się nie mieć końca. Dlatego też Duncan McCrea został poinstruowany przez szefa sekcji europejskiej.

- Spotkasz co prawda Lou Colinsa z naszej ambasady - powiedział - ale on będzie nas trzymał z dala od grona wtajemniczonych. Potrzebny nam ktoś do śledzenia tego Quinna. Musimy zidentyfikować porywaczy i wcale bym się nie zmartwił, gdybyśmy wyprzedzili Angoli. A zwłaszcza FBI. Okay, Brytyjczycy to kumple, wołałbym jednak, żeby wygrali nasi z CIA. Jeśli porywaczami są cudzoziemcy, mamy przewagę; mamy lepsze kartoteki niż Biuro, może nawet lepsze od Angoli. Jak tylko Quinn coś zwęszy, trafi na ich ślad i przypadkiem puści farbę, natychmiast nam to przekażesz.

Młodszy agent do spraw operacyjnych McCrea zdrowo się spietrał. GS12 z dziesięcioletnim stażem w CIA, zwerbowany za granicą - ojciec biznesmen w Ameryce Środkowej - był już na dwóch zagranicznych placówkach, nigdy jednak w Londynie. Ogromna to odpowiedzialność, aczkolwiek stosowna do okoliczności.

- Może pan na mnie po-o-o-legać, sir.

Quinn zażądał, żeby na międzynarodowe lotnisko w Dulles nie towarzyszył mu nikt znany mass mediom. Opuścił Biały Dom zwykłym małym wozem, prowadzonym przez jego eskortanta, oficera Secret Service po cywilnemu. Kiedy mijali grupkę dziennikarzy, zgromadzonych na Alexander Hamilton Place opodal wschodniego krańca kompleksu budynków Białego Domu, Quinn dał nura na tylne siedzenie, niemal zsuwając się na podłogę. Rzucili okiem na samochód, nie zobaczyli nic godnego uwagi i dali sobie spokój. W Dulles Quinn został odprawiony wraz z oficerem Secret Service, który odmówił rozstania się ze swym podopiecznym, dopóki ten nie wysiadzie do Concorde, i wywołał uniesienie brwi urzędnika, gdy podczas kontroli paszportowej mignął legitymacją Białego Domu. W jednym przynajmniej się przydał. Quinn wybrał w sklepie wolnocłowym mnóstwo rzeczy: przybory toaletowe, koszule, krawaty, bieliznę osobistą, skarpety, buty, płaszcz przeciwdeszczowy, walizę i mały magnetofon z tuzinem baterii i taśmami. A gdy przyszło do płacenia, kciukiem wskazał na człowieka z Secret Service.

- Przyjaciel uisci - oznajmił.

Pijawka odessała się w drzwiach Concorde. Angielska stewardesa, nie poświęcając Quinnowi więcej uwagi niż innym, skierowała go na miejsce z przodu. Usadowił się w fotelu u przejścia. Chwilę później ktoś usiadł z drugiej strony. Zerknął. Krótkie, lśniące blond włosy, około trzydziestu pięciu lat, dobra, mocna twarz. Ubranie odrobinę za siermiężne, obcasy, jak na ten typ sylwetki, ciut przypląskie.

Concorde pokolował na stanowisko, wyhamował, zadygotał, wreszcie runął swoim pasem. Dziób drapieżnego ptaka uniósł się, szpony tylnych kół straciły kontakt z ziemią, świat nachylił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni i Waszyngton szybko zmalął.

I jeszcze coś. Dwa maciupęńkie otworki w klapie marynarki współpasażera, rodzaj dziurek, które mogła zostawić agrałka. Taki rodzaj agrałki, który mógł przytrzymywać legitymację identyfikacyjną. Pochylił się.

- Z jakiej pani jest sekcji?

Spojrzała wystraszona.

- Proszę?

- Z jakiej sekcji FBI?

Raczyła się zapłonić. Przygryzła wargę i medytowała. Cóż, wyda się wcześniej czy później.

- Przepraszam, panie Quinn. Jestem Somerville. Agent Sam Somerville. Powiedziano mi...

- W porządku, panno Samanto Somerville, wiem, co powiedziano.

Zgasł napis “Nie palić”. Ofiary nałogu w tylnym sektorze ożywiły się. Nadeszła stewardesa z kieliszkami szampana. Biznesmen, siedzący przy oknie po lewej od Quinna, wziął ostatni. Kiedy odwróciła się, by odejść, Quinn zatrzymał ją, przepaszając, chwycił srebrną tacę i zerwawszy serwetkę uniósł. W odbiciu przepatrzył tylne rzędy. Zajęło to siedem sekund. Następnie podziękował zdziwionej stewardesie i oddał tacę.

- Jak zgaśnie napis “Zapiąć pasy”, powiedz lepiej temu żółtodziobowi z dwudziestego pierwszego rzędu, żeby się tu przeniósł z tym swoim petem - warknął do agentki Somerville.

Pięć minut później wróciła z młodym człowiekiem. Czerwony jak burak, skonsternowany, odrzucając to tyłu puszyste blond włosy, wykrzesał z siebie uśmiech a la swój chłop.

- Przepraszam, panie Quinn. Nie zamierzałem przeszkadzać. Po prostu powiedzieli mi...

- Dobra, wiem. Siadaj. - Wskazał wolne miejsce przed sobą. Ktoś tak dotkliwie nękanym papierosowym dymem wyróżnia się tam z tyłu.

- Yhm. - Pokonany młodzieniec spełnił polecenie.

Quinn wyjrzał. Concorde szybował nad wybrzeżem Nowej Anglii, sposobiąc się do lotu ponaddzwiękowego. Nie zdążył opuścić Ameryki, a obietnic już nie dotrzymano. Była 10.15 czasu wschodnio-amerykańskiego, 3.15 po południu londyńskiego i trzy godziny do portu Heathrow.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsze dwadzieścia cztery godziny po porwaniu Simon Cormack spędził w totalnej izolacji. Eksperci wiedzą, że jest to część procesu rozmiękczenia ofiary, która ma dosyć czasu, żeby zdać sobie sprawę ze swego odosobnienia i bezsilności. Osłabiona jest przez głód i zmęczenie. Zakładnik pełen animuszu, gotów do sporów pretensji, a nawet planujący sposoby ucieczki, może przysporzyć porywaczom wielu problemów. Znacznie łatwiej postępować z ofiarą pozbawioną nadziei i okazującą żalną wdzięczność za każdą najmniejszą łaskę.

O dziesiątej rano drugiego dnia, w chwili gdy Quinn wchodził właśnie do Sali Posiedzeń Gabinetu, Simon był pogrążony w niespokojnej drzemce. Nagle usłyszał trzaśnięcie zasłonki przy wizjerze. Ukazało się w nim pojedyncze, obserwujące go oko; łóżko stało dokładnie naprzeciw drzwi i nawet przy maksymalnym rozciągnięciu liczącego dziesięć stóp łańcucha był wciąż w zasięgu wzroku człowieka, który obserwował go z drugiej strony drzwi do piwnicy.

Po kilku sekundach usłyszał zgrzytanie dwu zasuw. Drzwi uchyliły się na trzy cale i ukazała się w nich ręka w czarnej rękawicze, trzymała białą kartkę, na której dużymi literami napisano flamastrem przeznaczoną dla niego wiadomość, a właściwie instrukcję: **SŁYSZYSZ PUKANIE TRZY RAZY - ZAKŁADASZ KAPTUR. ZROZUMIAŁEŚ? POTWIERDŹ.**

Czekał kilka sekund, nie wiedząc, co ma zrobić. Ręka trzymająca kartkę potrząsnęła nią niecierpliwie.

- Tak - powiedział. - Rozumiem. Trzy puknięcia do drzwi i zakładam kaptur.

Kartkę zabrano i na jej miejscu pojawiła się następna. Napis na niej brzmiał: **SŁYSZYSZ PUKANIE DWA RAZY - MOŻESZ Z POWROTEM ZDJAĆ KAPTUR. NIE PRÓBUJ ŻADNYCH SZTUCZEK, BO UMRZESZ.**

- Rozumiem - krzyknął w stronę drzwi. Kartka zniknęła. Drzwi zamknięto. Po kilku sekundach rozległy się trzy głośnie puknięcia. Chłopak posłusznie sięgnął po gruby czarny kaptur leżący na łóżku. Naciągnął go na głowę aż do ramion, położył dłonie na kolanach i czekał wystraszony i drżący. Nic nie słyszał przez gruby materiał, czuł tylko po prostu, że ktoś w miękkim obuwiu wszedł do piwnicy.

Porywacz, który wszedł do środka, był ubrany cały na czarno i mimo że Simon Cormack nie był w stanie niczego zobaczyć, wciąż nosił na głowie kominiarkę z wyciętymi dwoma otworami na oczy. Takie były instrukcje przywódcy. Mężczyzna położył coś obok

łóżka i wycofał się. Pod kapturem Simon usłyszał, jak zamykają się drzwi i zgrzytają zasuw. Potem ktoś zapukał wyraźnie dwa razy. Powoli zdjął kaptur. Na podłodze leżała plastikowa taca. Były na niej plastikowy talerz, nóż, widelec i kubek z tego samego materiału. Na talerzu były parówki, pieczona fasola, bekon i kromka chleba; w kubku woda.

Był głodny jak wilk. nie jadł nic od kolacji w dniu poprzedzającym bieg.

- Dziękuję - bez zastanowienia krzyknął w stronę drzwi. Zaraz potem miał ochotę dać sobie kopa. Nie powinien dziękować tym draniom. W swojej niewinności nie zdawał sobie sprawy, że zaczyna oto działać "syndrom sztokholmski"; dziwne uczucie, które wzbiera w ofierze i łączy ją z prześladowcami, powodując, że jej gniew w mniejszym stopniu obraca się przeciwko nim, w większym zaś przeciwko władzom, które dopuściły, żeby cała rzecz się wydarzyła i trwała.

Zjadł wszystko do ostatniego okruszka, powoli, rozkoszując się każdym łykiem, wypił wodę i zapadł w sen. Po godzinie procedura się powtórzyła i taca zniknęła. Simon po raz czwarty użył wiadra. potem położył się na plecach i pomyślał o domu i o tym. co robią tam, żeby go uwolnić.

W tym czasie komandor Williams powrócił właśnie z Leicester do Londynu i składał raport zastępcy komisarza Cramerowi w biurze tego ostatniego w komendzie głównej Metropolitan Police w New Scotland Yard. Yard położony jest w dogodnym miejscu, w odległości czterystu jardów od siedziby rządu.

Poprzedni właściciel Forda Transit, wystraszony i jak się potem okazało, niewinny, znajdował się pod strażą na posterunku w Leicester. Twierdził, że jego furgonetka nigdy nie została skradziona ani sprzedana - skreślono ją z ewidencji dwa miesiące wcześniej, po wypadku. Ponieważ właśnie w tym czasie się przeprowadzał, zapomniał zawiadomić centrum rejestracji pojazdów w Swansea.

Komandor Williams krok po kroku sprawdził całą opowieść. Właściciel, dorywco pracujący w budownictwie, wywoził dwa marmurowe kominki od przedsiębiorcy w południowym Londynie. Na zakręcie obok miejsca rozbiórki domu, z którego pochodziły kominki, jego Transit wdał się w spór z koparką. Koparka okazała się silniejsza. Furgonetka, wtedy jeszcze pomalowana na oryginalny, niebieski kolor, została wykreślona z ewidencji. Widoczne szkody były niewielkie i koncentrowały się wokół chłodnicy, okazało się jednak, że naruszona została rama nadwozia.

Facet wrócił do Nottingham bez samochodu. Zostawił go na podwórku miejscowego warsztatu, gdzie dokonała oględzin firma ubezpieczeniowa. Uznano, że Transit nie nadaje się do naprawy, właścicielowi odmówiono jednak wypłaty odszkodowania, ponieważ ponosił

winę za zderzenie z koparką, a polisa była ograniczona. Uderzony porządnie po kieszeni, zgodził się na 20 funtów, które telefonicznie zaoferowano mu za wrak w warsztacie i nie pojawił się już nigdy więcej w Londynie.

- Ktoś zarejestrował furgonetkę z powrotem - powiedział Williams.

- W porządku - powiedział Cramer. - To oznacza, że mamy jakiś ślad. Rzecz jest do sprawdzenia. Chłopcy z laboratorium twierdzą, że ktoś pracował palnikiem przy nadwoziu. A także, że na fabryczny niebieski lakier tryśnięto zieloną farbę. W prymitywny sposób, ze spraya. Sprawdź, kto to zrobił i komu sprzedał furgonetkę.

- Jadę do Balham - powiedział Williams. - Tam mieści się warsztat.

Cramer wrócił do swojej pracy. Leżały przed nim stosy raportów, sporządzonych przez dwanaście różnych ekip. Sprawozdaniom zespołu badającego dowody rzeczowe nie można było nic zarzucić, jedyny kłopot polegał na tym, że było tych dowodów zdecydowanie mało. Pociski wydobyte z ciał zabitych pasowały do łusek ze Skorpiona. Nie było to zaskoczeniem. Nie odnaleziono więcej świadków rejonie Oksfordu. Porywacze nie zostawili żadnych odcisków palców i niczego innego, co by pomogło ich zidentyfikować oprócz śladów opon. Te należące do furgonetki były bezużyteczne - mieli ją: wypaloną, ale całą. Nikt nie widział nikogo w okolicy stodoły. Pozostawione na podwórku drugie ślady opon zostały zidentyfikowane - znana była ich firma i model, jak również to, że jeździ na nich pół miliona samochodów osobowych.

Tuzin regionalnych organizacji policyjnych sprawdzało po cichu, wspólnie z agentami wynajmu nieruchomości, wszystkie kontrakty ubiegłych sześciu miesięcy, dotyczące lokali, które zapewniałyby porywaczom dość miejsca i dyskrecji. Scotland Yard prowadził identyczną kontrolę w Londynie, na wypadek, gdyby porywacze zaszyli się w samej stolicy. Oznaczało to sprawdzenie tysięcy umów. Najbardziej podejrzane były transakcje gotówką, ale i tych były całe setki. Odkryto przy okazji dwanaście miłosnych gniazdek, w tym dwa najmowane przez słynne w kraju osobistości.

Informatorów ze świata przestępczego, wtyczki, pytano, czy nie słyszeli plotek o przygotowywaniu przez znanych przestępców wielkiego skoku; albo o bandytach, którzy nagle ulotnili się ze swoich kryjówek. Całe podziemie zostało przeczesane wszczep i wzdłuż, ale nie przyniosło to jak na razie żadnego efektu. Miał przed sobą stos raportów o osobach, które twierdziły, że widziały Simona Cormacka. Niektóre z tych raportów wydawały się wiarygodne, inne prawdopodobne, jeszcze inne paranoiczne. Na innym stosie leżały odczyty rozmów telefonicznych z ludźmi utrzymującymi, że to oni mają w swoich rękach syna prezydenta, i znowu, niektórzy okazywali się zwykłymi wariatami, a w przypadku innych to,

co mówili, brzmiało całkiem rozsądnie. Tych ostatnich potraktowano poważnie i poproszono, żeby pozostawali w kontakcie. Ale intuicja mówiła Cramerowi, że prawdziwi porywacze wciąż jeszcze milczą, wyciskając z władz siódme poty. Trzeba być zawodowcem, żeby pozwolić sobie na takie milczenie.

W podziemiach Scotland Yardu wydzielono specjalne pomieszczenie dla pracowników wydziału zwiadu środowiska przestępczego, którzy prowadzą w Wielkiej Brytanii negocjacje z porywaczami. Siedzieli tam w oczekiwaniu na ten jeden właściwy telefon, tymczasem spokojnie i cierpliwie rozmawiając z kawalarzami. Kilku z nich schwytano i mieli odpowiadać przed sądem.

Nigel Cramer podszedł do okna i spojrział w dół. Na chodniku Victoria Street kłębili się reporterzy - musiał przeciskać się przez ich tłum za każdym razem, kiedy wyjeżdżał do ministerstwa, w zamkniętym samochodzie, z zasuniętymi szczelnie szybami. Krzyżąc, domagali się przez nie okruchów informacji. Biuro rzecznika prasowego Scotland Yardu zamieniło się w dom wariatów.

Spojrzął na zegarek i westchnął. Jeśli porywacze będą milczeć jeszcze parę godzin, ten Amerykanin, Quinn, przejmie prawdopodobnie sprawę w swoje ręce. On, Cramer, zmuszony był się na to zgodzić i wcale mu się to nie podobało. Przeczytał dossier Quinna, które wypożyczył mu Lou Collins z CIA i spędził dwie godziny z szefem firmy ubezpieczeniowej Lloyda, która zatrudniała Quinna, korzystając przez dziesięć lat z jego dziwnych, aczkolwiek przynoszących rezultaty talentów. To, czego się dowiedział, wypełniło go mieszanymi uczuciami. Facet był dobry, ale nieortodoksyjny. Nikt w policji nie lubi współpracować z dziwakiem, niezależnie od tego, jak bardzo może on być utalentowany. Postanowił, że nie pojedzie na Heathrow na spotkanie z Quinnem. Zobaczy się z nim później i wtedy przedstawi mu dwóch nadinspektorów, którzy będą siedzieli razem z nim i służyli mu radą podczas negocjacji - jeżeli do nich dojdzie. Teraz musiał znowu jechać do Whitehall i zapoznać Komitet COBRA z nowymi danymi - a było ich diablo mało. Tak, ta sprawa na pewno nie skończy się szybko.

Na wysokości sześćdziesięciu tysięcy stóp Concorde wszedł w strumień powietrza pozostawiony przez odrzutowiec i przybył do Londynu piętnaście minut przed rozkładem, dokładnie o szóstej po południu. Quinn wziął do ręki swoją małą walizkę i skierował się rękawem w kierunku hali przylotów, holując za sobą agentów Somerville i McCrea. Kilka jardów dalej czekało na niego cierpliwie dwóch "cichociemnych" odzianych w szare garnitury. Jeden z nich wystąpił do przodu.

- Pan Quinn? - zapytał cicho. Quinn kiwnął głową. Mężczyzna nie machnął mu tuż przed oczyma swoją legitymacją, jakby to uczynił Amerykanin; zakładał, że sam jego wygląd i manieri świadczą o tym, że reprezentuje władze. - Oczekiwaliśmy pana, sir. Jeśli byłby pan łaskaw pójść razem z nami... Mój kolega weźmie pańską walizkę.

Nie czekając na słowo sprzeciwu, ruszył w dół korytarzem, minął strumień pasażerów podążających ku głównemu wyjściu i wszedł do oznaczonego tylko numerem na drzwiach małego pokoju. Jego bardziej barczysty kolega, którego wygląd na milę zdradzał byłego podoficera, skłonił się uprzejmie Quinnowi i wziął jego walizkę. W pokoju "cichociemny" szybko przekartkował paszport Quinna i jego "asystentów", wyjął z kieszeni pieczętkę i ostemplował je.

- Witamy w Londynie, panie Quinn - powiedział.

Wyszli innymi drzwiami. Kilka schodków niżej czekał na nich samochód. Ale Quinn mylił się, jeśli myślał, że pojedą nim prosto do Londynu. Ruszyli ku stojącym nie opodal pomieszczeniom zarezerwowanym dla bardzo ważnych osobistości. Quinn wszedł do środka i rozejrzał się wokół lodowatym wzrokiem. Nie powinienem rzucać się w oczy, powiedział w Waszyngtonie. Całkowita dyskrecja. W pokoju znajdowali się przedstawiciele ambasady amerykańskiej, Home Office, Scotland Yardu, Foreign Office, CIA i FBI. Z tego co widział, brakowało tylko reprezentantów Coca-Coli i Woolworthsa.

Kawalkada samochodów zmierzających do Londynu była jeszcze gorsza. Jechał na samym przedzie, w amerykańskiej limuzynie z proporcem, długiej jak połowa bloku mieszkalnego. Torowali jej drogę dwaj motocykliści. Za nim jechał Lou Collins, wraz ze swym kolegą z CIA, Duncanem McCrea, zaznajamiając go przy okazji ze sprawą. W następnym wozie Patrick Seymour udzielał podobnych instrukcji Sam Somerville. W ślad za nimi w swoich Jaguarach, Roverach i Fordach Granada pędzili Brytyjczycy.

Kawalkada sunęła w kierunku Londynu autostradą M4, potem skręciła na North Circular Road, a z niej na Finchley Road. Zaraz za rondem Lord's prowadzący samochód wjechał do Regent's Park, podążał przez chwilę aleją Outer Circle, potem skręcił i przejechał przez bramę mijając dwóch salutujących strażników.

Całą podróż Quinn spędził przyglądając się światłom miasta, które znał tak dobrze jak żadne inne w świecie i zachowując milczenie tak długo, aż w końcu przestał się do niego odzywać nawet przekonany o ważności swojej osoby doradca ministra. Kiedy samochody zbliżyły się do iluminowanego wejścia do pałacyku, Quinn przemówił. Dokładniej rzecz biorąc, wrzasnął. Pochylił się do przodu - miał do pokonania dużą odległość - i krzyknął kierowcy prosto w ucho:

- Zatrzymaj się!

Kierowca, amerykański żołnierz piechoty morskiej, był tak zaskoczony, że zrobił dokładnie to, co mu kazano, natychmiast. Kierowca z tyłu nie był taki szybki. Zabrzęczały stłuczone lampy, przednie i tylne. Następna limuzyna, żeby uniknąć kolizji, wjechała w krzaki rododendronu. Kawalkada złożyła się jak wachlarz i stanęła w miejscu. Quinn wysiadł i przyglądał się rezydencji. U szczytu schodów prowadzących do portyku stał mężczyzna.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Quinn. Wiedział to doskonale. Za nim wygrzebał się z tylnego siedzenia dyplomata. Ostrzegano go przed Quinnem. Nie wziął tego serio. Stopniowo podchodzili do niego inni, którzy wysiedli z samochodów.

- To Winfield House, panie Quinn. A to oczekujący pana ambasador Fairweather. Wszystko jest gotowe na pana przyjęcie; ma pan do dyspozycji pokoje... wszystko zostało zapięte na ostatni guzik.

- Możecie go odpiąć - powiedział Quinn. Otworzył bagażnik, wyjął walizkę i zaczął iść w dół podjazdu.

- Dokąd pan się wybiera, panie Quinn? - płaczliwym głosem zawołał dyplomata.

- Z powrotem do Hiszpanii - odkrzyknął Quinn.

Zastąpił mu drogę Lou Collins. Kiedy Concorde był w powietrzu, rozmawiał przez specjalną kodowaną linię z Davidem Weintraubem. „To dziwak - powiedział mu wtedy zastępca dyrektora - ale daj mu wszystko, czego będzie chciał”.

- Mamy dla pana apartament - powiedział - Bardzo intymny, bardzo dyskretny. Czasami używamy go, żeby przesłuchać Rosjan, którzy przechodzą na naszą stronę. Czasami mieszkają tam goście z Langley. Zatrzymuje się tam zastępca dyrektora do spraw operacyjnych.

- Adres - powiedział Quinn. Collins dał mu go. Boczna uliczka w Kensington. Quinn kiwnął głową w podziękowaniu i poszedł dalej. Aleją Outer Circle przejeżdżała taksówka. Quinn zatrzymał ją, powiedział, dokąd chce jechać i zniknął.

Piętnaście minut zajęło zrobienie porządku na podjeździe. Potem Lou Collins zabrał McCrea i Somerville do swojego samochodu i pojechali do Kensington.

Quinn zapłacił taksówkarzowi i przyjrzał się budynkowi. Będą podsłuchiwali go tak czy owak; w apartamencie, z którego korzysta Agencja, zamontowana jest już cała instalacja, więc przynajmniej oszczędzi sobie kłopotów związanych z remontem i wysłuchiwanie kiepskich wymówek. Jego mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Kiedy zadzwonił, drzwi otworzył dobrze zbudowany funkcjonariusz Agencji niskiego stopnia. Dozorca.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Ja się wprowadzam - powiedział mijając go Quinn. - Ty się wyprowadzasz. - Przeszedł przez mieszkanie, zaglądając do salonu, głównej sypialni i dwu mniejszych pokoi. Dozorca trzęsąc się ze złości wykręcał numer telefonu; połączono go z siedzącym w samochodzie Lou Collinsem i facet uspokoił się. Ponuro zaczął pakować swoje rzeczy. Collins i towarzyszące mu dwa ptaszki pojawili się trzy minuty po Quinnie, który tymczasem wybrał dla siebie główną sypialnię.

Zaraz potem do mieszkania wszedł Patrick Seymour. Quinn popatrzył na całą czwórkę.

- Tych dwoje ma tu ze mną mieszkać? - zapytał kiwając głową w stronę specjalnej agentki Somerville i funkcjonariusza GS12 McCrea.

- Spójrz na to rozsądnie, Quinn - powiedział Collins. - Próbuje odzyskać syna prezydenta. Wszyscy chcą wiedzieć, co się dzieje. Nie uda ich się po prostu zadowolić byle czym. Władze po prostu nie dadzą ci tu siedzieć jak w klasztorze i zatrzymywać wszystkich wiadomości dla siebie.

Quinn myślał przez chwilę.

- W porządku, co tych dwoje potrafi zrobić oprócz wtykania nosa w nie swoje sprawy?

- Możemy okazać się pomocni, panie Quinn - powiedział prośbą w głosie McCrea. - Możemy coś przynieść, zanieść, załatwić...

Z miękkimi sypiącymi się włosami, nie schodzącym z ust nieśmiałym uśmiechem i brakiem pewności siebie, wcale nie wyglądał na swoje trzydzieści cztery lata. Podobny był bardziej do chłopaka college'u niż agenta CIA. Sam Somerville podjęła temat.

- Potrafię dobrze gotować - powiedziała. - Teraz, kiedy wzgardził pan rezydencją ambasadora i całym jej personelem, będzie pan potrzebował dobrej kucharki. A w tym mieszkaniu tak czy owak będą straszyć duchy gliniarzy.

Pierwszy raz, odkąd go spotkali, twarz Quinna wykrzywiła się w uśmiechu. Ten uśmiech, pomyślała Somerville, znacznie odmienił niedostępnego do tej pory weterana.

- W porządku - powiedział Quinn do Collinsa i Seymoura - i tak będziecie podsluchiwać każdą rozmowę telefoniczną i to, co dzieje się w mieszkaniu. Wy dwoje możecie się wprowadzić do pozostałych sypialni.

Kiedy młodzież wyszła do przedpokoju, jeszcze raz zwrócił się do Collinsa i Seymoura.

- Ale na tym koniec. Żadnych innych gości. Chcę mówić z brytyjską policją. Kto prowadzi sprawę?

- Zastępca komisarza Cramer. Nigel Cramer. Numer drugi w departamencie służb wyspecjalizowanych. Zna go pan?

- Ktoś dzwoni - powiedział Quinn. W tym właśnie momencie zaterkotał dzwonek telefonu. Odebrał go Collins, słuchał chwilę, potem przykrył dłonią mikrofon.

- To Cramer. Dzwoni z Winfield House. Pojechał tam, żeby się z panem skontaktować. Właśnie dowiedział się, co się stało. Chce przyjechać tutaj. Okay?

Quinn kiwnął głową. Collins przekazał Cramerowi wiadomość. Ten przyjechał dwadzieścia minut później wozem policyjnym na cywilnych numerach.

- Pan Quinn? Jestem Nigel Cramer. Spotkaliśmy się kiedyś, krótko.

Cramer ostrożnie wszedł do apartamentu. Dotąd nie miał pojęcia o jego istnieniu, o tym, że pozostaje w dyspozycji Agencji. Teraz wiedział. Wiedział też, że po zakończeniu całej sprawy CIA opróżni mieszkanie i poszuka sobie innego.

Quinn przypomniał Cramerowi, kiedy się widzieli.

- Irlandia, przed kilkoma laty. Sprawa Dona Tideya. Był pan wtedy szefem brygady antyterrorystycznej.

- Zgadza się. Ma pan dobrą pamięć, panie Quinn. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Quinn zaprowadził Cramera do salonu, wskazał mu krzesło i sam usiadł naprzeciwko. Pokazał ręką, że w pokoju z całą pewnością zainstalowany jest podsłuch. Lou Collins mógł być miłym facetem, ale żaden glina nie jest miły aż tak bardzo. Brytyjski policjant z powagą kiwnął głową. Zdawał sobie sprawę, że mimo, iż jest w sercu własnej stolicy, znajduje się teraz na terytorium amerykańskim. To, co był zobowiązany powiedzieć, powtórzy na najbliższym posiedzeniu COBRY.

- Pozwoli pan, panie Quinn, że, jak mówicie w Ameryce, nie będę sprawy owijał w bawełnę. Scotland Yard ma zagwarantowane pierwszeństwo w prowadzeniu dochodzenia w tej sprawie. Pański rząd wyraził na to zgodę. Na razie nie doszło do jakiegoś przełomu, ale śledztwo się zaczęło i pracujemy bardzo intensywnie.

Quinn kiwnął głową. Zdarzyło mu się już nieraz pracować w pomieszczeniach, w których założony był podsłuch. Wielokrotnie rozmawiał przez telefon, zdając sobie sprawę, że jest podsłuchiwany. W takich okolicznościach prowadzenie naturalnej rozmowy wymagało zawsze pewnego wysiłku. Zorientował się, że Cramer mówi do mikrofonu, stąd jego pedanteria.

- Prosił się również o pierwszeństwo w prowadzeniu negocjacji, ale na prośbę Waszyngtonu podjęto inną decyzję. Muszę się z nią pogodzić; nie musi mi się ona podobać.

Polecono mi również udzielić panu wszelkiej pomocy, jaką jest w stanie zaoferować Scotland Yard i inne instytucje rządowe. Udzielimy jej panu. Ma pan na to moje słowo.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, panie Cramer - powiedział Quinn. Zdawał sobie sprawę, że brzmi to wszystko straszliwie drętwo, ale gdzieś w pobliżu kręciły się przecież szpule magnetofonu.

- Czego pan w takim razie od nas oczekuje?

- Przede wszystkim najświeższych informacji. Z ostatnim raportem zapoznałem się jeszcze w Waszyngtonie - spojrzął na zegarek, była ósma wieczorem - ponad siedem godzin temu. Czy odezwali się porywacze?

- Z tego co wiemy, nie - powiedział Cramer. - Były oczywiście telefony. Część z nich to oczywiste wygłupy, część już nie tak oczywiste, niektóre wydają się całkiem wiarygodne. Autorów tych ostatnich poprosiliśmy o jakiś dowód, że rzeczywiście mają w rękach Simona Cormacka...

- W jaki sposób? - zapytał Quinn.

- Pytanie, na które trzeba odpowiedzieć. Jakiś drobiazg z okresu jego dziewięciomiesięcznych studiów na Oksfordzie, który niełatwo jest odkryć, jeśli się tam nie było. Nikt nie zadzwonił ponownie z prawidłową odpowiedzią.

- Normalnie nie nawiązuje się kontaktu w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin - powiedział Quinn.

- Zgoda - odparł Cramer. - Mogą skontaktować się za pośrednictwem poczty wysyłając list albo kasetę magnetofonową. W takim razie przesyłka powinna być w drodze. Albo telefonicznie. Jeśli okaże się, że wybrali pierwszy sposób, dostarczymy przesyłkę tutaj, chcę jednak, żeby moi ludzie sprawdzili najpierw papier, kopertę czy opakowanie w poszukiwaniu odcisków palców, śliny albo innych śladów. Myślę, że stawiam sprawę uczciwie. Nie dysponuje pan tutaj własnym laboratorium.

- Absolutnie uczciwie - odparł Quinn.

- Jeśli jednak pierwszy kontakt zostanie nawiązany telefonicznie, jak pan chce to technicznie zorganizować, panie Quinn?

Quinn wymienił swoje warunki. Podanie do publicznej wiadomości w telewizyjnym programie „News at Ten”, że ten, kto ma w swoich rękach Simona Cormacka, proszony jest o skontaktowanie się z ambasadą amerykańską i tylko z nią pod takimi to a takimi numerami telefonów. Zespół telefonistek będzie przyjmować telefony w podziemiach ambasady, odsiewając oczywiste oszustwa i łącząc się z mm tutaj, z apartamentem, w poważniejszych przypadkach.

Cramer spojrział na Collinsa i Seymoura, którzy kiwnęli głowami. W ciągu następnej półtorej godziny zainstalują w ambasadzie centralę telefoniczną, tak zęby była gotowa w porze audycji telewizyjnej. Quinn mówił dalej:

- Wasi ludzie z telekomunikacji mogą wysledzić miejsce, z którego rozmówca dzwoni do ambasady. Być może aresztują kilku kawalarzy, na tyle głupich, by dzwonić skąd indziej niż z budki telefonicznej albo zbyt długo pozostających na linii. Nie sądzę, żeby prawdziwi kidnaperzy dali się na to złapać.

- Zgoda - powiedział Cramer. - Na razie wydają się na to za mądzy.

- Na mojej linii nie może być żadnych odgałęzień, ma prowadzić prosto do jednego z aparatów telefonicznych w tym mieszkaniu. Są trzy, prawda?

Collins kiwnął głową. Jeden z nich łączył apartament bezpośrednio z jego biurem mieszczącym się w budynku ambasady.

- Użyjcie tej linii - powiedział Quinn. - Kiedy nawiążę kontakt z prawdziwymi porywaczami - zakładając, że do tego dojdzie - chcę im dać do dyspozycji nowy numer, specjalną linię, która będzie ich łączyła ze mną i tylko ze mną.

- Będzie pan miał gorącą linię w ciągu dziewięćdziesięciu minut - powiedział Cramer - numer, który nie był używany nigdy przedtem. Oczywiście będziemy musieli założyć podsłuch, ale na linii nie będzie żadnych związanych z tym hałasów. Na koniec chciałbym, aby razem z panem zamieszkali tutaj dwaj nadinspektorzy. Są dobrzy i doświadczeni. Nie można być na nogach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Przykro mi, ale nie zgadzam się - powiedział Quinn.

- Mogą okazać się bardzo pomocni - nalegał Cramer. - Jeżeli porywacze są Brytyjczykami, istotna może okazać się kwestia regionalnego akcentu, różnych gwarowych odezwań, oznak napięcia albo desperacji. Wychwycie to wszystko może w głosie mówiącego tylko Brytyjczyk. Nasi ludzie nie będą nic mówić, tylko słuchać.

- Mogą słuchać w centrali - powiedział Quinn - przecież i tak będziecie wszystko nagrywać. Możecie to puścić ekspertom od fonetyki, dodać własne komentarze na temat tego, jak nędznie sobie poczynam i przyjsć tutaj z gotowymi wynikami. Ale ja będę pracował sam.

Cramer zacisnął usta, ale miał swoje rozkazy. Wstał, żeby wyjść. Quinn także podniósł się z krzesła.

- Proszę mi pozwolić odprowadzić się do samochodu.

Obaj wiedzieli, o co chodzi: na klatce schodowej nie było zainstalowanego podsłuchu. Przy drzwiach Quinn dał znak głową Seymourowi i Collinsowi, zęby zostali tam gdzie są. Zrobili to, aczkolwiek niechętnie. Na schodach zwrócił się szeptem do Cramera:

- Wiem, że nie podoba się panu sposób, w jaki to zostało urządzone. Nie spadłem z księżycy. Proszę mi zaufać. Nie mam zamiaru zgubić tego chłopca, jeśli tylko będę mógł temu zapobiec. Będzie pan słyszał każda cholerną sylabę wypowiedzianą przez ten telefon. Moi ludzie będą słyszeli mnie nawet wtedy, kiedy usiądę na sedesie.

- W porządku, panie Quinn, otrzyma pan wszystko, co jestem w stanie zaoferować. Obiecuję.

- Ostatnia rzecz... - Wyszli z budynku na chodnik: obok czekał policyjny samochód. - Nie spłoszcie ich. Jeśli będą na linii o te parę sekund za długo, nie wysyłajcie pod budkę telefoniczną wozów na sygnale...

- To oczywiste, panie Quinn. Ale będziemy starali się wysłać w to miejsce agentów w cywilu. Będą bardzo dyskretni, po prostu prawie niewidzialni. Jeśli tylko uda im się zobaczyć numer samochodu, zdobyć rysopis... to może pomóc nam zakończyć całą sprawę w ciągu kilku dni.

- Nie dajcie się zobaczyć - ostrzegł Quinn. - Człowiek w budce telefonicznej będzie się znajdował pod ogromną presją. Żaden z nas nie chce, żeby porywacze zaniechali kontaktów. To może spowodować, że spala za sobą wszystkie mosty, zostawiając nam trupa.

Cramer pokiwał głową, uściśnął mu rękę i wsiadł do samochodu.

Trzydzieści minut później przybyli technicy. Żaden z nich nie nosił uniformu z biura telefonów, wszyscy za to pokazali wystawione przez tę instytucję legitymacje. Quinn powitał ich bardzo uprzejmie, wiedząc, że przychodzą z MI5, brytyjskiej Służby Bezpieczeństwa. Z miejsca przystąpili do pracy. Byli sprawni i szybcy. Większa część pracy była i tak do zrobienia w centrali w Kensington.

Jeden z techników, trzymający w ręku podstawkę aparatu telefonicznego znajdującego się w salonie, uniósł lekko brew. Quinn udał, że tego nie widzi. Próbuując zamontować "pluskwę", technik znalazł tam inną, już zainstalowaną. Rozkaz to rozkaz: umieścił własne urządzenie obok amerykańskiego, zapoczątkowując w ten sposób współpracę anglo-amerykańską na nowym, miniaturowym polu. O wpół do dziesiątej wieczorem Quinn miał swoją gorącą linię, niedostępny dla nikogo oprócz porywaczy numer, który przekaże do ich wyłącznej wiadomości, jeśli kiedykolwiek się odezwa. Drugi aparat był podłączony na stałe do centrali w ambasadzie. Tutaj kierowano rozmówców, których wersja brzmiała prawdopodobnie. Trzeci aparat był podłączony do normalnej sieci miejskiej.

Więcej pracy czekało w podziemiach ambasady przy Grosvenor Square. Doprowadzonych tam było dziesięć linii i wszystkie zostały zajęte na potrzeby Quinna. Przy

aparatach zasiadło w oczekiwaniu na telefon dziesięć młodych panienek, z których część stanowiły Amerykanki, część Angielki.

Trzecią operację trzeba było przeprowadzić w centrali w Kensington. Policja zorganizowała tam placówkę, która miała za zadanie śledzenie rozmów biegnących gorącą linią Quinna. Ponieważ centrala w Kensington należała do nowego typu central elektronicznych, wyśledzenie, skąd telefonują porywacze, powinno być szybkie i trwać od ośmiu do dziesięciu sekund. Przy wyjściu z centrali gorąca linia była zaopatrzona w dwa kolejne podsłuchy: pierwszy prowadził do centrum łącznościowego MI5 przy Cork Street w Mayfair, drugi do podziemi ambasady amerykańskiej, które po odezwaniu się prawdziwych porywaczy miały przekształcić się w punkt nasłuchowy.

Amerykański technik podległy Lou Collinsowi zjawił się trzydzieści sekund po wyjściu ekipy brytyjskiej, aby usunąć wszystkie zamontowane przez nią pluskwy i sprawdzić częstotliwość działania własnych. Dzięki temu, kiedy Quinn nie mówił przez telefon, słyszeli go tylko jego rodacy Amerykanie.

- Prawie wam się udało - zauważył Seymour tydzień później, przy barze w Brook's Club, w rozmowie ze swym kolegą z MI5.

O godzinie dziesiątej, kiedy przebrzmiały ostatnie donośne dzwony Big Bena stanowiące muzyczną czołówkę wieczornych wiadomości ITN, redaktor prowadzący spojrzął w oko kamery i przeczytał oświadczenie dla porywaczy. Następnie na ekranie ukazała się plansza z numerami telefonów, a redaktor przekazał najświeższe informacje na temat porwania Simona Cormacka. Nie było tego wiele, ale trzeba było coś powiedzieć.

W cichym domu, czterdzieści mil od Londynu, czterech mężczyzn siedziało w napięciu w salonie i oglądało program. Dwóm z nich przywódca błyskawicznie przetłumaczył na francuski treść dziennika. Jeden był Belgiem, drugi Korsykaninem. Czwarty nie potrzebował tłumacza. Mówił dobrze po angielsku, nie potrafił jednak pozbyć się ciężkiego akcentu mieszkańca Afryki Południowej.

Dwóch Europejczyków w ogóle nie mówiło po angielsku i przywódca zakazał im oddalać się z domu aż do zakończenia całej akcji. On jeden opuszczał dom, zawsze przez stanowiący integralną część budynku garaż i zawsze wewnątrz Volva, które miało teraz założone nowe opony i numery rejestracyjne - te ostatnie tym razem oryginalne i legalne. Nigdy nie wychodził bez peruki, sztucznej brody, wąsów i ciemnych okularów. W czasie jego nieobecności pozostali mieli trzymać się z dala od okien i oczywiście nie odpowiadać na dzwonek do drzwi.

Kiedy prowadzący dziennik zaczął omawiać sytuację na Bliskim Wschodzie, jeden z Europejczyków zadał pytanie. Przywódca potrząsnął głową.

- *Demain* - odpowiedział po francusku. - Jutro rano.

Ponad dwieście telefonów odebrano w podziemiach ambasady tej nocy. Każdy rozmówca został potraktowany cierpliwie i grzecznie, ale tylko siedmiu skierowano dalej, do Quinna. Rozmawiał ze wszystkimi pogodnie i przyjaźnie, mówiąc do nich "przyjacielu" albo "kolego" i wyjaśniając, że "jego ludzie", niestety, muszą dopełnić pewnej nudnej formalności i upewnić się, czy Simon Cormack rzeczywiście znajduje się w rękach jego rozmówcy. Następnie uprzejmie prosił ich, żeby dowiedzieli się, jaka jest odpowiedź na zadane im proste pytanie i zadzwonili ponownie. Nikt nie zadzwonił drugi raz. Między trzecią w nocy a świtem Quinn zdrzemnął się cztery godziny.

W nocy Sam Somerville i Duncan McCrea dyżurowali razem z nim. Sam powiedziała coś na temat jego zachowania przy telefonie.

- Jeszcze się nic nie zaczęło - powiedział spokojnie. Ale napięcie dawało już o sobie znać. Dwoje młodych czuło je nader wyraźnie.

Zaraz po północy, na pokładzie Jumbo Jeta, który wystartował z Waszyngtonu w samo południe tamtejszego czasu, przyleciał na Heathrow Kevin Brown wraz ze swą ekipą ośmiu doborowych agentów FBI. Uprzedzony wcześniej i padający z nóg Patrick Seymour czekał na niego na lotnisku. Zapoznał starszego stopniem kolegę z aktualną sytuacją, tak jak przedstawiała się ona o jedenastej wieczorem, kiedy wyjeżdżał na lotnisko. Powiedział mu, że Quinn wzgardził kwaterą w Winfield House i zamieszkał gdzie indziej, poinformował też, jak zorganizowano łączność i podsłuch telefoniczny.

- Wiedziałem, że z niego lepszy cwaniak - mruknął Brown, dowiedziawszy się o zamieszaniu, jakie Quinn wywołał na podjeździe do Winfield House. - Musimy siedzieć mu na tyłku albo wykręci nam jeszcze niejedyn numer. Jedziemy do ambasady. Będziemy spać na łóżkach polowych w piwnicy. Jeśli ten facet pierdnie, chcę to słyszeć, głośno i wyraźnie.

Seymour westchnął w głębi ducha. Słyszał coś niecoś o Kevinie Brownie i świetnie mógł się obejść bez jego wizyty. Teraz, pomyślał, wszystko potoczy się o wiele gorzej, niż się tego spodziewał. Kiedy o wpół do drugiej w nocy dojechali do ambasady, właśnie dzwonił sto szósty telefon.

Inni ludzie też niewiele spali tej nocy. Byli wśród nich komandor Williams z SO13 i facet o nazwisku Sidney Sykes. Spędzili długie godziny siedząc naprzeciwko siebie, w pokoju przesłuchań na komisariacie w Wandsworth na południu Londynu. W rozmowie brał udział

jeszcze jeden funkcjonariusz - szef sekcji pojazdów brygady zwalczania poważnych przestępstw. Jego ludzie wytropili Sykesa.

Dwóch mężczyzn siedzących po drugiej stronie stołu wywarło na małym kombinatorze, jakim był Sykes, wystarczająco mocne wrażenie i pod koniec pierwszej godziny był już porządnie wystraszony. A dalszy ciąg przesłuchania zapowiadał się jeszcze gorzej.

Sekcja pojazdów, posługując się danymi dostarczonymi przez przedsiębiorcę budowlanego, odkryła warsztat, który wydobyl rozbitego Forda ze śmiertelnych objęć koparki. Kiedy stwierdzono, że pojazd ma zwichrowaną ramę nadwozia i skreślono go z ewidencji, warsztat zaoferował go z powrotem właścicielowi. Ponieważ koszt przewiezienia go na platformie był większy niż jego wartość, właściciel odmówił. Warsztat sprzedał zatem furgonetkę Sykesowi, który miał w Wandsworth złomowisko. Ludzie z sekcji pojazdów przeczesywali je przez cały dzień.

Odkryli beczkę do trzech czwartych swojej wysokości wypełnioną brudnym, czarnym i zużytym olejem, której mroczne głębiny kryły dwadzieścia cztery tablice rejestracyjne, tworzące dwanaście idealnie dobranych kompletów. Wszystkie sporządzono na złomowisku Sykesa i były prawdziwe jak banknot trzyfuntowy. W schowku pod posadzką odrapanego biura Sykesa odkryto bloczek zawierający trzydzieści dowodów rejestracyjnych. Wszystkie należały do samochodów i furgonetek, które istniały już tylko na papierze.

Proceder uprawiany przez Sykesa polegał na tym, że gromadził on pojazdy skreślone z ewidencji przez firmę ubezpieczeniową, zapewniając ich właścicieli, że poinformuje centrum rejestracji pojazdów w Swansea o tym, że istnieją one już tylko w charakterze kupy złomu. Następnie zawiadamiał Swansea o czymś wprost przeciwnym: że, mianowicie, kupił je w pełni sprawne. Komputer w centrum zapisywał ten „fakt” w swojej pamięci. Jeżeli samochód rzeczywiście był doszczętnie rozbity, Sykes miał w ręku jego legalne papiery, które potem pasowały do sprawnego pojazdu tej samej marki i typu, ukradzionego z parkingu przez któregoś z jego wspólników. Kradziony samochód zaopatrywano w nowe tablice zgodne z posiadanymi przez Sykesa dokumentami i sprzedawano. Przedtem jeszcze trzeba było zatrzeć oryginalne numery silnika i nadwozia, wyryć nowe i nachlapać w to miejsce dość brudnego smaru, żeby dał się nabrać normalny klient. Oczywiście, takie sposoby były zbyt prymitywne, żeby oszukać policję, ale ponieważ wszystkie transakcje były płacone gotówką, Sykes mógł potem zawsze twierdzić, że nie tylko nie sprzedawał nikomu kwestionowanego samochodu, ale widzi go pierwszy raz w życiu.

Nieco inaczej wyglądała działalność Sykesa, gdy, tak jak w przypadku Forda, dostawał samochód w niezłym stanie. Nie zwracając uwagi na naruszone nadwozie, wycinał zniszczoną część, wypełniał dziurę wspornikiem i szpachlówką i wypuszczał z powrotem na drogę. Było to nielegalne i niebezpieczne, ale naprawione w ten sposób samochody miały szansę, przejechać parę tysięcy mil, zanim do reszty rozpadły się na kawałki.

Kiedy pokazano Sykesowi oświadczenia przedsiębiorcy z Leicester i warsztatu, który sprzedał mu Forda Transit za 20 funtów jako złom, oraz fotografie starych oryginalnych numerów silnika i nadwozia, a na koniec poinformowano, do czego posłużyła furgonetka, zorientował się, że znalazł się naprawdę w ciężkich opałach i opowiedział wszystko jak na spowiedzi.

Kiedy pogrzebał w pamięci, przypomniał sobie, że mężczyzna, który kupił Forda, włóczył się pewnego dnia, przed sześciu tygodniami, po złomowisku. Zapytany, odpowiedział, że szuka taniej furgonetki. Przypadkiem Sykes skończył właśnie naprawiać nadwozie Forda, który przemalowany został na kolor zielony. Za godzinę furgonetki nie było za złomowisku, a on dostał do ręki 300 funtów. Pieniądze, było tego piętnaście banknotów dwudziestofuntowych, dawno się rozeszły.

- Rysopis? - spytał komandor Williams.

- Staram się sobie przypomnieć, naprawę - jęczał Sykes.

- Staraj się, staraj - powiedział Williams. - To może sprawić, że resztę swojego życia spędzisz w o wiele lepszych warunkach.

Średnio wysoki, średnio tęgi. Wiek około czterdziestu lat. Prymitywna twarz i manieri. Język mało wytworny, zdradzający, że facet nie urodził się w Londynie. Jasnobrazowe włosy, być może peruka, ale w dobrym gatunku. Poza tym nosił kapelusz, mimo że w końcu sierpnia panował upał. Wąsy, ciemniejsze niż włosy, być może przyklejone, ale w dobrym gatunku, i ciemne szkła. Nie przeciwsłoneczne - po prostu pomalowane na niebiesko, osadzone w grubych oprawkach.

Trzej mężczyźni spędzili wspólnie z policyjnym artystą kolejne dwie godziny. Na godzinę przed śniadaniem komandor Williams przywiózł gotowy portret pamięciowy do Scotlant Yardu i pokazał Nigelowi Cramerowi. Ten zabrał go na posiedzenie COBRY o godzinie dziewiątej rano. Kłopot polegał na tym, że portret mógł przedstawiać każdego. Tu ślad się urywał.

- Wiemy, że furgonetka została później zreperowana przez mechanika lepszego niż Sykes - powiedział Cramer na posiedzeniu - i że ktoś wykwalifikowany wymalował po obu stronach znak firmy owocowej Barlowa. Ford Transit musiał gdzieś stać ukryty przez te kilka

tygodni, a garaż był zaopatrzone w urządzenia do spawania. Jeśli jednak wystosujemy, publiczny apel, porywacze dowiedzą się o nim i mogą stracić głowę; nie nawiążą kontaktu i uciekną zostawiając nam martwego Simona Cormacka.

Postanowiono wysłać portret do wszystkich posterunków w kraju, ale nie powiadamiać o nim prasy i społeczeństwa.

Andrew „Andy” Laing spędził tę noc ślęcząc nad wyciągami transakcji bankowych. Był coraz bardziej zdumiony. Gdzieś nad ranem zdumienie ustąpiło miejsca pewności. Wiedział już, że ma rację i że nie może być innego wytłumaczenia.

Andy Laing kierował działem kredytów i marketingu filii Investment Bank w Dżuddzie w Arabii Saudyjskiej. Bank został założony przez władze saudyjskie, żeby zagospodarować większość astronomicznych sum, które płynęły dzięki naftcie w te strony świata.

Mimo że stanowił własność Saudyjczyków i oni głównie zasiadali w radzie dyrektorów, bank był obsługiwany w zasadzie przez zagranicznych urzędników na kontrakcie. Najwięcej pracowników dostarczał tu amerykański. Rockman-Queens Bank w Nowym Jorku. Ten właśnie bank zaangażował Lainga.

Był młody, zdolny, sumienny i ambitny. Chciał zrobić karierę w bankowości i bardzo mu się podobała praca w Arabii Saudyjskiej. Płacono tu lepiej niż w Nowym Jorku, miał wspaniały apartament, cieszył się względami kilku przyjaciółek ze sporej amerykańskiej kolonii w Dżuddzie, nie martwił go zakaz spożywania alkoholu i utrzymywał dobre stosunki z kolegami.

Chociaż główny oddział banku znajdował się w Rijadzie, najwięcej spraw załatwiano w Dżuddzie, przemysłowej i handlowej stolicy kraju. Normalnie powinien był wyjść z białego, otoczonego blankami i przypominającego bardziej fortecę Legii Cudzoziemskiej niż bank. budynku o godzinie szóstej poprzedniego wieczoru. Przespacerowałby się ulicą do hotelu Hyatt Regency i wstąpił tam na drinka. Ale miał jeszcze dwie sprawy do załatwienia i nie chcąc przekładać ich na następny ranek, został godzinę dłużej.

Nadal siedział przy swoim biurku, kiedy zbliżył się do niego stary, pełniący funkcję gońca Arab, pchając przed sobą wózek pełen komputerowych wydruków. Zostawiał ich odpowiednie fragmenty na biurkach wyższych urzędników, żeby rano rzucili na nie okiem. Wydruki zawierały wyciągi z transakcji zawartych w ciągu dnia przez różne działy banku. Stary nie spiesząc się położył plik papierów na biurku Lainga, kiwnął mu głową i wycofał się.

- *Shukran* - krzyknął za nim wesoło Laing i wrócił do swojej pracy. Szczycił się swoją uprzejmością wobec niższego personelu saudyjskiego.

Kiedy skończył to, co miał do zrobienia, rzucił okiem na papiery i mruknął poirytowany. Dostał nie te wydruki. Te, które leżały na jego biurku, dotyczyły wpłat i wypłat na najważniejsze konta prowadzone przez bank. Tym zajmował się dyrektor do spraw operacji, a nie kredytów i marketingu. Wziął papiery i wyszedł na korytarz kierując się do pustego gabinetu swego pakistańskiego kolegi, dyrektora Amina.

Idąc spojrzął na pierwszy z brzegu wydruk i coś zwróciło jego uwagę. Zatrzymał się, wrócił do siebie i zaczął przeglądać je po kolei. Na każdej stronie pojawiał się ten sam wzór. Włączył swój komputer i poprosił go o wcześniejsze dane na temat dwóch kont pewnego klienta. Cały czas powtarzał się ten sam wzór.

Wczesnym rankiem wiedział już, że nie może być żadnych wątpliwości. To, na co patrzył, musiało być defraudacją na dużą skalę. Wszelki zbieg okoliczności był po prostu wykluczony. Położył wydruki na biurku pana Amina i zdecydował, że przy pierwszej nadarzającej się sposobności poleci do Rijadu i odbędzie prywatną rozmowę ze swoim rodakiem, dyrektorem generalnym banku Steve'em Pyle'em.

Kiedy wracający do domu Laing przemierzał pogrążone w ciemności ulice Dżuddy, osiem stref czasowych w kierunku na zachód, zebrani w Białym Domu członkowie komitetu słuchali, co miał im do powiedzenia doświadczony psychiatra i behawiorysta, doktor Nicholas Armitage. Do Skrzydła Zachodniego przybył prosto z Rezydencji.

- Panowie, na razie muszę przyznać, że małżonka prezydenta doznała o wiele silniejszego szoku niż sam prezydent. Nadal bierze leki pod nadzorem swojego lekarza. Prezydent bez wątpienia jest bardziej wytrzymały, obawiam się jednak, że można zauważyć u niego pierwsze objawy załamania oraz oznaki potęgującego się urazu, którego doświadcza w związku z porwaniem jego syna. - Jakie objawy, doktorze? - zapytał Odell bez długich ceremonii. Psychiatra, który nie lubił, żeby mu przerywano i nigdy mu się to nie zdarzyło, gdy prowadził wykłady dla studentów, chrząknął głośno.

- Musicie panowie rozumieć, że w tego rodzaju przypadkach matka może dać upust swoim uczuciom pozwalając sobie na płacz, a nawet napady hysterii. Ojcowie często cierpią w o wiele większym stopniu, doświadczając, oprócz normalnego niepokoju o porwane dziecko, głębokiego poczucia winy. Przekonani są, że za to, co się stało, ponoszą w jakiś sposób odpowiedzialność, że mogli uczynić coś, żeby temu zapobiec, mogli podjąć środki zapobiegawcze, zachować więcej ostrożności.

- To całkiem nielogiczne - zaprotestował Stannard.

- W tych sprawach nie ma mowy o logice - powiedział doktor. - Mówimy o symptomach urazu, pogłębionego przez fakt, że prezydent był... jest nadzwyczaj silnie

związany ze swoim synem, kocha go naprawdę bardzo mocno. Trzeba do tego dodać poczucie bezradności, niemożność wpłynięcia na bieg wydarzeń. Jak na razie przecież, bez żadnej wiadomości od porywaczy, nie wie nawet, czy chłopak jest żywy czy martwy. Sprawa dopiero się zaczęła, nie wydaje mi się jednak, by można było oczekiwać poprawy.

- Porywacze mogą przetrzymywać zakładnika całymi tygodniami - powiedział Jim Donaldson. - Ten człowiek jest przecież pierwszą osobą w tym kraju. Jakich dalszych zmian możemy się spodziewać?

- Napięcie opadnie nieco po nawiązaniu kontaktu przez porywaczy i uzyskaniu dowodu, że Simon jest wciąż żywy - powiedział doktor Armitage. - Ale ulga nie potrwa długo. W miarę upływu czasu stan prezydenta będzie się pogarszał. Będzie doznawał ostrego stresu, który spowoduje irytację. Pojawi się bezsenność - temu można zaradzić podając leki. Na koniec nastąpi zobojętnienie wobec spraw dotyczących pracy zawodowej...

- To znaczy kierowania całym tym cholernym krajem - wtrącił Odell.

- Oraz brak koncentracji i zaniki pamięci, jeśli idzie o sprawy rządowe. Rekapitulując, panowie, więcej niż połowa prezydenckiego umysłu aż do odwołania będzie zajęta troską o syna, a pozostała część - troską o żonę. W niektórych przypadkach, nawet po szczęśliwym uwolnieniu porwanego dziecka, rodzice potrzebują miesięcy, a nawet lat, by pozbyć się urazu.

- Innymi słowy - stwierdził prokurator generalny Bill Waters - mamy teraz połowę prezydenta, a może jeszcze mniej.

- Dajcie spokój - wtrącił minister skarbu Reed - ten kraj nie zawalił się, kiedy jego prezydenci leżeli na stole operacyjnym, całkowicie nieprzytomni. Musimy po prostu przejąć sprawy i prowadzić je tak, jak on sobie by tego życzył, i starać się nie niepokoić naszego przyjaciela, jeśli to tylko możliwe.

Nie zaraził nikogo swoim optymizmem. Brad Johnson wstał z krzesła.

- Dlaczego, do diabła, ci dranie nie nawiązali jeszcze kontaktu? - zapytał. - Minęło już prawie czterdzieści osiem godzin.

- Mamy przynajmniej na miejscu naszego negocjatora, który czeka na ich pierwszy telefon - stwierdził Reed.

- I silną grupę w Londynie - dodał Walters. - Pan Brown ze swoją ekipą z FBI przybył tam dwie godziny temu.

- Co, u diabła, robi brytyjska policja? - mruknął Stannard. - Dlaczego nie potrafią odnaleźć tych drani?

- Jak ktoś przed chwilą zauważył, minęło dopiero czterdzieści osiem godzin, a nawet jeszcze mniej - zauważył sekretarz stanu Donaldson. - Wielka Brytania nie jest tak duża jak

Stany, ale ze swymi pięćdziesięcioma czterema milionami mieszkańców ma mnóstwo miejsc, gdzie można się dobrze zaszyć. Pamiętacie, jak długo była przetrzymywana Patty Hearst, podczas gdy całe FBI polowało na porywaczy. Miesiące.

- Kochani, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - powiedział powoli i wyraźnie Odell. - Problem polega na tym, że nic więcej nie możemy uczynić.

Na tym polegał problem; nikt nie był w stanie niczego uczynić.

Chłopak, o którym mówiono, spędzał właśnie drugą noc w swoim więzieniu. Choć o tym nie wiedział, ktoś cały czas pełnił dyżur na korytarzu, przy drzwiach jego celi. Piwnica tego podmiejskiego domu była zrobiona z betonu, a mimo to jednak gdyby zdecydował się krzyczeć, porywacze byli całkowicie przygotowani do tego, by go poskromić i zakneblować. Nie popełnił takiego błędu. Starając się, na tyle na ile było go stać, opanować lęk i zachowywać z godnością, zrobił dwa tuziny pompek i skłonów, obserwowany przez sceptyczne oko w wizjerze. Nie miał zegarka - nigdy nie zakładał go do biegu - i tracił poczucie czasu. Światło paliło się bez przerwy. Kiedy stwierdził, że musiała minąć północ - w rzeczywistości było już po drugiej - skulił się na łóżku, naciągnął na głowę cienki koc, żeby choć trochę zasłonić się przed światłem, i zasnął. W tym momencie w ambasadzie jego kraju przy Grosvenor Square odbierano właśnie ostatnie fałszywe telefony. Kevinowi Brownowi i jego ekipie ośmiu silnych ludzi nie chciało się spać. Przeniesione odrzutowcem przez Atlantyk ich wewnętrzne zegary wciąż były nastawione na czas waszyngtoński, pięć godzin do tyłu w stosunku do Londynu.

Brown upierał się, żeby Seymour i Collins pokazali mu mieszczącą się w podziemiach centralę telefoniczną i punkt nasłuchu, na którego potrzeby zajęto jedno z biur w samym końcu gmachu ambasady. Amerykańscy technicy - brytyjscy nie mieli tu prawa wstępu - zainstalowali na ścianach głośniki, do których docierały wszystkie dźwięki zarejestrowane przez mikrofony umieszczone w apartamencie w Kensington.

- W salonie są dwa mikrofony - niechętnie wyjaśniał Collins. Nie widział powodu, dla którego miał wyjawiać detale techniczne Agencji facetowi z Biura, ale takie były rozkazy, a mieszkanie w Kensington i tak było spalone z operacyjnego punktu widzenia.

- Jeśli mieszka tam wyższy oficer z Langley, urządzenia są oczywiście wyłączane. Podczas rozmów z pragnącymi przejść na naszą stronę Rosjanami stwierdziliśmy, że niewidoczne mikrofony onieśmiałają w o wiele mniejszym stopniu niż postawiony jawnie na stole magnetofon. Rozmowy prowadzimy przede wszystkim w salonie. Dwa kolejne mikrofony są zainstalowane w głównej sypialni - tutaj śpi Quinn, choć akurat nie w tej chwili, co można usłyszeć - po jednym rozmieściliśmy w pozostałych sypialniach i kuchni.

- Respektując prawo do prywatności panny Somerville i naszego własnego agenta McCrea, wyłączyliśmy podsłuch w dwu mniejszych sypialniach. Ale jeśli Quinn wejdzie do którejś, żeby porozmawiać z którymś z agentów, mikrofony można natychmiast włączyć.

Pokazał dwa przełączniki na głównej konsoli. Brown kiwnął głową.

- Poza tym, kiedy Quinn będzie z nimi mówił poza zasięgiem naszych urządzeń, oczekujemy, że złożą nam na ten temat raport, czy tak?

Tym razem kiwnęli głowami Collins i Seymour.

- Po to właśnie tam są - dodał Seymour.

- Następnie mamy tam trzy aparaty telefoniczne - kontynuował Collins. - Jeden z nich to gorąca linia. Quinn będzie się nią posługiwał dopiero wtedy, kiedy będzie miał pewność, że rozmawia z prawdziwymi porywaczami, w żadnym innym przypadku. Wszystkie rozmowy na tej linii zostaną przejęte przez Brytyjczyków w centrali w Kensington i przekazane tutaj, gdzie będziemy je mogli słyszeć w naszych głośnikach. Drugi jego telefon jest połączony bezpośrednio z tym pokojem, właśnie w tej chwili rozmawia przezeń z człowiekiem, o którym sądzimy, że jest oszustem, ale może nim nie być. Ta linia również prowadzi przez centralę w Kensington. Jest jeszcze trzecia linia, podłączona do normalnej sieci miejskiej, również na podsłuchu. Quinn nie będzie się nią posługiwać, chyba że sam zechce gdzieś zadzwonić.

- Czy to znaczy, że Brytyjczycy mają tam wszędzie podsłuch, tak samo jak my? - spytał Brown, wyraźnie niezadowolony.

- Tylko na liniach telefonicznych - odparł Seymour. - Jeśli idzie o telefony, musieliśmy nawiązać z nimi współpracę - to jest ich centrala i ich linie. Poza tym mogą okazać się pomocni w wykrywaniu jakichś charakterystycznych cech czy defektów mowy i akcentu regionalnego. Oczywiście do nich należy ustalenie miejsca, skąd dzwonią porywacze i będą to robić z centrali w Kensington.

Z apartamentu do miejsca, w którym się teraz znajdujemy, nie prowadzi żadna linia, która nie byłaby podsłuchiwana przez Brytyjczyków.

Collins odkasznął.

- Owszem, jest taka - powiedział - ale przekazuje tylko to, co rejestrują "pluskwy" nie umieszczone w telefonach. Mamy dwa mieszkania w tym bloku. Wszystko, co zostanie zarejestrowane na górze, przechodzi po kablu do drugiego, mniejszego mieszkania w suterenie. Jest tam w tej chwili mój człowiek. W suterenie sygnał jest kodowany, transmitowany do nas na falach ultrakrótkich, odbierany, dekodowany i przekazywany tu, gdzie stoimy.

- Przesyłacie to przez radio na odległość jednej mili? - spytał Brown.

- Sir, moja Agencja jest w bardzo dobrych stosunkach z Brytyjczykami. Ale nie ma na świecie takiej organizacji wywiadowczej, która przesyłałaby tajne informacje miejscowymi liniami, biegnącymi pod miastem, którego nie kontroluje.

Brownowi spodobało się to.

- Więc Angole mogą słyszeć rozmowy telefoniczne, ale nie to, co mówi się w pokoju.

W rzeczywistości mylił się. Kiedy w MI5 dowiedziano się o istnieniu apartamentu w Kensington, o tym, że nie pozwolono tam zamieszkać dwóm nadinspektorom Scotland Yardu i że usunięto zamontowany przez Brytyjczyków wewnętrzny podsłuch, jej agenci doszli do wniosku, że w bloku musi znajdować się drugie, wynajmowane przez Amerykanów mieszkanie, z którego transmituje się rozmowy z Rosjanami do mieszczącego się gdzie indziej punktu kontrolnego CIA. W ciągu godziny archiwa budynku wskazały małą kawalerkę w suterenie. O północy ekipa hydraulików odnalazła w szybie centralnego ogrzewania łączące oba mieszkania kable i założyła odgałęzienie biegnące do apartamentu na parterze. Jego lokator został bardzo grzecznie poproszony, by wyświadczył drobną uprzejmość Jej Królewskiej Mości i natychmiast udał się na krótkie wakacje. Nad ranem wszyscy podsłuchiwali wszystkich.

Siedzący przy konsoli człowiek Collinsa z ELINT (wywiadu elektronicznego) zdjął z uszu słuchawki.

- Quinn skończył właśnie mówić przez telefon - powiedział. - Teraz rozmawiają między sobą. Chce pan posłuchać, sir?

- Pewnie - odpowiedział Brown.

Technik przełączył podsłuchiwaną rozmowę ze słuchawek na głośniki. Usłyszeli głos Quinna.

- ...będzie wspaniale. Dziękuję, Sam. Z mlekiem i cukrem.

- Sądzi pan, że ten facet zadzwoni znowu, panie Quinn?

(McCrea)

- Nie. To, co mówił, brzmiało prawdopodobnie, ale to nie to.

(Quinn).

Ludzie przysłuchujący się rozmowie w podziemiach ambasady skierowali się ku wyjściu. W pobliskich pomieszczeniach rozstawiono łóżka polowe. Brown zamierzał bez przerwy trwać na posterunku. Dwóm ze swoich ludzi wyznaczył nocną wartę. Była druga trzdzieści w nocy.

Te same rozmowy, telefoniczna i prowadzona w salonie, były transmitowane do centrum łącznościowego MI5 przy Cork Street i tam nagrywane. W centrali telefonicznej w

Kensington policja przysłuchiwała się tylko rozmowie telefonicznej. W ciągu ośmiu sekund wykryto, że rozmówca Quinna dzwoni z budki telefonicznej z pobliskiego Paddington. Z mieszczącego się dwieście metrów dalej posterunku policji w Paddington Green wysłano funkcjonariusza w cywilu, który aresztował starszego mężczyznę. Okazało się, że jest chory psychicznie.

O dziewiątej rano trzeciego dnia jedna z dziewcząt przy Grosvenor Square odebrała kolejny telefon. Facet mówił po angielsku, głos miał chropowaty, szorstki.

- Połącz mnie z negocjatorem.

Dziewczyna zbladła. Nikt dotychczas nie użył tego słowa. Starła się, aby jej głos nadal brzmiał słodko.

- Łączę pana, sir.

Quinn miał słuchawkę w ręku, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

- Ktoś chce mówić z negocjatorem. Tylko tyle - szepnęła szybko dziewczyna.

Pół sekundy później połączyła go. W głośnikach w ambasadzie zabrzmiał głęboki, spokojny głos Quinna.

- Cześć, przyjacielu, chciałeś ze mną mówić?

- Jeśli chcecie dostać Simona Cormacka z powrotem, będzie to was kosztować. Dużo. Teraz słuchaj...

- Nie, przyjacielu, to ty mnie posłuchaj. Miałem już dzisiaj tuzin fałszywych telefonów. Wiesz, że świat pełen jest wariatów, prawda? Więc zrób mi tę grzeczność, mam do ciebie małe pytanie...

Ekipa w Kensington złapała namiar w osiem sekund. Hitchin w Hertfordshire... budka telefoniczna na... stacji kolejowej. Cramer w Scotland Yardzie miał te dane dziesięć sekund później: na posterunku w Hitchin trwało to wolniej. Policjanci siedzieli w samochodzie trzydzieści sekund później, po minucie wyskoczyli z niego na dwa skrzyżowania przed stacją. Wyszli z za rogu podążając spokojnym krokiem w kierunku budki telefonicznej 141 sekund od momentu rozpoczęcia rozmowy. Za późno. Facet był na linii przez trzydzieści sekund. Teraz był trzy ulice dalej, zgubiony w porannym tłumie.

McCrea ze zdumieniem patrzył na Quinna.

- Odłożył pan słuchawkę - powiedział.

- Musiałem - odparł krótko Quinn. - W momencie kiedy skończyłem mówić, wyczerpał się nasz limit czasu.

- Gdyby zatrzymał go pan dłużej na linii - powiedziała Sam Somerville - mogłaby go złapać policja.

- Jeżeli to jest nasz człowiek, chcę, żeby nabrał do mnie zaufania, nie chcę go straszyć. Na razie - powiedział Quinn i umilkł. Wydawał się całkiem odprężony. Para jego towarzyszy siedziała w skrajnym napięciu, wytrzeszczając oczy na aparat, tak jakby miał lada moment zadzwonić ponownie. Quinn zdawał sobie sprawę, że zanim facet zadzwoni z następnej budki, minie prawdopodobnie kilka godzin. Nauczył się tego dawno temu, w walce: jeśli pozostaje ci tylko czekać, odpręż się.

Przy Grosvenor Square Kevin Brown, obudzony przez jednego ze swoich ludzi, wbiegł na punkt nasłuchu po to tylko, by usłyszeć końcówkę tego, co powiedział Quinn.

- ...tytuł książki? Zadzwoń znowu i przekaż mi odpowiedź. Będę czekał, przyjacielu. To tyle, na razie.

Do pokoju weszli Collins i Seymour i wszyscy trzej wysłuchali rozmowy od początku. Potem przełączyli podsłuch na mikrofony w salonie i usłyszeli uwagę wypowiedzianą przez Sam Somerville.

- Ma rację - warknął Brown. Usłyszeli odpowiedź Quinna.

- Dupek - powiedział Brown. - Jeszcze minuta i mieliby tego drania.

- Mieliby jednego - zauważył Seymour - ale reszta wciąż trzymałaby w swoich rękach chłopaka.

- Więc wzięlibyśmy tego jednego i skłonili go, żeby nam powiedział, gdzie ukryła się reszta - powiedział Brown. Grubą pięścią uderzał silnie w drugą dłoń.

- Prawdopodobnie ustalili sobie jakiś termin. Coś podobnego stosujemy w przypadku, kiedy wpadnie ktoś z naszej siatki. Jeżeli nie wróci w umówione miejsce po, powiedzmy, biorąc margines na uliczne korki, dziewięćdziesięciu minutach, reszta wie, że został złapany. Tak samo ci. Zmarnują dzieciaka i znikną.

- Proszę zrozumieć, sir, ci ludzie nie mają nic do stracenia - dodał Seymour widząc irytację Browna. - Nawet jeśli wejdą tutaj i przyprowadzą ze sobą Simona Cormacka, dostaną dożywocie. Zabili dwóch ludzi z Secret Service i brytyjskiego gliniarza.

- Ten Quinn po prostu wie lepiej, co robi - powiedział Brown wychodząc z pokoju.

Ktoś trzy razy głośno zapukał do piwnicznych drzwi, za którymi uwięziony był Simon Cormack. Chłopak naciągnął kaptur na głowę. Kiedy go zdjął, zobaczył przypiętą do drzwi kartkę:

KIEDY BYŁEŚ DZIECKIEM NA WAKACJACH W NANTUCKET, CIOTKA EMILY CZYTAŁA CI FRAGMENTY TWOJEJ ULUBIONEJ KSIĄŻKI. JAKI JEST JEJ TYTUŁ?

Patrzył na kartkę. Nagle spłynęła na niego fala ulgi. Ktoś nawiązał kontakt. Ktoś odezwał się do jego ojca w Waszyngtonie. Ktoś stara się go stąd wydostać. Próbował powstrzymać łzy, ale bezskutecznie. Ktoś obserwował go przez wizjer. Pociągnął nosem; nie miał przy sobie chusteczki. Powrócił myślami do ciotki Emily, starszej siostry ojca. Chodziła zawsze sztywno wyprostowana, nosiła długie bawełniane suknie. Zabierała go na spacery wzdłuż plaży, siadała razem z nim na kępach trawy i czytała opowieści o małych zwierzętach, które mówiły ludzkim głosem i zachowywały się bez zarzutu, jak dżentelmeni. Pociągnął jeszcze raz nosem i wykrzyczał odpowiedź w stronę otworu w drzwiach. Zazgrzytała zasłonka wizjera, drzwi uchyliły się nieco i ręka w czarnej rękawiczce zabrała kartkę z powrotem.

Facet o chrapliwym głosie zadzwonił ponownie o wpół do drugiej po południu. W ambasadzie przełączono go błyskawicznie. Namierzono go w jedenaście sekund - dzwonił z budki w centrum handlowym w Milton Keynes, w Buckinghamshire. W momencie, gdy dotarł tam i rozejrzał się dookoła cywilny funkcjonariusz lokalnej policji, faceta nie było w budce od dziewięćdziesięciu sekund. Kiedy był na linii, nie tracił czasu.

- Książka - zachrypiał. - Nazywa się *O czym szumią wierzby*.

- Okay, przyjacielu, jesteś tym, na kogo czekałem. Teraz zapamiętaj sobie numer, który ci podam, odwieś słuchawkę i zadzwoń z nowej budki. To jest linia, przez którą łączysz się ze mną i tylko ze mną. Trzysta siedemdziesiąt zero zero czterdzieści. Proszę, pozostawaj w kontakcie. Na razie do widzenia.

Znowu odłożył słuchawkę. Tym razem podniósł głowę i przemówił do ściany.

- Collins, możesz powiedzieć ludziom w Waszyngtonie, że zgłosił się nasz człowiek. Simon żyje. Chcą rozmawiać. Możesz zdemontować centralę w ambasadzie.

Usłyszeli to dobrze. Wszyscy. Collins użył zakodowanej gorącej linii, żeby skontaktować się z Weintraubem w Langley, Weintraub powiedział Odellowi, a Odell prezydentowi. Kilka minut później dziewczęta z centrali przy Grosvenor Square opuszczały swoje stanowiska. Po raz ostatni odezwał się dzwonek telefonu, w słuchawkach zabrzmiał płaczliwy, zawodzący głos.

- Tu Proletariacka Armia Wyzwolenia. Mamy Simona Cormacka. Jeżeli Ameryka nie zniszczy całej swojej broni nuklearnej...

Głos dziewczyny z centrali był słodki jak strumień melasy.

- Kochanie - powiedziała - odpiardol się.

- Znowu pan to zrobił - powiedział McCrea. - Odłożył pan słuchawkę.

- Facet jest na granicy wytrzymałości - powiedziała Sam. - Ci ludzie mogą być nieznównważeni. Czy takie traktowanie nie rozwścieczy go do tego stopnia, że zrobi coś Simonowi Cormackowi?

- To możliwe - powiedział Quinn - ale mam nadzieję i sędzę, że postępuję słusznie. Facet nie wygląda mi na terrorystę politycznego. Modłę się, żeby okazał się zawodowym mordercą.

Oboje byli skonsternowani.

- Cóż jest takiego pozytywnego w zawodowym mordercy? - zapytała Sam.

- Niewiele - przyznał Quinn, który wydawał się w dziwny sposób rozluźniony. - Ale profesjonalista pracuje dla pieniędzy. A jak na razie nasz człowiek nie dostał ani grosza.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Porywacz zadzwonił dopiero o szóstej wieczorem. Tymczasem Sam Somerville i Duncan McCrea wpatrywali się prawie bez przerwy w podłączony do gorącej linii aparat, modląc się, żeby facet odezwał się ponownie i nie zerwał łączności.

Jednemu tylko Quinnowi nic nie wydawało się zakłócać spokoju. Zdjął buty, położył się wygodnie na sofie w salonie i czytał książkę *Anabasis* Ksenofonta, poinformowała cicho Sam przez telefon w swoim pokoju. Książkę przywiózł ze sobą z Hiszpanii.

- Pierwszy raz słyszę - zamruczał Brown w podziemiach ambasady.

- To o taktyce wojennej - ośmielił się pomóc Seymour. - Autorem jest grecki generał.

Brown chrząknął. Wiedział, że Grecy należą do NATO i to powinno mu wystarczyć.

Policja brytyjska miała o wiele więcej do roboty. Dwie budki telefoniczne, pierwszą w Hitchin, niedużym ładnym miasteczku na północnym krańcu Hertfordshire, drugą w zbudowanym od podstaw po wojnie Milton Keynes, odwiedzili małomówni agenci ze Scotland Yardu. W obu wysypano wiele pudru w poszukiwaniu odcisków palców. Odcisków było mnóstwo, żaden jednak, choć tego nie wiedzieli, nie należał do porywacza, który nosił gumowe chirurgiczne rękawiczki w kolorze skóry.

W sąsiedztwie budek przeprowadzono dyskretne wywiady w poszukiwaniu świadków, którzy być może zauważyli, kto dzwonił z nich w ściśle określonym momencie. Nie zauważył nikt, za krótki był czas, mierzony w sekundach, i jedna, i druga budka stała w rzędzie innych automatów telefonicznych, ze wszystkich bez przerwy dzwoniło. Oba miejsca były w tym czasie pełne ludzi. Cramer chrząknął.

- Korzysta z godzin szczytu. Najpierw rano, teraz w porze lunchu.

Taśmy z nagraniem głosem porywacza dostarczono profesorowi filologii, ekspertowi od specyficznych cech mowy i akcentu, ale potrząsnął tylko głową. Na taśmie słychać było głównie Quinna.

- Porywacz posługuje się kilkoma serwetkami albo cienkim materiałem przyłożonym do mikrofonu - stwierdził profesor. - Sposób prymitywny, ale dość skuteczny. Nie oszuka tym oscylatorów, ale żeby wykryć specyficzne cechy, potrzebuję, podobnie jak i nasze aparaty, więcej materiału.

Komandor Williams obiecał dostarczyć mu więcej materiału, kiedy porywacz odezwie się ponownie. W ciągu dnia poddano cichej obserwacji sześć domów. Jeden w Londynie, pięć w hrabstwach południowej Anglii. Wszystkie zostały wynajęte na sześć miesięcy. Przed

zapadnięciem nocy wyjaśniła się sprawa dwóch: w jednym mieszkał francuski bankowiec, żonaty, dwoje dzieci, pracujący całkiem oficjalnie w londyńskiej filii Societe Generale; w drugim niemiecki profesor prowadzący badania w British Museum.

Sprawa czterech pozostałych miała wyjaśnić się przed końcem tygodnia. Rynek wynajmu nieruchomości nieustannie dostarczał nowych „możliwości”. Wszystkie musiały zostać sprawdzone.

- Jeśli porywacze rzeczywiście kupili nieruchomość i tam się ukrywają - powiedział Cramer na posiedzeniu COBRY - albo wynajęli ją od właściciela na zasadzie dwustronnej umowy, obawiam się, że wykrycie tego okaże się niemożliwe. W drugim przypadku nie będziemy dysponowali żadnym śladem; w pierwszym - liczba transakcji dokonywanych w ciągu roku w tym rejonie jest taka, że ich sprawdzenie zajmie naszym ludziom całe miesiące.

Prywatnie Nigel Cramer podzielał zdanie Quinna (usłyszał je z taśmy), że facet wygląda bardziej na zawodowca niż na terrorystę politycznego. Mimo to sprawdzanie obu tych kategorii przestępców było w toku i trwać miało aż do zakończenia sprawy. Nawet jeśli porywacze byli zawodowymi bandytami, swój czeski pistolet maszynowy mogli uzyskać od jakiejś grupy terrorystycznej. Ludzie z obu światów spotykają się czasami i robią ze sobą interesy.

O ile brytyjska policja była zawałona robotą, o tyle amerykańską ekipę przebywającą w podziemiach ambasady męczyła beczynność. Kevin Brown przemierzał długi pokój niczym lew zamknięty w klatce. Czterech jego ludzi leżało w łózkach, czterech pozostałych wpatrywało się w światelko, które miało się zapalić, kiedy w apartamencie w Kensington odezwie się dzwonek tego jednego, zastrzeżonego telefonu, którego numer znał teraz porywacz. Zaświeciło się dwie minuty po szóstej.

Ku zdumieniu wszystkich Quinn pozwolił, by dzwonek zabrzmiał cztery razy. Potem odebrał telefon i odezwał się pierwszy.

- Cześć. Cieszę się, że dzwonisz.

- Tak jak powiedziałem, jeśli chcecie mieć żywego Simona Cormacka, będzie to was kosztować. - Ten sam głos, gruby, gardłowy, zniekształcony papierowymi serwetkami.

- Okay, pogadajmy - powiedział Quinn przyjaźnie. - Powiedzmy, że nazywam się Quinn. Po prostu Quinn. Możesz mi podać swoje nazwisko?

- Wypchaj się.

- Daj spokój, nie chodzi mi o prawdziwe. Nie jesteśmy głupcami: ani ty, ani ja. Jakiegokolwiek nazwisko. Po prostu po to, żebym mógł powiedzieć: “Cześć, Smith” albo: “Cześć, Jones”...

- Zack.

- Zet-a-ce-ka? W porządku. Posłuchaj, Zack, nie możemy rozmawiać dłużej niż dwadzieścia sekund, dobrze? Nie jestem magikiem. Gliny podsłuchują i usiłują cię namierzyć. Zadzwoń do mnie znowu za parę godzin. Okay?

- Dobrze - odpowiedział Zack i odwiesił słuchawkę.

Czarownicy z centrali w Kensington mieli zamiar po siedmiu sekundach. Znowu publiczna budka telefoniczna, w centrum miasta Great Dunmow, w hrabstwie Essex, dziewięć mil na zachód od autostrady M11 Londyn-Cambridge. Podobnie jak w poprzednich dwóch przypadkach, na północ od Londynu. Małe miasto i mały posterunek policji. Funkcjonariusz w cywilu doszedł do trzech stojących obok siebie budek osiemdziesiąt sekund po zakończeniu rozmowy. Za późno. O tej porze, kiedy zamyka się sklepy i otwiera puby, kłębił się tam tłum ludzi. Nikt jednak nie wyglądał na uciekiniera, nikt nie nosił brązowej peruki, wąsów ani ciemnych szkieł. Zack wybrał kolejną porę szczytu, wczesny wieczór, zmierzch, ale jeszcze nie zmrok, bo o zmroku budki telefoniczne są oświetlone od środka.

Kevin Brown szalał w podziemiach ambasady.

- Po której, do cholery, stronie, jest ten cały Quinn - pytał. - Traktuje tego drania, jakby był bohaterem roku.

Czterech agentów potakiwało mu skwapliwie.

W Kensington Sam i Duncan McCrea pytali mniej więcej o to samo. Quinn położył się na kanapie, wzruszył ramionami i wrócił do swojej książki. W przeciwieństwie do nowicjuszy wiedział, że musi dokonać dwóch rzeczy, sprawić, żeby Zack zaczął o nim myśleć jako o człowieku z krwi i kości, i spróbować zdobyć sobie jego zaufanie.

Miał podstawy sądzić, że Zack nie jest głupcem. Jak na razie nie popełnił wielu błędów, w innym wypadku dawno złapałaby go policja. Musiał więc wiedzieć, że jego rozmowy są rejestrowane, a miejsce, skąd dzwoni, poszukiwane. Quinn nie powiedział niczego, czego Zack wcześniej by nie wiedział. Dawał mu z dobrej woli rady, które powodowały, że Zack mógł poczuć się bezpiecznie, a zarazem nie zdradzał mu żadnej tajemnicy.

Budował po prostu mosty, nie bacząc na to, jak niewdzięczne było to zadanie, nawiązywał z mordercą pierwsze nitki porozumienia, które, miał nadzieję, sprawi, że ten, prawie wbrew swojej woli, uwierzy w końcu, że on i Quinn mają ten sam wspólny cel - udaną wymianę - i że władze naprawdę składają się z łajdaków.

Po latach spędzonych w Anglii Quinn wiedział, że amerykańska wymowa brzmi bardzo sympatycznie w uchu Brytyjczyka. Coś jest w przeciągłych zgłoskach, co wydaje się

kość nerwy po szybkiej, połykającej końcówki wymowie brytyjskiej. Mówił trochę bardziej przeciągle niż zwykle. Bardzo ważne było, żeby Zack nie odniósł wrażenia, że w jakiś sposób chce go upokorzyć albo robi sobie z niego kpiny. Ważne było także, żeby nie wymknęło mu się nic, co by świadczyło, jak wielką odrazę czuł do człowieka, który znęcał się nad oddalonymi o trzy tysiące mil rodzicami chłopca. Był tak przekonywający, że udało mu się oszukać Kevina Browna. Ale nie Cramera.

- Wolałbym, żeby pottrzymał tego drania dłużej na linii - powiedział komandor Williams. - Jeden z naszych kolegów na prowincji miałby szansę zobaczyć go albo chociaż jego samochód.

Cramer potrząsnął głową.

- Jeszcze nie teraz - powiedział. - Problem stanowi to, że nasi funkcjonariusze pełniący służbę w małych prowincjonalnych komisariatach nie są wystarczająco wyszkoleni jeśli idzie o nie rzucające się w oczy śledzenie ludzi. Później Quinn będzie próbował przedłużyć rozmowę w nadziei, że Zack tego nie zauważy.

Zack nie zadzwonił wieczorem, ale następnego dnia rano.

Andy Laing wziął wolny dzień i poleciał linią krajową do Rijadu, gdzie zwrócił się z prośbą o przyjęcie do dyrektora generalnego banku Steve'a Pyle'a.

Biura Investment Bank w stolicy Arabii Saudyjskiej ani trochę nie przypominały fortecy Legii Cudzoziemskiej, na wzór której zbudowana była jego filia w Dżuddzie. Bank nie pożałował pieniędzy, wznosząc na własne potrzeby wieżę z żółtego marmuru, piaskowca i szlifowanego granitu. Laing przeszedł przez rozległe położone na parterze foyer. Słyszał tylko szum niosących ochłodę fontann i stukanie własnych obcasów po marmurowej posadzce.

Nawet w środku października na zewnątrz panował piekielny upał, w foyer jednak powietrze przypominało wiosenny ogród. Po trzydziestu minutach oczekiwania poproszono go do mieszczącego się na najwyższym piętrze biura dyrektora generalnego, apartamentu tak luksusowego, że bawiący tu z wizytą sześć miesięcy wcześniej prezes Rockman-Queens przyznał, że przewyższa jego własną siedzibę w Nowym Jorku.

Steve Pyle był dużym, jowialnym mężczyzną, szcycącym się swym ojcowskim podejściem do młodego wielonarodowego personelu. Jego lekko zaczerwieniona cera zdradzała, że chociaż na dole, w królestwie Arabii Saudyjskiej, obowiązuje prohibicja, jego własny barek jest znakomicie zaopatrzony.

Powitał Lainga wylewnie, ale z pewnym zdziwieniem. - Pan Al-Haroun nie uprzedził mnie o twoim przyjeździe, Andy - powiedział. - Wysłałbym po ciebie samochód na lotnisko.

Al-Haroun był dyrektorem filii w Dżuddzie. saudyjskim szefem Lainga.

- Nic mu nie powiedziałem, sir. Po prostu wziąłem wolny dzień. Sądzę, że mamy tam pewien problem, na który chciałem zwrócić pana uwagę.

- Andy, Andy, na imię mam Steve, w porządku? Cieszę się, że przyjechałeś. O co chodzi?

Laing nie przywiózł ze sobą wydruków; jeśli ktokolwiek w Dżuddzie był zamieszany w defraudację, zabranie ich zdradziłoby, że sprawa się wydała. Ale dysponował obszernymi notatkami. Wyjaśnienie tego, co udało mu się odkryć, zabrało Laingowi godzinę.

- Nie może być mowy o zbiegu okoliczności, Steve - dowodził. - Nie wyjaśni się tych cyfr inaczej, jak tym, że dokonano dużej defraudacji.

W miarę jak Laing wyjaśniał, co spędzało mu sen z powiek, znikła gdzieś jowialność Steve'a Pyle'a. Siedzieli w głębokich obitych hiszpańską skórą klubowych fotelach przy niskim stoliku do kawy, wykonanym z kutego ręcznie mosiądzu. Pyle wstał i zbliżył się do przyciemnionej szklanej ściany, za którą na wiele mil rozciągał się wspaniały widok na pustynię. Na koniec odwrócił się i z powrotem podszedł do stolika. Na jego twarzy znów pojawił się szeroki uśmiech, rękę wyciągnął do Lainga.

- Andy, jesteś wyjątkowo czujnym młodzieńcem. Bardzo inteligentnym, i lojalnym. Doceniam, że przyszedłeś prosto do mnie z tym... problemem. - Odprowadził Lainga do drzwi. - Teraz chcę, żebyś wszystko zostawił mnie. Nie myśl o tym więcej. Załatwię tę sprawę osobiście. Wierz mi, masz przed sobą długą karierę.

Andy Laing wyszedł z banku i wrócił do Dżuddy jaśniejac z zadowolenia. Zrobił to, co trzeba było zrobić. Dyrektor generalny położy koniec temu oszustwu. Kiedy wyszedł, Steve' Pyle kilka minut bębnił palcami po blacie biurka, a potem odbył jedną rozmowę telefoniczną.

Po raz czwarty - drugi za pośrednictwem gorącej linii - Zack zadzwonił za kwadrans dziewiąta rano. Namierzono go w Royston, na północnej granicy Hertfordshire, tuż obok Cambridge. Funkcjonariusz policji pojawił się na miejscu dwie minuty później i spóźnił się dziewięćdziesiąt sekund. Nie było odcisków palców.

- Quinn, powiem krótko. Chcę pięć milionów dolarów i to szybko. W używanych banknotach. Niskie nominały.

- Jezus, Zack, to cholernie dużo. Wiesz, ile to będzie waży? - Chwila przerwy. Zack był zaskoczony odwołaniem się do ciężaru pieniędzy.

- Pięć milionów, Quinn. Nie kłóć się. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo możemy ci zawsze przysłać parę palców, żebyś był grzeczniejszy.

W apartamencie w Kensington McCrea zacisnął mocno usta i rzucił się do łazienki. Po drodze potrącił stolik do kawy.

- Kto jest razem z tobą? - warknął Zack.

- Gliniarz - powiedział Quinn. - Wiesz, jak to jest. Te dupki nie zamierzają zostawić mnie tutaj samego, no nie?

- Mówię poważnie.

- Daj spokój, Zack, nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy obaj zawodowcami. Prawda? Traktujmy to w ten sposób, dobrze? Róbnmy to, co musimy zrobić - ani trochę mniej, ani więcej. Na razie czas nam się kończy, rozłącz się.

- Po prostu zorganizuj pieniądze, Quinn.

- Muszę porozmawiać na ten temat z ojcem. Zadzwoń do mnie za dwadzieścia cztery godziny. A propos, jak się miewa dzieciak?

- świetnie. Jak na razie. - Zack rozłączył się i wyszedł z budki. Był w środku trzydzieści jeden sekund. Quinn odłożył słuchawkę.

Do pokoju wszedł z powrotem McCrea.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz - powiedział miękko Quinn - wyrzucę was stąd oboje i w dupie będę miał Agencję i Biuro.

McCrea był pełen skruchy i bliski płaczu.

W podziemiach ambasady Brown spojrział na Collinsa.

- Wasz człowiek spaskudził sprawę - powiedział. - A swoją drogą, co to za hałasy były na linii?

Nie czekając na odpowiedź zadzwonił bezpośrednio do apartamentu. Telefon odebrała Sam Somerville. Opowiedziała o groźbie ucinania palców i o tym, jak McCrea kolaniem potrącił stolik.

- Kto dzwonił? - zapytał Quinn, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Pan Brown - odpowiedziała sztywno. - Pan Kevin Brown.

- Kto to jest? - zapytał Quinn. Sam nerwowo rzuciła okiem na ścianę.

- Zastępca szefa wydziału śledczego Biura - odpowiedziała spięta, wiedząc, że słucha jej Brown.

Quinn poirytowany machnął ręką. Sam wzruszyła ramionami.

W południe w apartamencie odbyła się konferencja. Uważano, że Zack zadzwoni dopiero następnego dnia rano, dając Amerykanom trochę czasu, żeby mogli zastanowić się nad jego żądaniem.

Przyszedł Kevin Brown, Collins, Seymour, a także Nigel Cramer, który przyprowadził ze sobą komandora Williamsa. Quinn widział się już ze wszystkimi oprócz Browna i Williamsa. - Może pan powiedzieć Zackowi, że Waszyngton się zgadza - powiedział Brown. - Wiadomość przyszła dwadzieścia minut temu. Bardzo mi się to nie podoba, ale jest zgoda. Pięć milionów dolarów.

- Ale ja się nie zgadzam - powiedział Quinn. Brown spojrział na niego, jakby nie był w stanie uwierzyć własny m uszom.

- Och, pan się nie zgadza, Quinn. Pan się nie zgadza. Zgadza się rząd Stanów Zjednoczonych, ale pan Quinn się nie zgadza. Czy można wiedzieć, dlaczego?

- Ponieważ bardzo niebezpiecznie jest zgodzić się na pierwsze żądanie porywaczy - powiedział cicho Quinn. - Jeśli się to zrobi, porywacz dochodzi do wniosku, że powinien domagać się więcej. Facet, który myśli w ten sposób, uważa, że dał się wykiwać. Jeżeli jest psychopata, doprowadza go to do wściekłości. Nie ma nikogo, na kim mógłby ją wyładować oprócz zakładnika.

- Myśli pan, że Zack jest psychopata? - zapytał Seymour.

- Może jest, może nie - odparł Quinn. - Ale może nim być jeden z jego współników. Nawet jeżeli Zack jest przywódcą - a wcale nie musi - wariatów nie jest tak łatwo utrzymać w ryzach.

- Co więc pan radzi? - spytał Collins. Brown prychnął.

- Sprawa dopiero się zaczyna - powiedział Quinn. - Simon Cormack ma najwięcej szans na przeżycie i na to, że wyjdzie z tego bez szwanku w przypadku, kiedy porywacze uwierzą w dwie rzeczy: że wycisnęli z rodziny absolutnie wszystko, co ta była w stanie zapłacić; i że zobaczą pieniądze tylko wtedy, kiedy zwrócą Simona żywego i nietkniętego. Nie uświadomią sobie tych rzeczy w ciągu kilku sekund. W tym czasie policja może wpaść na ich trop.

- Zgadzam się z panem - powiedział Cramer. - To może zabrać parę tygodni. Brzmi to niemiło, ale lepiej trochę poczekać, niż robić wszystko na łapu capu, popełnić błąd w ocenie i odzyskać chłopca martwego.

- Będę wdzięczny za każdy dzień więcej, który dostanę do dyspozycji - powiedział komandor Williams.

- Więc co mam powiedzieć ludziom w Waszyngtonie? - domagał się odpowiedzi Brown.

- Niech pan im powie - powiedział spokojnie Quinn - że poprosili mnie, żebym wynegocjował odzyskanie Simona i że próbuję to zrobić. Jeżeli chcą odebrać mi sprawę, w porządku. Muszą tylko powiedzieć o tym prezydentowi.

Collins odkaszlnął. Seymour patrzył w podłogę. Na tym zakończyło się spotkanie.

Kiedy Zack zadzwonił ponownie, Quinn bardzo się usprawiedliwiał.

- Próbowałem, jak Boga kocham, przysięgam. Zrozum, pięć milionów to za dużo. On nie ma tyle gotówki - wszystko utopione jest w różnych fundacjach i potrzeba tygodni, żeby wydobyć stamtąd pieniądze. Sprawa wygląda tak, że mogę dać ci dziewięćset tysięcy dolarów i mogę zorganizować tę forszę szybko.

- Wysraj się - warknął głos po drugiej stronie linii. - Wy, jankesi, możecie wydobyć pieniądze skąd indziej. Ja mogę poczekać.

- Tak, pewnie, wiem o tym - szczerze odparł Quinn. - Jesteście bezpieczni. Gliny do niczego nie doszły, to pewne... jak na razie. Gdybyś tylko mógł trochę opuścić... Chłopak czuje się dobrze?

- Tak. - Quinn mógł się założyć, że Zack, w tej chwili właśnie, intensywnie myśli.

- Muszę o to zapytać, Zack. Ci dranie siedzący mi za plecami ostro mnie cisną. Spytaj dzieciaka, jak się nazywał jego pies, miał go, odkąd zaczął chodzić, aż do czasu, kiedy skończył dziesięć lat. Po prostu chcemy mieć pewność, że z nim wszystko w porządku. Ciebie to nic nie kosztuje. A mnie dużo pomoże.

- Cztery miliony - uciął ostro Zack. - I ani centa mniej. Rozmowa się skończyła. Zack telefonował z St Neots, miasteczka na południu hrabstwa Cambridge, niedaleko granicy z Bedfordshire. Nie zauważono nikogo wychodzącego z budki, jednej z kilku stojących przy miejscowej poczcie.

- Co pan robi? - spytała z ciekawością w głosie Sam.

- Zaczynam go trochę przyciskać - stwierdził Quinn i nie powiedział nic więcej.

Już kilka dni wcześniej zdał sobie sprawę, że ma w ręku atut, którym nie zawsze dysponują inni negocjatorzy. W górach Sardynii albo Ameryki Środkowej bandyci mogą się ukrywać, jeśli chcą, miesiącami, a nawet latami. Ani przeczesujące teren wojsko, ani patrole policyjne nie odnajdą ich wśród wzgórz pełnych jaskiń i podziemnych przejść. Jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo może grozić im ze strony helikopterów.

W gęsto zaludnionych rejonach południowo-wschodniej Anglii Zack i jego wspólnicy znajdowali się wśród ludzi przestrzegających prawa, to znaczy na terytorium wroga. Im dłużej się ukrywali, tym większa, zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, była szansa, że zostaną zidentyfikowani i zlokalizowani. Żyli pod presją, by jak najszybciej zawrzeć umowę i

uciec. Sztuka polegała na tym, żeby przekonać ich, że są górą, że uzyskali najlepszą cenę, jaką mogli uzyskać i że nie powinni zabijać zakładnika podczas ucieczki.

Quinn liczył na pozostałych porywaczy - z tego, co odkryła policja na miejscu porwania, wiadomo było, że banda liczyła co najmniej cztery osoby - zmuszone do przebywania w ukryciu. Powoli będą tracić cierpliwość, dokuczać im będzie klaustrofobia, w końcu zaczną naciskać szefa, żeby zawrzeć umowę i mieć to z głowy. Użyją dokładnie tych samych argumentów co Quinn. Atakowany z obu stron, Zack będzie skłonny zgodzić się na proponowaną sumę i szukać ucieczki. Nie dojdzie do tego jednak, zanim presja na porywaczy nie będzie wystarczająco duża.

Z całą świadomością zasiał w umyśle Zacka dwa ziarna: że on, Quinn, jest porządnym facetem, który stara się jak może szybko dojść do porozumienia, w czym przeszkadzają mu władze - przypomniał sobie twarz Kevina Browna i zastanawiał się, czy to rzeczywiście kłamstwo - i że Zack jest całkowicie bezpieczny... jak na razie. Co oznaczało coś wręcz przeciwnego. Im częściej sen Zacka będzie zakłócany przez koszmary, w których zobaczy wpadającą do jego kryjówki policję, tym lepiej.

Profesor lingwistyki stwierdził prawie z całkowitą pewnością, że Zack liczy sobie czterdzieści parę albo pięćdziesiąt lat i że prawdopodobnie jest przywódcą bandy. W jego głosie nie zabrzmiało wahanie, które wskazywałoby, że musi się z kimś konsultować przed przyjęciem warunków. Urodził się w rodzinie robotniczej, nie zdobył dobrego wykształcenia i prawie na pewno pochodził z regionu Birmingham. Wyniesiony stamtąd akcent zmienił się podczas długich lat, które spędził poza Birmingham, prawdopodobnie za granicą.

Psychiatra starał się sporządzić portret psychologiczny. Porywacz znajdował się oczywiście w stresie, który wzrastał w miarę przedłużania się rozmowy. Z upływem czasu zmniejszał się jego wrogi stosunek do Quinna. Przemoc była dla niego chlebem powszednim - w jego głosie nie było żadnych skrpułów ani wahania, kiedy wspominał o ucięciu palców Simonowi Cormackowi. Z drugiej strony odznaczał się sprytem i rozumował logicznie; był ostrożny, ale nie przestraszony. Człowiek niebezpieczny, ale nie wariat. Nie psychopata i nie "polityczny".

Raporty te dotarły do Nigela Cramera, który przedstawił je na posiedzeniu COBRY. Kopie natychmiast przesłano do Waszyngtonu, prosto do specjalnego komitetu w Białym Domu. Inne kopie dostarczono do mieszkania w Kensington. Quinn przeczytał je, a potem oddał Sam.

- Nie rozumiem tylko - powiedziała odkładając ostatnią kartkę - dlaczego porwali właśnie Simona Cormacka. Prezydent pochodzi z zamożnej rodziny, ale tyle jest przecież w Anglii innych dzieci bogatych rodziców.

Quinn, który przemyślał ten problem, jeszcze kiedy siedział w barze i oglądał telewizję w Hiszpanii, spojrzął na nią, ale nic nie powiedział. Na próżno czekała na odpowiedź. To ją zirytowało. Ale i zaintrygowało. Stwierdziła, że w miarę upływu czasu Quinn coraz bardziej ją fascynuje.

Siódmego dnia po porwaniu i czwartego od momentu, gdy Zack odezwał się po raz pierwszy, CIA i brytyjska Specjalna Służba Dochodzeniowa SIS odesłały z powrotem swoich agentów penetrujących europejskie organizacje terrorystyczne. Nie było żadnego przecieku na temat uzyskania z tych źródeł pistoletu maszynowego typu Skorpion. Załamała się hipoteza o zamieszczeniu w sprawę terrorystów politycznych. Wśród zbadanych grup były irlandzkie IRA i INLA, gdzie i CIA, i SIS miały swoich własnych szpicli, tożsamości których nie zamierzały sobie wzajemnie zdradzać, dalej niemiecka Frakcja Czerwonej Armii, będąca spadkobierczynią grupy Baader-Meinhof, włoskie Czerwone Brygady, francuska Action Directe, baskijska ETA i belgijskie CCC. Istniały także inne, czasami jeszcze bardziej nieodpowiedzialne grupy, ale uznano je za zbyt małe, by mogły dokonać operacji porwania Simona Cormacka.

Następnego dnia Zack zgłosił się ponownie. Mówił z jednego z automatów telefonicznych na stacji obsługi przy autostradzie M11, trochę na południe od Cambridge. Został namierzony w osiem sekund, ale dotarcie tam zajęło funkcjonariuszowi w cywilu aż siedem minut. Przez stację przetaczała się masa ludzi i samochodów. Głupotą było sądzić, że porywacz wciąż tam się znajdował.

- Pies - powiedział krótko. - Nazywał się Mr Spot.

- Świetnie, dzięki, Zack - powiedział Quinn. - Nie rób tylko nic złego dzieciakowi i sfinalizujemy nasz interes szybciej niż myślisz. Mam dla ciebie wiadomości; ludzie, którzy rządzą finansami pana Cormacka, mogą podnieść okup do miliona dwustu tysięcy amerykańskich dolarów w żywej gotówce. Pieniądze mogą być już zaraz. Idź na to, Zack...

- Wypchaj się - warknął głos po drugiej stronie drutu. Ale Zack spieszył się, kończył mu się czas. Opuścił cenę do trzech milionów dolarów, i rozłączył się.

- Dlaczego się pan na to nie zgodzi, Quinn? - spytała Sam. Siedziała na brzeżku krzesła. Quinn wstawał właśnie, żeby pójść do łazienki. Zawsze mył się, przebierał, kąpał, korzystał z toalety i jadł po rozmowie z Zackiem. Wiedział, że przez jakiś czas nie będzie żadnego telefonu.

- Nie chodzi tylko o pieniądze - powiedział wychodząc z pokoju. - Zack nie jest jeszcze gotowy. Jeśli pomyśli, że go oszukujemy, zacznie znowu podnosić żądania. Chcę go jeszcze trochę bardziej podminować; chcę, żeby znalazł się pod większą presją.

- A co z presją, pod którą znajduje się Simon Cormack? - krzyknęła w ślad za Quinnem w stronę korytarza. Quinn zawrócił do drzwi. - No tak - powiedział poważnie. - A także jego matka i ojciec. Nie zapomniałem o tym. Ale w takich przypadkach przestępcy muszą uwierzyć, naprawdę uwierzyć, że przedstawienie się skończyło. Inaczej wpadają we wściekłość i robią krzywdę zakładnikowi. Spotkałem się z czymś takim wcześniej. Naprawdę lepiej jest załatwić sprawę powoli i spokojnie, niż pędzić na złamanie karku. Jeśli nie uda się aresztować sprawców w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin, zaczyna się między porywaczem a negocjatorem długa wojna na nerwy. Jeśli nie da mu się nic, wpada we wściekłość, jeśli daje mu się za dużo i za szybko, wietrzy w tym podstęp i jego wspólnicy mówią mu to samo. I też wpada we wściekłość. A to może okazać się fatalne dla zakładnika.

Kilka minut później słów Quinna zarejestrowanych na taśmie słuchał Nigel Cramer. Pokiwał głową twierdząco. Własne doświadczenia nauczyły go tego samego. Uczestniczył w dwóch podobnych sprawach. W pierwszej zakładnik został uwolniony żywy i nietknięty, w drugiej rozwścieczony i podejrzewający podstęp psychopata zabił swoją ofiarę.

Słowom Quinna przysłuchiwano się „na żywo” w podziemiach ambasady amerykańskiej.

- Gówno prawda - stwierdził Brown. - Na miłość boską, facet ma umowę w kieszeni. Powinien teraz wydostać chłopca z powrotem. A potem już ja dopadnę tych tandeciarzy.

- Jeśli uda im się uciec, może pan zostawić to Scotland Yardowi - poradził mu Seymour. - Oni ich znajdą.

- Tak, tak, a brytyjski sąd da im dożywocie w luksusowym więzieniu. Wiecie, co oznacza tutaj dożywocie? Czternaście lat i zwalniają cię za dobre zachowanie. Niech pan posłucha, mój panie; nikt, ale to nikt nie śmie uczynić takiej rzeczy synowi mojego prezydenta i wyjść z tego cało. Pewnego dnia sprawę obejmie Biuro, tak jak być powinno, i mam zamiar poprowadzić ją po swojemu - tak jak to robi się w Bostonie.

Tej nocy Nigel Cramer osobiście zjawił się w mieszkaniu w Kensington. Nie miał żadnych nowych wiadomości. Dyskretnie przesłuchano czterysta osób, skontrolowano prawie pięćset doniesień o tym, że ktoś widział coś podejrzanego. Sprawdzone dalszych sto sześćdziesiąt domów i mieszkań. Bez rezultatów.

W wydziale dochodzeń kryminalnych w Birmingham cofnięto się do akt sprzed pięćdziesięciu lat w poszukiwaniu bandytów, którzy dawno temu mogli opuścić miasto.

Wyłoniono ośmiu kandydatów, wszyscy zostali sprawdzeni i odrzuceni - jedni nie żyli, inni siedzieli w więzieniu, o jeszcze innych wiadomo było, gdzie obecnie przebywają.

Archiwa Scotland Yardu, wśród innych danych, zawierają także, o czym wie się niewiele, bank głosów. Dzięki nowoczesnej technologii głos ludzki może zostać przedstawiony w formie specyficznych amplitud, odpowiadających temu, w jaki sposób dany człowiek oddycha, jak tworzy i wymawia wyrazy, jakiego używa tonu i na jakiej wysokości. Wykres z oscylografu jest niczym odcisk palców; można go porównywać i, jeśli dysponuje się próbką głosu, dokonać identyfikacji.

Bank głosów dysponuje nagraniami wielu kryminalistów, którzy rzadko zdają sobie z tego sprawę. Są wśród nich tacy, którzy lubią sobie poświntuszyć przez telefon, są anonimowi donosiciele i inni, których głos został nagrany po aresztowaniu w pokoju przesłuchań. Zacka nie było wśród nich.

Ekipa zabezpieczająca ślady również zabrnęła w ślepy zaułek - łuski, naboje, odciski butów i opon spoczywały w laboratorium nie chcąc wydać żadnych nowych sekretów.

- W promieniu pięćdziesięciu mil wokół Londynu znajduje się osiem milionów mieszkań i wolno stojących domów - mówił Cramer. - Do tego dochodzą kanały, składy, piwnice, krypty, katakumby, tunele i porzucone budynki. Mieliśmy kiedyś mordercę i gwałciciela, nazywano go Czarną Panterą. Większość czasu przebywał w korytarzach nieczynnych kopalni na terenie parku narodowego. Zabierał swoje ofiary na dół. Złapaliśmy go... w końcu. Przykro mi, panie Quinn, po prostu dalej szukamy.

Ósmego dnia w mieszkaniu w Kensington panowało wyraźne napięcie. W większym stopniu odczuwali je młodzi; po Quinnie trudno było coś poznać. Kiedy nie było telefonów i odpraw, długo wylegiwał się na swoim łóżku i spoglądał w sufit, próbując odkryć, co dzieje się w głowie Zacka, i ustalić, jak powinien poprowadzić następną rozmowę. Kiedy powinien zamknąć sprawę? Jak zorganizować wymianę?

McCrea nadal był poczciwy, ale coraz bardziej zmęczony. W jego stosunku do Quinna było coś z psiego oddania. Zawsze był gotów pobiec i coś załatwić, zrobić dla niego kawę albo zastąpić go w domowych obowiązkach.

Dziewiątego dnia Sam poprosiła o pozwolenie wyjścia na zakupy. Kevin Brown udzielił go niechętnie dzwoniąc do niej z Grosvenor Square. Wyfrunęła z mieszkania, schodząc ze służby po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni, złapała taksówkę, która zawiozła ją na Knightsbridge i spędziła cztery wspaniałe godziny włócząc się po domach towarowych Haryeya Nicholisa i Harrodsa. W ostatnim fundnęła sobie zgrabną małą torebkę z krokodylej skóry.

Kiedy wróciła, obaj panowie bardzo pochwalali jej wybór. Przyniosła również prezenty dla każdego z nich: połączone pióro dla McCrea i kaszmirowy sweter dla Quinna. Młody agent CIA o mało nie popłakał się z wdzięczności, Quinn założył sweter i pozwolił sobie na jeden ze swych rzadkich, ale olśniewających uśmiechów. Był to jedyny pogodny moment, jaki ich trójka spędziła w apartamencie.

Tego samego dnia w Waszyngtonie Komitet Antykryzysowy posepnie przysłuchiwał się temu, co miał do powiedzenia doktor Armitage.

- Coraz bardziej niepokoi mnie stan zdrowia prezydenta - oznajmił doktor w obecności wiceprezydenta, doradcy do spraw bezpieczeństwa, prokuratora generalnego, trzech ministrów oraz dyrektorów FBI i CIA. - Kryzysy na najwyższym szczeblu władzy zdarzały się wcześniej i zawsze będą się zdarzać. Ale ten ma charakter osobisty i jest o wiele głębszy. Umysł ludzki, nie mówiąc już o całym organizmie, nie jest w stanie znieść długo tak silnego stresu.

- Jaki jest jego stan fizyczny? - zapytał Bill Walters.

- Jest skrajnie wyczerpany, potrzebuje środków nasennych, żeby zasnąć w nocy, a właściwie, żeby zasnąć w ogóle. Starzeje się w widoczny sposób.

- A stan umysłowy? - zapytał Morton Stannard.

- Widzieliście, panowie, jak starał się kierować normalnymi sprawami państwa - przypomniał im Armitage. Wszyscy ze smutkiem pokiwali głowami. - Nie panuje nad sytuacją, nie potrafi się skoncentrować, cierpi na zaniki pamięci.

Morton Stannard kiwał ze współczuciem głową, ale nie widać go było w jego oczach. Dziesięć lat młodszy od Donaldsona i Reeda, Stannard, zanim został ministrem obrony, był w Nowym Jorku międzynarodowym finansistą. Miał wyrafinowany smak kosmopolity, lubił dobrą kuchnię, dojrzałe wina i malarstwo francuskich impresjonistów. W czasach, kiedy pracował w Banku Światowym, zdobył sobie opinię uprzejmego i sprawnego negocjatora, człowieka, którego nie jest łatwo przekonać. Mogły się o tym przekonać szukające nowych kredytów, zadłużone po uszy kraje Trzeciego Świata, których delegacje wracały do domu z pustymi rękoma.

Przez dwa ostatnie lata dał się poznać w Pentagonie jako rzecznik sprawnego działania. Powtarzał często zdanie, że amerykański podatnik powinien otrzymać za swoje dolary skuteczne środki obrony. Narobił sobie wrogów wśród wyższych oficerów i rekinów przemysłu zbrojeniowego. Potem przyszedł traktat w Nantucket i nad Potomakiem zmieniło się wiele starych aliansów. Stannard, razem ze sztabowcami i firmami pracującymi na rzecz obrony, znalazł się wśród tych, którzy występowali przeciwko cięciom.

Podczas gdy Michael Odell zwalczał traktat, bo tak mu mówiło jego sumienie, motywy Stannarda więcej miały wspólnego z podziałem władzy i wpływów w ramach waszyngtońskiego establishmentu i jego sprzeciw nie wynikał jedynie z argumentów filozoficznych. Nie drgnęła mu twarz, kiedy jego sprawa przegrała. Podobnie i teraz, gdy słuchał relacji o pogarszającym się stanie zdrowia, prezydenta.

- Biedny człowiek, mój Boże, takie nieszczęście - mruczał Hubert Reed z Ministerstwa Skarbu.

- Kolejnym problemem - kończył psychiatra - jest fakt, że prezydent nie jest ekstrawertykiem, który uzewnętrznia swoje reakcje emocjonalne. To, co przeżywa, przeżywa wewnątrz... oczywiście wszyscy mamy życie wewnętrzne, wszyscy normalni ludzie. Ale on tłamsi wszystko w sobie, nie pozwala wyjść uczuciom na zewnątrz, jest człowiekiem, który nie potrafi płakać, krzyczeć z bólu. Pierwsza Dama różni się od niego; nie spoczywają na niej obowiązki związane z urzędem, bierze więcej leków. Mimo to sędzę, że jej stan jest tak samo zły, jeśli nie gorszy. To jej jedyne dziecko. To, co się z nią dzieje, jeszcze bardziej oddziałuje negatywnie na prezydenta.

Doktor Armitage z powrotem pospieszył do Rezydencji. Pozostawił za sobą ośmiu bardzo zatroskanych ludzi.

Ciekawość bardziej niż co innego sprawiła, że dwa dni później Andy Laing został trochę dłużej w swym biurze i zadał kilka pytań komputerowi. Wyświetlona na monitorze odpowiedź zdumiała go.

Malwersacje trwały nadal. Od czasu, kiedy rozmawiał z dyrektorem generalnym, doszło do czterech kolejnych transakcji, a przecież tamten mógł je ukrócić jednym telefonem. Konto oszusta pełne było pieniędzy przelewanych z różnych saudyjskich funduszy publicznych. Laing wiedział, że dokonywane przez urzędników sprzeniewierzenia nie należały w Arabii Saudyjskiej do rzadkości, w tym przypadku w grę jednak wchodziły olbrzymie sumy, wystarczające do sfinansowania dużej operacji handlowej, w istocie każdej dużej operacji.

Z przerażeniem zaczął sobie uświadamiać, że musi być w to zamieszany Steve Pyle, człowiek, dla którego żywił prawdziwy szacunek. Nie pierwszy i nie ostatni raz wyższy urzędnik bankowy okazał się mieć lepkie ręce. Mimo to dla Lainga stanowiło to szok. Zwłaszcza gdy pomyślał, że ze swoimi rewelacjami pojechał prosto do niego. Pozostałą część nocy spędził w swoim mieszkaniu pochylony nad podręczną maszyną do pisania. Przypadkiem Rockman-Queens zaangażował go do Investment Bank nie w Nowym Jorku, ale w Londynie, gdzie w tym czasie pracował w innym amerykańskim banku.

W Londynie mieścił się duży oddział Rockman-Queens prowadzący operacje w Europie i na Bliskim Wschodzie, wielkością ustępujący tylko nowojorskiej centrali, tutaj także urzędował szef księgowości wewnętrznej do spraw operacji zamorskich. Laing znał dobrze swoje obowiązki; na adres tego właśnie urzędnika wysłał swój raport, dołączając do niego w charakterze dowodów komputerowe wydruki.

Gdyby był trochę sprytniejszy, nadałby przesyłkę przez zwyczajną pocztę. Ale ta działała wolno i nie zawsze było można na niej polegać. Dołączył więc swój pakiet do korespondencji bankowej, którą normalnie przewoził z Dżuddy do Londynu specjalny kurier. Normalnie. Od czasu jednak wizyty Lainga w stolicy, tydzień wcześniej, dyrektor generalny polecił, aby cała korespondencja przechodziła przez Rijad. Następnego dnia Steve Pyle przejrzał wychodzącą pocztę, wyjął z niej raport Lainga i bardzo starannie przeczytał to, co miał do powiedzenia jego młody podwładny. Kiedy skończył, podniósł telefon i wystukał na tarczy miejscowy numer.

- Pułkowniku Easterhouse, mamy tu pewien problem. Sądzę, że powinniśmy się spotkać.

Po obu stronach Atlantyku środki masowego przekazu powiedziały wszystko, co było do powiedzenia, potem powtórzyły to po raz drugi i trzeci. Potok słów wciąż lał się dalej. Najróżniejsi eksperci, poczynając od profesorów psychiatrii, a na mediach kończąc, oferowali władzom swoje analizy i dobre rady. Specjaliści od parapsychologii kontaktowali się na oczach kamery ze światem pozagrobowym i otrzymywali stamtąd najróżniejsze wiadomości, jedne sprzeczne z drugimi. Bogate osoby prywatne i majątne fundacje składały oferty zapłacenia okupu, bez względu na to, jak wysoki się on okaże. Telewizyjni kaznodzieje doprowadzali się do transu; w kościołach i na stopniach katedr trwały nabożeństwa w intencji szczęśliwego uwolnienia.

Swój wielki dzień święcili poszukiwacze sławy. Kilkaset osób zaofiarowało się, że zajmie miejsce Simona Cormacka, dobrze wiedząc, że taka zamiana nigdy nie dojdzie do skutku. Dziesiątego dnia po pierwszym telefonie Zacka do telewizyjnych relacji przekazywanych amerykańskiemu społeczeństwu wkradł się nowy ton.

Nauczający w Teksasie ewangelista, którego kasa została zasilona znaczną i nieoczekiwaną ofiarą ze strony pewnej korporacji naftowej, ogłosił, że miał boskie objawienie. Napaść na Simona Cormacka, a przez to na jego ojca prezydenta i całe Stany Zjednoczone, dokonana została przez komunistów. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Wiadomość z niebios dotarła do ogólnokrajowych sieci telewizyjnych, które poświęciły jej trochę uwagi. Oddano pierwsze strzały i zasiano pierwsze ziarna w ramach planu Crocketta.

Uwolniona od swego roboczego ubrania, które włożyła do szafy po pierwszej nocy spędzonej w apartamencie, specjalna agentka Sam Somerville była bardzo atrakcyjną kobietą. Dwa razy w ciągu krótkiej kariery posłużyła się własną urodą w celach służbowych. Za pierwszym razem miała kilka randek z wyższym urzędnikiem z Pentagonu. Będąc w jego apartamencie udała, że spała się do nieprzytomności. Sądząc, że nic nie słyszy, facet odbył w jej obecności wysoce kompromitującą rozmowę telefoniczną, która jasno wykazała, że bierze łapówki w zamian za powierzenie kontraktów zbrojeniowych tym, a nie innym firmom.

Innym razem zgodziła się zjeść obiad z mafijnym bossem i kiedy zabrał ją potem limuzyną na przejażdżkę, umieściła pod tapicerką mikrofon. Uzyskane dzięki temu urządzeniu informacje pozwoliły Biuru postawić go w stan oskarżenia za naruszenie kilku paragrafów prawa federalnego.

Dobrze o tym wiedział Kevin Brown, kiedy wybrał ją jako agentkę Biura, która miała towarzyszyć w Londynie wysłanemu pod naciskiem Białego Domu negocjatorowi. Miał nadzieję, że jej uroda wywrze na Quinnie wrażenie podobne do tego, jakie odnieśli inni mężczyźni. Jego czujność osłabnie i podzieli się ze specjalną agentką ukrytymi myślami i zamierzeniami, których nie potrafią zarejestrować mikrofony.

Nie spodziewał się, że dojdzie do czegoś dokładnie odwrotnego. Wieczorem, jedenastego dnia spędzonego razem w apartamencie w Kensington, oboje mijali się w wąskim przejściu prowadzącym z łazienki do salonu. Miejsca było mało. Wiedzioną impulsem, Sam Somerville wspięła się na palce, objęła ramionami kark Quinna i głęboko pocałowała go w usta. Marzyła o tym od tygodnia. Nie spotkało jej rozczarowanie ani odmowa, przeciwnie, zaskoczona była uczuciem, z jakim oddał jej pocałunek.

Kilka minut trwali w uścisku, podczas gdy nieświadomy McCrea pitrasił coś na patelni w kuchni. Brązowe silne palce Quinna zagłębiły się w jej jasnych włosach. Czuła, jak falami spływają z niej napięcie i zmęczenie.

- Jak długo jeszcze, Quinn? - wyszeptwała.

- Niedługo - mruknął. - Kilka dni, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Może za tydzień.

Kiedy weszli z powrotem do salonu, McCrea zaprosił ich na kolację. Nic nie zauważył.

Przemierzywszy gruby dywan, którym był wyścielony gabinet Steve'a Pyle'a, pułkownik Easterhouse pokuśtykał do okna i wyjrzał na zewnątrz. Na stoliku do kawy leżało sprawozdanie Lainga. Pyle obserwował go z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Boję się, że ten człowiek może wyrządzić olbrzymią szkodę interesom naszego kraju - powiedział miękko Easterhouse. - Oczywiście, nieświadomie. Pewien jestem, że jest po prostu młodym sumiennym pracownikiem. Niemniej...

Osobiście był bardziej zaniepokojony, niż dawał po sobie poznać. Jego plan masakry i obalenia saudyjskiego domu panującego znajdował się właśnie w środkowym stadium realizacji i zaszkodzić mu mogły wszelkie nieprzewidziane przeszkody.

Szyicki imam był w ukryciu i nic nie groziło mu ze strony tajnej policji, ponieważ skasowane zostało całe jego dossier zgromadzone w pamięci centralnego policyjnego komputera, dotyczące kontaktów, przyjaciół, zwolenników i miejsc, w których może przebywać. W stałym kontakcie był człowiek z Policji Religijnej Mutawain. Trwała rekrutacja wśród szyitów, ochotnikom powiedziano tylko tyle, że pozostają w służbie imama, a przez to samego Allacha i przygotować się mają do czynu, który przyniesie im wieczną chwałę.

Zgodnie z planem oddano do użytku nowy stadion. Jego olbrzymie bramy, okna, wyjścia awaryjne i system wentylacyjny były wszystkie kontrolowane przez centralny komputer zaprogramowany w odpowiedni sposób przez Eastemouse'a. Zaawansowany był plan manewrów na pustyni, dzięki którym większość regularnej armii saudyjskiej miała znaleźć się poza stolicą w nocy poprzedzającej próbę generalną głównych uroczystości. Egipski generał i dwaj palestyńscy dostawcy wojskowi dostali swoje pieniądze i gotowi byli krytycznej nocy dostarczyć Gwardii Królewskiej wybrakowaną amunicję.

Amerykańskie pistolety maszynowe typu Piccolo, razem z magazynkami i amunicją, miały być dostarczone drogą morską na początku roku. Poczyniono przygotowania, by przechować je w odpowiednim miejscu, zanim zostaną wydane szyitom. Zgodnie z tym, co obiecał Cyrusowi Millerowi, Easterhouse potrzebował dolarów tylko na pokrycie dostaw zagranicznych. Miejscowe wydatki pokrywał w rialach.

Steve'owi Pyle'owi opowiedział całkiem inną historię. Dyrektor generalny słyszał o pułkowniku Easterhouse i jego budzących zawiść wpływach na dworze królewskim. Z radością przyjął od niego przed dwoma miesiącami zaproszenie na obiad. Olbrzymie wrażenie wywarła na nim wspaniale podrobiona legitymacja CIA, którą pokazał mu Easterhouse. Pomyśleć tylko, że ten człowiek wcale nie jest na cudzym żołdzie, lecz w rzeczywistości pracuje dla własnego rządu, a wie o tym tylko on, Steve Pyle.

- Dotarły do nas wiadomości o planach obalenia dynastii - powiedział mu z poważną miną Easterhouse. - Sprawdziliśmy to i poinformowaliśmy króla Fahda. Jego wysokość zgodził się na współdziałanie Agencji i jego własnych sił bezpieczeństwa w celu zdemaskowania spiskowców.

Pyle przestał jeść i otworzył usta ze zdziwienia. A jednak cała rzecz wydawała się bardzo prawdopodobna.

- Jak pan wie, za pieniądze można w tym kraju kupić wszystko, włączając w to informacje. Tego właśnie potrzebujemy. Nie wolno nam jednak naruszyć normalnych funduszy tajnej policji, gdyż wtedy mogliby się o tym dowiedzieć spiskowcy, którzy być może znajdują się w jej szeregach. Zna pan księcia Abdula?

Pyle kiwnął głową. Książę Abdul był kuzynem króla, ministrem robót publicznych.

- Król wyznaczył go do utrzymywania ze mną łączności - powiedział pułkownik. - Książę wyraził zgodę, by fundusze, których obaj potrzebujemy do odkrycia spisku, pochodziły z jego własnego budżetu. Nie muszę dodawać, że najwyższe koła w Waszyngtonie są w olbrzymim stopniu zainteresowane tym, by nic złego nie przytrafiło się rządowi, z którym pozostajemy w jak najlepszych stosunkach.

W ten sposób bank, w osobie jednego, raczej łatwowernego wyższego urzędnika, zgodził się na utworzenie specjalnego funduszu. To, co zrobił konkretnie Easterhouse, polegało na tym, że podłączył się do komputera, który zamontował kiedyś w ministerstwie robót publicznych i wprowadził do jego programu cztery nowe instrukcje.

Pierwsza nakazywała powiadomić jego własny terminal komputerowy za każdym razem, kiedy ministerstwo wydawało weksel na pokrycie faktury wystawionej przez przedsiębiorcę. Łączna miesięczna suma tych rachunków była olbrzymia: w rejonie Dżuddy ministerstwo finansowało budowę dróg, estakad, szkół, szpitali, stadionów, głębokowodnych portów i osiedli mieszkaniowych.

Druga instrukcja nakazywała dodać 10 procent wartości do każdego rachunku i przekazać je na specjalne konto Easterhouse'a, które posiadał w filii Investment Bank w Dżuddzie. Trzecia i czwarta instrukcja miały na celu odpowiednie zabezpieczenie: w przypadku, gdyby ministerstwo spytało kiedykolwiek o pełny stan swego konta, komputer miał podać odpowiednią sumę powiększoną o 10 procent. Na koniec, gdyby pytania były bardziej dociekliwe, miał odmówić odpowiedzi i skasować całą swoją pamięć. Zgromadzona dotychczas na koncie Easterhouse'a suma wynosiła cztery miliardy rialów.

Oszustwo Easterhouse'a było prostą odmianą słynnej opowieści o czwartej kasie i mogło zostać odkryte dopiero przy rozliczeniach rocznych, które miały zostać przeprowadzone w ministerstwie na wiosnę. Bohaterem opowieści o czwartej kasie jest amerykański właściciel odwiedzanego tłumnie baru, który uważał, że jego interes przynosi mu 25 procent zysku mniej niż powinien. Wynajął więc najlepszego prywatnego detektywa, który zainstalował się w pokoju nad barem, wywiercił dziurę w podłodze i cały tydzień

spędził obserwując to, co działo się na dole. “Przykro mi, że muszę to powiedzieć - stwierdził w końcu - ale cały pański personel to najuczciwsi ludzie pod słońcem. Każdy dolar i każdy cent otrzymany od klienta wędruje do jednej z czterech kas”. “Dlaczego pan mówi: czterech? - zdziwił się właściciel baru. - Zainstalowałem tylko trzy”.

- Nikt nie chce wyrządzić krzywdy temu młodzieńcowi - powiedział Easterhouse - ale jeśli zamierza on robić takie rzeczy i nie chce siedzieć cicho, czy nie byłoby rozsądnie wysłać go z powrotem do Londynu?

- To nie takie łatwe. Dlaczego miałby zgodzić się tam jechać? - spytał Pyle.

- Z pewnością - odparł Easterhouse - przekonany jest, że jego przesyłka dotarła do Londynu. Jeśli wezwą go stamtąd - tak mu pan przynajmniej powie - pojedzie bez słowa protestu. Pan będzie musiał tylko powiedzieć Londynowi, że życzy pan sobie, by Laing został stąd odwołany. Powody: nie nadaje się tutaj, jest ordynarny wobec personelu i naraża na szwank morale swoich kolegów. Wszystkie dowody ma pan tu, w swoich rękach. Jeśli Laing powtórzy swoje oskarżenia w Londynie, potwierdzi tylko w ten sposób pańską o nim opinię.

Quinn był na tyle mądry, by wiedzieć, że najprawdopodobniej w sypialni znajduje się nie jeden, lecz dwa mikrofony. Godzinę zabrało mu wykrycie pierwszego, następną - drugiego. W podstawce dużej mosiężnej lampy stołowej wywiercona była szeroka na jeden milimetr dziurka. Nie była tam wcale potrzebna, przewód był wyprowadzony bokiem. Quinn przez kilka minut żuł gumę do żucia, której kilka opakowań podarował mu wiceprezydent Odell przed lotem przez Atlantyk - kiedy zmięкла, zalepił nią starannie otwór.

W podziemiach ambasady dyżurujący przy głównej konsoli technik z ELINT-u obrócił się i zawołał agenta FBI. Wkrótce potem przy stanowisku podsłuchowym byli Brown i Collins.

- Wysiadł właśnie jeden z naszych mikrofonów w głównej sypialni - powiedział technik. - Ten w podstawce lampy. Sygnalizuje uszkodzenie.

- Mechaniczne? - zapytał Collins. Mimo zapewnień wytwórców o jego niezawodności sprzęt lubił się czasem zepsuć.

- Być może - powiedział technik. - Nie sposób się dowiedzieć. Wygląda na to, że działa. Ale poziom dźwięków wynosi zero.

- Czy on mógł go odkryć? - spytał Brown. - Zatkanąć czymś otwór? Ten drań ma swoje sposoby. -

- Niewykluczone - odparł technik. - Czy chce pan, żebyśmy tam pojechali?

- Nie - powiedział Collins. - On i tak nigdy nie odzywa się w tej sypialni. Po prostu leży na plecach i rozmyśla. Zresztą mamy drugi mikrofon, w gniazdku w ścianie.

Tej nocy, dwunastej, licząc od pierwszego telefonu Zacka, do sypialni Quinna przyszła Sam. McCrea spał daleko, w drugim końcu mieszkania. Otwierane drzwi skrzypnęły cicho.

- Co to było? - zapytał jeden z agentów FBI pełniący nocny dyżur razem z technikiem. Ten wzruszył ramionami.

- To w sypialni Quinna. Drzwi albo okno. Może idzie do ubikacji. Może chce zaczerpnąć świeżego powietrza. Nikt się nie odzywa, widzisz?

Quinn leżał cicho na swoim łóżku, prawie w zupełnych ciemnościach.. W pokoju unosiła się słaba poświata od ulicznej latarni. Leżał bez ruchu patrząc w sufit, nagi, jeśli nie liczyć sarongu owiniętego wokół bioder. Kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi, obrócił głowę. W drzwiach, nie mówiąc ani słowa, stała Sam. Ona także wiedziała o podsłuchu. W jej własnej sypialni nie było mikrofonów, ale znajdowała się ona tuż obok pokoju, który zajmował McCrea.

Quinn spuścił nogi na podłogę, zawiązał swój sarong i przyłożył palec do ust nakazując jej milczenie. Bezszelestnie wstał z łóżka, wziął ze stolika swój magnetofon, włączył go i umieścił tuż przy gniazdku elektrycznym zainstalowanym nad listwą podłogową w odległości sześciu stóp od łóżka.

Nadlał bezszelestnie podniósł stojący w rogu duży klubowy fotel, odwrócił go do góry nogami i postawił nad magnetofonem, opierając odwrócone siedzenie o ścianę. Poduszkami zatkał szpary z boku.

Fotel sformował cztery ściany zamkniętego sześciangu, pozostałe dwie tworzyły podłoga i ściana. W środku sześciangu znajdował się magnetofon.

- Możemy teraz mówić - mruknął.

- Wcale nie chcę - wyszeptała Sam i wyciągnęła do niego ramiona. Quinn wziął ją na rękę i zaniósł na łóżko. Wyprostowała się na chwilę i ściągnęła z siebie jedwabną nocną koszulę. Quinn położył się obok niej. Dziesięć minut później zostali kochankami.

W podziemiach ambasady technik i dwaj agenci FBI beczynnie przysłuchiwali się dźwiękom dochodzącym z odległości dwu mil, z elektrycznego gniazdzka.

- Zasnął - powiedział technik. Trzech ludzi słuchało stałego rytmicznego oddechu pogrążonego w głębokim śnie mężczyzny, nagranego poprzedniej nocy, kiedy Quinn nastawił swój magnetofon i położył go obok siebie na poduszce. Do pokoju, w którym mieściło się stanowisko podsłuchowe, weszli Brown i Seymour. Nie spodziewano się niczego specjalnego tej nocy. Zack odezwał się o szóstej po południu, dzwonił ze stacji kolejowej w Bedford, nikt go nie zauważył.

- Nie rozumiem - powiedział Patrick Seymour - jak ten facet może spać spokojnie, będąc pod działaniem takiego stresu. Mnie od dwóch tygodni udaje się tylko co jakiś czas krótko zdrzemnąć. Obawiam się, czy kiedykolwiek będę mógł jeszcze normalnie spać. Ten facet musi mieć struny od fortepianu zamiast nerwów.

Technik ziewnął i kiwnął głową. Normalnie jego praca w Agencji nie wymagała pełnienia tylu nocnych dyżurów. Praktycznie siedział tu noc w noc bez przerwy.

- Do diabła - westchnął. - Chciałbym robić teraz to samo co on.

Brown odwrócił się bez słowa i wrócił do gabinetu, który przerobiono na jego kwaterę. Przebywał już prawie dwa tygodnie w tym przeklętym mieście i coraz bardziej przekonywał się, że brytyjskiej policji nie uda się dojść do niczego, a Quinn bawi się w koci łapci z łotrem, którego nie powinno się zaliczać do rasy ludzkiej. No cóż, Quinn i jego angielscy przyjaciele mogą sobie siedzieć na tyłku, aż im przyrośnie do ziemi; jego cierpliwość już się skończyła. Postanowił, że rano wyprowadzi swoją ekipę w teren i zobaczy, czy nie uda się odkryć jakiegoś śladu stosując trochę staroświeckie, ale sprawdzone metody pracy. Nie pierwszy raz może się okazać, że potężna policja przegapiła jakiś mały szczegół.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Quinn i Sam blisko trzy godziny stawili w czułych objęciach, kochając się i szepcząc na przemian. Mówiła głównie ona, o sobie i karierze zawodowej. Przy okazji przestrzegła go przed wkurzającym ścierwem, Kevinem Brownem, który ją do tej całej misji wybrał, a żeby mieć oko na sprawę, zainstalował się w Londynie wspólnie z ośmioosobową ekipą.

Zapadła już w cudownie głęboki sen bez snów, pierwszy od dwóch tygodni, gdy Quinn obudził ją szturchnięciem.

- Taśma jest tylko trzygodzinna - wyszeptał. - Skończy się za kwadrans.

Jeszcze raz go pocałowała, włożyła nocną koszulę i na palcach wycofała się do swojego pokoju. Quinn odsunął fotel od ściany, kilkakrotnie odchrząknął pod adresem mikrofonu, wyłączył magnetofon, walnął się do łóżka i najprawdziej w świetle zasnął. Na Grosvenor Square zarejestrowano odgłosy przewracania się z boku na bok, zmiany pozycji i nieprzerwanej drzemki. Technik i dwóch z FBI zerknęli na konsolę, by po chwili wrócić do kart.

Zack odezwał się o wpół do dziewiątej. Był bardziej obcesowy i srogi niż poprzedniego dnia, mówił jak gość, któremu nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa i nadwyżkę ciśnienia chce rozładować cudzym kosztem.

- Posłuchaj mnie teraz, sukinsynu. Mam powyżej uszu tego owijania w bawełnę. Reflektuję na dwa melony i szlus. Spróbujesz tylko wyjechać z jakąś nowiutką prośbą, prześlę ci kilka paluszków. Młotek, dłuto i prawa rączka gnojka twoja. Ciekawość, czy w Waszyngtonie cię za to pokochają.

- Spokojnie, Zack - jak najpoważniej powiedział Quinn. - Dostaniesz je. Twoje na wierzchu. Zeszłej nocy postawiłem im ultimatum: albo wykombinują dwa miliony, albo zwiżam interes. Jezu, myślisz, że tylko ty jesteś zmęczony? Nawet oka nie zmrużyłem na wypadek, gdybyś zadzwonił...

Zacka chyba spacyfikowała wiadomość o istnieniu człowieka z bardziej niż on zszarganymi nerwami.

- Jeszcze jedno - warknął. - Żadnej forszy. Znam was, wraz z syny, jak nic nafaszerowalibyście torbę mikrofonami. Chcę diamentów. Oto jak...

Wyłączył się po dziesięciu sekundach. Quinn darował sobie robienie notatek. Wszystko było na taśmie. Telefon Zacka zlokalizowano w jednej z trzech bankowych rozmównic publicznych w Saffron Walden, jarmarcznym miasteczku w zachodnim Essexie,

tuż przy autostradzie M11 prowadzącej z Londynu do Cambridge. Nie umundurowany policjant potrzebował trzech minut na dopadnięcie kabin, ale okazały się puste. Rozmówcę wessał tłum.

Tymczasem Andy Laing konsumował lunch w stołówce zakładowej filii Investment Bank w Dżuddzie. Towarzyszył mu zaprzyjaźniony kolega po fachu, pochodzący z Pakistanu, dyrektor do spraw operacji finansowych Amin.

- Jestem w nie lada kłopotcie, przyjacielu - zauważył młody Pakistańczyk. - Co tu się właściwie dzieje?

- Nie wiem - odparł Laing. - Może ty mi powiesz.

- Codziennie wychodzi od nas do Londynu poczta. Miałem pilną przesyłkę, w niej parę dokumentów. Liczyłem na szybką odpowiedź i teraz sam siebie pytam, kiedy ją dostanę. Dlaczego nie nadeszła? Dowiadywałem się w dziale spedycyjnym, i usłyszałem coś bardzo dziwnego.

Laing odłożył nóż i widelec.

- Co takiego, stary?

- Powiedzieli, że wszystko opóźnione. Że na dzień przed ekspedycją wszystkie przesyłki do Londynu są kierowane do Rijadu.

Laing stracił apetyt. Ssało go co prawda w dołku, ale nie z głodu.

- Od jak dawna to robią?

- Myślę, że od tygodnia.

Prosto ze stołówki Laing poszedł do siebie. Na biurku zastał wiadomość od swego szefa, dyrektora filii w Dżuddzie, Al-Harouna. Pan Pyle pragnąłby go bezzwłocznie widzieć w Rijadzie.

Wczesnym popołudniem odbył kombinowany lot liniami saudyjskimi. Podczas tej przejażdżki mało się nie zabił własną pięścią. Palnął straszne głupstwo; gdyby przesłał pakunek do Londynu zwykłą pocztą... Na dokładkę zaadresował imiennie do samego szefa księgowości, i to tym swoim charakterystycznym pismem, które z pewnością było widać na milę, gdy tylko trafiło z innymi listami na biurko Steve'a Pyle'a...

Nigel Cramer zajrzał do Quinna w porze lunchu czasu londyńskiego.

- Zamknąłeś wysokość okupu na dwóch milionach dolarów - oznajmił.

Quinn przytaknął.

- Gratuluję. Trzydzieści dni to całkiem szybko. A propos, mój tresowany psychiatra przesłuchał waszą dzisiejszą rozmowę. Zakłada, że facet jest poważny i bardzo mu zależy na wyplątaniu się z tej sytuacji.

- Jeszcze kilka dni będzie sobie musiał dać na wstrzymanie - zauważył Quinn. - Nie tylko on, my też. Słyszałeś, że zamiast forsy chce diamenty. Zgranie tego trochę potrwa. Są jakieś namiary na ich kryjówkę?

Cramer przecząco pokręcił głową.

- Niestety nie. Sprawdziliśmy każdą możliwą do pomyślenia dzierżawę. Są gdzieś na terenach przemysłowych albo sobie jakieś cholerstwo kupili. Albo wynajęli.

- I co? Nie ma szans sprawdzić transakcji gotówkowych? - spytał Quinn.

- Raczej nie. Liczba nieruchomości zbywanych i sprzedawanych w południowo-wschodniej Anglii jest olbrzymia. W sprzedaży tysięcy domów, które są w posiadaniu cudzoziemców, zagranicznych korporacji i spółek, pośredniczą prawnicy, banki i tak dalej. Jak choćby w przypadku tego lokum.

Przyciął Lou Collinsowi i gorliwie podsłuchującym ludziom z CIA.

- Aha - ciągnął - rozmawiałem z jednym z naszych w Hatton Garden. Dogadał się z jakimś pośrednikiem w handlu diamentami. Kimkolwiek jest pański człowiek zna jego kamienie. On albo któryś z jego kolegów. To, o co prosił, ma być łatwe do nabycia, proste w obrocie i lekkie. Około kilograma, może ciut więcej. Myślał pan o wymianie?

- Jasne - odparł Quinn. - Chciałbym to sam załatwić, i żadnych ukrytych mikrofonów - pewnie się już tym zajmą. Nie podejrzewam, żeby przyprowadzili Simona, więc w razie jakichś sztuczek chłopak mógłby umrzeć.

- Proszę się nie obawiać, panie Quinn. To oczywiste, że chętnie byśmy ich złapali, ale biorę pańską stronę. Obiecuję, że nie będzie żadnych sztuczek ani wyskoków.

- Dziękuję - powiedział Quinn i uścisnął na pożegnanie dłoń człowieka ze Scotland Yardu, który oddalił się, by o pierwszej złożyć komitetowi COBRY meldunek z przebiegu sytuacji.

Kevin Brown spędził rano w samotni swego biura pod ambasadą. Zaraz po otwarciu sklepów oddelegował dwóch ludzi, by zdobyli niezbędne mu przedmioty: bardzo dokładną mapę terenów na północ od Londynu w promieniu 50 mil, stosowany arkusz folii, chorągiewki i chińskie pisaki w różnych kolorach. Ściągnąwszy ekipę wywiadowców, rozpostarł folię na mapie.

- Okay, przyjrzyjmy się budkom telefonicznym, z których ten parszywy szczur korzystał. Chuck, czytaj jak leci.

Chuck Moxon przestudiował wykaz.

- Pierwsza rozmowa z Hitchin w Herfordshire.

- W porządku, Hitchin jest... tutaj. Chorągiewka stanęła na Hitchin.

W ciągu trzynastu dni Zack wykonał osiem telefonów, dziewiąty był tuż-tuż. Chorągiewki kolejno trafiały na swoje miejsca. Przed dziesiątą jeden z dwóch ludzi FBI zszedł z posterunku nasłuchowego i wetknął głowę w drzwi.

- Właśnie zadzwonił. Grozi, że obetnie Simonowi palce dłutem.

- Jasna cholera! - zaklął Brown. - Ten głupek, Quinn, wszystko spieprzy. Wiedziałem. Skąd dzwonił?

- Z Saffron Walden - poinformował młody mężczyzna.

Kiedy dziewiąta chorągiewka znalazła się, gdzie trzeba, Brown obwiódł wytyczony obszar; był strzępiasty i obejmował fragmenty pięciu hrabstw. Następnie połączył linijką naprzeciwległe, najdalsze punkty. W orientacyjnym konturze pojawiła się pajęczyna linii. Na południowym wschodzie najbardziej wysunięte było Great Dunmow w Essexie, na północy St Neots w Cambridgeshire, na zachodzie Milton Keynes w Buckinghamshire.

- Najwięcej krzyżujących się linii mamy tutaj - Brown wskazał czubkiem palca - kawałek na wschód od Biggleswade w hrabstwie Bedfordshire. I żadnego telefonu. Dlaczego?

- Za blisko bazy?... - zaryzykował jeden z mężczyzn.

- Możliwe, chłopcze, całkiem możliwe. Widzicie, chciałbym, żebyście się zajęli Biggleswade i Sandy, miasteczkami najbliższymi centrum pajęczyny. Odwiedzicie wszystkich pośredników od nieruchomości. Udawajcie przyszłych klientów, szukających zacisznego domku na pisanie książki albo coś w tym rodzaju. Słuchajcie, co powiedzą; może jakieś miejsce niezadługo się zwolni, a może coś mogli wam dać na przykład trzy miesiące temu, ale skorzystał kto inny. Kapujecie?

Zgodnie pokiwali głowami.

- Czy mamy o tym powiadomić pana Seymoura? - spytał Moxon. - No bo może Scotland Yard już tam był.

- Pana Seymoura zostaw mnie - uspokoił go Brown. - Dobrze się nam współpracuje. Zresztą nawet gdyby gliniarze tam byli, mogli coś przeoczyć. Albo i nie. Sami się przekonamy.

Steve Pyle przywitał Lainga, siłąc się na właściwą sobie jowialność.

- Wezwałem cię... eee... Andy. bo właśnie przyszła prośba z Londynu, żebyś ich odwiedził. Wygląda na to, że otwiera się przed tobą nowa kariera.

- Jasne - przyznał Laing. - Czy ta prośba ma coś wspólnego z przesyłką i raportem, które im posłałem, a które nie doszły, bo zostały przechwycone w tym biurze?

Po jowialności Pyle'a nie było śladu.

- Dobra, jesteś sprytny, może nawet za sprytny. Wściubiałeś nos w nie swoje sprawy. Próbowałem cię ostrzec, ale ty oczywiście dalej musiałeś się bawić w prywatnego detektywa. Teraz odpłacę ci pięknym za nadobne. Wrócisz do Londynu. Nie pasujesz tutaj, Laing. Nie zachwyca mnie twoja praca. Wracasz, ot co. Masz siedem dni na uporządkowanie biurka. Bilet już zabukowany. Siedem dni od dzisiaj.

Gdyby Andy Laing był starszy i bardziej doświadczony, pewnie rozegrałby to z zimniejszą krwią. Tymczasem złościł go fakt, że człowiek na tak eksponowanym stanowisku w banku bogacił się kosztem oskubywanych klientów. Miał naiwność młodego entuzjasty, przekonanego, że prawda zatriumfuje. Skierował się do drzwi.

- Siedem dni? Dostatecznie dużo, żebyś się dogadał z Londynem, co? Ani myślę. Wrócę, owszem, ale jutro.

Zdażył na ostatni nocny samolot do Dżuddy i natychmiast poszedł prosto do banku. Paszport wraz z innymi wartościowymi papierami przechowywał w górnej szufladzie biurka; włamanie do mieszkań Europejczyków nie należą w Dżuddzie do wyjątków, dlatego bank był bezpieczniejszy. Przynajmniej teoretycznie. Paszport zniknął.

Tej nocy między porywaczami doszło do regularnej awantury.

- Przytkajcie jadaczki, do cholery - raz po raz syczał Zack. - *Baissez les voix, merde.*

Wiedział, że są na granicy wytrzymałości. Zawsze zresztą istniało ryzyko, jeśli człowiek korzystał z takich pomagierów. Od porwania pod Oksfordem, gdzie zdrowo skoczył im poziom adrenaliny, dzień i noc siedzieli zamknięci, popijali piwo, które nabywał w przydrożnych stacjach obsługi, i łowili dzwonki nieznanymi ludźmi. Siadały im nerwy, a nie dysponowali niestety takimi pokładami intelektu, żeby zatopić się w książkach czy oddać kontemplacji. Korsykanin całymi dniami słuchał francuskojęzycznych programów pop, urozmaicanych miniserwisami informacyjnymi, Afrykanin z RPA godzinami gwizdał fałszywie jedną i tę samą melodię "Sarie Marais". a Belg, nie rozumiejąc słowa, oglądał telewizję; najbardziej sobie upodobał kreskówki.

Kłótnia dotyczyła decyzji Zacka o dobieciu targu z negocjatorem Quinnem i zakończeniu sprawy na dwóch milionach.

Korsykanin zgłosił sprzeciw, do którego skłonny był się przyłączyć Belg, ponieważ obaj mówili po francusku. Afrykanin miał wszystkiego powyżej uszu, chciał wrócić do domu i popierał Zacka. Argument koronny Korsykanina zasadał się na tym, że mogą sobie tu siedzieć do upadłego. Zack wiedział, że tak nie jest i zdawał sobie sprawę, jak groźne w skutkach byłoby powiedzenie im, że zaczynają pękać i nie mogą sobie pozwolić na więcej niż sześć dni drętwej nudy.

Próbował ich udobruchać i zjednać, przyznał, że odwalili kawał wspaniałej roboty i że za parę dni wszyscy będą bardzo bogaci. Myśl o takiej forsie uspokoiła ich i uciszyli się. Zackowi kamień spadł z serca, bo obyło się bez rękoczynów. W odróżnieniu od trzech mężczyzn jemu nie doskwierała nuda, tylko stres. Ilekroć prowadził duże Volvo zatłoczonymi drogami, wiedział, że wystarczy pierwsza lepsza kontrola policji, stłuczka albo chwila nieuwagi, a oficer w niebieskiej czapce już by się przy nim pochylał i dziwił, dlaczego nosi perukę i sztuczne wąsy. Taka charakteryzacja uszłaby w tłumie, ale na pewno nie z piętnastocentymetrowej odległości.

Zawsze kiedy wchodził do kabiny telefonicznej, wydawało mu się, że coś jest nie tak, że ruch jest większy niż zwykle, a kilka jardów dalej czai się nie umundurowany policjant, który po ogłoszeniu alarmu via radio maszeruje w jego stronę. Zack nosił broń, wiedział, że w razie czego jej użyje, musiałyby wtedy zrezygnować z Volva, parkowanego kilkaset jardów dalej, i uciekać na piechotę. Może jakiś idiota usiłowałby go przytrzymać. Doszło już do tego, że na widok policjanta idącego niespiesznie rojną od ludzi ulicą, którą sobie upatrzył, by dzwonić, żołądek podchodził mu do gardła.

- Zanieś dzieciakowi kolację - polecił Afrykaninowi.

Simon Cormack spędził w swej podziemnej celi piętnaście dni, a trzynaście, odkąd udzielił odpowiedzi na pytanie o ciotkę Emily i wiedział, że ojciec próbuje go uwolnić. Teraz do niego dotarło, co znaczy osadzenie w pojedynczej celi, dziwił się, jak ludzie byli w stanie żyć tak całymi miesiącami czy nawet latami. W więzieniach zachodnich klienci izolatek dostawali przynajmniej coś do pisania, mieli książki, czasem oglądali telewizję, czym mogli zająć sobie myśli. Tymczasem jemu nie dali nic. Ale jako twardy chłopiec postanowił się nie rozklejać.

Regularnie ćwiczył, zmuszając się do przewyciężenia więziennego marazmu, dziesięć razy dziennie robił pompki, dwanaście - biegał w miejscu. Wciąż miał na sobie strój treningowy: skarpety, szorty i sportową koszulkę; był świadom, że z pewnością straszliwie cuchnie. Z wiadra korzystał ostrożnie, starając się nie upaprać podłogi, cieszył się, że opróżniano je co drugi dzień.

Jedzenie dostawał monotonne. Coś smażonego albo na zimno, ale w dostatecznych ilościach. Oczywiście nie miał żyłki, więc paradował z wąsami i rzadką bródką. Długawe już włosy rozczesywał palcami. Poprosił, co mu w końcu przynieśli, o plastikową miskę zimnej wody i gąbkę. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak dalece można być wdzięcznym za wodę do mycia. Stanął nagi, szorty zsunął po kostek, żeby ich nie zamoczyć, i szorując się gąbką od stóp do głów, usiłował doprowadzić ciało do względnej czystości. Potem poczuł się

jak nowo narodzony. Nie próbował żadnych forteli. O zerwaniu łańcucha nie miał co marzyć, drzwi były solidne i starannie zaryglowane.

W przerwach między ćwiczeniami starał się na wszelkie sposoby zaprzętać umysł; recytował każdy zapamiętany skrawek wiersza, dyktował wyimaginowanemu stenografowi swą biografię, opowiadając o wszystkim, co mu się w ciągu dwudziestu jeden lat życia przytrafiło. Myślał o domu, o New Haven i Nantucket, Yale i Białym Domu. Myślał o mamie, tacie, o tym, jacy byli, miał nadzieję, że się z jego powodu nie zamartwiają, a jednocześnie tego oczekiwał. Gdyby mógł im powiedzieć, że jest w dobrej formie, biorąc pod uwagę... Rozległy się trzy głośnie puknięcia. Sięgnął po czarny kaptur. Pora na kolację, a może śniadanie?...

Tego samego wieczoru, gdy Simon Cormack zasnął, Samantha Somerville leżała w ramionach Quinna, a magnetofon dyszał w ścianę, w odległości pięciu stref czasowych na zachód zebrał się komitet Białego Domu. Prócz członków gabinetu i szefów ministerstw przybyli także Philip Kelly z FBI i David Weintraub z CIA.

Słuchali taśm z rozmowami Zacka i Quinna, zgrzytliwego głosu brytyjskiego przestępcy i uspokajających, przeciągłych słów Amerykanina, próbującego partnera udobruchać, co od dwóch tygodni powtarzało się niemal każdego dnia.

Kiedy Zack skończył, Hubert Reed aż zbladł z wrażenia.

- Mój Boże - wykrztusił - dłuto i młotek. To zwierzę nie człowiek.

- Taa, wiemy - skonstatował Odell. - Nareszcie znamy wysokość okupu. Dwa miliony w diamentach. Są jakieś uwagi?

- Bynajmniej - odezwał się Jim Donaldson. - Ten kraj lekką ręką zapłaci za syna prezydenta. Jestem tylko zdumiony, że zajęło to dwa tygodnie.

- Powiedziano mi, że to dosyć szybko - zauważył prokurator generalny Bill Walters.

Don Edmonds z FBI przytaknął skinieniem głowy.

- Czy przesłuchamy resztę taśm, tych z pokoju Quinna? - spytał Odell.

Uznali, że to zbędne.

- A co z tym, co Cramer ze Scotland Yardu powiedział Quinnowi? Są jakieś uwagi od twoich ludzi?

Don Edmonds łypnął na Philipa Kelly'ego i odpowiedział w imieniu Biura.

- Nasi w Quantico zgadzają się ze swoimi brytyjskimi kolegami. Zack goni resztkami sił, chce to sfinalizować i doprowadzić do wymiany. W jego głosie wyczuwa się silne napięcie, stąd pogrożki. Poza tym przyznają tamtejszym psychoanalitykom rację w jeszcze jednym. Otóż Quinn zawiązał z tym zwierzęciem coś na kształt nici porozumienia. Wygląda

na to, że jego starania, co zajęło dwa tygodnie - tu Don Edmonds zerknął na Donaldsona - żeby odegrać rolę faceta, który chce pomóc Zackowi, a z nas zrobić ponurych typów przysparzających samych problemów, powiodły się. Zack darzy Quinna szczypłą zaufania, ale tylko Quinna, co może się okazać istotne w pomyślnym załatwieniu wymiany. Przynajmniej taka jest opinia psycholingwistów i behawiorystów.

- Chryste, co za robota, przymilać się takim szumowinom - z obrzydzeniem jęknął Jim Donaldson.

David Weintraub, dotąd wpatrujący się w sufit, rzucił okiem na sekretarza stanu. Mógłby powiedzieć, czego jednak nie zrobił, że aby chronić tych wszystkich polityków na wysokich stanowiskach, on i jego ludzie musieli niekiedy zadawać się z kreaturami aż tak obmierzłymi jak Zack.

- Okay, chłopcy - zagaił Odell - dobijamy targu. Nareszcie sprawa wróciła do nas i trzeba się z nią co prędzej uporać. Według mnie pan Quinn odwalił niezłą robotę. Jeśli uwolni chłopca całego i zdrowego, będziemy jego dłużnikami. A teraz diamenty. Skąd je weźmiemy?

- Z Nowego Jorku - odparł Weintraub. - Diamentowej Mekki naszego kraju.

- Morton, ty jesteś z Nowego Jorku. Nie masz jakichś dyskretnych kontaktów, które mógłbyś szybko uruchomić? - nagabnął Odell eksbankiera, Mortona Stannarda.

- Naturalnie. W Rockman-Queens mieliśmy немало klientów z tej branży. Bardzo dyskretni. Chcesz, żebym to załatwił? A co z pieniędzmi?

- Prezydent nalega, żeby osobiście uiścić okup - powiedział Odell. - Ale nie widzę powodu, dla którego trzeba by go było absorbować takimi drobiazgami. Hubert, czy skarb państwa mógłby udzielić pożyczki, dopóki prezydent nie upłynni funduszy trustu?

- Bez problemu - odrzekł Hubert Reed. - Będziesz miał swoje pieniądze, Morton.

Członkowie komitetu wstali. Odell spieszył do rezydencji na spotkanie z prezydentem.

- Najszybciej jak tylko możesz, Morton - rzucili. - Powiedzmy, dwa, góra trzy dni.

W rzeczywistości zajęło siedem.

Dopiero rano Andy Laing mógł się rozmówić z Al-Harounem, dyrektorem filii banku w Dżuddzie. Nocy jednak nie zmarnował.

Pan Al-Haroun był tak kornie przepraszający, jak tylko być może dobrze ułożony Arab w konfrontacji z wściekłym człowiekiem Zachodu. Było mu niezmiernie przykro, to bez wątpienia niefortunna sytuacja, której rozwiązanie spoczywa w rękach wszechmiłosiernego Allacha; nic nie sprawi mu większej przyjemności nad zwrot panu Laingowi paszportu, który zabezpieczył na noc wyłącznie na specjalne życzenie pana Pyle'a. Podszedł do sejfu, szczupłymi brązowymi palcami wyciągnął zielony paszport USA i wręczył Laingowi.

Laing udobruchał się, podziękował formalnym, łaskawym „Ashkurak” i odszedł. Zaraz po powrocie do biura wpadło mu na myśl przekartkować paszport.

W Arabii Saudyjskiej od cudzoziemców wymagano prócz wizej wjazdowej - wyjazdowej. Jego, ongiś ważną bez ograniczeń, anulowano. Stempel był najprawdziwszy. Ani chybi, zadumał się gorzko, Al-Haroun ma w odpowiednim urzędzie przyjaciela. Był to mimo wszystko lokalny sposób załatwiania spraw.

Wiedząc, jak marne są szanse wyjazdu, postanowił to jednak odkręcić. Przypomniawszy sobie, co kiedyś usłyszał od dyrektora do spraw operacji finansowych, Amina.

- Amin, przyjacielu, czy nie mówiłeś mi o jakimś twoim krewniaku ze Służby Imigracyjnej? - zapytał.

Amin nie dostrzegł pułapki.

- A tak, rzeczywiście. O ciotecznym bracie.

- W którym urzędzie pracuje?

- Nie tutaj, przyjacielu. W Dharram.

Dharram nie leżało niestety w pobliżu Dżuddy nad Morzem Czerwonym, lecz dokładnie po przeciwnej stronie, na wschodzie, nad Zatoką Perską. Późnym rankiem Andy Laing zadzwonił do Zulfiqara Amina. - Tu Steve Pyle - powiedział - dyrektor generalny Investment Bank. Jeden z moich pracowników załatwia obecnie sprawy służbowe w Dharram. Dzisiaj wieczorem powinien polecieć w pilnych interesach do Bahrajnu i niestety, powiada, że jego wiza straciła ważność. Sam pan wie, jak długo się to załatwia formalnymi kanałami... Dlatego biorąc pod uwagę stopień zażyłości, w jakiej pozostajemy z pańskim bratem... Pan Laing będzie bardzo hojny...

Podczas lunchu Andy Laing spakował swoje rzeczy i o trzeciej po południu złapał samolot linii saudyjskich do Dharram. Pan Zulfiqar Amin już go oczekiwał. Wydanie wizej wjazdowej pochłonęło dwie godziny i tysiąc riali.

Al-Haroun zauważył nieobecność dyrektora do spraw kredytów i marketingu mniej więcej w chwili odlotu tegoż do Dharram. Sprawdził miejscowe lotnisko, ale tylko dział międzynarodowy. Po Laingu ani śladu. Zakłopotany, zadzwonił do Rijadu. Pyle był ciekaw, czy “blokada” nie można objąć wszystkich przelotów Lainga, z krajowymi włącznie.

- Obawiam się, drogi kolego, że nie - odparł Al-Haroun, który strasznie nie lubił rozczarowywać. - Ale mógłbym spytać przyjaciela, czy udał się samolotem krajowym.

Lainga wytropiono w Dharram, akurat kiedy zdążył przekroczyć granicę z sąsiadującym Emiratem Bahrajnu. Stamtąd bez trudu złapał samolot British Airways na trasie Mauritius-Londyn. Nie podejrzewając, że uzyskał ważną wizę wjazdową, Pyle czekał do

następnego dnia, a potem poprosił personel banku w Dharram o przepatrzenie miasta i wywiedzenie się, co też Laing tam porabia. Po trzech dniach wrócili z pustymi rękami.

Po upływie trzech dni od zlecenia przez komitet waszyngtoński zdobycia diamentów dla Zacka minister obrony zameldował, że wykonanie zadania potrwa dłużej, niż zakładali. Pieniądze są do dyspozycji, przynajmniej z tym nie ma problemu.

- Widzicie - informował kolegów - ja nic nie wiem o diamentach. Moi pośrednicy, a wzięłem trzech i wszyscy są bardzo dyskretni i rozsądni, powiedzieli, że w grę wchodzi całkiem pokaźna liczba kamieni. Kidnaper prosił o średniej jakości, nie cięte, nie szlifowane „melee” od jednej piątej karata do pół karata. Takie kamienie są podobno warte od dwustu pięćdziesięciu do trzystu dolarów za karat. Żeby działać na pewniaka, kalkulują cenę wyjściową na 250 dolarów. Chodzi o plus minus osiem tysięcy karatów.

- No to w czym problem? - zdziwił się Odell.

- Chodzi o czas - powiedział Morton Stannard. - Kamieni po jednej piątej karata byłoby czterdzieści tysięcy, półkaratowych szesnaście tysięcy, a o różnych ciężarach, powiedzmy, dwadzieścia pięć tysięcy. Taką liczbę trudno szybko uezierać. Faceci kupują jak wściekli i próbują nie robić przy tym za dużo szumu.

- Kiedy najwcześniej mogą być gotowi do wysyłki? - spytał Brad Johson.

- Za dzień, może dwa.

- Stań na głowie, Morton - warknął Odell. - Dobiliśmy targu, nie możemy narażać chłopaka i ojca na zbyteczną zwłokę.

- Jak tylko będą w worku, zważone i poświadczone, dostaniesz je - zapewnił Stannard.

Następnego ranka w ambasadzie Kevin Brown przyjął telefon od jednego ze swoich ludzi.

- Moglibyśmy strzelić w dziesiątkę, szefie - zwięźle oznajmił agent.

- Ani słowa więcej na otwartej linii, chłopcze. Rusz tyłek i pofatyguj się tutaj. Powiesz mi to osobiście.

Agent zjawił się w Londynie około południa. To, co miał do zakomunikowania, było więcej niż interesujące.

Na wschód od Biggleswade i Sandy, położonych przy szosie A1 biegnącej z Londynu na północ, przebiega granica dwóch hrabstw: Bedfordshire i Cambridgeshire. Ów w przeważającej części rolniczy obszar przecinają jedynie drogi drugorzędne klasy B i wiejskie trakty, nie ma tu żadnych większych miast prócz paru na obrzeżach hrabstwa, noszących stare angielskie nazwy: Potton, Tadlow, Wrestling-worth i Gamlingay. Między dwiema z nich, na uboczu bitego szlaku, w płytkiej dolinie, dokąd prowadzi jedna najzwyczajniejsza

dróżka, leży stara farma, którą częściowo zniszczył pożar, ale jedno skrzydło zachowało się w dobrym stanie i można tam mieszkać.

Agent dowiedział się, że przed dwoma miesiącami farmę wynajęła grupka rzekomych “chłopomanów”, pragnących ponoć wrócić do natury, żyć prosto, tudzież tworzyć dzieła sztuki garncarskiej i wikliniarskiej.

- Dowcip polega na tym - obwieścił agent - że czynsz opłacili w gotówce, zbyt dużo garnków nie sprzedali i jeżdżą dwoma dżipami, które skrzętnie ukrywają w stajni, i z nikim się nie zadają.

- Jak się to miejsce nazywa? - spytał Brown.

- Farma Green Meadow, szefie.

- Jak się nie będziemy objać, zdążymy tam za dnia. Obejrzymy sobie Green Meadow.

Do zmroku pozostały dwie godziny, kiedy Kevin Brown z agentem zaparkowali wóz u wylotu ścieżki na farmę. Resztę drogi pokonali pieszo. Agent prowadził. Zbliżali się do celu z niewiarygodną wprost czujnością, przeskakując od drzewa do drzewa, by wreszcie wychynąć na skraj lasu. Stamtąd przeczołgali się dziesięć jardów do krawędzi zbocza i spojrzeli w dolinę. Farma była pod nimi. W jesienne popołudnie czerniło się strawione ogniem skrzydło, a z okna ocalałej części bił skąpany odbłask bodaj naftówki.

Nagle z domu wyszedł tęgi mężczyzna i udał się do jednej z trzech stajni, w której spędził dziesięć minut, i wrócił. Brown wnikliwie zlustrował kompleks zabudowań silną lornetką. Dróżką z ich lewej strony nadjechał solidny japoński terenowiec o napędzie na cztery koła. Zahamował przed farmą i z jego wnętrza wygramolił się jakiś człowiek. Ostrożnie popatrzył dookoła i rzucił okiem na skraj doliny, czy aby nic się tam nie rusza. Nikogo nie zauważył.

- Cholera - zaklął Brown. - Rudy. I w binoklach.

Kierowca dżipa wszedł do domu, a kilka sekund później pojawił się w towarzystwie tegoż mężczyzny i pokaźnego rottweilera. Zniknęli w wiadomej stajni, skąd po dziesięciu minutach wrócili. Tęgi wprowadził dżipa do drugiej stajni i zamknął drzwi.

- Ludowe wyroby garncarskie, cholerny świat - mruknął Brown. - W tej pieprzonej stajni coś albo ktoś jest. Jakem potępieniec, siedzi tam młodzieniec.

Przemknęli do linii drzew. Zapadał zmierzch.

- Weźmiesz koc z bagażnika - polecił Brown - i zostaniesz na czatach całą noc. Wróć z ekipą przed wschodem słońca, o ile w ogóle w tym cholernym kraju jest jakieś słońce.

Po drugiej stronie doliny, rozciągnięty na gałęzi olbrzymiego dębu, leżał mężczyzna w ochronnym mundurku, który także miał lornetkę i dzięki niej naprzeciwko swego posterunku

dostrzegł między drzewami dwa ruchome punkty. Kiedy Kevin Brown i agent zniknęli w lesie, wyjął z kieszeni niewielkie radio i kilka dobrych sekund coś nagłaco szeptał. Był dwudziesty ósmy października, dziewiętnasty dzień od porwania Simona Cormacka i siedemnasty od pierwszego telefonu Zacka do lokum na Kensington.

Tego wieczoru znów zadzwonił, kryjąc się pośród zagonionego tłumu w śródmieściu Luton.

- Co jest grane. Quinn?! Minęły trzy pieprzone dni.

- Spokojnie. Zack. To przecież diamenty. Wzięłeś nas do galopu, bracie. Zebranie takiej paczuszki trochę potrwa. Nakładłem tym w Waszyngtonie, ile wlezie. Robią, co mogą, ale do diabła. Zack. znalezienie dwudziestu pięciu tysięcy dobrych, czystych kamieni zajmie odrobinę...

- Dobra, powiedz im, że mają jeszcze dwa dni, a potem dostaną chłopca w worku. Pamiętaj.

Wyłączył się. Eksperci stwierdzą później, że nerwy miał w fatalnym stanie i osiągnął taki punkt, w którym mógłby chłopca skrzywdzić, ponieważ uległ frustracji i czuł się w pewien sposób nabrany.

Kevin Brown i jego ekipa byli prężni, zwarci i gotowi. Nadeszli dwójkami z czterech stron. Jedna para pociągnęła drózkę, sunąc naprzód od osłony do osłony, reszta w całkowitej ciszy runęła zza drzew stromymi polami. Działo się to w tej godzinie przed brzaskiem, kiedy światło jest najkapryśniejsze, a energia ofiary najmniejsza. W godzinie myśliwego.

Zaskoczenie było totalne. Chuch Moxon i jego partner wzięli podejrzaną stajnię. Moxon przeciął kłódkę, a kolega wturlał się do środka po zakurzonej podłodze i co prędzej stanął na równe nogi z bronią gotową do strzału. Oprócz prądnicy, czegoś w rodzaju pieca do wypalania i ławy z rządkiem laboratoryjnego szkła nic tam nie było. Sześciu mężczyznom i Brownowi, którzy zajęli dom, powiodło się lepiej.

Dwie dwójki wdarły się przez okna i po sforsowaniu szyb wraz z ramami pomknęły na górę do sypialń.

Brown z ostatnią dwójką wszedł drzwiami wejściowymi. Zamek zgruchotali jednym uderzeniem kowalskiego młota i już byli w środku.

Tęgi spał na krześle w długiej kuchni opodal zarzącego się paleniska. Do niego należało nocne stróżowanie, ale nuda i zmęczenie wzięły górę. Na hurkot drzwi frontowych wyskoczył z krzesła i wyciągnął rękę po dubeltówkę, kaliber 12, leżącą na sosnowym stole. Prawie mu się udało. Wrzask „nie ruszać się!” i widok dużego ostrzyżonego na jeża

mężczyzny pochylonego nad koltem 45, wycelowanym prosto w jego pierś, skłonił go do zarzucenia owego zamiaru. Splunął i wolno podniósł obie ręce.

Na pięterku rudzielec spał spokojnie z jedyną w tej grupie dziewczyną. Oboje obudził łoskot okien i drzwi. Kobieta krzyknęła, mężczyzna wstał i już na schodach natknął się na pierwszego człowieka z FBI. Na użycie broni było za blisko, przeto panowie szamotali się w ciemnościach, dopóki inny Amerykanin, odróżniwszy kto jest kto, odczo nie zdzielił rudego kolbą kolia.

Kilka sekund później wywleczono z łóżka mrugającego zaspanymi oczami czwartego członka grupy, chudego, kościstego młodziana o prostych, gładkich włosach. Cała ekipa FBI miała latarki na paskach. Kolejne dwie minuty zajęło sprawdzenie pozostałych sypialń i ustalenie, że oprócz czworga osób nikogo więcej nie było. Wszystkich ściągnięto do kuchni i zapalono światło. Kevin Brown przyglądał się im z odrazą.

- No dobra, gdzie chłopak? - warknął. Jeden z agentów spojrział w okno.

- Szefie, mamy towarzystwo.

Ku farmie zdążyło około pięćdziesięciu mężczyzn, wszyscy na niebiesko, dwunastu z pręciami co sił owczarkami alzackimi na smyczach. W szopie zawył wściekłe na intruzów rottweiler. Ścieżką telepał się biały, niebiesko oznakowany Range Rover, by wreszcie stanąć w odległości dziesięciu jardów od zgruchotanych drzwi. Z samochodu wysiadł mężczyzna w średnim wieku, cały niebieski, połyskując tu i ówdzie srebrnymi guzikami i insygniami, w obszytej galonem czapce z daszkiem. Nie rzekłszy słowa, wkroczył do holu, a stamtąd do kuchni, gdzie wbił oczy w czwórkę więźniów.

- W porządku, przekazujemy ich teraz w pańskie ręce - powiedział Brown. - On tu gdzieś jest. I te bydlaki wiedzą, gdzie.

- Właściwie, kim pan jest? - zagaił człowiek w niebieskim.

- Ach tak, oczywiście...

Kevin okazał legitymację biura. Anglik obejrzał ją pieczołowicie i zwrócił.

- Proszę tylko spojrzeć - chełpliwie zauważył Brown - czego dokonaliśmy...

- To, czego dokonaliście, panie Brown - lodowato, z tłumioną furią wysyczał naczelnik policji z Bedfordshire - to udaremnienie największej w tym kraju obławy na handlarzy narkotyków, która jak podejrzewam nigdy już nie dojdzie do skutku. Ci ludzie to podrzędni ochroniarze i jeden farmaceuta. Grubych ryb z towarem spodziewano się lada dzień. Czy zechciałby pan teraz wrócić do Londynu?

O tej porze Steve Pyle siedział w biurze pana Al-Harouna w Dżuddzie, dokąd przyleciał po otrzymaniu niepokojącego telefonu.

- Co on dokładnie zabrał? - zapytał po raz czwarty.

Pan Al-Haroun wzruszył ramionami. Ci Amerykanie byli jeszcze gorsi od Europejczyków, zawsze popędliwi.

- Nie jestem, niestety, ekspertem od tych maszyn - odparł - ale mój nocny stróż donosi...

Tu zwróciwszy się do saudyjskiego wartownika, zalał go potokiem arabszczyzny. Mężczyzna odpowiedział, wyciągając przy tym ręce dla pokazania rozmiarów czegoś.

- Mówi, że w przeddzień oddania panu Laingowi odpowiednio zmienionego paszportu młody człowiek znaczną część nocy spędził przy komputerze, skąd przed świtem odszedł ze sporym plikiem wydruków. W pracy zjawił się o zwykłej porze już bez nich.

Steve Pyle wracał do Rijadu bardzo zmartwiony. Pomaganie rządowi i krajowi to jedno, a śledztwo w sprawie porachunków wewnętrznych - drugie. Poprosił o pilne widzenie z pułkownikiem Easterhousem.

Spec od Arabów wysłuchał go w spokoju, wielokroć kiwając głową.

- Myślisz, że dotarł do Londynu? - spytał.

- Nie wiem, jakim cudem, ale gdzie by się do cholery podział?

- Hm... Czy mógłbym skorzystać przez moment z twojego centralnego komputera?

„Moment” zajął pułkownikowi cztery godziny. Praca nie była skomplikowana, ponieważ znał kody wyjściowe. Nim skończył, wszystkie rejestry zostały starannie wytarte i zastąpione nowiutkimi.

Nigel Cramer otrzymał pierwszy meldunek telefoniczny z Bedford przed południem, na długo nim dotarł pisemny raport. Wykręcając numer Patricka Seymoura w ambasadzie, kipiał ze złości. Brown z ekipą ciągle byli na południu.

- Patrick, zawsze mieliśmy szalenie dobre układy, ale tym razem to granda. Za kogo on się ma, do diabła! I gdzie on w swoim mniemaniu jest?!

Seymour znalazł się w koszmarnej sytuacji. Trzy lata poświęcił na budowanie przyjacielskiej współpracy między FBI a Scotland Yardem, które to zadanie odziedziczył po Darrellu Millsie. Chodził na kursy w Anglii i organizował wizyty starszych oficerów Yardu w Hoover Building, żeby doprowadzić do kontaktów bezpośrednich, co w razie kryzysu pozwala ukrócić milową biurokrację.

- Co właściwie zaszło na farmie? - spytał.

Cramer wziął się w garść i zrelacjonował sprawę. Miesiąc temu Scotland Yard dostał cynk o kolejnej poważnej operacji wielkiej szajki handlarzy narkotyków na terenie Anglii. Po żmudnym śledztwie ustalono, że farma jest bazą. Brygada inwigilacyjna z departamentu służb

wyspecjalizowanych wykonywała swe zadanie tydzień po tygodniu w kontakcie z policją w Bedford. Ścigali śliskiego jak węgorz nowozelandzkiego króla heroiny, poszukiwanego przez tuzin innych państw. Spodziewano się, że przyjedzie z dużą ilością koki do przetworzenia, pocięcia i dystrybucji, ale teraz pewnie się w ogóle do tego miejsca nie zbliży. - Przykro mi. Patrick, ale w tej sytuacji będę musiał poprosić ministra spraw wewnętrznych, żeby Waszyngton go wycofał.

- No cóż, jak mus to mus - odparł Seymour i odłożywszy słuchawkę, pomyślał: "Rób swoje".

Cramera czekało także inne, pilniejsze zadanie. Musiał zapobiec ukazaniu się jakiegokolwiek publikacji, musiał odwołać się do dobrej woli właściciela i redaktorów mass mediów.

Komitet waszyngtoński zapoznał się z raportem Seymoura na pierwszym porannym spotkaniu w tym dniu już o godzinie siódmej.

- Dostał pierwszorzędny cynk i poszedł tym tropem! - zauważył Philip Kelly.

Don Edmonds przeszył go ostrzegawczym spojrzeniem.

- Powinien współpracować ze Scotland Yardem - stwierdził sekretarz stanu, Jim Donaldson. - Po prostu niepotrzebne nam zadzieranie z władzami brytyjskimi. Co ja, do licha, powiem sir Harry'emu Marriottowi, gdy spyta o powód odwołania Browna?

- Słuchajcie - wtrącił minister skarbu, Reed. - Dlaczego nie pójść na kompromis? Brown był nadgorliwy i jest nam przykro, ale wierzymy, że Quinn i Brytyjczycy lada chwila uporają się z uwolnieniem Simona Cormacka, a wtedy przyda się nam silna eskorta do przewiezienia chłopca. Dlaczego by Brownowi i jego ekipie nie dać paru dni? Powiedzmy, do końca tygodnia.

Donaldson skinął głową.

- Tak, sir Harry chyba to zaakceptuje. A jak się miewa prezydent?

- Nabiera otuchy - odparł Odell. - Jest niemal pewien powodzenia. Przed godziną powiedziałem mu o kolejnym dowodzie Quinna, że Simon żyje i jest w dobrym stanie. Quinnowi udało się to potwierdzić za szóstym podejściem. A co z diamentami, Morton?

- Załatwione. Najpóźniej do zachodu słońca.

- Zorganizuj jakiegoś bystrego faceta, żeby był w pogotowiu - polecił wiceprezydent Odell.

Minister obrony kiwnął głową i zanotował.

Andy Laing tuż po lunchu uzyskał wreszcie spotkanie z szefem księgowości wewnętrznej, rodakiem, który przez ostatnie trzy dni objeżdżał europejskie filie.

Zwierzchnik ze śmiertelną powagą i rosnącym przerażeniem wysłuchał opowieści młodego pracownika banku z Dżuddy, wnikliwie przestudiował wydruki komputera, po czym odchyliwszy się na krześle, wydał policzki i ze świstem wydyszał:

- Dobry Boże, to naprawdę bardzo poważne zarzuty, i chyba uzasadnione. Gdzie się pan zatrzymał w Londynie?

- Ciągle mam pokój w Chelsea - odpowiedział Laing. - Od chwili przyjazdu. Na szczęście lokatorzy wyprowadzili się stamtąd dwa tygodnie temu.

Księgowy zapisał jego adres i numer telefonu.

- Zanim stawimy czoło Steve'owi Pyle'owi, będę musiał zasięgnąć rady naszego naczelnego dyrektora, a może nawet prezesa w Nowym Jorku. Proszę być pod telefonem przez parę dni.

Żaden z nich nie wiedział, że w porannej poczcie z Rijadu znajdował się poufny list Steve'a Pyle'a do urzędującego w Londynie naczelnego dyrektora do spraw operacji zamorskich.

Choć prasa brytyjska dotrzymała słowa, zorientowane na Paryż i słuchaczy francuskich radio luksemburskie uznało burdę między anglosaskimi sąsiadami za zbyt smakowity kąsek, by go sobie odmówić.

Oprócz faktu, że przeciek był telefoniczny i anonimowy, nic się potem nie wyjaśni. Po zbadaniu sprawy biuro londyńskie potwierdziło możliwość uwiarygodnienia całej historii za sprawą jawnej niedyskrecji policji bedfordzkiej. A że dzień nie obfitował w sensacyjne wiadomości, tę puścili w eter o czwartej po południu.

Mało kto ją w Anglii usłyszał, z wyjątkiem Korsykanina, który gwizdnąwszy ze zdumienia, pomaszzerował na poszukiwania Zacka. Anglik uważnie go wysłuchał, zadał kilka dodatkowych pytań i pobladł z wściekłości.

Quinn, co zbawienne, już wiedział, więc miał czas na przygotowanie riposty w razie gdyby Zack się odezwał, i rzeczywiście, zadzwonił wieczorem tuż po siódmej, w szewskiej pasji.

- Ty kłamliwy sukinsynu! Mówiłeś, że nie będzie żadnych kowbojskich błazeństw ani ze strony policji, ani kogokolwiek! Okłamałeś mnie, pieprzony...

Quinn zaprotestował i udając kompletną niewiedzę - nie byłoby najrzęczniejszej ujawniać znajomość szczegółów - poprosił Zacka o zrelacjonowanie sprawy, co ten zrobił w trzech wyrzeczanych zdaniach.

- Ale to nie miało nic wspólnego z tobą - odkrzyknął Quinn. - Żabojady jak zwykle wszystko pokręciły. Ta obława wzięła w łeb. Znasz tych Rambo z Agencji do Spraw

Zwalczania Narkotyków - to ich robota. Nie ciebie szukali, lecz kokainy. Godzinę temu był u mnie facet ze Scotland Yardu i coś o tym bredził. Na litość boską, Zack, wiesz, jakie są publikatory. Gdyby im wierzyć, Simona wypatrzone w ośmiuset różnych miejscach, a ciebie złapali pięćdziesiąt razy...

Fakt, to było prawdopodobne. Quinn zakładał, że Zack spędził trzy tygodnie na czytaniu steku nonsensów w pismach ilustrowanych i prasę miał w głębokim poważaniu. Stercząc w budce na dworcu autobusowym w Lindslade, porywacz pomału dochodził do siebie. Kończył się czas rozmowy.

- Oby to była prawda, Quinn. Oby - warknął i wyłączył się.

Na takie dictum Samantha Somerville i Duncan McCrea pobledli ze strachu.

- Gdzie są te cholerne diamenty?! - spytała Sam.

Gorsze miało dopiero nadejść. Jak większość krajów, Wielka Brytania serwuje sporo porannych audycji radiowych, będących misz-maszem pustawej paplaniny prowadzącego, muzyki pop, wiadomości z ostatniej chwili i banalnych telefonów od słuchaczy. Wyszarpiane z drukarni, maksimum jednodominutowe wiadomości, pospiesznie przepisane przez młodszych redaktorów, wpycha się pod nos disc jockeyowi. Tempo jest tak zabójcze, że o starannym ich sprawdzaniu, co praktykują dociekliwi reporterzy niedzielnych "piguł", nie ma mowy.

Kiedy na biurku zapracowanej sekcji wiadomości radiowego programu "Good Morning" zadzwieczał telefon od pewnego Amerykanina, odebrała go stażystka, która przyznała potem ze łzami w oczach, że nie wpadło jej do głowy podać w wątpliwość autentyczności oświadczenia rzekomego rzecznika prasowego ambasady amerykańskiej. Siedemdziesiąt sekund później odczytał je podniecony disc jockey.

Nigel Cramer wprawdzie go nie słyszał, za to wpadło ono w ucho jego kilkunastoletniej córce.

- Tato! - zawołała z kuchni. - Macie zamiar złapać ich dzisiaj?

- Kogo? - zdumiał się jej ojciec, wkładając płaszcz w przedpokoju; służbowy wóz czekał przy krawężniku.

- Kidnaperów... przecież wiesz.

- Wątpię. A czemu pytasz?

- Tak mówią w radiu.

Cramer uczył dziwny skurcz w żołądku. Zawrócił od drzwi i wszedł do kuchni. Córka smarowała grzanek masłem.

- Co dokładnie mówili? - wykrztusił zduszonym głosem. Zrelacjonowała mu, że do wymiany okupu na Simona Cormacka dojdzie w ciągu dnia i władze zamierzają wyłapać

wszystkich porywaczy. Cramer wybiegł do samochodu, zdjął z tablicy rozdzielczej minitelefon i przeprowadził całą serię frenetycznych rozmów.

Za późno. Zack co prawda nie słuchał audycji, ale Afrykanin - owszem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tego ranka Zack zadzwonił później niż zwykle, dopiero o 10.20. O ile wczoraj był tylko zły z powodu ataku na farmę w Bedfordshire, o tyle teraz wpadł niemal w histerię z wściekłości.

Nigel Cramer zdążył uprzedzić Quinna dzwoniąc z samochodu w drodze do Scotland Yardu. Gdy Quinn odłożył słuchawkę, Sam po raz pierwszy ujrzała, że jest wstrząśnięty. W milczeniu zaczął chodzić po mieszkaniu, a Sam i McCrea siedząc przyglądali mu się ze strachem. Z rozmowy z Cramerem zrozumieli, że gdzieś, w jakiś sposób wszystko nawaliło.

Biernie czekając, aż zadzwoni telefon, nie wiedząc nawet, czy porywacze w ogóle słuchali programu rozrywkowego w radiu i jak na niego ewentualnie zareagują, Sam poczuła nerwowe mdłości. Gdy telefon się w końcu odezwał, Quinn odpowiedział ze zwykłym pogodnym spokojem. Zack nie zwracał sobie głowy przywitaniem.

- Tym razem wszystko zepsułeś, ty amerykański skurwysynu. Bierzesz mnie za jakiegoś durnia, co? Ale to ty jesteś durniem, i wyjdiesz na ostatniego durnia, gdy będziesz chował ciało Simona Cormacka...

Zaskoczenie i zdziwienie Quinna było całkiem przekonywające.

- Zack, o czym ty, do cholery, mówisz? Co się stało?

- Nie udawaj - krzyczał ochryple porywacz podnoszącym się głosem. - Jeśli sam nie słuchałeś wiadomości, to zapytaj swoich policjantów, i nie próbuj mi wmawiać, że to nieprawda; wiadomość pochodziła z waszej gównianej ambasady...

Quinn wiedział już o wszystkim, ale udało mu się namówić Zacka do powtórzenia tego, co usłyszał przez radio. Powtarzanie trochę go uspokoiło. A miał coraz mniej czasu.

- Zack, to kłamstwo, zmyślenie. Jeśli dojdzie do wymiany, to tylko między tobą i mną. Tylko my dwaj, sami i bez broni. Bez urządzeń kierunkowych, bez sztuczek, bez policjantów i żołnierzy. Na twoich warunkach, w podanym przez ciebie miejscu i godzinie. Inaczej bym się tego nie podjął.

- Tak. dobra, pewnie, ale już za późno. Jeśli chcą trupa, to go dostaną.

Jeszcze chwila i odłoży słuchawkę. Po raz ostatni. Quinn wiedział, że jeśli ja odłoży teraz, to wszystko będzie skończone. Za kilka dni lub tygodni gdzieś, ktoś wejdzie do pustego mieszkania. Może sprzątaczką, agent nieruchomości, sąsiad, i znajdzie go tam. Jedyne go syna prezydenta Stanów Zjednoczonych z przestrzeloną głową lub powieszzonego, ciało częściowo w rozkładzie...

- Zack, proszę, jeszcze kilka sekund!

Twarz Quinna ociekała potem i po raz pierwszy widać po nim było, w jak ogromnym napięciu żył przez ostatnie dwadzieścia dni. Zdawał sobie sprawę, jak blisko są tragedii.

W centrali telefonicznej na Kensingtonie grupa mechaników i policjantów obserwowała monitory i słuchała płynących przewodami zdenerwowanych głosów. Na Cork Street, poniżej poziomu ulic eleganckiego Mayfair, czterech ludzi z MI5 tkwiło nieruchomo w krzesłach, podczas gdy głos z głośnika wypełniał pokój, a taśmy magnetofonowe przewijały się obrót za obrotem.

W podziemiach amerykańskiej ambasady na Grosvenor Square czekało dwóch techników z ELINT, trzech agentów FBI oraz Lou Collins z CIA wraz z reprezentującym FBI Patrickiem Seymourem. Wiadomość o rewelacjach porannego programu radiowego spowodowała, że zebrali się wszyscy w tym miejscu, oczekując mniej więcej czegoś takiego, jak to, czego teraz słuchali. Ale wcale nie było im źlej.

Główne stacje radiowe w kraju, włącznie z City Radio, od dwóch godzin zajmowały się dementowaniem fałszywej wiadomości przekazanej w porannym telefonie do studia. Jednak dla wszystkich było jasne, że nie ma to żadnego znaczenia; przecieki wiadomości można dementować w nieskończoność, ale nic to nie daje. Jak powiedział Hitler, ludzie wierzą tylko w wielkie kłamstwa.

- Zack, proszę, pozwól mi porozumieć się osobiście z prezydentem Cormackiem. Tylko dwadzieścia cztery godziny. Nie niszczyć wszystkiego teraz, gdy włożyliśmy w to tyle wysiłku. Prezydent może kazać tym dupkom, żeby się stąd wynieśli i zostawili wszystko tobie i mnie. Tylko nas dwóch... My dwaj możemy sobie zaufać, że niczego nie pokręcimy. Po tych dwudziestu dniach proszę tylko o jeden dzień więcej! Zack, daj mi tylko dwadzieścia cztery godziny...

Zapadła chwila ciszy. Gdzieś, na ulicach Aylesbury w Buckinghamshire, młody wywiadowca ostrożnie zbliżał się do rogu, za którym stało kilka kabin telefonicznych.

- Jutro o tej samej porze - powiedział w końcu Zack i odłożył słuchawkę. Wyszedł z budki i właśnie skręcił za róg, gdy ubrany po cywilnemu policjant wyłonił się z wąskiego zaułka i podszedł do rzędu budek. Wszystkie były puste. Do rozpoznania zabrakło mu ośmiu sekund.

Quinn odłożył słuchawkę, podszedł do długiej kozetki i wyciągnął się na niej. Z rękami pod głową patrzył w sufit.

- Panie Quinn... - zaczął ostrożnie McCrea. Pomimo licznych zachęt nie zdobył się na opuszczenie „pana”. Nieśmiały agent CIA chciał traktować Quinna jak nauczyciela.

- Zamknij się - powiedział wyraźnie Quinn. Speszony McCrea nie pytał już, czy Quinn chce kawę, tylko poszedł do kuchni i na wszelki wypadek zaparzył trzy. Odezwał się trzeci, "zwyczajny" aparat telefoniczny. Dzwonił Cramer.

- Wszyscy słuchaliśmy - powiedział. - Jak się czujesz?

- Kiepsko - odparł Quinn. - Czy coś już wiadomo o źródle tych wiadomości?

- Jeszcze nic. Dziewczyna, która odebrała telefon, pomocnik reżysera programu, nadal jest w komisariacie w Holborn. Przysięga, że rozmówca mówił z amerykańskim akcentem, ale nie można być tego wcale pewnym. Przysięga również, że starał się być przekonująco oficjalny, wiedział, co kiedy powiedzieć. Chcesz stenogram programu?

- Chyba trochę za późno - odpowiedział Quinn.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Cramer.

- Pomodłę się. A później może coś wymyśle.

- Powodzenia. Muszę jechać do Whitehallu. Będę w kontakcie. Następna była ambasada. Dzwonił Seymour. Quinn świetnie to rozegrał... Jeśli możemy w czymś pomóc... W tym właśnie cały problem, pomyślał Quinn. Ktoś stara się grubo za bardzo. Ale nie powiedział tego na głos.

Gdy był w połowie kawy, usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę aparatu łączącego z ambasadą. W podziemiach odebrano natychmiast. Znów Seymour.

- Proszę o bezpośrednie połączenie bezpieczną linią z wiceprezydentem Odellem - powiedział. - I to jak najszybciej.

- Hm, słuchaj, Quinn, Waszyngton został już zawiadomiony o tym, co się tu przed chwilą działo. Niedługo będą mieli komplet nagrań. Powinniśmy chyba zostawić im trochę czasu na ich przesłuchanie i omówienie...

- Albo mnie połączycie z Michaelem Odellem w ciągu najbliższych dziesięciu minut, albo łączę się otwartą linią - powiedział wyraźnie Quinn.

Seymour myślał szybko. Otwarta linia nie zapewnia bezpieczeństwa. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wyłowi rozmowę przez swoje satelity, złapią ją Brytyjczycy i Rosjanie...

- Porozumiem się z nim i poproszę o rozmowę - obiecał.

Dziesięć minut później Michael Odell był przy telefonie. W Waszyngtonie była 6.15 rano i wiceprezydent przebywał jeszcze w swojej rezydencji w Obserwatorium Marynarki. Ale obudzono go już pół godziny wcześniej.

- Quinn, co się tam, u licha, dzieje? Coś mi tu plotą o jakichś anonimowych telefonach do radia...

- Panie wiceprezydencie - powiedział płasko Quinn - ma pan w pobliżu lustro?

- Tak, tak mi się zdaje - wiceprezydent był zaskoczony.

- Jeśli pan w nie spojrzy, zobaczy pan swój nos, prawda?

- O co panu chodzi? Dobrze, widzę swój nos.

- i tak samo jak jest pan tego za każdym razem pewien, może być pan pewien, że Simon Cormack za 24 godziny będzie zamordowany.

Pozwolił, aby słowa zapadły w głowę siedzącemu na skraju łóżka mężczyźnie w Waszyngtonie.

- Chyba że...

- Dobrze, Quinn, do rzeczy.

- Chyba że jutro o świcie czasu londyńskiego dostanę do ręki diamenty o wartości rynkowej dwóch milionów dolarów. Ta rozmowa została nagrana do protokołu. Do widzenia, panie wiceprezydencie.

Odłożył słuchawkę. Na drugim końcu linii wiceprezydent Stanów Zjednoczonych przez kilka następnych minut wyrażał się w języku, który odebrałby mu głosy Moralnej Większości, gdyby ci dobrzy ludzie mieli okazję go teraz usłyszeć. Gdy skończył, połączył się z centralą Białego Domu.

- Dajcie mi Mortona Stannarda - powiedział. - W domu czy gdziekolwiek, ale szybko.

Andy Laing był zdziwiony, że poproszono go z powrotem do banku tak szybko. Wezwanie mówiło o godzinie jedenastej przed południem. Na miejsce dotarł dziesięć minut wcześniej. Nie wprowadzono go jednak do biura szefa księgowości wewnętrznej, ale do dyrektora generalnego. Księgowy już tam był. Dyrektor bez słowa wskazał mu miejsce po drugiej stronie biurka. Następnie wstał, podszedł do okna, przez chwilę wyglądał ponad dachami City, odwrócił się i zaczął mówić zimnym i poważnym głosem.

- Wczoraj, panie Laing, wyjechawszy z Arabii Saudyjskiej w jakiś bliżej nie znany nam sposób, przyszedł pan do obecnego tu mojego współpracownika i przedstawił dane mające podać w wątpliwość uczciwość pana Steve'a Pyle'a.

Laing wystraszył się. Panie Laing? A gdzie jest Andy? W banku zawsze zwracali się do siebie po imieniu, bo nowojorskiej centrali zależało na rodzinnej atmosferze.

- Dostarczyłem dużą liczbę komputerowych wydruków na potwierdzenie moich ustaleń - powiedział ostrożnie, ale żołądek podjechał mu do gardła. Coś było nie w porządku. Dyrektor machnął lekceważąco ręką na wzmiankę o dowodach Lainga.

- Wczoraj przyszedł również długi list od Steve'a Pyle'a. Dzisiaj przeprowadziłem z nim wyczerpującą rozmowę telefoniczną. Jest dla mnie najzupełniej oczywiste, tak jak dla obecnego tu głównego księgowego, że jest pan, panie Laing, awanturnikiem i defraudantem.

Laingowi wydawało się, że uszy go mylą. Spojrzał z nadzieją na księgowego, ale ten patrzył w sufit.

- Zrozumiałem wszystko - powiedział dyrektor. - Całą historię, tę prawdziwą historię.

Na wypadek, gdyby Laing nie był z nią zaznajomiony, opowiedział młodemu człowiekowi to wszystko, co uważał za zgodne z prawdą. Laing defraudował pieniądze z rachunku klienta, Ministerstwa Robót Publicznych. Jak na Arabię Saudyjską nie były to duże sumy, ale też i niemałe - jeden procent z każdego przelewu płaconego przez ministerstwo klientom. Pan Amin przeoczył niestety te braki, ale zauważył je pan Al-Haroun i powiadomił Steve'a Pyle'a.

Dyrektor generalny banku w Rijadzie, kierując się przesadną lojalnością, próbował chronić Lainga, zmuszając go do zwrócenia całej sumy na rachunek ministerstwa, co Laing uczynił.

Jednakże w zamian za tę wielkoduszność zwierzchnika i w zemście za odebranie pieniędzy Laing spędził noc w filii banku w Dżuddzie fałszując rachunkowość, aby „udowodnić”, że znacznie większe sumy zostały zdefraudowane przy współudziale samego Steve'a Pyle'a.

- Ale przywiozłem przecież taśmę - zaprotestował Laing.

- Oczywiście fałszerstwo. Mamy tu prawdziwe dane. Dziś rano zarządziłem, aby nasz komputer połączył się z komputerem w Rijadzie i sprawdził bilans. Te prawdziwe rachunki leżą teraz tutaj, na moim biurku. Widać z nich jasno, co się stało. Ukradziony przez pana jeden procent został zwrócony. Żadnych innych pieniędzy nie brakuje. Reputacja Investment Bank w Arabii Saudyjskiej została, dzięki Bogu, a raczej dzięki Steve'owi Pyle'owi uratowana.

- Ależ to nieprawda - zaprotestował nadmiernie podniesionym głosem Laing. - Pyle i jego nie znany mi wspólnik ściągali z rachunków ministerstwa dziesięć procent.

Księgowy pokręcił głową.

- To niedorzeczność - powiedział. - Przy przepływie wielkich sum w dużym ministerstwie w tamtej części świata można ukryć jeden procent. Ale nie dziesięć procent. Roczny bilans, który zestawia się w kwietniu, musiałby wykazać oszustwo, I gdzie byś się wtedy znalazł? Na zawsze w śmierdzącym saudyjskim więzieniu. Naturalnie, założywszy, że rząd saudyjski dotrwa do kwietnia.

Dyrektor generalny uśmiechnął się zimno. Wszystko jest aż nazbyt oczywiste. - Obawiam się, niestety - mówił dalej księgowy - że sprawę można uznać za zamkniętą. Steve Pyle zrobił przysługę nie tylko nam, ale także panu, panie Laing. Uratował pana przed długim wyrokiem więzienia.

- A jestem przekonany, że się on panu należy - dodał dyrektor. - My, rzecz jasna, nie możemy pana skazać. Nie gustujemy również w skandalach. Zapewniamy kontraktowych pracowników dla wielu banków trzeciego świata i nie potrzebujemy takich skandali. Ale pan, panie Laing, nie należy już do grona naszych pracowników. Pańskie wymówienie leży przed panem. Oczywiście nie otrzymuje pan odprawy i nie ma mowy o referencjach. Teraz proszę już iść.

Laing wiedział, że to wyrok: nigdy więcej, nigdzie na świecie nie będzie pracował w bankowości. Sześćdziesiąt sekund później szedł Lombard Street.

W Waszyngtonie Morton Stannard wsłuchiwał się w podniesiony głos Zacka, w miarę jak przewijały się szpule magnetofonu stojącego na stole w Pokoju Sytuacyjnym, gdzie komitet wycofał się dla uniknięcia długoogniskowych obiektywów aparatów stale zaglądających w okna Sali Posiedzeń Gabinetu.

Dochodzące z Londynu pogłoski o zbliżającej się wymianie, niezależnie od tego, czy prawdziwe, czy też fałszywe - ponownie sprawiły, że prasa oszalała. Telefony z prośbami o informację zalały Biały Dom jeszcze przed świtem, a rzecznikowi prasowemu znowu kończyły się pomysły.

Po wysłuchaniu całej taśmy ośmiu wstrząśniętych członków komisji trwało w milczeniu.

- Te diamenty - warknął Odell - gdzie są, do cholery?

- Już zostały przygotowane - powiedział szybko Stannard. - Przepraszam za mój wcześniejszy optymizm. Nie znam się na tych sprawach i myślałem, że przygotowanie czegoś takiego zajmie mniej czasu. Ale są już gotowe - prawie dwadzieścia pięć tysięcy kamieni, wszystko autentyczne i o wartości nieco przewyższającej dwa miliony dolarów.

- Gdzie są? - zapytał Hubert Reed.

- W sejfie szefa nowojorskiego biura Pentagonu, tego biura, które kieruje naszymi zakupami systemów broni na wschodnim wybrzeżu. Z oczywistych powodów jest to bardzo bezpieczne miejsce.

- A co z transportem do Londynu? - zapytał Brad Johnson. - Najlepiej wykorzystać nasze bazy lotnicze w Anglii. Nie potrzebujemy ani kłopotów z prasą na Heathrow, ani żadnych innych.

- Za godzinę mam spotkanie z wyższym oficerem Sił Powietrznych - powiedział Stannard. - Ma zaproponować możliwie najbezpieczniejszy sposób dostarczenia przesyłki na miejsce.

- Potrzebny będzie samochód Agencji, żeby je odebrać z lotniska i dostarczyć Quinnowi do mieszkania - powiedział Odell. - Lee, ty się tym zajmiesz. W końcu to twoje mieszkanie.

- Żaden problem - powiedział Lee Alexander z CIA. - Lou Collins sam odbierze przesyłkę w bazie lotniczej natychmiast po wylądowaniu samolotu.

- Jutro o świcie, czasu londyńskiego - powiedział wiceprezydent. - Jutro o świcie w Londynie na Kensingtonie. Czy znamy już szczegóły wymiany?

- Nie - powiedział dyrektor FBI. - Quinn z całą pewnością opracuje szczegóły razem z naszymi ludźmi.

Do przelotu nad Atlantykiem Siły Powietrzne zaproponowały jednoosobowy myśliwiec F-15 klasy Orzeł.

- Po zainstalowaniu ładunków FAST samolot będzie miał wystarczający zasięg - powiedział Stannardowi generał lotnictwa w Pentagonie. - Przesyłkę należy dostarczyć do bazy lotniczej w Trenton, w New Jersey, przed drugą po południu.

Jako pilota wybrano doświadczonego podpułkownika lotnictwa z ponad siedmioma tysiącami godzin na F-15. Przez całe przedpołudnie trwał taki dokładny przegląd samolotu, jaki rzadko się podczas jego eksploatacji zdarzał. Przy obu zewnętrznych zbiornikach paliwa pod skrzydłami zainstalowano ładunki FAST. Ładunki te nie służą do zwiększania szybkości Orła, jak sugeruje nazwa. Skrót ten po prostu oznacza taktyczny system paliwowo-rozpoznawczy, a są to po prostu dodatkowe zbiorniki paliwa zwiększające zasięg samolotu.

Pozbawiony uzbrojenia Orzeł może zabrać ilość paliwa dającą mu zasięg lotu 2878 mil; dodatkowa porcja w każdym ładunku FAST zwiększa zasięg do 3450 mil.

W sali nawigacyjnej podpułkownik Bowers nachylił się nad planem przelotu i talerzem kanapek na obiad. Z Trenton do bazy Sił Lotniczych Stanów Zjednoczonych w Upper Heyford koło Oksfordu w Anglii jest 3063 mile. Oficer meteorologiczny podał mu siłę wiatru na wysokości przelotu ustalonej na 50.000 stóp. Wyliczył, że przelot z szybkością 0,95 Macha zajmie mu 5,4 godziny, a w zbiornikach pozostanie jeszcze spora rezerwa paliwa.

O drugiej po południu z Bazy Sił Powietrznych Andrews koło Waszyngtonu wystartował wielki tankowiec KC 135 i skierował się na miejsce spotkania z Orłem na wysokości 45.000 stóp nad wschodnim wybrzeżem oceanu.

W Trenton w ostatniej chwili nastąpiło małe zamieszanie. O godzinie trzeciej podpułkownik Bowers był już w kombinezonie i przygotowywał się do odlotu, gdy przez główną bramę wjechała długa czarna limuzyna z nowojorskiego biura Pentagonu. Cywilny urzędnik w towarzystwie generała lotnictwa przekazał podpułkownikowi płaską walizeczkę na dokumenty, bez żadnych oznaczeń, oraz kartkę z numerem szyfrowego zamka.

W chwilę później do bazy wjechała następna limuzyna, też pozbawiona oficjalnych oznaczeń. Po gorączkowej konferencji na płycie lotniska między dwiema grupami wysokich urzędników walizeczka została odebrana Bowersowi. W jednym z czarnych samochodów na tylnym siedzeniu wyjęto z niej płaski pakunek w czarnym aksamicie, wielkości 10 na 12 cali i grubości 3 cale, i przełożono do innej walizeczki, którą w końcu przekazano zniecierpliwionemu podpułkownikowi.

Myśliwce pościgowe nie są przeznaczone do przewozu bagażu, ale pod fotelem pilota pozostawiono trochę miejsca na małe przesyłki i tu właśnie umieszczono teraz walizeczkę. Pilot wystartował o godzinie 3.31 po południu.

Szybko osiągnął pułap 45.000 stóp, nawiązał łączność z tankowcem i napełnił zbiorniki, aby do Anglii wyruszyć z całym zapasem paliwa. Następnie wzniósł się na wysokość 50.000 stóp, ustalił samolot na kursie do Heyford i otworzył przepustnice do szybkości 0,95 Macha, nieco poniżej progu wibracji oznaczającego barierę dźwięku. Nad Nantucket złapał w ogon zapowiadany zachodni wiatr.

Gdy w Trenton trwały jeszcze ostatnie przygotowania, z lotniska Kennedy'ego w Nowym Jorku wystartował pasażerski Jumbo do Londynu. W klasie klubowej leciał postawny i dobrze ubrany młody człowiek. Pracował dla jednej z większych kompanii naftowych w Teksasie zwanej Pan-Global, i przyleciał prosto z Houston. Czuł się dumny, że jego pracodawca, sam właściciel przedsiębiorstwa, powierzył mu tak dyskretną misję.

Nie miał, co prawda, najmniejszego pojęcia o zawartości koperty, którą wiozł w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nawet wolał nie wiedzieć. Z pewnością jednak musiały to być dokumenty o szczególnym znaczeniu dla przedsiębiorstwa, skoro nie można ich było ani wysłać pocztą, ani telefaksem, ani nawet przez kuriera handlowego.

Jego instrukcje były jasne, powtarzał je wielokrotnie. Miał udać się pod wskazany adres określonego dnia - czyli jutro - o dokładnie oznaczonej godzinie. Miał nie dzwonić, lecz tylko wrzucić kopertę do skrzynki w drzwiach wejściowych budynku, po czym wrócić na lotnisko Heathrow i do Houston. Męczące, ale proste. Nie pił, a ponieważ była pora koktajlu i obiad miano podać później, wyglądał przez iluminator.

Gdy zimą leci się z zachodu na wschód, zmrok zapada szybko. Po dwóch godzinach lotu niebo nabrało barwy ciemnej purpury i pojawiły się gwiazdy. Patrząc na nie, zobaczył przesuwający się na ich tle, w tym samym kierunku i jeszcze wyżej niż jego samolot mały czerwony punkt. Nie wiedząc o tym, patrzył na jarzące się od ognia wyloty dysz silników F-15 podpułkownika Bowersa. Każdy z nich leciał ze specjalną misją w kierunku stolicy Anglii. Ani jeden, ani drugi nie wiedział, co wiezie.

Podpułkownik przybył na miejsce pierwszy. Wylądował w Upper Heyford dokładnie o czasie, przerywając o godzinie 1.55 w nocy sen mieszkańcom miasteczka, gdy po ostatnim okrążeniu naprowadzał samolot na lądowisko. Kołował na miejsce według instrukcji z wieży. Zatrzymał się dopiero otoczony jasnym kręgiem światła w hangarze, którego drzwi zamknęły się w chwili, gdy wyłączył silniki. Gdy podniósł osłonę kabiny, do samolotu podszedł dowódca bazy w towarzystwie jakiegoś cywila.

- Podpułkownik Bowers? - zapytał cywil.

- Tak jest.

- Czy ma pan dla mnie przesyłkę?

- Mam walizeczkę. Jest pod siedzeniem.

Wyprostował się z trudnością, wyszedł na skrzydło i zszedł na ziemię po stalowej drabinie. Ciekawy sposób zwiedzania Anglii, pomyślał. Cywil wspinał się po drabinie i wy dobył z kabiny walizeczkę. Wyciągnął rękę po kartkę z szyfrem zamków. Dziesięć minut później Lou Collins już jechał samochodem Agencji z powrotem do Londynu. W mieszkaniu na Kensingtonie znalazł się dziesięć po czwartej. Światła paliły się tam cały czas, nikt nie spał. Quinn siedział w salonie popijając kawę.

Collins położył walizeczkę na stole, sprawdził szyfr na kartce i otworzył zamki. Ze środka wyjął płaski, niemal kwadratowy pakunek w czarnym aksamicie i podał Quinnowi.

- W twoje ręce, o świcie - powiedział. Quinn zważył paczkę w dłoni. Trochę więcej niż kilogram, około trzech funtów.

- Chcesz otworzyć? - zapytał Collins.

- Po co? - powiedział Quinn. - Jeśli to szkło lub coś takiego, jeśli tylko część z nich jest fałszywa, albo nawet tylko jeden, to będzie to prawdopodobnie oznaczało śmierć Simona Cormacka.

- Nie zrobiliby tego - powiedział Collins. - Nie, są z pewnością autentyczne. Myślisz, że zadzwoni?

- Módl się, żeby zadzwonił.

- A wymiana?

- Trzeba to będzie dziś ustalić.
- Jak to rozegrasz, Quinn?
- Po swojemu.

Wyszedł do sypialni wziąć prysznic i przebrać się. Dla wielu ludzi ostatni dzień października miał okazać się naprawdę trudny. Młody człowiek z Houston wylądował o 6.45 rano czasu londyńskiego. Z małym neseserem w ręku szybko przeszedł przez cło i znalazł się w holu trzeciego terminalu w Heathrow. Spojrzawszy na zegarek upewnił się, że zostały mu jeszcze trzy godziny. Zdążył skorzystać z toalety, odświeżyć się i zjeść śniadanie. Do centrum West Endu dotarł taksówką.

O 9.55 stał już przed wejściem do wysokiego i eleganckiego bloku na tyłach Great Portland Street, niedaleko Marble Arch. Zostało mu jeszcze pięć minut. Nie wiedział, że z samochodu stojącego po drugiej stronie ulicy obserwuje go mężczyzna. Nakazano mu punktualność, więc spacerował tam i z powrotem, a o punkt dziesiątej wrzucił grubą kopertę przez otwór na listy w drzwiach wejściowych budynku. W środku nie było portiera i nikt nie podniósł jej z ziemi. Leżała na wycieracze w holu. Zadowolony, że zrobił wszystko zgodnie z instrukcją, młody Amerykanin skierował się w stronę Bayswater Road, gdzie bez trudności złapał taksówkę na Heathrow.

Ledwo zdążył zniknąć za rogiem, gdy obserwujący go mężczyzna wysiadł z samochodu, przeszedł przez ulicę i otworzył drzwi budynku. Mieszkał tam już od kilku tygodni, a w samochodzie siedział tylko po to, aby upewnić się, że posłaniec odpowiada opisowi, jaki otrzymał, i że nie jest śledzony.

Podniósł z podłogi przesyłkę, windą wjechał na ósme piętro, wszedł do mieszkania i otworzył kopertę. Był zadowolony z tego, co znalazł w środku; świstał i syczał oddychając przez zniekształcone kanały nosowe. Irving Moss miał w ręku ostateczne instrukcje.

W mieszkaniu na Kensingtonie czas mijał w milczeniu. Napięcie było niemal dotykalne. W centrali telefonicznej, na Cork Street i na Grosvenor Square ludzie siedzieli zgarbieni nad przyrządami, oczekując, że powie parę słów Quinn albo odezwie się McCrea lub Sam Somerville. W słuchawkach panowała jednak cisza. Quinn jasno dał do zrozumienia, że jeśli Zack nie zadzwoni, wszystko będzie skończone. Trzeba się będzie zająć szczegółowymi poszukiwaniami ciała podrzuconego być może w jakimś opuszczonym domu.

A Zack nie dzwonił.

O wpół do jedenastej Irving Moss wyszedł z mieszkania przy Marble Arch, zabrał wynajęty samochód z płatnego parkingu i pojechał na stację Paddington. Wyhodowana w czasie przygotowań w Houston broda zmieniła kształt jego twarzy. Kanadyjski paszport

został mistrzowsko podrobiony i bez trudu pozwolił mu wjechać do Irlandii, a stamtąd popłynąć promem do Anglii. Kanadyjskie prawo jazdy również nie naraziło go na żadne niespodzianki, gdy na dłuższy czas wynajmował mały samochód. Spokojnie i nie rzucając się w oczy mieszkał od kilku tygodni w pobliżu Marble Arch, wśród miliona innych cudzoziemców w stolicy Wielkiej Brytanii.

Zdobyte wykształcenie pozwalało mu bez trudności pojawić się niemal w każdym mieście i zniknąć z pola widzenia. Szczególnie w Londynie, gdzie był nie po raz pierwszy. Znał tutejsze stosunki, wiedział, gdzie szukać tego, czego potrzebował lub na co miał ochotę. Miał kontakty ze światem podziemnym, był dostatecznie sprytny i doświadczony, aby nie popełniać błędów zwracających uwagę władz.

Przesyłka z Houston uaktualniała dotychczasowe instrukcje i uzupełniała szczegóły, których nie dało się zaszyfrować w przesyłanych między Londynem a Houston cennikach artykułów rynkowych. Zawierała również pewne nowe zadania, ale najbardziej interesujący był raport pochodzący z zachodniego skrzydła Białego Domu, ukazujący pogarszanie się stanu, prezydenta Johna Cormacka w ciągu ostatnich trzech tygodni.

Był tam jeszcze kwit z przechowalni bagażu na stacji Paddington; przesyłka, którą zza Atlantyku musiał przewieźć kurier. Moss nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jak dotarła z Houston do Londynu. Nie było to jednak ważne. Ważne było tylko to, że dotarła na miejsce i że ma ją już w ręku. O jedenastej rano użył jej.

Pracownik Kolei Brytyjskich nie zwrócił na nią uwagi. Codziennie setki paczek, pakunków i walizek oddaje się na stacji do przechowania, a setki innych odbiera. Dopiero gdy przez trzy miesiące nikt nie zgłasza się po bagaż zdejmuje się go z półki i otwiera, a gdy nie można ustalić właściciela, bagaż oddaje się do biura rzeczy znalezionych. Kwit milczącego mężczyzny w szarym gabardynowym płaszczu przeciwdeszczowym był tylko jednym z wielu innych kwitów. Idąc wzdłuż półek, pracownik przechowalni odnalazł przedmiot odpowiadający numerowi na kwicie - małą fibrową walizkę - i podał mężczyźnie. Opłacono z góry. Do wieczora o tym zapomni.

Moss zawiózł walizkę do siebie, podważył wążki zamki i skontrolował zawartość. Wszystko było na miejscu zgodnie z instrukcją. Spojrzał na zegarek. Zostały mu jeszcze trzy godziny.

Przy cichej uliczce na przedmieściu niewielkiego miasteczka, niecałe 40 mil od Londynu, stał dom. O określonej godzinie przejedzie obok tego domu tak, jak to robił co drugi dzień, a pozycja jego bocznej szyby, całkowicie podniesiona, do połowy lub zupełnie opuszczona, stanowi wiadomość dla obserwatora w domu. Dziś po raz pierwszy okno będzie

zupełnie otwarte. Włożył do odtwarzacza jedną ze zdobytych w Londynie kaset wideo - supertwarde porno, wiedział, gdzie się zaopatrywać - i rozsiadł się z lubością w fotelu.

Andy Laing opuścił bank w stanie bliskim szoku. Niewielu ludziom zdarza się przeżyć chwilę, gdy cała ich kariera, na którą pracowali wytrwale latami, zostaje bezpowrotnie rozbita na małe kawałki. Pierwszą reakcją jest zaskoczenie, następni dezorientacja.

Laing błędził wąskimi uliczkami i skrytymi zaułkami na tyłach ruchliwych arterii londyńskiego City, najstarszej części miasta o powierzchni jednej mili kwadratowej, a jednocześnie centrum handlowym i finansowym kraju. Przechodził pod murami klasztorów, w których niegdyś rozlegały się śpiewy franciszkanów, dominikanów i karmelitów, obok domów cechowych, gdzie kupcy omawiali problemy światowego handlu w czasach, gdy Henryk VIII uśmiercał kolejno swe żony w pobliskim Tower, obok lekkich kościołów wzniesionych przez Wrena po wielkim pożarze miasta w 1166 roku.

Pośpiesznie mijający go mężczyźni, a także coraz większa liczba atrakcyjnych młodych kobiet, myśleli o cenach towarów, kupowaniu drogo lub tanio, o nagłych poruszeniach na rynkach walutowych, które mogły być początkiem trendu albo tylko przelotnymi wahaniem. Używali komputerów zamiast gęsiich piór, ale owoc ich wysiłków był ten sam, jak od stuleci: handel, kupno i sprzedaż rzeczy zrobionych przez innych. Dziesięć lat temu, w czasie, gdy skończył szkołę, ten świat zafascynował wyobraźnię Andy'ego Lainga. Teraz jest dla niego na zawsze zamknięty.

Przekąślił coś w małym barze przy ulicy zwanej imieniem braci mniejszych zakonu żebraczego - Crutched Friars - gdzie zakonnicy kuśtykali niegdyś o laskach z jedną nogą przywiązaną z tyłu, zadając sobie ból dla większej chwały bożej, i zdecydował, co powinien zrobić.

Skończył kawę i metrem wrócił do jednopokojowego mieszkania przy Beaufort Street w Chelsea. Przezornie zachował fotokopie dokumentów przywiezionych z Dżuddy. Człowiek, który nie ma nic do stracenia, może być bardzo niebezpieczny. Laing postanowił spisać wszystko, co wiedział, od początku do końca, załączyć kopie wydruków komputerowych, o których autentyczności był przekonany, i porzysłać wszystkim członkom Rady Nadzorczej banku w Nowym Jorku. Nazwiska członków Rady są publicznie znane, ich adresy można znaleźć w amerykańskim *Who is Who*.

Nie widział powodów, dla których miałby cierpieć w milczeniu. Niech teraz Steve Pyle sam się trochę pomartwi, myślał. Wysłał więc do dyrektora generalnego w Rijadzie list adresowany do rąk własnych, zawiadamiając, co zamierza zrobić.

Zack zadzwonił o 1.20 po południu, w porze największego natężenia ruchu, gdy Laing kończył właśnie kawę, a Moss wpatrywał się w najnowsze porno prosto z Amsterdamu. Dzwonił z jednej z czterech budek telefonicznych na tyłach poczty w Dunstapie; nadal trzymał się na północ od Londynu.

Quinn siedział wykąpany i ubrany od wschodu słońca, a dzień był rzeczywiście słoneczny, niebo niebieskie, powietrze niemal ciepłe. Ani McCrea, ani Sam nie pomyśleli, by zapytać, czy nie marznie, bo miał na sobie dżinsy, na koszuli nowy sweter z kaszmiru i skórzaną kurtkę.

- Quinn, dzwonię po raz ostatni...

- Zack, mam przed sobą talerz na owoce, naprawdę duży talerz i wiesz co? Jest po wrąbek pełen diamentów, błyszczących i iskrzących się jak żywe. Załatwmy to, Zack, załatwmy to teraz.

Obraz nakreślony przez Quinna sprawił, że Zack się zawahał.

- Dobrze - powiedział głos w telefonie. - Oto instrukcja.

- Nie, Zack, zrobimy to tak, jak ja powiem, albo w ogóle nic z tego nie będzie.

W centrali telefonicznej, na Cork Street i Grosvenor Square zapadła pełna zdumienia cisza. Albo Quinn doskonale wiedział, co robi, albo próbował sprowokować porywacza do odłożenia słuchawki. Quinn mówił dalej nie przerywając:

- Mogę być skurwysynem, Zack, ale jestem jedynym skurwysynem, któremu możesz zaufać w całym tym cholernym bałaganie i będziesz musiał mi zaufać. Masz ołówek?

- Słuchaj, Quinn...

- To ty słuchaj, mały. Poszukaj innej kabiny i zadzwoń do mnie za czterdzieści sekund na numer trzy-siedem-zero, jeden-dwa-zero-cztery. Uwaga, j u ż!

Ostatnie słowo było okrzykiem. Sam Somerville i Duncan McCrea zeznali później, że byli równie zaskoczeni jak ci, którzy słuchali rozmowy z daleka. Quinn rzucił słuchawkę, złapał walizeczkę - diamenty były w niej cały czas, a nie w talerzu na owoce - i wybiegł z pokoju. Po drodze odwrócił się i krzyknął: - Nie ruszać się!

Zaskoczenie, okrzyk i rozkazujący ton głosu zatrzymały ich na krzesłach przez decydujące pięć sekund. Gdy dotarli do drzwi wyjściowych, usłyszeli przekręcający się w zamku od zewnątrz klucz. Najwyraźniej został przygotowany jeszcze przed świtem.

Quinn ominął szyb windy i rzucił się w kierunku schodów w chwili, gdy McCrea krzyknął po raz pierwszy, kopiąc z całych sił w zamek. Wśród agentów w centrali, ambasadzie i na Cork Street zaczynał się chaos mający wkrótce dojść do szczytu.

- Co on, do diabła, robi? - szepnął jeden z policjantów w centrali na Kensingtonie do drugiego. Odpowiedzią było wzruszenie ramion. Quinn zbiegał z drugiego piętra. Dochodzenie miało wykazać, że Amerykanin w punkcie podsłuchu w suterenie nie ruszył się z miejsca dlatego, że nie należało to do jego obowiązków. Do jego obowiązków należało nagrywanie głosów dochodzących z mieszkania na górze i przekazywanie na Grosvenor Square, gdzie były rozkodowywane i przesłuchiwane w podziemiach ambasady. Został więc na miejscu.

Quinn przebiegł przez hol w piętnaście sekund od chwili rzucenia słuchawki telefonu. Angielski portier za kontuarem spojrzął na niego, kiwnął głową i wrócił do swojej gazety. Quinn pchnął otwierające się na zewnątrz drzwi wejściowe, zamknął je za sobą, wcisnął pod próg drewniany klin, który przygotował korzystając z samotności w toalecie, i porządnie wbił kopnięciem. Następnie przebiegł przez ulicę przeskakując między samochodami.

- Czy to znaczy, że uciekł? - krzyczał Kevin Brown na stanowisku nasłuchu na Grosvenor Square. Siedział tam całe rano, czekając tak, jak wszyscy Amerykanie i Anglicy, na kolejny, a może już ostatni telefon Zacka. W pierwszej chwili odgłosy dochodzące z Kensington były mylące; usłyszał odkładaną słuchawkę, okrzyk Quinna "Nie ruszać się!", następnie serię uderzeń, zmieszane wołanie i okrzyki Duncana McCrea i Sam Somerville, następnie serię regularnych uderzeń tak, jakby ktoś kopał w drzwi.

Somerville wróciła do pokoju, krzycząc do mikrofonów podsłuchu:

- Uciekł, Quinn uciekł!

Pytanie Browna było słyhać w punkcie podsłuchu, ale nie w mieszkaniu. Brown rzucił się jak szalony do telefonu, przez który mógł bezpośrednio połączyć się ze swoim specjalnym agentem na Kensingtonie.

- Agent Somerville - huknął usłyszawszy jej głos w słuchawce - zatrzymać go!

W tym momencie piąte kopnięcie McCrea wyłamało zamek w drzwiach mieszkania. Pobiegnął schodami, a za nim Samantha. Oboje byli w kapciach.

Sklep z warzywami i artykułami delikatesowymi po drugiej stronie ulicy, którego numer Quinn odnalazł w londyńskiej książce telefonicznej w salonie, nazywał się Bradshaw od nazwiska założyciela, ale obecnie jego właścicielem był obywatel indyjski, pan Patel. Quinn miał okazję obserwować z okna, jak układa owoce na straganie lub znika w głębi sklepu, aby obsłużyć klienta.

W trzydzieści trzy sekundy po rzuceniu słuchawki Quinn był już na przeciwległym chodniku. Wyminął dwóch przechodniów i jak tornado wbiegł do sklepu. Telefon spoczywał na ladzie blisko kasy, przy której stał pan Patel.

- Te dzieci kradną panu pomarańcze - powiedział bezceremonialnie Quinn. W tym momencie zadzwonił telefon. Musząc wybierać między telefonem a kradzionymi pomarańczami, pan Patel postąpił jak dobry Gudzarati i wybiegł na zewnątrz. Quinn podniósł słuchawkę.

Centrala na Kensingtonie zaczęła działać szybko i dochodzenie miało wykazać, że zrobili wszystko, co mogli. Ale większą część z czterdziestu sekund stracili wskutek zamieszania spowodowanego zaskoczeniem, a później mieli problem techniczny. Poprzednio byli włączeni do numeru łączącego z porywaczami. Gdy dzwoniło na ten numer, za pomocą elektronicznych urządzeń mogli ustalić, skąd dzwoniło. Komputer podawał, że jest to taka a taka budka telefoniczna w określonym miejscu. Wystarczało na to sześć do dziesięciu sekund.

Numer, z którego Zack zadzwonił po raz pierwszy, już mieli zidentyfikowany, ale gdy zmienił budki, pomimo że były to dwie sąsiadujące ze sobą kabiny w Dunstable, zgubili go. Gorzej, dzwonił teraz na inny numer w Londynie, do którego nie byli włączeni. Mieli szczęście, że numer, który Quinn podyktował, należał do tej samej centrali. Ale mimo to trzeba było zacząć od początku, a urządzenie poszukujące komputera musiało przejrzeć błyskawicznie dwadzieścia tysięcy numerów w centrali. Włączyli się do linii pana Patela pięćdziesiąt osiem sekund od chwili, gdy Quinn podyktował go z mieszkania i zidentyfikowali drugi numer w Dunstable.

- Zapisz ten numer, Zack - powiedział Quinn bez wstępów.

- Co się, do cholery, dzieje? - warknął Zack.

- Dziewięć-trzy-pięć, trzy-dwa-jeden-pięć - powiedział bezlitośnie Quinn. - Zapisaleś?

Na chwilę zapadło milczenie, gdy Zack zapisywał numer.

- Teraz rozegramy to we dwóch, Zack. Urwałem się im wszystkim. Tylko ty i ja. diamenty za chłopaka. Bez sztuczek, masz na to moje słowo. Zadzwoni na ten numer za sześćdziesiąt minut i za dziewięćdziesiąt minut, jeśli za pierwszym razem nikt nie odbierze. Tam nie ma podsłuchu.

Powtórnie odłożył słuchawkę. W centrali usłyszeli tylko: "...minut i za dziewięćdziesiąt minut, jeśli za pierwszym razem nikt nie odbierze. Tam nie ma podsłuchu".

- Sukinsyn, dał mu inny numer - powiedział technik w centrali do towarzyszących mu dwóch londyńskich policjantów. Jeden z nich już rozmawiał ze Scotland Yardem.

Gdy Quinn wyszedł ze sklepu, zobaczył, jak Duncan McCrea mocuje się z zablokowanymi drzwiami. Z tyłu stała Sam machając i gestykulując. Dołączył do niej portier, drapiąc się w łysiejącą głowę. Po przeciwnej stronie przejechały dwa samochody, a po stronie Quinna zbliżał się motocykl. Quinn wyszedł na jezdnię z podniesionymi rękoma i walizeczką

w lewej dłoni. Motocyklista zahamował, zarzucił w bok, podparł się nogą i zatrzymał w poślizgu.

- Panie, coś pan?...

Quinn uśmiechnął się do niego rozbrajająco, nurkując pod kierownicą. Krótki, mocny cios w żołądek dokończył dzieła. W chwili, gdy młody człowiek w kasku zgiął się wpół, Quinn zepchnął go z siodełka, przerzucił prawą nogę przez ramę motoru, wrzucił bieg i zapalił silnik. Ruszył z miejsca, a ręka McCrea ominęła jego kurtkę mniej więcej o sześć cali.

McCrea wyglądał żałośnie stojąc na ulicy. Dołączyła do niego Sam. Spojrzeli na siebie i z powrotem wbiegli do budynku. Najszybszy sposób skontaktowania się z Grosvenor Square, to wrócić na drugie piętro.

- Wszystko jasne - powiedział Brown pięć minut później, po wysłuchaniu relacji obojga przez telefon. - Trzeba znaleźć tego sukinsyna. Tym się teraz zajmujemy.

Zadzwoił drugi telefon. Nigel Cramer ze Scotland Yardu.

- Wasz negocjator zwiął - stwierdził sucho. - Możesz mi wyjaśnić, w jaki sposób? Próbowałem zadzwonić do mieszkania, ale numer zajęty.

Brown wyjaśnił mu w trzydzieści sekund. Cramer chrząknął. Nadal pamiętał kompromitację z farmy Green Meadow i nigdy jej nie zapomni. Teraz jednak bieg wydarzeń stłumił w nim chęć pozbycia się Browna i ekipy FBI.

- Czy twoi ludzie mają numer tego motocykla? - zapytał. - Mogę zaalarmować wszystkie patrole.

- Jeszcze lepiej - powiedział z zadowoleniem Brown. - Walizeczką z diamentami zawiera urządzenie kierunkowe.

- Zawiera c o?

- Wbudowane, niewykrywalne, najnowocześniejsze urządzenie kierunkowe - powiedział Brown. - Przygotowaliśmy je w Stanach i wczoraj przed samym odlotem przełożyliśmy do niego diamenty z walizeczki dostarczonej przez Pentagon.

- Aha - powiedział Cramer zamyślnym głosem. - A odbiornik?

- Mam go tutaj - odpowiedział Brown. - Przysłany o świcie samolotem. Jeden z moich chłopców odebrał go z Heathrow. Ma zasięg dwóch mil, więc trzeba się będzie przemieszczać. Zaraz zaczynamy.

- Tym razem, panie Brown, ma pan utrzymywać kontakt z samochodami patrolowymi Scotland Yardu. Nie pan dokonuje aresztowań w tym mieście, ale ja. Wasz samochód ma łączność z ambasadą?

- Oczywiście.

- Rozmawiajcie tylko otwartą linią. Podłączymy się do was i pojedziemy za wami, gdy tylko dacie znać, gdzie jesteście.

- Żaden problem, ma pan na to moje słowo.

Sześćdziesiąt sekund później należąca do ambasady limuzyna wypadła z Grosvenor Square. Prowadził Chuck Moxon, a siedzący z tyłu jego kolega obsługiwał urządzenie kierunkowe: małe pudełko przypominające miniaturowy odbiornik telewizyjny z tą różnicą, że ekran zamiast obrazu pokazywał tylko świecący pojedynczy punkt. Gdy antena umocowana nad bocznymi drzwiami auta odbierze sygnał z nadajnika w walizeczce Quinna, z centralnego punktu na ekranie wybiegnie prosta linia. Kierowca samochodu musi wtedy tak manewrować, aby linia na ekranie pokrywała się dokładnie z kierunkiem jazdy. Będzie to oznaczało, że jadą za nadajnikiem. Urządzenie w walizeczce włącza się automatycznie na sygnał z limuzyny.

Przejechali szybko Park Lane, Knightsbridge i wjechali do Kensingtonu.

- Włącz - polecił Brown. Operator nacisnął przycisk. Ekran nie zareagował.

- Włączaj co trzydzieści sekund, dopóki nie zaskoczy - powiedział Brown. - Chuck, będziemy krążyć po Kensingtonie.

Moxon skręcił w Cromwell Road, następnie na południe w Gloucester Road do Old Brompton Road. Antena złapała kontakt.

- Jest za nami, jedzie na północ - powiedział operator. - Odległość około jednej i ćwierć mili.

Trzydzieści sekund później Moxon z powrotem przejechał Cromwell Road i zakręcił w Exhibition Road w stronę Hyde Parku.

- Dokładnie przed nami, jedzie na północ - powiedział operator. - Powiedz miejscowym chłopcom, że go mamy - powiedział Brown. Moxon poinformował ambasadę przez radio i w połowie Edgware Road przyłączył się do nich Rover policji londyńskiej.

Z tyłu razem z Brownem siedzieli Collins i Seymour.

- Powiniennem był wiedzieć - powiedział z żalem Collins. - Powiniennem był zwrócić uwagę na różnicę czasu.

- Jaką różnicę czasu? - zapytał Seymour.

- Pamiętasz to zamieszanie na podjeździe Winfield House trzy tygodnie temu⁹ Quinn wyjechał piętnaście minut przede mną, ale dotarł na Kensington tylko trzy minuty wcześniej. A przecież w godzinie szczytu londyńska taksówka zawsze jest najszybsza. Gdzieś się musiał zatrzymać, coś przygotowywał.

- Nie mógł tego zaplanować trzy tygodnie temu - sprzeciwił się Seymour. - Nie wiedział, jak się sprawy rozwiną.

- Nie musiał - powiedział Collins. - Czytałeś jego akta personalne. Był w czynnej służbie dostatecznie długo, aby wiedzieć, że na wypadek komplikacji trzeba mieć przygotowaną kryjówkę.

- Skręcił w prawo do St John's Wood - powiedział operator. Na rondzie za stadionem krykietowym samochód policyjny zrównał się z nimi. Kierowca otworzył okno.

- Kieruje się na północ - powiedział Moxon, pokazując ręką w kierunku Finchley Road. Do dwóch samochodów przyłączył się następny wóz patrolowy. Skierowali się na północ przez Swiss Cottage, Hendon i Mill Hill. Odległość zmalała do trzystu jardów i zaczęli uważnie się rozglądać w poszukiwaniu wysokiego mężczyzny jadącego bez kasku na małym motocyklu.

Przejechali przez rondo w Mill Hill o sto jardów za nadajnikiem i wspięli się do Five Ways Corner. Wtedy zdali sobie sprawę, że Quinn musiał zmienić pojazd. Minęli dwóch motocyklistów, którzy nie byli źródłem sygnału, zostali wyprzedzeni przez dwa duże motocykle, ale sygnał urządzenia kierunkowego nadal pochodził z drogi dokładnie przed nimi. Gdy zakręcili przy Five Ways Corner w kierunku autostrady A1 do Hertfordshire, zobaczyli, że jadą za odkrytym Volkswagenem Golfem GT, którego kierowca założył grubą futrzaną czapkę dla ochrony głowy i uszu.

Z wydarzeń tego dnia Cyprian Fothergill zapamiętał przede wszystkim, że gdy jechał do swego uroczego małego domku na wsi za Borehamwood, został nagle wyprzedzony przez wielki czarny samochód, który zajeżdżając mu bezceremonialnie drogę, zmusił do zatrzymania w zatoce parkingowej. Po kilku sekundach, jak opowiadał później przyglądającym mu się z otwartymi ustami przyjaciółom w klubie, ze środka wyskoczyli trzej wielcy mężczyźni, otoczyli jego samochód i wycelowali w niego ogromne pistolety. W tej chwili z tyłu zahamował samochód policyjny, za nim drugi i czterej przystojni umundurowani policjanci wysiedli i kazali Amerykanom - to musieli być Amerykanie, a byli naprawdę potężnie zbudowani - odłożyć broń, gdyż w przeciwnym razie zostaną rozbrojeni.

Następną rzeczą, jaką pamiętał - w tym momencie uwaga wszystkich obecnych w barze skupiła się niepodzielnie na nim - jeden z Amerykanów zdarł mu z głowy futrzaną czapkę wrzeszcząc: „Gdzie on jest, zasrańcu?!”, a jeden z policjantów sięgnął na otwarte tylne siedzenie i wyciągnął prostokątną walizeczkę na dokumenty. Następną godzinę spędził na tłumaczeniu, że nigdy wcześniej jej nie widział.

Wielki szpakowaty Amerykanin, który wydawał się dowodzić pozostałymi z czarnej limuzyny, zabrał walizeczkę policjantowi, otworzył zamki i zajrzał do środka. Była pusta. Po tym wszystkim - pusta... Całe to idiotyczne zamieszanie z powodu pustej walizeczki... W każdym razie, Amerykanie przeklinali jak woźnice, używając słów, których on, Cyprian, nigdy jeszcze nie słyszał i miał nadzieję już więcej nie usłyszeć. Wtedy do akcji wkroczył angielski sierżant policji jak postać z innego świata...

O 2.25 sierżant Kidd wrócił do samochodu patrolowego, żeby odpowiedzieć na niecierpliwe pytania przez radio.

- Tango Alfa... - zaczął.

- Tango Alfa, tu zastępca komisarza, Cramer. Z kim rozmawiam?

- Sierżant Kidd, oddział F, panie komisarzu.

- Co tam macie, sierżancie?

Kidd spojrział na otoczonego Volkswagena, na wystraszonego kierowcę, trzech agentów FBI oglądających pustą walizeczkę, jeszcze dwóch jankesów stojących z tyłu i patrzących z nadzieją w niebo, oraz na trzech swoich kolegów próbujących ustalić fakty.

- Jakieś nieporozumienie, panie komisarzu.

- Sierżancie, słuchajcie uważnie. Czy zatrzymaliście wysokiego Amerykanina, który ukradł dwa miliony dolarów?

- Nie, panie komisarzu - powiedział Kidd. - Zatrzymaliśmy pedziowatego fryzjera, który właśnie narobił w spodnie.

- Co to znaczy... Zniknął? - pytania i okrzyki tego rodzaju, zadawane różnym tonem i z różnym akcentem w ciągu najbliższej godziny, odbijały się echem w mieszkaniu na Kensingtonie, w White-hallu, Home Office, na Downing Street, Grosvenor Square i w zachodnim skrzydle Białego Domu. - Nie mógł po prostu zniknąć.

Ale zniknął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Quinn skręcił w pierwszą przecnicę i jakieś trzydzieści sekund później cisnął walizeczkę w otwarty tył Golfa. Kiedy otworzył ją według wskazówek udzielonych mu przez Lou Collinsa jeszcze nocą, nie znalazł żadnego mikronadajnika, ale też nie spodziewał się go ujrzeć. Ten, kto montował w laboratorium to urządzenie, nie był przecież aż tak głupi, by zostawiać ślady swej roboty. Quinn dałby jednak głowę za to, że w walizeczce jest coś, co doprowadziłoby policję i wojsko na miejsce jego ewentualnej randki z Zackiem.

Czekając na zmianę świateł błyskawicznie rozsunął zamki swej skórzanej kurtki, schował pod nią pakunek z diamentami, po czym rozejrzał się. Tamten Golf stał obok. Zakutany w futrzaną czapkę kierowca niczego nie dostrzegł.

Pół mili dalej Quinn porzucił motocykl; bez obowiązującego kasku niechybnie zwróciłby na siebie uwagę jakiegoś policjanta. Złapawszy przed Brnton Oratory taksówkę, kazał jej jechać w kierunku Marylebone; na George Street zapłacił i dalej udał się pieszo. W kieszeniach miał to, co udało mu się niepostrzeżenie zabrać z mieszkania: amerykański paszport i prawo jazdy, które staną się nieprzydatne, jak ogłoszą alarm, zwitek angielskich banknotów rąbniętych z torebki Sam, jego własny scyzoryk o kilku ostrzach. Szczypczyki znalezione w skrzynce z bezpiecznikami. W drogerii przy Marylebone High Street zaopatrzył się w parę zwyczajnych okularów w grubych rogowych oprawkach, w sklepie z męską garderobą - w tweedowy kapelusz i płaszcz przeciwdeszczowy. Dokonał jeszcze sporo zakupów w cukierni, w sklepie z artykułami technicznymi i magazynie z walizkami. Spojrzał na zegarek; minęło pięćdziesiąt pięć minut od chwili, w której odłożył słuchawkę telefoniczną w sklepie owocowym Patela. Skręcił w Blandford Street i na rogu z Chiltern Street znalazł dwie budki telefoniczne obok siebie, których właśnie szukał. Wszedł do drugiej z nich; jej numer znał od trzech tygodni, a przed godziną podyktował go Zackowi. O wyznaczonej porze zadzwonił dzwonek.

- No dobrze, ty sukinsynu, o co ci, do diabła, chodzi?

Zack był nieufny, nieprzyjazny i udawał, że niczego się nie domyśla.

W kilku zwięzłych zdaniach Quinn opowiedział mu, co zrobił. Tamten słuchał nie przerywając.

- Czy ty aby nie zalewasz? - spytał w końcu. - Bo jeśli łiesz, to ten smarkacz skończy w pokrowcu.

- Słuchaj, Zack, głównie mnie obchodzi, czy cię złapią, czy nie. Mnie interesuje tylko jedno - oddać dzieciaka całego i zdrowego jego rodzinie. Pod kurtką mam surowe diamenty warte ze dwa miliony dolarów. Myślę, że to może cię zainteresować. Teraz tak, umyślnie zgubiłem psy gończe, bo wtrącałyby mi się, żeby pokazać, jakie są sprytne. No co, idziesz na tę wymianę, czy nie?

- Czas minął - odparł Zack. - Spadam.

- Tak się składa, że to jest budka w Marylebone - powiedział Quinn - ale masz rację, że mi nie ufasz. Zadzwoń do mnie pod ten sam numer wieczorem, to omówimy szczegóły. Przyjdę sam, nie uzbrojony, z kamieniami i obojętnie gdzie. Szukają mnie, więc lepiej, żebyś zadzwonił po zmroku. Powiedzmy, ósma.

- Niech będzie - mruknął Zack. - Zadzwonię.

W tej samej chwili sierżant Kidd sięgał po mikrofon w samochodzie, by porozmawiać z Nigelem Cramerem. Minutę później wszystkie posterunki Scotland Yardu odbierały opis mężczyzny z instrukcją, żeby policjanci patrolujący okolicę mieli oczy otwarte. Zauważywszy podejrzanego, niech się jednak nie zbliżają, lecz zawiadomią przez radio posterunek. Niech go dalej śledzą z daleka. Nie podano ani nazwiska mężczyzny, ani powodu poszukiwania.

Po opuszczeniu budki telefonicznej Quinn poszedł z powrotem wzdłuż Blandford Street do hotelu Blackwooda. Był to jeden z tych starych, ukrytych w bocznych uliczkach Londynu zajazdów, których wielkie spółki jakoś nie wykupiły i nie unowocześniły; porośnięty bluszczem dom na dwadzieścia pokoi z oknami w kasetonach i w wykuszach, z ogniem płonącym w kominku z cegieł obok recepcji, chodnikami na chropowatej drewnianej podłodze. Quinn zbliżył się do sympatycznej dziewczyny za biurkiem.

- Cześć - powiedział wyszczerzając zęby od ucha do ucha.

Uniosła głowę i odpowiedziała mu uśmiechem. Wysoki, przygarbiony, w tweedowym kapeluszu, deszczowcu, z neseserem z cielecej skóry - typowy amerykański turysta.

- Dzień dobry, sir. Czy mogłabym panu pomóc?

- O, tak, panienko. Na pewno. Bo widzi panienka, tylko co przyleciałem ze Stanów... brytyjskimi liniami... zawsze stawiam na brytyjskie... i wie panienka, co się stało? Zgubili mi bagaż. Tak, madam, omyłkowo posłali go do Frankfurtu...

Na jej twarzy pojawiło się z troską.

- Ale mają go sprowadzić... góra za dwadzieścia cztery godziny Mój kłopot natomiast polega na tym, że wszystkie dane o mojej wyprawie znajdują się w walizce, a ja za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć, gdzie mam zrobioną rezerwację. Razem z tą panią od

linii lotniczych wertowaliśmy przez godzinę nazwy hoteli w Londynie - żeby panią wiedziała, ile ich jest - jednak ja sobie jej nie przypomniałem i nie przypomnę, póki moja walizka do mnie nie wróci. Przechodząc do meritum - gdy jechałem taksówką do miasta, szofer powiedział mi o tym bardzo miłym miejscu... yyy... czy przypadkiem nie znalazłaby pani dla mnie pokoju na jedną noc? Aha, nazywam się Harry Russell...

Patrzyła na niego zauroczona. Ten wysoki gość tak się martwił utratą bagażu, a do tego jeszcze nie mógł sobie przypomnieć, gdzie miał się zatrzymać: przypominał jej dzentelmena z jednego filmu - oglądała ich wiele - co to wiecznie chciał być zabawiany, mówił jednak jak ten w śmiesznym kapeluszu z piórkami, w "Dallas". Ani jej do głowy przyszło, żeby mu nie wierzyć, czy żądać okazania jakiegoś dowodu tożsamości. To prawda, że zazwyczaj nie przyjmowali ludzi bez bagażu i rezerwacji, lecz jeśli ktoś zgubił bagaż i zapomniał nazwę swego hotelu i to na dodatek z winy brytyjskich linii lotniczych. Zajrzała do książki meldunkowej; większość gości hotelu stanowili regularni przyjezdni z prowincji oraz kilku stałych mieszkańców.

- Jest tylko jeden pokój, pani Russell, ale mały i od tyłu, więc obawiam się...

- To mi zupełnie odpowiada, proszę pani. O, mogę zapłacić gotówką, bo zamieniłem parę dolarów od razu na lotnisku...

- Jutro rano, pani Russell. - Sięgnęła po stary mosiężny klucz - Schodami na górę, drugie piętro.

Quinn wspiął się po schodach o nierównych stopniach, odnalazł numer 11 i wszedł do środka. Pokój mały, czysty, wygodny. Lepiej nie trzeba. Rozebrał się do spodenek, nastawił kupiony w sklepie z materiałami technicznymi budzik na szóstą po południu i zasnął.

- Na litość boską, po co on to zrobił? - wykrzyknął minister spraw wewnętrznych, sir Harry Marriott. Wysłuchał właśnie całej historii z ust Nigela Cramera w swym biurze na najwyższym piętrze budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, po czym odbył dziesięciominutową rozmowę z Downing Street. Rezydująca tam Dama nie była nią szczególnie zachwycona.

- Chyba mu się wydawało, że nie może nikomu ufać - powiedział Cramer cicho.

- Mam nadzieję, że nie myślał tak o nas - obruszył się minister. - Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- Nie, nie o nas - odparł Cramer. - Był już bliski wymiany z tym Zackiem. Jest to zawsze najniebezpieczniejsza faza w kidnapingu. Przeprowadzać ją należy z najwyższą ostrożnością. Po tych dwóch przeciekach tajnych informacji do radia, jednej do francuskiego,

drugiej do brytyjskiego, wołał, jak widać, wziąć sprawę we własne ręce. My jednakże nie możemy na to pozwolić. Musimy więc go odnaleźć, panie ministrze.

Cramera wciąż bardzo bolało, że został pozbawiony pierwszeństwa w prowadzeniu negocjacji; jego rola sprowadzała się obecnie do kierowania dochodzeniem.

- Przede wszystkim, jak mu się udało uciec? - biadolił minister spraw wewnętrznych.

- Nie udałoby mu się, gdybym miał w mieszkaniu swoich ludzi - przypomniał mu Cramer.

- Tama puściła wodę. Niech pan znajdzie tego gościa, ale po cichu, dyskretnie.

Prywatnie minister spraw wewnętrznych był zdania, że jeśli temu całemu Quinnowi udałoby się odzyskać Simona Cormacka w pojedynkę, to tym lepiej. Anglia odesłałaby ich obu do Ameryki i spokój. Ale jeśli Amerykanie chcą zrobić z tego aferę, to ich sprawa, nie jego.

O tej samej godzinie Irving Moss odebrał telefon z Houston. Zapisał oferty cen na warzywa z teksaskich ogrodów, odłożył słuchawkę i zabrał się do rozszyfrowania meldunku. Gwizdnął ze zdumienia. Gdy się bowiem nad nim dobrze zastanowił, doszedł do wniosku, że jego plany wymagają jedynie niewielkiej zmiany.

Po niepowodzeniu na drodze przy Mill Hill Kevin Brown przyjechał do mieszkania na Kensingtonie mocno zirytowany. Towarzyszyli mu Patrick Seymour i Lous Collins. Ci trzej starsi panowie przez kilka godzin przesłuchiwali dwójkę młodszych kolegów.

Sam Somerville i Duncan McCrea opowiedzieli szczegółowo, co i w jaki sposób zdarzyło się tego ranka i dlaczego tego nie przewidzieli. McCrea, jak zwykle, kajał się rozbrajająco.

- Być może nawiązał znowu kontakt telefoniczny z Zackiem, a my nie mamy nad nim żadnej kontroli - stwierdził Brown. - Jeśli porozumiewają się z budek telefonicznych, Anglikom nie uda się tego podsłuchać. Nie wiemy, co zamierzają.

- Niewykluczone, że szykują się do wymiany Simona Cormacka za diamenty - zasugerował Seymour.

- Już ja się dobiore do tego cwaniaczka, jak to się wszystko skończy - warknął Brown.

- Jeśli będzie wracał z Simonem Cormackiem, to co najwyżej możemy odnieść mu walizki na lotnisko - zauważył Collins. Ustalono, że Somerville i McCrea zostaną w mieszkaniu na wypadek, gdyby miał się tam zjawić Quinn. Te trzy linie telefoniczne pozostaną czynne i na podsłuchu, by w razie czego przyjąć jego telefon. Starsi panowie wrócili do ambasady - Seymour, by omówić ze Scotland Yardem sytuację, w której z jednego śledztwa zrobiły się dwa, pozostali zaś - by słuchać i czekać.

Quinn wstał o szóstej, umył się i ogolił, używając przyborów toaletowych zakupionych poprzedniego dnia przy High Street, zjadł lekką kolację i za dziesięć ósma ponownie zaryzykował dwustumetrowy spacer do budki telefonicznej przy Chiltern Street. Była zajęta przez starszą kobietę, która opuściła ją za pięć ósma. Quinn stał w budce plecami do ulicy, udając, że studiuje spis numerów kierunkowych, gdy dwie po ósmej rozległ się dzwonek.

- Quinn?.

- Taa.

- Może i cię gonia, może i dałeś im dyla, nie wiem. Zapłacisz mi, jeśli to jakiś numer.

- Jaki tam numer. Powiedz mi lepiej, gdzie i kiedy mam się zjawić.

- Jutro rano o dziesiątej. O dziewiątej zadzwonię do ciebie pod ten numer i powiem gdzie. Zdązysz tam dotrzeć na czas. Od świtu moi ludzie będą obstawiali to miejsce. Gdyby pojawiły się gliny albo komandosi SAS, w ogóle gdyby był jakiś ruch, zauważymy i zmyjemy się, a Simon Cormack umrze o jeden telefon później. Ty nas nie zobaczysz, ale my zobaczymy ciebie i każdego, kto się tam zjawi. Jak masz zamiar nas nabrać, lepiej uprzedź o tym swych koleśiów. Nawet może uda im się dostać jednego z nas albo dwóch, ale będzie już po chłopaku.

- Załatwione, Zack. Przyjdę sam. Nie będzie żadnych numerów.

- Żadnych elektronicznych zabawek, mikronadajników, mikrofonów. Sprawdzimy cię. Będziesz podłączony, zapłaci za to chłopak.

- Już powiedziałem. Nie będzie żadnych numerów. Tylko ja i diamenty.

- Bądź w tej budce o dziewiątej.

W słuchawce szcęknięło, rozległ się sygnał. Quinn wyszedł z budki i wrócił do hotelu. Przez jakiś czas oglądał telewizję, a potem wyjął z nesesera swe popołudniowe zakupy i przez kolejne dwie godziny był bardzo nimi pochłonięty. Dochodziła druga nad ranem, kiedy poczuł się zadowolony.

Wziął znowu natrysk, by zmyć z siebie zdradliwy zapach tajemnicy. Leżał potem na łóżku, wpatrzony nieruchomo w sufit i myślał; nigdy zbyt wiele nie sypiał przed akcją - właśnie dlatego pozwolił sobie po południu na trzygodzinny odpoczynek. Dopiero przed świtem zdrzemnął się nieco. Wstał o siódmej, gdy zadzwonił budzik.

O wpół do dziewiątej - w tweedowym kapeluszu, deszczowcu szczelnie zapiętym pod szyję i okularach w grubej oprawce - zszedł do recepcji, gdzie zastał za biurkiem tę samą uroczą recepcjonistkę. Powiedział, że musi jechać na Heathrow po bagaż, więc chciałby uregulować rachunek i wymeldować się.

Za kwadrans dziewiąta zbliżał się wolnym krokiem do budki telefonicznej. Tym razem nie było w niej żadnej starszej pani. Spędził w środku piętnaście minut, bo dokładnie o dziewiątej zadzwonił telefon.

- Jamaica Road, Rotherhithe - głos Zacka był ochryply z napięcia.

Quinn nie znał tej dzielnicy, lecz słyszał o niej. Stare doki i stare budynki częściowo przebudowane na eleganckie domy i mieszkania dla *yuppies*, pracujących w City, częściowo całkiem wymarłe, opuszczone nabrzeża i magazyny.

- Tak, słucham.

Zack podał mu bliższe szczegóły. Za Jamaica Road miał iść ulicą schodzącą ku Tamizie.

- To jest jednokondygnacyjna blaszana hala, otwarta z obu stron. Nad drzwiami wciąż widnieje nazwisko Babbidge. Zapłać taksówkarzowi na początku ulicy. Podejź do południowego wejścia. Stań na środku i czekaj. Zjawimy się, o ile nikt za tobą nie przyjdzie.

Odwiesił słuchawkę. Wyszedłszy z budki Quinn wrzucił do śmietnika pusty neseser z cielejącej skóry i rozejrzał się za taksówką. Ani jednej; wiadomo poranny szczyt. Dziesięć minut później złapał jakąś przy Marylebone High Street. Podrzuciła go do stacji metra Marble Arch. Przedzieranie się o tej godzinie samochodem przez krzywe uliczki starej dzielnicy i na drugą stronę Tamizy do Rotherhithe, zajęłoby masę czasu.

Wsiadł do metra jadącego w kierunku wschodnim, do Bank, tam przesiadł się na linię północną prowadzącą pod Tamizą do London Bridge. Jest to jednocześnie stacja kolejowa, więc taksówki czekały na postoju przed dworcem. Pięćdziesiąt minut po odwieszeniu słuchawki przez Zacka Quinn znajdował się na Jamaica Road.

Ulica, którą miał pójść, była wąska, pusta i brudna. Po jednej stronie stały opuszczone, dojrzałe do remontu, frontem zwrócone ku rzece magazyny herbaty, z drugiej - opustoszałe fabryki i szopy z falistej blachy. Wiedział, że jest obserwowany. Szedł środkiem. Na końcu ulicy znajdował się stalowy hangar z wyblakłym napisem "Babbidge" nad wejściem. Wszedł.

Hangar miał dwieście stóp długości, osiemdziesiąt szerokości. Z dźwigarów pod sufitem zwisały zardzewiałe łańcuchy; podłoga była betonowa, przykryta nanoszonymi latami przez wiatr śmieciami. Drzwiami, którymi wszedł, mógł przedostać się człowiek, ale nie ciężarówka; te z tamtej strony były natomiast wysokie i szerokie. Doszedłszy do środka, zatrzymał się. Zdjął okulary i tweedowy kapelusz, które służyły mu za przebranie. Rzucił je na bok. Nie przydadzą się już, bo albo stąd wyjdzie załatwiwszy odzyskanie Simona Cormacka, albo wręcz będzie potrzebował policyjnej eskorty.

Czekał godzinę stojąc nieruchomo. O jedenastej w tamtym końcu hangaru ukazało się duże Volvo. Samochód zbliżył się do niego na odległość czterdziestu stóp i zatrzymał z włączonym silnikiem. Z przodu siedziało dwóch tak zamaskowanych mężczyzn, że tylko ich oczy było widać przez dziurki.

Quinn raczej przeczuł niż usłyszał za sobą szurnięcie sportowego obuwia o beton. Rzucił okiem przez ramię. Stał tam trzeci mężczyzna w czarnej treningowej bluzie bez nazwy klubu i kominiarce na głowie. Był czujny, gotowy do działania; wprawdzie pistolet maszynowy trzymał niedbale za lufę, ale w razie potrzeby niechybnie by go użył.

Drzwi auta po stronie pasażera się otworzyły i wysiadł mężczyzna średniego wzrostu i średniej budowy.

- Quinn? - zawołał. Głos Zacka. Bez wątpienia. - Masz diamenty?

- Mam.

- To dawaj.

- Masz chłopaka, Zack?

- Nie bądź frajer. Oddać go za worek szkła? Najpierw sprawdzimy te kamienie. Trochę to potrwa. Jeden kawałek szkła, jedna próbka, przegrałeś. Ale jak się okażą w porządku, oddamy ci go.

- Tak sobie myślałem. Nie przejdzie.

- Nie baw się z nami w ciuciubabkę, Quinn.

- To nie ciuciubabka. Chcę zobaczyć dzieciaka. Boisz się, że wtykam ci szkiełka... nie wtykam... ale chcesz mieć pewność. -Ja boję się, że dostanę ciało.

- Nie dostaniesz.

- Ale też chcę być tego pewny, i dlatego muszę pojechać z tobą. Zack patrzył na Quinna z za swej maski jakby z niedowierzaniem.

Roześmiał się chrapliwie.

- Widzisz tego faceta za sobą? Jedno słowo i cię rozwali. A potem zabierzemy kamienie.

- W każdym razie możecie spróbować - zgodził się Quinn. - Widzieliście kiedyś coś takiego?

Rozpiął od góry do dołu deszczowiec, ujął coś, co dyndało poniżej pasa i uniósł w górę.

Zack patrzył w skupieniu na Quinna i na urządzenie, które miał przymocowane z przodu na koszuli. Zaklął cicho, ale dosadnie.

Przód Quinna między mostkiem a pasem przykrywało drewniane pudełko, zawierające niegdyś czekoladki z likierem. Czekoladki zniknęły razem z przykrywką pudełka, a jego dolna część pełniła obecnie rolę płaskiego pojemnika umocowanego na piersi Quinna plastrem lekarskim.

Środek pojemnika wypełniał aksamitny pakunek z diamentami, a po obu jego stronach umieszczono dwie kilkunastodekowe porcje lepkiej beżowej substancji. W jedną z nich był wciśnięty jasnozielony przewód elektryczny, którego drugi koniec doprowadzono do jednej ze szczęk szczypczyków do bielizny trzymanyh przez Quinna w uniesionej do góry lewej dłoni. Przewód przechodził przez dziurkę wywierconą w drewnie i znikał między szczękami szczypczyków.

Do bombonierki była również przytwierdzona dziewięciowoltowa bateria typu PPS z zamocowanymi na końcach jasnozielonymi przewodami. Jeden z nich łączył obie porcje brązowej masy z baterią, drugi dochodził do drugiej szczęki szczypczyków. Szczęki rozwierał ogryzek ołówka. Quinn zgiął palec i ołówek spadł na podłogę.

- Lipa - powiedział Zack bez przekonania. - To nie jest prawdziwe.

Prawą ręką Quinn oderwał kawałek brunatnego mięszu, ulepił z niego kulkę, którą poturlał do Zacka. Tamten schylił się, podniósł ją i zbliżył do nosa. Nozdrza wypełnił mu zapach marcepanu.

- Semtex - stwierdził.

- Semtex jest czeski - odparł Quinn - ja wolę RDX.

Zack był dość oblatany, żeby wiedzieć, iż wszystkie wybuchowe żelatyny wyglądają i pachną jak zwykły cukierniczy marcepan. Tu jednak kończy się ich podobieństwo. Gdyby jego człowiek otworzył teraz ogień, zginęliby wszyscy. W tym pudełku było dość materiału wybuchowego, żeby wymieść podłogę do czysta, unieść dach, a diamenty rozsypać po tamtej stronie Tamizy.

- Wiedziałem, żeś sukinsyn - rzekł Zack. - Czego chcesz?

- Podniosę ołówek, włożę go na miejsce, wejdę do bagażnika, a wy zawieziecie mnie do chłopca. Nikt za mną nie przyjechał, nikt za mną nie pojedzie. Nie rozpoznam was, ani teraz, ani kiedy indziej. Jak się upewnię, że dzieciak żyje, rozmontuję to i dam wam kamienie. Sprawdzicie je, a kiedy poczujecie się usatysfakcjonowani, wyjedziecie. Ja chłopcem pozostaniemy w zamknięciu. Dwadzieścia cztery godziny później wykonacie anonimowy telefon. Przyjadą gliniarze i uwolnią nas. To czysta, prosta operacja, z której wychodzicie cało.

Zack robił wrażenie niezdecydowanego. Nie był to jego plan, więc bał się, że zostanie wymanewrowany. Z kieszeni bluzy wyjął czarne płaskie pudełko.

- Trzymaj ręce w górze i nie zamykaj tego. Sprawdzę, czy nie jesteś na podsłuchu.

Zbliżywszy się, przejechał detektorem po ciele Quinna od stóp do głów. Gdyby miał on na sobie jakikolwiek czynny obwód elektryczny, taki jak w mikronadajniku czy podsłuchu, to detektor wydałby z siebie piskliwe „iiii”. Bateria w bombie drzemała. Walizeczka zawierająca urządzenie kierunkowe niewątpliwie uruchomiłaby detektor.

- W porządku - ocenił Zack i cofnął się o jard. Quinna doleciał zapach jego potu. - Jesteś czysty. Włóż ołówek na miejsce i ładuj się do skrzyni.

Quinn zrobił, co mu kazano. Opadła na niego prostokątna kłapa odcinając światło. Dziurki doprowadzające powietrze do bagażnika wywiercono w podłodze trzy tygodnie wcześniej - dla Simona Cormacka. W skrzyni było duszno, dawało się jednak wytrzymać, miejsca Quinn też miał dosyć, nie na długość, lecz w pozycji embrionalnej; tyle tylko, że o mało się nie udusił od zapachu migdałów.

Samochód zrobił literę U, czego Quinn już nie widział, rewolwerowiec podbiegł i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Wszyscy trzej zdjęli maski i bluzy od dresu, pod którymi mieli koszule, krawaty i marynarki. Bluzy powędrowały do tyłu, by przykryć pistolet maszynowy Skorpion. Gdy wszystko było gotowe, samochód, prowadzony teraz przez Zacka, wynurzył się z magazynu i ruszył w drogę do ich kryjówki.

Dopiero po półtorej godzinie dotarli do garażu pod budynkiem położonym czterdzieści mil od Londynu. W czasie jazdy Zack nie przekraczał dozwolonej prędkości, a jego kompani siedzieli wyprostowani i milcząco na swoich miejscach. Dla obu był to pierwszy od trzech tygodni wyjazd z domu.

Zamknięto drzwi garażu. Wszyscy trzej nałożyli dresy i maski, a jeden z nich wszedł do domu, żeby uprzedzić czwartego. Wreszcie Zack otworzył bagażnik. Zdrętwiały Quinn zamrugał pod wpływem elektrycznego oświetlenia. Wyjął ogryzek ołówka spomiędzy szczęk szczypczyków i wsadził go sobie w zęby.

- W porządku, w porządku - uspokoił go Zack. - Nie potrzeba. Pokażemy ci dzieciaka. Ale żeby przejść przez dom, musisz to założyć.

Pokazał mu kaptur. Quinn skinął przyzwalająco. Zack zarzucił mu go na głowę. Quinn pomyślał, że gdyby się z nim źle obchodzili, wystarczyłby ułamek sekundy, żeby zwolnić uchwyt na rozwartych szczypczykach. Powiedli go na lewo, do góry, przez wnętrze domu, kawałek w dół i na koniec schodkami do piwnicy. Rozległy się trzy głośne stuknięcia do

jakichś drzwi, po nich zapanowała na chwilę cisza. Zaskrzypiały drzwi, dokądś go wepchnięto i zostawiono samego. Zazgrzytała zasuwka.

- Możesz zdjąć kaptur - powiedział Zack przez otwór w drzwiach. Prawą ręką Quinn odsłonił głowę. Znajdował się w pustym wybetonowanym pomieszczeniu będącym zapewne piwnicą do przechowywania win, obecnie wykorzystywaną do innych celów. Na łożu w odległym końcu pod ścianą siedziała chuda postać; jej głowę i ramiona również spowijał czarny kaptur. Zastukano dwa razy. Dopiero wtedy, jak gdyby na komendę, postać na łożku go ściągnęła.

Simon Cormack popatrzył ze zdziwieniem na wysokiego mężczyznę w nie dopiętym deszczowcu, który stał przy drzwiach i w lewej dłoni trzymał szczypczyki do przypinania bielizny.

- Cześć, Simon. Jak się masz, chłopcze? - zwrócił się Quinn do syna prezydenta.

Głos jak z domu.

- Kim pan jest? - zdziwił się Simon cicho.

- Ja?... Negocjatorem. Martwiliśmy się o ciebie. Jak się czujesz?

- No... dobrze.

Rozległy się trzy stuknięcia. Młody człowiek wciągnął pośpiesznie kaptur. W otwartych drzwiach stanął Zack. Zamaskowany. Uzbrojony.

- Więc żyje. A teraz diamenty.

- Oczywiście - zgodził się Quinn. - Skoro dotrzymałeś umowy, ja dotrzymam mojej.

Włożył ołówek między szczęki szczypczyków i pozwolił, żeby zawisły na przewodach przytroczonych do paska. Zdjął deszczowiec, zerwał z piersi drewniane pudełko. Wyjąwszy z niego czarne aksamitne zawiniątko z klejnotami, przytrzymał je na wyciągniętej dłoni. Zack sięgnął po nie i przekazał facetowi, który stał z tyłu w korytarzu. Pistolet Zacka był przez cały czas wycelowany w Quinna.

- Bombę też wezmę - oznajmił. - Nie utorujesz sobie nią wyjścia. Quinn ułożył przewody i szczypczyki na wolnym miejscu w pudełku, wyciągnął druciki z brązowej substancji. Na ich końcach nie było detonatorów. Oderwawszy kawałek brunatnej masy, Quinn wsadził go sobie do ust.

- Właściwie nigdy nie przepadałem za marcepanem - stwierdził. - Za słodki jak na mój gust.

Zack spojrział na zestaw przedmiotów domowego użytku w pudełku, które trzymał w wolnej ręce.

- Marcepan?

- Najlepszy na Marylebone High Street.

- Powinienem cię do cholery rozwalić, Quinn.

- Mógłbyś, ale nie sądzę, żebyś na to poszedł. Nie ma potrzeby, Zack. Zawsze mówię, że profesjonaliści zabijają tylko, kiedy muszą. Sprawdź sobie spokojnie diamenty, potem się ulotnij, a mnie i dzieciakowi pozwól tu pozostać, dopóki nie zawiadomisz policji.

Zack zamknął i zarygłował drzwi.

- Słuchaj, ty jankesie. Muszę przyznać, żeś facet z jajami - powiedział przez judasza, zanim go zatrzasnął.

Quinn podszedł do łóżka, ściągnął chłopcu kaptur i usiadł obok.

- Czas wprowadzić cię w sprawy - powiedział. - Jeśli wszystko pójdzie, jak należy, za kilka godzin będziemy wolni, w drodze do domu. Aha, masz pozdrowienia od mamy i taty. Zmierwił splecione włosy chłopca. Oczy Simona Cormacka zaszyły łzami i rozplakał się żałośnie. Próbował ocierać oczy rękawem kraciastej koszuli, ale niewiele to pomogło. Quinn objął ramieniem chude ramiona, mając w pamięci pewien dzień z odległej przeszłości: było to w dżungli nad Mekongiem, pierwszy raz w życiu brał udział w akcji, wszyscy poza nim zginęli - ulga, która potem nastąpiła, spowodowała, że nie mógł powstrzymać się od płaczu.

Simon się w końcu jednak opanował i zasypał go pytaniami o dom. Quinn mógł mu się teraz lepiej przyjrzeć. Zarośnięty, wąsaty, brudny, ale poza tym w niezłej formie. Karmili go i byli na tyle przyzwoici, że dali mu świeże ubranie - koszulę, dżinsy oraz szeroki skórzany pas z kutą mosiężną klamrą do ich podtrzymania - asortyment ze sklepu ze sprzętem kempingowym, ale w sam raz na listopadowe chłody.

Na górze jakby się kłócono. Quinnowi zdawało się, że słyszy podniesione głosy, nad którymi góruje głos Zacka. W zmieszanych dźwiękach trudno było odróżnić słowa, ale ton nie pozostawiał wątpliwości, że Zack jest wściekły. Quinn zmarszczył brwi; nie sprawdził diamentów - i tak nie odróżniłby prawdziwych od podrobionych - teraz mógł tylko prosić Boga, żeby się nie okazało, iż jakiś głupek zmieszał klejnoty z imitacjami.

Ale nie to było powodem kłótni. Po kilku minutach zresztą wszystko ucichło. W sypialni na piętrze - bo porywacze starali się za dnia nie przebywać w pokojach na dole - przy stole pokrytym prześcieradłem zasiadł ich współtowarzysz z Afryki Południowej, ekspert od diamentów. Rozpruty aksamitny woreczek leżał pusty na łóżku, cztery faceci zaś wlepiali wzrok w stosik nie oszlifowanych kamieni.

Afrykanin zaczął go dzielić szpatułką na mniejsze, te na jeszcze mniejsze, aż uzyskał dwadzieścia pięć niewielkich kopczyków. Gestem polecił Zackowi, by wybrał jeden z nich.

Zack się zawahał, po czym wskazał środkowy, zawierający w przybliżeniu tysiąc z dwudziestu pięciu tysięcy diamentów na tym stole.

Afrykanin bez słowa przystąpił po kolei do zgarniania pozostałych pagórków i wrzucania ich do solidnej płóciennej torby ściąganej u góry sznurkiem. Kiedy pozostał już tylko wybrany kopczyk, włączył silną lampę nad stołem, wyjął z kieszeni jubilerską lupę i prawą ręką uzbrojoną w pincetkę uniósł do światła pierwszy kamień.

Po upływie kilku sekund mruknął z zadowoleniem, pokiwał głową i jednocześnie wrzucił diament do płóciennego worka. Sześć godzin trwało sprawdzanie tego tysiąca kamieni.

Kidnaperzy niewątpliwie dobrze wybrali. Diamenty wysokiej jakości, nawet te małe, wprowadzone do sprzedaży przez Centralną Organizację Handlową, która rządzi światowym rynkiem diamentów, przejmując w drodze z kopalni do sklepów ponad 85 procent kamieni, opatrywane są przez nią świadectwem pochodzenia. Nawet Związek Radziecki ze swymi syberyjskimi wydobyciami jest na tyle elegancki, że nie stara się zniszczyć tego lukratywnego kartelu. Większe kamienie nieco gorszej jakości są sprzedawane też zwykle z metryką.

Decydując się natomiast na mieszankę kamieni średniej jakości, między pięć a pół karata, porywacze wchodzili w prawie nie kontrolowany obszar handlu. Na całym świecie takie diamenty są bowiem podstawą egzystencji jubilerów, którzy wytwarzają i sprzedają biżuterie kupując pokątnie diamenty bez certyfikatów. Każdy jubiler zajmujący się produkcją biżuterii bez wahania weźmie ich dużą ilość, szczególnie, gdy towar jest mu oferowany z 10- czy 15-procentową zniżką w stosunku do ceny rynkowej. Umieszczane przy wielkich okazach w ogólnym rozrachunku nie mają znaczenia.

Ale muszą być prawdziwe. Nie oszlifowane i nie wypolerowane diamenty nie błyszczą i nie połyskują. Wyglądają jak kawałki zwykłego szkła o mlecznej opalizującej powierzchni. Rzecz jasna zręczny i doświadczony znawca nie pomyli ich ze szkłem.

Diamenty mają niezwykle śliską powierzchnię i zupełnie nie dają się zwilżyć wodą. Na wyjętym z wody kawałku szkła kropelki będą się utrzymywać przez kilka sekund, a w przypadku diamentu natychmiast spłyną, pozostawiając go suchym jak kość. Poza tym, powierzchnia diamentu oglądanego pod szkłem powiększającym charakteryzuje się trygonalną postacią krystalograficzną. Afrykanin właśnie jej się przypatrywał, chcąc mieć pewność, że nie podsunięto im wypolerowanego piaskiem szkła butelkowego albo jakiegoś znanego substytutu w rodzaju kryształu cyrkonu.

W tym samym mniej więcej czasie senator Bennett R. Hapgood wstał na podium, specjalnie na tę okazję ustawionym pod gołym niebem na terenach Centrum Hancocka w samym sercu Austin. Z satysfakcją powiódł wzrokiem po zebranych.

Na wprost w przedpołudniowym słońcu połyskiwała kopuła kapitolu stanu Teksas, druga pod względem wielkości po Kapitolu w Waszyngtonie. Zważywszy kampanię, która poprzedziła to ważne wydarzenie, tłum właściwie powinien być liczniejszy, ale senator i tak był zadowolony, widząc, że środki przekazu - lokalne, stanowe i narodowe - trwają w stanie gotowości na swych stanowiskach.

W odpowiedzi na grzmot braw wodzirejów, który rozległ się po entuzjastycznej - zapowiedzi jego wystąpienia, uniósł ręce w geście bokerskiego pozdrowienia po wygranej walce. Ale śpiew dziewcząt w krótkich spódniczkach nie milkł, a tłum poczuł, że powinien się do niego przyłączyć. Potrząsnął głową, udając zdziwienie ze spotykającego go zaszczytu, i uniósł nad głową ręce, dłońmi do przodu, jak gdyby chciał powiedzieć, że młody, niewiele znaczący senator z Oklahomy nie zasługuje na taką owację.

Okrzyki wreszcie ucichły, więc wziął mikrofon i zaczął przemawiać. Nie posługiwał się kartkami: od chwili, w której otrzymał zaproszenie do zainaugurowania i objęcia przywództwa nowego ruchu, mającego niebawem objąć całą Amerykę, powtórzył te słowa wielokrotnie.

- Przyjaciele, rodacy Amerykanie... rozsiani po całym świecie... To nic, że tutejsze gremium składało się w większości z Teksasńczyków - przez soczewki kamery telewizyjnej zwracał się do znacznie większej widowni:

- Wywodzimy się z różnych odłamów naszego wspaniałego narodu. Różnimy się między sobą pochodzeniem społecznym, idziemy różnymi drogami życiowymi, mamy różne nadzieje, ambicje i lęki. Ale jedno nas łączy, bez względu na to, kim jesteśmy i czym się trudnimy: wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - jesteśmy patriotami tej wspaniałej ziemi...

Gromkie brawa potwierdziły tę oczywistą prawdę.

- i jedno jest dla nas najważniejsze: chcemy, by nasz kraj był silny - głośniejsze brawa - i dumny... - Ekstaza.

Przemówienie trwało godzinę. W wieczornych edycjach wiadomości w całym kraju zajęło ono, zależnie od gustu, od trzydziestu sekund do dwóch minut. Kiedy skończył i usiadł, a wietrzyk lekko rozwiął jego śnieżnobiałe, ułożone pod suszarką i polakierowane włosy, okalające smagłą twarz człowieka pogranicza, ruch „Obywatele na rzecz Silnej Ameryki” miał solidne podstawy.

Pod sztandarem idei odrodzenia dumy narodowej i honoru za pomocą siły - idei, która nigdy faktycznie nie umarła, czego jednak jakoś nie zauważono - ruch OSA będzie mógł się ostro przeciwstawić porozumieniu z Nantucket i domagać się od Kongresu jego odrzucenia.

Wrogowie dumy narodowej i honoru, płynących z siły, zostali napiętnowani: to komunizm, a właściwie socjalizm, przejawiający się w ubezpieczeniach społecznych, zasiłkach i podwyżkach podatków. Towarzysze podróży komunizmu, którzy starali się od dołu skłaniać Amerykę do ograniczenia zbrojeń, nie zostali wprowadzeni nazwani, lecz mniej więcej wskazani. Kampania powinna być prowadzona wszelkimi sposobami: przez biura regionalne, za pomocą środków masowej informacji, przez osoby mające coś do powiedzenia tak w całym kraju, jak i w okręgach wyborczych, przez publiczne wystąpienia znanych patriotów, którzy wypowiadaliby się przeciw porozumieniu i jego twórcy - tu niewyraźna aluzja do faceta w Białym Domu.

Gdy w końcu tłum został zaproszony na degustację mięsa z roznów licznie zainstalowanych w parku, co zawdzięczano hojności lokalnego filantropa i patrioty, Plan Crocetta, druga część kampanii, mającej na celu odebranie poparcia Johnowi Cormackowi i zmuszenie go do rezygnacji, był już rozpoczęty.

Quinn i syn prezydenta spędzili w piwnicy niespokojną noc. Pod naleganiem Quinna chłopiec przyjął łóżko, ale nie mógł zasnąć. Siedząc na podłodze, oparty o twardą ścianę Quinn zdrzemnąłby się, gdyby nie pytania Simona.

- Panie Quinn?

- Quinn, zwyczajnie Quinn.

- Widziałeś mojego tatę? Osobiście?

- Jasne. Opowiadał mi o ciotce Emily... i o tym, że twój pies nazywał się Mr Spot.

- Jak się czuł?

- Doskonale. Rzecz jasna, martwił się. To było już po tym, jak cię porwali.

- A widziałeś mamę?

- Nie. Był u niej akurat lekarz Białego Domu. Denerwowała się, ale miała się dobrze.

- Czy oni wiedzą, że nic mi się nie stało?

- Jakies dwa dni temu zawiadomiłem ich, że żyjesz. Spróbuj zasnąć.

- Dobrze... Jak myślisz, kiedy się stąd wydostaniemy?

- To zależy. Mam nadzieję, że rankiem oni stąd zwieją. Jeśli po dwunastu godzinach zadzwonią na policję, to parę minut później zjawią się tu angielscy policjanci. To zależy od Zacka.

- Zacka? Tego ich przywódcy?

- Uhm.

O drugiej nad ranem wyczerpanemu nerwowo chłopcu skończyły się pytania i zasnął. Quinn zachowywał przytomność nadsluchując zduszonych odgłosów na górze. Dochodziła czwarta rano, kiedy trzykrotnie zastukano do drzwi.

Simon poderwał się z łóżka i szepnął:

- Kaptury.

Wciągnęli na głowy kaptury uniemożliwiające im zobaczenie swych prześladowców. Gdy już nic nie widzieli, do piwnicy wkroczył Zack z dwójką mężczyzn. Nieśli kajdanki. Zack zrobił ruch głową w stronę więźniów. Zostali odwróceny, po czym skrupowano im z tyłu ręce.

Nie mogli oczywiście wiedzieć, że sprawdzanie diamentów skończyło się po północy - ku zadowoleniu Zacka i jego kumpli. Cała czwórka spędziła noc na dokładnym porządkowaniu domu. Należało przetrzeć wszystkie powierzchnie z odciskami ich palców, zlikwidować wszelkie ślady. Nie zadali sobie jednak trudu, by usunąć z piwnicy rozkładane łóżko i łańcuch, którym Simon przez trzy tygodnie był do niego przypięty. Chodziło nie o to, żeby nie rozpoznano tego miejsca jako kryjówki porywaczy, lecz o to, żeby nie domyślano się, kim oni są.

Odczepiono Simonowi łańcuch opasujący w kostce jego nogę i poprowadzono ich na górę, przez dom i w dół do garażu. Volvo już czekało. Do bagażnika porywacze załadowali swe torby. Quinna pchnięto na tylne siedzenie, po czym zepchnięto na podłogę, a następnie przykryto kocem. Nie było mu wygodnie, ale nie tracił optymizmu.

Gdyby porywacze zamierzali ich obu zabić, najlepszym do tego miejscem byłaby piwnica. Quinn proponował kidnaperom, żeby ich tu zostawili, skąd uwolniłaby ich policja po otrzymaniu telefonu z zagranicy. Widać miało być inaczej. Domyślił się, że porywacze nie chcą, by ich kryjówka została zdekonspirowana - w każdym razie jeszcze nie teraz. Leżał skulony na podłodze auta i z trudem oddychał przez grubą kaptur.

Poczuł, że ugięły się poduszki siedzenia - to ponagliano Simona Cormacka do położenia się na tylnym siedzeniu. Jego też przykryto kocem. Dwaj drobniejsi mężczyźni usiedli na brzegu tylnego siedzenia, mając za plecami szczupłe ciało Simona, stopy zaś oparli na Quinnie. Olbrzym zajął miejsce z przodu. Zack usiadł za kierownicą.

Na jego polecenie wszyscy zdjęli maski i bluzy treningowe, a następnie wyrzucili je przez okna na podłogę garażu. Zack włączył silnik i zdalnie uruchomił automat otwierający drzwi. Wyjechał tyłem na podjazd, zamknął garaż, zakręcił w stronę ulicy i ruszył. Nikt ich nie widział. Było jeszcze ciemno, do świtu brakowało dwóch i pół godziny.

Jechali monotennie przez dwie godziny. Quinn nie miał pojęcia, gdzie są ani dokąd się udają. W końcu (potem ustalono, że dochodziła szosta trzydzieści) samochód zwolnił i zatrzymał się. Podczas jazdy nikt nie odezwał się ani słowem. Siedzieli sztywni, wyprostowani, w urzędniczych garniturach z krawatami i milczeli. Kiedy stanęli, Quinn usłyszał, że tylne drzwi bliżej niego otworzyły się. Zabrano stopy z jego ciała. Ktoś za nogi wyciągnął go z auta. Skrępowanymi rękoma poczuł wilgotną trawę. Domyślił się, że leży na skraju drogi. Z trudem podniósł się na kolana, a potem stopy. Usłyszał, że tamci dwaj wracają do samochodu, zatrzasną drzwi.

- Zack! - krzyknął. - A co z chłopcem?

Zack stał obok otwartych drzwi po stronie kierowcy i patrzył na niego ponad dachem samochodu.

- Dziesięć mil dalej - odparł. - Przy drodze, jak ty.

Rozległ się warkot silnika o dużej mocy i chrzęst żwiru pod kołami. Samochód oddalił się. Quinn czuł pod koszulą chłód listopadowego poranka. Niezwłocznie po odjeździe samochodu zabrał się do pracy.

Swą formę zawdzięczał harówce w winnicach. Miał wąskie biodra, jak o piętnaście lat młodszy, długie ręce. Kiedy kajdanki ruszyły się, napiął ścięgna nadgarstków, żeby zostało puste miejsce po ich rozluźnieniu. Zsunąwszy kajdanki tak nisko, na ile się dało, przesunął swe skute dłonie pod siedzenie. Wtedy opadł na trawę i przesunął dłonie pod kolana, a zrzuciwszy buty przełożył przez nie po kolei obie nogi. Mając dłonie z przodu ściągnął kaptur. Prosta wąska droga ciągnęła się daleko i o tej wczesnej porze była całkiem opustoszała. Wciągnąwszy do płuc duży łyk świeżego chłodnego powietrza, rozejrzał się za jakimiś zabudowaniami. Zupełne pustkowienie. Wsunął stopy w buty, wstał i pobiegł truchtem brzegiem drogi w kierunku, w którym odjechał samochód.

Jakieś trzy kilometry dalej po lewej stronie szosy ujrzał warsztat samochodowy ze staroświecką pompą benzynową i kantorkiem. Wystarczyły trzy kopniaki, żeby drzwi ustąpiły. Na półce za krzesłem, należącym zapewne do faceta obsługującego pompę, stał telefon. Quinn oburącz podniósł słuchawkę, przysunął ucho, by sprawdzić, czy jest sygnał, położył ją, nakręcił 01, czyli kierunkowy Londynu, a następnie numer specjalnej linii w mieszkaniu na Kensingtonie.

W Londynie na trzy sekundy zapanował chaos, po czym machina nabrała właściwego tempa. Angielski technik w centrali telefonicznej na Kensingtonie wyskoczył z fotela i rzucił się do szukania "spięcia" z połączonym numerem. Zajęło mu to dziewięć sekund.

W podziemiach ambasady amerykańskiej pełniący służbę facet z wywiadu elektronicznego ELINT wrzasnął, gdy czerwona ostrzegawcza lampka zaświeciła mu w twarz, a w słuchawkach zadźwięczał dzwonek. Kevin Brown, Patrick Seymour i Lou Collins zerwali się z prycz, na których drzemali, i podbiegli do urządzenia nasłuchowego.

- Przerzuć dźwięk na głośnik - warknął Seymour.

W mieszkaniu na ulubionej kanapie Quinna, obok której stał aparat linii specjalnej, spała Sam. McCrea drzemał w fotelu. W ten sposób spędzali już drugą noc.

Dzwonek telefonu wyrwał Sam ze snu, ale jeszcze przez dwie sekundy nie mogła sobie uświadomić, który z aparatów wydaje ten dźwięk. W końcu się zorientowała widząc pulsowanie czerwonej lampki. Podniosła słuchawkę w trakcie trzeciego dzwonka.

- Tak?

- Sam?

Głęboki głos w słuchawce nie mógł jej mylić.

- Och, Quinn - zawołała. - Co z tobą?

- Pieprz Quinna - wybuchnął nie słyszany przez nią Brown w podziemiach ambasady.
- Co z chłopcem?!

- Wszystko dobrze. Puścili mnie. Simona puszcza za chwilę, a może już to zrobili. Trochę dalej.

- Gdzie jesteś, Quinn?

- Nie wiem. W starym warsztacie przy jakiejś długiej drodze. Nie mogę odczytać numeru na tym telefonie. - Numer w Bletchley - skomentował technik w centrali telefonicznej. - Już go mamy... oto on. Siedemdziesiąt cztery - pięćset jeden.

Jego kolega przekazał go Nigelowi Cramerowi, który spędzał noc w Scotland Yardzie.

- Gdzie to może być, do cholery? - syknął Cramer.

- Jedną chwileczkę... Tutaj. Warsztat przy Tubbs Cross, na A421 między Fenny Stratford a Buckingham.

W tej samej chwili wzrok Quinna padł na plik faktur, na których widniał adres warsztatu. Podyktował go Sam. Sekundę później łączność została przerwana. Sam i Duncan McCrea wybiegli na ulicę, gdzie Lou Collins zostawił samochód CIA na wypadek, gdyby potrzebowali transportu. Ruszyli natychmiast - McCrea za kierownicą. Sam znosem w mapie.

Nigel Cramer i sześciu policjantów wsiedli do dwóch wozów patrolowych i spod Scotland Yardu pomknęli na syrenie obok Whitehallu, potem przez Mali, by wypaść na Park Lane, a z niej na drogę prowadzącą na północ. Jednocześnie z Grosvenor Square ruszyły

pędem dwie limuzyny, wiozące Kevina Browna, Lou Collinsa, Patricka Seymoura oraz sześciu agentów Browna z oddziału FBI w Waszyngtonie.

Szosa A421 na odcinku między Fenny Stratford a oddalonym o dwanaście mil miasteczkiem Buckingham biegnie prosto, przecinając rozległy rolniczy płaskowyż urozmaicony z rzadka kępami drzew; nie ma tu żadnych miast ani wiosek. Quinn biegł wolno w kierunku zachodnim, bo tam odjechał samochód. Pierwsze promienie dziennego światła zaczynały już przeciskać się przez szare chmury, dając widzialność, która stopniowo wydłużyła się do trzystu metrów. Quinn dojrzał w mroku biegnącą ku niemu chudą postać i jednocześnie usłyszał warkot samochodów zbliżających się prędko z tyłu. Odwróciwszy głowę zobaczył jeden z dwóch brytyjskich samochodów policyjnych, dwie czarne amerykańskie limuzyny, które go właśnie wyprzedzały, za nimi nie oznakowany samochód Agencji. W pierwszym z aut dostrzeżono go i zaczęto zwalniać; droga była wąska, więc i pozostałe samochody musiały przyhamować.

Nikt natomiast nie zauważył tamtej kołyszącej się na boki sylwetki. Simon Cormack też zdołał przełożyć ręce i przebiegł już pięć mil, podczas gdy Quinn pokonał tylko cztery i pół. Ale Simon nie szukał telefonu. Osłabiony przebywaniem w zamknięciu, oszołomiony odzyskaniem wolności biegł powoli, zataczając się. Pierwszy z samochodów ambasady zrównał się z Quinem.

- Gdzie chłopiec? - wrzasnął Brown z tylnego siedzenia.

Nigel Cramer wykrzyknął to samo wychylając się z czerwono-białego służbowego auta. Quinn przystanął, nabrał powietrza w płuca i wykonał głową ruch do przodu.

- Tam - wysapał.

I dopiero wtedy go dojrzel, i wyskoczyli z samochodów. Tak Amerykanie, jak i brytyjscy policjanci rzucili się biegiem w stronę oddalonej o dwieście jardów postaci. Samochód Sam Somerville i McCrea gwałtownie zahamował przy Quinie.

Quinn stał, bo zrobił już, co do niego należało. Poczł, że Sam chwyciła go za rękę. Coś powiedziała, ale potem nie umiał sobie przypomnieć co.

Na widok zbliżających się wybawicieli Simon Cormack zwolnił, zatrzymał się. Już nawet sto jardów nie dzieliło go od policjantów obu państw, gdy poniósł śmierć.

Świadcowie opowiadali później, że oślepiający biały błysk trwał kilka sekund. Uczni stwierdziliby, że faktycznie były to trzy milisekundy, ale siatkówka oczna rejestruje taki błysk dłużej. Zawirowanie powietrza towarzyszące błyskowi trwało pół sekundy i otoczyło całą słaniającą się na nogach postać.

Czterech świadków, było nie było doświadczonych mężczyzn, których niełatwo przestraszyć, musiało się poddać potem leczeniu. Opowiadali, że ciało młodzieńca zostało gwałtownie poderwane i ciśnięte dwadzieścia jardów w ich stronę; lecąc, a potem tocząc się z bezwładnie rozrzuconymi kończynami przypominało szmacianą lalkę. Wszyscy poczuli napór fali uderzeniowej.

Większość po zastanowieniu się przyznawała, że wszystko, tak w trakcie morderstwa, jak i potem, działo się niby na zwolnionym filmie. Wspomnienia wracały powoli i we fragmentach, cierpliwi śledczy zaś wysłuchiwali i zapisywali je, by w końcu otrzymać sekwencję nakładających się częściowo obrazów.

Skamieniały, biały jak prześcieradło Nigel Cramer powtarzał w kółko: „O Boże, mój Boże...” Mormon, agent FBI, ukląkł i się modlił. Sam Somerville pisnęła i rozpląkała się wtulając twarz w plecy Quinna. Za nimi Duncan McCrea upadł na kolana nad rowem i z rękoma głęboko w wodzie wymiotował żółcią.

Quinna zapamiętano, jak nieruchomy, otoczony ludźmi, patrzył na drogę, kręcił głową z niedowierzaniem i mruczał: „Nie, nie...”

Wywołaną szokiem inercję przełamał wreszcie siwowłosy angielski sierżant, ruszając ku leżącym w odległości sześćdziesięciu jardów skręconym zwłokom. Za nim podążyło kilku facetów z FBI, między nimi blady i trzęsący się Kevin Brown, potem Nigel Cramer i trzech funkcjonariuszy Scotland Yardu. Popatrzyli na ciało w milczeniu, po czym zawód i rutyna wzięły górę.

- Proszę opuścić teren - polecił Nigel Cramer tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Proszę ostrożnie stawiać kroki. Wrócili do samochodów.

- Sierżancie, proszę połączyć się z Yardem. Równy za godzinę chcę tu mieć głównego specjalistę od materiałów wybuchowych, fotografów, lekarzy sądowych - najlepszy zespół z Fulham. Wy - zwrócił się do funkcjonariuszy w drugim samochodzie - pojedziecie w górę i w dół drogi. Zablockujecie ją z obu stron. Postawcie na nogi tutejszych chłopców. Żądam barier przed warsztatem i za Buckingham. Aż do odwołania nikomu nie wolno tu wchodzić bez mojego zezwolenia.

Policjanci wyznaczeni do przejęcia kontroli nad odcinkiem drogi znajdującym się za ciałem, nie chcąc czegoś zdeptać, obeszlili kawałek łąką, a potem zaczęli biec po szosie, by zatrzymać nadjeżdżające pojazdy. Samochód z drugą ekipą udał się na zachód w kierunku warsztatu przy Tubbs Cross, by zablokować przejazd z tamtej strony. Samochód pierwszej ekipy był potrzebny do utrzymania łączności radiowej.

W przeciągu sześćdziesięciu minut policja za pomocą stalowych barierek zamknęła drogę od Buckingham na zachodzie po Bletchley na wschodzie. Tamtejsi policjanci zorganizowali blokadę, mającą na celu zatrzymywanie jakichś ciekawskich, którym przyszłoby do głowy dostać się tu od strony pół. Przynajmniej raz można było coś zrobić bez asysty prasy. Zamknięto drogę aż do przerwanej magistrali wodnej, uniemożliwiając dostęp reporterom z pobliskich miasteczek.

W przeciągu pięćdziesięciu minut pojawił się nad polami, sprowadzony przez radio w samochodzie, helikopter Scotland Yardu. Zawisnąwszy nad szosą wysadził podobnego do ptaka człowieczka, znanego jako doktor Barnard, pełniącego w Yardzie funkcję głównego specjalisty od materiałów wybuchowych. Dzięki zamachom bombowym IRA dokonywanym na terenie Wielkiej Brytanii przebadał więcej eksplozji, niżby pewnie chciał. Oprócz "czarodziejskiej skrzynki", jak ją lubił nazywać, towarzyszyła mu sława cudotwórcy.

O doktorze Barnardzie mówiono, że na podstawie słabo widocznych przez szkło powiększające kawałeczków potrafi określić nie tylko bombę, ale i fabrykę, w której wyprodukowano jej części, oraz człowieka, który je złożył. Przez kilka minut słuchał relacji Nigela Cramera, po czym pokiwał głową i zaczął wydawać rozkazy swym ludziom, którzy właśnie nadlecieli dwoma kolejnymi helikopterami. Byli to pracownicy laboratoriów medycyny sądowej w Fulham.

Z kamiennym spokojem przystąpili do swych zadań uruchamiając maszynę kryminalistyki.

Jakiś czas wcześniej do Quinna podszedł Kevin Brown, dokonawszy oględzin zwłok Simona Cormacka. Na jego szarej twarzy malował się szok i wściekłość.

- Ty draniu - warknął. Obaj jednakowo wysocy, stali oko w oko. - To twoja wina. W ten czy inny sposób przyczyniłeś się do tego. Zapłacisz za to, już ja tego dopilnuję.

Cios, który po tym nastąpił, był zaskoczeniem dla dwóch młodych agentów z FBI, którzy chwycili Browna za ręce, by go uspokoić. Quinn zapewne widział spadającą nań pięść, lecz nie zrobił uniku. Mając ciągle skute kajdankami ręce, dostał prosto w szczękę. Uderzenie było tak silne, że rzuciło go do tyłu: głową trafił w krawędź dachu stojącego za nim samochodu i stracił przytomność.

- Wsadźcie go do auta - mruknął Brown, odzyskawszy panowanie nad sobą.

Amerikanów Cramer nie mógł zatrzymać. Seymoura i Collinsa chronił immunitet dyplomatyczny, więc kwadrans później pozwolił im wszystkim wsiąść do aut i odjechać do Londynu; zastrzegł jednak, że Quinn, który nie był nietykalny, będzie musiał złożyć wyczerpujące zeznanie. Seymour dał mu słowo, że Quinn pozostanie do jego dyspozycji. Gdy

odjechali, Cramer połączył się z sir Harrym Marriottem w jego domu, by przekazać mu wiadomość - zrobił to przez telefon w warsztacie, uważając, że jest mimo wszystko bezpieczniejszy niż policyjna krótkofalówka.

Polityk był wstrząśnięty do głębi. Ale nie przestał być politykiem.

- Panie Cramer, czy my, jako rząd brytyjski, jesteśmy w to jakoś zamieszani?

- Nie, panie ministrze. Od momentu ucieczki Quinna z mieszkania stało się to jego sprawą. Przeprowadził ją wedle własnego widzimisie, nie angażując w to ani nas, ani swych ludzi. Postanowił zagrać na własną rękę i przegrał.

- Rozumiem - odparł minister spraw wewnętrznych. - Natychmiast zawiadomię panią premier o wszystkich aspektach. - powiedział mając zapewne na myśli to, że przedstawiciele rządu brytyjskiego nie maczali w tym palców. - Za wszelką cenę niech pan trzyma z daleka dziennikarzy. W najgorszym wypadku będziemy zmuszeni powiedzieć, że Simon Cormack został odnaleziony martwy. Ale jeszcze nie teraz, i proszę informować mnie o najmniejszych nawet postępach śledztwa.

Tym razem wieści pochodziły z własnych źródeł Waszyngtonu w Londynie. Patrick Seymour połączył się bezpieczną linią bezpośrednio z wiceprezydentem Odellem, który chętnie przyjął telefon mimo wczesnej pory - w Waszyngtonie była piąta rano - sądząc, że dzwoni agent FBI z wiadomością o uwolnieniu Simona Cormacka. Kiedy wysłuchał Seymoura, zrobił się szary na twarzy.

- Ale jak to? Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

- Nie wiemy, sir - powiedział głos z Londynu. - Dzieciak był bezpieczny i zdrowy, gdy go puścili. Był już blisko nas, brakowało tylko dziewięćdziesięciu jardów, kiedy się to zdarzyło. Nawet nie wiemy, co „to” było. On nie żyje, panie wiceprezycencie. Komitet został zwołany w przeciągu godziny. Jego członkom zrobiło się niedobrze, gdy usłyszeli, co się stało. Kto powie prezydentowi? Obowiązek ten spadł na przewodniczącego komitetu, Michaela Odella; dwadzieścia cztery dni wcześniej do niego skierowano: „Odzyskaj mojego syna”. Z ciężkim sercem wyruszył z zachodniego skrzydła do Rezydencji.

Prezydenta Cormacka nie musiano budzić. Przez ostatnie trzy i pół tygodnia mało sypiał, często budził się przed nastaniem dnia; siedł wówczas do prywatnego gabinetu, gdzie próbował skoncentrować uwagę na sprawach państwowych. Na wiadomość, że wiceprezydent chciałby się z nim widzieć, prezydent Cormack oświadczył, że przyjmie go w Żółtym Pokoju Ovalnym.

Żółty Pokój Ovalny jest przestronną salą recepcyjną na drugim piętrze między gabinetem a Salą Podpisywania Układów. Za jej oknami wychodzącymi na zieleńce

Pennsylvania Avenue znajduje się Balkon Trumana. Tu - pod kopułą i nad Portykiem Południowym wypada geometryczny środek Rezydencji.

Stojąc na środku z twarzą zwróconą ku drzwiom prezydent Cormack czekał na Odella. Odell milczał, nie potrafił się zmusić do wyjawienia celu swej wizyty. Wyraz oczekiwania na twarzy prezydenta zniknął.

- Co powiesz, Michael? - zapytał bezbarwnie.

- On... Simon... został odnaleziony. Obawiam się, że nie żyje. Prezydent Cormack ani drgnął. Gdy wreszcie przemówił, jego głos był cichy, wyraźny, pozbawiony emocji.

- Zostaw mnie, proszę.

Odell odwrócił się i wyszedł do Głównego Holu. Zamknawszy drzwi, zamierzał skierować się ku schodom, kiedy z tyłu dobiegł go przeciągły jęk, taki, jakie wydają śmiertelnie ranione zwierzęta. Wzdrygnawszy się, ruszył przed siebie.

Człowiek z ochrony, Lepinsky, siedzący przy biurku pod ścianą na końcu holu trzymał podniesioną słuchawkę.

- To premier Wielkiej Brytanii, panie wiceprezydencie - powiedział.

- Odbiorę. Halo, tu Michael Odell. Tak, pani premier, właśnie mu powiedziałem. Nie, madame, on nie przyjmuje teraz żadnych telefonów. Absolutnie żadnych.

W słuchawce nastąpiła cisza.

- Rozumiem - odrzekła po chwili. - Czy ma pan papier i ołówek? Odell poprosił o nie gestem Lepinsky'ego, który podał mu swój służbowy notes. Odell zapisał, o co go proszono.

Karteczkę dostarczono prezydentowi Cormackowi w czasie, kiedy większość mieszkańców Waszyngtonu, nieświadoma niczego, przygotowywała śniadanie. Prezydent, ciągle w jedwabnym szlafroku, patrzył z okien swego biura na szary poranek. Jego żona spała: miała się dowiedzieć dopiero po przebudzeniu. Po wyjściu służącego pokiwał głową i rozłożył karteczkę z notesu Lepinsky'ego.

II. Samuel. 18,33 - tylko tyle na niej było.

Po kilku minutach wstał i podszedł do półki, na której trzymał kilka osobistych książek, między innymi rodzinną biblię podpisaną przez ojca, a wcześniej jeszcze przez dziadka i pradziadka. Odnalazł wersy na końcu Drugiej Księgi Samuela:

Wtedy król zadrzał i wstąpiwszy do górnej komnaty nad bramą zaczął płakać, i chodząc tam i z powrotem tak wołał: Synu mój, Absalomie! Synu mój, synu mój, Absalomie! Obym to ja bym umarł zamiast ciebie! Absalomie, synu mój, synu mój!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Doktor Barnard nie skorzystał z usług stu młodych policjantów, jakie zaoferowała policja Obszaru Doliny Tamizy chcąc pomóc w tropieniu śladów na drodze i poboczach. Uznał, że masowe poszukiwania są właściwe, gdy ktoś chce odnaleźć ukryte ciało zamordowanego dziecka czy nawet narzędzie zbrodni w rodzaju noża, pistoletu czy pałki. Tu jednak potrzebna była raczej sprawność, cierpliwość i wyjątkowa delikatność. Posłużył się zatem tylko swymi wyszkolonymi specjalistami z Fulham.

Specjaliści odgradzili taśmą okrąg o promieniu pięćdziesięciu jardów od miejsca eksplozji. Okazało się to przesadą - wszystkie ślady mogące stanowić dowody rzeczowe znaleziono ostatecznie w promieniu piętnastu jardów. Dosłownie na łokciach i kolanach ludzie Barnarda przeczesywali każdą piędź wyznaczonego terenu, trzymając szczypczyki i plastikowe torebki w pogotowiu.

Każdy najdrobniejszy fragment tkaniny czy skóry podnoszono i wkładano do torebki. Do niektórych były przyklejone włosy, kawałeczki tkanek czy inne strzępki. Zbierano pomazane krwią łodygi trawy. Za pomocą wysokoczułych detektorów metalu zbadano każdy centymetr kwadratowy nawierzchni drogi, rowów przydrożnych i okolicznych pól, co dało oczywisty plon w postaci gwoździ, puszek, zardzewiałych śrub, nakrętek, sworzni oraz zardzewiałego lemiesza.

Na sortowanie i badania miała dopiero nadejść pora. Osiem wielkich plastikowych kubłów na śmieci załadowano polietylenowymi woreczkami i odesłano helikopterem do Londynu. Owalny obszar, poczynając od miejsca, w którym Simon Cormack stał, gdy zginął, aż do punktu, do którego potoczyło się jego ciało - w centrum większego kręgu - potraktowano ze szczególną troskliwością. Ciało pozwolono ruszyć z miejsca dopiero po czterech godzinach.

Przedtem jednak sfotografowano je ze wszystkich możliwych stron, w planie ogólnym, szczegółowym i zbliżeniu, i dopiero gdy obejrzano każdy skrawek darniny wokół zwłok, kiedy pozostało do zbadania tylko to, co mogło znajdować się pod samym ciałem, dopiero wówczas doktor Barnard zezwolił ludziom zbliżyć się do niego.

Rozpostarto plastikowy worek na zwłoki, na którym złożono to, co zostało z Simona Cormacka, po czym zawinięto brzegi, zasunięto zamek i złożono worek na noszach. Nosze podwieszono pod helikopterem, który miał je przetransportować na sekcję.

Śmierć nastąpiła na terenie Buckinghamshire, jednego z trzech hrabstw składających się na rewir działania policji Obszaru Doliny Tamizy, i tak oto po śmierci Simon Cormack powrócił do Oksfordu, do Kliniki Radcliffe, której wyposażenie dorównuje nawet sprzętowi w Guy's Hospital w Londynie.

Z tego zaś szpitala przybył kolega po fachu i osobisty przyjaciel doktora Barnarda, człowiek, który przy wielu sprawach współpracował z głównym specjalistą od materiałów wybuchowych Scotland Yardu i nawiązał z nim bliskie kontakty profesjonalne. Wielu uważało ich nawet za stały zespół, choć zajmowali się różnymi dyscyplinami. Doktor Ian Macdonald był starszym konsultantem z dziedziny patologii w Guy's Hospital, biegłym patologiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, i Scotland Yard zawsze korzystał z jego usług, jeśli tylko dr Macdonald był pod ręką. On to właśnie miał zająć się sekcją zwłok Simona Cormacka w Radcliffe.

W czasie gdy ludzie Barnarda pełnili w trawie nie opodal drogi A421, przez cały dzień trwały gorączkowe konsultacje między Londynem i Waszyngtonem co do tego, jak przekazać stosowny komunikat prasie i światu. Uzgodniono, że oświadczenie wyda Biały Dom, a Londyn natychmiast je potwierdzi. Powie się po prostu, że wymianę uzgodniono w całkowitej tajemnicy, tak jak tego domagali się porywacze, że wypłacono okup (nie mówiąc w jakiej wysokości) i że porywacze nie dotrzymali słowa. Po anonimowym telefonie przedstawiciele władz brytyjskich udali się w określone miejsce przy jednej z dróg w Buckinghamshire, gdzie znaleźli martwego Simona Cormacka.

Nie trzeba dodawać, że korona brytyjska, rząd i naród przekazali najszczerze i najgłębsze wyrazy ubolewania prezydentowi i narodowi amerykańskiemu i że obecnie trwa intensywne śledztwo w celu ustalenia tożsamości i miejsca pobytu oraz aresztowania zbrodniarzy.

Sir Harry Marriott upierał się, by sformułowanie o uzgodnieniu wymiany zawierało dodatkowe pięć słów: "między władzami amerykańskimi a porywaczami" i Biały Dom, choć niechętnie, przystał na to.

- Prasa nas oskalpuje - warknął Odell.

- No, przecież chciałeś Quinna - rzekł Philip Kelly.

- Nie, to wy chcieliście Quinna - rzucił Odell w stronę Lee Alexandra i Davida Weintrauba, którzy również znajdowali się w Pokoju Sytuacyjnym. - A w ogóle gdzie on jest teraz?

- Zatrzymano go - odparł Weintraub. - Brytyjczycy odmówili przekazania go na suwerenne terytorium amerykańskie, czyli do ambasady. Ich ludzie z MI5 wynajęli dom w Surrey. On tam jest.

- Będzie się teraz musiał gęsto tłumaczyć - powiedział Hubert Reed. - Diamenty zniknęły, porywacze też, a ten biedny chłopak nie żyje. Jak właściwie zginął?

- Angole usiłują to ustalić - rzekł Brad Johnson. - Kevin Brown twierdzi, że wygląda to tak, jakby dostał z granatnika stojącego tuż przed nim, tylko że niczego podobnego tam nie znaleziono. Albo jakby wszedł na minę.

- Na pustkowiu obok drogi? - zapytał Stannard.

- Mówiłem już, że sekcja wykaże, co się wydarzyło.

- Kiedy Brytyjczycy skończą go przesłuchiwać, powinniśmy go tu sprowadzić, moim zdaniem - rzekł Kelly. - Musimy z nim porozmawiać.

- Twój zastępca już się tym zajmuje - stwierdził Weintraub.

- Jeśli nie zechce przyjechać, czy możemy zmusić go do powrotu? - zapytał Bill Walters.

- Tak, panie prokuratorze generalny, możemy - odparł Kelly. - Kevin Brown uważa, że Quinn jest jakoś w to wszystko zamieszany. Nie wiemy jak... na razie. Ale jeśli wystawimy wezwanie dla świadka koronnego, moim zdaniem Brytyjczycy wsadzą go w samolot.

- Poczekamy jeszcze dzień i zobaczymy, co oni wymyślą - zakończył Odell.

Oświadczenie Waszyngtonu zostało przekazane o godzinie piątej po południu czasu miejscowego i tak wstrząsnęło Ameryką jak mało co od czasu zamordowania Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga. Prasa, radio i telewizja oszalały, a oliwy do ognia dołała jeszcze postawa rzecznika prasowego Craiga Liptona, który uchylił się od odpowiedzi na dwie setki dodatkowych pytań, jakie zadano. Kto omówił warunki przekazania okupu? Ile tego było? W jakiej postaci? Jak go przekazano? Kto to zrobił? Dlaczego nie podjęto próby aresztowania porywaczy w czasie przekazywania? Czy paczka z pieniędzmi miała urządzenie podsłuchowe? Czy zbyt niezdarnie tropiono porywaczy, którzy w czasie ucieczki zabili chłopaka? W jakim stopniu to władze okazały nieudolność? Czy Biały Dom obwinia Scotland Yard, a jeśli nie, to dlaczego? Dlaczego w ogóle Ameryka nie pozostawiła tego wszystkiego Scotland Yardowi? Czy znane są rysopisy porywaczy? Czy policja brytyjska jest już na ich tropie? Pytania ciągnęły się bez końca. Craig Lipton postanowił absolutnie podać się do dymisji, nim zostanie zlinczowany.

Pora w Londynie była o pięć godzin późniejsza niż w Waszyngtonie, ale i tu reakcja była podobna; wieczorne programy telewizyjne przerwano, by podać wiadomość z ostatniej

chwili. Naród był oszołomiony. Po kilku chwilach centrale telefoniczne Scotland Yardu, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, siedziby premiera i ambasady amerykańskiej zostały kompletnie zablokowane licznymi telefonami. Ekipy dziennikarskie, które około dziesiątej wieczór miały właśnie udać się do domów, zatrzymano w redakcjach, by przygotowały specjalne wydania na piątą rano. Do świtu reporterzy oblegali Klinikę Radcliffe, Grosvenor Square, Downing Street i Scotland Yard. W wynajętych helikopterach krążyli nad pustym odcinkiem drogi między Fenny Stratford i Buckingham, fotografując pusty asfalt i ostatnie zapory nie usunięte jeszcze przez policję.

Niewiele osób spało tej nocy. Na osobistą prośbę o pośpiech ze strony samego sir Harry'ego Marriotta doktor Barnard i jego zespół pracowali do samego rana. Doktor ostatecznie odjechał z miejsca eksplozji o zmroku, pewien, że nic więcej już tam nie znajdzie. Po dziesięciu godzinach poszukiwań ów trzydziestojardowy okrąg był najczystszy miejscem w Anglii, a to, co z niego zabrano, spoczywało wewnątrz szarych plastikowych bębnow stojących rzędem pod ścianą laboratorium doktora Barnarda. Obecnie jego zespół czekała mikroskopowa noc.

Nigel Cramer spędził tę noc w pustym pokoju, znajdującym się wewnątrz tudoriańskiego pałacyku położonego w samym sercu Surrey, osłoniętego od strony drogi przez pasmo drzew. Pomimo eleganckiego wyglądu zewnętrznego stary dom dobrze nadawał się do przesłuchań. Brytyjska Służba Bezpieczeństwa wykorzystywała swe piwnice jako miejsce szkolenia specjalistów od takich delikatnych spraw.

Brown, Collins i Seymour przybyli na swoją własną prośbę. Cramer nie sprzeciwiał się - sir Harry Marriott przekazał mu polecenie, iż ma współpracować z Amerykanami przy każdej możliwej okazji, i tak zresztą wszelkie informacje, jakie wyjawilby Quinn, zostałyby przekazane obu rządowi. Na stojącym obok przesłuchujących stole taśmy w kilku magnetofonach wypełniały się zeznaniami.

Quinn miał z boku szczęki podłużny, wyraźny siniec, a z tyłu głowy guza i plaster. Wciąż był w tej samej koszuli, teraz już brudnej, oraz w spodniach. Buty mu odebrano, podobnie jak pasek i krawat. Był nie ogolony i wyglądał na wyczerpanego. Jednak na pytania odpowiadał spokojnie i wyraźnie.

Rozpoczął Cramer: Dlaczego Quinn opuścił mieszkanie na Kensingtonie? Quinn wyjaśnił. Brown obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Czy miał pan jakiś powód, panie Quinn, by przypuszczać, że jakaś nieznana osoba lub osoby mogłyby dokonać próby przeszkodzenia w przekazaniu okupu i tym samym stworzyć niebezpieczeństwo dla życia Simona Cormacka?

Nigel Cramer formułował pytania jak w podręczniku.

- Instynkt - odparł Quinn.

- Tylko instynkt, panie Quinn?

- Czy ja mogę panu zadać pytanie, panie Cramer?

- Nie obiecuję, że na nie odpowiem.

- Ta walizeczka z diamentami - w niej był podsłuch, prawda? Za odpowiedź wystarczyła mu reakcja czterech mężczyzn siedzących w pokoju.

- Gdybym zjawił się z czymś takim na jakiegokolwiek wymianie - powiedział Quinn - oni by to wykryli i zabili chłopaka.

- I tak go zresztą zabili, cwaniaku - warknął Brown.

- Owszem - odparł ponuro Quinn. - Przyznaję, że się nie spodziewałem, że do tego dojdzie.

Cramer polecił Quinnowi, by wrócił do opisu wydarzeń od momentu opuszczenia mieszkania. Quinn powiedział o Marylebone, o nocy spędzonej w hotelu, o warunkach spotkania przedstawionych przez Zacka i o tym, jak on sam ledwie zdążył. Najcenniejszą informacją dla Cramera był opis spotkania w opuszczonej fabryce. Quinn określił typ samochodu - limuzyna Volvo - i podał numer rejestracyjny; obaj mężczyźni doszli do wniosku, że na tę okazję zmieniono tablice rejestracyjne, a potem przywrócono stare. Podobnie postąpiono z naklejką opłaty podatku drogowego na przedniej szybie. Porywacze byli bardzo dokładni.

Mógł ich opisać tylko tak, jak ich widział; zamaskowanych, w bezkształtnych dresach. Jednego nie widział w ogóle; tego, którego pozostawili w kryjówce, by na sygnał telefoniczny lub w przypadku nieobecności jego kolegów o określonej porze zabił Simona Cormacka. Opisał sylwetki dwóch mężczyzn, których widział wyprostowanych; Zacka i strzelca. Wzrost średni, budowa średnia. Niestety.

Zidentyfikował pistolet maszynowy typu Skorpion i oczywiście magazyn Babbidge. Cramer wyszedł z pokoju, by zatelefonować. Inna ekipa kryminologów z Fulham badała magazyn przed świtem i spędziła tam cały ranek. Poszukiwania dały w rezultacie marcepanową kulkę oraz ślady opon doskonale odcisnięte w kurzu. Będą one pasowały do porzuconego samochodu marki Volvo, ale ten zostanie znaleziony dopiero za dwa tygodnie.

Szczególnie interesowano się domem użytym przez porywaczy. Żwirowy podjazd - Quinn słyszał chrzęst żwiru - długości około dziesięciu jardów od bramy do garażu, automatyczne otwieranie drzwi, garaż połączony z domem, który miał ponadto wybetonowaną piwnicę - pośrednicy handlu nieruchomościami mogli pomóc w identyfikacji.

Ale co się tyczy kierunku - żadnych danych. Pierwszy raz wieziono go w bagażniku, natomiast za drugim razem leżał z zakrytymi oczyma na podłodze samochodu. Czas jazdy: pierwszy raz - półtorej godziny, drugi - dwie. Jeśli kluczyli, dom może być gdziekolwiek: w samym centrum Londynu albo do pięćdziesięciu mil w dowolną stronę.

- Nie możemy postawić mu żadnych zarzutów, panie ministrze - Cramer zdawał sprawozdanie szefowi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych następnego dnia rano. - Nie możemy go nawet już dłużej trzymać. Moim zdaniem zresztą, nie powinniśmy. Nie sądzę, aby miał coś wspólnego z tą śmiercią.

- Ale dokładnie spieszył całą sprawę - burknął sir Harry. Gabinet premiera uporczywie żądał nowych śladów.

- Tak to wygląda - odparł zastępca komisarza Scotland Yardu. - Ale jeśli ci bandyci od początku chcieli zabić chłopaka, a teraz na to wychodzi, mogli przecież to zrobić kiedykolwiek, przed otrzymaniem diamentów lub później, w piwnicy, na drodze czy na jakimś okolicznym bagnisku. A z nim i Quinna. Zagadką jest, dlaczego pozostawili przy życiu tego ostatniego oraz dlaczego najpierw wypuścili chłopca, a potem go zabili. Wygląda to zupełnie, jakby chcieli stać się tym samym najbardziej nienawidzonymi i poszukiwanymi ludźmi na ziemi.

- No, dobrze - westchnął minister spraw wewnętrznych - pan Quinn już nas nie interesuje. Czy Amerykanie nadal go przetrzymują?

- Technicznie rzecz biorąc, jest z nimi z własnej woli - odparł ostrożnie Cramer.

- No więc jeśli chcą, mogą go puścić z powrotem do Hiszpanii. Kiedy tak rozmawiali. Sam Somerville starała się ubłagać Kevina Browna. Byli przy tym Collins i Seymour; wszyscy znajdowali się w eleganckim salonie.

- Po cholere chce go pani oglądać? - pytał Brown. - On już nic nie znaczy, wszystko spaprał.

- Proszę pana - mówiła Sam Somerville - w ciągu tych trzech tygodni stałam się mu bliższa niż ktokolwiek inny. Jeśli coś ukrywa, cokolwiek, może ja to z niego zdołam wyciągnąć.

Brown wyglądał na niezdecydowanego.

- To nie zaszkodzi - odezwał się Seymour. Brown skinął głową.

- On jest na dole. Trzydzieści minut.

Tego popołudnia Sam Somerville wsiadała do samolotu lecącego z Heathrow do Waszyngtonu, gdzie lądował zaraz po zmroku.

Kiedy Sam Somerville startowała z Heathrow, doktor Barnard siedział w swym laboratorium w Fulham i wpatrywał się w mały stosik szczątków zebranych na sztywnej kartce papieru leżącej na biurku. Był bardzo zmęczony. Pracował bez przerwy od pilnego wezwania, jakie zastało go w małym domku w Londynie. Praca w większości wymagała nużącego wysiłku wzroku podczas wpatrywania się w lupę i mikroskop. Kiedy jednak późnym popołudniem przetarł oczy, było to bardziej ze zdziwienia niż ze zmęczenia wzroku.

Wiedział już, co się stało, jak to się stało i jaki był skutek. Ślady na tkaninie i skórze pozwoliły za pomocą analizy chemicznej ustalić dokładny skład chemiczny substancji wybuchowej; zakres działania ognia i fali uderzeniowej wykazał, ile tej substancji użyto, gdzie ją umieszczono i jak odpalono. Brakowało, oczywiście, niektórych elementów tej układanki. Niektórych nigdy się już nie znajdzie, ponieważ wyparowały, zostały utracone na zawsze, przestały istnieć. Inne zostaną wydobyte ze szczątków samego ciała, toteż Barnard znajdował się w stałym kontakcie z Ianem Macdonaldem, który nadal kontynuował prace w Oksfordzie. Wyniki z Oksfordu miały wkrótce nadejść. Doktor Barnard wiedział jednak, czego szuka, choć niewprawnemu oku wydawało się to zaledwie kupką drobnych odłamków.

Niektóre z nich stanowiły pozostałość małej baterijki, pochodzenia ustalonego. Inne to kawałeczki warstwy izolacyjnej z PCW, pochodzenia ustalonego. Kawałeczki drutu miedzianego, pochodzenia ustalonego. A także płatanina poskręcane mosiądzu wprasowanego w coś, co kiedyś było małym, lecz bardzo czułym odbiornikiem impulsów. Nie znalazł jednak zapalnika. Miał stuprocentową pewność, lecz potrzebował pewności dwustuprocentowej. Trzeba będzie chyba wrócić na drogę i zacząć na nowo.

Zza drzwi wyjrzała głowa jednego z asystentów doktora.

- Doktor Macdonald dzwoni z Radcliffe.

Słynny patolog również pracował od minionego popołudnia; postawione przed nim zadanie niektórzy uznaliby za koszarne, lecz dla niego była to istna detektywistyczna fascynacja, pełniejsza niż można byłoby sobie wyobrazić. Całe życie poświęcił swemu zawodowi, do tego stopnia, że zamiast ograniczyć się do badania szczątków ofiar wybuchów, uczestniczył w kursach i wykładach dostępnych tylko niewielu, poświęconych przygotowywaniu i rozbijaniu bomb. Chciał wiedzieć nie tylko tyle, że czegoś szuka, ale także, co to jest i jak wygląda.

Zaczął od dwugodzinnego przyglądania się samym fotografiom, nie dotykając jeszcze zwłok. Następnie ostrożnie zdjął z nich ubranie, nie polegając na asystencie, lecz robiąc wszystko samodzielnie. Najpierw spadły trampki, potem skarpetki. Resztę zdjęto rozcinając

ostrymi nożyczkami, zapakowano w torebki i posłano prosto do Barnarda. Ów odzieżowy plon dotarł do Fulham o świcie.

Kiedy ciało było już obnażone, zrobiono mu zdjęcia rentgenowskie obejmujące cały przekrój. Macdonald przez godzinę przyglądał się zdjęciom i zidentyfikował czterdzieści ciał obcych. Następnie nacierał skórę kleistym proszkiem, dzięki czemu zdołał usunąć kilkanaście drobniotkich cząstek. Niektóre były kawałeczkami trawy i błota; niektóre nie. Następny samochód policyjny zawiózł to ponure żniwo do doktora Barnarda w Fulham.

Macdonald obejrzał ciało z zewnątrz, dyktując swe spostrzeżenia na taśmę swym odmierzonym szkockim zaśpiewem. Ciąg zaczął dopiero tuż przed świtem. Najpierw usunął ze zwłok wszystkie „istotne tkanki”. Okazało się nimi to, co pozostało ze środkowej części ciała, skąd eksplozja wyrwała prawie wszystkie organy, a także dwa dolne żebra aż do samej miednicy. Wycięte strzępy tkanek zawierały drobne odłamki kości - resztki dolnych ośmiu cali kręgosłupa, które przeniknęły przez ciało i otrzewną, by zatrzymać się na przedniej stronie dżinsów chłopca.

Autopsja - ustalenie przyczyny zgonu - nie przedstawiała problemu. Przyczyną były rozległe obrażenia kręgosłupa i jamy brzusznej w wyniku eksplozji. Pełna sekcja zwłok wymagała dalszych ustaleń. Doktor Macdonald kazał wycięte tkanki prześwietlić jeszcze raz na bardziej drobnoziarnistym materiale. Nie było wątpliwości: znajdowały się tam różne drobne cząsteczki, niektóre tak małe, że nie dałoby się ich wydobyć pincetką. Ostatecznie wycinki ciała i kości poddano “trawieniu” w roztworze enzymów, co w rezultacie dało gęstą „zupę” rozpuszczonych ludzkich tkanek, także i kości. Po odwirowaniu zebrano ostatni plon, ostatnią uncję kawałeczków metalu.

Kiedy można je już było badać, doktor Macdonald wybrał największy z nich, ten sam, który dostrzegł na drugim zdjęciu rentgenowskim, głęboko wbity w odłamek kości i zagrzebany w śledzionie chłopca. Przyglądał się mu przez chwilę, gwizdnął przez zęby i zadzwonił do Fulham. Zgłosił się Barnard.

- Miło, że zadzwoniłeś, Ian. Masz coś dla mnie?

- Aha. Jest tu coś, co powinieneś zobaczyć. Jeśli się nie mylę, to coś, czego jeszcze nie widziałem. Myślę, że wiem, co to jest, ale ledwie wierzę własnym oczom.

- Wyślij mi to zaraz wozem patrolowym - powiedział ponuro Barnard.

Dwie godziny później obaj mężczyźni znowu rozmawiali przez telefon. Tym razem zadzwonił Barnard.

- Jeśli myślałeś o tym, o czym, moim zdaniem, myślałeś, miałeś słuszość - powiedział. Barnard miał już swoje dwieście procent.

- i nie może to pochodzić skądinąd? - zapytał Macdonald.

- Nie. To nie może trafić w inne ręce poza producentem.

- Cholera jasna - mruknął cicho patolog.

- Święte słowa, kochany - zgodził się Barnard. - "Wykonać zadanie i zginąć", nie?

Moje sprawozdanie będzie u ministra z samego rana. Możesz zrobić to samo?

Macdonald popatrzył na zegarek. Trzydzieści sześć godzin od chwili, gdy go wezwano. Do rana jeszcze dwanaście.

- "Nie zaśniesz już więcej; Barnard zabija sen" - sparodiował Makbeta. - Dobrze, będzie to miał na biurku przy śniadaniu.

Tego wieczoru przekazał ciało, czy też obie jego części, urzędnikowi koronera. Rankiem oksfordzki koroner będzie mógł otworzyć i zawiesić postępowanie, umożliwiając tym samym wydanie ciała najbliższemu krewnemu, w tym wypadku osobiście ambasadorowi Fairweatherowi, jako przedstawicielowi prezydenta Johna Cormacka.

Kiedy obaj brytyjscy uczeni pisali w nocy swoje sprawozdania, Sam Somerville została przyjęta na własną prośbę przez komitet zgromadzony w Pokoju Sytuacyjnym za zachodnim skrzydłem. Swoją prośbę skierowała uprzednio do samego dyrektora FBI, który po konsultacji telefonicznej z wiceprezydentem Odellem zgodził się wziąć Sam ze sobą.

Kiedy weszła do pokoju, wszyscy już siedzieli. Brakowało tylko Davida Weintrauba, który prowadził rozmowy w Tokio ze swoim tamtejszym odpowiednikiem. Była onieśmielona; ci ludzie stanowili elitę władzy; zazwyczaj widziało się ich tylko w telewizji czy na pierwszych stronach gazet. Wzięła głęboki oddech, uniosła głowę i podeszła do stołu. Wiceprezydent Odell wskazał jej krzesło.

- Proszę usiąść, młoda damo.

- Rozumiemy, że chce pani nas prosić, abyśmy spowodowali zwolnienie pana Quinna - odezwał się prokurator generalny Bill Walters. - Mogę zapytać dlaczego?

- Panowie, wiem, że niektórzy z was mogą podejrzewać, iż pan Quinn jest w jakiś sposób zamieszany w śmierć Simona Cormacka. Proszę was, abyście mi uwierzyli: przez trzy tygodnie w tym apartamencie byłam blisko pana Quinna i wierzę, że szczerze próbował doprowadzić do uwolnienia tego młodego chłopca, tak by ów nie poniósł szwanku.

- Dlaczego więc uciekał? - zapytał Philip Kelly. - Nie odpowiadała mu taka sytuacja, w której jego mniej ważni agenci stają przed komitetem i mówią we własnym imieniu?

- Ponieważ w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przed jego ucieczką zdarzyły się dwa nie kontrolowane przecieki prasowe. Ponieważ spędził trzy tygodnie próbując zdobyć zaufanie tego bydlaka i powiodło mu się. Ponieważ był przekonany, że Zack spłoszy się i

ucieknie, jeśli on sam nie przybędzie do niego samotnie i bez broni, a także bez śledzących go przedstawicieli władz brytyjskich lub amerykańskich.

Żaden z obecnych nie miał wątpliwości, iż mówiąc o „władzach amerykańskich” miała na myśli Kevina Browna. Kelly nachmurzył się.

- Pozostaje jednak podejrzenie, że w jakiś sposób mógł być w to wszystko zamieszany - powiedział. - Nie wiemy jak, ale trzeba to sprawdzić.

- Nie mógł, proszę pana - nie ustępowała Sam. - Jeśli sam by się zgłosił jako negocjator, to może. Ale propozycja, by go poprosić, pochodziła właśnie stąd. On nawet nie chciał iść. A od chwili, gdy pan Weintraub widział go w Hiszpanii, pan Quinn cały czas przebywał w czyimś towarzystwie. Słyszeli panowie każde słowo, jakie wypowiedział do porywaczy.

- Z wyjątkiem tych brakujących czterdziestu ośmiu godzin przed jego zjawieniem się na drodze - wtrącił Morton Stannard.

- Ale po co wówczas wdawałby się w jakieś układy z porywaczami - zapytała - jeśli nie w celu uwolnienia Simona Cormacka?

- Ponieważ dwa miliony dolarów to dużo dla biednego człowieka - podsunął Hubert Reed.

- Jeśli jednak chciałby zniknąć z diamentami - upierała się - szukalibyśmy go do tej pory.

- Hmm... - odezwał się nieoczekiwanie Odell. - W każdym razie poszedł do porywaczy sam i bez broni, tylko z jakąś cholerną marcepanową kulką. Jeśli nie znał ich przedtem, to wykazał się niezłą odwagą.

- A jednak podejrzenia pana Browna mogą mieć pewne podstawy - powiedział Jim Donaldson. - Mógł nawiązać kontakt, zawrzeć umowę. Porywacze zabijają chłopca, pozostawiają Quinna przy życiu, zabierają kamienie. Potem spotykają się ponownie i dzielą łup.

- Po co mieliby to robić? - zapytała Sam, teraz już odważniejsza, skoro wiceprezydent wyraźnie brał jej stronę. - Mieli już diamenty; mogli zabić pana Quinna razem z synem pana prezydenta. A nawet jeśli tego nie zrobili, dlaczego mieliby się z nim dzielić? Czy pan by im zaufał?

Żaden z obecnych nie zaufałby takim ludziom ani przez chwilę. Kiedy myśleli nad tym wszystkim, panowała głęboka cisza.

- Jeśli się go zwolni, dokąd pojedzie? Z powrotem do swej winnicy w Hiszpanii?

- Nie, proszę pana, on chce jechać za nimi. Chce ich wytropić.

- Hej, chwileczkę, agentko Somerville - rzucił z oburzeniem Kelly. - To praca dla Biura. Panowie, obecnie nie mamy już ograniczeń wynikających z konieczności ochrony życia Simona Cormacka. To morderstwo jest karalne wedle naszych praw, podobnie jak tamto, na pokładzie statku *Achille Lauro*. Kierujemy nasze ekipy do Wielkiej Brytanii i na kontynent europejski; mają one zapewnioną współpracę wszystkich narodowych władz policyjnych. Chcemy ich dostać i dostaniemy ich. Pan Brown będzie koordynował wszystkie działania z Londynu.

Sam Somerville zagrała swą ostatnią kartę.

- Ale panowie, jeśli Quinn nie jest w to wszystko zamieszany, to i tak znalazł się bliżej nich niż ktokolwiek inny. Widział ich, rozmawiał z nimi. Jeśli jest zamieszany, to będzie wiedział, dokąd się udać. On może się stać naszym najlepszym tropem. - To znaczy mamy go wypuścić i śledzić? - zapytał Walters.

- Nie, proszę pana, chodzi o to, aby pozwolić mi jechać z nim.

- Młoda damo... - Michael Odell pochylił się naprzód, by lepiej ją widzieć. - Czy pani wie, co pani mówi? Ten człowiek już kiedyś zabijał, zgoda, że w walce - ale jeśli jest w to zamieszany, to może się to dla pani bardzo źle skończyć.

- Wiem o tym, panie wiceprezydencie. O to właśnie chodzi. Wierzę, że Quinn jest niewinny, i jestem skłonna podjąć ryzyko.

- Hmm. Dobrze, proszę nigdzie nie wyjeżdżać, panno Somerville. Damy pani znać. Musimy o tym pomówić... na osobności - powiedział Odell.

Minister spraw wewnętrznych, sir Harry Marriott, spędził niespokojny ranek czytając sprawozdania doktora Barnarda i doktora Macdonalda. Następnie zabrał je do rezydencji premiera. W porze obiadowej był z powrotem w ministerstwie, gdzie czekał na niego Nigel Cramer.

- Widział pan to? - zapytał sir Harry.

- Czytałem kopię, panie ministrze.

- To straszne, całkowicie przerażające. Jeśli się to wydostanie na światło dzienne... Czy wie pan, gdzie jest ambasador Fairweather?

- Tak, ambasador jest w Oksfordzie. Godzinę temu koroner wydał mu ciało. Jak mi się wydaje, samolot prezydencki stoi w bazie w Upper Heyford, skąd zabierze trumnę do Ameryki. Ambasador odprawi zwłoki, a następnie wróci do Londynu.

- Hmm. Poproszę Ministerstwo Spraw Zagranicznych, aby mnie z nim umówiło. A co do tych sprawozdań - żadne kopie nie mogą trafić w niczyje ręce. Obrzydliwa sprawa. Czy są jakieś informacje z pościgu?

- Niewiele, proszę pana. Quinn stwierdził wyraźnie, że żaden z pozostałych dwóch porywaczy nie wypowiedział ani słowa. Możliwe, że są obcokrajowcami. Koncentrujemy się na poszukiwaniach samochodu marki Volvo w głównych portach morskich i lotniczych, z których można się dostać na kontynent. Obawiam się, że mogli się już nam wyśliznąć. Oczywiście nadal trwają poszukiwania domu. Nie ma już potrzeby zachowywania dyskrecji; jeśli pan się zgodzi, dziś wieczorem ogłosimy apel do ludności. Samodzielny dom połączony z garażem, z piwnicą i ze stojącym przed domem samochodem Volvo tego koloru... ktoś musiał coś widzieć.

- Tak, oczywiście. Proszę mnie informować - powiedział minister.

Tego wieczoru w Waszyngtonie bardzo zdenerwowana Sam Somerville została wezwana ze swego mieszkania w Alexandrii do Budynku Hoovera. Skierowano ją do gabinetu Philipa Kelly'ego, szefa wydziału, w którym pracowała, aby tam usłyszała decyzję Białego Domu.

- Dobrze, agentko Somerville, ma pani to, czego pani chciała. Góra zadecydowała, że powróci pani do Anglii i uwolni pana Quinna. Ale tym razem proszę być z nim przez cały czas. I proszę powiadamiać pana Browna, co pan Quinn robi i dokąd się udaje.

- Tak, proszę pana. Dziękuję panu.

Sam zdążyła na lotnisko w sam raz na nocny lot do Heathrow. Odlot został nieco opóźniony: w odległej o kilka mil bazie Andrews lądował samolot prezydencki z ciałem Simona Cormacka. W tym momencie w całej Ameryce wszystkie lotniska przerwały pracę na dwie minuty.

Wylądowała na Heathrow o świcie. Był to świt czwartego dnia od chwili morderstwa.

Tego samego ranka o świcie Irvinga Mossa zerwał dzwonek telefonu. Mógł on pochodzić tylko z jednego źródła - tylko jedno źródło znało jego numer w tym miejscu. Spojrzał na zegarek - czwarta rano, dziesiąta poprzedniego wieczoru w Houston. Zapisał długą listę cen produktów, wszystko w amerykańskich dolarach i centach, usunął zera, które oznaczały odstępstwa między wyrazami informacji, po czym zestawiał pozostałe rzędy cyfr z właściwymi dla danego dnia miesiąca rzędami liter.

Kiedy skończył rozszyfrowywanie, przygryzł policzki. Coś specjalnego, coś, czego nie można było przewidzieć, coś, czym należało się zająć. Bez zwłoki.

Aloysius „Al” Fairweather, jr, amerykański ambasador w Londynie, otrzymał wiadomość przekazaną mu przez brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poprzedniego wieczoru, po tym, jak powrócił z bazy sił powietrznych USA w Upper Heyford. Był to zły, smutny dzień: przekazanie przez koronera oksfordzkiego zezwolenia na odebranie ciała syna

prezydenta, odbiór trumny z miejscowego przedsiębiorstwa pogrzebowego, które starało się jak mogło, niewiele mogąc, oraz wysłanie tragicznego ładunku do Waszyngtonu na pokładzie samolotu prezydenckiego. Ambasador Fairweather piastował swoją funkcję od trzech lat; został mianowany przez nowego prezydenta i wiedział, że do tej pory spisywał się dobrze, choć zawsze stał w cieniu niezrównanego Charlesa Price'a z epoki Reagana. Te jednak ostatnie cztery tygodnie stały się dlań koszmarem, jaki nie powinien być udziałem żadnego ambasadora.

Prośba ministerstwa zaskoczyła go, ponieważ miał się tym razem spotkać nie z ministrem spraw zagranicznych, z którym zwykle się kontaktował, ale z ministrem spraw wewnętrznych, sir Harrym Marriottem. Znał sir Harry'ego, podobnie jak wielu innych ministrów brytyjskich, dostatecznie dobrze, by na stopie prywatnej odrzucać wszelkie tytuły i zwracać się do siebie po imieniu. Ale wizyta w siedzibie ministerstwa w porze śniadaniowej była czymś niezwykłym, a zawiadomienie nie zawierało żadnych wyjaśnień. Długi czarny Cadillac ambasadora wjechał w Victoria Street za pięć dziewięta.

- Mój drogi Al - Marriott powitał go serdecznie, choć za tą serdecznością stała powaga, jakiej wymagały okoliczności. - Chyba nie muszę ci mówić, jak wstrząśnięty jest cały kraj wydarzeniami ostatnich kilku dni.

Fairweather skinął głową. Nie miał wątpliwości, że reakcja rządu i narodu brytyjskiego była szczerą. Od wielu dni kolejka ludzi chcących wpisać się do księgi kondolencji wyłożonej w ambasadzie dwukrotnie okrążyła Grosvenor Square. U szczytu pierwszej strony widniał prosty podpis "Elizabeth R", a dalej kondolencje wszystkich członków gabinetu, obu arcybiskupów, przywódców pozostałych kościołów oraz tysiące nazwisk mniej i bardziej możnych tego świata. Sir Harry podał ambasadorowi dwa oprawne w tekturę egzemplarze sprawozdań doktorów Barnarda i Macdonalda.

- Chciałbym, żebyś to sobie obejrzał na osobności, najlepiej tutaj. Może będziemy musieli o czymś porozmawiać, zanim wyjdiesz.

Sprawozdanie doktora Macdonalda było krótsze; ambasador zajął się nim najpierw. Zgon Simona Cormacka został spowodowany rozległymi obrażeniami kręgosłupa i jamy brzusznej w wyniku wybuchu niewielkiego, lecz skumulowanego ładunku umieszczonego w pobliżu dolnej części pleców. W momencie wybuchu bomba była umieszczona na jego ciele. Sprawozdanie zawierało poza tym techniczne dane dotyczące budowy fizycznej ofiary, stanu zdrowia, ostatniego posiłku i tak dalej.

Doktor Barnard miał więcej do powiedzenia. Bomba, którą Simon Cormack nosił na sobie, została ukryta w szerokim pasie skórzanym, jaki porywacze dali mu w celu podtrzymywania dżinsów, które również mu dostarczyli.

Pas miał trzy cale szerokości i składał się z dwóch pasm skóry zeszytych krawędziami. Z przodu spinała go ciężka, ozdobna klamra mosiężna, długości czterech cali. nieco szersza niż sam pas. Jej dekorację stanowił wizerunek głowy byka. Takie pasy powszechnie sprzedawano w sklepach specjalizujących się w ubiorach i sprzęcie kempingowym w stylu Dzikiego Zachodu. Choć klamra wyglądała na wykonaną z litego metalu, w rzeczywistości była wydrążona.

Materiałem wybuchowym była dwuuncjowa płytką Semtexu, składającego się z 45% PETN, 45% RDX i 10% plastyfikatora. Płytką miała trzy cale długości i półtora cala szerokości; została umieszczona między dwoma pasmami skóry dokładnie na kręgosłupie chłopca.

Wewnątrz plastikowego materiału wybuchowego umieszczono miniaturowy detonator, który później doktor Macdonald znalazł w odłamku kości zagrzebanym w śledzionie. Był zniekształcony, ale nadal można było rozpoznać jego przeznaczenie - i pochodzenie.

Od detonatora prowadził przewód do dołka wydrążonego w podwójnej skórze, gdzie znajdowała się bateria litowa typem i rozmiarami zbliżona do tych, jakie służą do zasilania zegarków elektronicznych. Dalej przewód prowadził do odbiornika impulsowego umieszczonego wewnątrz klamry pasa. Natomiast kolejny przewód, wybiegający z odbiornika, był jego anteną poprowadzoną wzdłuż całego pasa.

Odbiornik impulsowy był zapewne nie większy od pudełka zapalek; odbierał zapewne sygnały o częstotliwości 72,15 MHz wysyłane z niewielkiego nadajnika. Tego oczywiście nie znaleziono na miejscu wypadku, ale wyglądał on z pewnością jak płaskie pudełko z plastyku, mniejsze niż paczka papierosów, z pojedynczym guzikiem, którego naciśnięcie wywoływało detonację. Zasięg - nieco ponad trzysta jardów.

Al Fairweather był wyraźnie wstrząśnięty.

- Mój Boże, Harry, to jest... diabelstwo.

- A przy tym wysoka technika - zgodził się minister. - Żądło jednak tkwi w ogniu; przeczytaj wnioski.

- Ale dlaczego? - zapytał ambasador, gdy w końcu podniósł wzrok. - Na litość boską, Harry, dlaczego? i jak to zrobili?

- Co do tego ostatniego, jest tylko jedno wytłumaczenie. Te bestie udawały, że uwalniają Simona Cormacka. Zapewne odjechali potem nieco, zawrócili i pieszo zbliżyli się do drogi. Z pewnością ukryli się wśród kępy drzew stojących na polu o dwieście jardów od drogi. One są w zasięgu nadajnika. Nasi ludzie badają te drzewa szukając odcisków obuwia.

Co się zaś tyczy powodów, Al, nie wiem. Nikt z nas nie wie. Ale uczeni nie dopuszczają innej możliwości. Na pewno się nie mylą. Na razie proponowałbym, żeby zachować te sprawozdania w absolutnej tajemnicy. Dopóki nie dowiemy się więcej. Szukamy wszelkich wskazówek. Nie wątpię, że wasi ludzie też chcieliby się wszystkiemu przyjrzeć, zanim cokolwiek się opublikuje. Fairweather wstał, zabierając ze sobą swoje egzemplarze sprawozdań.

- Nie będę ich wysyłał kurierem - powiedział. - Sam z nimi polecę dziś po południu.

Minister spraw wewnętrznych odprowadził go do drzwi.

- Zdajesz sobie sprawę, co będzie, jeśli to się rozejdzie? - zapytał.

- Nie musisz tego podkreślać - odparł Fairweather. - Doszłoby do rozruchów. Muszę to dostarczyć Jimowi Donaldsonowi i może Michaelowi Odellowi. Oni będą musieli powiedzieć prezydentowi. Boże, co za historia!

Wynajęty samochód Sam Somerville wciąż stał tam, gdzie go pozostawiła: na krótkoterminowym parkingu lotniska Heathrow. Sam pojechała prosto do dworku w Surrey. Kevin Brown przeczytał przywieziony przez nią list i zapienił się ze złości.

- Robi pani wielki błąd, agentko Somerville - powiedział. - Dyrektor Edmonds też robi błąd. Ten człowiek wie znacznie więcej, niż chce powiedzieć; zawsze wiedział więcej i zawsze będzie. Wolałbym dać sobie rękę uciąć, niż go wypuścić. Powinien teraz lecieć do Stanów - w bransoletkach.

Ale podpis na liście był nie do podważenia. Brown zesłał Moxona do piwnicy, by przyprowadził Quinna. Ten wciąż był w kajdankach, które usunięto już na górze. Poza tym był nie umyty, nie ogolony i głodny. Ekipa FBI zaczęła zwijać swoje manatki i przygotowywać się do przekazania domku właścicielom. U drzwi Brown zwrócił się do Quinna.

- Nie chcę cię więcej widzieć, Quinn. Chyba że za kratkami. I sądzę, że pewnego dnia zobaczę cię za nimi.

W drodze powrotnej do Londynu Quinn milczał, Sam zaś opowiadała mu o wynikach swej podróży do Waszyngtonu oraz o decyzji Waszyngtonu dającej mu wolną rękę, pod warunkiem, że Sam będzie z nim wszędzie jeździć.

- Bądź ostrożny, Quinn. Ci ludzie to istne bestie. To co zrobili temu chłopcu, to przejaw dzikości.

- Gorzej nawet - odparł Quinn. - To nielogiczne, i dlatego nie mogę tego pojąć. Tu nic nie pasuje. Dostali wszystko. Mogli bez kłopotu uciec. Po co wracali, żeby go zabić?

- Ponieważ to sadyści - powiedziała Sam. - Znasz tych ludzi: od lat obracasz się wśród im podobnych. Nie mają litości, współczucia. Uwielbiają zadawać ból. Od samego początku chcieli go zabić...

- Dlaczego więc nie w piwnicy? Dlaczego mnie również nie zabili? Dlaczego nie z pistoletu, nożem albo na stryczku? Dlaczego w ogóle?

- Nigdy się tego nie dowiemy, chyba że ich ktoś znajdzie. A mogą się ukrywać gdziekolwiek na świecie. Dokąd teraz pojedziemy?

- Do mieszkania - odparł Quinn. - Są tam moje rzeczy.

- Moje też - powiedziała Sam. - Do Waszyngtonu leciałam w tym, co mam na sobie.

Jechali na północ, po Warwick Road.

- Za daleko pojechaliśmy - odezwał się Quinn, który znał Londyn równie dobrze jak miejscowy taksówkarz. - Skręć na prawo przy Cromwell Road - to najbliższe skrzyżowanie.

Zatrzymali się na czerwonych światłach. Naprzeciwko stanął długi czarny Cadillac z amerykańskim proporcem. Na tylnym siedzeniu ambasador Fairweather studiował sprawozdanie w drodze na lotnisko. Podniósł wzrok, spojrzał na Quinna i Sam nie poznając ich i ruszył w dalszą drogę.

Duncan McCrea wciąż przebywał w mieszkaniu, jakby został przeoczony w zamieszaniu ostatnich paru dni. Powitał Quinna tak entuzjastycznie jak szczeniak, którego pan powrócił z dalekiej podróży.

Powiedział im, że tego ranka Lou Collins przysłał sprzątaczy. Nie byli to ludzie ze szczotkami i miotłami: usuwali ukryte mikrofony i urządzenia podsłuchowe. Mieszkanie to było już spalone dla CIA, która wobec tego już go nie potrzebowała. Duncanowi polecono w nim pozostać, spakować wszystko, posprzątać i następnego ranka oddać klucze właścicielowi domu. Miał właśnie zacząć pakować ubrania Sam i Quinna, kiedy oni sami nadjechali.

- No więc, Duncan, mamy do wyboru: tutaj albo w hotelu. Możemy tu zostać jeszcze jedną noc?

- Och, oczywiście, nie ma problemu. Bądźcie gośćmi Agencji. Bardzo mi przykro, ale rano musimy opuścić ten dom.

- Może być rano - powiedział Quinn. Korciło go, aby ojcowskim gestem potargać włosy młodego człowieka. Uśmiech Duncana był zaraźliwy. - Potrzebuję się wykapać, ogolić, najeść i przespać z dziesięć godzin.

McCrea poszedł do sklepu pana Patela naprzeciwko i wrócił z dwiema wielkimi torbami. Przygotował befsztyki, frytki i sałatę i postawił dwie butelki czerwonego wina. Quinn zwrócił uwagę na to, że Duncan wybrał hiszpańską Rioję, nie z Andaluzji, ale najbliższą, jaką mógł dostać.

Sam nie miała zamiaru dalej ukrywać swego romansu z Quinem. Poszła do jego pokoju od razu, gdy ten skończył kąpiel, a jeśli McCrea słyszał ich, jak się kochali, no to co? Po drugim razie zasnęła, leżąc na brzuchu, z twarzą wtuloną w jego pierś. Quinn położył jej dłoń na karku; coś zamruczała czując jego dotknięcie.

Jednak pomimo zmęczenia nie mógł spać. Leżał na plecach, jak w ciągu tak wielu poprzednich nocy, i wpatrując się w sufit myślał. Było coś w tych ludziach w magazynie: coś, co mu umknęło. Dopiero nad ranem sobie przypomniał: ten człowiek, który stał za nim, trzymał swego Skorpiona z wyuczoną swobodą, nie z ostrożnym napięciem kogoś, kto nie ma doświadczenia z bronią ręczną. Był zrównoważony, spokojny, pewien siebie, jak ktoś, kto wie, że może wycelować i strzelić w ułamku sekundy. Jego postawa, zachowanie... Quinn widział już taką kiedyś.

- On był żołnierzem - szepnął w ciemności. Sam poruszyła się lekko, ale nadal spała. Było coś jeszcze, coś, co miało miejsce, gdy mijał drzwi samochodu, aby wejść do bagażnika. Ale tego sobie już nie przypomniał i w końcu usnął.

Rano Sam wstała pierwsza i wróciła do swego pokoju, by się ubrać. Duncan McCrea może ją i widział, jak wychodziła od Quinna, ale nie wspominał o tym ani słowem. Bardziej go obchodziło, żeby jego goście zjedli dobre śniadanie.

- Wczoraj wieczorem... zapomniałem o jajkach - zawołał i zbiegł po schodach, aby kupić je w sklepie mleczarskim za rogiem.

Sam przyniosła Quinnowi śniadanie do łóżka. Quinn leżał zamyślony. Sam przywykła już do jego fanaberii, toteż zostawiła go bez słowa. Sprzątacze Lou Collinsa nie spisali się zbyt dobrze: pokoje wypełniały kłęby kurzu po czterech tygodniach bez opieki.

Quinnowi kurz nie przeszkadzał. Przyglądał się pająkowi, który snuł sieć w przeciwnym rogu pokoju. Małe stworzonko pracowicie połączyło ostatnie dwa pasemka doskonałej poza tym sieci, sprawdziło, czy każda nitka jest na miejscu, po czym siadło w środku sieci i czekało, i właśnie ten ostatni ruch pająka pozwolił Quinnowi przypomnieć sobie to, co mu umknęło poprzedniego wieczoru.

Członkowie komitetu w Białym Domu spoglądali na leżące przed nimi egzemplarze sprawozdania doktora Barnarda i doktora Macdonalda. Ich uwagę przykuło przede wszystkim to pierwsze. Jeden po drugim czytali wnioski i zapadali w głęboki namysł.

- Cholerne dranie - odezwał się Michael Odell głosem pełnym emocji. Mówił w imieniu wszystkich obecnych. Ambasador Fairweather siedział przy końcu stołu.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość - zapytał sekretarz stanu Donaldson - że Brytyjcy uczeni się pomylili? Co do pochodzenia?

- Twierdzą, że nie - odparł ambasador. - Zapraszali nas, byśmy przysłali, kogo chcemy, w celu sprawdzenia, ale wnioski są słuszne. Obawiam się, że Brytyjczycy mają rację.

Tak jak powiedział sir Harry Marriott, żądło tkwiło w ogonie: we wnioskach. Wszystkie elementy, jak stwierdził doktor Barnard w pełni poparty przez swych wojskowych kolegów z Fort Halstead - miedziane przewody, ich plastikowa izolacja, Semtex, odbiornik impulsowy, bateria, mosiężna klamra oraz skórzane maskowanie - były produkcji radzieckiej.

Przyznał przy tym, że istnieje możliwość, iż podobne elementy, choć wykonane w Związku Radzieckim, mogły się dostać w ręce obcokrajowców. Lecz *clou* wszystkiego był mikrodetonator. Nie większe od spinacza do papieru, takie miniaturowe detonatory są używane wyłącznie w ramach radzieckiego programu kosmicznego. Służą do odpalania mikroładunków wybuchowych sterujących obiektami kosmicznymi typu Salut i Sojuz przed połączeniem w kosmosie.

- Ale to nie ma sensu - zaprotestował Donaldson. - Dlaczego mieliby to zrobić?

- Znacznie więcej rzeczy w tym całym bałaganie nie ma sensu - powiedział Odell. - Jeśli to prawda, nie widzę możliwości, by Quinn mógł o tym wiedzieć. Wygląda, że cały czas go nabierali, podobnie jak nas wszystkich.

- Powstaje pytanie, co mamy z tym zrobić? - zapytał Reed minister skarbu.

- Pogrzeb jest jutro - odparł Odell. - Najpierw tym się zajmiemy. Potem postanowimy, jak się zachować wobec naszych rosyjskich przyjaciół.

W ciągu minionych czterech tygodni Michael Odell stwierdził, że władza należna pełniącemu obowiązki prezydenta coraz bardziej mu odpowiada. Również ludzie siedzący teraz przy stole zaakceptowali jego przywództwo, zupełnie jakby faktycznie był prezydentem.

- Jak się czuje prezydent - zapytał Walters - po... nowych wiadomościach?

- Według opinii lekarza źle - odrzekł Odell. - Bardzo źle. Samo porwanie nim wstrząsnęło, a śmierć syna i to w taki sposób, była dlań niczym kula w brzuch.

Na słowo "kula" każdemu ze zgromadzonych wokół stołu przyszła ta sama myśl do głowy. Nikt nie odważył się jej wypowiedzieć.

Julian Hayman był w tym samym wieku co Quinn; obaj znali się z czasów, gdy Quinn mieszkał w Londynie i pracował w firmie ubezpieczeniowej specjalizującej się w ochronie i uwalnianiu zakładników. Ich drogi przecięły się, ponieważ Hayman, były major SAS, kierował teraz firmą zaopatrującą zainteresowanych w systemy alarmowe oraz ochronę osobistą. Jego klientela była ekskluzywna, bogata i wielce ostrożna. Należeli do niej ludzie, którzy mieli pełne prawo do podejrzliwości, inaczej nie płaciliby tak wiele za usługi Haymana.

Biuro na Victorii, do którego Quinn zaprowadził Sam późnym rankiem po opuszczeniu mieszkania i pożegnaniu się z Duncanem McCrea, było równie dobrze strzeżone, co dyskretne.

Quinn powiedział Sam, by usiadła w oknie kawiarni w głębi ulicy i poczekała na niego.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą? - zapytała.

- Bo cię nie przyjmie. Może nawet nie będzie się chciał ze mną widzieć. Mam jednak nadzieję, że będzie chciał; znamy się od dawna. Obcych nie lubi, chyba że mu dobrze płacą, a my nie płacimy. Co się zaś tyczy panienek z FBI, stara się ich unikać.

Quinn zaanonsował się przez domofon, wiedząc, że jest obserwowany z góry okiem kamery telewizyjnej. Kiedy drzwi szczęknęły i się otworzyły, przeszedł od razu do gabinetu, obok dwóch sekretarek, które nawet nie podniosły wzroku. Julian Hayman znajdował się w gabinecie na samym końcu parteru. Pokój był równie elegancki, jak jego właściciel. Nie miał okien; Hayman też nie.

- No, no, no - wycedził przez zęby. - Minęło wiele czasu, żołnierzu. - Wyciągnął wiotką dłoń. - Co cię sprowadza do mojego skromnego sklepiku?

- Informacja - odrzekł Quinn. Powiedział Haymanowi, o co chodzi.

- Dawniej, drogi chłopcze, nie byłoby problemu. Ale czasy się zmieniają, kapujesz? Szczerze mówiąc, gadają o tobie, Quinn. *Persona non grata*, mówią w klubie. Nie jesteś przebojem miesiąca, szczególnie wśród twoich przyjaciół. Przykro mi, stary, zaplątałeś się, nie mogę ci pomóc.

Quinn wziął słuchawkę telefonu stojącego na biurku i wcisnął kilka guziczków. W słuchawce rozległ się brzęczyk wywołania.

- Co ty robisz? - zapytał Hayman. Swobodny ton gdzieś zniknął.

- Nikt mnie nie widział, jak tu wchodziłem, ale połowa reporterów mnie zobaczy, jak wychodzę - odparł Quinn.

- *Daily Mail* - rozległo się z telefonu. Hayman wyciągnął rękę i skasował połączenie. Wielu z jego najlepszych klientów to szefowie amerykańskich korporacji na Europę, którym wolałby się zanadto nie tłumaczyć.

- Jesteś świnia, Quinn - powiedział wątłym głosem. - Zawsze byłeś. Dobra, masz dwie godziny w archiwum, ale zamknę cię w środku. Nic nie ma prawa zginąć.

- Czy mógłbym ci zrobić coś takiego? - zapytał serdecznym tonem Quinn. Hayman sprowadził go w dół, do archiwum mieszczącego się w piwnicy.

Częściowo z przyczyn zawodowych, częściowo dla zaspokojenia osobistych zainteresowań Julian Hayman zgromadził w ciągu minionych lat niezwykle wyczerpujące archiwum zbrodniarzy wszelkiej maści. Mordercy, rabusie, gangsterzy, oszuści, handlarze narkotykami i bronią, terroryści, porywacze; zdeprawowani bankierzy, księgowi, adwokaci, politycy i policjanci; żyjący, zmarli, uwięzieni czy po prostu zaginieni bez śladu - wszystkich miał w swoim archiwum, jeśli ich nazwiska ukazały się kiedykolwiek w prasie, a często nawet, jeśli się nie ukazały. Piwnica znajdowała się bezpośrednio pod budynkiem.

- Jakiś szczególny dział? - zapytał Hayman włączając światło. Rzędy kartotek ciągnęły się we wszystkich kierunkach, a zawierały one tylko karty osobowe i fotografie. Główne dane znajdowały się w komputerze.

- Najemnicy - odparł Quinn.

- Jak w Kongo?

- Jak w Kongo, Jemenie, południowym Sudanie, Biafrze, Rodezji.

- Stąd dotąd - powiedział Hayman wskazując dziesięć jardów szafek z kartotekami sięgającymi mu do podbródka. - Stół jest na końcu.

Zadanie zabrało Quinnowi cztery godziny, ale nikt mu nie przeszkadzał. Zdjęcie przedstawiało czterech ludzi, wszyscy biali. Stali przed samochodem terenowym na wąskiej, pylistej drodze, wzdłuż której było widać roślinność wyglądającą na afrykańską. Za nimi dostrzegano się kilkunastu czarnych żołnierzy ubranych w panterki i buty z cholewami. Trzech miało kaski tropikalne. Wszyscy byli uzbrojeni w belgijskie karabiny maszynowe FLN. Panterki miały wzór lamparci ulubiony bardziej przez Europejczyków, a nie przez Brytyjczyków czy Amerykanów, którzy woleli maskowanie w paski.

Quinn wziął zdjęcie do stołu i położył pod lampą; w szufladzie znalazł silne szkło powiększające. Pod nim tatuaż na dłoni jednego z mężczyzn ukazał się wyraźniej pomimo brunatnego zabarwienia starej fotografii. Był to motyw pajęczej sieci z pająkiem w jej środku, wytatuowany na wierzchu lewej dłoni.

Dalej przeglądał kartoteki, ale nie znalazł już nic interesującego. Nic mu nie świeciło. Nacisnął guzik, by go wypuszczono.

W gabinecie Julian Hayman wyciągnął rękę po fotografię.

- Kto? - zapytał Quinn. Hayman spojrzał na tylną stronę zdjęcia. Tak jak wszystkie karty i fotografie w jego zbiorze nosiło ono na odwrocie siedmiocyfrowy numer. Wystukał go na konsolecie stojącego na biurku komputera. Na ekranie pojawiły się pełne dane.

- Hm, niezłych przystojniaczków sobie wybrałeś, stary. - Zaczął odczytywać z ekranu.

- Fotografia prawie na pewno wykonana w prowincji Maniema, wschodnie Kongo, obecnie Zair, gdzie wiosną roku 1964. Ten facet z lewej to Jacques Schramme, Black Jack Schramme, belgijski najemnik. W miarę kontynuowania opowieści Hayman się rozgrzewał, była to jego specjalność.

- Schramme był jednym z pierwszych. Walczył przeciwko oddziałom ONZ podczas próby secesji Katangi w latach 1960-1962. Kiedy secesjoniści przegrali, musiał uciekać i znalazł schronienie w pobliskiej Angoli, wówczas portugalskiej i ultrapravicowej. Następnie jesienią 1964 r. powrócił, gdy poproszono go o pomoc w stłumieniu rebelii Simby. Odtworzył swoją Grupę Leopard i zabrał się za pacyfikację prowincji Maniema. To na pewno on. Coś jeszcze?

- Inni - powiedział Quinn.

- Mm. Ten z prawej to kolejny Belg, komendant Wauthier. Dowodził wówczas oddziałem żandarmów katangijskich oraz około dwudziestoma białymi najemnikami. Swoją bazę miał w Watsa, tu zapewne przyjechał z wizytą. Interesują cię Belgowie?

- Być może. - Quinn wrócił pamięcią do samochodu Volvo stojącego w magazynie. Kiedy mijał jego otwarte drzwi, poczuł zapach dymu papierosowego. Nie Marlboro, nie Dunhill. Bardziej francuskie Gauloise albo belgijskie Bastos. Zack nie palił; Quinn poczuł raz zapach jego oddechu.

- Ten w środku, bez kasku, to Roger Lagaille, kolejny Belg. Został zabity w zasadzce Simby na drodze do Punia. Nie ma wątpliwości.

- Ten duży - wskazał Quinn. - Ten olbrzym.

- O tak, ten jest duży - zgodził się Hayman. - Będzie miał ze dwa metry. Zbudowany jak drzwi od stodoły. Z wyglądu ma dwadzieścia parę lat. Szkoda, że odwrócił głowę; cień pada mu na twarz i niewiele z niej widać. Dlatego pewnie nie ma tu nazwiska, tylko przydomek. "Wielki Paul" - tylko tyle tu jest.

Wyłączył ekran. Quinn skrobał coś w notatniku. Następnie pokazał rysunek Haymanowi.

- Widziałeś kiedyś coś takiego?

Hayman spojrział na wizerunek sieci pajęczej z pajakiem w środku. Wzruszył ramionami.

- Tatuaz? Noszą go młodzi chuligani, punki, rozwyrzeni kibice. Dość popularny.

- Sięgnij pamięcią wstecz - powiedział Quinn. - Belgia, powiedzmy trzydzieści lat temu.

- A, zaczekaj chwileczkę. Jak to się nazywało? *Arraignee*, tak właśnie. Nie mogę sobie przypomnieć flamandzkiego odpowiednika pajaka; tylko francuski.

Przez kilka sekund wystukiwał coś na klawiszach.

- Czarna sieć, w środku czerwony pajak, na zewnętrznej stronie lewej dłoni?

Quinn próbował sobie przypomnieć. Mijał drzwi Volvo otwarte z prawej strony, idąc do bagażnika, do którego miał wejść. Zack szedł za nim. Mężczyzna siedzący za kierownicą pochylił się, by przez szczelinę pod dachem przyjrzeć się Quinnowi. Był to potężny mężczyzna: siedząc niemal dotykał dachu głową. Kiedy się wychylił, oparł się na lewej dłoni, z której zsunął rękawiczkę, gdy trzymał w niej papierosa.

- Tak - powiedział Quinn. - Właśnie to.

- Mało ważna grupka - rzekł lekceważąco Hayman czytając z ekranu. - Skrajnie prawicowa organizacja utworzona w Belgii na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Sprzeciwiała się dekolonizacji Konga, jedynej kolonii belgijskiej. Oczywiście nastawiona antymurzyńsko, antysemicko - co tu jeszcze mamy nowego? Przyjmowała młodych bandziorów i chuliganów, ulicznych zabijaków i wszelką hołotę. Specjalizowali się w rzucaniu cegłami w wystawy sklepików żydowskich, wygwizdywaniu lewicowych mówców, nawet pobili kilku liberalnych posłów. Ostatecznie organizacja się rozleciała. Oczywiście rozpad imperiów europejskich powodował powstawanie wielu podobnego rodzaju grup.

- Było to ugrupowanie flamandzkie czy walońskie? - zapytał Quinn. Wiedział, że Belgia składa się z dwóch narodowości: Flamandów mieszkających głównie w północnej części kraju, niedaleko Holandii, posługujących się językiem flamandzkim, oraz Walonów z południa, z pobliza Francji, mówiących po francusku. Belgia jest krajem dwujęzycznym.

- Właściwie i jedno, i drugie - odrzekł Hayman spojrzawszy na ekran. - Ale mam tutaj, że zostało zapoczątkowane i było zawsze najsilniejsze w Antwerpii. Więc chyba jednak flamandzkie.

Każda inna kobieta gotowałaby się już ze złości, gdyby mężczyzna kazał jej czekać cztery i pół godziny. Na szczęście dla Quinna, Sam była wyszkoloną agentką, a podczas

praktyki dawano jej głównie zadania polegające na obserwacji, od czego nic nie może być bardziej nużące. Właśnie sączyła już piątą filiżankę okropnej kawy.

- Kiedy masz oddać samochód? - zapytał Quinn.

- Dziś wieczorem. Mogę przedłużyć, jeśli trzeba.

- Możesz go oddać na lotnisku?

- Jasne. Dlaczego?

- Lecimy do Brukseli. Wyglądała na niezadowoloną.

- Proszę cię, Quinn, czy musimy akurat lecieć? Zrobię to, jeśli naprawdę trzeba, ale jeśli mogłabym się wykręcić, tobym wołała. Ostatnio trochę za dużo latałam. - Okay - odrzekł. - Oddaj samochód w Londynie. Pojedziemy pociągiem, a potem poduszkowcem, i tak musielibyśmy wynająć następny wóz w Belgii. Może to być równie dobrze w Ostendzie, i będziemy potrzebowali pieniędzy: nie mam kart kredytowych.

- Co takiego? - Jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś powiedział coś podobnego.

- W Alcantara del Rio nie są potrzebne.

- Dobrze, pojedziemy do banku. Zrealizuję czek i będę się modlić, aby miał pokrycie w moim banku.

Po drodze do banku włączyła radio. Muzyka była posępna. Zegar pokazywał godzinę czwartą po południu, toteż w Londynie robiło się już ciemno. Po drugiej stronie Atlantyku państwo Cormack uczestniczyli w pogrzebie ich syna.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pochowali go na Prospect Hill, cmentarzu wyspy Nantucket, przy wtórze żałobnego zawodzenia dojmująco chłodnego, północnego wiatru od zatoki Sound.

Nabożeństwo odbyło się w niewielkim kościółku episkopalnym przy Fair Street, o wiele za małym na to, by pomieścić wszystkich, którzy pragnęli wziąć w nim udział. Pierwsza Rodzina zajęła dwa przednie rzędy ławek, za nimi usiedli członkowie gabinetu, a z tyłu różni inni dygnitarze. Na prośbę rodziny uroczystość była skromna i miała charakter całkowicie prywatny. Ambasadorów i specjalnych wysłanników obcych państw poproszono o wzięcie udziału w nabożeństwie za duszę zmarłego, które miało zostać odprawione później w Waszyngtonie.

Prezydent zwrócił się z apelem o uszanowanie prywatnego charakteru uroczystości także do środków masowego przekazu, lecz mimo to wielu dziennikarzy i tak na nią przybyło. Wyspiarze - o tej porze roku nie było żadnych urlopowiczów - potraktowali jego prośbę dosłownie. Zaskoczyli nawet agentów Secret Service, nie słynących przecież z wyjątkowo wyszukanych manier, gdy posepni i milczący, bez słowa, fizycznie usunęli z drogi kilku fotoreporterów, zostawiając dwóch z nich biadolących nad ruinami naświetlonych błon filmowych.

Trumnę przeniesiono do kościoła z jedyne go zakładu pogrzebowego wyspy przy Union Street, gdzie spoczywała od czasu przybycia wojskowym C-130 - małe lotnisko nie mogło przyjąć Boeinga 747 - do rozpoczęcia nabożeństwa.

W połowie uroczystości kościelnej spadły pierwsze krople deszczu, zalśniły na szarych płytkach dachu, splukały witraże okien i szaro-różowe kamienne płyty ścian budynku.

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, trumnę złożono na karawanie, który powoli pokonał pół mili dzielącej kościół od Prospect Hill - za Fair Street, wybojami brukowanej Main Street, a potem wzdłuż New Mili Street aż do Cato Lane. Żałobnicy kroczyli za nim w deszczu, poprzedzani przez prezydenta, który szedł otępiały ze wzrokiem wbitym w przykrytą flagą trumnę jadącą kilka stóp przed nim. Jego młodszy brat wspierał ramieniem zapłakaną Myrę Cormack.

Wzdłuż całej drogi po obu jej stronach stali mieszkańcy Nantucket, z odkrytymi głowami i w zupełnym milczeniu. Byli wśród nich sprzedawcy, którzy dostarczali rodzinie ryby, mięso, jaja i warzywa, byli właściciele restauracyjek, którzy podawali im posiłki w

dziesiątkach dobrych jadłodajni rozsianych po całej wyspie. Byli starzy rybacy o ogorzałych na mahoń twarzach, którzy uczyli niegdyś jasnowłosego malca z New Haven pływać, nurkować i łowić ryby lub zabierali go na pieczenie małży przy ognisku koło latarni morskiej Sankaty.

Dozorca i ogrodnik przystanęli ze łzami w oczach na rogu Fair Street i Main, żeby po raz ostatni popatrzeć na tego chłopca, który nauczył się biegać na ubitych twardo przypluwami plażach od Coatue do Great Point i z powrotem do Siasconset. Ale ofiary zamachów bombowych nie są widokiem dla oczu żywych, toteż trumna była szczelnie zamknięta.

Na Prospect Hill skręcili w stronę protestanckiej połowy cmentarza, mijając stuletnie groby ludzi, którzy polowali na wieloryby z małych otwartych łodzi, a w długie zimowe wieczory rzeźbili przy świetle naftowych lamp ozdoby z ich zębów. Przeszli do nowego sektora, gdzie czekał już przygotowany grób.

Tłum wpłynął za nimi szeroką falą i wypełnił szczelnie całą przestrzeń, rząd za rządem, a wiatr od zatoki wdarł się na to odkryte wzniesienie, by szarpać ich za włosy i chustki. Żaden sklep nie został otwarty tego dnia, żaden warsztat, żaden bar. Nie wylądował ani jeden samolot, do portu nie przybił ani jeden prom. Wyspiarze odcięli się od świata, by oplakiwać jednego ze swoich, choćby przez adopcję. Kaznodzieja zaczął odmawiać liczące sobie wiele wieków słowa, porywane natychmiast i unoszone w dal przez wiatr.

Wysoko w górze samotny sokół islandzki, szybujący z Arktyki na powietrznych prądach niczym płatek śniegu, spojrzął w dół, ogarnął każdy szczegół swym niewiarygodnym wzrokiem i wiatr poniósł w dół jego pojedynczy krzyk zagubionej duszy.

Deszcz, który powstrzymywał się od czasu nabożeństwa w kościele, znów zaczął padać, przechodząc falami w ulewę. Z dołu, od drogi, dobiegło skrzypienie zablokowanych skrzydeł wiatraka starego młyna. Goście z Waszyngtonu drżeli z zimna i kulili się w swych grubych paltach. Prezydent stał bez ruchu, wpatrzony w to, co pozostało z jego syna, nieczuły na zimno i deszcz.

O jard od niego stała Pierwsza Dama z twarzą zalaną strugami deszczu i łez. Kiedy kaznodzieja doszedł do "powstania z martwych i żywota wiecznego", zachwiała się, jakby miała upaść.

Stojący obok niej agent Secret Service, w rozpiętym płaszczu dla łatwiejszego dostępu do broni po lewą pachę, ostrzyżony na zero i zbudowany jak obrońca w drużynie baseballowej, nie zważając na protokół i to, co mu wpojono w czasie przeszkolenia, objął ją

prawą ręką za ramiona. Oparła się o niego i wtuliła zapłakaną twarz w przemoczoną deszczem marynarkę.

John Cormack stał samotnie, zasklepiony w swej inteligencji i bólu, niezdolny sięgnąć poza siebie - jak wyspa.

Jakiś fotograf, sprytniejszy od reszty swoich kolegów, wziął drabinę z podwórza domu stojącego ćwierć mili dalej i wspiał się na dach starego drewnianego wiatraka na rogu South Prospect Street i South Mili Street. Nim ktokolwiek zdążył zauważyć, że używa teleobiektywu, w świetle jednego jedyne promienia zimowego słońca, który przedarł się przez chmury, zrobił ponad głowami tłumu zdjęcie grupy stojącej przy grobie.

To właśnie zdjęcie obiegało całą Amerykę i cały świat. Ukazywało twarz Johna Cormacka jakiej nikt jeszcze nigdy nie widział - twarz człowieka przedwcześnie postarzałego, chorego, zmęczonego, wycieńczonego do ostatnich granic. Człowieka, który nie jest w stanie znieść już niczego więcej, gotowego odejść.

Potem Cormackowie stanęli przy bramie cmentarza, żegnając wychodzących żałobników. Żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć. Prezydent kiwał każdemu głową, jakby to rozumiał, i ścisnął sztywno wyciągnięte dłonie.

Po kilku osobach najbliższej rodziny przyszła kolej na przyjaciół i najbliższych współpracowników, na czele z sześcioma członkami gabinetu tworzącymi rdzeń sztabu, który próbował stawić za prezydenta czoło kryzysowi, w jakim się znalazł.

Michael Odell przystanął na chwilę, usiłując znaleźć jakieś odpowiednie słowa, potrząsnął jednak głową, odwrócił się i odszedł. Strugi deszczu spływały po jego pochylonej głowie, przylepiając mu gęste siwe włosy do czoła.

Również Jimowi Donaldsonowi emocje wytrąciły z ręki broń jego pedantycznej dyplomacji. On także był w stanie tylko popatrzeć na swego przyjaciela z niemym współczuciem, uścisnąć jego zwiotczałą, pozbawioną życia dłoń i pójść dalej.

Bill Walters, młody prokurator generalny, skrył swe uczucia za maską protokolarnej oficjalności. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panie prezydencie - powiedział przyciszonym głosem. - Bardzo mi przykro, sir.

Morton Stannard, bankier z Nowego Jorku przetransferowany do Pentagonu, był najstarszym z obecnych. Brał udział w wielu pogrzebach, przyjaciół i kolegów, ale nigdy w czymś takim. Miał zamiar powiedzieć coś konwencjonalnego, ale zdołał tylko wykrztusić: - Mój Boże, tak mi przykro, John.

Brad Johnson, ciemnoskóry naukowiec i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, potrząsnął tylko głową, jakby w oszłomieniu.

Hubert Reed ze Skarbu zaskoczył tych, którzy stali blisko Cormacków. Mało zazwyczaj wylewny, zbyt nieśmiały, by otwarcie manifestować swe uczucia, kawaler, który nigdy nie czuł potrzeby posiadania żony i dzieci, spojrział teraz na Johna Cormacka przez ociekające wodą okulary, wyciągnął dłoń, po czym impulsywnie chwycił przyjaciela w ramiona. Jakby zdumiony tą własną impulsywnością, odwrócił się szybko i pospieszył dogonić pozostałych, którzy wsiadali już do oczekujących samochodów, by udać się na lotnisko.

Deszcz znów osłabł. Dwóch silnych mężczyzn zaczęło wrzucać do dołu łopaty mokrej ziemi. Było po wszystkim.

Quinn sprawdził rozkład kursów poduszkowca z Dover do Ostendy i stwierdził, że spóźnili się na ostatni odchodzący tego dnia. Przenocowali w jakimś spokojnym hoteliku, a rano wsiedli w pociąg z Charing Cross.

Podróż przez Kanał upłynęła bez specjalnych wrażeń. Późnym rankiem wynajęli w miejscowej agencji niebieskiego Forda na średnio zasobną kieszeń i już wkrótce jechali w kierunku starego flamandzkiego portu, który handlował na Skaldzie na długo przedtem, nim Kolumb pożegłował na swoje wyprawy.

Całą Belgię oplata sieć bardzo nowoczesnych, doskonałych autostrad; odległości są tu niewielkie, a czasy przejazdu nawet jeszcze krótsze. Za Ostendą Quinn wybrał prowadzącą na wschód E5, ominął od południa Brugię i Gandawę, skrzyżował na północny wschód w E3 i wjechał prosto do centrum Antwerpii jeszcze w porę na spóźniony lunch.

Dla Sam Europa była terenem zupełnie nie znanym; Quinn zdawał się tu czuć jak u siebie w domu. W ciągu tych kilku godzin, które spędzili w Belgii, słyszała go kilka razy mówiącego po francusku, płynnie i szybko. Nie zrozumiała natomiast, że za każdym razem Quinn zaczynał od zapytania swego rozmówcy, czy nie ma nic przeciwko temu. Flamandowie mówią na ogół nieco po francusku, ale lubią być o to najpierw zapytani. Ot tak, żeby od samego początku było jasne, że nie są Walonami.

Zatrzymali się w niewielkim hoteliku przy Italic Leij i poszli do jednej z wielu małych restauracyjek zajmujących obie strony De Keyser Leij, tuż za rogiem.

- Czego ty właściwie szukasz? - spytała Sam podczas posiłku.

- Człowieka - odparł Quinn.

- Jakiego człowieka?

- Będę wiedział, kiedy go zobaczę.

Po lunchu Quinn odbył po francusku naradę z kierowcą taksówki i ruszyli przed siebie. Kazał mu się zatrzymać przy jakimś sklepie z artykułami malarskimi, dokonał dwóch

zakupów, nabył w ulicznym kiosku plan miasta i przeprowadził z nim następną konsultację. Sam wyłowiła z niej słowa „Falcon Rui” i “Schipperstraat”. Kierowca obrzucił ją z ukosa jakby nieco lubieżnym spojrzeniem.

Falcon Rui okazała się podupadłą uliczką okoloną rzędami tanich sklepików, między innymi z odzieżą. W jednym z nich Quinn kupił marynarski sweter, drelichowe spodnie i wysokie buciory z grubej skóry. Wepchnął to wszystko do brezentowego worka z juty i ruszyli w kierunku Schipperstraat. Ponad dachami domów Sam dostrzegła dzioby wielkich dźwigów, wskazujące, że zbliżają się do doków.

Quinn skręcił z Falcon Rui w płataninę wąskich, obskurnych uliczek tworzących dzielnicę starych, odrapanych domów między Falcon Rui a Skalda. Minęli kilka typów o zakazanych gębach wyglądających na marynarzy z floty handlowej. Po lewej ręce Sam pojawiło się oświetlone okno wystawowe z jednej tafli szkła. Sam zajrzała do środka. W wygodnym fotelu leżała rozparta młoda kobieta o bujnych kształtach, które rozsadały skape majteczki i staniczek.

- Jezu, Quinn, to dzielnica panienek!

- Wiem - odparł. - O to właśnie pytałem taksówkarza.

Szedł dalej, rzucając okiem na szyldy po obu stronach ulicy. Poza barami i oświetlonymi wystawami, na których siedziały kurwy wabiące przechodniów zachęcającymi ruchami głów, było tylko kilka innych zakładów. Ale udało mu się znaleźć trzy takie, jakich szukał, i to wszystkie na przestrzeni dwustu jardów.

- Chodzi ci o tatuażystów? - spytała Sam.

- O doki - odparł krótko. - Doki to marynarze, a marynarze to tatuaż. To także podłe knajpy, dziewczęta i ciemne typy żyjące z tych dziewcząt. Wrócimy tu wieczorem.

Senator Bennett Hapgood wstał o wyznaczonej porze ze swego miejsca w senacie i sztywnym krokiem podszedł do mównicy. W dzień po pogrzebie Simona Cormacka obie izby amerykańskiego Kongresu jeszcze raz dały wyraz swemu szokowi i przygnębieniu po tym, co się wydarzyło na odludnym poboczu drogi daleko w Anglii tydzień wcześniej.

Mówca za mówcą wzywał do podjęcia działań w celu wytropienia bandytów i oddania ich w ręce sprawiedliwości, amerykańskiej sprawiedliwości, bez względu na koszty, jakie miałyby to za sobą pociągnąć. Spiker zgodnie ze zwyczajem zastukał młotkiem.

- Głos ma senator z Oklahomy - powiedział monotonie.

Benetta Hapgooda nie uważano w senacie za liczącą się osobistość. Gdyby nie temat debaty, frekwencja podczas jego wystąpienia byłaby bardzo niska. Nikt nie przypuszczał, że nowo wybrany senator z Oklahomy może mieć jeszcze coś ważnego do dodania. A jednak

miął. Złożył zwyczajowe kondolencje prezydentowi, wyraził swe przerażenie tym, co się stało, i chęć ujrzenia winnych przed obliczem sprawiedliwości. Po czym urwał, zastanawiając się nad tym, co miał właśnie powiedzieć.

Wiedział, że ryzykuje, piekielnie ryzykuje. Powiedziano mu, co mu powiedziano, ale nie miał na to żadnego dowodu. Gdyby się to okazało nieprawdą, jego koledzy senatorowie zniszczyliby go jako zwykłego prowincjonalnego prostaka, który porywa się na używanie ważkich słów w niepoważnych zamiarach. Wiedział jednak także, że jeśli nie chce utracić poparcia swego nowego i bardzo imponującego finansowego sponsora, to musi ciągnąć dalej.

- Może nie trzeba nam zbyt daleko szukać bandytów odpowiedzialnych za ten potworny czyn.

Przyciszony szmer głosów na sali zamarł. Zbierający się do wyjścia senatorowie przystanęli w przejściach i odwrócili się do mównicy.

- Chciałbym zadać pewne pytanie. Czy nie jest prawdą, że bomba, która zabiła tego młodego człowieka, jedyne go syna naszego prezydenta, została w całości zaprojektowana, wykonana i zmontowana w Związku Radzieckim, i że są na to dowody? Czy urządzenie to nie pochodziło z Rosji?

Być może wrodzona skłonność do demagogii poniosłaby go jeszcze dalej, ale w tym miejscu na sali zapanował tumult i ogromne zamieszanie. W ciągu dziesięciu minut środki masowego przekazu powtórzyły jego pytanie narodowi. Przez dwie godziny administracja waszyngtońska skrywała się za murem milczenia, po czym została zmuszona ujawnić treść podsumowania raportu doktora Barnarda.

Przed nastaniem nocy ponura i zapiekła wściekłość na nieznanymi sprawców, która poprzedniego dnia wrzała niczym morska kipiela w mieszkańcach Nantucket, znalazła sobie ujście. Spontanicznie zgromadzone tłumy zaatakowały i zdemolowały przedstawicielstwo radzieckich linii lotniczych Aeroflot przy Fifth Avenue 630 w Nowym Jorku, nim policja zdążyła otoczyć je swoim kordonem. Ogarnięci paniką pracownicy przedstawicielstwa próbowali schronić się przed tłumem na wyższych piętrach, zostali jednak odepchnięci przez personel mieszczących się tam biur. Zdołali uciec, wraz z resztą osób znajdujących się w budynku, dzięki pomocy wezwanego oddziału straży pożarnej, gdy biura Aeroflotu zostały podpalone, a cały budynek ewakuowany.

Do misji radzieckiej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, znajdującej się przy 67 Wschodniej Ulicy pod numerem 136, policja dotarła w samą porę. Falujący tłum nowojorczyków próbował siłą wdrzeć się na zamkniętą kordonem policji ulicę; na szczęście

dla Rosjan szeregi granatowych wytrzymały. Nowojorscy policjanci musieli odpierać tłum, który chciał zrobić to, z czym wielu z nich prywatnie sympatyzowało.

Tak samo było w Waszyngtonie. Policja stolicy została zawczasu uprzedzona, toteż zdążyła w porę odgrodzić radziecką ambasadę i konsulát przy Phelps Place. Na gorączkowe telefoniczne monity radzieckiego ambasadora Departament Stanu odparł zapewnieniem, że brytyjski raport wciąż jeszcze jest przedmiotem badań i może się okazać fałszywy.

- Chcielibyśmy zobaczyć ten raport - nalegał ambasador Jermakow. - To najzwyczajniejsze kłamstwo. Stwierdzam to kategorycznie - to zwykłe kłamstwo.

Agencje TASS i Nowosti, a także wszystkie radzieckie ambasady na całym świecie, wydały późnym wieczorem oświadczenie stanowczo zaprzeczające stwierdzeniom raportu Barnarda, oskarżające Londyn i Waszyngton o rozmyślne i przewrotne oszczerstwo.

- Jak to, u diabła, przeciekło? - zastanawiał się Michael Odell. - Skąd ten cholerny Hapgood się o tym dowiedział?

Odpowiedzi nie było. Każda większa organizacja, nie mówiąc już o rządach, nie może funkcjonować bez zastępów sekretarek, stenotypistek, urzędników i posłańców, każda z tych osób może być źródłem przecieku jakiegoś poufnego dokumentu.

- Jedno jest pewne - zadumał się Stannard z Obrony. - Po tym, co się stało, Układ z Nantucket trafił szlag. Musimy zrewidować nasze przymiarki budżetowe wydatków na obronę, przyjmując, że nie będzie żadnych redukcji - w ogóle żadnych limitów.

Quinn zabrał się do przeczesywania barów w labiryncie wąskich zaułków odchodzących od Schipperstraat. Zjawił się tam przed dziesiątą wieczorem i pozostał aż do zamknięcia barów tuż przed świtem - szwendający się bez celu marynarz, na wpół zalany, mówiący bełkotliwie po francusku, lecz sączący w każdej knajpie tylko jedno małe piwo. Na dworze było zimno, skąpo odziane prostytutki drżały na swych wystawach przy dwuspiralnych elektrycznych kominkach lub grzejnych dmuchawach. Czasami opuszczały stanowisko pracy, narzucały płaszcz i przemykały chodnikiem do któregoś z barów na drinka i zwyczajową wymianę niewyszukanych żartów z barmanem i stałymi bywalcami.

Większość barów nosiło nazwy takie jak "Las Vegas", "Hollywood", "California"; ich właściciele mieli zapewne w swym optymizmie nadzieję, że nazwy pobrzmiewające czarem tych odległych miejsc zwabią snującego się marynarza obietnicą znalezienia za odrapanymi drzwiami takiegoż przepychu. Najczęściej okazywały się zwykłymi spelunkami, ale było w nich ciepło i miały dobre piwo.

Quinn powiedział Sam, że będzie musiała czekać albo w hotelu, albo w samochodzie zaparkowanym za dwoma skrzyżowaniami, na Falcon Rui. Wybrała samochód, co nie uchroniło jej przed otrzymaniem przez okna sporej liczby propozycji.

Quinn siadał w każdej knajpie i sącząc powoli swoje piwo obserwował przyływ i odpływ fali miejscowych i cudzoziemców, zalewającej te uliczki i bary. Na jego lewej ręce, odrobiony hinduskim tuszem ze sklepu z artykułami malarskimi, lekko rozmazany, by sprawiał wrażenie starego, widniał motyw czarnej pajęczyny z jaskrawoczerwonym pająkiem pośrodku. Całą noc przeszukiwał wzrokiem wszystkie pozostałe lewe ręce, ale nie wypatrzył niczego podobnego.

Przeszedł całą Guit Straat i Pauli Plein, pijąc piwo w każdym napotkanym barze, po czym wrócił najkrótszą drogą na Schipperstraat i zaczął wszystko od początku. Dziewczeta myślały, że szuka sobie kobiety, tylko trudno mu się zdecydować. Męska klientela nie zwracała na niego żadnej uwagi, bo sami także nigdzie nie zagrzewali zbyt długo miejsca. W trakcie trzeciej rundy kilku barmanów skinęło mu głową i spytało z uśmiechem: „Znów jesteś? Nie poszczęściło się, co?”

Odgadli trafnie, choć zupełnie co innego mieli na myśli. Nie poszczęściło mu się i tuż przed świtem wrócił do swego Forda. Zastał Sam drzemiącą przy włączonym silniku, by utrzymać ogrzewanie.

- Co teraz? - spytała po zawiezieniu go z powrotem do hotelu.

- Jemy, śpimy, jemy, a jutro wieczorem wszystko od początku - odparł.

Przez cały ranek spędzony w łóżku była szczególnie erotycznie usposobiona, podejrzewając, że niektóre z dziewcząt i ich walory eksponowane na wystawach Schipperstraat mogą stanowić pokusę dla Quinna. Nie stanowiły, ale Quinn nie widział żadnego powodu, by wyprowadzać ją z błędu.

Tego samego dnia Lionel Cobb spotkał się w Houston na szczycie wieżowca Pan-Global z Cyrusem Millerem. Spotkanie nastąpiło na jego własną prośbę.

- Ja się z tego wypisuję - zaczął prosto z mostu. - Sprawy zaszły za daleko. To, co się stało z tym chłopcem, jest straszne. Moi współpracownicy też tak uważają. Cyrus, powiedziałaś, że nigdy do tego nie dojdzie. Mówiłeś, że samo porwanie w zupełności wystarczy, żeby... no, żeby sytuacja uległa zmianie. Nigdy nam nie przyszło do głowy, że chłopiec mógłby zginąć. A to, co te zwierzęta z nim zrobiły... to straszne... niemoralne...

Miller uniósł się zza swego biurka, piorunując wzrokiem młodszego mężczyznę.

- Nie waż mi się robić wykładów na temat moralności, chłopcze. Nigdy więcej nie waż się tego robić. Ja też nie chciałem, żeby to się stało, ale wszyscy wiedzieliśmy, że może

do tego dojść. Ty także. Lionelu Cobb, jak Bóg będzie sędzią twoim - ty także, i tak być musiało. W przeciwieństwie do ciebie ja modliłem się do Niego o wskazówkę: w przeciwieństwie do ciebie, ja spędziłem wiele nocy na kolanach, modląc się za tego młodego człowieka.

- I Pan mi odpowiedział, przyjacielu, i Pan rzekł: „Lepiej, by ta jedna owieczka poszła na rzeź, niżliby cała trzódka miała szczeznąć”. Tu nie chodzi o jednego człowieka, Cobb. Tu chodzi o bezpieczeństwo, przetrwanie, wreszcie samo istnienie całego amerykańskiego narodu, i Pan powiedział mi, że co być musi - to być musi. Tego komunistę w Waszyngtonie trzeba koniecznie obalić, zanim sam zdąży zniszczyć świątynię Pana, świątynię, która jest cały ten nasz kraj. Wracaj do swej fabryki, Lionelu Cobb, przekuwać lemiesz na miecze potrzebne nam do obrony ojczyzny i zgniecenia antychrysta z Moskwy, i zachowaj milczenie, mój panie. Nie rozprawiaj mi już więcej o moralności, bo to dzieło Pana i On do mnie przemówił.

Lionel Cobb wracał do swojej fabryki do głębi wstrząśnięty.

Także Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa czekała tego dnia poważna konfrontacja. Jeszcze raz zachodnie gazety usłały długi stół konferencyjny biegnący niemal przez cały jego gabinet, opowiadając część historii zdjęciami, a resztę krzyzącymi nagłówkami. Tylko te ostatnie trzeba było przekładać na rosyjski. Do każdej gazety przypięte było tłumaczenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Na jego biurku leżało więcej raportów nie wymagających tłumaczenia. Sporządzone po rosyjsku nadeszły od ambasadorów i konsulów generalnych z całego świata, a także od własnych radzieckich korespondentów zagranicznych. Nawet we wschodnioeuropejskich krajach satelickich odbyły się antyrosyjskie demonstracje. Moskwa zaprzeczała wszystkiemu nieustannie i szczerze, a jednak...

Jako Rosjanin i partyjny *aparaczik* o wieloletniej praktyce, Michaił Gorbaczow nie był oseskiem w sprawach *realpolitik*. Wiedział, co to takiego dezinformacja. Czyż Kreml nie stworzył całego specjalnego wydziału do jej prowadzenia? Czy w; KGB nie istniała odrębna komórka, której zadaniem było wzniecanie antyzachodnich nastrojów droga dobrze lokowanych kłamstw lub jeszcze bardziej szkodliwych półprawd? Ale takie działanie dezinformacyjne było nie do uwierzenia.

Z niecierpliwością oczekiwał nadejścia człowieka, którego do siebie wezwał. Zbliżała się północ, musiał zrezygnować z weekendu nad północnymi jeziorami, z polowania na kaczki i pikantnych gruzińskich potraw - swych dwóch wielkich namiętności. Wezwany zjawił się tuż po północy.

Sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego powinien być chyba ostatnim człowiekiem, który by oczekiwał, że przewodniczącym KGB będzie ktoś o miłej i sympatycznej powierzchowności, ale w twarzy generała pułkownika Władimira Kriuczkowa czaiło się jakieś chłodne okrucieństwo, osobiście niemiłe Gorbaczowowi.

To prawda, że sam awansował tego człowieka ze stanowiska pierwszego zastępcy przewodniczącego, kiedy trzy lata wcześniej udało mu się wygryźć swego starego antagonistę Czebrikowa. Nie miał zbytniego wyboru. Jeden z czterech zastępców musiał zgarnąć pulę, a prawnicze wykształcenie Kriuczkowa wystarczająco mocno za nim przemawiało, by zaproponował mu to stanowisko. Od tamtej pory zaczął jednak nabierać do niego coraz większego uprzedzenia.

Przyznawał przed samym sobą, że być może dał się ponieść swej woli przekształcenia Związku Radzieckiego w “państwo socjalistyczne oparte na prawie”, w którym prawo byłoby wartością najwyższą, co Kreml uważał dotychczas za koncepcję burżuazyjną. To był bardzo gorączkowy okres, te kilka dni w początkach października 1988 r., kiedy zwołał nagle nadzwyczajne plenum Komitetu Centralnego i zapoczątkował swą własną Noc Długich Noży przeciwko swym oponentom. Może w tym pośpiechu przeoczył to i owo. Na przykład przeszłość Kriuczkowa.

Kriuczkow pracował w swoim czasie w stalinowskiej prokuraturze, co nie było robotą dla przesadnie przyzwoitych, miał też swój udział w bezlitosnym stłumieniu węgierskiego powstania w roku 1956. Do KGB wstąpił w 1967 r. To właśnie na Węgrzech poznał Andropowa, który na piętnaście lat awansował na szefa KGB. To Andropow wyznaczył Czebrikowa na swego następcę i to Czebrikow wybrał Kriuczkowa na szefa pionu wywiadu zagranicznego, Zarządu Pierwszego. Może on, sekretarz generalny, nie docenił starych więzów lojalności.

Podniósł wzrok na wysoko sklepiona czaszkę, gęste siwe baczki, posępne usta o opadających w dół kącikach i napotkał zimne spojrzenie oczu. Uzmysłowił sobie nagle, że ten człowiek może być mimo wszystko jego przeciwnikiem.

Gorbaczow wyszedł zza swego biurka i wymienił z nim uścisk dłoni, mocny i formalny Jak zawsze, kiedy z kimś rozmawiał, utrzymywał intensywny kontakt wzrokowy, jakby próbował doszukać się u swego rozmówcy kręactwa czy onieśmielenia. W przeciwieństwie do większości swych poprzedników był zadowolony nie mogąc się ich dopatrzeć. Wskazał gestem zagraniczne doniesienia. Generał skinął głową. Widział już je wszystkie i jeszcze wiele innych. Unikał wzroku Gorbaczowa.

- Mówmy krótko i węzłowato - powiedział Gorbaczow. - Wiemy, jaka jest ich treść. To kłamstwo. Nie przestajemy powtarzać naszych zaprzeczeń. To oszczerstwo nie może do nas przylgnąć. Ale skąd się ono wzięło? Na czym jest oparte?

Kriuczukow popukał z pogardą palcem w stertę zachodnich raportów. Pomimo iż był uprzednio rezydentem KGB w Nowym Jorku, nienawidził Ameryki.

- Towarzyszu sekretarzu generalny, to wszystko wydaje się oparte na raporcie brytyjskiego naukowca z dziedziny medycyny sądowej, który badał przyczyny śmierci tego Amerykanina. Albo ten człowiek kłamał, albo też ktoś inny przejął jego raport i go zmienił. Podejrzewam, że to jakaś sztuczka Amerykanów.

Gorbaczow wrócił za swe biurko i ponownie usiadł. Zaczął starannie dobierać słowa.

- Czy jest możliwe... choćby czysto hipotetycznie... żeby w tych oskarżeniach tkwiła jakaś część prawdy?

Władimir Kriuczukow drgnął. W kierowanej przez niego organizacji istniał cały specjalny departament, w którego laboratoriach wynajdowano, projektowano i wykonywano najzupełniej szatańskie urządzenia do pozbawiania życia lub po prostu obezwładniania. Ale nie w tym rzecz - w podległej mu firmie nie zmontowano żadnej bomby, która miałaby zostać ukryta w pasku Simona Cormacka.

- Nie, towarzyszu sekretarzu, z pewnością nie. Gorbaczow pochylił się do przodu i zabębnił palcami w suszkę.

- Sprawdźcie to - rozkazał - raz i na dobre. Sprawdźcie to. Generał skinął głową i wyszedł. Sekretarz generalny zapatrzył się w przeciwległy koniec długiego gabinetu. Układ z Nantucket był mu potrzebny bardziej - choć kto wie, czy nie powinien już pogodzić się z myślą, że w tej sytuacji pozostanie on na zawsze tylko martwą literą - niż Pokój Owalny mógł przypuszczać. Bez tego układu jego kraj miał przed sobą widmo niewykrywalnych przez radar bombowców B2 „Stealth” i koszmar wytrzaśnięcia skądś 300 miliardów rubli na przebudowę całej sieci obrony powietrznej. Nim skończy się ropa.

Quinn zobaczył go trzeciej nocy. Był niski i krępy, miał rozbite uszy i spłaszczony nos notorycznego uczestnika knajpianych burd. Siedział samotnie przy końcu baru w „Montanie”, obskurnej speluncie przy Oude Mann Straat. Ulicy Starego Człowieka, jakże trafnie tak nazwanej. W barze było jeszcze kilkunastu innych gości, ale nikt z nim nie rozmawiał, a facet sprawiał wrażenie, że wcale sobie tego nie życzy.

W prawej ręce trzymał szklanekę piwa, a w lewej zwinięty ręcznie papieros. Na grzbiecie jej dłoni widniał czerwony pajak w czarnej pajęczynie. Quinn przeszedł wolnym krokiem w koniec baru i zajął miejsce o jeden stół od niego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Mężczyzna obrzucił Quinna z ukosa przelotnym spojrzeniem, lecz poza tym, jakby go w ogóle nie dostrzegwał. Tak minęło dziesięć minut. Mężczyzna z tatuażem skręcił sobie następnego papierosa. Quinn podał mu ogień. Facet skinął głową, ale nie wyraził żadnych słownych podziękowań. Gburowaty i podejrzliwy, nie dawał się łatwo wciągnąć w rozmowę.

Quinn pochwyił spojrzenie barmana i skinął palcem w stronę swej szklanki. Barman przyniósł następną butelkę. Quinn wskazał ruchem ręki na pustą szklankę mężczyzny siedzącego obok niego i pytająco uniósł brwi. Facet potrząsnął przecząco głową, pogrzebał w kieszeni i sam zapłacił za swoje piwo.

Quinn westchnął ciężko w duszy. Zanosilo się, że sprawa wcale nie będzie taka łatwa. Facet wyglądał na moczymordę i drobnego opryszka, zbyt ograniczonego nawet na to, żeby zostać alfonsem, a do tego nie trzeba przecież mistrza intelektu. Prawdopodobieństwo, że mówi po francusku, było znikome, za to mrukiem był bez najmniejszej wątpliwości. Ale jego wiek z grubsza się zgadzał, sporo po czterdziestce, i miał tatuaż. Musiał się nim zadowolić.

Wyszedł z baru i odszukał Sam, skulona w samochodzie dwie przecznice dalej. Powiedział jej półgłosem, czego od niej chce.

- Zwariowałaś? Mowy nie ma. Pozwolę sobie panu przypomnieć, panie Quinn, że jestem córką kaznodziei z Rockcastle. - Gdy to mówiła, kąciki ust zadrgały jej w uśmiechu.

Kiedy dziesięć minut później weszła do baru, Quinn siedział już z powrotem na swoim krześle. Podciągnęła spódnicę tak wysoko, że pasek musiała mieć pod samymi pachami, ale sweterek polo doskonale to maskował. Zużyła całą paczkę Kleenexów ze skrytki w samochodzie, żeby nadać swemu biustowi, i tak już imponującemu, zupełnie osłupiające wymiary. Ruszyła rozkołysanym krokiem w kierunku Quinna i zajęła stołek między nim a mężczyzną z tatuażem. Opryszek wytrzeszczył na nią oczy. Tak jak i cała reszta gości w barze. Quinn kompletnie ją zignorował.

Przysunęła się do niego i pocałowała go w policzek, a potem wepchnęła mu język do ucha. Nadal nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Facet z tatuażem powrócił do wpatrywania się w szklankę, ale od czasu do czasu spojrzenie uciekało mu na falujący ponad barem biust. Podszedł barman, uśmiechnął się i spojrzał pytająco na Sam.

- Whisky - powiedziała. To międzynarodowe słowo i sposób jego wymawiania nie zdradza niczyjego pochodzenia. Barman spytał ją po flamandzku, czy życzy sobie lodu: Sam niezrozumiała, ale skinęła z ożywieniem głową. Dostała whisky z lodem. Przypiła do Quinna, który znów ją zignorował. Wzruszywszy ramionami, odwróciła się do typa z tatuażem i

zamiast tego przypięła do niego. Mocno zaskoczony bywalec portowych mordowni odpowiedział uniesieniem szklanki.

Sam rozchyliła usta i z wyraźną premedytacją przesunęła językiem po dolnej wardze, jaskrawo uszmkowanej. Rwała typu zupełnie bezwstydnie. Wyszczrzył do niej w uśmiechu pieńki zębów. Nie czekając na więcej, pochyliła się i pocałowała go w usta.

Quinn jednym ruchem zmiotł ją ze stołka na podłogę, wstał i pochylił się nad typem.

- A co to, kurwa, za przypieprzanie się do mojej baby? - warknął bełkotliwie po francusku i nie czekając na odpowiedź posunął potężny lewy sierpowy, który trafił typu prosto w szczękę i posłał go do tyłu na wysłaną trocinami podłogę.

Mężczyzna runął jak długi, zamrugał oczami, przeturłał się z powrotem na nogi i rzucił na Quinna. Sam, jak miała przykazane, pospiesznie opuściła bar. Barman szybko sięgnął pod ladę po telefon, wykręcił 101, numer policji, a uzyskawszy połączenie, mruknął do słuchawki "awantura w barze" i podał adres.

Tę dzielnicę nieustannie przeczesują patrole samochodowe, zwłaszcza w nocy, toteż pierwsza biała Sierra z biegnącym wzdłuż boków niebieskim napisem POLITIE zjawiała się w cztery minuty. Wskoczyło z niej dwóch umundurowanych policjantów, do których dwadzieścia sekund później dołączyło jeszcze dwóch z następnego radiowożu.

Mimo wszystko to zdumiewające, jakich zniszczeń może dokonać w barze dwóch dobrych rozrabiaków w ciągu czterech minut. Quinn wiedział, że jest szybszy od typu, któremu alkohol i dymki przytępiły refleks, i że ma większy zasięg ramion. Niemniej jednak dał sobie zadać kilka ciosów w żebra, dla zachęty, po czym mocnym lewym sierpowym trafił przeciwnika pod serce, żeby go odrobinę przystopować. Kiedy wyglądało na to, że facet może mieć już dość, poszedł do zwarcia, żeby mu trochę pomóc.

W podwójnym niedźwiedzim uścisku obaj walczący rozbili niemal całe umeblowanie baru, tarzając się w trocinach między stertami nóg od krzeseł, stołowych blatów, szklanek i butelek.

Po zjawieniu się policji zostali z miejsca aresztowani. Jest to obszar policyjnej strefy zachodniej P/1, a najbliższy komisariat znajduje się przy Blindenstraat. Dwa radiowozy dostarczyły ich tam oddzielnie dwie minuty później i oddały pod opiekę dyżurnego sierżanta Kloppera. Barman oszacował swoje straty i złożył zażalenie z za baru. Po co człowieka zatrzymywać - miał przecież interes, który trzeba było prowadzić. Policjanci podzielili jego szacunki przez dwa i kazali podpisać.

Aresztowanych w czasie bójek zamyka się przy Blindenstraat zawsze osobno. Sierżant Kloppe wpechnął opryszka, dobrze mu znanego z poprzednich spotkań, do nagej i brudnej

Watchkamer znajdującej się z tyłu za jego biurkiem; Quinnowi kazał usiąść na twardej ławce w pokoju przyjęć i zabrał się za przeglądanie jego paszportu.

- Ach, Amerykanin? - mruknął. - Nie powinien pan się wdawać w bijatyki, panie Quinn. Tego Kuypera to my tu dobrze znamy; zawsze się w coś wpakuje. Tym razem to jemu się oberwało. To on pana zaczepił?

Quinn potrząsnął przecząco głową.

- Prawdę mówiąc, to ja mu dołożyłem. Klopper przejrzał oświadczenie barmana.

- No tak, *ja*, barman twierdzi, że obaj jesteście równie winni. Szkoda, bo w takim razie muszę zatrzymać was obu. Rano zabiorą was do *Magistraat*. Z powodu szkód, jakie wyrządziliście w barze.

Magistraat oznaczał papierkową robotę. Kiedy o piątej rano w komisariacie zjawiała się przedsiębiorcza Amerykanka w prostym, lecz bardzo wytwornym kostiumie z plikiem pieniędzy na pokrycie szkód w "Montanie", sierżant Klopper odetchnął z ulgą.

- Płaci pani za połowę szkód wyrządzonych przez tego Amerykanina, *ja*? - spytał.

- Płać za wszystko - odezwał się ze swej ławki Quinn.

- Chce pan zapłacić także za Kuypera, panie Quinn? To zwykły bandzior, jest tu u nas stałym bywalcem, od kiedy był chłopcem. Długa kartoteka, zawsze jakieś drobiazgi.

- Płać i za niego - polecił Quinn. Sam zapłaciła. - Skoro już nikt nikomu nie jest nic winien, czy chce pan nadal obstawać przy wniesieniu oskarżenia, sierżancie?

- Niespecjalnie. Może pan iść.

- A on? - spytał Quinn, wskazując gestem na *Watchkamer* i widocznego przez drzwi, chrapiącego w niej Kuypera.

- Chce pan jego zabrać ze sobą?

- Pewnie, to mój kumpel.

Sierżant uniósł ze zdziwienia brwi, potrząśnięciem obudził Kuypera i powiedział mu, że Amerykanin uiścił za niego odszkodowanie za zniszczenia i że ma szczęście, bo inaczej znów spędziłby cały tydzień w pace. A tak, jest wolny. Kiedy sierżant Klopper podniósł wzrok, Amerykanki już nie było. Amerykanin objął ramieniem Kuypera i zeszli razem niezbyt pewnym krokiem po schodach komisariatu. Ku wielkiej uldze sierżanta.

W Londynie dwóch niepozornych mężczyzn spotkało się w porze lunchu w zacisznej restauracji, gdzie po podaniu zamówionych potraw kelnerzy zostawili ich samym sobie. Obaj mężczyźni znali się z widzenia, a ściślej rzecz biorąc, z fotografii. Każdy wiedział, w jaki sposób zarabia na życie ten drugi. Jakiś ciekawski, gdyby miał tupet o to zapytać, mógłby się

dowiedzieć, że Anglik jest urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a jego współbiesiadnik zastępcą attache kulturalnego ambasady Związku Radzieckiego.

Nigdy natomiast nie dowiedziałby się, choćby przetrząsnął nie wiem jakie archiwa, że urzędnik ten jest zastępcą szefa sekcji radzieckiej w Century House, siedzibie brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej, SIS; tak jak nie dowiedziałby się, że człowiek, który rzekomo organizuje występy Gruzińskiego Chóru Państwowego, jest zastępcą rezydenta KGB w ambasadzie. Obaj panowie wiedzieli, że spotykają się za aprobatą swoich rządów, że do spotkania doszło na prośbę Rosjan i że szef SIS głęboko się namyślał, nim wyraził na nie zgodę. Anglicy dość dobrze orientowali się, o co Rosjanie ich poproszą.

Kiedy resztki baranich kotletów zniknęły z talerzy, a kelner pospieszył po kawę, Rosjanin zadał swe pytanie.

- Obawiam się, że to prawda, Witaliju Iwanowiczu - odparł z powagą Anglik. W ciągu następnych kilku minut przedstawił w skrócie główne ustalenia raportu doktora Barnarda. Rosjanin wydawał się nim wstrząśnięty.

- To niemożliwe - powiedział w końcu. - Zaprzeczenia mojego rządu są absolutnie szczerze.

Pracownik brytyjskiego wywiadu zachował milczenie. Mógł powiedzieć, że jeśli kłamać się zbyt długo, to gdy w końcu mówi się prawdę, trudno znaleźć słuchaczy. Ale nie powiedział. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął fotografię. Rosjanin obejrzał ją bardzo dokładnie.

Było to wielokrotne powiększenie przedmiotu, który w oryginale miał wielkość spinacza biurowego. Na zdjęciu liczył sobie cztery cale długości. Minidetonator z Bajkonuru.

- To zostało znalezione w ciele? Anglik skinął głową.

- Wtłoczone we fragment kości, utkwilo w śledzionie.

- Nie mam odpowiednich kwalifikacji technicznych - powiedział Rosjanin. - Czy mogę to zdjęcie zatrzymać?

- Właśnie po to je przyniosłem - odparł agent SIS.

W odpowiedzi Rosjanin westchnął i sam z kolei wydobył z kieszeni kartkę papieru. Anglik rzucił na nią okiem i uniósł brwi. Był to pewien londyński adres. Rosjanin wzruszył ramionami.

- Taki mały gest - powiedział. - Coś, co przypadkiem dotarło do naszej wiadomości.

Mężczyźni wstali i pożegnali się. Cztery godziny później agenci kontrwywiadu i brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu wspólnie dokonali nalotu na bliźniak w Mill Hill,

aresztując czterech członków IRA i przechwytyjąc dość aparatury do produkcji ładunków wybuchowych, by dokonać w stolicy kilkunastu poważnych zamachów bombowych.

Quinn zaproponował Kuyperowi, żeby poszukali jakiegoś otwartego jeszcze baru i opili swoje zwolnienie. Tym razem nie napotkał sprzeciwu. Kuyper nie żywił do niego urazy za bijatykę w "Montanie"; prawdę mówiąc, śmiertelnie się nudził i walka poprawiła mu nieco nastrój. To, że ktoś zapłacił za niego grzywnę, było dodatkowym plusem. Co więcej, doskwierający kac domagał się ulżenia mu piwkiem czy dwoma, a skoro duży stawał...

Po francusku mówił powoli, ale znośnie. Wydawało się, że znacznie więcej rozumie w tym języku, niż potrafi powiedzieć. Quinn przedstawił się jako Jacques Degueudre, Francuz belgijskiego pochodzenia, który ileś tam lat wcześniej wyjechał służyć na statkach francuskiej floty wojennej.

Przy drugim piwie Kuyper zauważył tatuaż na wierzchu dłoni Quinna i dumnie przystawił do niego swój własny dla porównania.

- To były czasy, nie? - wyszczerzył zęby w uśmiechu Quinn. Kuyper zarechotał na to wspomnienie.

- Rozwaliło się w tamtych czasach parę łbów - powiedział z satysfakcją. - A ty gdzie wstąpiłeś?

- W Kongo, w roku 1962 - odparł Quinn. Czoło Kuypera pokryło się głębokimi bruzdami, jakby usilnie próbował dojść, w jaki sposób można było wstąpić do Organizacji Pająka w Kongo. Quinn nachylił się ku niemu konspiracyjnie.

- Walczyłem tam od sześćdziesiątego drugiego do sześćdziesiątego siódmego - powiedział. - Pod Schrammem i Wauthierem. Wtedy byli tam sami Belgowie. Głównie Flamandowie. Najlepsi żołnierze na świecie.

To przypadło Kuyperowi do gustu. Pokiwał melancholijnie głową na generalne potwierdzenie tej prawdy.

- Daliśmy tym czarnym skurwysynom niezłą nauczkę, ja ci to mówię.

To jeszcze bardziej przypadło Kuyperowi do gustu.

- Ja też się o mały włos nie załapałem - powiedział ze smutkiem. Wyraźnie żał mu było utraconej szansy zabicia wielu Afrykanów. - Tylko że właśnie siedziałem.

Quinn nalał następną butelkę piwa, już siódmą.

- Mój najlepszy kumpel w Kongo pochodził skądś z tych stron - powiedział. - Było ich czterech z tatuażem pająka. Ale on był najlepszy. Jednej nocy pojechaliśmy wszyscy do miasta, znaleźliśmy tatuażystę i wtedy przyjęli do swego grona i mnie, że niby zdałem już swój egzamin. Może pamiętasz go stąd? Wielki Paul.

Kuyper odczekał, aż to imię powoli zapadnie mu w pamięć, zastanawiał się przez chwilę, zmarszczył z napięciem czoło i pokręcił głową.

- A jak miał na nazwisko?

- Za skarby świata nie mogę sobie przypomnieć. Obaj mieliśmy wtedy po dwadzieścia lat. To było dawno temu. Nazywaliśmy go po prostu Wielki Paul. Byk, ponad sześć stóp i sześć cali wzrostu. Napakowany jak ciężarówka. Musiał ważyć z dwieście pięćdziesiąt funtów. Cholera, jak on się nazywał?

Czoło Kuypera wygładziło się.

- Przypominam go sobie - powiedział. - Tak, potrafił niezłe przywalić. Musiał stąd przyskać. Gliny deptały mu po piętach. Dlatego właśnie wyjechał do Afryki. Skurwysyny chciały go dopaść za gwałt. Zaraz, zaraz... Marchais. Tak jest. Paul Marchais.

- No jasne - powiedział Quinn. - Poczciwy stary Paul.

Steve Pyle, dyrektor generalny Investment Bank w Rijadzie, otrzymał list Andy'ego Lainga w dziesięć dni po jego nadaniu. Przeczytał go w zaciszu swego gabinetu, a kiedy go odkładał, ręka mu drżała. To wszystko stawało się sennym koszmarem.

Wiedział, że zapis bankowego komputera wytrzyma elektroniczną kontrolę - robota, jaką wykonał pułkownik, usuwając jeden zestaw danych i zastępując go innym, zakrawała na dzieło geniusza - ale... A jeśli ministrowi, księciu Abdulowi, coś się przytrafi? A jeśli ministerstwo sporządzi swój kwietniowy bilans, a księżę nie potwierdzi, że aprobował zwiększenie funduszu? A on, Steve Pyle, miał na to tylko słowo pułkownika...

Próbował skontaktować się z pułkownikiem Easterhouse'em telefonicznie, ale okazało się, że pułkownik wyjechał. Przebywał na górzystej północy w okolicy Ha'il, snując plany z szyickim imamem, który wierzył, że na jego czole spoczęła dłoń Allacha, a na stopach buty Proroka, ale Pyle o tym nie wiedział. Miały upłynąć trzy dni, nim udało mu się skontaktować z pułkownikiem.

Quinn urabiał Kuypera piwem aż do wczesnego popołudnia. Musiał to robić bardzo ostrożnie. Za mało piwa i facetowi nie rozwiązałby się język na tyle, by przewyciężyć wrodzona ostrożność i małomówność; za dużo i po prostu by zasnął. Takim właśnie pijaczyna był Kuyper. - Straciłem go z oczu w sześćdziesiątym siódmym - ciągnął Quinn o ich wspólnym i zaginionym przyjacielu, Paulu Marchais. - Wyrwałem się stamtąd, kiedy nam, najemnikom, ziemia zaczęła się palić pod nogami. Jemu musiało się nie udać. Pewnie skończył w jakimś przydrożnym rowie.

Kuyper zarechotał, rozejrzał się dookoła i potarł palcem bok nosa w geście głupka, któremu się zdaje, że wie coś niezwykłego.

- Wrócił - powiedział zadowolony z siebie. - Udało mu się prysnąć. -Wrócił tutaj.

- Do Belgii?

- Aha. To musiało być w roku 1968. Właśnie wyszedłem z mamra. Widziałem go na własne oczy.

Dwadzieścia trzy lata, pomyślał Quinn. Facet mógł być Bóg wie gdzie.

- Wypiłoby się piwko z Wielkim Paulem za stare, dobre czasy - mruknął.

Kuyper pokręcił głową.

- Ni ma szansy - wybełkotał po pijacku. - Paul zniknął. Musiał, no nie? Z tą policją na karku i tak dalej. Ostatni raz, jak o nim słyszałem, to pracował w wesołym miasteczku gdzieś na południu.

Pięć minut później już spał. Quinn wrócił do hotelu dość niepewnym krokiem. On także odczuwał potrzebę snu.

- Pora zapracować na utrzymanie - powiedział do Sam. - Pójdiesz do informacji turystycznej i dowiesz się o wszystkie wesołe miasteczka, parki krajobrazowe i tak dalej. Na południu kraju.

Była szósta po południu. Przespał dwanaście godzin.

- Są dwa - poinformowała go Sam podczas śniadania, które zjedli w swoim pokoju. - Bellewaerde na przedmieściach Ieper, na samym zachodzie, u zbiegu wybrzeża i granicy z Francją, oraz Walibi koło Wavre. To na południu od Brukseli. Mam foldery.

- Nie sądzę, żeby ogłaszali w folderach, że zatrudniają u siebie byłych najemników z Kongo - mruknął Quinn. - Ten kretyń powiedział „na południu”. Weźmiemy na pierwszy ogień Walibi. Wyznacz trasę i idziemy się wymeldować.

Tuż przed dziesiątą wrzucił do samochodu swoją brezentową torbę, nowy jutowy worek i pokaźniejsze bagaże Sam. Kiedy wyjechali na autostradę, podróż znów okazała się bardzo szybka: na południe koło Mechelen, szeroką obwodnicą wokół Brukseli i znów na południe E40 do Wavre. Dalej stały już drogowskazy do wesołego miasteczka.

Rzecz jasna było nieczynne. Wszystkie wesołe miasteczka ze swymi zwinnymi samochodzikami opatulonymi brezentowymi pokrowcami, z pustymi i zionącymi chłodem pawilonami, deszczem bębniącym o dźwigary górskiej kolejki i wiatrem zasypującym mokrymi, brązowymi liśćmi Jaskinię Ali Baby, sprawiają w ponurym chłdzie zimy przygnębiające wrażenie. Z powodu deszczu przerwano nawet wszystkie prace konserwacyjne. W budynku administracyjnym także nie było żywego ducha. Poratowali się małą kawiarenką stojącą przy drodze nieopodal miasteczka.

- i co teraz? - spytała Sam.

- Do pana van Eycka do domu - powiedział Quinn i poprosił barmankę o lokalną książkę telefoniczną.

Jowialna fizjonomia dyrektora wesołego miasteczka, Bertie van Eycka, promieniała uśmiechem z pierwszej strony folderu sponad pisemnych słów powitania skierowanych do wszystkich odwiedzających. Ponieważ nazwisko było flamandzkie, a Wavre leży w głębi terenów francuskojęzycznych, książka telefoniczna wymieniała tylko trzech van Eycków. Jeden z nich miał na imię Albert-Bertie. Miejsce zamieszkania poza miastem. Zjedli lunch i wybrali się pod wskazany adres, pytając kilka razy o drogę.

Był to miły domek jednorodzinny stojący przy długiej wiejskiej drodze nazwanej Chemin des Charrons. Drzwi otworzyła pani van Eyck i zawołała męża, który zjawił się wkrótce w wełnianej kamizeli i kapciach. Zza jego pleców dobiegał sygnał telewizyjnego sprawozdania sportowego.

Bertie van Eyck, choć Flamand, pracował w branży turystycznej, toteż był dwujęzyczny. Po francusku mówił równie dobrze jak po flamandzku. Mówił także doskonale po angielsku. Od pierwszego spojrzenia rozpoznał w swych gościach Amerykanów.

- Tak, jestem van Eyck. Czy mogę państwu w czymś pomóc? - spytał.

- No masz, o to właśnie chodzi, sir, pewnie, że pan może - odparł Quinn. Przywdział pozę wiejskiego prostaczka, na którą dała się nabrać dziewczyna z hotelu Blackwooda. - Przyjechaliśmy z tą tutaj moją panią do Belgii, żeby odszukać krewnych ze starego kraju. Widzi pan, mój dziadzio ze strony mamy pochodził z Belgii, więc właśnie gdzieś w tych stronach mam kuzynostwo. Pomyślałem sobie, że gdyby udało się któregoś z nich odnaleźć, to rodzinka w Stanach na pewno by się ucieszyła...

Z telewizora dobiegł ryk. Van Eyck był wyraźnie zaniepokojony. Liderzy belgijskiej ligi, Tournai, grali z mistrzami Francji, Sainte-Etienne. Żaden piłkarski kibic nie mógł przeoczyć takiej gratki.

- Obawiam się, że niestety nie jestem spokrewniony z żadnymi Amerykanami - powiedział.

- Och nie, sir, pan mnie źle zrozumiał. W Antwerpii powiedzieli mi, że siostrzeniec mojej mamy pracuje chyba gdzieś w tych stronach w jakimś wesołym miasteczku. Paul Marchais.

Van Eyck zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

- Znam wszystkich swoich pracowników. Nie mam żadnego o takim nazwisku.

- Taki bysio, nazywają go Wielki Paul. Sześć stóp i sześć cali wzrostu. Taaaki w barach, ma tatuaż na lewej ręce...

- *Ja, ja, ja*, ale on nie nazywa się Marchais. Chodzi panu o Paula Leforta.

- Ano może rzeczywiście - zgodził się Quinn. - Coś mi się przypomina, że siostra mojej mamy faktycznie miała dwóch mężów, to i nic dziwnego, że on może mieć inne nazwisko. Nie wie pan przypadkiem, gdzie on mieszka?

- Proszę chwilę poczekać.

Zjawił się z powrotem dwie minuty później z kartką papieru w ręce, po czym spieszenie powrócił do oglądania swego meczu. Tournai strzeliło gola, a on tego nie widział.

- Nigdy w życiu nie słyszałam tak odrażającej parodii amerykańskiego przygłupa w odwiedzinach w Europie - powiedziała Sam, kiedy ruszyli w drogę powrotną do Wavre.

Quinn wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Okazała się skuteczna, nie?

Znaleźli pensjonat madame Garnier, małej zasuszonej wdowy, tuż za stacją kolejową. Madame Garnier z miejsca oświadczyła Quinnowi, że nie ma wolnych pokoi, ale zmiękła nieco, kiedy jej wytłumaczył, że nie chodzi mu o nocleg, a po prostu o pogawędkę ze starym przyjacielem, Paulem Lefortem. Mówił po francusku tak płynnie, że wzięła go za Francuza.

- Ale jego nie ma, monsieur, wyszedł do pracy.

- Do Walibi? - spytał Quinn.

- Ależ oczywiście. Przy diabelskim młynie. Robi generalny przegląd silnika przed zimą.

Quinn wykonał galijski gest wyrażający rozczarowanie.

- Wciąż się z nim rozmijam - uzalił się. - Kiedy na początku zeszłego miesiąca przejeżdżałem obok miasteczka, był na urlopie.

- Och, nie na urlopie, monsieur. Umarła jego biedaczka matka. Po długiej chorobie. Pielęgnował ją do samego końca, w Antwerpii.

A więc to taką bajeczkę im opowiedział. Nie było go w domu i w pracy przez dwa ostatnie tygodnie września i cały październik. Pewnie, że nie było, pomyślał Quinn. Uśmiechnął się promiennie, podziękował madame Garnier i pojechał z Sam z powrotem cztery kilometry do wesołego miasteczka.

Było równie opuszczone jak sześć godzin wcześniej, ale teraz, w ciemności, sprawiało wrażenie miasta widma. Quinn wdrapał się na zewnętrzny płot i pomógł Sam sforsować go za sobą. Na tle ciemnego aksamitu nocy majaczyły atramentowe dźwigary diabelskiego młyna, najwyższego obiektu w miasteczku.

Przeszli obok zdemontowanej karuzeli, której stare drewniane konie złożono zapewne w magazynie, obok porzuconej huštawki, zabitego na głucho kiosku z hot-dogami. Nad wszystkim górował w mroku nocy diabelski młyn.

- Zostań tutaj - szepnął Quinn. Zostawiwszy Sam w cieniu, podszedł do podstawy urządzenia.

- Lefort! - zawołał cicho. Nie było odpowiedzi.

Zwisające na stalowych prętach kosze z podwójnymi siedzeniami przykryto plandekami, by zabezpieczyć ich wnętrza. Ani w najniższych koszach, ani pod nimi nie było nikogo. Może facet przyczał się gdzieś w ciemności i czekał na nich. Quinn obejrzał się za siebie.

Z boku konstrukcji stała maszynownia, duża szopa z pomalowanej na zielono blachy mieszcząca silnik, z żółtą kabiną operatora na szczycie. Drzwi do obu pomieszczeń ustąpiły pod dotknięciem ręki. Generator nie wydawał najmniejszego szmeru. Quinn przyłożył do niego dłoń. Maszyna była jeszcze lekko ciepła.

Wspiał się do kabiny kontrolnej, włączył małe światełko nad pulpitem, przyjrzał się dźwigniom i zwolnił jeden z przycisków. Silnik w dole ożył z pomrukiem. Wrzucił bieg i przesunął dźwignię jazdy do przodu na pozycję "wolno". Ogromne koło zaczęło obracać się przed nim w ciemności. Odszukał przełącznik oświetlenia, nacisnął go i cały teren wokół podstawy urządzenia zalało jaskrawe światło.

Quinn zszedł na dół i stanął przy rampie do wsiadania. Złożone siedzenia przesuwają się w ciszy obok niego, jedno za drugim. Podeszła Sam.

- Co robisz? - spytała szeptem.

- W maszynowni na dole był jeden wolny pokrowiec na siedzenie - odparł. Z mroku po prawej ręce zaczął się wyłaniać kosz, który przedtem znajdował się na samym szczycie diabelskiego młyna. Zajmującemu go mężczyźnie przejażdżka nie sprawiała przyjemności.

Leżał bezwładnie na ławce siedzenia, a jego potężne ciało zajmowało niemal całą przestrzeń przeznaczoną dla dwóch pasażerów. Ręka z tatuażem opadła mu bezwładnie na brzuch, głowę miał odrzuconą na oparcie i wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w dźwigiary i niebo. Przesunął powoli ledwie kilka stóp od nich. W na wpół rozchyłonych ustach załśniły wilgocią w świetle reflektorów szerniały od nikotyny zęby. Dokładnie pośrodku jego czoła ziała w głąb głowy okrągła dziura o osmalonych na ciemno brzegach. Minął ich i zaczął piąć się ponownie w górę, w niebo i noc.

Quinn wrócił do kabiny kontrolnej i zatrzymał diabelskie koło dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej stało przedtem, z jedynym zajęтым siedzeniem na samym szczycie, poza

zasięgiem wzroku. Wyłączył silnik i światła, zamknął na klucz oboje drzwi, po czym zebrał razem oba klucze od drzwi i kluczyk od stacyjki silnika i cisnął je daleko do ozdobnego jeziora. Wolny pokrowiec na siedzenie zostawił zamknięty w maszynowni. Po głowie chodziły mu różne dziwne myśli. Sam, kiedy rzucił na nią okiem, sprawiała wrażenie bladej i wstrząśniętej.

Wyjeżdżając z Wavre z powrotem na autostradę, minęli po drodze jeszcze raz Chemin des Charrons i domek dyrektora wesołego miasteczka, który właśnie stracił pracownika. Znow zaczęło padać.

Pół mili dalej wypatrzyli hotel „Domaine des Champes”, pobłyskujący zapraszająco swymi światłami w wilgotnej ciemności.

Po załatwieniu formalności w recepcji Quinn zaproponował Sam, żeby wykąpała się pierwsza. Nie miała nic przeciwko temu. Kiedy weszła do wanny, przetrząsnął jej bagaże. Pokrowiec na suknie firmy Valpak nie stanowił problemu; walizka z miękkiej skóry zajęła mu trzydzieści sekund.

Kanciasta, usztywniona w rogach kosmetyczka była ciężka. Wytrząsnął z niej całą kolekcję lakierów do włosów, szamponów, perfum, tuszów do rzęs, puderniczek, lusterek, szczotek i grzebieni. Nadal była ciężka. Zmierzył jej wysokość od brzegu do dna po wewnętrznej stronie, a następnie po zewnętrznej. Są różne powody, dla których ludzie nie znoszą latać samolotami. Jednym z nich mogą być rentgeny do prześwietlania bagażu. Różnica wynosiła dwa cale. Quinn wyjął scyzoryk i odszukał szczelinę w wewnętrznym denku kosmetyczki.

Sam wyszła z łazienki dziesięć minut później, czesząc mokre włosy. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kiedy jej wzrok padł na to, co leżało na łóżku i urwała w pół słowa. Twarz jej poszarzała.

Nie była to broń, jaką tradycyjnie określa się mianem „damskiej”. Był to Smith&Wesson, kaliber 0.38, z długą lufą, a rozsypane na narzucie kule miały spłaszczone czubki. Prawdziwa armata.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Quinn, przysięgam na Boga, że to Brown wtrzyił mi to cholerstwo, nim wyraził zgodę, żebym się z tobą zabrała. Twierdził, że to na wypadek, gdyby się zrobiło gorąco.

Quinn skinął głową i zaczął dziobać widelcem jedzenie na swym talerzu; było znakomite, ale Quinn stracił apetyt.

- Słuchaj, przecież dobrze wiesz, że nikt z niego nie strzelał, i od wyjazdu z Antwerpii ani na chwilę nie zniknęłam ci z oczu.

Oczywiście miała rację. Bo chociaż poprzedniej nocy spał całe dwanaście godzin, co zupełnie wystarczało, żeby pokonać samochodem odległość z Antwerpii do Wewre i z powrotem i zachować jeszcze trochę wolnego czasu, to przecież madame Garnier mówiła, że jej lokator wyszedł do pracy przy diabelskim młynie rankiem po śniadaniu. Kiedy Quinn obudził się o szóstej rano, Sam leżała razem z nim w łóżku. Ale przecież w Belgii istnieją telefony.

Sam nie dotarła do Marchais przed nim, ale jednak ktoś dotarł. Brown i jego psy gończe z FBI? Quinn wiedział, że oni także operują w Europie, i to przy pełnym wsparciu policji wszystkich krajów. Ale Brown chciałby mieć tego człowieka żywego, zdolnego sypać, zdolnego zidentyfikować swoich współników. Może. Odsunął od siebie talerz.

- To był długi dzień - powiedział. - Chodźmy spać.

Ale po zgaszeniu światła długo jeszcze leżał z otwartymi oczami i wpatrywał się w sufit. O północy zasnął. Postanowił jej wierzyć.

Wyjechali wczesnym rankiem, po śniadaniu. Sam siadła za kierownicą.

- Dokąd, panie mój i władco?

- Do Hamburga.

- Do Hamburga? A co takiego jest w Hamburgu?

- Znam tam jednego faceta - było jego jedyną odpowiedzią. Znów pojechali siecią autostrad, najpierw na południe, by wpaść na E 41 powyżej Namour, potem prosta jak strzełił autostradą na wschód, ominęli Liege i przekroczyli niemiecką granicę w Aachen. Sieć belgijskich autostrad przeszła płynnie w system niemieckich autobahnów, po drugiej stronie granicy Sam skręciła na północ, przecięli niemal niewiarygodny gąszcz przemysłowych zakładów Ruhry, minęli Dusseldorf, Duisburg i Essen i wypłynęli w końcu na rolnicze równiny Dolnej Saksonii.

Po trzech godzinach jazdy Quinn zmienił ją przy kierownicy, a po następnych dwóch zatrzymali się na lunch z treściwych westfalskich kiełbasek i sałatki z ziemniaków w jednym z nieprzeliczonych *Gasthauser*, które pojawiają się co dwie, trzy minuty jazdy przy wszystkich niemieckich głównych drogach. Zmierzchało już, kiedy włączyli się w kolumny ruchu ulicznego sunące przez południowe przedmieścia Hamburga.

Quinn zastał to stare hanzeatyckie miasto portowe nad Łabą prawie dokładnie takim, jakim je pamiętał. Znaleźli mały, anonimowy, lecz wygodny hotelik za Steindammtor i zameldowali się w recepcji.

- Nie wiedziałam, że mówisz także po niemiecku - powiedziała Sam, kiedy znaleźli się w swoim pokoju.

- Nie pytałaś - odparł Guinn. Prawda była taka, że nauczył się tego języka wiele lat wcześniej, ponieważ w czasach, kiedy szalało ugrupowanie terrorystyczne Baader-Meinhof i gdy do działań włączyli się ich następcy z Frakcji Armii Czerwonej, porwania zdarzały się w Niemczech często i równie często były bardzo krwawe. Pod koniec lat siedemdziesiątych trzy razy pracował nad różnymi sprawami w Republice Federalnej.

Wykonał dwa telefony, ale okazało się, że człowiek, z którym chciał rozmawiać, będzie w swym biurze dopiero nazajutrz rano.

Generał Wadim Wasiliewicz Kirpiczenko stał w sekretariacie i czekał. Pomimo kamiennej twarzy czuł rosnące zdenerwowanie. Nie dlatego, by człowiek, z którym chciał się zobaczyć, był nieprzystępny; mówiono o nim coś wręcz przeciwnego, a poza tym spotykali się już kilkakrotnie, choć zawsze urzędowo i publicznie. Jego niepokój wynikał z czego innego. Ominąć swych zwierzchników z KGB i poprosić o osobiste i prywatne spotkanie z sekretarzem generalnym było wielkim ryzykiem. Gdyby potoczyło się ono nie po jego myśli, gdyby potoczyło się rzeczywiście źle, jego kariera byłaby skończona.

Mężczyzna pełniący funkcję sekretarki podszedł do drzwi prywatnego gabinetu i przystanął przed nimi.

- Sekretarz generalny prosi was do siebie, towarzyszu generale - powiedział i odstąpił na bok. Kiedy Kirpiczenko wszedł, mężczyzna opuścił gabinet i zamknął za sobą drzwi.

Zastępca szefa Zarządu Pierwszego, najwyższy rangą zawodowy oficer pionu wywiadu zagranicznego, przeszedł przez cały długi gabinet prosto ku mężczyźnie, który siedział za biurkiem przy jego końcu. Jeśli Michaiła Gorbaczwowa zaskoczyła prośba o to spotkanie, to nie pokazał tego po sobie. Powitał generała KGB po koleżeńsku, zwracając się do niego po imieniu i patronimikum, i umilkł, czekając, aż jego gość przystąpi do rzeczy.

- Otrzymaliście, towarzyszu sekretarzu generalny, raport z naszej placówki w Londynie dotyczący tak zwanych dowodów, wydobytych przez Brytyjczyków z ciała Simona Cormacka.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie. Kirpiczenko wiedział, że sekretarz generalny musiał ten raport widzieć. Zaządał wyników londyńskiego spotkania natychmiast po ich nadejściu. Gorbaczow skinął krótko głową.

- I oczywiście wiecie, towarzyszu sekretarzu generalny, że nasi koledzy z sił zbrojnych zaprzeczają, jakoby przedmiot na fotografii był fragmentem jakiegokolwiek z ich urządzeń.

Programy rakietowe Bajkonuru podlegały wojsku. Następne skiniecie. Kirpiczenko chwycił byka z rogi.

- Cztery miesiące temu przedłożyłem raport otrzymany od mojego rezydenta w Belgradzie, który uznałem za na tyle ważny, że zadekretowałem go do przekazania przez towarzysza przewodniczącego bezpośrednio tutaj.

Gorbaczow zeszytniał. Wyszło szydło z worka. Stojący przed nim oficer, choć bardzo wysoki rangą, przyszedł tu z czymś za plecami Kriuczkowa. Radzę wam, żeby to było coś rzeczywiście ważnego, towarzyszu generale, pomyślał. Na twarzy nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

- Spodziewałem się otrzymać polecenie dokładniejszego zbadania sprawy. Nie otrzymałem go. Pomyślałem, że może w ogóle nie widzieliście, towarzyszu sekretarzu, tego sierpniowego raportu. To w końcu miesiąc wakacyjny...

Gorbaczow przypomniał sobie swój przerwany urlop. Ci Żydzi, którym odmówiono pozwolenia na wyjazd, spalowani na jednej z moskiewskich ulic na oczach wszystkich zachodnich dziennikarzy.

- Macie przy sobie kopię tego raportu, towarzyszu generale? - spytał spokojnie. Kirpiczenko wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwie złożone kartki papieru. Zawsze ubierał się po cywilnemu, nie znosił mundurów.

- Być może nie ma tu żadnego powiązania, towarzyszu sekretarzu generalny. Mam nadzieję, że nie ma. Ale nie lubię zbiegów okoliczności. Wyszkolono mnie, aby ich nie lubić...

Michaił Gorbaczow przeczytał raport majora Kerkoriana z Belgradu i ze zdumienia zmarszczył czoło.

- Co to za ludzie? - spytał.

- Pięciu amerykańskich przemysłowców. Ten Miller ma u nas etykietkę skrajnego prawicowca, człowieka, który nienawidzi naszego kraju i wszystkiego, co on sobą reprezentuje. Scanlon to typ przemysłowca, jakich Amerykanie nazywają przebojowcami. Pozostali trzej produkują niezwykle wyszukaną broń dla Pentagonu. Już same tylko techniczne dane, które noszą w swych głowach, powinny wystarczyć, aby ich noga nigdy nie powstała na naszej ziemi w obawie przed narażeniem się na ewentualne przesłuchanie.

- A jednak przyjechali? - spytał Gorbaczow. - Cichcem, wojskowym samolotem? I wylądowali w Odessie?

- To właśnie ten zbieg okoliczności - odparł naczelny szpieg. - Sprawdziłem w kontroli lotów powietrznych sił zbrojnych. Kiedy Antonow opuścił rumuński obszar powietrzny, by wejść w strefę kontrolną Odessy, zmienił swój własny plan lotu, ominął Odessę i wylądował w Baku.

- Azerbejdżanie? Co oni, u diabła, robili w Azerbejdżanie?

- Baku, towarzyszu sekretarzu generalny, jest siedzibą naczelnego dowództwa okręgu Południe.

- Ale to przecież ściśle tajna baza. Co oni tam robili?

- Nie wiem. Po wylądowaniu zniknęli, spędzili szesnaście godzin na terenie bazy, po czym odlecieli tym samym samolotem do tej samej bazy powietrznej na terenie Jugosławii, i natychmiast wrócili do Ameryki. Żadnego polowania na dziki, żadnego urlopu.

- Coś jeszcze?

- Jeszcze ostatni zbieg okoliczności. Tego właśnie dnia marszałek Kozłow wizytował kwaterę dowództwa w Baku. Podobno zwykła rutynowa wizytacja.

Po wyjściu generała Michaił Gorbaczow polecił, aby go z nikim nie łączono i zaczął analizować to, czego się dowiedział. Źle to wyglądało, wręcz fatalnie, niemal wszystko. Była jednak pewna rekompensata. Jego zapiekły przeciwnik, generał kierujący KGB, popełnił właśnie bardzo poważny błąd.

Źłe wieści spadły nie tylko na plac Nowy w Moskwie. Zawisły także nad położonym na najwyższym piętrze luksusowym gabinetem Steve'a Pyle'a w Rijadzie. Pułkownik Easterhouse odłożył list od Andy'ego Lainga.

- No tak - powiedział.

- Jezu, ten wypierdek wciąż jeszcze może nas nieźle urządzić - gorączkował się Pyle. - Niech sobie będzie, że dane w komputerze różnią się od tego, co on twierdzi. Ale jeśli nadal będzie się przy tym upierał, to buchalterzy z ministerstwa mogą zechcieć się im przyjrzeć, tak naprawdę przyjrzeć. Jeszcze przed kwietniem. Niby wiem, że to wszystko zostało

zaaprobowane przez samego księcia Abdula, i w dobrej sprawie, ale, do diabła - zna pan tych ludzi. A jeśli wycofa swoje poparcie, powie, że o niczym nie ma pojęcia? Sam pan wie, że oni potrafią coś takiego wykręcić. Niech pan posłucha, pomyślałem sobie, że może lepiej, żeby zwrócił pan te pieniądze, znalazł potrzebne fundusze gdzie indziej...

Easterhouse nie przestawał wodzić wzrokiem po ciągnącej się do horyzontu pustyni. Sprawa przedstawia się znacznie gorzej, przyjacielu, pomyślał. Nie ma żadnego współdziałania księcia Abdula. żadnej aprobaty dworu, i połowa pieniędzy już się rozeszła na przygotowania do przewrotu, który pewnego dnia miał zapewnić ład i porządek, jego ład i porządek, w zwariowanych gospodarkach i niezrównoważonych politycznych strukturach całego Bliskiego Wschodu. Wątpił, czy dom saudyjski patrzyłby na to w ten sposób: albo Departament Stanu.

- Uspokój się, Steve - powiedział z pewnością w głosie. - Wiesz, kogo tutaj reprezentuję. Sprawa zostanie załatwiona. Możesz być tego pewien.

Pyle odprowadził go do drzwi, ale nie uspokoił się. Nawet CIA miewała wpadki, o czym przypominał sobie poniewczasie. Gdyby miał większy zasób wiadomości, a czytał mniej literatury sensacyjnej, wiedziałby, że wyższy rangą pracownik Agencji nie może mieć stopnia pułkownika. Langley nie przyjmuje do pracy byłych wojskowych. Ale on tego nie wiedział. Po prostu denerwował się.

Zjeżdżając w dół, pułkownik Easterhouse uzmysłowił sobie, że będzie musiał wrócić do Stanów na konsultacje, i tak była na to już najwyższa pora. Wszystkie trybiki zostały puszczane w ruch, tykały jak cierpliwa bomba zegarowa. Wyprzedził nawet nieco harmonogram. Powinien zdać swym mocodawcom raport sytuacyjny. Przy okazji wspomni słowem o Andym Laingu. Na pewno da się jakoś faceta podkupić, przekonać go, żeby wstrzymał ogień, przynajmniej do kwietnia. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się myli.

- Dieter, jesteś mi coś dłużny i przyszedł czas wykupić ten weksel. Quinn siedział ze swym kontaktem w barze, dwie przecznice od biura, w którym ten człowiek pracował. Kontakt wyglądał na zafrasowanego.

- Ale, Quinn, proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć. Tu nie chodzi tylko o zasady firmy. Dostępu do kostnicy zabrania wszystkim nie zatrudnionym aż samo prawo federalne.

Dieter Lutz był o dziesięć lat młodszy od Quinna, ale powodziło mu się znacznie lepiej. Bił od niego blask błyskotliwej kariery. W rzeczy samej był członkiem kolegium redakcyjnego tygodnika *Der Spiegel*, największego i najbardziej prestiżowego niemieckiego magazynu omawiającego wydarzenia bieżące.

Nie zawsze tak było. Swego czasu był wolnym strzelcem, bez stałego kontraktu, ledwie wiązał koniec z końcem, próbując choć o krok ubiec konkurencję, kiedy wybuchały

sensacyjne historie. W owym czasie dokonano porwania, które przez wiele dni nie schodziło z czołówek wszystkich niemieckich gazet. W najbardziej drażliwym momencie negocjacji z porwaczami Dieter Lutz podał do publicznej wiadomości coś, co o mały włos nie doprowadziło do ich zerwania.

Rozsierdzona policja chciała wiedzieć, gdzie nastąpił przeciek. Ofiara porwania był wielki przemysłowiec zasilający fundusze partii bardzo znacznymi kwotami, toteż Bonn ostro naciskało na policję. Quinn wiedział, kto ponosi winę za przeciek, ale zachował milczenie. Szkoda została wyrządzona, należało ją naprawić, ale zniszczenie młodego dziennikarza, nieco nadgorliwego, choć niezbyt rozsądnego, w niczym nie mogło tu pomóc.

- Ja wcale nie chcę się tam włąmywać - wytłumaczył mu cierpliwie. - Ty jesteś pracownikiem. Ty masz prawo tam wejść i otrzymać materiał, jeśli go w ogóle mają.

Redakcja *Der Spiegel* mieści się przy Brandatwiete 19, krótkiej uliczce biegnącej między kanałem Dovenfleet i Ost-West-Strasse. W podziemiach nowoczesnego jedenastopiętrowego wieżowca drzemie największa gazetowa "kostnica" w Europie. Przechowuje się w niej ponad osiemnaście milionów dokumentów. Kiedy tego listopadowego popołudnia Quinn pił z Lutzem piwo w barze przy Dom Strasse, komputeryzowanie ich trwało już przeszło dziesięć lat. Lutz westchnął.

- No dobrze - powiedział. - Jak on się nazywa?

- Paul Marchais - powiedział Quinn. - Belgijski najemnik. Walczył w Kongo w latach 1964-1968 i wszystkie zbiorcze opracowania wydarzeń z tego okresu.

Quinn mógł zapewne znaleźć to i owo o Paulu Marchais w archiwach Juliana Haymana w Londynie, ale wówczas nie potrafił mu jeszcze podać jego nazwiska. Godzinę później Lutz wrócił z teczką dokumentów.

- Nie wolno mi tego wypuścić z rąk - powiedział. - i muszę to oddać przed nocą.

- Pieprzenie - odparł Quinn przyjaźnie. - Wracaj do roboty. Przyjdź tutaj z powrotem za cztery godziny. Wtedy ci je oddam.

Lutz odszedł. Sam nie zrozumiała ani słowa z prowadzonej po niemiecku rozmowy, ale teraz pochyliła się ku Quinnowi, by zobaczyć, co dostał.

- Czego szukasz? - spytała.

- Chcę zobaczyć, czy skurwysyn nie miał jakiegoś przyjaciela, jakiegoś naprawdę bliskiego kumpla - odparł Quinn. Zabrał się do czytania.

Pierwszy wycinek pochodził z jakiejś antwerpskiej gazety z roku 1965. Był to zbiorczy przegląd mieszkańców regionu, którzy zaciągnęli się, by walczyć w Kongo. W owych czasach był to dla Belgów temat budzący sporo emocji. Opowieści o rebeliantach

Simby gwałcących, torturujących i mordujących księży, zakonnice, plantatorów, misjonarzy, kobiety i dzieci, w większości Belgów, przydały najemnikom, którzy stłumili rebelię Simby, swego rodzaju splendoru. Artykuł napisany był po flamandzku, załączono do niego niemieckie tłumaczenie.

Marchais, Paul, urodzony w Liege w roku 1943, syn Walona i Flamandki. To by tłumaczyło francusko brzmiące nazwisko chłopca, który wychował się w Antwerpii. Ojciec zabity w czasie wyzwolenia Belgii na przełomie roku 1944 i 1945. Matka powróciła do swej rodzinnej Antwerpii.

Dzieciństwo spędzone w dzielnicy nędzy, w pobliżu doków. Kłopoty z policją od początku wieku dorastania. Łańcuszek małych wyroków do wiosny roku 1964. Zjawił się w Kongo z Grupą Leopard Jacques'a Schramme'a... Nie było nawet wzmianki o oskarzeniu o gwałt. Może antwerpska policja nabrała wody w usta w nadziei, że facet wróci i będzie można go aresztować.

Drugi wycinek był tylko marginesową wzmianką. W 1966 roku Marchais najwyraźniej porzucił Schramme'a i wstąpił do Piątego Commando, dowodzonego już wówczas przez Johna Petersa, który nastąpił po Mike'u Hoare. Jego członkami byli głównie najemnicy z Afryki Południowej - Peters szybko pozbył się większości brytyjskich najemników Hoare'a. Flamandzki Paula Marchais mógł mu pozwolić przetrwać wśród Afrykanerów, jako że afrikaans i flamandzki są do siebie bardzo podobne.

Pozostałe dwa wycinki wspominały o Marchais lub po prostu o potężnym Belgu zwanym Wielkim Paulem, który pozostał w Kongo po rozwiązaniu Piątego Commando i wyjeździe Petersa i przyłączył się ponownie do Schramme'a tuż przed buntem w Stanleyville w roku 1967 i długim marszem do Bukavu.

Na koniec Lutz załączył fotokopie pięciu stron z klasycznej *Histoire des mercenaires* Anthony'ego Mocklera, z których Quinn mógł uzupełnić swoje wiadomości o ostatnich miesiącach pobytu Marchais w Kongo.

Po ostatecznym stłumieniu rewolty Simby w kongijskiej stolicy dokonano zamachu stanu i władzę objął generał Mobutu. Natychmiast też podjął działania zmierzające do rozwiązania i odesłania do domów przeróżnych oddziałów białych najemników. Piąte Commando, południowoafrykańsko-brytyjskie, pozwoliło się rozwiązać. Szóste, dowodzone przez Francuza, Boba Denarda, stawiało opór. W czerwcu roku 1967 podnieśli bunt w Stanleyville; Denard został postrzelony w głowę i ewakuowany do Rodezji. Dowództwo objął Jacques Schramme. Zebrał pod sobą resztki Piątego Commahdo, Francuzów z Szóstego

Commando pozbawionych teraz dowódcy i swych własnych Belgów. A także kilkuset żołnierzy z Katangi.

Pod koniec lipca, nie będąc w stanie utrzymać Stanleyville, wyruszyli w kierunku granicy, kładąc pokotem wszystkich, którzy stanęli im na drodze, aż dotarli do Bukavu, uroczej niegdyś miejscowości wypoczynkowej dla Belgów, chłodnego kurortu nad brzegiem jeziora. Tam się okopali.

Trzymali się przez trzy miesiące, aż wreszcie skończyła im się amunicja. Wtedy przemaszzerowali po prostu mostem na drugą stronę jeziora do sąsiedniej republiki Ruandy.

Resztę Quinn już słyszał. Pomimo braku amunicji sterroryzowali rząd Ruandy, który podejrzewał, że jeśli nie spełni ich żądań, mogą po prostu „przejąć” cały kraj. Belgijski konsul znalazł się w bardzo kłopotliwym położeniu. Wielu belgijskich najemników utraciło dowody tożsamości, przypadkiem lub z premedytacją. Nękany dyplomata wystawił im tymczasowe belgijskie dowody osobiste na nazwiska, jakie mu podawali. To wtedy pewnie Paul Marchais przeistoczył się w Paula Leforta. Nie potrzeba było jakiegoś niezwykłego sprytu, by później wymienić te papiery na normalny dowód osobisty, zwłaszcza jeżeli jakiś Paul Lefort rzeczywiście istniał i właśnie tam gdzieś zaginął.

23 kwietnia 1968 roku dwa samoloty Czerwonego Krzyża repatriowały w końcu białych najemników. Jeden poleciał prosto do Brukseli, zabrawszy na pokład wszystkich Belgów. Wszystkich oprócz jednego. Belgijska opinia publiczna gotowała się do powitania najemników jak bohaterów, ale nie policja. Skonfrontowała wszystkich wysiadających z samolotu ze swą własną listą „poszukiwanych”. Marchais musiał zabrać się tym drugim DC-6, tym, który odstawił swój ludzki ładunek do Pizy, Zurychu i Paryża. Łącznie oba samoloty przywoziły z powrotem do Europy 123 najemników południowoafrykańskich i różnych europejskich narodowości.

Quinn był pewien, że Marchais leciał tym drugim samolotem, że zniknął na dwadzieścia trzy lata w ślepych zaułkach prac w wesołych miasteczkach, aż został zwerbowany do swego ostatniego zagranicznego zadania. Quinnowi było potrzebne nazwisko jeszcze jednego człowieka, który wykonywał z nim to zadanie. W tych wycinkach gazetowych nie było nic, co pomogłoby mu wpaść na jego trop. Wrócił Lutz.

- Jeszcze jedno - powiedział Quinn.

- Nie mogę - zaprotestował Lutz. - i tak już się rozniosło, że piszę coś o historii najemnictwa. A ja nic takiego nie piszę. Zajmuję się spotkaniem ministrów rolnictwa krajów Wspólnego Rynku.

- Poszerz swoje horyzonty - poradził mu Quinn. - Ilu niemieckich najemników brało udział w buncie w Stanleyville, w przemarszu do Bukavu, było oblężonych w Bukavu i internowanych w Ruandzie?

Lutz zanotował.

- Mam w domu żonę i dzieci, które na mnie czekają - mruknął.

- No to szczęściarz z ciebie - odparł Quinn.

Zakres informacji, o które poprosił tym razem, był znacznie węższy, toteż Lutz wrócił z kostnicy już po piętnastu minutach. Tym razem zaczekał, aż Quinn przeczyta.

To, co przyniósł, było pełnym *dossier* niemieckich najemników od roku 1960. Co najmniej kilkunastu. Wilhelm był w Kongo, w Watsa. Zmarł wskutek ran odniesionych w zasadzce na drodze do Paulis. Rolf Steiner był w Biafrze, wciąż jeszcze mieszkał w Monachium, ale nigdy nie był w Kongo. Quinn odwrócił kartkę. Siegfried "Kongo" Muller był w Kongo od początku do samego końca. Umarł w Afryce Południowej w 1983 roku.

Było jeszcze dwóch innych Niemców, obaj mieszkali w Norymberdze, podano ich adresy, ale obaj wyjechali po rozwiązaniu Piątego Commando wiosną 1967 roku i w ogóle nie brali udziału w buncie Szóstego w Stanleyville w lipcu. W ten sposób pozostał jeden.

Werner Bernhardt należał do Piątego Commando, ale po jego rozwiązaniu przeniósł się do Schramme'a. Brał udział w buncie, w przemarszu do Bukavu i w oblężeniu w kurorcie nad brzegiem jeziora. Jego adresu nie podano.

- Gdzie może być teraz? - spytał Quinn.

- Jeśli tego nie podają, to znaczy, że zniknął - odparł Lutz. - Wiesz, to się działo w 1968 roku. Teraz mamy dziewięćdziesiąty pierwszy. Może już nie żyć... może być dokładnie gdziekolwiek. Tacy jak on... sam wiesz... w Ameryce Środkowej albo Południowej, Afryce Południowej ...

- Albo gdzieś tu, w Niemczech - zasugerował Quinn. W odpowiedzi Lutz pożyczyl od barmanki książkę telefoniczną. Były w niej cztery kolumny Bernhardtów. A to była tylko książka telefoniczna Hamburga. W Republice Federalnej jest dziesięć krajów związkowych i każdy z nich ma kilka książek telefonicznych.

- Rejestry policyjne? - spytał Quinn.

- Jeśli nie popełnił żadnych ciężkich przestępstw, ściganych przez policję federalną, trzeba by przejrzeć dziesięć odrębnych rejestrów krajowych - odparł Lutz. - Widzisz, po wojnie, kiedy alianci byli tak mili i napisali nam za nas naszą konstytucję, wszystko zostało zdecentralizowane. Żeby już nigdy nie pojawił się u nas drugi Hitler. Przez co próba wytropienia kogoś to świetna zabawa. Wiem, to należy do mojej roboty. Ale takiego faceta...

znikome szanse. Jeśli chce zniknąć, to znika. Ten widocznie chciał, bo inaczej musiałyby w ciągu tych dwudziestu trzech lat udzielić jakiegoś wywiadu, pojawić się w jakiejś gazecie. A tu nic. Bo gdyby gdzieś wypłynął, mielibyśmy to w naszych archiwach. Quinn miał jeszcze jedno pytanie. Skąd ten Bernhardt w ogóle pochodził. Lutz przerzucił kartki.

- Z Dortmundu - powiedział. - Urodził się i wychował w Dortmundzie. Może tamtejsza policja coś wie. Ale oni ci nie powiedzą. Prawa obywatelskie, sam rozumiesz. My, tu w Niemczech, jesteśmy bardzo czuli na punkcie praw obywatelskich.

Quinn podziękował mu i puścił go do domu, po czym ruszył z Sam spacerem uliczką w poszukiwaniu jakiejś obiecującej restauracyjki.

- I dokąd teraz? - spytała Sam.

- Do Dortmundu - odparł. - Znam tam jednego faceta.

- Kochanie, a czy jest takie miejsce na świecie, gdzie byś nie znał jednego faceta?

W połowie listopada Michael Odell spotkał się sam na sam z prezydentem Cormackiem w Pokoju Owalnym. Wiceprezydent był wstrząśnięty zmianą, jaka zaszła w jego starym przyjacielu. Daleki od przyjscia do siebie po pogrzebie, John Cormack jakby się w siebie zapadł.

Nie tylko jego wygląd fizyczny zaniepokoił Odella. Zniknęła poprzednia zdolność koncentracji, ulotniła się gdzieś cała dawna błyskotliwość. Spróbował przyciągnąć uwagę prezydenta do rozkładu dnia.

- Ach tak - powiedział Cormack, z wyraźnym wysiłkiem próbując się ożywić. - Zobaczymy, co tam mamy.

Zaczął przeglądać stronę na poniedziałek.

- John, dzisiaj jest już wtorek - powiedział łagodnie Odell.

Po przekręceniu strony wiceprezydent ujrzał szerokie czerwone linie skreślonych spotkań. Do miasta przybył szef jednego z państw członkowskich NATO. Prezydent powinien powitać go na trawniku przed Białym Domem. Nie musiał prowadzić z nim rozmów - Europejczyk by to zrozumiał - wystarczyło, żeby go po prostu przywitał.

Poza tym nie chodziło o to, czy zrozumie to europejski mąż stanu; chodziło o to, czy jeśli prezydent się nie pokaże, zrozumieją to amerykańskie środki przekazu. Odell obawiał się, że zrozumieją aż za dobrze.

- Zastąpisz mnie, Michael? - spytał błagalnie Cormack. Wiceprezydent skinął głową.

- Jasne - powiedział z przygnębieniem. Było to już dziesiąte spotkanie odwołane w tym tygodniu. Papierkową robotę mogli załatwić urzędnicy; Biały Dom miał obecnie świetny zespół pracowników. Cormack dobrze ich sobie dobrał. Ale naród amerykański obdarza

wielką władzą tego jednego człowieka, który jest prezydentem, głową państwa, szefem naczelnego organu wykonawczego, naczelnym dowódcą sił zbrojnych, człowiekiem z palcem na jądrowym guziku. Pod pewnymi warunkami. Jednym z nich jest prawo do oglądania go, i to często. Godzinę później niepokoję Odella wyraził w Pokoju Sytuacyjnym prokurator generalny.

- On nie może w nieskończoność tam tak siedzieć - powiedział Walters.

Odell zdał im wszystkim sprawozdanie ze stanu, w jakim zastał prezydenta godzinę wcześniej. Obecna była tylko szóstka z najściślejszego grona: Odell, Stannard, Walters, Donaldson, Reed i Johnson oraz doktor Armitage, którego poproszono o wzięcie udziału w posiedzeniu w charakterze doradcy.

- To strzecz człowieka, cień tego, czym był kiedyś. Do diabła, zaledwie pięć tygodni temu - powiedział Odell. Jego słuchacze siedzieli przybici i zaszepieni.

Doktor Armitage wyjaśnił, że prezydent Cormack cierpi na głęboko traumatyczny szok pourazowy, z którego najwyraźniej nie potrafi się otrząsnąć.

- Co to znaczy, obrane z żargonu? - burknął Odell.

- Znaczy to - wyjaśnił cierpliwie doktor Armitage - że szef państwa pogrzyżył się w osobistej boleści tak wielkiej, iż pozbawiła go ona wszelkiej woli wytrwania.

W okresie tuż po porwaniu, ciągnął dalej psychiatra, wystąpiła u niego podobna depresja, lecz nie tak głęboka. Wtedy powodem jej było napięcie i niepokój płynący z niewiedzy i obawy - z braku wiadomości o losie jego syna, o tym, czy żyje, czy został zabity, czy traktowano go dobrze, czy też maltretowano, i kiedy zostanie uwolniony.

Później stres nieco zelżał. Prezydent dowiedział się przynajmniej, pośrednio od Quinna, że jego syn żyje. Wraz ze zbliżaniem się terminu wymiany i przekazania zakładnika jego stan nieco się polepszył.

Śmierć jedyne go syna i bestialski sposób, w jaki ją zadano, były niczym fizyczny cios. Introwertyk, który niezbyt łatwo nawiązywał kontakt z innymi, pełen zahamowań uniemożliwiających wylewne okazywanie uczuć, zasklepił się w swej boleści i popadł w trwałą melancholię, która podkopywała jego umysłowe i moralne siły, te przymioty, które określa się mianem woli.

Zebrani słuchali w przygnębieniu. Polegali na wyjaśnieniach psychiatry dotyczących tego, co dzieje się w umyśle ich prezydenta, chociaż przy tych kilku okazjach, kiedy się z nim widzieli, niepotrzebny był im wcale lekarz, by zrozumieć, co widza. Człowieka przygaszonego, zmęczonego do stanu skrajnego wyczerpania, przedwcześnie postarzałego, wyczeranego z energii i wszelkiego zainteresowania. Zdarzały się już choroby prezydentów w

trakcie pełnienia przez nich urzędu: machina państwowa dawała sobie z tym radę. Ale nigdy nic takiego. Nawet bez zawołanych i coraz liczniejszych znaków zapytania, stawianych przez środki masowego przekazu, tych kilku obecnych mężczyzn zaczęło sobie zadawać pytanie, czy John Cormack jest w stanie i czy powinien nadal sprawować swój urząd.

Bill Walters wysłuchał psychiatry z kamienną twarzą. Czterdziestoczteroletni twardy i błyskotliwy prawnik z Kalifornii specjalizujący się w prawie korporacji był najmłodszym członkiem Gabinetu. John Cormack sprowadził go do Waszyngtonu na stanowisko prokuratora generalnego, by wykorzystać jego talenty do walki ze zorganizowanym przestępstwem, które teraz kryło się często za fasadami wielkich korporacji. Jego admiratorzy przyznawali, że potrafi być bezwzględny, aczkolwiek w dążeniu do ustanowienia supremacji prawa; wrogowie - a napytał ich sobie trochę - obawiali się jego nieprzejednania.

Był przystojny, czasami wręcz chłopięcy w swych młodzieżowych ubraniach, zawsze modnie ostrzyżony, z fryzurą modelowaną podczas suszenia. Za urokiem osobistym dostrzegało się jednak chłód, kamienną niewzruszoność skrywającą jego wnętrze. Dla tych, którzy prowadzili z nim pertraktacje, jedyną oznaką, że zbliża się do zadania decydującego ciosu, było to, iż przestawał mrugać oczami. Jego spojrzenie potrafiło wówczas wytrącić człowieka z równowagi. Kiedy doktor Armitage opuścił pokój, to właśnie Walters przerwał posępne milczenie.

- Być może, panowie, będziemy musieli poważnie spojrzeć na Dwudziestą Piątą...

Wszyscy o tym wiedzieli, ale on był pierwszym, który otwarcie podniósł tę możliwość. Dwudziesta Piąta poprawka do konstytucji stanowi, że wiceprezydent w porozumieniu z głównymi członkami Gabinetu może przekazać przewodniczącemu Senatowi i spikerowi Izby Reprezentantów swą pisemną opinię, że prezydent przestał być zdolny do sprawowania władzy i pełnienia obowiązków swego urzędu. Ściśle rzecz biorąc, paragraf czwarty Dwudziestej Piątej poprawki.

- Bez wątplenia nauczyłeś się jej na pamięć, Bill - warknął Odell.

- Spokojnie, Michael - załagodził John Donaldson. - Bill po prostu o tym wspomniał.

- On sam by zrezygnował, nimby do tego doszło - odparł Odell.

- To prawda - powiedział pojednawczo Walters - z powodów zdrowotnych, absolutnie usprawiedliwiony, żegnany wdzięcznością i współczuciem całego narodu. My być może będziemy musieli mu to tylko podsunąć, to wszystko.

Ale przecież jeszcze nie teraz - zaprotestował Stannard.

- Otóż to, otóż to. Mamy jeszcze czas - powiedział Reed. - Na pewno otrząśnie się ze swego bólu. Przyjdzie do siebie. Stanie się na powrót tym, kim był przedtem.

- A jeśli nie? - spytał Walters. Przestał mrugać i przesunął spojrzeniem po kolei po twarzach wszystkich zebranych w pokoju. Michael Odell wstał raptownie od stołu. W swoim czasie brał udział w kilku politycznych rozgrywkach, ale Walters miał w sobie jakąś oziębłość, która nigdy mu się nie podobała. Ten facet nigdy nie pił, a sądząc z wyglądu jego żony kochał się według podręcznika.

- Okay - powiedział - będziemy to mieli na uwadze. Na razie odraczamy tę decyzję, zgoda?

Wszyscy pozostali skinęli głowami i wstali. Odraczali możliwość skorzystania z Poprawki Dwudziestej Piątej. Na razie.

To właśnie połączenie żyznych pszenicznych i jęczmiennych ziem Dolnej Saksonii i Westfalii od północy i wschodu z krystalicznie czystą wodą spływającą z pobliskich wzgórz uczyniło z Dortmundu miasto piwowarów. Był rok 1293, kiedy król Adolf z dynastii Nassau przyznał mieszkańcom tego małego miasteczka w południowym zakątku Westfalii prawo warzenia piwa.

Stal, ubezpieczenia, banki i handel nadeszły później, znacznie później. Podwaliny pod nie położyło piwo, a przez całe wieki mieszkańcy Dortmundu większość swego piwa wypijali sami. Rewolucja przemysłowa połowy i końca XIX wieku dostarczyła trzeciego czynnika, poza ziarnem z wodą - spragnionych robotników fabryk, które wyrastały jak grzyby po deszczu wzdłuż całej doliny Ruhry. Miasto rozsiało się u szczytu doliny, z widokami na południowy zachód sięgającymi aż po górujące nad miastami kominy Essen, Duisburga i Düsseldorfu, dokładnie pomiędzy jęczmiennymi równinami i klientami. Ojcowie miasta wykorzystali tę szansę; Dortmund stał się piwną stolicą Europy.

Rynkiem rządziło siedem gigantycznych browarów: Brinkhoff, Kronen, DAB, Stifts, Ritter, Thier i Moritz. Hans Moritz był właścicielem przedostatniej co do wielkości wytwórni piwa i głową dynastii, która panowała w niej od ośmiu pokoleń. Był jednak także ostatnim człowiekiem, który władał swym imperium i zawiadywał nim osobiście, a to uczyniło go bardzo bogatym. Po części właśnie ten jego majątek, a po części sława jego nazwiska skłoniły oprawców z bandy Baader-Meinhof do porwania jego córki Renaty. Dziesięć lat wcześniej.

Quinn i Sam wprowadzili się do Roemischer Keiser Hotel w centrum miasta, po czym Quinn z niewielką nadzieją przejrzał książkę telefoniczną. Numer domowy był, oczywiście, zastrzeżony. Napisał osobisty list na hotelowej papeterii, wezwał taksówkę i kazał go dostarczyć do biura zarządu browaru.

- Myślisz, że twój przyjaciel nadal tu mieszka? - spytała Sam. - Och, co do tego nie ma obaw - odparł Quinn. - Może jednak być za granicą albo w jednym ze swych sześciu domów.

- Musi lubić zmieniać miejsce pobytu - zauważyła Sam.

- Owszem, w ten sposób czuje się bezpieczniej. Riviera, Morze Karaibskie, domek narciarski, jacht...

Miał rację przypuszczając, że willa nad Jeziorem Bodeńskim została już dawno sprzedana; tam właśnie dokonano porwania.

Miał także szczęście. Jedli właśnie obiad, kiedy poproszono Quinna do telefonu.

- Herr Quinn?

Rozpoznał głos, niski i kulturalny. Ten człowiek mówił czterema językami, mógłby zostać wielkim pianistą. Może powinien być nim zostać.

- Herr Moritz. Jest pan w mieście?

- Pamięta pan, gdzie mieszkam? Powinien pan pamiętać. Spędził pan kiedyś w moim domu dwa tygodnie.

- Owszem, sir. Pamiętam. Nie wiedziałem tylko, czy nadal pan z niego korzysta.

- Tak jak przedtem. Renata go uwielbia, nie pozwoliłaby mi go zmienić na inny. Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym się z panem zobaczyć.

- Jutro rano. Przy kawie o dziesiątej trzydzieści.

- Będę.

Skierowali się Ruhrwald Strasse na południe od Dortmundu, aż zostawili za sobą przemysłową i handlową dżunglę i znaleźli się w podmiejskiej dzielnicy Syburg. Tu zaczynały się już wzgórza, falujące i zarośnięte lasami, a posiadłości położone w tych lasach kryły za swymi murami domy bogaczy.

Rezydencja Moritza stała pośród czteroakrowego parku przy końcu alejki odchodzącej od Hohensyburg Strasse. Po przeciwnej stronie doliny pomnik mieszkańca Syburga patrzył w dół rzeki Ruhry w kierunku wyniosłości Saurelandu.

Rezydencja była prawdziwą fortecą. Całą posiadłość otaczało ogrodzenie z grubej metalowej siatki, a brama z hartowanej stali była zdalnie otwierana i kontrolowana przez kamerę telewizyjną umieszczoną dyskretnie na pobliskiej sośnie. Ktoś obserwował Quinna, kiedy wysiadał ze swego samochodu i oznajmiał swe przybycie do stalowej kratki z boku bramy. Dwie sekundy później elektryczne silniki rozsunęły ją na boki. Po przepuszczeniu samochodu zatrzasnęła się z powrotem.

- Herr Moritz nie lubi, żeby zakłócano mu spokój - powiedziała mu Sam.

- Ma powody - odparł Quinn.

Zaparkował samochód na wysypanym brązowym żwirem podjeździe przed domem o białych, zdobionych sztukaterią ścianach. Kamerdyner w liberii wprowadził ich do środka. Hans Moritz przyjął ich w eleganckim salonie, gdzie w srebrnym dzbanku czekała kawa. Miał więcej siwych włosów, niż Quinn to sobie przypominał, na twarzy przybyło mu zmarszczek, ale uścisk jego dłoni pozostał równie pewny, a uśmiech równie poważny jak dawniej.

Zdążyli usiąść, gdy otworzyły się drzwi i przystanąła w nich z wahaniem młoda kobieta. Twarz Moritza rozjaśniła się. Quinn obejrzał się za siebie.

Była ładna, choć urodą jakby pozbawioną wyrazu, nieśmiała aż do bojaźliwego usuwania się w cień. Obie jej dłonie kończyły się kikutami małych palców. Musi mieć teraz dwadzieścia pięć lat, pomyślał Quinn.

- Renato, słoneczko, to jest Quinn. Pamiętasz Quinna? Nie, oczywiście, że nie.

Moritz wstał, podszedł do swej córki, szepnął jej do ucha kilka słów, pocałował ją w czubek głowy. Odwróciła się i wyszła z pokoju. Moritz zajął z powrotem swoje miejsce. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, tylko wykręcane palce zdradzały wewnętrzną udrękę.

- Ona... hm... nie przyszła jeszcze do siebie. Terapia trwa. Woli pozostawać w domu. Rzadko go opuszcza. Nie wyjdzie za męż... po tym, co te zwierzęta jej zrobiły...

Na koncertowym fortepianie Steinbecka stała fotografia roześmianej czternastoletniej psotnicy na nartach. Zrobiono ją na rok przed porwaniem. Dwanaście miesięcy później Moritz znalazł swoją żonę w garażu, zamkniętą w samochodzie, do którego gumową rurą płynęły spaliny z silnika. Powiadomiono Quinna w Londynie. Moritz zebrał się w sobie.

- Przepraszam. Czym mogę panu służyć?

- Próbuję znaleźć pewnego człowieka, który dawno temu urodził się i wychował w Dortmundzie. Może nadal jest w tym mieście albo gdzieś w Niemczech, może przebywa za granicą albo już nie żyje. Nie wiem.

- Hm, istnieją różne agencje, specjaliści. Oczywiście mogę ich wynająć... - Moritz sądził, że Quinn potrzebuje pieniędzy na opłacenie prywatnych detektywów. - Mógłby pan także zapytać w Einwohnermeldamt.

Quinn potrząsnął przecząco głową.

- Wątpię, żeby tam coś wiedzieli. Ten człowiek niemal na pewno nie przejawia ochoty do współpracy z władzami. Ale przypuszczam, że policja może mieć na niego oko.

Technicznie rzecz biorąc, obywatel Republiki Federalnej zmieniający miejsce zamieszkania ma zgodnie z prawem obowiązek zawiadomić biuro meldunkowe o zmianie adresu, podając zarówno skąd, jak i dokąd się przeprowadza. Jak większość biurokratycznych systemów, tak i ten działał lepiej w teorii niż w praktyce. Osoby, z którymi chciałaby się skontaktować policja albo urząd podatkowy, są właśnie najczęściej tymi, które tego obowiązku nie dopełniają.

Quinn naszkicował pobieżnie przeszłość Wenera Bernhardta.

- Jeśli przebywa nadal na terenie Niemiec, byłby jeszcze w wieku przedemerytalnym - powiedział. - Jeśli nie zmienił nazwiska, oznacza to, że musi mieć kartę ubezpieczenia socjalnego, płacić podatek dochodowy - lub też, że ktoś płaci go za niego. Z uwagi na swą przeszłość mógł mieć jakieś zatargi z prawem.

Moritz zastanowił się.

- Jeśli jest praworządnym obywatelem - a nawet były najemnik mógł nigdy nie wejść w kolizję z prawem na terenie Republiki Federalnej - to może nie mieć kartoteki policyjnej - powiedział. - Co do urzędu podatkowego i ubezpieczalni, uznają te informacje za poufne i nie zechcą ich ujawnić ani panu, ani nawet mnie.

- Ale z pewnością odpowiedzą na zapytanie ze strony policji - odparł Quinn. - Pomyślałem, że może ma pan kogoś zaprzyjaźnionego w policji miejskiej albo krajowej.

- Ach tak - powiedział Moritz. Tylko on sam jeden wiedział, ile dokładnie wynoszą dotacje, jakimi wspomagał policję miejską Dortmundu i krajową Westfalii. Jak wszędzie na świecie, pieniądze to władza, a jedno i drugie to dostęp do informacji. - Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny. Zadzwoń do pana.

Dotrzymał słowa, ale kiedy nazajutrz rano po śniadaniu zadzwonił do Roemischer Kaiser, w jego głosie było słycać rezerwę, jak gdyby wraz z informacją udzielono mu ostrzeżenia.

- Werner Richard Bernhardt - powiedział, jakby czytał z notatek - lat 48, były najemnik z Kongo. Owszem żyje, mieszka tutaj, w Niemczech. Jest zatrudniony jako członek osobistego personelu Horsta Lenzlingera, handlarza bronią.

- Dziękuję. Gdzie mógłbym znaleźć Herr Lenzlingera?

- To nie takie proste. Ma biuro w Bremie, ale mieszka niedaleko Oldenburga, w okręgu Ammerland. Podobnie jak ja, ceni sobie zacisze i spokój. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Niech pan uważa na tego Lenzlingera, Herr Quinn. Moje źródła donoszą, że za szacowną fasadą kryje się w nim nadal zwykły gangster.

Podał Quinnowi oba adresy.

- Dziękuję - powiedział Quinn, zapisując je. Na linii zapanowała krępująca cisza.

- I jeszcze jedno. Bardzo mi przykro. Przesłanie od dortmundzkiej policji. Proszę opuścić miasto, i nie wracać. To wszystko.

Wieści o roli, jaką odegrał Quinn w tym, co zaszło na poboczu drogi w Buckinghamshire, zaczynały się rozchodzić. Wkrótce wiele drzwi zacznie się przed nim zatrząskiwać.

- Masz ochotę prowadzić? - spytał Sam, kiedy się spakowali i wymeldowali z hotelu.

- Jasne. Dokąd?

- Brema.

Przestudiowała mapę.

- Wielki Boże, to w połowie drogi z powrotem do Hamburga.

- Dokładnie w dwóch trzecich. Wyjedź na E 37 w kierunku na Osnabrück i trzymaj się drogowskazów. Będziesz zachwycona.

Tego samego wieczora pułkownik Easterhouse wyleciał z Dżuddy do Londynu, tam przesiadł się i już bezpośrednio samolotem dotarł do Houston. Na pokładzie Boeinga pokonującego Atlantyk miał dostęp do całego wachlarza amerykańskich gazet i czasopism.

W trzech z nich drukowano artykuły na ten sam temat, a tok rozumowania każdego z autorów także był niezwykle podobny. Do elekcji prezydenckiej w listopadzie 1992 roku pozostało już tylko dwanaście miesięcy. Gdyby wydarzenia toczyły się normalnym torem, wybory kandydata partii republikańskiej nie byłyby w ogóle wyborami. Prezydent Cormack zapewniłby sobie nominację na następną kadencję, nie mając żadnej konkurencji.

Ale wydarzenia ostatnich sześciu tygodni nie toczyły się, rzecz jasna, normalnym torem, tłumaczyli autorzy swoim czytelnikom, jakby trzeba było im to w ogóle tłumaczyć. Następnie rozpisywali się nad urazem, jakiego doznał prezydent Cormack po stracie jedyne go syna, urazem, czyniącym go, według ich, niezdolnym do sprawowania urzędu.

Wszyscy trzej autorzy wyliczali listę skreślonych przemówień, odwołanych publicznych wystąpień, przypadków braku koncentracji, jakie zdarzyły mu się w ciągu ostatnich dwóch tygodni po pogrzebie na wyspie Nantucket. Jedna z gazet nazwała głowę państwa niewidzialnym człowiekiem.

Konkluzje wszystkich artykułów były również podobne. Czy nie byłoby lepiej, gdyby prezydent ustąpił na rzecz wiceprezydenta Odella, dając mu w ten sposób pełne dwanaście miesięcy sprawowania urzędu na przygotowanie powtórnego wyboru w roku 1992?

W końcu, argumentował *Time*, szansę realizacji głównego punktu zagranicznej, gospodarczej i obronnej polityki Cormacka. obciążenia o 100 miliardów dolarów

amerykańskich budżetu obronnego przy odpowiednich redukcjach w Związku Radzieckim, i tak zostały już pogrzebane. "Przechłapanie", oto jak *Newsweek* określał szansę ratyfikacji układu przez Kongres po świątecznej przerwie.

Easterhouse wylądował w Houston tuż przed północą, po dwunastu godzinach spędzonych w powietrzu i dwóch na lotnisku w Londynie. Tytuły gazet w kiosku w Houston zawierały nawet jeszcze mniej nieudomówień - Michael Odell był Teksasczykiem i gdyby zajął miejsce Cormacka, byłby pierwszym teksaskim prezydentem od czasów Johnsona.

Konferencja z Grupą Alamo była naznaczona za dwa dni w budynku Pan-Global. Limuzyna firmy zawiozła Easterhouse'a do hotelu Remington, gdzie czekał na niego zarezerwowany apartament. Przed zameldowaniem się wysłuchał późnego dziennika. Tu też stawiano te same pytania.

Pułkownika nie poinformowano o Planie Trávisa. Nie potrzebował o nim wiedzieć. Wiedział jednak, że zmiana na stanowisku prezydenta usunie ostatnią przeszkodę na drodze do realizacji wszystkich jego zamierzeń: zabezpieczenia Rijadu i pól naftowych Hasa przez amerykańskie siły szybkiego reagowania wysłane przez prezydenta gotowego to uczynić.

Co za zbieg okoliczności, myślał zasypiając, co za wspaniałe zbiegi okoliczności.

Mała mosiężna tabliczka na ścianie zaadaptowanego magazynu tuż obok obłożonych tekową boazerią drzwi głosiła po prostu: *Przedsiębiorstwo Spedycyjne Thor AG*. Najwyraźniej Lenzlinger ukrywał prawdziwy charakter swego przedsiębiorstwa za fasadą firmy przewozowej, choć nigdzie nie było nawet śladu ciężarówek, a wysłanego puszystymi dywanami zacisza biura na czwartym piętrze, na które wspiał się Quinn, nigdy nie przeniknął smród oleju napędowego.

Przy wejściu z ulicy był przycisk i domofon, drugi z kamerą telewizji przemysłowej w przejściu na czwartym piętrze. Adaptacja magazynu przy bocznej uliczce odchodzącej od starych doków, tam gdzie Wezera przystaje na swej drodze do Morza Północnego, by dostarczyć powodu, dla którego powstała stara Brema, nie mogła być tania.

Sekretarka, na którą natknął się w pierwszym pomieszczeniu biura, bardziej pasowała do charakteru firmy. Gdyby Lenzlinger miał jakieś ciężarówki, mogłaby je jedną ręką uruchamiać na pych.

- *Ja, bitte?* - spytała, choć jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że to on, nie ona, jest tu petentem.

- Chciałbym rozmawiać z panem Lenzlingerem - powiedział Quinn.

Poprosiła go o nazwisko, po czym zniknęła w prywatnym sanktuarium, zamykając za sobą szczelnie drzwi. Quinn odniósł wrażenie, że lustro w ścianie działowej jest dwustronne. Wróciła po trzydziestu sekundach.

- A w jakiej sprawie, Herr Quinn?

- Chciałbym spotkać się z jednym z pracowników Herr Lenzlingera, niejakim Wernerem Bernhardtem - odparł.

Znów zniknęła za kulisami. Tym razem nie było jej ponad minutę. Kiedy wróciła, stanowczym zamknięciem drzwi odcięła dostęp do tego, kto tam siedział, ktokolwiek to był.

- Żałuję, ale Herr Lenzlinger nie może teraz z panem rozmawiać - oznajmiła. Zabrzmiało to nieodwołalnie.

- Zaczekam - powiedział Quinn.

Obdarzyła go spojrzeniem pełnym żalu, że urodziła się zbyt późno, by prowadzić obóz koncentracyjny, w którym on byłby więźniem, po czym zniknęła po raz trzeci. Kiedy znów się pojawiła, wróciła za swe biurko i całkowicie go ignorując, zaczęła walić w maszynę z pełną jadu furią.

Chwilę później otworzyły się inne drzwi do pomieszczenia dla interesantów i stanął w nich jakiś mężczyzna. Z takich, co to świetnie by się nadawali na kierowcę ciężarówki - chodząca lada chłodnicza. Bładoszary garnitur był świetnie skrojony, niemal tak dobrze, by ukryć piętzące się pod spodem zwały byczych mięśni; krótka modelowana fryzura, płyn po goleniu i warstewka zewnętrznego poluru nie były tanie. Pod tym wszystkim krył się zwyczajny zbir.

- Herr Quinn - powiedział przyciszonym głosem - Herr Lenzlinger jest zbyt zajęty, żeby się z panem zobaczyć lub odpowiadać na pańskie pytania.

- W tej chwili - zgodził się Quinn.

- Ani w tej chwili, ani nigdy, Quinn. Proszę, niech pan sobie pójdzie.

Quinn odniósł wrażenie, że wizyta dobiegła końca. Zszedł na dół i wrócił brukowaną ulicą do miejsca, gdzie w samochodzie czekała Sam.

- Nie można się do niego dostać w czasie godzin pracy - powiedział. - Trzeba będzie odwiedzić go w domu. Jedziemy do Oldenburga.

Kolejny stary gród, śródlądowy port od stuleci prowadzący handel na rzece Hunte, niegdyś siedziba hrabiów Oldenburga. Jego jądro, Stare Miasto, nadal otaczają fragmenty dawnych murów obronnych i fosy tworzonej przez sieć połączonych kanałów.

Quinn znalazł hotel z tych, jakie najbardziej lubił, cichy zajazd z otoczonym murem dziedzińcem. Nosił nazwę "Graf von Oldenburg" i znajdował się przy ulicy Ducha Świętego.

Przed zamknięciem sklepów zdążył jeszcze odwiedzić sklep z artykułami żelaznymi oraz sklep ze sprzętem turystycznym; w ulicznym kiosku kupił najdokładniejszą mapę okolic, jaką udało mu się znaleźć. Po obiedzie wprawił w zdumienie Sam, wiążąc co dwadzieścia cali węzły na pięćdziesięciostopowej lince zakupionej w sklepie z artykułami żelaznymi i mocując do niej na końcu trójzębną kotwiczkę.

- Gdzie ty się wybierasz? - spytała.

- Podejrzewam, że na drzewo - było jego jedyną odpowiedzią. Zostawił ją w ciemności przed nastaniem świtu, twardo śpiącą.

Godzinę później znalazł posiadłość Lenzlingera na zachód od miasta, na południe od wielkiego jeziora Bad Zwischenahn, pomiędzy wioskami Portsloge i Janstrat. Były to równinne tereny, ciągnące się bez wzniesień po obu stronach rzeki Ems, by sześćdziesiąt mil dalej na zachód stać się północną Holandią.

Poprzecinana niezliczoną ilością rzeczulek i kanałów osuszających podmokłe nadmorskie równiny kraina pomiędzy Oldenburgiem i granicą usiana jest lasami bukowymi, dębowymi i świerkowymi. Posiadłość Lenzlingera leżała między dwoma z nich. Był to dawny obronny dwór, otoczony teraz własnym pięcioakrowym parkiem i biegnącym wokół całej posiadłości wysokim na 8 stóp murem.

Quinn spędził cały ranek, ubrany od stóp po czubek głowy w maskujący kombinezon, z twarzą zasłoniętą płócienną siatką, rozciągnięty wzdłuż konara potężnego dębu rosnącego w lesie po przeciwnej stronie drogi niż posiadłość. Dzięki precyzyjnej lornetce udało mu się zobaczyć wszystko, co chciał zobaczyć.

Dwór z szarego kamienia i jego przybudówki tworzyły literę L, której krótsze ramię stanowiło budynek główny, piętrowy i zwieńczony poddaszem. W dłuższym ramieniu znajdowały się kiedyś stajnie, ale dziś przekształcono je w osobne mieszkania dla personelu. Quinn naliczył czworo służby: kamerdyner-zarządca, kucharka i dwie sprzątaczkę. Jego uwagę przyciągnęły jednak urządzenia zabezpieczające. Były liczne i kosztowne.

Lenzlinger zaczynał w końcu lat pięćdziesiątych jako młody cwaniak sprzedający groszowe pakiety broni z demobilu każdemu, kto się napatoczył. Nie mając pozwolenia na prowadzenie takiej działalności, fałszował wszystkie dokumenty dotyczące ostatniego nabywcy broni i nie zadawał żadnych pytań. Był to okres wojen antykolonialnych i rewolucji w Trzecim Świecie. Ale działając na marginesie, mógł jedynie związać koniec z końcem, nic więcej.

Jego wielka szansa nastąpiła z wybuchem nigeryjskiej wojny domowej. Oszukał secesjonistów z Biafry na ponad pół miliona dolarów; zapłacili za bazooki, a otrzymali

żeliwne rynny. Miał rację przypuszczając, że będą zbyt zaprzężeni walką o życie, by wyprawiać się daleko na północ dla załatwienia porachunków.

W początkach lat siedemdziesiątych zdobył pozwolenie na handel - ile go to musiało kosztować, Quinnowi pozostawało się jedynie domyślać - dzięki czemu mógł zaopatrzyć pół tuzina afrykańskich, środkowoamerykańskich i bliskowschodnich prowojennych ugrupowań i nadal znajdował jeszcze nieco czasu, żeby zawrzeć jakiś czarno-rynkowy (znacznie bardziej lukratywny) kontrakt z ETA, IRA i kilkoma innymi organizacjami. Zakupów dokonywał w Czechosłowacji, Jugosławii i Korei Północnej, którym bardzo brakowało twardej waluty, a sprzedawał rozpaczliwie potrzebującym. Do roku 1985 sprzedał już nowy północnokoreański sprzęt obu stronom konfliktu iracko-irańskiego. Nawet niektóre rządowe agencje wywiadowcze korzystały z jego zapasów, gdy potrzebowały broni nieznanego pochodzenia dla jakichś dyskretnie wspieranych rewolucji.

W trakcie swej kariery dorobił się ogromnego majątku. A także wielu wrogów. Miał zamiar cieszyć się tym pierwszym i pokrzyżować plany tych drugich.

Wszystkie okna na dole i na górze miały elektroniczne zabezpieczenie. Choć nie udało mu się wypatrzeć żadnych stosownych urządzeń, Quinn wiedział, że także i drzwi muszą być w nie wyposażone. To był wewnętrzny system umocnień. System zewnętrzny stanowił mur. Biegł wokół całej posiadłości, bez żadnych luk i przerw, uzbrojony na szczycie dwoma pasmami ostrej jak brzytwa metalowej taśmy, a drzewa wewnątrz parku przycięto tak, by usunąć wszystkie przewieszające się nad nim gałęzie, i jeszcze coś, co połyskiwało w promieniach zimowego słońca. Drut, napięty jak struna fortepianu, umieszczony na ceramicznych wspornikach - pod napięciem, podłączony do systemu alarmowego, czuły na najlżejsze dotknięcie.

Między murem a domem ciągnęła się otwarta przestrzeń - pięćdziesiąt jardów w najwęższym miejscu - omiatana obiektywami kamer, patrolowana przez psy. Widział poranną zaprawę dwóch dobermanów. Opiekun zwierząt był za młody na Bernhardta.

Za pięć dziesiąt zobaczył Mercedesa 600 z ciemnymi szybami wyjeżdżającego w kierunku Bremy. Chodząca lada chłodnicza usadziła na tylnym siedzeniu zakutaną postać w futrzanej czapie, po czym sama zajęła miejsce z przodu, obok kierowcy, który natychmiast ruszył i pełnym pędem wyjechał przez stalowe wrota na drogę. Przemknęli dokładnie pod konarem, na którym leżał Quinn.

Quinn oszacował Lenzlingera na czterech goryli, może pięciu. Sądząc z wyglądu, szofer mógł być jednym z nich, co do lady chłodniczej nie było cienia wątpliwości. Pozostawał zatem opiekun psów i pewnie jeszcze jeden wewnątrz domu. Bernhardt?

Wyglądało na to, że centrum systemu zabezpieczającego mieści się w pokoju na parterze, u styku skrzydła służbowego z budynkiem głównym. Opiekun psów wchodził i wychodził stamtąd kilka razy, używając małych drzwi prowadzących wprost na trawnik. Quinn poczynił założenie, że nocny strażnik musi mieć możliwość operowania reflektorami oświetlającymi teren, kamerami telewizyjnymi i psami z wewnątrz domu. Nim nastąpiło południe, miał już gotowy plan, zszedł z drzewa i wrócił do Oldenburga.

Całe popołudnie spędzili na zakupach. Quinn kompletował zestaw narzędzi do wyposażenia wynajętej furgonetki, a Sam listę przedmiotów, którą jej wręczył.

- Nie zabralbyś mnie ze sobą? - spytała. - Mogłabym poczekać na zewnątrz.

- Nie. Już jeden samochód na tej wiejskiej drodze w samym środku nocy będzie wyglądał dość fatalnie. Dwa to uliczny karambol.

Wyjaśnił, czego od niej chce.

- Po prostu bądź tam, kiedy się zjawię. Podejrzewam, że może mi się śpieszyć.

O drugiej nad ranem zaparkował swoją furgonetkę w alejce pod zewnętrzną ścianą muru. Ustawił ją na tyle blisko, by stanąwszy na podwyższonym dachu zabudowanego samochodu móc bez przeszkód zajrzeć na drugą stronę. Na wypadek wzbudzenia czyjejs ciekawości na boku pojazdu umieścił wykonany z folii samoprzylepnej znak firmowy serwisu anten telewizyjnych. Co tłumaczyłoby także rozsuwaną drabinkę przymocowaną do bagażnika na dachu.

Kiedy jego głowa wychynęła sponad krawędzi muru, ujrzał w świetle księżyca nagie, bezlistne drzewa parku, ciągnący się aż do domu trawnik i przyćmione światło padające z okna pokoju kontrolnego strażnika.

Akcję dywersyjną postanowił przeprowadzić w miejscu, gdzie odosobnione drzewo w parku rosło zaledwie osiem stóp od muru. Stał na dachu furgonetki, wyjął niewielkie plastikowe pudełeczko przywiązane na końcu rybackiej żyłki i zaczął nim ostrożnie zataczać koła wokół głowy. Kiedy pudełeczko nabrało odpowiedniego impetu, puścił żyłkę. Plastikowa skrzyneczka zatoczyła łagodny łuk, poszybowała w gałęzie drzewa i zaczęła opadać na ziemię. Żyłka wyhamowała ją z szarpnięciem w połowie drogi. Quinn popuścił jej tyle, by huśtające się pudełko zawisło dokładnie osiem stóp nad murawą parku, po czym umocował linkę.

Uruchomił silnik, furgonetka przetoczyła się cicho wzdłuż muru i zatrzymała sto jardów dalej, dokładnie na wprost pokoju kontrolnego strażników. Na bokach miała teraz przymocowane sworzniami stalowe klamry, co rankiem miało wprawić w osłupienie agencję wynajmu samochodów. Quinn wsunął w nie drabinę, tak że aluminiowa konstrukcja wyrosła

wysoko ponad krawędź muru. Z jej najwyższego szczebla mógł swobodnie skoczyć do parku, unikając zetknięcia z metalowymi taśmami i drutem czujnika. Wspiął się na drabinę, przytwierdził do najwyższego szczebla linę, za pomocą której miał pokonać mur w drodze powrotnej i zamarł w oczekiwaniu. Ujrzał, jak przez płamę księżycowej poświaty w parku sady susami sylwetka dobermana.

Dźwięki, które zaczęły się rozlegać, były zbyt ciche, by mógł je usłyszeć, ale psy je usłyszały. Zobaczył, jak jeden z nich przystaje, zastyga w bezruchu, nasłuchuje, po czym rzuca się pełnym pędem w kierunku miejsca, gdzie między drzewami wisiało na nylonowej żyłce czarne pudełko. Drugi pies dołączył do niego kilka sekund później. Dwie kamery umieszczone na ścianie domu przesunęły się w ślad za nimi. Nie odwróciły się już z powrotem.

Pięć minut później wąskie drzwi się otworzyły i stanął w nich jakiś mężczyzna. Nie poranny opiekun psów - nocny strażnik.

- Lothar, Wotan, *was ist denn los?* - zawołał cicho. Teraz obaj z Quinnem słyszeli już wyraźnie pełne wściekłości warczenie psów gdzieś na linii drzew. Mężczyzna wszedł z powrotem do domu, przyjrzał się bacznie monitorom, ale niczego nie zobaczył. Pojawił się ponownie z latarką, wyjął rewolwer i ruszył za psami. Zostawiając drzwi otwarte.

Quinn skoczył z wierzchołka drabiny jak cień, do przodu, ponad murem, a potem pełne dwanaście stóp w dół. Wylądował spadochroniarską przewrotką, zerwał się z ziemi i pognął między drzewami, przez trawnik, do pokoju kontrolnego, zatrzaszkując za sobą drzwi i ryglując je od wewnątrz.

Jeden rzut oka na monitory powiedział mu, że strażnik nadal próbuje odciągnąć dobermany od muru sto jardów dalej. W końcu facet oczywiście spostrzeże, że to, do czego skaczą psy, co z taką furią próbują zaatakować, to magnetofon wydający z siebie ciągły strumień pomruków i warczenia. Przygotowanie tej taśmy zajęło Quinnowi ponad godzinę i wzbudziło konsternację pozostałych gości hotelowych. Nim jednak strażnik zorientuje się, że został wyprowadzony w pole, będzie za późno.

W pokoju kontrolnym znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące do głównego budynku. Quinn wspiął się po schodach na piętro sypialne. Sześć par rzeźbionych dębowych drzwi i pewnie wszystkie prowadzące do sypialni. Ale światła, które widział wczesnym rankiem tego dnia, wskazywały, że sypialnia pana domu powinna znajdować się na końcu korytarza. Znajdowała się.

Horsta Lenzlingera obudziło uczucie, że coś twardego dźga go boleśnie w lewe ucho. W tej samej chwili zapaliła się nocna lampka przy łóżku. Zachłysnął się z wściekłością i

natychmiast umilkł, wpatrując się bez słowa w pochyloną nad nim twarz. Dolna warga zaczęła mu drżeć. To był ten facet z biura. Już wtedy mu się nie podobał. Teraz podobał mu się jeszcze mniej, ale najmniej ze wszystkiego podobała mu się lufa rewolweru wetkniętego na pół cala w jego ucho.

- Bernhardt - powiedział mężczyzna w maskującym kombinezonie wojskowym. - Chcę rozmawiać z Wernerem Bernhardtem. Bierz słuchawkę i każ mu tu przyjść. No, już.

Lenzlinger namacał nerwowo wewnętrzny telefon stojący na nocnym stoliku, nakręcił numer i uzyskał natychmiast odpowiedź.

- Werner - zawołał piskliwie - dupę w troki i do mnie na górę. Tak, zaraz. Do sypialni. Pospiesz się.

Czekając na Bernhardta, Lenzlinger wpatrywał się w Quinna z mieszaniną strachu i wrogości. W czarnej jedwabnej pościeli zamruczała obok niego przez sen sprowadzona na noc wietnamska dziewczynka, nieledwie dziecko, chuda jak patyk - sponiewierana lalka. Zjawił się Bernhardt w swetrze polo narzuconym na pizamę. Jednym spojrzeniem ogarnął zastaną scenę i wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Był w odpowiednim wieku, przed pięćdziesiątką. Obłeśna gęba o ziemistej cerze, ryże włosy siwiejące na skroniach, szare paciorki oczu.

- *Was ist denn hier, Herr Lenzlinger?*

- Pytania ja będę zadawał - przerwał mu Quinn po niemiecku. - Każ mu na nie odpowiadać, zgodnie z prawdą i szybko. Albo wołaj o łyżeczkę do zeszkrobawania swego mózgu z żyrandola. To dla mnie jak splunął, szmaciarzu. No, każ mu.

Lenzlinger powtórzył Bernhardtowi polecenie Quinna. Bernhardt skinął głową.

- Byłeś w Piątym Commando pod Johnem Petersem?

- *Ja.*

- Dotrwałeś do buntu w Stanleyville, przemarszu do Bukavu i oblężenia?

- *Ja.*

- Znałeś wielkiego Belga, Paula Marchais? Nazywali go Wielki Paul.

- Tak, pamiętam go. Przyszedł do nas z Dwunastego Commando, od Schramme'a. Kiedy Denard dostał postrzał w głowę, wszyscy przeszliśmy pod Schramme'a. No, o co chodzi?

- Opowiedz mi o tym Marchais.

- Niby co mam o nim opowiedzieć?

- Wszystko. Co to był za facet?

- Wysoki, potężny, sześć stóp i sześć cali wzrostu albo i więcej. Świetny żołnierz, były mechanik samochodowy.

No tak, pomyślał Quinn, ktoś musiał doprowadzić z powrotem do użytku tego Forda Transita, ktoś, kto znał się na silniku i spawaniu. A więc to Belg robił za mechanika.

- Kto był jego najlepszym kumplem przez cały ten czas?

Quinn wiedział, że żołnierze biorący udział w walkach, podobnie jak policjanci na patrolu, dobierają się w pary, że zawsze mają kogoś takiego, komu ufają i na kim polegają bardziej niż na kimkolwiek innym, kiedy robi się naprawdę gorąco. Bernhardt zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

- Aha, był taki jeden. Zawsze trzymali się razem. Spiknęli się jeszcze, kiedy Marchais był w Piątym. Z Afryki Południowej. Gadali tym samym językiem. Flamandzkim czy afrikaans.

- Jak się nazywał?

- Pretorius, Janni Pretorius.

Quinnowi serce zamarło. Afryka Południowa była bardzo daleko, a Pretorius to zupełnie pospolite nazwisko.

- Co się z nim stało? Wrócił do Afryki Południowej? Zginął?

- Nie, ostatnie, co o nim słyszałem, to że osiedlił się w Holandii. Ale to było cholernie dawno temu. Słuchaj pan, ja nie wiem, gdzie on jest teraz. Naprawdę, Herr Lenzlinger. To mi się tylko obilo o uszy z dziesięć lat temu.

- On nie wie - zapewnił Quinna Lenzlinger. - A teraz zabieraj pan to świństwo z mojego ucha.

Quinn wiedział, że nie wycisnie już z Bernhardta nic więcej. Chwycił Lenzlingera za poły jedwabnej nocnej koszuli i poderwał go z łóżka.

- Idziemy do frontowych drzwi - powiedział. - Powoli i spokojnie. Bernhardt, ręce na głowę. Idziesz przodem. Jeden ruch i twój szef ma drugi pępek.

Zeszli gęsiego po nie oświetlonych schodach. Przy drzwiach wejściowych usłyszeli dobiegające z zewnątrz walenie - opiekun psów próbował dostać się z powrotem do środka.

- Boczny wyjście - powiedział Quinn. Byli w połowie przejścia do pokoju kontrolnego, gdy Quinn wpadł po ciemku na dębowe krzesło, potknął się i zwolnił chwyt, którym trzymał Lenzlingera. W mgnieniu oka mały grubas pomknął w kierunku głównego holu, wrzeszcząc co sił w płucach na swoich goryli. Quinn jednym uderzeniem kolby rozciągnął na podłodze Bernhardta, pognał do pokoju kontrolnego i wybiegł do parku.

Był w połowie drogi przez trawnik, gdy rozwrzeszczany Lenzlinger pojawił się w drzwiach za jego plecami, przywołując psy sprzed frontowego wejścia. Quinn odwrócił się, wymierzył, strzelił i popędził dalej. Handlarz bronią wydał z siebie przeraźliwy krzyk bólu i zniknął wewnątrz domu.

Quinn wepchnął rewolwer za pasek i dopadł liny zaledwie dziesięć jardów przed dobermanami. Wdrapał się na mur dosłownie o włos przed pyskami skaczących psów, wdepnął na drut czujnika - uruchamiając przeraźliwą kakofonię dzwonek alarmowych wewnątrz domu - i zeskoczył na dach furgonetki. Zbiegł po drabince, wrzucił bieg i wyrwał aleję przed sobą, nim Lenzlinger zdążył zorganizować grupę pościgową.

Sam wymeldowała ich oboje z hotelu, spakowała bagaże, przeniosła je do samochodu, i czekała w nim, tak jak obiecała, naprzeciwko „Grafa von Oldenburg”. Quinn porzucił furgonetkę i wskoczył na siedzenie obok niej.

- Jedź na zachód - polecił - E 22 do Lier i Holandii.

Ludzie Lenzlingera mieli dwa samochody, połączone między sobą i z rezydencją handlarza bronią drogą radiową. Ktoś stamtąd zadzwonił do najlepszego hotelu w mieście, City Club, ale odpowiedziano mu, że Quinn się tam nie zatrzymał. Potrwało jeszcze dziesięć minut, nim w recepcji „Grafa von Oldenburg” uzyskał informację, że Herr i Frau Quinn już się wymeldowali. Ale podano mu pobieżny opis ich samochodu.

Sam pokonała już Ofener Strasse i dotarła do obwodnicy numer 293, kiedy z tyłu za nimi pojawił się jakiś nowy Mercedes. Quinn zsunął się na siedzeniu i skulił tak, że jego głowa zniknęła pod krawędzią okna. Sam wyjechała z obwodnicy na autostradę E 22. Mercedes zrobił to samo.

- Zaczyna się z nami zrównywać - powiedziała.

- Jedź normalnie, jakby nigdy nic - mruknął Quinn ze swej kryjówki. - Uśmiechnij się promiennie i pomachaj im.

Mercedes wyrównał. Nadal było ciemno, wewnątrz Forda pozostawało niewidoczne z zewnątrz. Sam odwróciła głowę. Nie знаła żadnego z nich, ani lady chłodniczej, ani porannego opiekuna psów.

Uśmiechnęła się radośnie i lekko pomachała im ręką. Mężczyźni wpatrywali się w nią z kamiennymi twarzami. Przerażeni uciekinierzy nie uśmiechają się i nie machają wesoło rękami. Po kilku sekundach Mercedes przyspieszył, na pierwszym przejeździe zawrócił i pomknął z powrotem w kierunku miasta. Po następnych dziesięciu minutach Quinn wyłonił się spod deski rozdzielczej i z powrotem usiadł normalnie.

- Coś mi się zdaje, że Herr Lenzlinger nie bardzo cię lubi - powiedziała Sam.

- Chyba masz rację - odparł ze smutkiem Quinn. - Właśnie odstrzeliłem mu siusiaka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Wiadomo już, że saudyjski festiwal z okazji diamentowego jubileuszu ustanowienia królestwa odbędzie się siedemnastego kwietnia - pułkownik Easterhouse poinformował jeszcze tego samego ranka Grupę Alamo.

Siedzieli w przestronnym biurze Cyrusa Millera na szczycie wieżowca Pan-Global w śródmieściu Houston.

- Stadion za pół miliarda dolarów, nakryty całkowicie akrylową kopułą o średnicy dwustu metrów, wykończono przed terminem. Drugą połowę miliarda przeznaczono na tę imprezę ku chwale własnego kraju wyda się na jedzenie, biżuterię, upominki, przyjęcie gości, dodatkowe hotele i gościnne rezydencje dla polityków z całego świata oraz na widowisko. Na siedem dni przed samym widowiskiem, zanim przybędzie pięćdziesiąt tysięcy spodziewanych gości zagranicznych, przewidziana jest próba generalna. Punktem kulminacyjnym czterogodzinnego przedstawienia będzie szturmowanie modelu starej Fortecy Musmak naturalnej wielkości, w jej kształcie z 1902 roku. Makieta zostanie wykonana przez najlepszych hollywoodzkich scenografów i budowniczych. „Obrońcy” będą się wywodzić ze straży królewskiej i zostaną przebrani w tureckie stroje z tamtych czasów. Grupa atakujących będzie się składała z pięćdziesięciu młodszych książąt dworu, na koniach, dowodzonych przez młodego krewnego króla, który jest podobny do szejka Abdula Azisa z 1902 roku.

- Wspaniale - wycedził Scanlon. - Uwielbiam koloryt lokalny. A co z zamachem stanu?

- Tu właśnie jest czas na zamach stanu - powiedział pułkownik. - Na ogromnym stadionie, w wieczór próby, jedyną publicznością będzie sześciuset najwyższych dostojników dworu królewskiego na czele z królem. Wszystko to będą ojcowie, wujowie, matki i ciotki uczestników. Zajmą miejsca w łoży królewskiej. Kiedy wyjdą ostatni uczestnicy poprzedniego występu, zamknę elektronicznie wyjścia. Bramy wjazdowe otworzą się, by wpuścić pięćdziesięciu jeźdźców. Nikt poza mną nie będzie wiedział o tym, że za nimi wjedzie szybko dziesięć ciężarówek, którym nadamy wygląd pojazdów wojskowych. Zaparkują one przy bramach wjazdowych. Bramy pozostaną otwarte, dopóki nie wjedzie ostatnia ciężarówka, potem też zostaną zamknięte elektronicznie. Od tej chwili nikt nie będzie mógł wyjść.

Zamachowcy wyskoczą z ciężarówek, podbiegną do łoży królewskiej i otworzą ogień. Tylko jedna grupa pozostanie na murawie stadionu, żeby zabić pięćdziesięciu książąt i

członków straży królewskiej tworzących grupę “obrońców” makiety Fortecy Musmak, zaopatrzonych jedynie w ślepe naboje.

Pięciuset członków straży królewskiej otaczających lożę królewską będzie próbowało bronić swoich panów. Ich amunicja będzie niepełnosprawna. W większości przypadków wybuchnie w magazynkach, zabijając człowieka trzymającego broń. W innych przypadkach ulegnie zaklinowaniu. Całkowite zniszczenie dworu królewskiego zabierze około czterdziestu minut. Każdą fazę tej operacji będą filmować kamery video, przekazując obraz telewizji saudyjskiej; całe widowisko będzie dostępne dla widzów większości krajów Zatoki Perskiej.

- Jak nakłoni pan straż królewską do wymiany amunicji? - spytał Moir.

- Bezpieczeństwo jest w Arabii Saudyjskiej obsesją - odpowiedział pułkownik - i z tego powodu wciąż arbitralnie zmienia się procedurę. Jeśli będą mieli pewność, że rozkazy wydały prawomocne władze, posłuchają tych rozkazów. Przekażę je w przygotowanym przez siebie dokumencie, opatrzonym autentycznym podpisem ministra spraw wewnętrznych, który uzyskałem na czystym blankiecie. Proszę nie pytać, jak go zdobyłem. Generał major Al-Shakry z Egiptu jest odpowiedzialny za zaopatrzenie. Dostarczy on zapasu wadliwych kul; później Egipt będzie miał udział w saudyjskiej ropie po dostępnych dla siebie cenach.

- A regularna armia? - zapytał Salkind. - Liczy pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

- Tak, ale nie wszyscy stacjonują w Rijadzie. Zgrupowane w stolicy jednostki wojskowe będą na ćwiczeniach setki kilometrów stamtąd i spodziewane są w Rijadzie na dzień przed próbą generalną. Pojazdami wojskowymi zajmują się Palestyńczycy stanowiący część ogromnej rzeszy cudzoziemskich techników, wykonujących prace, do których niezdolni są mieszkańcy Arabii. Zablokują oni transport, unieruchamiając na pustyni dziewięć tysięcy żołnierzy z Rijadu.

- Co będą z tego mieli Palestyńczycy? - spytał Cobb.

- Możliwość naturalizacji - odrzekł Easterhouse. - Chociaż techniczna infrastruktura Arabii Saudyjskiej opiera się na ćwierć milionie Palestyńczyków zatrudnionych na różnych stanowiskach, zawsze odmawia się im obywatelstwa. Nigdy im się go nie przyznaje, bez względu na to, jak lojalnie służą. Ale w reżimie po obaleniu imama mogliby je uzyskać na podstawie sześciomiesięcznego pobytu. Samo takie posunięcie doprowadziłoby do przeniesienia się miliona Palestyńczyków z zachodniego brzegu Jordanu i ze strefy Gazy, Jordanii oraz Libanu i osiedlenia w nowej ojczyźnie na południe od Nefud, co zapewniłoby pokój w północnej części Bliskiego Wschodu.

- A po masakrze? - zadał pytanie Cyrus Miller. Nie miał czasu na eufemizmy.

- Pod koniec strzelaniny stadion stanie w ogniu - odpowiedział bez zastanowienia pułkownik Easterhouse. - Zostało to zaplanowane. Płomienie obejmą szybko budowlę, pochłaniając szczątki dworu królewskiego i zamachowców. Kamery będą pracować aż do chwili, gdy się stopią, a potem na ekranie pojawi się sam imam.

- Co powie? - zainteresował się Moir.

- Dość, żeby przerazić cały Bliski Wschód i Zachód. W odróżnieniu od zmarłego Chomeiniego, który zawsze mówił bardzo cicho, ten człowiek to paliwoda. Gdy mówi, daje się ponieść emocjom, bo przekazuje posłanie Allacha oraz Mahometa i pragnie, żeby go usłyszano.

Miller ze zrozumieniem kiwnął głową. On również wiedział, co to znaczy być głosem Boga.

- Zanim jeszcze skończy grozić szybkim zniszczeniem wszystkim świeckim i ortodoksyjnym sunnickim reżimom sąsiadującym z Arabią, zanim obieca spożytkować cały dochód w wysokości czterystu pięćdziesięciu milionów dolarów dziennie na Święty Terror, a w przypadku oporu zniszczyć pola naftowe w Hasa, wszystkie arabskie królestwa, emiraty, szejkanaty czy republiki - od Omanu na południu aż do tureckiej granicy na północy - będą prosić o pomoc na Zachodzie. To znaczy w Ameryce.

- A co z tym prozachodnim saudyjskim księciem, który zajmie miejsce króla? - spytał Cobb. - Jeśli mu się nie powiedzie...

- To niemożliwe - powiedział z przekonaniem pułkownik. - Wojskowe ciężarówki i bombowce bojowe sił powietrznych, które unieruchomiono, żeby nie udaremniły masakry, podejmą służbę, żeby odpowiedzieć na wezwanie księcia. Palestyńczycy już tego dopilnują.

Księżę Chalidi bin Sudairi w drodze na próbę generalną zatrzyma się przed moim domem. Z całą pewnością łyknie coś mocniejszego, bo jest alkoholikiem. W alkoholu będzie środek usypiający. Przez trzy dni dwóch moich jemeńskich służących przetrzyma go w piwnicy. Następnie przygotuje taśmę wideo i nagranie radiowe ogłaszające, że żyje, że jest prawomocnym spadkobiercą swego wuja i prosi o amerykańską pomoc w celu przywrócenia prawomocnej władzy. Niech panowie zwrócą uwagę na to sformułowanie: Stany Zjednoczone będą interweniować nie po to, żeby dokonać kontrzamachu stanu, ale po to, żeby przywrócić prawomocną władzę z pełnym poparciem świata arabskiego.

Następnie przekaze księcia pod ochronę ambasady amerykańskiej, zmuszając Stany Zjednoczone, czy będą tego chciały, czy nie, do bezpośredniego zaangażowania się, ponieważ ambasada będzie się musiała bronić przed tłumami szyitów żądających wydania im księcia. Policja Religijna, wojsko i lud będą potrzebować bodźca, żeby zwrócić się przeciwko

uzurpatorom szyickim i wybić ich do ostatniego człowieka. Tym bodźcem będzie przybycie pierwszych amerykańskich jednostek desantowych.

- A co będzie potem, panie pułkowniku? - spytał powoli Miller. - Czy dostaniemy to, czego chcemy? Czy Ameryka otrzyma ropę?

- Wszyscy, panowie, otrzymamy to, czego chcemy. Palestyńczycy uzyskają ojczyznę, Egipcjanie przydzielą ropy, żeby nakarmić swe masy. Wuj Sam zapewni sobie kontrolę nad saudyjskimi i kuwejckimi złożami, a tym samym będzie ustalał światowe ceny ropy dla dobra całej ludzkości. Książę zostanie nowym królem, a ja będę dzień i noc spędzał u boku tego pijaka. Tylko Saudyjczycy zostaną wydziedziczeni i powrócą do swoich kóz.

- Będzie to lekcja dla sunnickich krajów arabskich. W obliczu wściekłości szyitów, którzy ponieśli klęskę, chociaż byli tak blisko zwycięstwa, świeckie kraje nie będą miały wyboru, jak tylko prześladować i wytepić fundamentalizm, zanim same padną jego ofiarą. W ciągu pięciu lat dojdzie do pogłębienia pokoju i znacznego dobrobytu od Morza Kaspijskiego po Zatokę Bengalską.

Piątka z Grupy Alamo siedziała w milczeniu. Dwóch z nich myślało tylko o tym, żeby skierować strumień ropy z Arabii do Ameryki. Pozostała trójka godziła się ich popierać. Wysłuchali właśnie planu przebudowy jednej trzeciej świata. Moirowi i Cobbowi, chociaż nie pozostałym trzem, i oczywiście nie samemu pułkownikowi, przyszło do głowy, że Easterhouse jest całkowicie niezrównoważonym megalomanem. Każdy z nich zorientował się za późno, że znaleźli się na diabelskim młynie i nie mogą zwolnić ani wysiąść.

Cyrus Miller zaprosił Easterhouse'a na lunch w przyległej do gabinetu jadalni.

- Żadnych problemów, pułkowniku? - zapytał znad świeżych brzoskwiń z własnej szklarni. - Naprawdę, żadnych problemów?

- Jest może jeden - powiedział ostrożnie pułkownik. - Od godziny zero dzieli mnie sto czterdzieści dni. Dostatecznie długo, żeby jeden większy przeciek wszystko zepsuł. Jest taki młody człowiek, były urzędnik bankowy... mieszka obecnie w Londynie. Nazywa się Laing. Chciałbym, żeby ktoś zamienił z nim słowo.

- Proszę mi opowiedzieć - powiedział Miller - o panu Laingu.

Quinn i Sam wjechali do północnoholenderskiego miasta Groningen w dwie i pół godziny po ucieczce z Oldenburga. Stolica prowincji o tej samej nazwie, Groningen, podobnie jak niemieckie miasto po drugiej stronie granicy, powstała w średniowieczu, a jej sercem jest Stare Miasto, chronione pierścieniem kanału. W dawnych czasach mieszkańcy mogli się wycofać do środka i podnieść czternaście mostów, by zapewnić sobie bezpieczeństwo za tą wodną przeszkodą.

W swojej mądrości rada miejska postanowiła, że Starego Miasta nie może sprofanować ekspansja przemysłu i betonowa obsesja połowy dwudziestego wieku. Odnowiono więc i odrestaurowano cały krąg zaułków, rynków, ulic, placów, kościołów, restauracji, hoteli i pasaży, z których niemal wszystkie były wybrukowane kamieniami. Pilotowana przez Quinna Sam dojechała do hotelu De Doelen przy Grote Markt, w którym się zameldowali.

Na Starym Mieście znajduje się tylko kilka nowoczesnych budynków, a jednym z nich jest pięciopiętrowy gmach z czerwonej cegły przy Rade Markt, mieszczący komendę policji.

- Znasz tu kogoś? - zapytała Sam, kiedy podeszli do budynku.

- Znałem - stwierdził Quinn. - Może jest już na emeryturze. Ale mam nadzieję, że nie.

Nie był na emeryturze. Oficer, młody blondyn w dyżurce, potwierdził, że inspektor De Groot jest teraz naczelnikiem i dowodzi policją municypalną. Kogo zapowiedzieć?

Kiedy policjant zatelefonował na górę, Quinn usłyszał w słuchawce krzyk. Młody oficer uśmiechnął się.

- Chyba pana zna, *mijnheer*.

Wprowadzono ich bezzwłocznie do biura naczelnika De Groota. Oczekiwał ich, przeszedł pokój, by ich powitać, wielki, rumiany, niedźwiedziowaty mężczyzna z rzędnącymi włosami, w mundurze, a przy tym w domowych pantoflach chroniących nogi, które przez ostatnie trzydzieści lat przemierzyły wiele kilometrów brukowanych ulic.

Policja holenderska ma dwa rodzaje służb: Gemeente, czyli policję municypalną, i policję kryminalną, znaną jako Recherche.

Styl De Groota pasował do jego roli szefa policji municypalnej, a dobrotliwy wygląd i zachowanie już dawno wyrobiły mu wśród oficerów i ludności przydomek Papa De Groot.

- Quinn, na Boga, to ty we własnej osobie. Wiele wody upłynęło od czasów Assen.

- Czternaście lat - przyznał Quinn, ściskając mu dłoń, a potem przedstawił Sam. Nie wspomniał o jej przynależności do FBI. W królestwie Holandii nie miałyby żadnych specjalnych uprawnień, poza tym byli tu nieoficjalnie. Papa De Groot zamówił kawę - było tuż po śniadaniu - i zapytał, co sprowadza ich do jego miasta.

- Szukam pewnego człowieka - powiedział Quinn. - Przypuszczam, że mieszka w Holandii.

- Jakiś stary przyjaciel? Ktoś z dawnych czasów?

- Nie. Nigdy go nie poznałem. Błysk w mrugających oczach De Groota nie osłabł, ale naczelnik zaczął nieco wolniej mieszać kawę.

- Słyszałem, że odszedłeś z Lloyda? - powiedział.

- To prawda - odrzekł Quinn. - Moja przyjaciółka i ja staramy się teraz pomóc przyjaciółom.

- Szukacie zaginionych osób? - dopytywał się De Groot. - To coś nowego w twoim życiu. No dobrze, jak się ten ktoś nazywa i gdzie mieszka?

De Groot miał dług wdzięczności. W maju 1977 roku grupa fanatyków z południowych Moluków, starając się odzyskać swoją dawną ojczyznę w Indonezji, byłej kolonii holenderskiej, próbowała nadać rozgłos sprawie porywając pociąg i okupując szkołę w pobliskim Assen. W pociągu było pięćdziesięciu czterech pasażerów, a w szkole sto dzieci. Takie rzeczy nie zdarzały się w Holandii; nie miała ona w tamtych czasach wyszkolonych oddziałów do odbijania zakładników.

Quinn pracował pierwszy rok w firmie Lloyda, która specjalizowała się w tego rodzaju sprawach. Wysłano go jako doradcę wraz z dwoma uprzejmymi sierżantami z brytyjskiego SAS, co stanowiło oficjalny wkład Londynu. Assen znajduje się w prowincji Groningen, a De Groot dowodził lokalną policją; komandosi z SAS współpracowali z armią holenderską.

De Groot słuchał szczupłego Amerykanina, który zdawał się rozumieć terrorystów w pociągu i w szkole. Przewidział, do czego może dojść, kiedy wkroczy wojsko, a terroryści otworzą ogień. De Groot rozkazał swoim ludziom działać zgodnie ze wskazówkami Amerykanina i dlatego obaj pozostali przy życiu. W końcu przypuszczono atak na pociąg i szkołę; w wymianie ognia zginęło sześciu terrorystów i dwóch pasażerów pociągu. Nie zginął żaden z żołnierzy ani policjantów.

- Nazywa się Pretorius, Janni Pretorius - powiedział Quinn. De Groot zacisnął usta.

- Pretorius to pospolite nazwisko - rzekł. - Wiesz, w jakim mieście czy miejscowości mieszka?

- Nie. Ale nie jest Holendrem. Urodził się w Afryce Południowej i chyba nigdy nie uzyskał waszego obywatelstwa.

- W takim razie będzie problem - powiedział De Groot. - Nie mamy centralnej listy cudzoziemców mieszkających w Holandii. Rozumiesz, prawa obywatelskie.

- Był najemnikiem w Kongo. Sądziłem, że z taką przeszłością, będąc w dodatku obywatelem państwa, którego Holandia nie aprobuje, zasłużył sobie na kartę w jakiejś kartotece.

De Groot potrząsnął głową.

- Niekoniecznie. Jeżeli jest tu nielegalnie, nie będzie notowany, w przeciwnym razie wydalilibyśmy go za nielegalny wjazd. Jeżeli jest tu legalnie, istnieje karta jego wjazdu, ale

potem, o ile nie popełnił żadnych wykroczeń przeciw prawu holenderskiemu, mógłby poruszać się swobodnie bez żadnej kontroli. To należy do naszych praw obywatelskich.

Quinn skinął głową. Wiedział, że obsesją Holandii są prawa obywatelskie. Chociaż łaskawe dla przestrzegających prawa obywateli, zapewniały życie usłane różami przestępcom i szumowinom. To dlatego uroczy Amsterdam stał się europejską stolicą handlarzy narkotyków, terrorystów i producentów filmów z dziecięcą pornografią.

- Jak taki człowiek mógł dostać wizę i prawo pobytu w Holandii? - zapytał.

- No wiesz, jeżeli ożenił się z Holenderką, nie miał z tym problemu. To nawet dałoby mu prawo do naturalizacji. Potem mógł po prostu zniknąć.

- Ubezpieczenie społeczne, urząd skarbowy, urząd imigracyjny?

- Nie przekażą żadnej informacji - odrzekł De Groot. - Człowiek ma prawo do prywatności. Nawet gdybym ja prosił o informację, musiałbym przedstawić oskarżenie o przestępstwo kryminalne. Wierz mi, nie mogę tego zrobić.

- A więc nie możesz w żaden sposób mi pomóc? - spytał Quinn. De Groot wyjrzał przez okno.

- Mam bratanka w BVD - powiedział. - Musiałbym to zrobić nieoficjalnie... Mogą mieć jakieś dane na temat tego człowieka.

- Zapytaj go - poprosił Quinn. - Będę ci bardzo wdzięczny.

Podczas gdy Quinn i Sam szli Oosterstraat szukając miejsca, gdzie mogliby zjeść obiad, De Groot zadzwonił do swojego bratanka w Hadze. Młody Koos De Groot był niższym oficerem w Binnenlandse Veiligheids Dienst, małej holenderskiej Służbie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Chociaż bardzo lubił niedźwiedziowatego wuja, który w jego dzieciństwie wsuwał mu dziesięcioguldenowe banknoty, trzeba go było długo przekonywać. Podłączenie się do komputera BVD nie było rzeczą, o którą gliniarz z policji municypalnej mógł prosić na co dzień.

Nazajutrz rano De Groot zatelefonował do Quinna i w godzinę później spotkali się w komendzie.

- Ten Pretorius to niezły gagatek - powiedział De Groot przeglądając notatki. - Kiedy przybył do Holandii dziesięć lat temu, nasz BVD zainteresował się na tyle, żeby na wszelki wypadek zgromadzić jego dane. Niektóre z nich pochodzą od niego, i te są oczywiście pochlebne; inne pochodzą z wycinków z gazet. Jan Pieter Pretorius, urodzony w 1942 roku w Bloemfontein, a więc ma teraz czterdzieści dziewięć lat. Jako zawód podał: malarz szyldów.

Quinn skinął głową. Ktoś przemałował Forda Transit, umieścił znak firmowy Barlowa na boku i malowane skrzynki na jabłka z wewnętrznej strony tylnych okien. Podejrzał, że

Pretorius był również twórcą bomb, które spowodowały podpalenie Forda Transit w stodole. Wiedział, że to nie Zack. W magazynie w Babbidge Zack wywachał marcepan i sądził, że to Samtex. Tyle że Samtex nie ma zapachu.

- W 1968 roku po opuszczeniu Ruandy powrócił do Afryki Południowej, potem pracował przez pewien czas jako członek ochrony w kopalni diamentów De Beersa w Sierra Leone.

Tak, ten człowiek potrafił odróżnić diamenty od kłajstru i wiedział, co to są kryształy cyrkonu.

- Przed dwunastu laty dotarł aż do Paryża, gdzie spotkał Holenderkę pracującą u francuskiej rodziny i ożenił się z nią. To dało mu prawo pobytu w Holandii. Teść załatwił mu posadę barmana, sam jest właścicielem dwóch barów. Rozwiedli się pięć lat temu, ale Pretorius oszczędził dosyć, żeby kupić własny bar. Prowadzi go i mieszka nad nim.

- Gdzie? - zapytał Quinn.

- W miasteczku zwanym Den Bosch. Znasz je? Quinn pokręcił głową.

- A ten bar?

- „De Goude Leeuw”, Złoty Lew - powiedział De Groot. Quinn i Sam podziękowali mu serdecznie i opuścili pokój. Kiedy wyszli, De Groot wyjrzał przez okno i patrzył, jak idą przez Rade Markt do hotelu. Lubił Quinna, ale niepokoiła go jego ciekawość. Może nie było w niej nic sprzecznego z prawem, może nie trzeba się przejmować. Tylko nie chciałby, żeby Quinn polował na jakiegoś człowieka w jego własnym mieście i tu się z nim zmierzył... Westchnął i sięgnął po słuchawkę.

- Znalazłaś? - spytał Quinn jadąc na południe od Groningen. Sam studiowała mapę drogową.

- Aha. To droga na południe przy belgijskiej granicy. Tylko z Quinnem poznasz kraje Beneluksu - powiedziała.

- Mamy szczęście - stwierdził Quinn. - Gdyby Pretorius był drugim porywaczem w gangu Zacka, jechalibyśmy teraz pewnie do Bloemfontein.

Droga E 35 biegła prosto jak strzała z południa na południowy wschód, gdzie Quinn skręcił na autostradę A 50 biegnącą na południe do Apeldoorn, Arnhem, Nijmegen i Den Bosch. W Apeldoorn Sam przejęła kierownicę. Quinn rozłożył niemal poziomo oparcie fotela dla pasażera i zasnął. Smacznie spał aż do wypadku.

Na północ od Arnhem, a na zachód od autostrady znajduje się klub szybowcowy w Terlet. Pomimo pory roku był piękny słoneczny dzień, rzadkość w Holandii w listopadzie, z której natychmiast skorzystali entuzjaści szybowania. Kierowca ciężarówki pędzącej po

zewnątrznym pasie zagapił się na szybowiec lecący nad autostradą, który właśnie przechylał się na skrzydło, zbliżając się do lądowania. Nie zauważył więc, jak zjeżdża na sąsiedni pas.

Sam została wciśnięta między drewniane słupki biegnące po prawej wzdłuż skraju piaszczystego wrzosowiska a cielsko lawirującego molocha po lewej. Próbowała hamować, niemal jej się to udało. Ostatni metr kołyszącej się przyczepy zahaczył o bok Sierry i strącił auto z drogi, jak kciuk i palec wskazujący strzepując muchę z bibularza. Kierowca ciężarówki nic nie zauważył i pojechał dalej.

Samochód wjechał na krawężnik, a Sam próbowała go sprowadzić na szosę, co może by jej się udało, gdyby nie pionowe słupki przy krawężniku. Jeden z nich zgniótł przednie koło, straciła więc panowanie nad wozem, który popędził w dół nasypu, niewiele brakowało, by przekoziółkował, odzyskał pozycję i wylądował po osie w miękkim mokrym piasku wrzosowiska.

Quinn wyprostował siedzenie i spojrzał na Sam. Obojgu, mimo przeżytego wstrząsu, nic się nie stało. Wygramolili się z wozu. Nad nimi samochody i ciężarówki pędziły na południe do Arnhem. Wokół było płasko; dobrze ich było widać z szosy.

- Gnat - powiedział Quinn.

- Co?

- Smith&Wesson. Daj mi go.

Zawinał pistolet i amunicję w jedną z jej jedwabnych apaszek z saszetki, po czym zakopał w krzakach osiem metrów od samochodu, zapamiętując miejsce w piasku, gdzie go schował. W dwie minuty później stanął nad nimi na nasypie czerwono-biały Range Rover patrolu drogowego policji municypalnej.

Oficerowie wykazali troskę, przyjęli z ulgą fakt, że pasażerowie nie są ranni i poprosili o dokumenty. W trzydzieści minut później wysadzono ich na tylnym dziedzińcu szarej betonowej komendy policji na Beek Straat w Arnhem wraz z bagażem. Sierżant zaprowadził ich do sali przesłuchań, gdzie spisał wszystkie okoliczności. Skończył, gdy minęła już pora lunchu.

Przedstawiciel agencji wynajmu samochodów nie miał tego dnia zbyt wiele pracy - turyści są rzadkością w połowie listopada - toteż z zadowoleniem przyjął w swoim biurze przy Heuvelink Boulevard telefon od Amerykanki pytającej o samochód z agencji. Trochę mu zrzęda mina, kiedy się dowiedział, że dopiero co załatwiła na A 50 w Terlet należącą do jego agencji Sierrę, ale przypomniał sobie dewizę firmy, żeby starać się bardziej, i tak też postąpił.

Zjawił się w komendzie policji i rozmawiał z sierżantem. Ani Quinn, ani Sam nie rozumieli jednego słowa. Na szczęście obaj Holendrzy znali dobrze angielski.

- Ekipa policyjna sprowadzi Sierę z miejsca, gdzie jest... zaparkowana - powiedział. - Zabiorę ją stąd do warsztatów naszej agencji. Z dokumentów wynika, że są państwo w pełni ubezpieczeni. Czy ten wóz wynajęto w Holandii?

- Nie, w Ostendzie, w Belgii - odrzekła Sam. - Podróżowaliśmy.

- Och - powiedział mężczyzna. Zastanawiał się: papierkowa robota, masa papierkowej roboty. - Chcą państwo wynająć nowy wóz?

- Tak - powiedziała Sam.

- Mogę państwu zaproponować ładnego Opla Asconę, ale dopiero rano. W tej chwili przechodzi przegląd. Mają państwo hotel?

Nie mieli, ale pomocny sierżant policji zatelefonował i załatwił im pokój w hotelu Rijn. Niebo znowu się zachmurzyło, zaczął padać deszcz. Przedstawiciel agencji podwiózł ich bulwarem Rijnkade do hotelu, wysadził i obiecał podstawić Opla pod główne wejście o ósmej następnego dnia.

Hotel był w dwóch trzecich pusty; dostali ogromny pokój od frontu, z widokiem na rzekę. Krótkie popołudnie dobiegało końca, deszcz zacinał o szyby, wielka szara masa Renu płynęła ku morzu. Quinn usiadł w fotelu z pionowym oparciem przy oknie w wykuszu i wyglądał na dwór.

- Powinnam zadzwonić do Kevina Browna - powiedziała Sam. - Powiedzieć mu, czego się dowiedzieliśmy.

- Odradzałbym - rzekł Quinn.

- Będzie wściekły.

- Powiesz mu, że odnaleźliśmy jednego z porywaczy i zostawiliśmy go na szczycie diabelskiego młyna z czyjąś kulą w czaszce. Powiesz mu, że podróżowaliśmy z nielegalną bronią przez Belgię, Niemcy i Holandię. Chcesz to wszystko powiedzieć przez zwykły telefon?

- No tak, masz rację. A więc powinnam zrobić jakieś notatki.

- Chyba tak - powiedział Quinn.

Otworzyła minibarek, znalazła pół butelki czerwonego wina i przyniosła mu szklanę. Potem siadła przy biurku i zaczęła pisać na papierze firmowym hotelu.

Trzy mile od hotelu w górę rzeki rysowały się niewyraźnie w zapadającym zmierzchu wielkie, czarne dźwigary starego mostu w Arnhem, o jeden most za daleko, gdzie we wrześniu 1944 roku pułkownik John Frost i mała garstka angielskich spadochroniarzy walczyli i ginęli przez cztery dni próbując powstrzymać czołgi SS za pomocą ryglowych karabinów i stenów, podczas gdy Trzydziesty Korpus walczył daremnie od południa, żeby

przyjść im z odsieczą na północnym krańcu mostu. Quinn uniósł szklankę ku stalowym belkom wystrzelającym w deszczowe niebo.

Sam zauważyła ten gest i podeszła do okna. Wyrzała na bulwar.

- Zobaczyłeś kogoś znajomego? - zapytała.

- Nie - odpowiedział Quinn. - Już przeszli. Wyciągnęła szyję, żeby wyrzeć na ulicę.

- Nikogo nie widzę.

- To było dawno temu. Zmarszczyła brwi, zaintrygowana.

- Jest pan bardzo tajemniczym człowiekiem, panie Quinn. Widzi pan coś, czego ja nie widzę.

- Niezbyt wiele - powiedział Quinn wstając. - W dodatku nic optymistycznego. Zobaczmy, co mają do zaoferowania w restauracji.

Punktualnie o ósmej przyjechała Ascona, której towarzyszył zyczliwy sierżant i dwóch policjantów z eskorty na motocyklach.

- Dokąd pan jedzie, panie Quinn? - spytał sierżant.

- Do Vlissingen, Flushing - odpowiedział Quinn ku zdziwieniu Sam. - Chcemy złapać prom.

- Świetnie - powiedział sierżant - życzę miłej podróży. Moi koledzy będą pana pilotować do szosy na południowy zachód.

Na skrzyżowaniu u wlotu na szosę eskortujący ich motocykliści zatrzymali się i patrzyli, aż Opel zniknie z pola widzenia. Quinn doznał podobnego uczucia jak w Dortmundzie.

Generał Zwi ben Szaul siedział na biurkiem i spoglądał znad raportu na dwóch mężczyzn przed sobą. Jeden był szefem wydziału Mossad zajmującego się Arabią Saudyjską i całym półwyspem od granicy irackiej na północy do brzegów południowego Jemenu. Był to jego obszar wpływów. Specjalność drugiego mężczyzny nie znała granic i była w pewnym sensie nawet ważniejsza, szczególnie dla bezpieczeństwa Izraela. Zajmował się on wszystkimi Palestyńczykami, bez względu na miejsce ich pobytu. Był on autorem raportu na biurku dyrektora.

Liczni spośród tych Palestyńczyków daliby wiele, by znać budynek, w którym odbywało się to spotkanie. Podobnie jak wielu ciekawskich, łącznie z rządami kilku obcych państw, Palestyńczycy nadal sądzili, że centrala Mossad znajduje się na północnych przedmieściach Tel Awiwu. Ale od roku 1968 jego nową siedzibą był wielki nowoczesny budynek w samym śródmieściu Tel Awiwu, na rogu Rehov Szlomo Ha'melech (ulicy Króla Salomona) w pobliżu budynku zajmowanego przez AMAN, to znaczy wywiad wojskowy.

- Czy możesz zdobyć więcej? - generał zapytał Dawida Gur Arieha, eksperta od Palestyny. Mężczyzna uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Zawsze ci mało, Zwi. Moim informatorem jest pracownik niskiego szczebla, technik w warsztatach samochodowych armii saudyjskiej. Tyle mu przekazano. Armia ma w kwietniu zostać unieruchomiona na pustyni przez trzy dni.

- To pachnie zamachem stanu - powiedział mężczyzna kierujący wydziałem do spraw Arabii Saudyjskiej. - Powinniśmy odwalić za nich najcięższą robotę?

- Kto chciałby obalić króla Fahda i przejąć władzę? - spytał dyrektor. Ekspert od Arabii wzruszył ramionami.

- Jakiś książę - powiedział. - Żaden z braci. Raczej ktoś z młodszego pokolenia. Są chciwi. Bez względu na to, ile miliardów zgarniają, wciąż chcą więcej. Co mówię, pewnie chcą wszystkiego, i oczywiście młodzi ludzie są bardziej... współcześni, bardziej prozachodni. Może to i dobrze. Czas, żeby starzy ludzie odeszli.

Wcale jednak nie myśl o młodszych ludziach rządzących w Rijadzie intrygowała Ben Szaula. Raczej to, co ujawnił palestyński technik, zdradzający rozkazy informatorowi Gur Arieha. W przyszłym roku, rozmarzył się, my, Palestyńczycy, będziemy mieli prawo stać się tam naturalizowanymi obywatelami.

Jeśli to była prawda, jeśli do tego dążyli anonimowi konspiratorzy, perspektywy były zdumiewające. Taka propozycja ze strony nowego rządu saudyjskiego skłoniłaby milion bezdomnych i pozbawionych ziemi Palestyńczyków do porzucenia Izraela, strefy Gazy, zachodniego brzegu Jordanu oraz Libanu i rozpoczęcia nowego życia daleko stąd na południe. Po wypaleniu palestyńskiego wrzodu Izrael mógłby zaangażować całą swoją energię i technikę w korzystne i rentowne kontakty ze swoimi sąsiadami. Było to marzeniem założycieli państwa, od Weizmanna do Ben Guriona. Marzenie to wpojono w dzieciństwo Ben Szaulowi, chociaż nigdy nie sądził, że się spełni. Ale...

- Powiesz o tym politykom? - spytał Gur Arieh.

Dyrektor pomyślał o politykach sprzeczących się w Knesecie, rozszczepiających semantyczny i teologiczny włos na czworo, podczas gdy jego służby starały się ich pouczyć, z której strony wschodzi słońce. Kwiecień jeszcze daleko. Gdyby to zrobił, powstałby przeciek. Zamknął raport.

- Jeszcze nie - rzekł. - Mamy zbyt mało informacji. Powiem im, kiedy będziemy wiedzieli więcej.

W duchu zaś postanowił, że nic nie ujawni.

Odwiedzającym Den Bosch, aby nie zasnęli, projektanci miasta zaproponowali łamigłówkę. Nosi ona nazwę „Znajdź drogę dojazdową do śródmieścia miasta”. Odwiedzający, jeśli wygra, znajduje rynek i miejsce na parking. Jeśli przegra, labiryntowy system jednokierunkowych ulic wyprowadza go z powrotem na pierścień autostrady okalającej miasto.

Śródmieście miasta ma kształt trójkąta; na północny zachód płynie rzeka Dommel, na północny wschód biegnie kanał Zuid-Willemsvaart, a trzecią, południową stronę okalają mury miejskie. Sam i Quinn przy trzeciej próbie rozpracowali ten system, dojechali na rynek i otrzymali w nagrodę pokój w Hotelu Centralnym przy Rynku.

W pokoju Quinn zajrzał do książki telefonicznej. Wymieniała tylko jeden bar „Złoty Lew”, przy Jans Straat. Poszli pieszo. W recepcji hotelu dostali mapkę śródmieścia, ale nie figurowała na niej Jans Straat. Liczni mieszkańcy wokół rynku potrzęsali bezradnie głowami. Nawet policjant z rogu ulicy musiał zajrzeć do wytartego planu. W końcu ją znaleźli.

Był to mały zaułek biegnący pomiędzy St Jans Singel, wąską ścieżką flisacką wzdłuż rzeki Dommel, a równoległą Molenstraat. Cała okoliczna zabudowa była stara, liczyła w przeważającej części trzysta lat. Większość domów została ze smakiem odnowiona i odrestaurowana; zachowano piękne stare budowle z cegły, w środku natomiast urządzono eleganckie, nowe wnętrza. Inaczej było na Jans Straat.

Uliczka była szerokości samochodu, a budynki wspierały się na sobie, szukając trwałego oparcia. Mieściła dwa bary, bo niegdyś flisacy uprawiający swoją profesję na rzece Dommel i pobliskich kanałach cumowali tu, żeby ugasić pragnienie.

Bar “Goude Leeuw” znajdował się na południowej stronie ulicy, dwadzieścia jardów od ścieżki flisackiej; była to wąska piętrowa kamieniczka z wypłowiałym szyldem. Na parterze był wykusz z jednym oknem o szybkach z nieprzezroczystego, kolorowego szkła. Obok znajdowały się jedyne drzwi wejściowe do baru. Były zamknięte. Quinn nacisnął dzwonek i czekał. Żadnego odgłosu, żadnego ruchu. Drugi bar na ulicy był czynny. Wszystkie bary w Den Bosch były czynne.

- I co teraz? - spytała Sam. Trochę dalej mężczyzna w drugim barze opuścił gazetę, spojrzał na nich przez okno i ponownie uniósł gazetę. Obok baru „Złoty Lew” była wysoka na sześć stóp, drewniana furka prowadząca pewnie do tylnego wejścia.

- Zaczekaj tu - powiedział Quinn. W ciągu sekundy wdrapał się na furtkę i zeskoczył po drugiej stronie. Kilka minut później Sam usłyszała brzęk szkła, stukot kroków i główne drzwi do baru otworzyły się od wewnątrz. Stał w nich Quinn.

- Nie stój tak na ulicy - powiedział. Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Nie było światła, bar był ciemny, oświetlony tylko światłem dziennym sączącym się przez kolorowe okno.

Był to niewielki lokal. Miał kształt litery L, której podstawę tworzył wykusz z oknem. Od drzwi prowadziło wzdłuż baru przejście, które zakręcało tam, gdzie litera L tworzyła kąt i przechodziło ku jej tyłowi w większy teren barowy. Za barem była ustawiona, jak zwykle, bateria butelek; na kontuarze stały na ręczniku rzędy odwróconych kufli od piwa; znajdowały się tam też trzy ręczki do pompowania piwa, wykonane z porcelany w Delft. Z tyłu były drzwi, przez które wszedł Quinn.

Drzwi prowadziły do małej toalety, której okno Quinn wybił, żeby dostać się do środka. A dalej na schody prowadzące do mieszkania na górze.

- Może jest tam - powiedziała Sam. Ale go nie znaleźli. Było to małe mieszkanie, składające się z sypialni, a zarazem salonu, kuchenki w niszy i małej łazienki połączonej z toaletą. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający zapewne widok z Transwalu; było tam jeszcze trochę pamiątek z Afryki, telewizor i nie posłane łóżko. Żadnych książek. Quinn sprawdził wszystkie szafki i maleńki pawlacz pod samym sufitem. Pretoriusa ani śladu. Zeszli na dół.

- Skoro włamaliśmy się już do baru, nic się nie stanie, jak napijemy się piwa - zaproponowała Sam. Weszła za kontuar, wzięła dwa kufle i nacisnęła jedną z porcelanowych rączek pompy. Pieniste piwo popłynęło do kufli.

- Skąd płynie to piwo? - spytał Quinn. Sam sprawdziła pod kontuarem.

- Rury wychodzą z podłogi - odrzekła.

Quinn odnalazł klapę w podłodze pod dywanem w końcu sali. Drewniane stopnie prowadziły w dół, nad nimi znajdował się wyłącznik światła. W przeciwieństwie do baru piwnice były przestronne.

Cały dom i domy sąsiednie były posadowione na łukowatych sklepieniach z cegieł przykrywających piwnicę. Rury, prowadzące do pomp piwa na górze, wychodziły z nowoczesnych stalowych beczulek na piwo, dostarczonych tu z pewnością przez klapę w podłodze. Nie zawsze tak bywało.

W jednym końcu piwnicy była wysoka i szeroka stalowa krata. Pod nią znajdował się kanał Dieze przepływający pod Molenstraat. Przed laty przewożono tym kanałem w płytkich łodziach wielkie beczki z piwem, a potem wtaczano je przez kratę na miejsce pod barem.

To było w czasach, gdy bufetowi gonili w górę i w dół po schodach podając dzbany piwa klientom na górze.

Do dziś trzy takie staromodne beczki stały na ceglanych wspornikach w największej, utworzonej przez łuki krypcie, każda zaopatrzona u dołu w kurek. Quinn od niechcenia otworzył jeden z nich; w świetle lampy popłynął strumień skwaśniałego starego piwa. Tak samo było przy drugiej beczce. Kopnął trzeci kurek nogą. Płyn miał matową żółtą barwę, która potem przeszła w kolor różowy.

Trzeba było trzech podejść Quinna, by przewrócić beczkę piwa na bok. Spadła z łoskotem, a zawartość wytoczyła się na ceglana podłogę. Częścią tej zawartości były ostatnie dwa galony starego piwa, które nigdy nie dotarło do baru na górze. W kałuży piwa leżał na plecach mężczyzna, z otwartymi oczyma, matowymi w świetle pojedynczej żarówki, dziurą w jednej skroni i tworzącą miazgę raną wylotową w drugiej. Sądząc ze wzrostu i budowy, jak oceniał Quinn, mógł być mężczyzną, który znajdował się za nim w magazynie, mężczyzną ze Skorpionem. Jeśli tak było, zastrzelił na Równinie Shotover angielskiego sierżanta i dwóch agentów amerykańskiej Secret Service.

Drugi mężczyzna w piwnicy wymierzył pistolet prosto w plecy Quinna i powiedział coś po holendersku. Quinn odwrócił się. Mężczyzna zszedł po piwnicznych schodach, a jego kroki stłumił łoskot spadającej beczki. W rzeczywistości powiedział: - Dobra robota, mijnheer, znalazł pan swojego przyjaciela. Szukaliśmy go.

Dwóch pozostałych schodziło po schodach; obaj mieli na sobie mundury policji holenderskiej. Mężczyzna z bronią był sierżantem z Recherche w cywilu.

- Zastanawiam się - powiedziała Sam, kiedy szli na komendę przy Tolbrug Straat - czy miałby wzięcie pełen katalog holenderskich kamienic miejskich.

Przypadkowo komenda policji w Den Bosch znajduje się naprzeciw Groot Zieken Gasthaus - dosłownie Wielkiego Pensjonatu dla Chorych - do którego szpitalnej kostnicy zabrano na sekcję zwłok ciało Jana Pretoriusa.

Nadinspektor Dykstra nie przywiązywał wagi do ostrzegawczego telefonu Papy De Groota z poprzedniego dnia rano. Amerykanin próbujący odnaleźć faceta pochodzącego z Afryki Południowej nie musiał oznaczać kłopotów. W porze obiadowej wysłał na miejsce jednego z sierżantów. Człowiek ten stwierdził, że bar „Złoty Lew” jest zamknięty i zameldował o tym.

Do baru pomógł się im dostać miejscowy ślusarz, ale wszystko wydawało się w porządku. Żadnego zamieszania, żadnej bójki. Jeśli Pretorius miał ochotę zamknąć lokal i wyjść, miał do tego prawo. Właściciel baru po drugiej stronie ulicy twierdził, że „Złoty Lew” był otwarty do południa. Przy takiej pogodzie drzwi pozostają zamknięte. Nie widział, żeby

jacyś klienci wchodzili lub wychodzili za "Złotego Lwa", ale nie było w tym nic dziwnego. Interes nie szedł.

To sierżant zaproponował, żeby poddać bar dłuższej obserwacji, a Dykstra się zgodził. Opłaciło się; Amerykanin pojawił się w dwadzieścia cztery godziny później.

Dykstra przesłał wiadomość do Gerechtelijk Laboratorium w Voorburgu, głównego krajowego laboratorium patologii. Kiedy dowiedzieli się, że to rana postrzałowa, a w dodatku cudzoziemiec, przysłali samego profesora Veermana, najlepszego holenderskiego patologa sądowego.

Po południu nadinspektor Dykstra wysłuchał cierpliwie wyjaśnień Quinna, że znał Pretoriusa przed czternastu laty w Paryżu i próbował go odnaleźć podczas podróży po Holandii przez wzgląd na wspomnienia. Jeśli nawet Dykstra nie wierzył w tę historię, nie dawał tego po sobie poznać. Ale sprawdził. Holenderska BVD potwierdziła, że Południowoafrykańczyk przebywał w tym czasie w Paryżu; byli pracodawcy Quinna z Hartford potwierdzili, że Quinn tego roku prowadził ich paryskie biuro.

Z Hotelu Centralnego sprowadzono wynajęty samochód i dokładnie go przeszukano. Ani śladu broni. Odnaleziono i przeszukano ich bagaże. Ani śladu broni. Sierżant potwierdził, że Quinn ani Sam nie mieli przy sobie broni, kiedy znalazł ich w piwnicy. Dykstra sądził, że Quinn zamordował Południowoafrykańczyka poprzedniego dnia, zanim sierżant roztoczył obserwację, i wrócił, ponieważ zapomniał czegoś, co mogło być w kieszeni ofiary. Ale, gdyby to była prawda, czemu sierżant nie widział, żeby tamten próbował się dostać głównym wejściem? Gdyby zamknął za sobą drzwi po zabiciu Południowoafrykańczyka, mógłby potem bez trudu dostać się do środka. Stanowiło to zagadkę. Jednego Dykstra był pewien; nie traktował poważnie znajomości w Paryżu jako powodu tej wizyty.

Profesor Veerman przybył o szóstej i skończył przed północą. Przeszedł ulicę i usiadł przy kawie z bardzo zmęczonym nadinspektorem Dykstra.

- I co, panie profesorze?

- W odpowiednim czasie otrzyma pan pełny raport - odrzekł profesor.

- Chodzi mi o ogólny obraz.

- No dobrze. Śmierć w wyniku rozległego zmiążdżenia mózgu spowodowanego kulą, prawdopodobnie kalibru dziewięć milimetrów, wystrzeloną z bliskiej odległości, która przeszła lewą skroń, a wyszła prawą. Powinienem poszukać dziury w konstrukcji drewnianej baru.

Dykstra przytaknął.

- Czas śmierci? - zapytał. - Zatrzymałem dwoje Amerykanów, którzy odnaleźli ciało, rzekomo podczas przyjacielskiej wizyty. Chociaż włamali się do baru, żeby je odkryć.

- Wczoraj w południe - odparł profesor. - Może kilka godzin wcześniej lub później. Będę wiedział więcej potem, kiedy przygotują mi wyniki badań.

- Ale wczoraj w południe Amerykanie byli na komendzie policji w Arnhem - powiedział Dykstra. - To niepodważalny fakt. O dziesiątej rozbili samochód, a o czwartej zwolniono ich i spędzili noc w hotelu Rijn. Mogli nocą opuścić hotel, przyjechać tu, zrobić to i wrócić na miejsce przed brzaskiem.

- To niemożliwe - powiedział wstając profesor. - Ten człowiek był martwy najpóźniej wczoraj o drugiej po południu. Jeśli byli w Arnhem, są niewinni. Przykro mi. Ale tak wyglądają fakty.

Dykstra zaklął. Sierżant roztoczył obserwację w trzydzieści minut po wyjściu mordercy z baru.

- Koledzy z Arnhem powiedzieli mi, że kiedy wyjechaliście państwo wczoraj, udaliście się w kierunku promu we Vlissingen - powiedział Sam i Quinnowi zwalniając ich nad ranem.

- To prawda - odparł Quinn, odbierając swój przetrząśnięty dokładnie bagaż.

- Będę wdzięczny, jeśli państwo się tam udadzą - powiedział nadinspektor. - Panie Quinn, mój kraj z radością wita zagranicznych gości, ale gdziekolwiek się państwo pojawiają, policja holenderska ma pełne ręce dodatkowej roboty.

- Bardzo mi przykro - powiedział wymownie Quinn. - Ale skoro nie zdążyliśmy poprzednio na prom, a jesteśmy głodni i zmęczeni, czy moglibyśmy spędzić resztę nocy w hotelu i wyjechać rano?

- Zgoda - powiedział Dykstra. - Powiem kilku moim ludziom, żeby odeskortowali was do granic miasta.

- Zaczynam się czuć jak ktoś z rodziny królewskiej - powiedziała Sam wchodząc do łazienki, gdy znaleźli się w Hotelu Centralnym. Kiedy wyszła, Quinna nie było. Wrócił o piątej, ukrył Smith&Wessona z powrotem na dnie saszetki Sam i przespał się dwie godziny, zanim podano poranną kawę.

Jazda do Flushing przebiegała bez wydarzeń. Quinn był pogrążony głęboko w myślach. Ktoś likwidował kolejnych najemników, Quinn więc nie bardzo wiedział, dokąd się teraz udać. Może... z powrotem do archiwum. Może da się w nim coś jeszcze wygrzebać, chociaż było to bardzo, ale to bardzo nieprawdopodobne. Po śmierci Pretoriusa trop był zimny jak martwy od tygodnia dorsz i podobnie też cuchnął.

Wóz policji z Flushing stał zaparkowany przy rampie promu do Anglii. Siedzących w nim dwóch oficerów widziało, jak Opel Ascona pogrąża się powoli w kadłubie trejlerowca, ale zczekali, nim zamkną się drzwi, a prom wypłynie na wody ujścia Skaldy, i dopiero wówczas poinformowali centralę.

Podróż upływała spokojnie. Sam robiła notatki, które tymczasem przekształciły się w przewodnik po europejskich komendach policji; Quinn czytał pierwszą od dziesięciu dni angielską gazetę. Nie zauważył notatki zatytułowanej *Poważne przetasowanie w KGB?* Była to relacja Reutera z Moskwy powołująca się jak zwykle na dobrze poinformowane źródła, które sugerowały nadchodzące zmiany we władzach radzieckiej tajnej policji.

Quinn od dwóch godzin czekał w ciemności w małym ogródku przy Carlyle Square, nieruchomy jak posąg i niewidoczny dla nikogo. Szczodrzeniec rzucał cień, który osłaniał go przed światłem latarni ulicznej; jego czarna skórzana wiatrówka na zamek błyskawiczny i nieruchoma pozycja dokonywała reszty. W odległości kilku metrów przechodzili ludzie, ale żaden nie dostrzegł mężczyzny w mroku.

Było wpół do jedenastej; mieszkańcy tego eleganckiego placu w Chelsea wracali z kolacji w restauracjach Knightsbridge i Mayfair. David i Carina Frostowie przejechali na tylnym siedzeniu swojego podstarzałego Bentleya, kierując się w stronę domu. O jedenastej przybył oczekiwany przez Quinna mężczyzna.

Zaparkował samochód na parkingu dla lokatorów po drugiej stronie ulicy, pokonał trzy stopnie wiodące do drzwi wejściowych swojego domu i wsadził klucz do zamka. Zanim go zdążył przekręcić, Quinn był u jego boku.

- Julian...

Julian Hayman odwrócił się przerażony.

- Na Boga, nie rób tego, Quinn. Mogłem cię powalić. Hayman był nadal, w wiele lat po opuszczeniu pułku, w świetnej formie. Ale lata życia w mieście stępiły nieco dawny refleks. Quinn spędził te lata harując w winnicach pod palącym słońcem. Nie miał zamiaru sugerować, że mogło być odwrotnie, gdyby doszło do starcia.

- Muszę znowu skorzystać z twojego archiwum, Julian. Hayman doszedł już do siebie. Potrząsnął stanowczo głową.

- Przykro mi, stary. Nigdy więcej, nie ma szans; mówi się, że jesteś spalony. Ludzie szemrali... wiesz, w naszym kółku... o sprawie Cormacka. Nie mogę ryzykować. To ostateczna decyzja.

Quinn zdał sobie sprawę z nieodwołalności decyzji. Trop się urwał. Odwrócił się, chcąc odejść.

- A tak przy okazji - zawołał Hayman ze szczytu schodów. - Wczoraj jadłem obiad z Barneyem Simkinsem. Pamiętasz starego Barneya?

Quinn skinął głową. Barney Simkins był dyrektorem firmy Broderick-Jons, towarzystwa ubezpieczeniowego Lloyda, które zatrudniało Quinna przez dziesięć lat na różnych placówkach w Europie.

- Mówi, że ktoś dzwonił, pytając o ciebie.

- Kto?

- A bo ja wiem? Barney powiedział, że rozmówca był bardzo ostrożny. Przekazał, że jeśli chcesz się z nim skontaktować, zamieść w ciągu najbliższych dziesięciu dni małe ogłoszenie w paryskim wydaniu *International Herald Tribune* i podpisz je Q.

- Nie podał żadnego nazwiska? - spytał Quinn.

- Tylko jedno, stary. Dziwne nazwisko. Zack.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Quinn wsiadł do samochodu i zajął miejsce za kierownicą obok Sam, która czekała na niego za rogiem w Mulberry Walk. Był zamyślony.

- Zgodził się?

- Co?

- Hayman. Zgodzi się, żebyś wrócił do jego kartoteki?

- Nie. Wykluczone, i to ostatecznie. Ale zdaje się, że ktoś inny chciałby się zabawić.

Dzwonił Zack.

To ją zaskoczyło.

- Zack? Czego chce?

- Spotkać się.

- Jak cię, u diabła, znalazł? Quinn puścił sprzęgło i ruszył.

- Miał szczęście. Wiele lat temu wspomniano o mnie czasem, kiedy pracowałem u Brodericka-Jonesa. Zack znał tylko moje nazwisko i nazwę firmy. Okazuje się, że nie jestem jedyny, który sprawdza stare wycinki z gazet. Dzikim fuksem Hayman jadł akurat obiad z kimś z mojej starej firmy, gdy poruszono ten temat.

Skręcił w Old Church Street i jeszcze raz w prawo, w King's Road.

- Quinn, on będzie chciał cię zabić. Zlikwidował już dwóch swoich ludzi. Bez nich może cały okup zatrzymać dla siebie. Sprzątnie ciebie i koniec polowania. Najwidoczniej sądzi, że prędzej ty go złapiesz niż FBI.

Quinn się zaśmiał:

- Gdyby tylko wiedział, że nie mam zielonego pojęcia ani kim jest, ani gdzie go szukać.

Postanowił nie mówić jej, iż przestał już wierzyć w to, że Zack jest mordercą Marchais i Pretoriusa. Co nie oznacza, iż ktoś taki jak Zack zawahałby się przed wyeliminowaniem własnego człowieka za odpowiednią cenę. Dawniej w Kongo kilku najemników zginęło z ręki takich samych typów jak oni. Ale nie podobał mu się zbieg okoliczności z czasem.

Przyjechali z Sam do Marchais w kilka godzin po jego śmierci; na ich szczęście nie kręciła się tam policja. Jednakże gdyby nie szczęśliwe zderzenie za Arnhem, przybyliby do baru Pretoriusa z nabitym pistoletem w godzinę po jego śmierci. Całymi tygodniami siedzieliby w areszcie, policja Den Bosch prowadziłaby śledztwo.

Skręcił z King's Road w Beaufort Street, jadąc w kierunku Battersea Bridge i znalazł się w środku korka. Duży ruch uliczny w Londynie nie jest niczym dziwnym, lecz o tej porze w zimowy wieczór wydostanie się z miasta na południe nie powinno było przedstawiać problemu.

Sznur samochodów, w którym tkwili, przesunął się kawałek i Quinn spostrzegł policjanta kierującego objazdem wokół metalowych słupków, blokujących wjazd na drugie pasmo jezdni. Samochody jadące na północ i na południe musiały - na zmianę - korzystać z tego samego pasma.

Kiedy znaleźli się tuż przy blokadzie. Quinn i Sam zobaczyli dwa samochody policyjne z zapalonymi, kręcącymi się lampkami na dachu. Stały po dwóch stronach karetki, zaparkowanej z otwartymi drzwiami. Dwaj sanitariusze wysiedli z noszami i podeszli do bezkształtnej masy na chodniku, przykrytej kocem.

Policjant kierujący ruchem ponaglił ich niecierpliwie. Sam obrzuciła wzrokiem fasadę budynku, przed którym leżała postać na chodniku. Okna na ostatnim piętrze były otwarte; zobaczyła głowę policjanta wychylającego się z jednego z okien i spoglądającego w dół.

- Wygląda na to, że ktoś wyleciał z ósmego piętra - zauważyła. - Gliny wyglądają przez okno, tam, w górze.

Quinn chrząknął i skupił uwagę na prowadzeniu, starając się nie uderzyć w tylne światła jadącego przed nim samochodu, którego kierowca również gapił się na wypadek. Kilka chwil później droga znów była pusta i Quinn szybko przeskoczył Oplem przez most na Tamizie, pozostawiając za sobą ciało człowieka, o którym nigdy nie słyszał i nie miał usłyszeć - ciało Andy'ego Lainga.

- Dokąd jedziemy? - spytała Sam.

- Do Paryża.

Powrót do Paryża był dla Quinna powrotem do domu. Mimo że więcej czasu spędzał przy pracy w Londynie, Paryż stanowił miejsce specjalne.

Tam zdobywał i zdobył Jeannette, tam ją poślubił. Przez dwa cudowne lata mieszkali w małym mieszkaniu tuż obok rue de Grenelle; ich córka urodziła się w amerykańskim szpitalu w Neuilly.

Znał w Paryżu bary, dziesiątki barów, gdzie po śmierci Jeanette i Sophie na orleańskiej autostradzie usiłował stłumić ból alkoholem. Bywało mu w tym mieście dobrze, bywał w nim szczęśliwy, tam poznał piekło i smak noclegu w rynsztoku. Znał Paryż.

Noc spędzili w motelu za Ashford i o 9 rano złapali poduszkowiec kursujący między Folkestone i Calais, dojeżdżając do Paryża akurat na obiad.

Quinn zameldował ich w niewielkim hotelu tuż przy Polach Elizejskich i pojechał szukać miejsca na zaparkowanie samochodu. VIII *arrondissement* w Paryżu ma wiele uroków, lecz nie należy do nich łatwość parkowania. Postawienie samochodu przed Hotel du Colisee na ulicy o tej samej nazwie byłoby zaproszeniem dla służb drogowych. Skorzystał wobec tego z podziemnego, czynnego całą dobę parkingu przy rue Chauveau-Lagarde, tuż za Madeleine, i wrócił do hotelu taksówką. Tak czy siak zamierzał poruszać się taksówkami. W okolicach Madeleine zanotował dwie inne rzeczy, których może potrzebować.

Po obiedzie Quinn i Sam pojechali taksówką do redakcji *International Herald Tribune* mieszczącej się w Neuilly przy Avenue Charles de Gaulle pod numerem 181.

- Obawiam się, że nie możemy tego zamieścić w jutrzejszym wydaniu - powiedziała dziewczyna za biurkiem. - Dopiero pojutrze. Wstawki na następny dzień są możliwe tylko wtedy, jeśli się je poda do 11.30.

- Bardzo dobrze - zgodził się Quinn i zapłacił gotówką. Wziął darmowy numer gazety i przeczytał ją w taksówce, gdy wracali na Pola Elizejskie.

Tym razem nie przegapił wiadomości z Moskwy pod tytułem: *Gen. Kriuczkow wyrzucony* i podtytułem: *Szef KGB wylany w wielkiej czystce*. Quinn przeczytał artykuł, ale nie przykładał do niego żadnego znaczenia.

Korespondent z Moskwy donosił, że Biuro Polityczne „z żalem” przyjęło rezygnację z zajmowanego stanowiska i przejście na emeryturę szefa KGB, generała Władimira Kriuczkowa. Jego dotychczasowy zastępca miał pełnić obowiązki szefa, dopóki nie zostanie wyznaczony następca.

Autor artykułu przypuszczał, iż zmiany dokonały się w związku z niezadowoleniem Biura Politycznego, zwłaszcza z pracy Zarządu Pierwszego, którego szefem był sam Kriuczkow. Dziennikarz kończył korespondencję sugestią, jakoby Biuro Polityczne - cienko zawołowana aluzja do samego Gorbaczowa - życzyło sobie młodszej i świeższej krwi na najwyższych stanowiskach zagranicznych służb szpiegowskich Związku Radzieckiego.

Wieczorem i przez cały następny dzień Quinn aplikował Sam, która nigdy nie była w Paryżu, atrakcje turystyczne. Obejrzelili Luwr, ogród Tuileries w deszczu, Łuk Triumfalny i wieżę Eiffla, kończąc wolny dzień w kabarecie Lido.

Następnego ranka pojawiło się ogłoszenie. Quinn wstał wcześniej i kupił egzemplarz gazety od sprzedawcy na Polach Elizejskich, aby mieć pewność, że się ukazało. Ogłoszenie brzmiało krótko: *Z. Jestem tu. Zadzwoń... Q*. Podał numer hotelu i uprzedził telefonistę w niewielkiej centralce, że spodziewa się telefonu. Czekał w swoim pokoju. Telefon zadzwonił o 9.30.

- Quinn? - Głos nie pozostawiał wątpliwości.

- Słuchaj, Zack, zanim przejdziemy do sprawy - to jest hotel. Nie lubię telefonów hotelowych. Zadzwoń do budki telefonicznej za pół godziny.

Podyktował numer w budce niedaleko Place de la Madeleine. Wychodząc, zawołał do Sam:

- Wracam za godzinę.

Została w hotelu, jeszcze w nocnej koszuli. Telefon w budce zadzwonił dokładnie o dziesiątej.

- Quinn, muszę z tobą porozmawiać.

- Właśnie rozmawiamy, Zack.

- To znaczy osobiście, twarzą w twarz.

- Jasne. Nie ma problemu. Powiedz, kiedy i gdzie.

- Żadnych sztuczek, Quinn. Bez broni i bez obstawy.

- Tak jest.

Zack podyktował czas i miejsce. Quinn niczego nie zapisywał, nie było potrzeby. Wrócił do hotelu. Sam, ubrana, czekała na dole. Znalazł ją w hotelowym barze, nad rogalikami i kawą z mlekiem. Spojrzała na niego z ciekawością.

- Czego chciał?

- Spotkania, twarzą w twarz.

- Quinn, kochanie, uważaj. To morderca. Kiedy i gdzie?

- Nie tutaj. - Kilku turystów wciąż jeszcze siedziało przy śniadaniu. - Na górze.

- W pokoju hotelowym - powiedział, kiedy weszli na górę. - Jutro o ósmej rano. W jego pokoju w Hotel Roblin. Zarezerwowanym na nazwisko - nigdy byś nie zgadła - Smith.

- Muszę tam być, Quinn. Wcale mi się to wszystko nie podoba. Nie zapominaj, że ja też mam doświadczenie z bronią, i nie ruszysz się nigdzie bez Smith&Wessona.

- Oczywiście.

Kilka minut później Sam ponownie zeszła do baru. Wróciła po dziesięciu minutach. Quinn przypomniał sobie, że w barze jest telefon.

Spała, gdy wychodził o północy, zostawiając przy łóżku budzik nastawiony na 6 rano. Jak cień przemknął przez sypialnię, zbierając po drodze buty, skarpetki, spodnie, slipy, sweter, marynarkę i pistolet. Na korytarzu nie było nikogo. Włożył ubranie, zatknął pistolet za pasek, poprawił wiatrówkę, aby zakryła kolbę i cicho zszedł na dół.

Złapał taksówkę na Polach Elizejskich i dziesięć minut później był w Hotel Roblin.

- *La chambre de Monsieur Smith, s'il vous plait* - oznajmił nocnemu portierowi, który sprawdził rezerwację i podał mu klucz. Numer 10. Drugie piętro. Wszedł po schodach i do pokoju.

Łazienka najlepiej się nadawała na zasadzkę. Drzwi do niej znajdowały się w rogu pokoju i widać było przez nie każdy kąt, zwłaszcza drzwi na korytarz. Wykręcił żarówkę z głównej lampy w pokoju, wziął krzesło i postawił je w łazience. Rozpoczął czuwanie przy ledwie uchylonych drzwiach od łazienki. Gdy oczy przyzwyczyły się już do ciemności, bez trudu widział pusty pokój, słabo oświetlony przez uliczną latarnię; jej światło wpadało przez okna, których celowo nie zasłaniał.

Do szóstej nikt się nie pojawił. Nie słyszał żadnych kroków w korytarzu. O pół do siódmej nocny portier przyniósł kawę jakiemuś rannemu ptaszкови w sąsiednim pokoju; słyszał jego kroki za drzwiami, później wracające po schodach w dół. Nikt nie wszedł, nikt nie usiłował wejść.

O ósmej ogarnęła go fala ulgi. Wszedł dwadzieścia po ósmej, zapłacił rachunek i wziął taksówkę z powrotem do Hotel du Colisee. Sam była w pokoju, nieprzytomna ze zdenerwowania.

- Quinn, gdzie się, u diabła, podziewałeś? Strasznie się denerwowałam. Obudziłam się o piątej... Ciebie nie było... Na litość boską, przypadło to spotkanie.

Mógł skłamać, ale miał autentyczne wyrzuty sumienia. Opowiedział jej, co zrobił. Spojrzała na niego tak, jakby ją uderzył w twarz.

- Myślałeś, że to ja? - szepnęła. Tak, przyznał, po śmierci Marchais i Pretoriusa nabrał obsesyjnego przekonania, że ktoś informuje mordercę czy morderców. Jak inaczej mogliby dopaść najemników przed nimi? Przełknęła głośno, wzięła się w garść i udawała, że nic się nie stało.

- W porządku, to, jeśli wolno mi spytać, kiedy jest prawdziwe spotkanie? Oczywiście, jeżeli mi jeszcze teraz ufasz.

- Za godzinę, o dziesiątej. W barze przy rue de Chalon, za Gare de Lyon. Kawalek drogi, musimy już iść.

Znów wzięli taksówkę. Sam siedziała z niemym wyrzutem, podczas gdy taksówka jechała nadbrzeżem, wzdłuż północnego brzegu Sekwany, z północno-zachodniej do południowo-wschodniej części miasta. Wysiedli na rogu rue de Chalon i Passage de Gatbois. Quinn postanowił, że resztę drogi przejdą pieszo.

Rue de Chalon biegnie równoległe do torów kolejowych prowadzących ze stacji na południe Francji. Zza muru słyszeli szcęk pociągów poruszających się w najrozmaitsze strony. Jest to dość obskurna ulica.

Od rue de Chalon odchodzą uliczki, każda ze słowem Passage w nazwie, łączące się z ruchliwą Avenue Daumesnil. Z miejsca, gdzie wysiedli z taksówki, doszli do następnego skrzyżowania i Quinn znalazł ulicę, której szukał - Passage de Vautrin. Skręcił.

- Cholernie parszywa okolica - zauważyła Sam.

- Taa, to on wybierał. Spotkanie jest w barze.

Przy Passage de Vautrin były dwa bary i żaden nie stanowił konkurencji dla Ritza.

„Chez Hugo” znajdował się po drugiej stronie ulicy, pięćdziesiąt jardów za pierwszym barem. Quinn pchnął drzwi. Kontuar barowy znajdował się po lewej stronie, po prawej - dwa stoliki przy oknie, zasłoniętym grubymi, koronkowymi firankami. Przy stolikach nie było nikogo. W całym barze nie było nikogo, oprócz nie ogolonego właściciela, który pilnował za ladą ekspresu do kawy. Mając za sobą otwarte drzwi, a w nich Sam, Quinn był widoczny i wiedział o tym. Natomiast trudno byłoby zobaczyć kogoś, kto znajdowałby się w ciemnych zakamarkach z tyłu. Wtedy zobaczył jedyne go klienta baru: na końcu salki, siedzącego samotnie przy stoliku, z filiżanką kawy na stoliku i wpatrującego się w Quinna.

Quinn przeszedł przez salę, Sam za nim. Mężczyzna nie poruszył się. Nie spuszczał wzroku z Quinna, choć na sekundę obrzucił spojrzeniem Sam. Wreszcie Quinn stanął przed nim. Zack miał na sobie sztruksową marynarkę i rozpiętą pod szyją koszulę. Przerzedzone rudawe włosy, późna czterdziestka, pociągła, nieprzyjemna twarz, mocno ospowata.

- Zack?

- Tak. siadaj. Kim ona jest?

- Wspólniczka. Jak mam zostać, ona zostaje. To ty chciałeś się spotkać. Zaczynaj.

Usiadł naprzeciwko Zacka, z rękami na stole. Żadnych sztuczek. Mężczyzna spoglądał na niego wrogo. Quinn widział już gdzieś tę twarz. Przypomniał sobie kartotekę Haymana i tę z Hamburga. Znalazł. Sidney Fielding, jeden z oficerów u Johna Petersa w Piątym Commando w Paulis, w byłym Kongo belgijskim. Zack drżał z emocji, ledwo kontrolowanej. Po paru sekundach Quinn pojął, że to wściekłość, zmieszana z czymś jeszcze. Widział taki wyraz oczu wiele razy, w Wietnamie i gdzie indziej. Ten człowiek się bał, był rozgoryczony i zły, ale także bardzo przerażony. Zack nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Quinn, ty draniu. Ty i twoi ludzie to wredne, kłamliwe dranie. Obiecaliście, że nie będzie poszukiwań, mówiliście, że mamy zniknąć, i po kilku tygodniach wszystko się

uspokoi... Gówno! Teraz słyszę, że Wielki Paul zaginął, a Janni jest w kostnicy w Holandii, i nikt nas nie szuka, co? Kurwa! Polujecie na nas.

- Ej. nie tak ostro. Zack. Ja nie jestem jednym z tych, którzy ci obiecywali. Jestem po drugiej stronie. Zacznijmy lepiej od początku. Dlaczego porwaliście Simona Cormacka?

Zack spojrział na Quinna tak, jakby ten zapytał go, czy słońce jest zimne czy gorące.

- Bo nam za to zapłacili.

- Porwaliście za pieniądze? Nie dla okupu? - Nie, okup był ekstra. Dostaliśmy pół miliona dolarów. Dla siebie wziąłem dwieście tysięcy, pozostali trzej dostali po sto. Powiedzieli nam, że okup jest ekstra, mogliśmy żądać, ile chcieliśmy i zatrzymać to sobie.

- W porządku. Kto wam za to zapłacił? Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. Wezwano mnie następnego dnia po porwaniu, żebym odnalazł dzieciaka. Kto to wymyślił?

- Nie wiem, jak się nazywa. Nigdy nie mówił. Amerykanin, tyle wiem. Niski, gruby facet. Tu mnie znalazł. Bóg jeden wie, jakim sposobem, musi mieć swoje kontakty. Zawsze spotykaliśmy się w pokojach hotelowych. Kiedy przychodziłem, on już tam był, zamaskowany. Ale płacił z góry, gotówką.

- A wydatki? Porwania są kosztowne.

- Zwrot kosztów nie wliczony do zapłaty. Gotówką. Wydałem następne sto tysięcy dolarów.

- Czy była w tym opłata za dom, gdzie się ukrywałeś?

- Nie. to miałem zapewnione. Spotkaliśmy się w Londynie na miesiąc przed robotą. Dał mi klucze, podał adres i kazał przygotować miejsce na kryjówkę.

- Daj mi ten adres.

Zack podyktował. Quinn zanotował. Nigel Cramer i naukowcy z laboratoriów Scotland Yardu pojechali tam później i sprawdzili każdy najdrobniejszy ślad. Miało się okazać, że dom nie był wynajmowany, lecz całkiem legalnie kupiony za 200.000 funtów, za pośrednictwem brytyjskiego zespołu adwokackiego działającego w imieniu spółki zarejestrowanej w Luksemburgu.

Okazało się, że spółka była reprezentowana zupełnie legalnie przez bank luksemburski, gdzie nikt nie widział nigdy jej właściciela. Pieniądze na kupno domu przyszły do Luksemburga w formie czeku wystawionego przez bank szwajcarski. Szwajcarzy oznajmili, że czek został kupiony za gotówkę - dolary amerykańskie - w filii w Genewie, ale nikt nie przypominał sobie kupującego.

Poza tym dom wcale nie znajdował się w północnym Londynie, lecz w południowej części hrabstwa Sussex, blisko East Grinstead. Zack po prostu jeździł samochodem obwodnicą M 25, aby telefonować z północnego Londynu.

Ludzie Cramera mieli przetrząsnąć dom od góry do dołu; mimo starań czterech wynajętych porywaczy pozostały jeszcze odciski palców, ale należały do Marchais i Pretoriusa.

- A co z Volvo? - spytał Quinn. - Ty płaciłeś?

- Tak, i za furgonetkę, i większość innych rzeczy. Gruby dał nam tylko Skorpiona. W Londynie.

Quinn nie wiedział, że Volvo już znaleziono. Stało na wielopiętrowym parkingu londyńskiego lotniska Heathrow. Najemnicy, po przejechaniu przez Buckingham w dniu morderstwa, z powrotem zawrócili na południe i pojechali do Londynu. W Heathrow wsiedli do wahadłowego autobusu, kursującego między lotniskami i dojechali na inne londyńskie lotnisko Gatwick, gdzie wsiedli do pociągu do Hastings, na wybrzeże. Oddzielne taksówki przywiozły ich do Newhaven, skąd złapali południowy prom do Dieppe. We Francji rozstali się i ukryli.

W Volvo policjanci z lotniska odkryli otwory do oddychania wywiercone w podłodze bagażnika i wyraźny zapach migdałów. Wezwano Scotland Yard, odnaleziono pierwszego właściciela samochodu Okazało się, że sprzedał on auto za gotówkę, nie dopilnował do końca sprawy papierów, a opis kupca odpowiadał opisowi rudego faceta, który kupił Forda Transit.

- Czy to ten gruby facet dostarczał ci zakulisowych informacji? - chciał wiedzieć Quinn.

- Jakich zakulisowych informacji? - zapytała nagle Sam.

- Skąd o tym wiesz? - spytał podejrzliwie Zack. Najwidoczniej wciąż uważał Quinna za jednego ze swych pracodawców, który zmienił się w prześladowcę.

- Byłeś za dobry - wyjaśnił Quinn. - Wiedziałeś, że musisz poczekać, aż ja się zjawię, i poprosić do telefonu konkretnego rozmówcę. Nic takiego mi się wcześniej nie zdarzyło. Wiedziałeś, kiedy wpaść w złość i kiedy się wycofać. Zamieniłeś dolary na diamenty, wiedząc, że spowoduje to opóźnienie, gdy byliśmy już gotowi do wymiany.

Zack kiwnął głową.

- Tak, powiedziano mi przed porwaniem, co robić, kiedy i jak. Kiedy się ukrywaliśmy, miałem wykonać następną serię telefonów. Zawsze spoza domu, zawsze z budek telefonicznych, według wcześniej podanej listy. To ten gruby, poznawałem go już po głosie.

Od czasu do czasu coś zmieniał - nazywał to "subtelny dostrajaniem". Robiłem, co mi kazał.

- W porządku, i gruby powiedział, że nie będzie później żadnych problemów. Poszukiwania potrwać mniej więcej miesiąc, jednak z braku jakichkolwiek śladów zostaną umorzone i będziecie żyli długo i szczęśliwie. Naprawdę mu uwierzyłeś? Naprawdę myślałeś, że możesz porwać i zabić syna amerykańskiego prezydenta i że cię nie złapią? To dlaczego zabiłeś dzieciaka? Nie musiałeś tego robić.

Mięśnie twarzy Zacka pracowały jak szalone. Z wściekłości oczy wyszły mu z orbit.

- Właśnie o to chodzi, ty świnió! Myśmy go nie zabili. Zostawiliśmy go przy drodze, zgodnie z instrukcją. Był cały i zdrowy - nie zrobiliśmy mu nic złego, i odjechaliśmy. O tym, że nie żyje, dowiedzieliśmy się następnego dnia, jak podano w wiadomościach. Nie chciałem wierzyć. Myśmy go nie zabili. To kłamstwo.

Na zewnątrz samochód skręcił za rogiem z rue de Chalon. Jeden mężczyzna prowadził, drugi siedział z tyłu ze strzelbą w dłoniach. Samochód przejeżdżał ulicą, jakby kogoś szukając, zatrzymał się przed pierwszym barem, podjechał niemal pod drzwi "Chez Hugo", cofnął się i zatrzymał w połowie drogi między dwoma barami. Silnik pracował na wolnych obrotach.

- Dzieciak zginął od bomby ukrytej w skórzanym pasku, który miał na sobie - powiedział Quinn. - Kiedy go porwano na Równinie Shotover, nie miał paska. Ty mu go dałeś.

- Wcale nie! - wrzasnął Zack. - Do kurwy nędzy! To Orsini.

- Dobra, opowiedz mi o Orsinim.

- Korsykanin, zabójca. Młodszy od nas. Kiedy my trzej wyjeżdżaliśmy, żeby się z tobą spotkać w magazynie, chłopak miał na sobie to, co zawsze. Gdy wróciliśmy, miał nowe ubranie. Nawrzucałem za to Orsinemu. Idiota wyszedł z domu, wbrew rozkazom, i kupił nowe ubranie.

Quinn przypomniał sobie awanturę, jaką słyszał nad głową, kiedy najemnicy odeszli, aby obejrzeć diamenty. Myślał, że chodziło im o kamienie... wtedy.

- Dlaczego to zrobił?

- Mówił, że dzieciak narzekał na zimno. Myślał, że nic takiego się nie stanie. Poszedł do East Grinstead, wszedł do sklepu sportowego i kupił ciuchy. Byłem wściekły, bo nie zna angielskiego, a jego wygląd wyróżnia go wszędzie.

- Ubranie prawie na pewno dostarczono, kiedy ciebie nie było - powiedział Quinn. - W porządku, jak on wygląda, ten Orsini?

- Jakieś trzydzieści trzy lata, zawodowiec, ale nie brał dotąd udziału w strzelaninie. Bardzo ciemna broda, czarne oczy, blizna od noża na policzku.

- Dlaczego go wynająłeś?

- To nie ja. Ja skontaktowałem się z Wielkim Paulem i z Jannim, bo ich znałem od dawna i wiedziałem, gdzie ich szukać. Korsykanina nasłał mi gruby. A teraz słyszę, że Janni nie żyje, a Wielki Paul znikł.

- Czego się spodziewasz po tym spotkaniu? Co miałbym dla ciebie zrobić?

Zack pochylił się i złapał Quinna za ramię.

- Chcę się z tego wyrwać. Jeżeli jesteś jednym z tych, co to zmontowali, powiedz im, że nie muszą mnie szukać. Nigdy nie powiem słowa. Na pewno nie gliniarzom. Więc są bezpieczni.

- Ale ja nie jestem od nich.

- To powiedz swoim ludziom, że ja nie zabiłem chłopaka. Tego nie było w umowie. Przysięgam na swoje życie, że nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Quinn pomyślał, że gdyby Nigelowi Cramerowi czy Kevinowi Brownowi udało się dostać Zacka w swoje ręce, na pewno załapałby się na całe życie jako pensjonariusz albo Jej Wysokości, albo Wuja Sama.

- Jeszcze parę spraw, Zack. Diamenty. Jeśli chcesz apelować o łaskę, lepiej na początek oddaj okup. Masz jeszcze kamienie?

- Oczywiście - powiedział gwałtownie Zack. - Są tutaj. Co do jednego.

Wsunął rękę pod stół i rzucił ciężką płócienną torbę na stolik. Sam wytrzeszczyła oczy.

- Orsini - powiedział niewzruszonym tonem Quinn. - Gdzie się teraz podziewa?

- Bóg jeden wie. Pewno z powrotem na Korsyce. Przyjechał stamtąd dziesięć lat temu, żeby działać w gangach w Marsylii, Nicei, a potem w Paryżu. Tyle udało mi się z niego wyciągnąć. Aha, pochodzi z wioski, która się nazywa Castelblanc.

Quinn wstał, wziął torbę z diamentami i spojrzał na Zacka.

- Jesteś w to, bracie, zaplątany po same uszy. Porozmawiam z władzami. Może zaakceptują to, że powiesz wszystko, co wiesz. Choć trudno na to liczyć. Ale powiem im, że za tobą stali inni, i przypuszczalnie za nimi jeszcze ktoś. Jeśli w to uwierzą, a ty powiesz wszystko, co wiesz, może przeżyjesz. Inni, ci, dla których pracowałeś... nie mają szansy.

Odwrócił się do wyjścia. Sam za nim. Jakby uważając Amerykanina za osłonę Zack również wstał i wszyscy ruszyli do drzwi. Quinn zatrzymał się.

- Ostatnie pytanie. Dlaczego nazwałeś się Zack?

Wiedział, że podczas działań związanych z porwaniem psychiatry i szyfranci długo zastanawiali się nad tym imieniem, poszukując wskazówki co do tożsamości człowieka, który je wybrał. Pracowali nad wariantem Zacharego, Zachariasza, szukali krewnych znanych kryminalistów, którzy tak mieli na imię lub takie inicjały.

- Naprawdę to było Z-A-K - odparł Zack. - Litery na tablicy rejestracyjnej mojego pierwszego samochodu.

Quinn uniósł brwi. To tyle, jak chodzi o psychiatrię. Wyszedł z baru. Za nim szedł Zack. Sam jeszcze była w drzwiach, gdy strzały ze strzelby rozerwały spokój bocznej uliczki.

Quinn nie widział samochodu ani strzelca. Słyszał tylko wyraźny świst przelatującego obok jego twarzy pocisku i chłodny powiew na policzku. Pocisk o centymetr ominął jego ucho. lecz nie Zacka. Najemnik dostał w gardło.

Quinn uratował życie dzięki swemu refleksowi. Dźwięk mijającego pocisku nie był mu obcy. Ciało Zacka uderzyło do tyłu o framugę drzwi, a potem odbite rykoszetem upadło do przodu. Quinn znalazł się z powrotem w drzwiach, nim kolana Zacka zaczęły się zginać. Przez tę sekundę, gdy ciało Zacka było jeszcze wyprostowane, posłużyło jako tarcza między Quinnem a samochodem zaparkowanym w odległości trzydziestu jardów.

Quinn skoczył tyłem przez drzwi do baru, obracając się, chwytając Sam, rzucając razem z nią na podłogę - w jednym ruchu. W chwili gdy padali na brudne kafelki, drugi pocisk przeleciał przez zamykające się nad nimi drzwi i zerwał tynk ze ściany baru. Potem sprężyna całkiem zamknęła drzwi.

Quinn szybko przeczołgał się po podłodze baru, na łokciach i kolanach, ciągnąc za sobą Sam. Samochód podjechał kawałek, aby poprawić kąt strzelania i grad pocisków rozwalił szyby w oknie i zasypał podłogę. Barman, przypuszczalnie o imieniu Hugo, nie był taki szybki. Stał z otwartymi ustami za kontuarem, dopóki prysznic szkła z jego rozpadającego się zapasu butelek nie posłał go na podłogę.

Strzały ustały - zmiana magazynka. Quinn podniósł się i biegł do tylnego wyjścia, lewą ręką ciągnąc Sam, w prawej trzymając wciąż torbę z diamentami. Drzwi z tyłu baru wychodziły na korytarz, z toaletami po obu stronach. Na wprost była obskurna kuchnia. Quinn przeleciał przez kuchnię, kopniakiem otworzył tylne drzwi i znaleźli się na podwórku.

Stały tu skrzynki z pustymi butelkami od piwa, czekające na zabranie. Używając ich jako schodków Quinn i Sam przeszli przez mur i zeskoczyli na inne podwórko, należące do sklepu rzeźnika przy równoległej uliczce Passage de Gatbois. Trzy sekundy później przeszli przez sklep zdumionego rzeźnika na ulicę. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trzydzieści jardów dalej zatrzymała się taksówka. Wysiadła z niej jakaś staruszka, z trudem gramoląc się

na zewnątrz i szukając jednocześnie w torebce drobnych. Quinn dopadł taksówki, wystawił staruszkę na chodnik i powiedział:

- *C'est paye, madame.*

Gwałtownie wsiadł na tylne siedzenie samochodu, wciąż trzymając Sam za rękę, rzucił torbę z diamentami na siedzenie, wyciągnął plik franków i pomachał kierowcy przed oczami.

- Pyskajmy stąd, ale szybko - powiedział. - Mąż mojej dziewczyny właśnie się zjawił, z najętymi pomocnikami.

Marcel Dupont - stary człowiek z sumiastymi wąsami - jeździł taksówką po paryskich ulicach od czterdziestu pięciu lat. Wcześniej walczył w ruchu oporu. Wywinał się w tym czasie z paru trudnych sytuacji, unikając rozstrzelania. Był także Francuzem i miał oko na takie blondynki, jak ta, wciągnięta właśnie do środka. Był również paryżaninem i reagował na widok grubego pliku banknotów. Wiele lat minęło, odkąd Amerykanie dawali dziesięciodolarowe napiwki. Obecnie większość z nich zdawała się przeznaczać dziesięć dolarów na całodzienne utrzymanie. Ruszając uliczką do Avenue Daumesnil zostawił za sobą smugę czarnego dymu z opon.

Quinn sięgnął poprzez Sam i mocno pociągnął rozhuśtane drzwi. Uderzyły w jakąś przeszkodę i zamknęły się dopiero za drugim razem. Sam oparła się wygodniej, biała jak płótno. Wtem spojrzała na swą ulubioną torebkę z krokodylej skóry, kupioną u Harrodsa. Przy zamykaniu drzwi taksówki uderzyły w metalową oprawkę koło denka, rozrywając szwy. Sam przyjrzała się uszkodzeniom, po czym zmarszczyła brwi zdumiona.

- Quinn, co to jest, do diabła?

„To” było wystającą końcówką czarno-pomarańczowej, cienkiej jak opłatek baterijki, takiej jak używa się w aparatach fotograficznych polaroid. Quinn scyzorykiem rozciął resztę szwów wzdłuż dna torebki i odkrył w nim zestaw trzech baterijek o szerokości sześciu centymetrów i długości dziesięciu. Nadajnik znajdował się również w dnie torebki; ciągnął się stąd drut, który prowadził do mikrofonu w metalowym bolcu, będącym częścią zawiasu. Antena znajdowała się w pasku od torebki. Było to najnowsze technicznie, miniaturowe, profesjonalne urządzenie, aktywizujące się - dla oszczędności baterii - na dźwięk ludzkiego głosu.

Quinn przyjrzał się rozłożonym między nimi na siedzeniu częściom. Nawet jeśli wszystko jeszcze działało, nie można już było przesłać fałszywych informacji. Okrzyk Sam zdradzał słuchającym wykrycie aparatu. Wysypał wszystkie rzeczy Sam z torebki, poprosił

kierowcę, żeby stanął na chwilę przy chodniku i wrzucił torebkę razem z elektronicznym urządzeniem do kosza na śmieci.

- No, tak, to nam wyjaśnia sprawę Marchais i Pretoriusa - powiedział Quinn. - Musiało ich być dwóch, jeden blisko nas, który podsłuchiwał nasze rozmowy i zawiadamił telefonicznie swego kumpla, żeby mógł przed nami dotrzeć do celu. Ale dlaczego, u diabła, nie pokazali się dziś rano na zmyślonym spotkaniu?

- Bo jej nie miałam - powiedziała nagle Sam.

- Czego nie miałaś?

- Torebki. Jadłam śniadanie w barze hotelowym; ty chciałeś rozmawiać na górze. Zapomniałam torebki, zostawiłam ją w barze na siedzeniu. Musiałam potem po nią wrócić, obawiałam się, że ją ktoś ukradnie. Żałuję, że się tak nie stało.

- Tak. Słyszeli tylko, jak mówiłem kierowcy taksówki, żeby się zatrzymał na rue de Chalon, na rogu uliczki, i słowo "bar". Na tej ulicy były dwa.

- Ale jak się do cholery, mogli dobrać do mojej torebki? Odkąd ją kupiłam, mam ją cały czas przy sobie.

- To nie była twoja torebka, lecz duplikat. Ktoś zwrócił na nią uwagę, wykonał drugą identyczną i podmienił. Ile osób przewinęło się przez mieszkanie na Kensingtonie?

- Po tym, jak uciekłeś? Cały świat i jeszcze trochę. Cramer, Brytyjczycy, Brown, Collins, Seymour, trzech czy czterech facetów z FBI Byłam w ambasadzie, w tym dworku w Surrey, gdzie cię przez jakiś czas trzymali, w Stanach, z powrotem, do diabła, wszędzie byłam z tą torbą. Potrzeba zaś pięciu minut, żeby opróżnić starą torebkę, włożyć zawartość do nowej i podłożyć na to samo miejsce.

- Dokąd jedziemy, kolego? - spytał kierowca.

Hotel du Colisee odpadał, mordercy już o nim wiedzą. Ale nie o parkingu, gdzie zostawił Opla. Tam był bez Sam i jej śmiercionośnej torebki.

- Place de la Madeleine - powiedział kierowcy. - Róg Chauveau-Lagarde.

- Słuchaj, Quinn, może powinnam wrócić do Stanów z tym, co właśnie usłyszeliśmy. Mogłabym tu pójść do naszej ambasady i domagać się eskorty dwóch goryli. W Waszyngtonie muszą się dowiedzieć o tym, co nam powiedział Zack.

Quinn przyglądał się mijanym ulicom. Taksówka przejeżdżała właśnie obok rue Royale. Objechała Madeleine i zatrzymała się przy wjeździe do parkingu. Quinn dał sympatycznemu taksówkarzowi duży napiwek.

- Dokąd jedziemy? - spytała Sam, kiedy jechali Oplem na południe, przez Sekwanę, w kierunku Dzielnicy Łacińskiej.

- Ty jedziesz na lotnisko.

- Do Waszyngtonu?

- Na pewno nie do Waszyngtonu. Słuchaj, Sam, zwłaszcza teraz nie możesz tam wrócić bez ochrony. Ktokolwiek za tym stoi, jest to ktoś dużo ważniejszy niż grupka byłych najemników. Ich tylko wynajęto. Wszystko, co się działo po naszej stronie, wracało do Zacka. Był zawsze na czas poinformowany o postępach policji, zarządzeniach wydawanych w Scotland Yardzie, w Londynie i w Waszyngtonie. Wszystko starannie zaaranżowano, łącznie z zabójstwem Simona Cormacka.

- Kiedy dzieciak biegł wzdłuż drogi, ktoś musiał być na drzewie z detonatorem. Skąd wiedział, gdzie i kiedy ma czekać? Stąd, że Zack otrzymywał dokładne wskazówki na każdym kroku, również co do naszego zwolnienia. Nie zabił mnie dlatego, że nie kazano mu tego zrobić. Nie sądził, że będzie musiał kogoś zabijać.

- No, ale - zaprotestowała Sam - Zack mówił, że to ten Amerykanin, ten, co wszystko załatwił i mu zapłacił, ten gruby.

- A kto powiedział tłustemu facetowi?

- Oh! Za tłustym facetem ktoś stoi.

- Musi - powiedział Quinn. - i to wysoko, naprawdę wysoko. Wiemy, co się wydarzyło i w jaki sposób, ale niewierny, kto i dlaczego. Teraz wrócisz do Waszyngtonu i opowiesz, co usłyszeliśmy od Zacka. Co mamy konkretnego? Opowieść porywacza, kryminalisty i najemnika, który w dodatku nie żyje. Facet uciekający ze strachu przed konsekwencjami tego, co zrobił, usiłujący kupić wolność przez wydanie własnych kolegów i oddanie diamentów, plotący przy tym trzy po trzy o tym, że to wszystko kazał mu robić ktoś inny.

- Co wobec tego robimy?

- Ty się ukrywasz. Ja szukam Korsykanina. On jest tu główną postacią, pracownikiem grubasa, tym, który dostarczył śmiertelny pasek i założył go Simonowi. Dolary przeciwko guzikom, że Zackowi kazali przeciągnąć rokowania o sześć dodatkowych dni, zamieniając w żądaniach pieniądze na diamenty, dlatego że nowe ubranie nie było jeszcze gotowe. Rozkład jazdy się popsuł, bo wszystko działo się zbyt szybko i trzeba było zwolnić. Jeśli potrafię znaleźć Orsiniego, dorwać go żywego, zmusić do rozmowy, to najprawdopodobniej poda mi nazwisko swego pracodawcy. Jak będziemy znali nazwisko grubasa, możemy jechać do Waszyngtonu.

- Pozwól mi pojechać z tobą, Quinn. Taka była umowa.

- Taką umowę zawarł Waszyngton. Tej umowy już nie ma. Wszystko, co nam powiedział Zack, zostało odebrane dzięki urzędzeniu w torebce. Wiedzą, że my też wiemy. Dla nich teraz zaczyna się polowanie na ciebie i na mnie. Chyba że dostarczymy nazwisko grubasa. Wtedy myśliwi zmieniają się w ofiary. FBI tego dopilnuje. Oraz CIA.

- Gdzie mam się ukryć i na jak długo?

- Dopóki cię nie zawiadomię, że wszystko w porządku, niezależnie od powodów. Jeżeli chodzi o miejsce - to w Maladze. Mam przyjaciół w południowej Hiszpanii, którzy się tobą zaopiekują.

Paryż, tak jak Londyn, ma dwa lotniska. Dziewięćdziesiąt procent międzynarodowych lotów startuje z lotniska Charles de Gaulle, w północnej części stolicy. Lecz loty do Hiszpanii i Portugalii odbywają się ze starego lotniska Orly na południu. Dodatkowe zamieszanie powoduje fakt, że Paryż ma również dwa terminale, z których każdy obsługuje inne lotnisko. Autobusy na Orly odjeżdżają z Maine-Montparnasse w Dzielnicy Łacińskiej. Quinn podjechał tam pół godziny po wyruszeniu z Madeleine, zaparkował i poprowadził Sam do głównego holu.

- A moje ubrania, rzeczy w hotelu? - narzekała Sam.

- Nie ma mowy. Jeśli bandyci nie pilnują już hotelu, to są głupi. a głupi nie są. Masz paszport i karty kredytowe?

- Tak. Zawsze mam przy sobie.

- Ja też. Idź teraz do banku i weź tyle pieniędzy, ile możesz ze swego konta.

Kiedy Sam była w banku. Quinn zużył resztę gotówki na jej bilet w jedną stronę z Paryża do Malagi. Uciekł jej samolot o 12.45, ale drugi odlatywał jeszcze przed wieczorem, o 5.35.

- Pańska przyjaciółka ma pięć godzin czekania - powiedziała urzędniczka, sprzedająca bilety. - Autobusy na Orly odjeżdżają spod furtki „J” co dwanaście minut.

Quinn podziękował jej, przeszedł do banku i dał Sam bilet. Podjęła pięć tysięcy dolarów, z czego Quinn wziął cztery.

- Odprowadzę cię do autobusu. Na Orly będziesz bezpieczniejsza niż tu, gdyby przyszło im do głowy sprawdzić odloty. Na lotnisku idź wprost do kontroli paszportowej i do strefy bezcłowej. Trudniej się tam dostać. Kup nową torebkę, torbę podróżną, jakieś ubrania - sama wiesz, czego potrzebujesz. Potem czekaj na lot i nie przegap go. Załatwię, żeby w Maladze na ciebie czekali.

- Quinn, nie znam przecież hiszpańskiego.

- Nie martw się, oni wszyscy mówią po angielsku.

Przy stopniach do autobusu Sam wyciągnęła ręce i objęła Quinna.

- Quinn, przepraszam. Lepiej by ci poszło samemu.

- Nie twoja wina, mała. - Quinn uniósł jej głowę i pocałował. Nikt nie zwrócił uwagi na ten, zwyczajny w końcu w terminalu, gest. - Poza tym bez ciebie nie miałbym Smith & Wessona. Sądzę, że mi się przyda.

- Uważaj na siebie - szepnęła. Zimny wiatr wiał wzdłuż Boulevard de Vaugirard. Ostatnie bagaże zapakowano do bagażnika i ostatni pasażerowie wsiedli do autobusu. Sam zdrząła w ramionach Quinna. Pogłaskał błyszczące jasne włosy, spoczywające na jego piersi.

- Nic mi nie będzie. Musisz mi zaufać. Zadzwoń za parę dni. Wtedy, niezależnie od wszystkiego, będziemy już mogli bez obaw wracać do domu.

Spoglądał za autobusem jadącym bulwarem, pokiwał ręką małej dłoni w tylnym oknie. Później autobus skręcił za róg i znikł z pola widzenia.

Niedaleko od terminalu, po drugiej stronie ulicy jest duża poczta. Quinn kupił w sklepie papierniczym kawałek tektury i papier do pakowania i wszedł na pocztę. Użył scyzoryka, taśmy do klejenia, papieru i sznurka, zrobił mocne opakowanie dla diamentów i wysłał je paczką poleconą, ekspresem, do ambasadora Fairweathera w Londynie.

Z budki telefonicznej zadzwonił do Scotland Yardu i zostawił wiadomość dla Nigela Cramera. Był to adres w pobliżu East Grinstead w Sussex. Zadzwonił także do baru w Esteponie. Mężczyzna, z którym rozmawiał, nie mówił po hiszpańsku, lecz londyńskim slangiem cockney.

- Taa, w porządziu, koleś - powiedział głos w słuchawce. - Zaopiekujemy się twoją panią.

Po załatwieniu ostatnich spraw Quinn wrócił do samochodu, napełnił bak po brzegi w najbliższej stacji benzynowej i ruszył przez dość gęsty w porze przerwy obiadowej ruch uliczny do paryskiej obwodnicy. Godzinę po rozmowie telefonicznej z Hiszpanią jechał już autostradą A6, na południe w kierunku Marsylii.

Zatrzymał się na obiad w Beaune, a potem położył na tylnym siedzeniu samochodu, żeby nadrobić trochę braki snu. O trzeciej rano ponownie ruszył na południe.

Gdy spał, jakiś człowiek siedział spokojnie w restauracji „San Marco”, naprzeciwko Hotel du Colisee i obserwował jego frontowe drzwi. Siedział tak już od południa, ku zdumieniu, a później niechęci personelu restauracji. Zjadł południowy posiłek, siedział całe popołudnie, zamówił obiad. Kelnerom zdawało się, że siedzi i czyta przy oknie.

O jedenastej restaurację zamykano. Mężczyzna wyszedł i przeszedł do sąsiedniego budynku, do hotelu Royal. Wyjaśnił, że czeka na przyjaciela, zajął miejsce przy oknie w holu i kontynuował obserwację. O drugiej w nocy w końcu zrezygnował.

Pojechał na czynną całą dobę pocztę przy rue de Louvre, wszedł na piętro do kabin międzynarodowych i zamówił rozmowę z przywołaniem. Został w kabinie, dopóki telefonistka nie oddzwoniła.

- *Allo, monsieur.* Jest pana rozmowa. Proszę mówić. Na linii Castelblanc.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Costa del Sol od dawna służyło za ulubione miejsce odosobnienia poszukiwanym przedstawicielom brytyjskiego świata przestępców. Ładnych paru rzezimieszków, w następstwie zręcznego opróżnienia banku czy pancерnej furgonetki, albo pozbawienia paru inwestorów ich pieniędzy, prysnęło z ziemi ojców i umykając przed rozczapierzonymi palcami Scotland Yardu znalazło schronienie pod słońcem południa Hiszpanii, by cieszyć się nowo nabytym dostatkim. Ktoś nawet kiedyś zauważył, że w pogodny dzień w Esteponie widać więcej fachowców pierwszej kategorii niż w Królewskim Więzieniu Parkhurst podczas apelu.

Tego wieczoru czterech spośród nich czekało na lotnisku w Maladze, na skutek pewnego telefonu z Paryża. Byli tam Ronnie, Bernie i Arthur, którego imię wymawiało się „Arfur”, wszyscy w średnim wieku, oraz małolat Terry, znany jako „Tel”. Panowie, z wyjątkiem Tela, ubrani byli w jasne garnitury i kapelusze panama, a także, mimo iż słońce dawno zaszło, nosili ciemne okulary. Podeszli do tablicy informacyjnej, stwierdzili, że samolot z Paryża właśnie wylądował, i dyskretnie stanęli z boku wyjścia z komory celnej.

Sam pojawiła się w pierwszej trójce pasażerów. Nie miała bagażu, tylko nową torebkę kupioną na Orly, oraz niewielki skórzany neseser, także nowy, zawierający kolekcję kosmetyków i ciuchy na zmianę. Na sobie miała dwuczęściowy kostium, w którym zresztą wystąpiła na porannym spotkaniu w barze „Chez Hugo”.

Ronnie miał jej rysopis, który jednak nie zdradzał wszystkiego. Podobnie jak Bernie i Arthur, Ronnie był żonaty i jego stara, tak samo jak pozostałe żony, była tlenioną blondyną, rozjaśnioną niemal na białą wskutek nieustannego oddawania czci słońcu, a swą jaszczurczą skórę także zawdzięczała promieniom nadfioletowym. Ronnie z aprobatą oceniał bladą, północną cerę nowo przybyłej oraz jej figurę, która przywodziła na myśl smukłą sylwetkę klepsydry.

- Superglina - zamruczał Bernie.

- Pyszne - powiedział Tel. Był to jego ulubiony, jeśli nie jedyny, przymiotnik. Co tylko zdołało go zaskoczyć lub zadowolić, określał jako „pyszne”.

Ronnie ruszył do przodu.

- Panna Somerville?

- Tak.

- ...bry wieczór. Ja jestem Ronnie. To Bernie. Arfur i Tel. Quinn prosił nas, żebyśmy się panią zajęli. Samochód stoi tam.

Quinn jechał do Marsylii w zimny, deszczowy poranek ostatniego dnia listopada. Miał do wyboru: albo polecieć do Ajaccio, stolicy Korsyki, z lotniska Marignane i być na miejscu jeszcze tego samego dnia, albo wsiąść na nocny prom i zabrać ze sobą samochód.

Wybrał prom. Po pierwsze, nie będzie musiał wypożyczać samochodu w Ajaccio; po wtóre, bezpiecznie przewiezie Smith&Wessona, zatkniętego wciąż za paskiem, a po trzecie czuł, że powinien przezornie poczynić pewne drobne zakupy na czas pobytu na Korsyce.

Drogowskazy do portu przy Quai de la Joliette były w miarę czytelne. Port świecił pustkami. Poranny prom z Ajaccio stał przycumowany; pasażerowie opuścili go ponad godzinę temu. Kasa biletowa na Boulevard des Dames była jeszcze zamknięta. Zaparkował więc samochód i czekając na otwarcie zjadł śniadanie.

O dziewiątej wykupił bilet na wieczorny prom *Napoleon*, który odpływał o ósmej wieczorem i zawijał na miejsce o siódmej rano następnego dnia. Z biletem w kieszeni mógł umieścić Asconę na parkingu dla pasażerów, nie opodal nabrzeża J4, skąd miał odpłynąć prom.

Tak też zrobił, po czym udał się spacerem do miasta na zakupy. Zdobycie płóciennej torby nie nastreczyło mu kłopotów, a drogeria udostępniła przybory do mycia i golenia, których nie miał, bo zostały przy rue de Colisee w Paryżu. W sklepach z odzieżą męską kręcono nad nim głowami, lecz wreszcie znalazł to, o co mu chodziło, w zamkniętej dla ruchu kołowego uliczce St Ferreol, dokładnie na północ od Starego Portu.

Młody sprzedawca był bardzo uprzejmy i kupno butów z cholewami, dżinsów, pasa i kapelusza odbyło się bez problemu. Jednak kiedy Quinn wyraził swe ostatnie żądanie, młody człowiek uniósł brwi.

- Co takiego podać, *m'sieur*? Quinn powtórzył, czego mu trzeba.

- Przykro mi, ale chyba to nie jest na sprzedaż.

Wpatrywał się w dwa banknoty o dużym nominale, przesuwane kusząco między palcami Quinna.

- Może w magazynie? Jakiś stary, niepotrzebny? - podpowiedział Quinn.

Młody człowiek rozejrzał się.

- Zobaczę, proszę pana. Mogę wziąć pańską torbę?

Zniknął na dziesięć minut w magazynie na zapleczu. Kiedy wrócił, rozchylił torbę, żeby Quinn mógł zajrzeć.

- Znakomicie - powiedział Quinn. - O to mi chodziło. Spakował się, dał sprzedawcy napiwek zgodnie z obietnicą i wyszedł. Niebo się rozchmurzyło, zjadł więc obiad w kawiarnianym ogródku niedaleko Starego Portu i nad filiżanką kawy spędził godzinę studiując szczegółową mapę Korsyki. Z wykazu nazw dowiedział się jedynie, że Castelblanc leży w górach Ospedale, daleko na południu wyspy.

O ósmej *Napoleon* odbił od nabrzeży Gare Maritime i skierował dziób do tyłu, w stronę sieci dróg. Quinn raczył się właśnie lampką wina w barze "Des Aigles", prawie pustym o tej porze roku. Prom dokonał manewru biorąc kurs w morze i światła Marsylii przedefilowały za oknem, zastąpione wkrótce widokiem starej fortecy-więzienia. Chateau d'If, przesuwanym się kilkadziesiąt metrów od burty.

Piętnaście minut później minęli Przylądek Croisette, by znaleźć się wreszcie na pełnym morzu, w otulającej ciemności. Quinn poszedł na kolację do Malmaison, wrócił do kabiny na pokładzie D i położył się spać przed jedenastą, bo budzik miał nastawiony na szóstą rano.

Koło jedenastej Sam siedziała ze swymi gospodarzami w niewielkiej wiejskiej chałupie, postawionej na uboczu, wysoko w górach za Esteponą. Żaden z nich nie mieszkał tam stale; chałupy używano do przechowywania różnych rzeczy i w rzadkich momentach, kiedy któryś z przyjaciół potrzebował "chwili samotności" z dala od nachalnych detektywów wymachujących wnioskami o ekstradycję.

Siedzieli w pięcioro w pokoju z zamkniętymi okiennicami, zasnutym dymem papierosów i grali w pokera. Pomysł rzucił Ronnie. Gra toczyła się od trzech godzin; jedynie Ronnie i Sam zostali przy stoliku, Tel zaś w ogóle nie grał, tylko donosił piwo i sam trąbił z butelki, mając do dyspozycji pokaźny zapas w skrzyniach pod ścianą. Przy pozostałych ścianach również piętrzyły się paki, lecz wyładowane były egzotycznymi liśćmi wprost z Maroka, przeznaczonymi na eksport do krajów położonych dalej na północ.

Arthur i Bernie odpadli i siedzieli wpatrzeni ponuro w dwoje pozostałych graczy przy stoliku. Na środku stołu leżała pula banknotów tysiącpesetowych, zawierająca wszystko, co przynieśli ze sobą, plus połowę stanu posiadania Ronnie'ego i połowę dolarów będących własnością Sam, wymienianych na pesos według bieżącego kursu peso-dolar.

Sam popatrzyła na kupkę pieniędzy, jaka jeszcze została Ronnie'emu, przesunęła większość własnych banknotów na środek i podniosła stawkę. Uśmiechnął się krzywo, dołożył do puli i sprawdził. Odwróciła cztery z pięciu kart. Dwa króle, dwie dziesiątki. Ronnie wyszczerzył zęby i odwrócił wszystkie swoje karty: miał fula: trzy damy, dwa walety. Sięgnął po stos pieniędzy, w którym znajdowała się jego forsa, plus wszystko, co wnieśli

Bernie z Arthurem. plus dziewięć dziesiątych z tysiąca dolarów Sam. Wtedy odwróciła piątą kartę. Trzeci król.

- Wszyscy diabli - powiedział i opadł na krzesło. Sam zgarniała kupkę banknotów.
- Święta prawda - rzekł Bernie.
- Słuchaj no, Sam, w jaki sposób ty zarabiasz na życie? - spytał Arthur.
- Quinn wam nie mówił? - zdziwiła się. - Jestem specjalną agentką FBI.
- Superglina - stwierdził Ronnie.
- Pyszne - powiedział Tel.

Napoleon przybił punkt siódma do nabrzeża Gare Maritime w Ajaccio, pomiędzy molami Capucins i Citadelle. Dziesięć minut później Quinn dołączył do kilku innych samochodów wynurzających się z wnętrza promu i po pochylni wjechał do starożytnej stolicy owej tajemniczej, a zarazem pięknej wyspy.

Jego mapa dawała wyraźne wskazówki, jak jechać: przez miasto na południe, wzdłuż Boulevard Sampiero aż do lotniska, potem w góry na lewo, drogą N196. Skręcił i po kwadransie teren zaczął się wznosić, jak to bywa na Korsyce, która jest niemal w całości górzysta. Droga gwałtownie zakręcała i wiła się serpentyną przez Cauro aż do Col St. Georges, skąd przez chwilę mógł popatrzeć wstecz na wąski pas równiny wybrzeża daleko z tyłu w dole. Potem znów otoczyły go góry: zbocza i urwiska przyprawiające o zawrót głowy, pagórki porośnięte gajem oliwnym, dąbrową i buczyną. Za Bicchisano droga ponownie zawijała się w dół, w stronę wybrzeża Propriano. Nie było sposobu, by uniknąć jazdy w góry Ospedale trasą pełną niebezpiecznych zakrętów - linia prosta prowadziłyby przez dolinę Baraci, okolicę tak dziką, że żaden kierowca nie zdołałby jej spenetrować.

Za Propriano znów jechał parę mil wzdłuż wybrzeża, aż droga D268 pozwoliła mu skrócić w kierunku Ospedale. Zjechał z drogi oznaczonej literą N (krajowej) i znalazł się w obrębie dróg D (lokalnych), nieco szerszych od polnej ścieżki, lecz sprawiających wrażenie wielopasmowych autostrad w porównaniu z górskimi szlakami, jakie go jeszcze czekały. D268 biegła północnym obrzeżem doliny rzeki Fiumicicoli, która już zniknęła mu z oczu daleko w dole po prawej.

Mijał maleńkie, przycupnięte osady pobudowane z miejscowego szarego piaskowca na stokach pagórków i skarp, skąd rozciągał się widok, od którego kręciło się w głowie i zastanawiał się, jak ci farmerzy dają radę utrzymać się ze swych niewielkich sadów i łąk.

Droga wciąż wznosiła się stromymi zakrętami, czasem opadała w fałdach terenu, by po chwili znów pięć się w górę. Powyżej St-Lucie de Tallano skończył się zagajnik i wzniesienia pokryły wysokie po pas zarośla wrzosów i mirtu, które tu nazywają *maquis*. W

czasie drugiej wojny światowej ucieczka z domu w góry, dla uniknięcia aresztowania przez gestapo, nazywała się “nurkowaniem w *maquis*”, dlatego Francuzi z podziemnego ruchu oporu zasłynęli jako *maqui-sards*, lub po prostu *Maquis*.

Korsyka jest tak stara jak jej góry, wśród których ludzie mieszkają od czasów prehistorycznych. Podobnie jak na Sardynii i Sycylii, toczono tu tak wiele wojen, że można stracić rachubę i obcy zawsze przybywali jako najeźdźcy, okupanci lub poborcy podatków, żeby rządzić i brać, nigdy dawać. Korsykanie, sami niebogaci, odpowiadali ucieczką w góry, do swych naturalnych fortec i zarazem sanktuariów. Pokolenia rebeliantów i bandytów, partyzantów i buntowników szły w góry, by ująć przed władzą, która nacierała od wybrzeża ściągając podatki i daniny od ludu, choć lud nie był w stanie ich płacić.

Przez wieki takich doświadczeń mieszkańcy gór formowali swoją filozofię tajemnicy i wierności wobec klanu. Władza zawsze reprezentowała niesprawiedliwość i Paryż ściągał daninę tak samo brutalnie jak każdy inny najeźdźca. Chociaż Korsyka jest częścią Francji i dała jej Napoleona Bonapartego oraz setki innych notabli, dla mieszkańców gór cudzoziemiec pozostanie zawsze cudzoziemcem, zwiastunem niesprawiedliwych podatków i przemocy, nieważne, czy rodem jest z Francji, czy skądinąd. Korsyka owszem, wysyłała swych synów za chlebem na kontynent, do Francji, lecz jeśli któryś syn popadł w tarapaty, służyła mu zawsze schronieniem.

To właśnie góry, bieda i obawa przed prześladowaniem dały początek solidarności niewzruszonej jak skała i Związkowi Korsykańskiemu, uznawanemu przez niektórych za bardziej tajny i niebezpieczny niż mafia. To właśnie w ten świat, nietknięty przez wiek dwudziesty razem z jego Wspólnymi Rynkami i innymi Parlamentami Europejskimi, wjechał Quinn w ostatnim miesiącu roku 1991.

Tuż przed wioską Levie znajdował się wjazd na wąską drogę zwaną D59; na drogowskazie widniała nazwa Carbini. Droga biegła wprost na południe i cztery mile dalej przecinała rzekę Fiumicicoli jeszcze jako wąski strumyczek, biorący początek w górach Ospedale. W Carbini, wiosce z jedną ulicą, gdzie mężczyźni w granatowych fartuchach siedzą na przyzbie domów z kamienia, a kury rozgrzebują kurz, skorowidz przy mapie Quinna wyczerpał swój zasób informacji. Z wioski prowadziły dalej dwie drogi. D148 wiodła z powrotem na zachód, tam skąd przyjechał, lecz wzdłuż południowego obrzeża doliny. Na wprost biegła D59. w kierunku Orone i dalej, na południe, aż do Sotta. Widać było wystający wierzchołek góry Cagna na południowym zachodzie, po lewej milczący masyw gór Ospedale, zwieńczony najwyższym na Korsyce szczytem, Punta delia Vacca Morta, nazwanym tak,

ponieważ gdy patrzy się pod pewnym kątem, przypomina ponoć zdechłą krowę. Wybrał kierunek na wprost.

Po wyjeździe z Orone góry z lewej zaczęły się przybliżać i już dwie mile dalej można było skręcić do Castelblanc. Droga była raczej udeptaną ścieżką, lecz jeśli żaden szlak nie przecina gór Ospedale, widać prowadzą tam wyłącznie ślepe dróżki. Z drogi widział wielką jasnoszarą skałę, z samego brzegu masywu gór, która komuś wydała się kiedyś murem białego zamku: owa pomyłka przed wiekami dała nazwę osadzie. Quinn powoli jechał górską drogą. Trzy mile dalej, wysoko ponad D59, leżało Castelblanc.

Droga urywała się przy placu, który znajdował się na końcu wioski przyległej do górskiego zbocza. Wąską uliczkę prowadzącą na plac otaczały niskie domy z kamieni; wszystko zamknięte na cztery spusty, łącznie z okiennicami. Żadna kura nie grzebała w kurzu. Żadnych staruszków na przyzbie. Panowała cisza. Wjechał na plac, wysiadł i przeciągnął się. Podczas gdy to robił, w głębi uliczki zawarczał silnik traktora. Ciągnik wyłonił się spomiędzy dwóch domów, przetoczył na środek drogi i stanął. Kierowca wyjął kluczyki, upuścił na ziemię i zniknął między domami. Odległość dzieląca tył traktora od ściany wystarczyła, by zmieścić się tam motocykl, lecz żaden samochód nie mógłby wyjechać, chyba żeby usunąć ciągnik.

Quinn rozejrzał się. Plac był otoczony z trzech stron, nie licząc zatarasowanego wyjazdu. Po prawej stały cztery domy, na wprost - mały kamienny kościółek. Po lewej znajdowało się najpewniej centrum kulturalne Castelblanc - niska, jednopiętrowa tawerna kryta dachówką - oraz ścieżka prowadząca do pozostałej części osady, nie położonej bezpośrednio przy drodze; zlepek domów, stodół i podwórek kończył się u boku góry.

W drzwiach kościoła pojawiła się nieduża postać bardzo starego księdza, który nie zauważywszy Quinna odwrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi.

- *Bonjour, mon pere* - pogodnie przywitał go Quinn.

Sługa boży podskoczył niczym postrzelony królik, bliski paniki spojrzał na Quinna i umknął na drugą stronę, gdzie znikł na ścieżce koło tawerny. Po drodze się przeżegnał. Obecność Quinna zaskoczyłaby każdego z korsykańskich duchownych, gdyż firmowy sklep z odzieżą męską w Marsylii obsłużył go jak należy. Miał na sobie wytłaczane, westernowe buty, jasnobłękitne dzinsy, koszulę w jaskrawo-czerwoną kratę, zamszą kurtkę z frędzlami i wysoki kowbojski kapelusz. Jeśli pragnął wyglądać jak karykatura z parodii westernu, w zupełności mu się to udało. Zabrał kluczyki od samochodu i płócienną torbę, następnie wkroczył do baru.

W środku panował mrok. Właściciel tkwił za kontuarem zawzięcie polerując szklanki; a to coś nowego - pomyślał Quinn. Poza tym w pomieszczeniu stały cztery dębowe stoły, przy każdym po cztery krzesła. Tylko jeden stół był zajęty, siedziało przy nim czterech mężczyzn wpatrujących się we własne karty.

Quinn podszedł, postawił torbę, lecz nie zdjął kapelusza. Barman uniósł wzrok.

- *Monsieur*?

Żadnej ciekawości ani zaskoczenia. Quinn udawał, że niczego nie zauważa; błysnął szerokim uśmiechem.

- Kieliszek czerwonego wina, jeśli można - poprosił uprzejmie. Wino pochodziło z miejscowej winnicy, było ostre w smaku, lecz dobre. Quinn sączył je z zadowoleniem. Z zaplecza baru wyszła pulchna żona karczmarza, rozstawiła kilka talerzy z oliwkami, chlebem i serem, ani razu nie spojrzała na Quinna i po krótkiej przemowie męża, wygłoszonej w lokalnym dialekcie, zniknęła w kuchni. Mężczyźni grający w karty także nie raczyli na niego spojrzeć. Quinn zwrócił się do barmana.

- Szukam pewnego dżentelmena, który tu mieszka, o ile wiem - powiedział. - Nazywa się Orsini. Czy pan go zna?

Barman zerknął na karciarzy, jak gdyby szukał suflera. Nie doczekał się podpowiedzi.

- Czy to może *monsieur* Dominique Orsini? - zapytał wreszcie. Quinn wyglądał na zamyślnego. Zablokowali drogę, więc przyznają, że Orsini istnieje. Z obu powodów chcą, żeby został. Do kiedy? Spojrzał za siebie. Niebo za oknami rozświetlało blade zimowe słońce. Pewnie do zmroku. Quinn zwrócił się przodem do baru i przeciągnął palcem po policzku.

- Człowiek z blizną od noża. Dominique Orsini? Barman kiwnął głową.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie znajduje jego dom?

Barman ponownie spojrzał nagląco w stronę czterech graczy, licząc na ich pomoc. Tym razem się doczekał. Jeden z mężczyzn, jedyny spośród nich ubrany w garnitur, podniósł wzrok znak kart i przemówił.

- *Monsieur* Orsini dziś wyjechał, *monsieur*. Wróci jutro. Jak pan zaczeka, to pan go zobaczy.

- Dziękuję, przyjacielu. Jestem szczerze wdzięczny. - Spytał barmana: - Mógłbym wynająć pokój do jutra?

Mężczyzna bez słów skinął głową. Dziesięć minut później Quinn miał pokój, który przydzieliła mu żona właściciela, w dalszym ciągu unikając jego wzroku. Gdy wyszła. Quinn dokładnie obejrzał pomieszczenie. Znajdowało się na tyłach domu; z okna widać było podwórze otoczone przez stodoły bez drzwi, kryte wspólnym dachem. Materac na łóżku był źle

wypchany i gruzłowaty. lecz dla jego potrzeb w sam raz. Quinn obluzował dwie deski w podłodze z pomocą scyzoryka i ukrył pewien przedmiot z zawartości swej torby. Resztę zostawił do wglądu. Zasunął torbę, położył na łóżku, wyrwał sobie włos i przykleił śliną do zamka błyskawicznego.

Po powrocie do baru zjadł dobry obiad, złożony z koziego sera, świeżego chrupiącego pieczywa, pasztetu z wieprzowiny miejscowego wyrobu i soczystych oliwek, które popił winem. Później przechadzał się trochę po wiosce. Wiedział, że do zapadnięcia zmroku jest bezpieczny; jego gospodarze otrzymali rozkazy i zrozumieli je.

Niewiele było do oglądania. Żaden człowiek nie wyszedł, żeby się z nim przywitać. Widział jedno małe dziecko wciągane w pośpiechu do sieni parą spracowanych kobiecych rąk. Wielkie tylne koła traktora na głównej drodze zatrzymały się tuż za wylotem ścieżki, z której ciągnik wyjechał, zostawiając półmetrowe przejście. Przód traktora przylegał do drewnianej stodoły.

Koło godziny piątej w powietrzu czuło się chłód. Quinn wrócił do baru, gdzie w palenisku wesoło trzaskały oliwkowe polana. Poszedł do pokoju po książkę, z satysfakcją stwierdził, że torba została przeszukana, nic nie zginęło, a deski podłogowe pod łóżkiem nie były ruszane.

Spędził dwie godziny w barze, nad książką, w dalszym ciągu nie zdejmując kapelusza, potem zjadł kolejny posiłek: smaczne *ragout* wieprzowe z fasolką przyprawione góorskimi ziołami, chleb, placek z jabłkiem, do tego kawa. Zamiast wina pił wodę. O dziewiątej udał się do swego pokoju, W godzinę później zgasło ostatnie światło w wiosce. Tej nocy nikt nie został na telewizję w barze, który szczycił się jednym z trzech odbiorników we wsi. Nikt nie grał w karty. O dziesiątej wieś pogrążyła się w ciemności, z jedyną zapaloną żarówką w pokoju Quinna.

Była to słaba, goła żarówka, zwisająca na zakurzonym drucie ze środka sufitu. Najlepsze światło dawała tuż poniżej i tam właśnie, na prostym krześle, postać w wysokim kowbojskim kapeluszu zasiadła do czytania.

Księżyc wzeszedł o wpół do drugiej, uniósł się znad gór Ospedale, by trzydzieści minut później skąpać Castelblanc w białej poświacie tajemnego blasku. Chuda postać cicho sunęła wzdłuż skąpo oświetlonej drogi jak ktoś, kto dokładnie wie, dokąd zdąży. Prześliznęła się po dwóch wąskich ścieżkach, żeby znaleźć się wśród stodoł i podwórek na zapleczu tawerny.

Ów cień bezszelestnie wskoczył na furę siana w jednym z podwórek i stamtąd dostał się na szczyt muru. Przebiegł bez trudu po krawędzi, przesadził szerokość ścieżki i zwinnie wylądował na dachu przybudówki, dokładnie naprzeciw okna pokoju Quinna.

Zasłony były nie całkiem zasunięte, nie starczyły na całą szerokość okna. W niewielkim prześwicie wyraźnie widniała sylwetka Quinna z książką na kolanach; głowę miał lekko pochyloną do przodu, by lepiej widzieć druk w słabym świetle, nad parapetem widać było ramiona w kraciastej koszuli i biały kapelusz na głowie.

Młody człowiek na dachu wyszczerzył zęby: taka głupota zaoszczędzi mu tylko wchodzenia przez okno, żeby wykonać robotę. Zdjął przewieszoną przez ramię strzelbę *lupara* na skórzanym pasku, odbezpieczył i wycelował. Odległa o dwanaście metrów głowa w kapeluszu wypełniła przestrzeń ponad dwiema lufami; oba spusty były połączone drutem, by wypalić z obu luf jednocześnie.

Oddany strzał mógł postawić całą wieś na nogi, lecz nie zapłonęło światło w żadnym z okien. Gruby śrut z dwururki zmiotł tafłę szyby i poszarpał cienką, bawełnianą zasłonę. Tuż za oknem głowa siedzącego mężczyzny jakby eksplodowała. Strzelec zobaczył, jak detonacja zmiata jasny kapelusz, czaszka rozpryskuje się na kawałki i jaskrawa krew bryzga na wszystkie strony. Pozbawiony głowy tors w czerwonej kraciastej koszuli przechylił się i upadł na podłogę poza zasięgiem wzroku.

Zadowolony młody kuzyn klanu Orsinich, który właśnie przysłużył się rodzinie, dał susa z dachu, po murze dobiegł do fury siana, zeskoczył na ziemię i skreślił tam, skąd przyszedł. Bez pośpiechu, nie zagrożony w swoim triumfie młodzieniec zdążył w kierunku domu na skraju wioski, gdzie oczekiwał go człowiek, którego szczerze wielbił. Nie widział ani nie słyszał wyższego od siebie mężczyzny, który bezszelestnie wyłonił się z ciemnej sieni i poszedł za nim.

Pokój na górze posprząta później żona gospodarza. Jej materaca nie da się uratować, gdyż został rozcięty wzdłuż, sprężyste włosie zaś wypełniło koszulę w czerwoną kratę, tors i ramiona, aż gotową kukłę można było stabilnie usadzić na krześle. Kobieta znajdzie długie paski przezroczystej taśmy klejącej, które mocowały tors do oparcia w pozycji pionowej, oraz szczątki kapelusza i książki.

Pozbiera po kawałku pozostałości głowy z polistyrenu należącej do manekina, którą na prośbę Quinna młody sprzedawca z Marsylii wyszukał w magazynie sklepu za sowitą opłatą. Z dwóch prezerwatyw napełnionych keczupem z restauracji na promie niemal nic nie zostało, tylko czerwone rozbryzgi w całym pokoju, ale da się je łatwo zetrzeć mokrą ścierką.

Gospodarz będzie medytował, dlaczego nie znalazł plastikowej głowy, kiedy przeszukiwał bagaż Amerykanina, i odkryje wreszcie wyrwane deski pod łóżkiem - schowek, gdzie Quinn ukrył ją zaraz po przyjeździe.

Na koniec pokaże gniewnemu człowiekowi w ciemnym garniturze, który grał w karty poprzedniego dnia w barze na dole. porzucone buty z tłoczonej skóry, džinsy, zamszową kurtkę z frędzlami i poinformuje *capu*, że Amerykanin z pewnością ma teraz na sobie zmianę odzieży: ciemne spodnie, czarną wiatrówkę zapinaną na suwak, buty „traktory” i golf. Wszyscy nachylą się nad płócienną torbę, lecz nie znajdą w niej niczego. Nastąpi to na godzinę przed świtem.

Młody chłopak dotarł na miejsce i zapukał lekko w drzwi. Quinn wśliznął się w ciemną wnękę pięćdziesiąt jardów dalej. Ktoś chyba nakazał wejść, bo chłopiec nacisnął klamkę i dostał się do środka. Kiedy drzwi się zamknęły, Quinn podszedł bliżej, okrążył dom i znalazł szparę w drewnianej okiennicy, przez którą mógł zajrzeć do środka.

Dominique Orsini siedział przy stole z surowego drewna i odkrawał plasterki tłustego salami nożem ostrym jak brzytwa. Chłopak ze strzelbą *lupara* stał naprzeciw niego. Rozmawiali w języku korsykańskim, nie przypominającym francuskiego i zupełnie niezrozumiałym dla cudzoziemca. Chłopiec opisywał zdarzenia ostatnich trzydziestu minut; Orsini kilkakrotnie kiwnął głową.

Kiedy młody skończył, Orsini wstał, obszedł stół i uściskał chłopaka. Ten aż poczerwieniał z dumy. Orsini odwrócił się i blask lampy oświetlił siną bliznę na jego twarzy biegnącą przez cały policzek. Wyjął z kieszeni rulon banknotów; chłopak potrząsał głową i odmawiał. Orsini wsunął mu pieniądze do górnej kieszeni, poklepał po plecach i pozwolił odejść. Młodzieniec wyszedł i zniknął.

Zabicie korsykańskiego chłopca od mokrej roboty byłoby łatwe. Quinn jednak chciał go mieć żywego, na tylnym siedzeniu swego samochodu, następnie w celi głównej komendy policji w Ajaccio jeszcze przed świtem. Zauważył potężny motocykl ukryty w składzie opału.

Pół godziny później Quinn w mrocznym cieniu, jaki rzucała stodoła i traktor na drodze, usłyszał warkot zapuszczanego motoru. Orsini powoli skręcił z bocznej dróżki na plac i dał gazu wzdłuż drogi wyjazdowej. Bez problemu przejechałby pomiędzy traktorem i ścianą domu. Motocykl mijał właśnie jasną smugę księżycowego blasku, kiedy Quinn wyszedł z cienia, wycelował i oddał jeden strzał. Z przedziurawioną przednią oponą motocykl zatoczył się odmawiając posłuszeństwa. Przewrócił się na bok, zrzucił jeźdźca i potoczył się jeszcze parę metrów.

Orsini siłą rozpędu poleciał w stronę traktora, lecz błyskawicznie się podniósł. Quinn stał dziesięć kroków dalej, ze Smith&Wessonem wycelowanym w pierś Korsykanina. Orsini ciężko oddychał, wykrzywiony z bólu; wyraźnie oszczędzał jedną nogę, oparty o wielkie tylne koło traktora. Quinn widział błyski w czarnych oczach i ciemny zarost na brodzie. Powoli Orsini unióś rękę.

- Orsini - rzekł cicho Quinn. - *Je m'appelle Quinn. Je veux te parler.*

Orsini w odpowiedzi przeniósł swój ciężar na nogę, która ucierpiała od upadku, jęknął z bólu i dotknął lewą ręką kolana. Dobry był. Lewa dłoń wolno masowała kolano, na sekundę odwracając uwagę Quinna. Prawa ręka wykonała znacznie szybszy ruch do dołu, wydobywając z rękawa nóż w tej samej sekundzie. Quinn dostrzegł błysk stali w świetle księżyca i runął w bok. Ostrze nie trafiło go w gardło, przebiło mu jedynie rękaw kurtki i utknęło głęboko w drewnianej ścianie stodoły tuż za nim.

Niecałą sekundę zajęło mu uchwycenie rękojeści noża i wyrwanie go ze ściany, żeby oswobodzić rękaw. Lecz tyle wystarczyło Orsiniemu. Był już po drugiej stronie traktora i pędził wzdłuż drogi jak kot. Lecz zraniony kot.

Gdyby Orsini wyszedł z upadku cało, Quinn by go nie złapał. Amerykanin był sprawny fizycznie, jednak kiedy Korsykanin wpada w *maquis*, mało kto go dogoni. Sprężysty gąszcz wrzosu, wysoki aż po pas, czepia się i ciągnie za ubranie jak tysiąc pazurów. Wrażenie podobne do przeprawy w bród. Błyskawicznie przychodzi wyczerpanie, nogi ciężą niczym odlane z ołowiu. W oceanie *maquis* człowiek może gdziekolwiek paść na ziemię i skryć się, będąc niewidocznym nawet z odległości trzech kroków.

Lecz Orsini zwalniał. Drugim jego wrogiem był księżyc. Quinn dostrzegł cień sylwetki u wylotu drogi, gdzie kończyły się zabudowania, potem widział, jak przemyka wśród wrzosów porastających zbocze. Quinn rzucił się za nim w ślad drogą i później w *maquis*. Słyszał świst gałązek przed sobą i szedł za odgłosem.

Nagle, dwadzieścia jardów z przodu, znów zobaczył głowę Orsiniego, poruszającą się w poprzek zbocza, lecz ciągle pod górę. Sto jardów dalej umilkł szelest. Orsini padł na ziemię. Quinn stanął i zrobił to samo. Iść naprzód, gdy w plecy świeci księżyc, byłoby szaleństwem.

Kiedyś polował już w nocy i na niego też polowano. W gęstych zaroślach delty Mekongu, w nieprzebytej dżungli na północ od Khe San, w górach ze swymi przewodnikami *montagnards*. Wszyscy tubylcy świetnie znają własny teren: Vietcong swoją dżunglę, Buszmeni z Kalahari swoją pustynię. Orsini był u siebie, tu się urodził i wychował; był ranny w kolano, bez noża, lecz raczej na pewno miał pistolet. A Quinn potrzebował go żywego.

Obaj mężczyźni przyczaili się więc wśród wrzosu, wsłuchani w nocne szmery, usiłując stwierdzić, że któryś odgłos to nie cykada, dziki królik czy spłoszony ptak, tylko dźwięk wywołany przez człowieka. Quinn zerknął na księżyc; zajdzie za godzinę. Potem nie będzie widać niczego aż do świtu, kiedy dla Korsykanina nadciągnie odsiecz z jego wioski leżącej ćwierć mili w dół zbocza.

Przez czterdzieści pięć minut owej godziny żaden z mężczyzn nie drgnął. Obaj nasłuchiwali, kiedy ten drugi się poruszy. Wreszcie Quinn usłyszał chrobot i wiedział, że to metal szoruje o skałę. Próbując złagodzić ból w kolanie, Orsini oparł rękę z pistoletem na kamieniu. Był tylko jeden kamień: piętnaście jardów w prawo od Quinna, za kamieniem Orsini. Quinn począł pełznąć wśród wrzosu tuż przy ziemi. Nie w stronę kamienia - groziło to kulą w twarz - lecz w stronę większej kępy o dziesięć jardów od głazu.

W tylnej kieszeni miał jeszcze kawałek żyłki wędkarskiej, z której zrobił użytek w Oldenburgu, wieszając magnetofon na gałęzi. Jednym jej końcem związał wysoką kępę dwie stopy nad ziemią, następnie wycofał się na poprzednie miejsce, rozwijając żyłkę po drodze. Kiedy był pewny, że taka odległość wystarczy, zaczął delikatnie pociągać za linkę.

Krzak poruszył się i zaszeleścił. Zluzował żyłkę, pozwalając, aby dźwięk zapadł w nasłuchujące ucho. Zrobił to jeszcze raz i jeszcze. Wtedy usłyszał, że Orsini się czołga.

Korsykanin podniósł się w końcu na kolana, o trzy kroki od kępy. Quinn widział tył jego głowy; mocno szarpnął jeszcze raz. Krzak podskoczył, Orsini uniósł pistolet oburącz i wpakował siedem kul, jedną po drugiej, w ziemię u nasady kępy. Kiedy przestał strzelać, Quinn stał za nim, wyprostowany, ze Smith&Wessonem wycelowanym w jego plecy.

Umilkły w dole echa ostatnich strzałów, gdy Korsykanin wyczuł swoją pomyłkę. Powoli odwrócił się i ujrzał Quinna.

- Orsini...

Chciał powiedzieć: „Chcę z tobą tylko mówić”.

Każdy inny człowiek na miejscu Orsiniego musiałby być szaleńcem, by tego próbować. Albo desperatem. Albo mieć przekonanie, że jeśli nie spróbuje, spotka go śmierć. Zerwał się na nogi i wypalił po raz ostatni. Był bez szans. Kula poszła w niebo, gdyż pół sekundy wcześniej Quinn także strzelił. Nie miał wyboru. Jego kula trafiła Korsykanina w pierś i wywróciła do tyłu, plecami na *maguis*.

Strzał nie przeszył serca, lecz i tak był śmiertelny. Nie starczyło czasu, by wymierzyć w ramię, a bliska odległość wykluczała półśrodki. Leżał na wznak, wpatrzony w stojącego nad nim Amerykanina. Dziura na piersiach wypełniała się krwią, która bulgotała w przedziurawionych płucach i w gardle.

- Powiedzieli ci, że przychodzę cię zabić, tak? - spytał Quinn. Korsykanin wolno skinął głową.

- Okłamali cię. On cię okłamał. Tak samo jak z tym ubraniem dla chłopca. Przyszedłem, żeby poznać jego nazwisko. Tego grubasa. Tego, który wszystko nagrał. Teraz nic mu nie jesteś winien. Żaden kodeks się nie liczy. Kim on jest?

Czy nawet w ostatnich chwilach Dominique Orsini wciąż czuł się zobowiązany do milczenia, czy nie pozwalała mu mowa napływająca do gardła, Quinn nigdy się nie dowiedział. Leżący na plecach człowiek otworzył usta, jak gdyby chciał przemówić, mógł to jednak być zwykły grymas. Zakaszłał gardłowo i usta wypełnił mu strumień różowej pienistej krwi, spływając po brodzie. Do Quinna dotarł odgłos, jaki zdarzało mu się już słyszeć, dobrze więc go znał: niski pomruk płuc, z których powietrze ulatuje po raz ostatni. Orsini przechylił głowę na bok i Quinn widział, jak w ciemnych oczach zanika hardy błysk.

We wsi było nadal cicho i nie paliły się światła, kiedy skradał się drogą prowadzącą na plac. Musieli słyszeć huk dubeltówki, pojedynczy wystrzał z pistoletu na drodze, strzelaninę na zboczu góry. Lecz jeśli nakazano im nie wychodzić, słuchali rozkazu. Mimo to ktoś - pewnie młodziak - poczuł ciekawość. Chyba zobaczył przewrócony motocykl obok traktora i zaczął obawiać się najgorszego. Jakkolwiek by było, zaczął się i czekał.

Quinn wsiadł do Opla na placu. Nikt nie dotykał samochodu. Ciasno zapiął pasy, wykręcił przodem do drogi i dodał gazu. Kiedy rąbnął w drewnianą ścianę stodoły tuż przed kołami traktora, trzasnęły stare deski. Z głuchym odgłosem roznosił grube bale siana wewnątrz stodoły, potem znów trzeszczało gruchotane drewno, kiedy Opel Ascona rozwałił drugą ze ścian.

Gruby śrut trafił tył Ascony w momencie wyjazdu ze stodoły; pełny ładunek podziurawił bagażnik, lecz nie trafił w zbiornik paliwa. Quinn pomknął drogą, roznosząc drewniane szczapy i fruujące wiechcie słomy, parę razy skontrował kierownicą, pędząc wprost w stronę drogi na Orone i Carbini. Zbliżała się czwarta rano i miał przed sobą trzygodzinną jazdę na lotnisko w Ajaccio.

Sześć stref czasowych na zachód, w Waszyngtonie, dochodziła dziesiąta wieczór poprzedniego dnia i członkowie gabinetu, których Odell wezwał, by przycisnęli ekspertów - zawodowców, nie dawali się zbyć byle czym.

- Co to znaczy "dotychczas brak postępów"? - zapytał wiceprezydent. - Minął miesiąc, dostaliście nieograniczony dostęp do wszelkich środków, wszystkich ludzi, o których się zwróciliście, oraz gotowych do współpracy Europejczyków. No i co?

Pytanie skierowane było do Dona Edmondsa, dyrektora FBI, siedzącego obok szefa wydziału śledczego FBI, Philipa Kelly'ego. oraz Lee Alexandra z CIA, który przyprowadził ze sobą Davida Weintrauba. Edmonds odkaslnął, spojrział na Kelly'ego i skinął głową.

- Panowie, jesteśmy o wiele dalej niż trzydzieści dni temu - powiedział Kelly broniąc się. - Ludzie ze Scotland Yardu prowadzą właśnie oględziny domu, gdzie, jak nam obecnie wiadomo, przetrzymywany był Simon Cormack. W naszej dyspozycji znalazła się cała masa materiału dowodowego, między innymi dwa zestawy odcisków palców, które są w trakcie identyfikacji.

- Jak znaleźli dom? - spytał Jim Donaldson z Departamentu Stanu.

Philip Kelly studiował notatki.

- Quinn zadzwonił z Paryża i powiedział im - wyjaśnił Weintraub.

- Wspaniale - stwierdził Odell z sarkazmem. - Nie ma czasem innych wieści od Quinna?

- Wydaje się, że przejawiał on aktywność w różnych częściach Europy - dyplomatycznie wybrnął Kelly. - Spodziewamy się od niego pełnego raportu lada moment.

- Co to znaczy „przejawiał aktywność”? - zapytał Bill Walters, prokurator generalny.

- Mogą wystąpić pewne problemy związane z panem Quinnem - odpowiedział Kelly.

- Problemy z panem Quinnem mamy stale - zauważył Morton Stannard z Obrony. - Co tam nowego?

- Być może wiadomo panu, iż mój współpracownik, Kevin Brown, od dawna żywi podejrzenia, że pan Quinn od początku wiedział więcej o całej sprawie, lecz nie puszczał farby; na pewnym etapie mógł nawet być wmieszany. Teraz okazuje się, że zebrany materiał dowodowy częściowo potwierdza tę teorię.

- Jaki materiał dowodowy? - spytał Odell.

- Otóż odkąd Quinn został wypuszczony, według instrukcji wydanych przez tutejszy komitet, żeby poprowadzić na własną rękę śledztwo dla ustalenia tożsamości porywaczy, stwierdzono jego obecność podczas licznych wypadków w Europie, po czym znów zniknął. Był zatrzymany w Holandii, na miejscu morderstwa, później zwolniony przez policję holenderską z braku dowodów...

- Zwolnili go - cicho wtrącił Weintraub - bo potrafił udowodnić, że w momencie zbrodni znajdował się parę ładnych mil stamtąd.

- Tak, ale denat okazał się najemnikiem z Kongo i jego odciski palców znaleziono właśnie w domu, gdzie przetrzymywany był Simon Cormack - powiedział Kelly. - Uważamy, że to podejrzane.

- Nic więcej w sprawie Quinna? - zapytał Hubert Reed ze Skarbu.

- Owszem, sir. Policja belgijska doniosła właśnie o znalezieniu ciała z kulą w głowie, umieszczonego na szczycie diabelskiego młyna. Śmierć nastąpiła trzy tygodnie temu. Pewna para, odpowiadająca rysopisom Quinna i agentki Somerville, dopytywała się o miejsce pobytu denata u jego pracodawcy, mniej więcej kiedy ów człowiek właśnie zniknął. Później, w Paryżu, inny najemnik został zastrzelony na ulicy. Taksówkarz opowiedział o dwojgu Amerykanach, również odpowiadających wspomnianym rysopisom, którzy uciekali z miejsca zbrodni w jego taksówce.

- Ślicznie - powiedział Stannard. - Cudownie. Zezwalamy mu prowadzić dochodzenie, a on gdziekolwiek się ruszy, zostawia za sobą trupy w całej północnej Europie. Mamy... a może mieliśmy tam sojuszników.

- Trzy trupy w trzech krajach - zauważył Donaldson - Czy jeszcze o czymś powinniśmy wiedzieć?

- Pewien niemiecki przemysłowiec powraca do zdrowia w szpitalu ogólnym w Bremie po nagłej operacji; twierdzi, że to z powodu Quinna - rzekł Kelly.

- Co on mu zrobił? - spytał Walters. Kelly opowiedział.

- Rany boskie, to jakiś maniak! - wykrzyknął Stannard.

- W porządku, wiemy już, co robi Quinn - powiedział Odell. - Likwiduje szajkę, zanim zaczną mówić. Albo każe im mówić przed śmiercią. Co na to FBI?

- Panowie - powiedział Kelly - pan Brown rozpracowuje najlepszy ślad, jaki mamy: diamenty. Każdy sprzedawca diamentów czy jubiler w Europie i Izraelu, nie wspominając o Stanach, szuka tych kamieni. Może i są nieduże, ale jesteśmy pewni, że nakryjemy tego, kto będzie chciał je sprzedać, w tej samej chwili, gdy one się objawią.

- Do diabła, Kelly, one już się objawiły - wykrzyknął Odell. Dramatycznym gestem podniósł z podłogi stojącą u jego stóp płócienną torbę i wysypał zawartość na stół konferencyjny. Strumień klejnotów popłynął z łoskotem po mahoniowym blacie. Wszyscy zamilkli w zdumieniu.

- Przesłane pocztą ambasadorowi Fairweatherowi do Londynu dwa dni temu. Z Paryża. Ustalono, że to charakter pisma Quinna. I co się tam, do cholery, teraz dzieje? Niech pan sprowadzi Quinna tutaj, do Waszyngtonu, żeby nam opowiedział, co stało się z Simonem Cormackiem, kto to zrobił i dlaczego. Domyślam się, że Quinn jest raczej jedynym, który cokolwiek wie. Zgadza się, panowie?

Nastąpiła seria zgodnych potakiwań ministrów gabinetu.

- Widzi pan, panie wiceprezydencie - zaczął Kelly - możemy... hm... mieć z tym niejakie problemy.

- Jakie mianowicie? - zapytał Reed z wyraźną ironią.

- On znów zniknął - rzekł Kelly. - Wiemy, że był w Paryżu, wiemy, że wynajął w Holandii Opla. Rano poprosimy francuska policję o odszukanie tego Opla i obserwację wszystkich portów europejskich. Jego samochód lub paszport wypłyną w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wtedy ściągniemy go tutaj.

- Dlaczego nie zatelefonuje pan do agentki Somerville? - podejrzliwie spytał Odell. - Ona jest z nim, ona go pilnuje.

Kelly zakaszłał przyjmując pozycję obronna.

- Tutaj też mamy mały kłopot.

- Jej chyba nie zgubiliście? - z niedowierzaniem dopytywał się Stannard.

- Europa jest rozległa, sir. Wygląda na to, że chwilowo straciliśmy z nią kontakt. Francuzi dziś potwierdzili, że opuściła Paryż udając się na południe Hiszpanii. Quinn ma tam dom, który sprawdziła hiszpańska policja. Tam się nie pokazała. Pewnie przebywa w hotelu. Też sprawdzają.

- Proszę pana - powiedział Odell. - Znajdzie pan Quinna, każe mu brać dupę w troki i wracać. Razem z panną Somerville. Chcemy z nią porozmawiać.

Zebranie przerwano.

- Oni nie są jedyni na świecie - burczał Kelly odprowadzając niezbyt zadowolonego dyrektora do czekających limuzyn.

Quinn w nastroju przygnębienia przejechał ostatnie piętnaście mil równiny wybrzeża. Wiedział, że po śmierci Orsiniego ślad całkiem się urywa. Szajka składała się z czterech ludzi, teraz wszyscy nie żyją. Gruby facet, kimkolwiek jest, oraz ci, którzy za nim stoją - jeśli w ogóle istnieją jacyś mocodawcy - teraz mogą się zapaść pod ziemię na zawsze: nic nie grozi ujawnieniem ich tożsamości. Co naprawdę stało się z jedynym synem prezydenta, dlaczego, jak i kto to zrobił, przejdzie do historii, tak samo jak na przykład zabójstwo Kennedy'ego. Oficjalny raport zamknie akta sprawy, powstaną różne teorie, próby wyjaśnienia tajemnic... ponawiane w nieskończoność.

Na południowy wschód od lotniska Ajaccio, tam gdzie górską drogą łączy się z autostradą nabrzeża, Quinn minął wezbraną od zimowej ulewy rzekę Prunelli, która z gór opada do morza. Smith&Wesson dobrze mu się przysłużył w Oldenburgu i Castelblanc, lecz nie było czasu czekać na prom, Quinn musiał lecieć - bez bagażu. Pożegnał się z bronią

ciskając wydany przez FBI pistolet daleko do rzeki, potęgując tym sposobem ból głowy biurokratów w Hoover Building. Następnie pokonał ostatnie cztery mile do lotniska.

Jest to niski, przestronny, nowoczesny budynek, lekki, z dobrą wentylacją, podzielony na dwie części - odlotów i przylotów - pomiędzy którymi biegnie tunel. Zostawił Opla Asconę na parkingu i wszedł do hali odlotów. Wszystko się właśnie otwierało. Po prawej, zaraz za stoiskiem z gazetami, znalazł okienko informacji i spytał o pierwszy odlot. Nie było żadnego samolotu do Francji przez najbliższe dwie godziny, ale mógłby właściwie zrobić coś lepszego. W poniedziałki, wtorki i niedziele, o dziewiątej, Air France lata bezpośrednio do Londynu.

I tak się tam wybierał, żeby złożyć pełny raport Kevinowi Brownowi i Nigelowi Cramerowi; jego zdaniem Scotland Yard tak samo jak FBI miał prawo wiedzieć, co wydarzyło się w październiku i listopadzie, z tego połowa w Wielkiej Brytanii, reszta w Europie. Kupił sobie bilet w jedną stronę do Londynu, lądowanie na Heathrow, i zapytał o budki telefoniczne. Cały ich szereg znajdował się koło informacji. Potrzebował drobnych, poszedł więc rozmiąć banknot u sprzedawcy gazet. Dopiero minęła siódma, miał przed sobą dwie godziny czekania.

Kiedy rozmiął pieniądze i szedł z powrotem do telefonu, nie zwrócił uwagi na brytyjskiego biznesmena, który wchodził do hali odlotów z przeciwnej strony. Ów mężczyzna również zdawał się go nie zauważać. Strząsnął kilka kropel deszczu z ramion pięknie skrojonego, trzyczęściowego ciemnego garnituru, przełożył swój grafitowoszary płaszcz przez ramię, w zgięciu łokcia powiesił wielki parasol i poszedł obejrzyć czasopisma na wystawie. Po kilku minutach któreś z nich kupił, rozejrzał się i wybrał jedno z ośmiu kolistych siedzisk wokół filarów podtrzymujących dach.

Z miejsca, które wybrał, mógł obserwować główne wejście, stanowisko odprawy pasażerów, rząd budek telefonicznych, oraz drzwi prowadzące do odprawy przed odlotem. Elegancko ubrany mężczyzna założył nogę na nogę i zabrał się do przeglądania pisma.

Quinn zajrzał do książki telefonicznej i zadzwonił do biura wynajmu samochodów. Pracownik agencji wcześniej przyszedł do pracy. On też się starał.

- Oczywiście, *monsieur*. Na lotnisku? Kluczyki pod fotelem kierowcy? Tak, możemy go stamtąd zabrać. Teraz, jeśli chodzi o opłatę... Zaraz, zaraz, jaki to samochód?

- Opel Ascona - powiedział Quinn. Nastąpiła cisza pełna powątpiewania.

- *Monsieur*, my tu nie mamy Opli Ascona. Jest pan pewien, że wynajmował pan u nas?

- Jasne, tylko że nie tu, w Ajaccio.

- Aha, czyli w naszej filii w Bastii. A może w Calvi?

- Nie, w Arnhem.

Teraz facet naprawdę się starał.

- Gdzie jest Arnhem, *monsieur*?

- W Holandii - odparł Quinn.

Człowiek w tym momencie zaniechał wszelkich starań.

- Jak mam, do cholery, sprowadzić tam Opla z holenderską rejestracją z lotniska w Ajaccio?

- Może pan nim pojechać - poradził Quinn rozsądnie. - Jak się go podszykuje z pewnością nie nawali.

Głos w słuchawce zamilkł na dłuższą chwilę.

- Podszykuje? A co z nim jest?

- Nic, tylko przód rozjechał stodołę, a tył ma z tuzin dziur po kulach.

- A kto za to zapłaci?

- Proszę tylko przesłać rachunek do ambasady amerykańskiej w Paryżu - rzekł Quinn.

Po czym odwiesił słuchawkę. Najlepsze, co mógł uczynić.

Zatelefonował do baru w Esteponie i poprosił Ronnie'ego, który dał mu numer do chałupy w górach, gdzie Bernie i Arthur trzymali na oku Sam, w żadnym wypadku nie godząc się na grę w pokera. Wykręcił ten numer i Arthur zawołał ją do telefonu.

- Quinn, kochanie, jak się czujesz? - jej głos był słaby, lecz wyraźny.

- Dziękuję, świetnie. Słuchaj, złotko, już po wszystkim. Możesz wsiąść w samolot z Malagi do Madrytu i dalej do Waszyngtonu. Będą chcieli z tobą mówić, pewnie ten cały komitet zechce usłyszeć, jak było. Będiesz bezpieczna. Powiedz im, że Orsini umarł bez słowa. Nic nie mówił. Zack wspominał o tym grubym: kimkolwiek on jest, on czy jego poplecznicy, nikt już do nich nie dotrze. Muszę lecieć, pa, na razie.

Odłożył słuchawkę, blokując tym samym potok pytań z jej strony.

Dryfując cicho po orbicie, satelita Agencji Bezpieczeństwa Narodowego odebrał tę rozmowę, wraz z milionem innych tego ranka i przesłał wiązkę do komputerów w Fort Meade. Przetworzenie informacji zabrało nieco czasu, zapadały decyzje, co zatrzymać i co wyrzucić, lecz użycie przez Sam słowa „Quinn” sprawiło, że wiadomość została zakodowana. Przystudiowano ją wczesnym popołudniem i przesłano do Langley.

Głośnik wywoływał właśnie pasażerów samolotu do Londynu, kiedy przed halę odlotów zajechała ciężarówka. Czterej mężczyźni, którzy z niej wysiedli, nie sprawiali wrażenia podróżujących do Londynu, lecz nikt nie zwracał na nich uwagi. Nikt, z wyjątkiem

eleganckiego biznesmena. Podniósł wzrok, złożył gazetę, wstał z płaszczem przewieszonym przez ramię, z parasolem w drugiej ręce - i obserwował.

Przywódca tych czterech, w czarnym garniturze i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, grał w karty poprzedniego dnia w pewnym barze w Castelblanc. Pozostała trójka ubrana była w niebieskie koszule i spodnie, jak wszyscy robotnicy winnic i gajów oliwnych. Koszule nosili wypuszczone na spodnie; ów szczegół nie umknął uwagi biznesmena. Omiętli wzrokiem pomieszczenie, Anglik ich nie zainteresował, przyglądali się innym pasażerom szykującym się do odlotu. Nie było widać Quinna, bo chwilę wcześniej poszedł do toalety. Rozległo się ostatnie wezwanie pasażerów na pokład. Pokazał się Quinn.

Od razu skręcił w prawo, w stronę bramki, wyjmując po drodze bilet z kieszeni bluzy, nie widział więc wcale czterech mężczyzn z Castelblanc. Szybkim krokiem podążyli za Quinnem. Przez halę poczekalni bagażowy pchał długi wąż złączonych wózków załadowanych walizami. Angielski biznesmen zbliżył się do bagażowego i przesunął go na stronę. Wyczekał właściwy moment i pchnął kolumnę wózków z ogromną siłą. Na gładkiej marmurowej posadzce załadowane wózki szybko nabrały prędkości i przyspieszenia, roznosząc czwórkę idących żwawo mężczyzn. Jeden z nich zorientował się w porę, uskoczył, lecz potknął się i rozciągnął jak długi. Kolumna bagażu rąbnęła drugiego mężczyznę w biodro, wyrzuciła na ziemię i w rozsypce potoczyła w trzech kierunkach. Czarno ubrany *capu* przyjął masę ośmiu wózków na przeponę i złożyło go we dwoje. Czwarty mężczyzna pospieszył mu z pomocą. Zdążyli się pozbierać i przegrupować w sam raz, żeby ujrzyć plecy Quinna znikające w przejściu dla pasażerów z biletami.

Czwórka mężczyzn z wioski podbiegła do szklanych drzwi. Stojąca tam hostessa z obsługi naziemnej z zawodowym uśmiechem przekonała ich, że zbyt późno już na czule pożegnania, za chwilę nastąpi odlot. Przez szybę widzieli, jak wysoki Amerykanin po odprawie paszportowej wychodzi na płytę lotniska. Uprzejma ręka odsunęła ich z przejścia.

- Bądź łaskaw mnie przepuścić, mój drogi - powiedział angielski biznesmen i przeszedł do samolotu.

Na pokładzie usiadł w części dla palących, dziesięć rzędów za Quinnem, na śniadanie wziął sok pomarańczowy i kawę, wypalił też dwa papierosy King Size w srebrnej lufce. Podobnie jak Quinn, nie miał bagażu. Na Heathrow był czwarty za Quinnem i szedł dziesięć kroków za nim przez komorę celną, podczas gdy inni czekali na bagaże. Widział, jak Quinn wsiada do taksówki, gdy przyszła jego kolej, wtedy skinął na długi czarny samochód zaparkowany po drugiej stronie jezdni. Wsiadł w biegu i zanim wyjechali z tunelu łączącego

lotnisko z autostradą M4 do Londynu, czarną limuzynę dzieliły od taksówki Quinna tylko trzy pojazdy.

Kiedy Philip Kelly mówił, że rano poprosi Brytyjczyków o obserwację przejść granicznych, miał na myśli ranek w Waszyngtonie. Z powodu różnicy w czasie Brytyjczycy odebrali prośbę o jedenastej czasu londyńskiego. Pół godziny później kolega dostarczył zawiadomienie o kontroli przejść oficerowi paszportowemu na Heathrow, który widział Quinna przechodzącego przez jego stanowisko - pół godziny temu. Przekazał to koledze i powiadomił zwierzchnika.

Dwóch funkcjonariuszy kontrwywiadu, pełniących służbę w sekcji imigracyjnej, przepytalo pracowników odprawy celnej. Jeden z celników w "zielonym" przejściu przypomniał sobie wysokiego Amerykanina, którego nawet zatrzymał na chwilę, gdyż był on w ogóle bez bagażu. Zobaczył zdjęcie i zidentyfikował Quinna.

Na zewnątrz, przy postoju, ludzie kierujący ruchem taksówek dla zapobieżenia kolejkom również go rozpoznali. Nikt nie zanotował jednak numeru jego taksówki.

Taksówkarze stanowią czasem dla policji nieocenione źródło informacji i ponieważ ludek taksówkarzy ma pełne poszanowanie dla prawa, wyjąwszy sporadyczne niedopatrzienia w wypełnianiu deklaracji podatkowych - co akurat nie obchodzi Scotland Yardu - stosunki układają się nader poprawnie, o co zabiegają zresztą obie strony. Ponadto taryfciarze obstawiający opłacalne kursy z Heathrow stosują zazdrośnie przestrzegany, ścisły system rotacji. Kolejną godzinę zajęło dotarcie do kierowcy, który wiozł Quinna, lecz on także rozpoznał swego pasażera.

- Tak jest - potwierdził. - Zawiozłem go do hotelu Blackwooda w Marylebone.

Istotnie, podrzucił Quinna pod same schodki prowadzące do hotelu, o dwunastej czterdzieści. Obaj nie zwrócili uwagi na czarną limuzynę, która stanęła za nimi. Quinn zapłacił za kurs i wszedł po stopniach. Londyński biznesmen w ciemnym garniturze znalazł się tuż za nim. W tym samym momencie stanęli przy obrotowych drzwiach. Powstała kwestia, kto ma pierwszy wejść. Oczy Quinna zwięzły się na widok mężczyzny obok. Biznesmen przelicytował go.

- Ależ czy to nie pan leciał dziś rano z Korsyki? Nie do wiary, bo ja również. Ach, świat jest mały. Proszę, mój drogi, ja za panem.

Gestem przepuścił Quinna do drzwi. Igła w końcówce parasola już wystawała. Quinn prawie nie poczuł ukłucia w łydkę lewej nogi. Po upływie pół sekundy igła została wyjęta. Wszedł między skrzydła obrotowych drzwi. Coś się po drodze zacięło; przystanął uwięziony

między kolumnami portyku i holem hotelowym. Trwało to tylko pięć sekund. Kiedy wreszcie znalazł się w środku, poczuł się lekko oszołomiony. Upał, z całą pewnością.

Anglik był cały czas przy nim, usta mu się nie zamykały.

- Diabelne drzwi. Po prostu ich nie znoszę. Chwileczkę, mój drogi, czy wszystko w porządku?

Quinn znów zobaczył mgłę przed oczami i zatoczył się. Podeszedł portier w uniformie, z wyrazem zatroskania na twarzy.

- Szanowny pan źle się czuje?

Biznesmen zadbał o wszystko, gładko i skutecznie. Podtrzymując Quinna pod pachę, z siłą wręcz zadziwiającą, nachylił się do portiera i wsunął mu w rękę dziesięciofuntowy banknot.

- Obawiam się, że oto skutki kilku martini przed obiadem. Poza tym długi przelot... Ale tam stoi mój samochód... Jeśli to nie sprawi kłopotu... Trzymaj się, Clive, głowa do góry, zaraz będziesz w domu.

Quinn próbował się opierać, lecz nogi miał jak z waty. Portier znał swoje obowiązki wobec hotelu i zawsze umiał rozpoznać prawdziwego dżentelmena. Prawdziwy dżentelmen złapał Quinna z jednej strony, portier z drugiej. Wyprowadzili go przez wejście bagażowe, bez obracanych drzwi, po trzech schodkach na chodnik. Tam dwóch kolegów prawdziwego dżentelmena wyskoczyło z samochodu i pomogło Quinnowi usadowić się na tylnym siedzeniu. Biznesmen w podziękowaniu skinął portierowi, który odchodził, by zająć się nowymi gośćmi i limuzyna odjechała.

W tym czasie dwa samochody policyjne skręcały w Blandford Street, jadąc wprost do hotelu. Quinn opadł na samochodowe siedzenie, wciąż świadom, co się dzieje, lecz ciało miał bezwolne, a język przypominał mu rozgotowaną kluskę. Potem falami ogarnęła go czerń, aż stracił przytomność.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po przebudzeniu Quinn znajdował się w sterylnie białym pokoju, leżał płasko na plecach na składanym łóżku. Nie wykonując żadnych ruchów, rozejrzał się. Solidne drzwi, także białe, przyćmiona żarówka, zabezpieczona stalową kratą. Ktokolwiek urządzał to miejsce, nie chciał, by jego mieszkaniec stłukł żarówkę i podciął sobie żyły. Wspomniat oglądę angielskiego biznesmena, ukłucie z tyłu w łydkę, utratę przytomności. Szlag by trafił Angoli.

W drzwiach znajdował się wizjer. Słyszał, jak odsuwa się klapka. Patrzyło na niego czyjeś oko. Nie było sensu udawać nieprzytomnego czy śpiącego. Zrzucił przykrywający go koc i postawił nogi na podłodze. Dopiero wtedy zauważył, że nie ma na sobie niczego z wyjątkiem slipów. Rozległ się zgrzyt odmykanych dwóch zasuw i drzwi otworzyły się. Wszedł niski, krępy człowiek, krótko przystrzyżony, w białej marynarce jak steward. Nic nie mówił. Po prostu wszedł, niosąc prosty stół z jasnego drewna, który ustawił przy przeciwległej ścianie. Zawrócił i zaraz pojawił się znowu, z dużą blaszaną miską i parującym dzbankiem. Postawił ją na stole. Potem znów wszedł, lecz tylko na korytarz. Quinn rozważał, czy nie powinien faceta rozłożyć i próbować ucieczki. Zrezygnował z pomysłu. Brak okien wskazywał, że znajduje się gdzieś pod ziemią; miał na sobie tylko slipki, a facet z obsługi wyglądał na takiego, co umie się bić, zresztą w pobliżu musiało czekać jeszcze parę byczków.

Wszedł znowu, tym razem niosąc puszysty ręcznik, myjkę, mydło, pastę do zębów, szczotkę - jeszcze w opakowaniu - jednorazową maszynkę do golenia, piankę oraz wolno stojące lustro. Rozmiescił wszystkie przybory niczym doświadczony lokaj, przystanął przy drzwiach, gestem wskazał stół i wyszedł. Szczęknęły zasuwki.

No tak - pomyślał Quinn - jeśli brytyjscy tajniacy, którzy go zwinęli, chcą, by się wyszykował na cześć jego Wysokości, on nie ma nic przeciwko temu. i tak potrzebował się odświeżyć.

Nie spieszył się. Gorąca woda przyjemnie rozgrzewała, obmył więc całe ciało. Brał ostatnio prysznic na promie *Napoleon*, ale to było czterdzieści osiem godzin temu. Zaraz, czy aby na pewno? Zabrali mu zegarek. Porwano go w porze obiadowej, czyli cztery godziny temu, dwanaście, a może dwadzieścia cztery? Jakkolwiek było, ostry miętowy smak pasty poprawiał samopoczucie. Dopiero kiedy namydlił twarz, sięgnął po maszynkę do golenia i spojrział w nieduże, okrągłe lustro, doznał szoku. Skurczybyki - ostrzygli go.

Zresztą nie najgorzej. Jego ciemne włosy zostały przystrzyżone i wycieniowane, ale też zaczesane zupełnie inaczej. Wśród przyborów do mycia nie było grzebienia; mógł się przyczesać tak jak lubił jedynie przy pomocy palców. Włosy nastroszyły się, przyglądził je więc z powrotem wedle zamysłu nieznanego fryzjera. Ledwo skończył toaletę, steward już był w środku.

- Dziękuję, stary - powiedział Quinn. Mężczyzna nie dał poznać po sobie, że usłyszał; sprzątnął tylko przybory do mycia, zostawiając stół i pojawił się z zastawioną tacą. Miał na niej świeży sok z pomarańczy, płatki zbożowe, mleko, cukier, talerzyk z jajami na bekonie, grzanekę, masło, dżem pomarańczowy i kawę. Kawa była świeżo zaparzona i pachniała bosko. Steward postawił przy stole zwykłe drewniane krzesło, sztywno się uklonił i wyszedł.

Quinnowi przypomniał się stary brytyjski zwyczaj: kiedy wiozą kogoś do Tower, by ściąć mu głowę, dają mu przedtem obfite śniadanie. W każdym razie zjadł, co podano. Wszystko.

Ledwo skończył, lokajczyk już wszedł, tym razem ze stertą garderoby; każda sztuka świeża i odprasowana. Lecz nic z jego rzeczy. Wykrochmalona biała koszula, krawat, skarpetki, buty i dwuczęściowy garnitur. Wszystko pasowało jak szyte na miarę. Służący wskazał ubranie i postukał w szkiełko zegarka dając do zrozumienia, że czas ucieka.

Quinn się ubrał i drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem stał w nich elegancki biznesmen, a ten przynajmniej umiał mówić.

- Mój drogi, wyglądasz o sto procent lepiej i pewnie tak się czujesz, mam nadzieję. Moje szczere wyrazy ubolewania z powodu niekonwencjonalnego zaproszenia tutaj. Obawialiśmy się, że bez tego spotkamy się z odmową.

W dalszym ciągu wyglądał jak wycięty z żurnala i mówił z manierą oficera Gwardii Królewskiej.

- Doceniam was, dupki, kiedy na to zasługujecie - powiedział Quinn. - Macie klasę.

- Jak miło słyszeć - mruknął biznesmen. - Teraz jednak bardzo proszę ze mną, mój dowódca chciałby zamienić z panem dwa słowa.

Poprowadził Quinna pustym korytarzem do windy. Kiedy ruszyli w górę, Quinn spytał o godzinę.

- Ach, właśnie - ucieszył się biznesmen. - Amerykańska obsesja czasu. Otóż niedługo północ. Niestety, nasz szef kuchni z nocnej zmiany potrafi należycie przyrządzić jedynie śniadanie.

Wysiedli z windy i weszli w inny korytarz, tym razem wyłożony miękkim dywanem i minęli po drodze kilkoro masywnych płycinowych drzwi. Przewodnik poprowadził na sam koniec korytarza, nacisnął klamkę, wpuścił Quinna do środka i zamknął drzwi nie wchodząc.

Quinn znalazł się w pomieszczeniu, które mogło służyć za gabinet lub salon. Wokół kominka na gaz ustawiono kanapy i fotele, lecz we wnęce okiennej stało ogromne biurko. Mężczyzna, który wstał zza biurka i podszedł, by się z nim przywitać, był starszy - na oko miał lat pięćdziesiąt parę - i ubrany w garnitur z Savile Row. Z jego zachowania i surowej, skupionej twarzy emanowała siła władzy. Lecz ton głosu był raczej przyjazny.

- Drogi panie Quinn, jakże miło mi pana poznać. Quinn poczuł irytację. Dość miał już tej zabawy.

- Dobra, może byśmy przestali wreszcie kluczyć. Kazał mnie pan nakłuć przy wejściu do hotelu, uśpić, przywieźć tutaj, i w porządku. Tylko zupełnie niepotrzebnie. Jeżeli wy, brytyjscy tajniacy, chcieliście ze mną gadać, dlaczego nie zwinęło mnie paru mundurowych, bez potrzeby używania igły i narkotyków?

Mężczyzna naprzeciw zatrzymał się z wyrazem szczerego zdziwienia.

- Ach, rozumiem. Pan myśli, że dostał się w ręce tych z MI5 czy MI6? Niestety, nie. W drugą stronę, że tak powiem. Pan pozwoli, że się przedstawię. Generał Wadim Kirpiczenko, niedawno powołany szef Zarządu Pierwszego KGB. Według geografii znajduje się pan nadal w Londynie, lecz formalnie pan przebywa na suwerennym terytorium Związku Radzieckiego - w naszej ambasadzie przy Kensington Palace Gardens. Może pan spocznie?

Drugi raz w życiu Sam Somerville została wprowadzona do Pokoju Sytuacyjnego w podziemiu poniżej zachodniego skrzydła Białego Domu. Przed chwilą wysiadła z samolotu po pięciogodzinnym locie z Madrytu. Ludzie władzy, którzy chcieli ją o coś spytać, wyraźnie nie życzyli sobie ani chwili zwłoki.

Wiceprezydent siedział pomiędzy czterema ministrami gabinetu, z Bradem Johnsonem, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Obecni byli także dyrektor FBI i Philip Kelly. Lee Alexander z CIA siedział z boku sam. Był tam jeszcze tylko Kevin Brown, repatriowany z Londynu celem złożenia raportu osobiście - i właśnie skończył, kiedy wprowadzono Sam. Została potraktowana z wyraźną wrogością.

- Proszę usiąść, młoda damo - rzekł wiceprezydent Odell. Zajął krzesło przy końcu stołu, gdzie wszyscy mogli na nią patrzeć. Kevin Brown groźnie mierzył ją wzrokiem; wolałby sam wysłuchać jej doniesień, następnie złożyć osobiście raport przed komisją. Nie był zachwycony, kiedy jego podwładnych przesłuchiowano bezpośrednio.

- Agentko Somerville - zaczął wiceprezydent. - Obecny tu komitet zezwolił pani na powrót do Londynu i wypuścił człowieka nazwiskiem Quinn pod pani opieką z jednego tylko powodu. Stwierdziła bowiem pani, że jest on w stanie posunąć naprzód sprawę identyfikacji porywaczy Simona Cormacka, gdyż widział tych osobników. Nakazano pani stałe utrzymywanie kontaktu, składanie raportów. Od tamtej pory - cisza. Owszem, otrzymywaliśmy liczne raporty o trupach znajdujących w różnych częściach Europy, pani zaś i Quinn przebywaliście zawsze o kilka jardów od zajścia. Proszę nam w takim razie opowiedzieć, co, u diabła, tam robiliście.

Sam opowiedziała. Zaczęła od początku: opisała mgliste wspomnienie Quinna, że jeden z mężczyzn w magazynie Babidge miał na wierzchu dłoni tatuaż pająka; trop biegnący od bandziora z Antwerpii, Kuypera, do niejakiego Marchais, który pod fałszywym nazwiskiem już nie żył, umieszczony na diabelskim młynie w Wavre. Mówiła im o przecuciu Quinna, że Marchais mógł wciągnąć do akcji starego kumpla, o wytropieniu Pretoriusa w jego barze w Den Bosch. Powiedziała o Zacku, który okazał się jednym z oficerów kongijskich najemników, Sidneyem Fieldingiem. Słowa, które wyrzekł na parę minut przed śmiercią, sprawiły, że słuchacze wstrzymali oddech. Zakończyła opowieścią o torebce z podsłuchem i o samotnej wyprawie Quinna na Korsykę w celu znalezienia i przesłuchania czwartego mężczyzny, tajemniczego Orsiniego, który według Zacka dostarczył ów wybuchowy pas.

- Potem zadzwonił do mnie, dwadzieścia cztery godziny temu i powiedział, że już po wszystkim, ślad się urywa, Orsini nie żyje, i słowem nie wspomniał o grubym facecie.

Kiedy skończyła, trwało milczenie.

- Boże, to nie do wiary - powiedział Reed. - Mamy jakieś dowody, które mogłyby uprawdopodobnić to wszystko?

Lee Alexander podniósł wzrok.

- Według doniesień Belgów kula, która zabiła Marchais, to kaliber 45, nie 38. Chyba że Quinn miał inny pistolet...

- Nie miał - szybko wtrąciła Sam. - Jedyna nasza broń to był mój kaliber 38, który mi dał pan Brown. A Quinn nigdy nie zniknął mi z pola widzenia na tak długo, by mógł dostać się z Antwerpii do Wavre i wrócić, albo z Arnhem do Den Bosch i z powrotem. A jeśli chodzi o tę kawiarnię w Paryżu, Zack został zabity z karabinu, strzelano z samochodu na ulicy.

- To się zgadza - powiedział Alexander. - Francuzi znaleźli kule z tej kawiarni.

- Quinn mógł mieć współnika - poddał myśl Walters.

- Wówczas podsłuch w mojej torebce nie miałby sensu - powiedziała Sam. - Mógł się po prostu wymknąć, kiedy byłam w łazience albo w klozecie, i wykonać telefon. Proszę mi wierzyć, panowie. Quinn jest czysty. On dotarł cholernie blisko sedna całej tej sprawy. Tylko ciągle ktoś nas wyprzedzał.

- Grubas, o którym wspominał Zack? - zapytał Stannard -Ten, który według Zacka wszystko to nagrał i opłacił? Ale... Amerykanin?

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytał Kevin Brown. - Może i się myliłem podejrzewając, że Quinn był wmieszany od samego początku. Przyznaję. Ale jest jeszcze inny scenariusz, który nawet lepiej pasuje.

Słuchali go w skupieniu.

- Zack twierdził, że grubas to Amerykanin. Dlaczego? Przez jego akcent. A co Brytyjczyk może wiedzieć o amerykańskich akcentach? Oni Kanadyjczyków biorą za Amerykanów. Powiedzmy, że gruby jest Rosjaninem. Wtedy wszystko się zgadza. KGB ma dziesiątki agentów doskonale władających angielskim z nienagannym amerykańskim akcentem.

Przy stole nastąpiło potakujące kiwanie głowami.

- Mój szanowny kolega ma rację - powiedział Kelly. - Mamy motyw. - Destabilizacja i osłabienie morale Stanów Zjednoczonych od dawna jest głównym priorytetem Moskwy, bez dwóch zdań. Sposobność? Żaden problem. Głośno było o tym, że Simon Cormack studiuje w Oksfordzie, KGB montuje więc dużą operację "na mokro", żeby zaszkodzić nam wszystkim. Środki? Oni nie mają z tym problemu. Posługują się najemnikami - zatrudnianie narzędzi od brudnej roboty należy do stałych praktyk. Nawet CIA tak robi. Jeżeli chodzi o likwidację czterech najemników po wykonaniu zadania - to w świecie gangsterów normalne, a KGB ma wiele wspólnego z tutejszymi gangsterami.

- Jeżeli przyjmiemy, że grubas jest Rosjaninem - dodał Brown - wszystko pasuje. Na podstawie raportu agentki Somerville przyjmuję, że istnieje człowiek, który opłacił, napuścił i poprowadził Zacka i jego bandytów. Lecz moim zdaniem ów człowiek przebywa teraz tam, skąd przyszedł: w Moskwie.

- Ale dlaczego w takim razie - zgłosił wątpliwość Jim Donaldson - Gorbaczow najpierw przygotowuje Traktat Nantucket, a potem go w przerażający sposób unicestwia?

Lee Alexander cicho zakasłał.

- Panie sekretarzu, wiadomo, że w Związku Radzieckim istnieją siły przeciwne *głasności, pierestrojce*, reformom, stojące w opozycji do samego pana Gorbaczowa i zwłaszcza wobec Traktatu Nantucket. Przypomnę tu postać byłego szefa KGB, generała

Kriuczkowa, którego właśnie zdjęto ze stanowiska. Być może to, o czym mówimy, stanowi przyczynę, dla której tak się stało.

- Myślę, że o to właśnie chodzi - powiedział Odell. - Te skurczybyki z KGB od tajnych operacji wycięły numer, żeby pogrążyć Traktat i Amerykę za jednym zamachem. Może nawet Gorbaczow nie odpowiada tu osobiście.

- Niczego to nie zmienia - stwierdził Walters. - Opinia publiczna w Stanach nigdy w coś podobnego nie uwierzy. Łącznie z Kongresem. Jeżeli to sprawka Moskwy, pan Gorbaczow ponosi odpowiedzialność, wiedział czy też nie. Jak było z Irangate? Tak, wszyscy pamiętali Irangate. Sam podniosła wzrok.

- A moja torebka? - zapytała. - Jeżeli sprawcą było KGB, to po co wykorzystali nas, żeby dotrzeć do najemników?

- To proste - wyjaśnił Brown. - Najemnicy nie wiedzieli, że chłopak ma umrzeć. Po jego śmierci wpadli w panikę i ukryli się. Może nie stawili się gdzieś, gdzie KGB na nich czekało. Próbowano też wplątać Quinna, amerykańskiego wysłannika, i panią, agentkę FBI, w dwa spośród popełnionych morderstw, i znów normalna praktyka: sypnąć piasek w oczy opinii światowej, upozorować, że amerykańscy mocodawcy uciszają zabójców, zanim ci zaczną mówić.

- Ale moja torebka została podmieniona na identyczną, z podsłuchem w środku - upierała się Sam. - Gdzieś w Londynie.

- Skąd agentka Somerville to wie? Rzecz mogła się zdarzyć na lotnisku, na promie do Ostendy. Do diabła, mógł to zrobić jeden z Angoli: przychodzili do mieszkania, po tym jak Quinn zwiął. - Albo ta posiadłość w Surrey. W przeszłości wielu z nich pracowało dla Moskwy. Proszę sobie przypomnieć: Burgess, Maclean, Philby, Vassall, Blunt, Blake - wszystko to byli zdrajcy wysługujący się Moskwie. Może teraz znaleźli nowego.

Lee Alexander oglądał paznokcie. Dyplomatycznie przemilczał Mitchella, Marshalla, Lee, Boyce'a, Harpera, Walkera, Lonetree, Conrada, Howarda i resztę z dwudziestu Amerykanów, którzy zdradzili Wuję Sama dla pieniędzy.

- Otóż, panowie - stwierdził Odell godzinę później - zlecimy sporządzenie raportu. Od a do zet. Wyniki śledztwa są dość oczywiste. Pas był produkcji radzieckiej. Podejrzenie nie do końca udowodnione, lecz wystarczająco wyraźne: KGB przygotowało operację zakończoną zniknięciem agenta znanego jedynie jako "grubas", który według wszelkiego prawdopodobieństwa powrócił za żelazną kurtynę. Znamy odpowiedź na pytanie „co” i „w jaki sposób”. Chyba wiemy również „kto”, a także „dlaczego” jest dosyć jasne. Sprawa Traktatu Nantucket cały czas leży, nasz prezydent z żalu odchodzi od zmysłów. Jezu, nie

myślałem, że przyjdzie mi głośno powiedzieć coś takiego, ale nieomal pragnę, byśmy wreszcie nacisnęli guzik i przenieśli tych skurwysynów komuchów w epokę kamienia łupanego.

Dziesięć minut później sesja przerodziła się w zebranie zamknięte. Dopiero w samochodzie, jadąc do swego mieszkania w Alexandrii, Samantha odkryła nieścisłość w ich efektownym rozumowaniu. W jaki sposób KGB dało radę skopiować torebkę z krokodylej skóry kupioną u Harrodsa?

Philip Kelly i Kevin Brown jechali w jednym samochodzie do Hoover Building.

- Ta młoda dama nawiązała z Quinnem bliskie stosunki, o wiele bliższe, niż leżało to w moich zamiarach - powiedział Kelly.

- Przeczuwałem to już w Londynie, kiedy jeszcze trwały negocjacje - przyznał Brown.

- Ona go broni cały czas, a moim zdaniem powinniśmy pogadać z Quinnem osobiście. To znaczy tak poważnie pogadać. Czy Francuzi albo Anglicy już trafili na jego trop?

- Nie, właśnie miałem o tym powiedzieć. Francuzi wykryli, że poleciał z Ajaccio do Londynu. Na parkingu zostawił podziurawiony kulami samochód. Brytyjczycy dotarli po jego śladach do hotelu; kiedy tam zajechali, on już zniknął, nawet nie wynajął pokoju.

- Cholera, ten człowiek zawsze się wywinie - złorzeczył Brown.

- Istotnie - przyznał Kelly. - Ale jest jedna osoba, z którą on nawiąże kontakt. Somerville, tylko ona. Nie lubię tego robić naszym ludziom, ale w jej mieszkaniu chcę mieć podsłuch, rozmowy przez telefon nagrane i przechwytywaną pocztę. Od dziś wieczór.

- Już się robi - powiedział Brown.

Kiedy zostali sami, wiceprezydent i pięciu wtajemniczonych członków gabinetu ponownie podniosło kwestię Dwudziestej Piątej Poprawki do Konstytucji.

Nawiązał do niej ponownie prokurator generalny. W sposób wyważony i z wyrazami ubolewania. Odell był w defensywie. Widywał prezydenta samotnika częściej niż inni. Musiał przyznać, że John Cormack wciąż sprawia przygnębiające wrażenie.

- Jeszcze nie teraz - powiedział. - Dajcie mu trochę czasu.

- Ile czasu? - spytał Morton Stannard. - Od pogrzebu minęły trzy tygodnie.

- W przyszłym roku wybory - przypomniał Walters. - Jeżeli to masz być ty, Michael, to zacznij od stycznia.

- Boże kochany - wybuchnął Odell. - Ten człowiek umiera z żalu w swojej rezydencji, a wy mówicie o wyborach!

- Trzeba być praktycznym, Michael - powiedział Donaldson.

- Wszyscy wiemy, że po aferze Irangate Ronald Reagan był przez pewien czas tak przybity, że omal nie powołano się na Dwudziestą Piątą Poprawkę - stwierdził Walters. - Raport Cannona wyraźnie opisuje, jakie to były podchody. A obecny kryzys jest gorszy.

- Prezydent Reagan się wykaraskał - zauważył Hubert Reed. - Ponownie objął urząd.

- Tak, rychło w czas - powiedział Stannard.

- W tym sęk - stwierdził Donaldson. - Ile właściwie mamy czasu?

- Niewiele - przyznał Odell. - Dziennikarze są jak dotąd cierpliwi. On jest jednak cholernie lubiany. Ale popularność można szybko stracić.

- Jaki mamy termin? - cicho spytał Walters. Zrobili głosowanie. Odell się wstrzymał. Walters uniósł swój srebrny ołówek. Stannard kiwnął głową. Brad Johnson pokręcił przecząco. Walters był za. Jim Donaldson, po krótkim zastanowieniu, dołączył się do Johnsona. Był remis, dwa do dwóch. Hubert Reed potoczył zatroskanym spojrzeniem po twarzach pięciu siedzących mężczyzn. Wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale niech będzie, co ma być. Głosował za. Odell głośno westchnął.

- Dobrze - powiedział. - Wola większości. Do Wigilii, jeśli nie nastąpi zdecydowany zwrot. Będę musiał wtedy pójść i powiedzieć mu, że powołujemy się na Dwudziestą Piątą Poprawkę w dzień Nowego Roku.

Ledwo się uniósł nad krzesłem, wszyscy z szacunkiem powstali. Pomyślał, że sprawia mu to przyjemność.

- Nie wierzę - powiedział Quinn.

- Proszę - powiedział człowiek w garniturze z Savile Row. Gestem wskazał zasłonięte okno. Quinn rozglądał się po pokoju. Nad kominkiem Lenin przemawiał do mas. Quinn podszedł do okna i wyjrzał.

Przez park pełen bezlistnych drzew, ponad murem, widać było dach londyńskiego piętrowego autobusu, który jechał wzdłuż Bayswater Road. Quinn usiadł.

- Cóż, jeśli to kłamstwo, dekoracje macie jak z filmu - powiedział.

- Żaden film - odrzekł generał KGB. - Wolę, gdy filmem zajmują się wasi specje z Hollywoodu.

- Więc co mnie tu sprowadza?

- Pan budzi nasze zainteresowanie. Proszę się nie obawiać. Może zabrzmie to dziwnie, ale wierzę, że chwilowo jesteśmy po tej samej stronie.

- Owszem, dziwne - przyznał Quinn. - Cholernie dziwne.

- Dobrze, powiem panu, o co chodzi. Od pewnego czasu wiemy, że został pan wybrany do prowadzenia negocjacji w sprawie zwolnienia Simona Cormacka przez

porywaczy. Wiemy również, że po jego śmierci spędził pan miesiąc w Europie próbując ich wytropić, zdaje się, że nawet z pewną dozą powodzenia.

- I to nas stawia po tej samej stronie?

- Być może, proszę pana, być może. Moja praca nie polega na zapewnieniu ochrony młodym Amerykanom, którzy wyrывают się na wycieczki krajoznawcze bez odpowiedniego zabezpieczenia. Moja praca to ochrona mego kraju przed wrogimi spiskami, jakie mogą wyrządzić mu znaczne szkody. A sprawa Cormacka... to spisek nieznanych osób w celu podważenia wiarygodności mojej ojczyzny w oczach całego świata. Nam się to nie podoba, drogi panie, wcale się nie podoba. Pozwoli pan więc, że - jak to wy, Amerykanie, mówicie - wyłożę rzecz bez ogródek. Porwanie i morderstwo Simona Cormacka nie było spiskiem radzieckim. Ale nas za to winią. Odkąd zbadano ten pas, znaleźliśmy się w oczach światowej opinii na ławie oskarżonych. Stosunki z waszym krajem, które nasz przywódca szczerze starał się poprawić, zostały teraz zatrute; traktat na rzecz redukcji zbrojeń, z którym wiązaliśmy wielkie nadzieje, legł w gruzach.

- Wygląda na to, że potępicie dezinformację, jeżeli godzi ona w Związek Radziecki, chociaż sami się w niej lubujecie - zauważył Quinn.

Generał wzruszył ramionami, z gracją przyjmując zarzut.

- Owszem, czasem pozwalamy sobie na nieco dezinformacji. Podobnie jak CIA. To jest wpisane w naszą działalność, i przyznam, że przykro jest być oskarżonym o coś, co się popełniło. Lecz absolutnie nie do przyjęcia jest dla nas piętno winy za sprawę, którą nie myśmy sprokurowali.

- Gdybym był bardziej wielkoduszny, może i bym wam współczuł - powiedział Quinn. - Niestety, kompletnie nic nie poradzę. Już nie.

- Niewykluczone - kiwnął głową generał. - Przyjrzyjmy się sprawie z bliska. Tak się składa, że wierzę w pański spryt: pan doszedł już do tego, że aferę rozpętał kto inny. Gdybym ja miał coś takiego przygotować, dlaczego, u diabła, zabijałbym Cormacka używając czegoś, co bez wątpienia jest produkcji radzieckiej?

Quinn przytaknął

- Zgadza się. Akurat nie sądzę, że to wy za tym staliście.

- Dziękuję. Czy domyśla się pan w takim razie, kto to mógł być?

- Sądzę, że to wyszło z Ameryki. Może skrajna prawica. Jeżeli chodziło o pogrzebanie szans ratyfikacji Traktatu Nantucket przez Kongres, cel z pewnością został osiągnięty.

- Dokładnie.

Generał Kirpiczenko podszedł do biurka i wrócił z pięcioma powiększeniami zdjęć. Położył je przed Quinnem.

- Czy widział pan już kiedyś tych ludzi?

Quinn przyglądał się paszportowym fotografiom Cyrusa Millera, Melvina Scanlona, Lionela Moira, Petera Cobba i Bena Salkinda. Potrząsnął głową.

- Nie, nigdy ich nie spotkałem.

- Szkoda. Nazwiska są na odwrocie. Odwiedzili mój kraj kilka miesięcy temu. Człowiek, z którym prowadzili rozmowy - z którym moim zdaniem musieli prowadzić rozmowy - był w stanie im dostarczyć ten pas. Tak się składa, że jest marszałkiem.

- Zaaresztował go pan? Przesłuchiwał?

Generał Kirpiczenko uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Proszę pana, wasi zachodni pisarze i dziennikarze lubią dawać do zrozumienia, że organizacja, dla której pracuję, ma nieograniczoną władzę. Lecz nie całkiem tak jest. Nawet dla nas aresztowanie radzieckiego marszałka bez śladu dowodów jest procedurą sprzeczną z wymiarem sprawiedliwości. Będę z panem szczery. Czy odwzajemni pan uprzejmość? Opowie mi pan, co udało się panu odkryć w ciągu ostatnich trzydziestu dni?

Quinn zadośćuczynił prośbie. Co, u licha, w końcu jest po sprawie, nie ma więcej śladów, po których mógłby dalej iść. Opowiedział generałowi całą historię od momentu, kiedy wybiegł z mieszkania na Kensingtonie, żeby odbyć prywatne spotkanie z Zackiem. Kirpiczenko uważnie słuchał, kilkakrotnie skinął nawet głową, jak gdyby to, co słyszał, pokrywało się z jego dotychczasową wiedzą. Quinn opisał na zakończenie śmierć Orsiniego.

- A tak przy okazji - dodał - można wiedzieć, jak wytropiliście mnie na lotnisku w Ajaccio?

- Ach, o to chodzi... Otóż moi ludzie, rzecz jasna, żywo interesowali się całą sprawą od początku. Po śmierci chłopca i umyślnym przecieku informacji na temat pasa stawaliśmy na głowie. A pan nie był znów tak świetnie zamaskowany podczas podróży przez kraje Beneluksu. Strzelanina w Paryżu trafiła na pierwsze strony gazet. Wygląd człowieka, o którego ucieczce wspominał barman, odpowiadał pańskiemu rysopisowi. Sprawdziliśmy rozkład lotów i listy pasażerów - tak, mamy swoje dojścia w Paryżu - i wiedzieliśmy, że wasza dama z FBI udaje się do Hiszpanii, ale o panu - nic. Zakładałem, że jest pan uzbrojony, w takim razie będzie pan unikał kontroli na lotnisku, sprawdziliśmy więc rezerwację na promach. Mój człowiek w Marsylii miał szczęście: odkrył, że płynie pan promem na Korsykę. Ten mężczyzna, którego pan widział na lotnisku, przyleciał tego samego ranka, kiedy przycumował pański prom, ale zgubił pana. Teraz wiem, że pojechał pan w góry. Zajął więc punkt

obserwacyjny na skrzyżowaniu dróg prowadzących do portu i na lotnisko i widział, jak pański samochód zmierza w kierunku lotniska zaraz po wschodzie słońca. *A propos*, czy pan wie o czwórce uzbrojonych mężczyzn, którzy dotarli na lotnisko, kiedy pan był w budce telefonicznej?

- Nie, nie widziałem ich.

- Mhm. Wyraźnie pan im się nie podobał. Po tym, co mi pan powiedział o Orsinim, nawet wiem dlaczego. Nieważne. Mój współpracownik... zajął się nimi.

- Pański flegmatyczny Anglik?

- Andriej? Nie jest Anglikiem. Właściwie to nawet nie Rosjanin. On jest Kozakiem. Doceniam pańskie umiejętności, ale proszę, niech pan nie próbuje zadzierać z Andriejem. To naprawdę jeden z moich najlepszych ludzi.

- Proszę mu ode mnie podziękować - rzekł Quinn. - Miło się gawędziło, panie generale. Jednak na tym koniec. Nie mam dokąd się udać, chyba że do mojej hiszpańskiej winnicy, skąd zacznę od początku.

- Nie zgadzam się z panem. Myślę, że powinien pan wrócić do Ameryki. Tam znajduje się klucz, gdzieś w Ameryce. Niech pan wraca.

- Zwiną mnie w ciągu godziny - odrzekł Quinn. - FBI mnie nie lubi, oni myślą, że byłem w to zamieszany.

Generał Kirpiczenko podszedł do biurka i gestem przywołał Quinna. Wręczył mu paszport kanadyjski, nienowyy, należycie wymiętoszony, z tuzinem stempli wjazdowych i wyjazdowych. Patrzyła na niego własna twarz, trudna do rozpoznania z powodu zmienionej fryzury, okularów w rogowej oprawie i wyraźnego zarostu.

- Obawiam się, że gdy pana fotografowano, był pan pod wpływem narkotyków - powiedział generał. - Ale czyż nie tak samo jak oni wszyscy? Paszport jest całkiem autentyczny, jedna z naszych bardziej udanych prób. Będzie pan potrzebował ubrań z metkami kanadyjskich producentów, trochę bagażu i tak dalej. Andriej wszystko przygotował. No i to, oczywiście.

Położył na biurku karty kredytowe, podstemplowane kanadyjskie prawo jazdy i plik dwudziestu tysięcy dolarów kanadyjskich. Paszport, prawo jazdy i karty kredytowe były wystawione na nazwisko Rogera Lefevre. Kanadyjczyk francuskojęzyczny; Amerykaninowi mówiącemu po francusku akcent nie sprawi problemu.

- Proponuję, żeby Andriej odwiózł pana do Birmingham, na pierwszy poranny lot do Dublina. Stamtąd złapie pan połączenie do Toronto. Przekroczenie granicy amerykańskiej w wynajętym samochodzie nie będzie trudne. Czy jest pan gotów do podróży?

- Panie generale, chyba nie wyraziłem się dość jasno. Orsini słowa nie wyrzekł przed śmiercią. Nawet jeżeli wiedział, kim jest grubas, a myślę, że wiedział, to jednak milczał do końca. Nie wiem teraz, od czego zacząć. Ślad się urywa. Grubas jest bezpieczny, tak samo jak jego mocodawcy, a zdrajca - źródło informacji - siedzi gdzieś na wysokim stolku. Wszyscy są bezpieczni, bo Orsini milczał. Nie mam asów, króli, dam ani nawet waletów. Żadnych atutów w ręku.

- Ach, te karciane porównania. Wy, Amerykanie, w kółko mówicie o asach pik. Czy pan gra w szachy?

- Trochę. Niezbyt dobrze - odrzekł Quinn.

Radziecki generał podszedł do półki z książkami i przejechał palcem po grzbietach tomów, jakby czegoś szukał.

- Powinien pan grać - powiedział. - Podobnie jak mój zawód, gra w szachy polega na stosowaniu chytrych podstępów zamiast brutalnej siły. Widać wszystkie figury, a jednak... bardziej szachruje się w szachach niż przy pokerze. O, właśnie.

Podał Quinnowi książkę. Autorem był Rosjanin, tekst w języku angielskim. Tłumaczenie, prywatna edycja. *Wielcy arcymistrzowie: monografia*.

- Jest pan w szachu, ale chyba jeszcze nie dostał pan mata. Niech pan wraca do Ameryki. W czasie lotu proszę to przeczytać. Pozwolę sobie polecić pana uwadze rozdział poświęcony Tigranowi Petrosjanowi. To Ormianin, już dawno nie żyje, ale był chyba największym taktykiem gry w szachy, jaki się urodził. Życzę panu szczęścia.

Generał Kirpiczenko wezwał swego agenta do spraw operacyjnych, Andrieja, i wydał serię rozkazów po rosyjsku. Andriej zabrał Quinna do innego pokoju i wydał mu walizkę pełną nowych ubrań produkcji kanadyjskiej, bagaż podręczny oraz bilety lotnicze. Pojechali razem do Birmingham i Quinn zdążył na pierwszy lot z centralnej Anglii do Dublina. Andriej poczekał na odlot, następnie odjechał z powrotem do Londynu.

Quinn przeleciał z Dublina na lotnisko Shannon, odczekał parę godzin i liniami Air Canada przybył do Toronto.

Zgodnie z obietnicą czytał książkę siedząc w poczekalni na lotnisku Shannon i podczas lotu przez Atlantyk. Rozdział o Petrosjanie przeczytał sześć razy. Zanim wylądował w Toronto, rozumiał już, dlaczego wielu pogwałconych przeciwników nadało przebiegłemu ormiańskiemu arcymistrzowi przydomek Wielkiego Oszusta.

W Toronto jego paszport nie wzbudził większego zainteresowania niż w Birmingham, Dublinie czy na Shannon. Poczekał na swój bagaż przy karuzeli w komorze celnej i przeszedł jedynie pobieżną kontrolę. Nie miał żadnego powodu, by zwrócić uwagę na niepozornego

mężczyznę, który obserwował jego odprawę celną, później poszedł z nim na dworzec główny i wsiadł do tego samego pociągu jadącego w kierunku północno-wschodnim, do Montrealu.

Na giełdzie samochodów w stolicy Quebecu Quinn kupił używanego dżipa Renegade z ciężkimi, zimowymi oponami, obok zaś, w sklepie sportowym, zaopatrzył się w wysokie buty, spodnie i pikowane kurtki, niezbędne w tym klimacie podczas panującej właśnie pory roku. Po zatankowaniu dżipa pojechał na południowy wschód, do Bedford przez St Jean, a potem wprost na południe, w stronę amerykańskiej granicy.

Na przejściu granicznym, nie opodal brzegu jeziora Champlain, tam gdzie autostrada stanowa nr 89 prowadzi z Kanady do stanu Vermont, Quinn wjechał z powrotem na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Na północnych obrzeżach stanu Vermont leży kraina nazywana przez stałych mieszkańców Królestwem Północnego Wschodu. Należy do niej większa część okręgu Essex oraz skrawki Orleans i Kaledonii: jest to górzysty kraj jezior i rzek, wzniesień i wąwozów, z rzadka poprzecinany pasmami wyboistych dróg łączących odosobnione osady. Zimą Królestwo Północnego Wschodu ścina tak straszny mróz, jakby cały ten obszar dosłownie mroziło na kość. Jeziora skuwa lód, drzewa sterczą sztywne od mrozu, ziemia chrzęści pod stopami. W zimie nie ma śladu życia, chyba że w stanie hibernacji, czasem tylko wśród trzaskających pni przemknie samotny łoś. Dowcipnisie z południa twierdzą, że w Królestwie występują jedynie dwie pory roku: sierpień i zima. Jednak starzy bywalcy mówią, że to bzdura: rok dzieli się tam na piętnasty sierpnia i zimę.

Quinn poprowadził dżipa drogą na południe, przez Swanton i St Albans do miasta Burlington, następnie zostawił w tyle jezioro Champlain i trasą 89 zdążył do stolicy stanu, Montpelier. Tu zjechał z głównej autostrady na drogę oznaczoną cyfrą 2, przejechał wschodnie Montpelier wzdłuż doliny Winooski, minął Plainfield i Marshfield, aż dotarł do West Danville.

Otoczyły go góry, zbite w gromadkę na mrozie; jakiś pojazd przemykający czasem z przeciwka był takim samym anonimowym pęcherzykiem ciepła, z ogrzewaniem na cały regulator, i zawierał istotę ludzką, której życie zapewniała technika, gdyż podobny mróz zabija nie osłonięte ciało w przeciągu paru minut.

Za West Danville droga znów się zwężyła, przez wielkie zasypy śniegu z obu stron. Zostawiając w tyle zamkniętą w ciepłych domach społeczność Danville, Quinn włączył napęd na cztery koła i przemierzył ostatni odcinek do St Johnsbury.

Małe miasteczko nad rzeką Passumpsic stanowiło oazę wśród mroźnych gór, pełne sklepów, barów, świateł i ciepła. Quinn znalazł agenta handlu nieruchomościami przy Main

Street i przedstawił mu swoje życzenie. O tej porze roku nie było wielkiego ruchu w interesie i człowiek przyjął prośbę Quinna ze zdziwieniem.

- Drewniany dom? No, rzeczywiście, wynajmujemy chałupy w lecie. Zazwyczaj właściciele spędzają w nich miesiąc, góra sześć tygodni, a potem wynajmują do końca sezonu. Ale teraz?

- Tak, teraz - powiedział Quinn.

- Jakieś szczególne miejsce?

- Byle w Królestwie.

- Pan szanowny naprawdę chce przepaść na dobre. Człowiek za biurkiem sprawdził jednak spis i podrapał się w głowę.

- Może i coś mam - powiedział. - Posiadłość dentysty z Barre, z ciepłych krajów.

W ciepłych krajach o tej porze było tylko minus piętnaście zamiast minus dwudziestu. Pośrednik zatelefonował do dentysty, który zgodził się wynająć dom na jeden miesiąc. Potem uważnie popatrzył na dzipa.

- Masz pan łańcuchy na tym Renegade?

- Jeszcze nie.

- Nie da rady bez łańcuchów.

Quinn kupił i założył łańcuchy, po czym obaj odjechali. Odległość wynosiła dwadzieścia pięć kilometrów, lecz jazda trwała ponad godzinę.

- To w okolicach Lost Ridge - powiedział agent. - Właściciel wyjeżdża tam jedynie w pełni lata na łowienie ryb i piesze wędrówki. A pan się kryje przed adwokatami żony, czy co?

- Potrzebna mi cisza i spokój, żeby napisać książkę - wyjaśnił Quinn.

- Ach, pan jest pisarzem - pośrednik był usatysfakcjonowany. Ludzie traktują pisarzy z pobłażaniem, tak jak innych wariatów.

Jechali kawałek w stronę Danville, potem skręcili na północ, w jeszcze węższą drogę. Koło North Danville właściciel agencji poprowadził Quinna na zachód, w nie zamieszkaną pustkowiem. Przed nimi sięgały nieba szczyty Kittredge, dzikie i niedostępne. Szlak wiódł w prawo, w stronę Niedźwiedziej Góry. Na stromiźnie zbocza agent wskazał gestem zaśnieżony trakt. Żeby tamtędy przejechać, Quinn musiał włączyć całą moc silnika, napęd na cztery koła, nie mówiąc o łańcuchach.

Chałupa była zbudowana z drewnianych bali, grubych pni drzew ułożonych poziomo i miała spadzisty dach pokryty grubą warstwą śniegu. Postawiono ją solidnie, z wewnętrzną warstwą ocieplającą i potrójnymi szybami. Agent podkreślał znaczenie wbudowanego garażu

- nie ogrzewany samochód w tym klimacie zmieniłby się do rana w bryłę lodu, z zamrożoną benzyną - oraz pieca drzewnego, który grzeje wodę, także w kaloryferach.

- Biorę - powiedział Quinn.

- Będzie pan potrzebował nafty do lamp, gazu w butlach do kuchni i siekiery do rąbania drewna na opał - pouczał go agent. - I zapasów jedzenia, i benzyny. Lepiej, żeby tutaj niczego nie zabrakło. Poza tym ubranie. To, co pan ma na sobie, jest dość cienkie. Niech pan zasłania twarz, bo mogą nastąpić odmrożenia. Nie ma telefonu. Naprawdę zdecydował się pan?

- Biorę - powtórzył Quinn.

Pojechali z powrotem do St Johnsbury. Quinn podał nazwisko i narodowość, po czym zapłacił z góry. Pośrednik z uprzejmości albo z braku zainteresowania nie spytał, dlaczego mieszkaniec Quebecu szuka odosobnienia w stanie Vermont, skoro Quebec ma tyle własnych odludnych zakątków.

Quinn zapamiętał kilka telefonów publicznych, z których będzie mógł korzystać w dzień i w nocy, następnie spędził noc w miejscowym hotelu. Rano załadował dzipa wszystkimi niezbędnymi rzeczami i odjechał w góry.

Tylko raz, kiedy zatrzymał się na drodze za North Danville, żeby sprawdzić swoje położenie, wydawało mu się, że słyszy warkot silnika u stóp góry, z tyłu, lecz doszedł do wniosku, że odgłos dochodzi z osady albo to nawet jego własne echo.

Napalił w piecu i powoli chałupa odtajała. Potężne palenisko huczało zza stalowych drzwiczek, a kiedy się je otwierało, bił żar niczym z pieca hutniczego. Zbiornik wody odmarzł, gorąca woda zagrzała kaloryfery w czterech pomieszczeniach chałupy i napełniła mniejszy pojemnik na wodę do mycia. Zanim nastąpiło południe, rozebrał się do koszuli, tak mu było gorąco. Po obiedzie wziął siekiere i narąbał drewna opałowego na cały tydzień, przynosząc okrągłaki ze sterty za domem.

Kupił radio, ale nie miał telewizora ani telefonu. Zaopatrzone na przeciąg tygodnia, usiadł przy nowej przenośnej maszynie do pisania i zabrał się do pracy. Następnego dnia pojechał do Montpelier, gdzie wsiadł w samolot do Bostonu i stamtąd dalej, do Waszyngtonu.

Jego punktem docelowym był dworzec Union Station przy Massachusetts Avenue koło Drugiej Ulicy, jeden z najbardziej eleganckich dworców kolejowych w Ameryce, wykładany białym marmurem, błyszczącym jeszcze po niedawnym odnowieniu. Trochę się tu zmieniło w porównaniu z tym, co pamiętał sprzed lat. Ale szyny oczywiście zostały, biegły pod halą główną, tam gdzie zatrzymywały się pociągi.

Znalazł to, czego potrzebował, naprzeciw wejść H i J na perony linii kolejowych Amtrak. Pomiędzy drzwiami policji kolejowej Amtrak i damską toaletą umieszczono w rzędzie osiem publicznych telefonów. Wszystkie ich numery zaczynały się od 789; zanotował wszystkie osiem, wrzucił list do skrzynki i poszedł.

Taksówka powiozła go na Krajowe Lotnisko po drugiej stronie rzeki Potomac i kiedy skręciła w Czternastą Ulicę, zobaczył po prawej wielką kopułę Białego Domu. Rozmyślał, jak czuje się człowiek mieszkający w rezydencji pod kopułą, człowiek, który powiedział: “Sprowadź go tu dla nas” i którego nadzieję zawiódł.

W ciągu miesiąca, jaki upłynął od pogrzebu ich syna, państwo Cormack zmienili się, zmienił się również ich wzajemny stosunek i tylko zawodowy psychiatra umiałby to racjonalnie wyjaśnić.

Bezpośrednio po porwaniu prezydent, choć wyczerpany z powodu stresu, zmartwienia, niepokoju i bezsensowności, potrafił jednak zachować pewną równowagę. Kiedy przetrzymywanie jego syna miało się ku końcowi i raporty z Londynu zdawały się sugerować rychłą wymianę, jego stan nawet uległ poprawie. Raczej jego żona, o mniejszej sile intelektu, pozbawiona przy tym obowiązków sprawowania urzędu odwracających uwagę od kłopotów osobistych, wydała się na pastwę żalu i środków uspokajających.

Lecz w czasie, który upłynął od fatalnego dnia w Nantucket, kiedy to ich jedyny syn spoczął w zimnej ziemi, rodzicielskie role uległy odwróceniu. Na cmentarzu Myra Cormack spłakała się w klapę marynarki faceta z obstawy, potem płakała podczas lotu do Waszyngtonu. Ale z biegiem dni odzyskiwała równowagę. Możliwe, że w jej odczuciu po stracie syna pojawił się nowy podopieczny: mąż, który nigdy dotąd nie był od niej zależny.

Instynkt macierzyński i samozachowawczy zdawał się pobudzać w niej wewnętrzną siłę, jakiej zabrakło człowiekowi, w którego inteligencję i siłę woli nigdy nie wątpiła. Kiedy taksówka Quinna przejeżdżała w owo zimowe popołudnie obok zabudowań kompleksu Białego Domu, John Cormack siedział za biurkiem w swym prywatnym gabinecie pomiędzy sypialnią i Żółtym Owalnym Pokojem. U jego boku stała Myra Cormack. Przytulała głowę swego zgnębionego męża i kołysała powolutku.

Wiedziała, że jej mężczyznę ugodził śmiertelny cios, że długo tak nie pociągnie. W jej odczuciu zniszczyła go nie tyle sama śmierć syna, ile przerażająca nieświadomość, kto ją spowodował i dlaczego. Gdyby chłopak zginął w wypadku samochodowym albo podczas uprawiania sportu, John Cormack byłby w stanie zaakceptować logikę tej śmierci, bez względu na irracjonalność śmierci w ogóle. Sposób, w jaki chłopiec zginął, zniszczył jego ojca tak skutecznie, jak gdyby diabelska bomba eksplodowała w jego własnym ciele.

Nie wierzyła już, że kiedyś będą znali odpowiedź ani że jej mąż da sobie dalej radę. Doszło do tego, że znienawidziła Biały Dom i wysoki urząd, z którego była tak dumna, kiedy przypadł jej mężowi. Teraz pragnęła tylko jednego: niechże on pozbędzie się tego ciężaru obowiązków i osiadzie wraz z nią na powrót w New Haven, żeby tam mogła pielęgnować go na stare lata.

List, który Quinn wysłał do Sam Somerville na adres jej mieszkania w Alexandrii, został w porę przechwycony, zanim do niej dotarł i zaniesiony triumfalnie na posiedzenie komitetu zwołane właśnie w celu zapoznania się z jego treścią i przedyskutowania wszelkich implikacji. Philip Kelly i Kevin Brown dostarczyli list swoim przełożonym niby jakieś trofeum.

- Muszę przyznać, panowie - zaczął Kelly - iż z największymi oporami przyszło mi poprosić o tego rodzaju inwigilację jednej z moich zaufanych agentek. Myślę jednak, że nikt nie zaprzeczy: przyniosło to wymierne korzyści.

Położył list na stole przed sobą.

- Ten list został nadany wczoraj, właśnie tu, w Waszyngtonie. Nie oznacza to wcale, że Quinn przebywa w mieście czy choćby w Stanach; możliwe, że ktoś wysłał list w jego imieniu. Jednak przychyliłam się do opinii, iż Quinn pracuje sam, bez współników. Nie wiemy, jak zniknął z Londynu i objawił się tutaj. Lecz moi współpracownicy, i ja również, jesteśmy zdania, że wysłał ten list osobiście.

- Proszę przeczytać - rozkazał Odell.

- Treść jest... hm... dość dramatyczna - wyznał Kelly. Poprawił okulary i rozpoczął czytanie.

- "Kochana Sam..." Ten nagłówek zdaje się potwierdzać domysły mego kolegi, Kevina Browna; pomiędzy panną Somerville i Quinnem wywiązały się stosunki wykraczające poza zakres kontaktów służbowych.

- Aha, pański pies gończy zakochał się w wilku? - powiedział Odell. - A to dobre. Bardzo sprytnie. No i co on pisze?

Kelly wrócił do listu.

- "Nareszcie w domu - jestem w Stanach Zjednoczonych. Z całego serca pragnąłbym Cię zobaczyć, lecz obawiam się, że to na razie zbyt niebezpieczne.

Piszę, żeby Ci donieść, co naprawdę zdarzyło się na Korsyce. Kiedy dzwoniłem z lotniska w Ajaccio, okłamałem Cię.

Pomyślałem sobie, że jeśli powiem prawdę o tym, co się stało, możesz nabrać obaw przed powrotem. Jednak im dłużej rozmyślałem, tym większą czułem pewność, że masz

prawo wiedzieć. Musisz tylko przyrzec mi jedno: wszystko, o czym piszę w tym liście, zatrzymaj dla siebie. Nikt nie może się dowiedzieć, przynajmniej na razie. Zanim nie skończę czegoś, nad czym właśnie pracuję.

Istotnie, stoczyliśmy z Orsinim pojedynek. Nie miałem wyboru - ktoś zawiadomił go, że jadę na Korsykę, żeby go zabić, podczas gdy ja chciałem jedynie porozmawiać. Dostał kulę z mojego pistoletu - właściwie z Twojego - ale nie umarł od razu. Kiedy się dowiedział, jak go oszukano, zrozumiał, że nie wiąże go już przysięga milczenia. Wyjawiał przede mną wszystko, o czym wiedział, i o jaką forszę tu szło.

Po pierwsze, to nie Rosjanie za tym stali, w każdym razie nie ich rząd. Spisek zawiązał się właśnie tu, w Stanach. Prawdziwi mocodawcy wciąż kryją się w cieniu, lecz nazwisko człowieka, którego wynajęli do organizacji porwania Simona Cormacka i zamordowania go, tego, o którym Zack mówił "grubas", jest mi znane. Orsini go rozpoznał i zdradził, jak on się nazywa. Gdy zostanie ujęty, co z pewnością nastąpi, wyśpiewa nazwiska tych, którzy zapłacili za to, co zrobił: nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Sam, na razie siedzę w ukryciu i spisuję wszystko, każdy szczegół: nazwiska, daty, zdarzenia i miejsca. Całą historię od początku do końca. Jak skończę, roześlę kopie raportu do kilkunastu różnych instytucji, do wiceprezydenta, FBI, CIA itd. Później, jeżeli coś stanie się ze mną, będzie za późno, by zatrzymać maszynę wymiaru sprawiedliwości.

Nie skontaktuję się z Tobą, dopóki nie skończę. Proszę, nie zrozum mnie źle, nie zdradzam Ci, gdzie jestem, jedynie ze względu na Twoje bezpieczeństwo, ściskam Cię i całuję. Quinn",

Dobłą minutę trwała cisza pełna zdumienia. Jeden z obecnych pocił się obficie.

- Jezu - westchnął Odell. - Ten facet tak na poważnie?

- Jeżeli to prawda, co on pisze - powiedział Morton Stannard, z wykształcenia prawnik - z całą pewnością należy go objąć nadzorem. Powinien powiedzieć, co ma do powiedzenia, tutaj, przed nami.

- Zgadza się z panem - stwierdził prokurator generalny, Bill Walters. - Pomijając inne sprawy, przybrał on właśnie rolę koronnego świadka. Mamy program ochrony świadków. Należy zastosować wobec niego areszt ochronny.

Wniosek poparto jednomyślnie. Przed nastaniem nocy Ministerstwo Sprawiedliwości zatwierdziło nakaz ochrony świadka, czyli nakaz aresztowania umożliwiający bezterminowe przetrzymywanie Quinna. FBI uruchomiło wszystkie środki Narodowego Systemu Informacji Kryminalnej w celu zaalarmowania poszczególnych biur FBI w całym kraju i natychmiastowego wszczęcia poszukiwań. Dla wzmocnienia efektu wysłano dalekopisem

instrukcje do wszystkich stróżów porządku publicznego - miejskich wydziałów policji, biur szeryfów, urzędników wymiaru sprawiedliwości i patroli policji drogowej. Instrukcjom towarzyszyła fotografia Quinna. Według oficjalnej wersji Quinn był poszukiwany w związku z dużym skokiem na sklep jubilera.

Owszem, zaalarmowano ogniwa terenowe, lecz Ameryka to wielki kraj z mnóstwem miejsc, w których można się ukryć.

Ścigani przestępcy latami przebywali na wolności pomimo usilnych poszukiwań. Poza tym alarm dotyczył Quinna, obywatela amerykańskiego, z wiadomym numerem paszportu i prawa jazdy. Nie ścigano francuskiego Kanadyjczyka nazwiskiem Lefevre na doskonałych papierach, o innej fryzurze, w rogowych okularach i z niewielką brodą. Quinn ostatni raz golił się w ambasadzie radzieckiej w Londynie i zarost, choć niezbyt bujny, skrywał mu dolną część twarzy.

Wrócił do chałupy w górach, dał powołanemu przez Biały Dom komitetowi trzy dni na przetrawienie umyślnie podesłanego listu do Sam Somerville i podjął próbę nawiązania z nią kontaktu w tajemnicy.

Wskazówkę zaczerpnął z tego, co mówiła mu jeszcze w Antwerpii "Córka pastora z Rockcastle" - powiedziała o sobie.

Księgarnia w St Johnsbury udostępniła mu atlas, z którego wynikało, że istnieją w Stanach Zjednoczonych trzy miejscowości o nazwie Rockcastle. Lecz jedna leżała na głębokim południu, druga daleko na zachodzie. Akcent Sam był bliższy wschodniego wybrzeża. Trzecie Rockcastle należało do okręgu Goochland w stanie Wirginia. Spis telefonów potwierdził hipotezę. W wykazie figurował Wielebny Brian Somerville z Rockcastle, Wirginia. Tylko on jeden; specyficzna pisownia nazwiska wykluczała wszystkich Summerville'ów i Sommerville'ów.

Quinn znowu opuścił kryjówkę, poleciał z Montpelier do Bostonu i dalej do Richmond, gdzie wylądował na Byrd Field, przemianowanym niedawno z wielką pompą na Międzynarodowe Lotnisko Richmond. Książka telefoniczna na lotnisku zawierała informację, że duchowny pełni swe posługi w Kościele Świętej Maryi przy Three Square Road, lecz zamieszkuje pod numerem 290 przy Rockcastle Road. Quinn wynajął mały samochód i przejechał drogą nr 6 trzydzieści pięć mil do Rockcastle. Zadzwoił i wielebny Somerville we własnej osobie otworzył mu drzwi.

W saloniku od frontu srebrzystowłosey duchowny o cichym usposobieniu podał herbatę i potwierdził, że jego córka nosi imię Samantha i pracuje dla FBI. Następnie wysłuchał, co Quinn ma do powiedzenia. Był coraz bardziej zatroskany.

- Dlaczego sądzi pan, że mojej córce może coś zagrażać? - zapytał.

Quinn mu powiedział.

- Ale pod obserwacją? Ze strony samego Biura? Czy ona zrobiła coś złego?

- Nie, sir, nie zrobiła. Ale są tacy, którzy ją bezpodstawnie podejrzewają. A ona o tym nie wie. Chcę ją jedynie ostrzec.

Łagodny staruszek obejrzał list, który dostał do rąk i westchnął, świat przesłonięty kurtyną, której rąbek Quinn właśnie przed nim uchylił, był mu całkowicie nie znany. Zastanawiał się, jak by w tej sytuacji postąpiła jego zmarła żona - zawsze była bardziej energiczna od niego. Postanowił zawieźć wiadomość swemu dziecku w biedzie.

- Zgoda - powiedział. - Pojadę się z nią zobaczyć.

Słowa dotrzymał. Wsiadł w swój podstarzały samochód, pomału dojechał do Waszyngtonu i odwiedził córkę w jej mieszkaniu, bez uprzedzenia. Według pouczeń, poruszał mało istotne tematy i najpierw wręczył jej pojedynczą kartkę. Było tam napisane po prostu: *Mów dalej w sposób naturalny. Otwórz kopertę i odczytaj wiadomość, kiedy będziesz sama. Spal list i zastosuj się do instrukcji. Quinn.*

Zatkało ją na widok tych słów i zrozumiała, że Quinn ją ostrzega przed podsłuchem. Zdarzało się jej tak postępować wobec innych w czasie służby, lecz nigdy nie spodziewała się, że ją także to spotka. Popatrzyła w pełne niepokoju oczy swego ojca i nie przerywając rozmowy sięgnęła po kopertę. Kiedy miał odjeżdżać z powrotem do Rockcastle, odprowadziła go przed dom i serdecznie ucałowała.

List w kopercie był tak samo krótki. O północy ma stanąć przy automatach telefonicznych naprzeciw peronów H i J linii Amtrak na Union Station i czekać. Jeden z telefonów zadzwoni - to będzie Quinn.

Odebrała jego telefon, wykonany z budki w St Johnsbury, dokładnie o północy. Opowiedział jej o Korsyce i Londynie, i o spreparowanym liście, który do niej wysłał w przekonaniu, że dostanie go wpierw komitet przy Białym Domu.

- Ale słuchaj, Quinn - zaoponowała. - Jeżeli Orsini niczego nie wydał, to już po wszystkim, tak jak mówiłeś. Dlaczego udajesz, że coś sypnął, kiedy nie sypnął?

Opowiedział jej o Petrosjanie, który nawet przegrywając, potrafił wpatrzonemu w szachownicę przeciwnikowi dać do zrozumienia, że szykuje w zanadrzu mistrzowski ruch i w ten sposób zmuszał do popełnienia błędu.

- Myślę, że oni, kimkolwiek są, muszą się odkryć z powodu tego listu - powiedział. - Pomimo że obiecałem nie kontaktować się z tobą, stanowisz wciąż jedyne ogniwo, jeżeli policji nie uda się mnie złapać. W miarę upływu dni powinni się coraz bardziej wściekać.

Chcę, żebyś miała oczy i uszy otwarte. Będę dzwonił co drugi dzień, o północy, na jeden z tych numerów.

Upłynęło sześć dni.

- Quinn, znasz faceta nazwiskiem David Weintraub?

- Owszem, znam.

- On jest z Agencji, prawda?

- Tak, jest zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych. Dlaczego pytasz?

- Prosił o spotkanie. Powiedział, że coś się wali i to szybko. On tego nie rozumie, myśli, że ty będziesz wiedział.

- Rozmawialiście w Langley?

- Nie, powiedział, że to za bardzo na widoku. Spotkaliśmy się o umówionej porze na tylnym siedzeniu w samochodzie Agencji przy chodniku koło Basenu Przypływowego. Rozmawialiśmy podczas jazdy.

- Mówił ci, o co chodzi?

- Nie, powiedział, że nie może nikomu ufać, teraz już nie. Tylko tobie. Chce się z tobą spotkać, na twoich warunkach, kiedy i gdzie zechcesz. Czy ty mu ufasz, Quinn?

Quinn pomyślał chwilę. Jeżeli David Weintraub kłamie, to i tak nie ma nadziei dla ludzkości.

- Tak - odpowiedział. - Ufam. Podał jej miejsce i termin spotkania.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego dnia wieczorem Sam Somerville znalazła się na lotnisku w Montpelier. Towarzyszył jej Duncan McCrea, młody wywiadowca CIA, ten sam, który wcześniej przekazał jej prośbę o spotkanie od zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych.

Przylecieli samolotem PBA Beachcraft 1900 lecącym z Bostonu. Na lotnisku wynajęli terenowego Dodge'a i zatrzymali się w motelu za miastem. Zgodnie z radą Quinna przywieźli z Waszyngtonu najcieplejsze ubrania, jakie tylko można było znaleźć w sklepach.

Zastępca dyrektora CIA ze względu na ważną konferencję na wysokim szczeblu w Langley, której nie powinien opuszczać, był oczekiwany dopiero następnego ranka i miał zdążyć na umówione spotkanie z Quinnem.

Wylądował o siódmej rano dziesięcioosobowym odrzutowcem. Sam nie znała oznaczeń samolotu, ale McCrea wyjaśnił, że przedsiębiorstwo lotnicze, którego znaki są wymalowane na zbiornikach paliwa, pracuje dla Agencji, która jest właścicielem odrzutowca. Po wyjściu z samolotu na płytę lotniska pozdrowił ich krótko, ale serdecznie. Miał już na sobie ciężkie, ocieplane śniegowce, grube spodnie i pikowany anorak. Torbę z bagażem trzymał w ręku. Zajął tylne siedzenie Dodge'a i ruszyli w drogę. Prowadził McCrea, a Sam pilotowała go z mapą w ręku.

Z Montpelier wyjechali szosą stanową nr 2 przez East Montpelier i skręcili na drogę do Plainfield. Tuż za cmentarzem w Plainmont, ale przed bramą Goddard College, rzeka Winooski oddała się na południe, pozostawiając wzdłuż drogi półkolisty pas lasu. Panuje tam cisza, a wysokie drzewa są o tej porze roku nieruchome i pokryte śniegiem. Wzdłuż letniego parkingu dla pojazdów kempingowych stoi kilka stołów i ław dla turystów. Quinn miał czekać tu o ósmej rano.

Pierwsza zobaczyła go Sam. Wyłonił się zza drzewa w odległości dwudziestu jardów od samochodu, gdy tylko się zatrzymali. Nie czekając na współtowarzyszy, Sam wysiadła i podbiegłszy zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jak się miewasz, mała?

- Doskonale. Och, Quinn, dzięki Bogu, że jesteś bezpieczny. Quinn patrzył ponad jej głową przed siebie. Wyczuła, że zeszywniał.

- Kto jest z tobą? - zapytał cicho.

- Och, jestem taka nierozsądna - odwróciła się. - Pamiętasz Duncana McCrea? To właśnie on skontaktował mnie z panem Weintraubem... Wysiadłszy z samochodu, McCrea

stał w odległości dziesięciu jardów. Uśmiechał się wstydliwie w charakterystyczny dla siebie chłopięcy sposób.

- Dzień dobry, panie Quinn - pozdrowienie było jak zwykle nieśmiałe i pełne szacunku. Ale automatyczny kolt kaliber 0,45 w prawej dłoni wcale nie był nieśmiały. Celował prosto w Sam i Quinna.

Z samochodu wysiadł drugi mężczyzna. Trzymał karabin ze składaną kolbą, który wyjął z torby, gdy tylko oddał McCrea kolta.

- Kto to taki? - zapytał Quinn.

Głos Sam zabrzmiał bardzo cicho i bardzo niepewnie.

- David Weintraub - powiedziała. - O Boże, Quinn, co ja takiego zrobiłam?

- Zostałaś oszukana, kochanie.

Zrozumiał, że to on popełnił błąd. Miał ochotę wymierzyć sobie kopniaka. Gdy rozmawiał z nią przez telefon, nie przyszło mu do głowy zapytać, czy kiedykolwiek widziała zastępcę dyrektora CIA do spraw operacyjnych. Dwukrotnie wzywano ją do Białego Domu z raportami. Sądził, że David Weintraub był obecny jeśli nie na obu tych spotkaniach, to przynajmniej na jednym. W rzeczywistości, wykonując jedną z najbardziej utajnionych prac w Ameryce, Weintraub nie lubił częstych wizyt w Waszyngtonie i w obu przypadkach był nieobecny. Opieranie się w czasie walki na nie sprawdzonych założeniach może być bardzo niezdrowe. Quinn dobrze o tym wiedział.

Niski, przysadzisty mężczyzna z karabinem, wyglądający na jeszcze grubszego w ocieplanym ubraniu, podszedł bliżej i stanął obok McCrea.

- A więc, sierżancie Quinn, znów się spotykamy. Pamiętasz mnie? Quinn zaprzeczył ruchem głowy. Mężczyzna dotknął ręką nasady spłaszczonego nosa.

- Mam to od ciebie, ty skurwysynu. Teraz za to zapłacisz, Quinn. Quinn przymrużył oczy w wysiłku i przypomniał sobie polanę w Wietnamie, bardzo dawno temu, i wietnamskiego wieśniaka, czy raczej to, co z niego zostało, nadal żywego, rozciągniętego na ziemi.

- Pamiętam - powiedział.

- To dobrze - odparł Moss. - A teraz ruszajmy się. Gdzie mieszkasz?

- W chacie w górach.

- Pisziesz pamiętnik, o ile rozumiem. Trzeba się mu będzie przyjrzeć z bliska. Bez sztuczek, Quinn. Duncan może chybić z rewolweru do ciebie, ale w dziewczynę trafi. A ty z pewnością nigdy nie będziesz szybszy od tego.

Podrzucił lufę karabinu, dając do zrozumienia, że Quinn nie ma szans dopaść odległych o dziesięć jardów drzew, zanim nie zostanie przecięty na pół.

- Możesz to sobie wsadzić w tyłek - powiedział Quinn. W odpowiedzi Moss zachichotał, posapując głośno, przez uszkodzony nos.

- Mózg ci chyba zamarzał od zimna, Quinn. Powiem ci, co mam w planie. Zabierzemy ciebie i dziewczynę nad rzekę. Nikt nam nie przeszkodzi, nikogo nie ma w promieniu wielu mil. Ciebie przywiążemy do drzewa i będziesz się przyglądał. Tylko przyglądał. Przysięgam, że zanim dziewczyna umrze, miną dwie godziny i przez każdą sekundę będzie się modliła o śmierć. A teraz może poprowadzisz do siebie?

Quinn pomyślał o polanie w dżungli, o wieśniaku ze stawami dłoni, łokci, kolan i kostek potrzaskanymi przez miękkie ołowiane kule, szepczącym, że jest tylko wieśniakiem i że nic nie wie. Gdyby Quinn zdał sobie wtedy sprawę, że przysadzisty prowadzący przesłuchanie typ wie o tym dobrze, że wiedział o tym od początku, odwróciłby się i jednym ciosem wysłał go do szpitala.

Gdyby był sam, mógłby próbować pomimo wszystko walczyć i umrzeć czysto z kulą w sercu. Ale z dziewczyną... Przytaknął.

McCrea rozdzielił ich i skuł Quinnowi ręce kajdankami z tyłu. Skuł także Sam. McCrea prowadził dzipa z Quinnem obok siebie. Moss jechał z tyłu Dodge'em z Sam leżącą na tylnym siedzeniu.

W West Danville przyglądali się im ludzie, ale niczyjej uwagi nie zwróciły dwa terenowe pojazdy jadące w kierunku St Johnsbury. Ktoś podniósł rękę solidarnie pozdrawiając śmiałków, których nie zmógł mróz. McCrea odpowiedział z przyjaznym uśmiechem i skręcił na północ od Danville w stronę gór Lost Ridge. Przy Pope Cemetery Quinn wskazał następny zakręt ku Niedźwiedziej Górze. Z tyłu Dodge zaczął się ślizgać bez łańcuchów.

Gdy skończyła się szutrowa droga, Moss zostawił Dodge'a i przesiadł się na tylne siedzenie dzipa, popychając przed sobą Sam. Była błada i trzęsła się ze strachu.

- Nic dziwnego, że się tu próbowałeś schować - powiedział Moss, gdy dotarli do samotnej chaty.

Na zewnątrz było trzydzieści stopni poniżej zera, ale wewnątrz było takie, jak zostawił je Quinn, ciepłe i przytulne. Zostali z Sam zmuszeni, aby usiąść na dwóch końcach łóżka stojącego w rogu największego pokoju. McCrea nadal pilnował ich z pistoletem, podczas gdy Moss szybko zajrzał do pozostałych pomieszczeń i upewnił się, że są sami.

- Ślicznie - powiedział na koniec z satysfakcją. - Ślicznie i spokojnie. Nie mogłeś tego lepiej dla mnie przygotować, Quinn.

Rękopis Quinna leżał w szufladzie biurka. Moss zdjął anorak, zasiadł w fotelu i zaczął czytać. Pomimo że więźniowie nadal byli skuci, McCrea siadł w pogotowiu na krześle twarzą do Sam i Quinna. Nadal uśmiechał się w charakterystyczny dla siebie chłopięcy sposób. Quinn zbyt późno pojął, że to tylko maska, coś, z posiadania czego McCrea zdał sobie sprawę za młodu i doskonalił latami, aby ukryć swoje prawdziwe wnętrze.

- Wygraliście - powiedział Quinn po chwili. - Ale nadal jestem ciekaw, jak się to wam udało.

- Proszę bardzo - powiedział Moss nie odrywając się od czytania. - To nic nie zmieni.

- Jak McCrea został wybrany do pracy w Londynie? Zaczął od drobnego i nieistotnego pytania.

- Zwykle szczęście - powiedział Moss. - Normalny przypadek. Nigdy nie przypuszczałem, że będę tam miał do pomocy mojego chłopaka. Premia od cholерnej Agencji.

- Gdzie się poznaliście? Moss podniósł wzrok.

- Środkowa Ameryka - powiedział krótko. - Spędziłem tam całe lata. Duncan tam się wychował. Spotkałem go, gdy był jeszcze chłopcem. Zauważyłem, że mamy podobne gusty. To przecież ja przyjąłem go do Agencji.

- Podobne gusty? - kontynuował Quinn. Gust Mossa znał. Chciał sprowokować go do mówienia. Psychopaci uwielbiają mówić o sobie, gdy czują się bezpieczni.

- Prawie takie same - powiedział Moss. - Tylko Duncan woli panie, a ja nie. Oczywiście, woli je najpierw trochę pomęczyć, prawda, chłopcze?

Wrócił do czytania. McCrea uśmiechnął się zadowolony.

- Pewnie, że lubię, panie Moss. Czy pan wie, że ci dwoje zabawiali się razem wtedy w Londynie? Myśleli, że nie słyszę. Chyba muszę trochę nadgonić zaległości.

- Jak sobie życzysz, chłopcze - powiedział Moss. - Ale Quinn jest mój. Trochę to potrwa, Quinn. Trochę się przy tobie rozerwę.

Wrócił do czytania. Sam gwałtownie pochyliła się do przodu. Ogarnęły ją mdłości, ale miała pusty żołądek i nie mogła zwymiotować. Quinn widział w Wietnamie, że to samo zdarza się wielokrotnie rekrutom. Lęk pobudza wydzielanie kwasów żołądkowych, które drażniąc wrażliwe błony wewnętrzne wywołują skurcze żołądka.

- Jak utrzymywaliście kontakt w Londynie? - zapytał.

- Bez trudności - powiedział Moss. - Duncan chodził po zakupy, po żywność i inne rzeczy. Pamiętasz? Spotykaliśmy się w sklepach spożywczych. Gdybyś był sprytniejszy, Quinn, zauważyłbyś, że zawsze wychodzi po żywność o tej samej porze.

- A ubranie Simona i pas-pułapka?

- Zabrał to wszystko do domu w Sussex, gdy ty spotykałeś się z trójką porywaczy w magazynie Babbidge'a. Przekazał wszystko osobiście Orsiniemu. Orsini to dobry człowiek. Kilka razy korzystałem z jego usług w Europie, gdy pracowałem dla Agencji. Później też.

Moss odłożył rękopis i teraz mówił już chętnie.

- Wystraszyłeś mnie wybiegając wtedy z mieszkania bez żadnego uprzedzenia. Chciałem się ciebie pozbyć, ale nie mogłem przekonać Orsiniego, żeby to zrobił. Mówił, że pozostali trzej by go powstrzymali. Dałem więc spokój, wiedząc, że po śmierci chłopaka i tak będziesz jednym z podejrzanych. Ale naprawdę zdumiałem się, gdy ci durnie z Biura zwolnili ciebie. Myślałem, że cię posadzą nawet bez dowodów.

- I wtedy postanowiłeś założyć podsłuch w torebce Sam?

- Tak. Wpadł na to Duncan. Kupiłem identyczną torebkę i założyłem mikrofon. Dałem ją Duncanowi rano tego dnia, gdy ostatecznie wyprowadziłeś się z Kensingtonu. Pamiętasz, że wyskoczył po jajka na śniadanie? Przyniósł torebkę i zamienił, gdy jedliście w kuchni.

- Dlaczego nie pozbyłeś się po prostu tamtych czterech najemników na umówionym spotkaniu? - zapytał Quinn. - Oszczędziłbyś sobie kłopotów z szukaniem nas po świecie.

- Dlatego że trzech spanikowało - powiedział Moss z niesmakiem. - Mieli pojawić się w Europie po odbiór premii. Wszystkich trzech miał uciszyć Orsini. Ja miałem pozbyć się Orsiniego. Ale gdy usłyszeli, że chłopak nie żyje, rozdzielili się i znikli. Na szczęście byłeś w pobliżu, żeby mi pomóc.

- Nie mogłeś tego prowadzić sam - powiedział Quinn. - McCrea musiał ci pomagać.

- Oczywiście. Ja musiałem was wyprzedzać, a Duncan trzymał się blisko za wami przez cały czas, nawet sypiał w samochodzie. Bardzo mu się to nie podobało. Prawda, Duncan? Gdy usłyszał, że znalazłeś Marchais i Pretoriusa, zadzwonił z samochodu i dał mi kilka godzin przewagi.

Quinn miał jeszcze kilka pytań. Moss wrócił do czytania, a jego twarz zdradzała coraz większą złość.

- A chłopak? Kto wysadził Simona Cormacka? Ty, McCrea, prawda?

- Pewnie. Nosiłem nadajnik w kieszeni marynarki od dwóch dni. Quinn przypomniał sobie scenę na poboczu drogi w Buckinghamshire. Ludzie ze Scotland Yardu, grupa z FBI, Brown, Collins, Seymour obok samochodu, Sam po wybuchu z twarzą przytuloną do jego

pleców. Przypomnił sobie McCrea na kolanach nad rowem, pozorującego mdłości. To wtedy zatopił nadajnik na dziesięć cali głęboko w błocie pod wodą.

- Dobrze. A więc Orsini informował cię na bieżąco, co dzieje się w kryjówce porywaczy, mały Duncan zdawał sprawę z wydarzeń na Kensingtonie. A co z człowiekiem w Waszyngtonie?

Sam spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nawet McCrea wydawał się zaskoczony. Moss podniósł głowę znad rękopisu i popatrzył na Quinna z ciekawością. Gdy jechali samochodem, Quinn zdał sobie sprawę, że Moss podjął ogromne ryzyko spotykając się z Sam i udając, że jest Davidem Weintraubem. Czy aby na pewno? Tylko w jeden sposób mógł mieć pewność, że Sam nigdy wcześniej nie widziała zastępcy dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

Moss podniósł rękopis i rozsypał po podłodze.

- Skurwysyn z ciebie, Quinn - powiedział jadowicie. - Nie ma tu nic nowego. W Waszyngtonie twierdzi się, że cała sprawa jest komunistyczną operacją przygotowaną przez KGB. Pomimo tego, co powiedział ten gnojek Zack. Spodziewano się, że ty będziesz miał jakieś dowody, do cholery. A wiesz, co masz? Nic. Orsini nie powiedział ani słowa, prawda?

Wstał ze złością i zaczął chodzić po pokoju. Stracił dużo czasu i wysiłku, dużo przygotowań, i wszystko na nic.

- Ten Korsykanin powinien był się ciebie pozbyć tak, jak mu powiedziałem. Ale nawet żywy nie masz nic. List, który wysłałeś do tej dziwki, to było kłamstwo? Kto ci to podsunął?

- Petrosjan - powiedział Quinn.

- Kto?

- Tigran Petrosjan. Ormianin. Już nie żyje.

- To dobrze. Z tobą będzie tak samo, Quinn.

- Kolejny wyreżyserowany scenariusz?

- Owszem. Biorąc pod uwagę, że ci to tylko zaszkodzi, z przyjemnością ci opowiem. Terenowy Dodge został wynajęty przez obecną tu twoją przyjaciółkę. Dziewczyna z agencji wynajmu na lotnisku nie widziała wcale Duncana. Policja odnajdzie twój dom spalony, a w środku jej ciało. Samochód pozwoli im ustalić nazwisko, a zidentyfikują ją według uzębienia. Dżip zostanie odwieziony i porzucony na lotnisku. W ciągu tygodnia będzie wisiało nad tobą podejrzenie o morderstwo i wszystko zacznie się zgadzać.

- Tylko że policja nigdy cię nie znajdzie. Tutejsze warunki są pod tym względem idealne. W górach jest pełno szczelin lodowych, w których ciało może zniknąć na zawsze. Na

wiosnę zostanie z ciebie tylko szkielet, do lata na zawsze przykryje go roślinność. Ale policja i tak wcale nie będzie szukać cię tutaj; będą wypytywać o mężczyznę, który odleciał z lotniska w Montpellier.

Podniósł karabin i skierował lufę w stronę Quinna.

- Wstawaj, gnojku, idziemy. Duncan, baw się dobrze. Będę za godzinę, może wcześniej. Do tego czasu ona jest twoja.

Zimno na dworze podziałało jak policzek. Z rękoma unieruchomionymi z tyłu Quinn przebijał się przez śnieg za domem coraz wyżej i wyżej na Niedźwiedzią Górę. Słyszał sapanie Mossa i wiedział, że brak mu kondycji. Ale ze skutymi rękoma nie poradziłby sobie z karabinem.

A Moss był wystarczająco rozsądny, żeby nie podchodzić zbyt blisko, ryzykując obezwładniające kopnięcie od byłego komandosa.

Znalezienie tego, czego szukał, zajęło Mossowi dziesięć minut. Na skraju polany w świerkowo-jodłowym lesie porastającym zbocza ziała głęboka szczelina o szerokości najwyżej dziesięciu stóp, przechodząca pięćdziesiąt stóp niżej w ledwie widoczne pęknięcie.

Wypełniał ją miękki śnieg, w który ciało zapadnie się jeszcze na trzy, cztery stopy. Świeży śnieg w grudniu, później w styczniu, lutym, marcu i kwietniu dokładnie przykryje ciało. W czasie roztopów wszystko się rozpuści zamieniając szczelinę w lodowaty potok. Raki dokończą dzieła. Latem roślinność wypełni wąwóz, przykrywając szczątki do następnego roku i znów do następnego, i znów.

Quinn nie miał złudzeń, że umrze od jednego czystego strzału w głowę lub serce. Rozpoznał twarz Mossa, przypomniał już sobie jego nazwisko, znał jego zboczone przyjemności. Zastanawiał się, czy potrafi w milczeniu znieść ból, nie dając Mossowi satysfakcji. Myślał też o Sami i o tym, przez co będzie musiała przejść przed śmiercią.

- Ukłknij - powiedział Moss. Oddychał spazmatycznie. Quinn ukląkł. Próbował zgadnąć, gdzie trafi go pierwsza kula. Usłyszał wystrzał brzmiały głucho w czystym powietrzu. Nabrał oddechu, zamknął oczy i czekał.

Uderzenie kuli wydawało się wypełniać całą polanę i odbijać echem wśród szczytów. Ale śnieg stłumił je tak szybko, że nie usłyszał tego nikt na drodze daleko w dole ani tym bardziej w odległym o dziesięć mil miasteczku.

Pierwszym odczuciem Quinna było zaskoczenie. Jak można chybić z takiej odległości? Ale szybko zdał sobie sprawę, że to część zabawy Mossa. Odwrócił się. Moss stał z karabinem wycelowanym w niego.

- No dalej, na co czekasz, mięczaku - powiedział Quinn. Moss na wpół uśmiechnął się i zaczął opuszczać karabin. Opadł na kolana, nachylił do przodu i oparł dłonie na śniegu przed sobą.

W retrospekcji wydaje się, że trwało to dłużej, ale naprawdę minęły tylko dwie sekundy, gdy Moss patrzył na Quinna, klęcząc z rękoma na śniegu, zanim nie opadła mu głowa, a z ust wypłynął jasny strumień pieniającej się krwi. Wtedy westchnął i cicho przewrócił się na bok w śnieg.

Kamuflaż mężczyzny był tak dobry, że Quinn zobaczył go dopiero w kilka sekund później. Stał zupełnie bez ruchu po drugiej stronie polany, między dwoma drzewami. Teren uniemożliwiał jazdę na nartach, nosił więc buty śniegowe, przypominające ogromne rakiety do tenisa. Ubranie arktyczne miejscowego pochodzenia oblepiał śnieg, ale i pikowane spodnie, i anorak były jasnobłękitne, najbliższy bieli kolor osiągalny w sklepie.

Sztywny szron zakrzepł na pasmach futra wystającego z kaptura na brwiach i brodzie. Twarz miał posmarowaną tłuszczem i sadzą. W ten sposób żołnierze działając w warunkach 30 stopni poniżej zera chronią skórę przed odmrożeniem. Karabin trzymał swobodnie w poprzek piersi, pewny, że nie będzie potrzebny drugi strzał.

Quinn zastanawiał się, jak mógł przeżyć tu na górze, biwakując w jakiejś szczelinie lodowej na zboczu za chatą. Ale jeśli można przetrwać zimę na Syberii, można także w Vermont.

Quinn splótł dłonie ciągnąc i przepychając tak długo, aż przełożył je pod siedzeniem. Następnie przecisnął po kolei nogi między skutymi rękoma. Mając dłonie z przodu, przeszukał anorak Mossa, znalazł klucz od kajdanek i uwolnił się. Wziął karabin Mossa i wstał. Człowiek po przeciwnej stronie polany przyglądał mu się spokojnie.

Quinn krzyknął głośno.

- Jak mówią u ciebie w kraju, *spasibo*.

Kozak Andriej uśmiechnął się lekko na wpół zamarzniętymi ustami i odezwał się nieskazitelnym językiem londyńskich klubów.

- Jak mówią u ciebie, wszystkiego dobrego, stary chłopie.

Później już tylko śmignął raketami śniegowymi i znikł za drzewami. Quinn zrozumiał, że wysadziwszy go w Birmingham, Rosjanin pojechał na Heathrow, złapał bezpośredni samolot do Toronto i dotarł w góry jego tropem. Quinn umiał się zabezpieczać. KGB, jak widać, również. Odwrócił się i zaczął biec z powrotem przez głęboki do kolan śnieg.

Zatrzymał się na zewnątrz domu i zajrzał do środka przez mały okrągły otwór w szronie pokrywającym szyby dużego pokoju. Pusto. Z karabinem wycelowanym przed siebie otworzył zamek i po cichu pchnął drzwi wejściowe. Dobiegł go jęk. Przeszedł przez pokój i stanął w drzwiach sypialni.

Naga Sam leżała rozkrzyżowana twarzą w dół na tapczanie, z rękoma i nogami przywiązanymi do czterech jego rogów. McCrea stał w samych slipach tyłem do drzwi i trzymał w ręku złożony cienki przewód elektryczny.

Nadal się uśmiechał. Quinn zauważył odbicie jego twarzy w lustrze nad komodą. McCrea usłyszał kroki i odwrócił się. Kula trafiła go w żołądek dwa centymetry powyżej pępka. Przeszła na wylot i strzaskała kręgosłup. Upadając, przestał się uśmiechać.

Przez dwa dni Quinn opiekował się Sam jak małym dzieckiem. Paraliżujący strach, który przeżyła, spowodował, że na przemian płakała i trzęsła się, a Quinn bujał ją na rękach. Poza tym spała i ten najlepszy lekarz przyniósł szybko ożywczy skutek.

Gdy Quinn uznał, że może ją zostawić na chwilę samą, pojechał do St Johnsbury i udając jej ojca zadzwonił do personalnego w FBI. Uprzedził nic nie podejrzewającego urzędnika, że odwiedzając go Sam bardzo się przeziębila. Wróci za biurko za trzy lub cztery dni.

Nocami, gdy spała, napisał długie i tym razem prawdziwe sprawozdanie z wydarzeń ostatnich siedemdziesięciu dni.

Mógł już opowiedzieć całą historię, przedstawiając ją z własnego punktu widzenia. Nie pomijał niczego, również popełnionych błędów. Mógł też uzupełnić swoją wersję, wersją widzianą oczyma Rosjan, tak jak opowiedział mu ją generał KGB w Londynie. Sprawozdanie, które czytał Moss, wcale o tym nie wspominało; nie dotarł jeszcze do tego punktu, gdy Sam dała mu znać, że chce się z nim spotkać zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych.

Uzupełnił opis tym, co usłyszał od Zacka przed samą jego śmiercią. Uwzględnił wreszcie wyjaśnienia samego Mossa: miał już niemal wszystko.

W centrum sieci znajdował się Moss, a za jego plecami pięciu ludzi, którzy go wynajęli. Informacji dostarczali mu Orsini z miejsca ukrywania się porywaczy i McCrea z mieszkania na Kensingtonie. Ale musiał być jeszcze ktoś. Ktoś, kto wiedział wszystko, co wiedziały rządy w Anglii i Ameryce, ktoś, kto śledził postępy Nigela Cramera ze Scotland Yardu i Kevina Browna z FBI, ktoś, kto znał szczegóły spotkania komitetu COBRA w Anglii i grupy w Białym Domu. Na to jedno pytanie Moss nie odpowiedział.

Przyciągnął ciało Mossa z lasu i ułożył razem z ciałem McCrea w drewnitni, gdzie szybko zeszytwniały na podobieństwo leżących tam sosnowych polan. Przeszukał ich kieszenie i sprawdził bagaż. Nie było tam nic, co mogłoby go interesować, może z wyjątkiem notesu telefonicznego znalezionej w wewnętrznej kieszeni kurtki Mossa.

Moss był człowiekiem skrytym, uformowanym przez lata treningu i ukrywania się. Mały notes w twardych okładkach zawierał ponad sto numerów telefonicznych, ale towarzyszyły im tylko inicjały lub imiona.

Rano trzeciego dnia Sam wyszła z sypialni po dziesięciu godzinach nieprzerwanego, wolnego od koszmarów snu.

Usiadła mu na kolanach i kuląc się oparła głowę na jego ramieniu.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Już dobrze, Quinn, czuję się świetnie. Wszystko w porządku. Gdzie teraz pojedziemy?

- Musimy wrócić do Waszyngtonu - powiedział. - Tam rozegra się ostatni rozdział. Potrzebuję twojej pomocy.

- Dla ciebie zrobię wszystko - odpowiedziała.

Tego samego dnia po południu Quinn wygasił ogień w piecu, wyłączył ogrzewanie, wodę i światło, posprzątał i zamknął dom. Karabin Mossa i kolta McCrea zostawił. Ale zabrał notes.

Jadąc na dół wziął na hol porzuconego Dodge'a i dociągnął go do St Johnsbury. W miejscowym warsztacie bardzo chętnie go uruchomili. Dżipa z kanadyjską rejestracją zostawił, aby sprzedali go możliwie jak najkorzystniej.

Dodge'em dojechał na lotnisko w Montpelier, zwrócili go w towarzystwie wynajmu i przez Boston polecieli na krajowe lotnisko w Waszyngtonie, gdzie Sam zostawiła swój samochód.

- Nie mogę mieszkać u ciebie - powiedział. - Nadal masz u siebie podsłuch.

Znaleźli skromny pensjonat milę od jej mieszkania w Alexandrii. Właścicielka z zadowoleniem odnajęła frontowy pokój kanadyjskiemu turyście. Późno wieczorem Sam wróciła do siebie i na użytek podsłuchu zadzwoniła do Biura, uprzedzając, że rano będzie w pracy.

Spotkali się ponownie wieczorem następnego dnia przy obiedzie. Sam przyniosła notatnik telefoniczny Mossa i zaczęli go razem przeglądać. Poszczególne numery podkreśliła kolorowymi fluorescencyjnymi flamastrami zależnie od kraju, stanu lub miasta, którego dotyczyły numery telefonów.

- Ten człowiek musiał rzeczywiście sporo podróżować - powiedziała. - Numery zakreślone na żółto są zagraniczne.

- Zapomnij o nich - powiedział Quinn. - Człowiek, którego szukam, jest gdzieś tutaj w pobliżu. W Dystrykcie Kolumbii, w Wirginii lub w Maryland. Musi mieszkać w pobliżu Waszyngtonu.

- Dobrze. Czerwone podkreślenia oznaczają Stany, ale z wyłączeniem tego obszaru. Pozostałe czterdzieści jeden numerów pochodzi z Kolumbii i sąsiednich dwóch stanów. Wszystkie sprawdziłam. Analiza atramentu wskazuje, że większość wpisano przed laty, prawdopodobnie w czasach, gdy pracował dla Agencji. Są to banki, wpływowe osobistości, kitka domowych numerów urzędników z CIA, firma maklerska. Wszystko to sprawdził facet z laboratorium, który ma wobec mnie dług wdzięczności.

- Co mówił o terminach poszczególnych wpisów?

- Wszystkie mają ponad siedem lat.

- Czyli zanim go wywalono. Nie, to musi być nowszy zapis.

- Powiedziałam większość - przypomniała. - W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy dopisano cztery numery. Biuro podróży, dwie kasy lotnicze i przedsiębiorstwo taksówkowe.

- Cholera.

- Ostatni numer został wpisany trzy - sześć miesięcy temu. Problem w tym, że nie ma takiego numeru.

- Wyłączony? Zepsuty?

- Nie. Chodzi mi oto, że nigdy nie istniał. Numer kierunkowy 202 to Waszyngton, ale pozostałe siedem cyfr wcale nie tworzy numeru telefonicznego, który by kiedykolwiek istniał.

Quinn przepisał cyfry i pracował nad nimi w domu przez dwa dni i dwie noce. Od liczby kombinacji tego rodzaju szyfru nawet komputer dostałby bólu głowy, cóż dopiero człowiek. Wszystko zależało od tego, jak bardzo Moss czuł się bezpieczny i nie obawiał się o notatnik. Quinn zaczął od najprostszych kombinacji. Otrzymane numery zapisywał w kolumnie dla Sam do sprawdzenia.

Najpierw spróbował najbardziej oczywistego, dziecinnego sposobu, odwracając kolejność cyfr. Następnie zmienił pierwszą cyfrę z ostatnią, drugą z przedostatnią, trzecią od początku z trzecią od końca, zostawiając na miejscu środkową. Wypisał dziesięć możliwych przekształceń tego rodzaju. Następnie przeszedł do dodawania i odejmowania.

Odjął jeden od każdej cyfry, następnie dwa, i tak dalej. Następnie jeden od pierwszej cyfry, dwa od drugiej, trzy od trzeciej i tak aż do siódmej. Następnie powtórzył tę samą procedurę z dodawaniem. Drugiego dnia o świcie oparł się w fotelu i przyjrzał kolumnie cyfr.

Uświadomił sobie, że Moss mógł dodać lub odjąć własną datę urodzenia, nawet datę urodzenia swojej matki, numer rejestracyjny samochodu lub długość nogi. Gdy ustalił już sto siedem wariantów, oddał listę Sam. Zadzwoiła do niego późno po południu następnego dnia. Głos miała zmęczony. Najwyraźniej rachunek telefoniczny FBI nieco wzrósł w tym czasie.

- No więc tak: czterdzieści jeden z tych numerów wcale nie istnieje. Pozostałe sześćdziesiąt sześć obejmuje automatyczną pralnię, poważnych obywateli, gabinet masażu, cztery restauracje, bar szybkiej obsługi, dwóch agentów związków zawodowych i bazę lotnictwa wojskowego. Dodaj do tego pięćdziesięciu spokojnych obywateli, którzy nigdy nie mają z niczym nic wspólnego. Ale jeden jest podejrzany. Numer czterdziesty czwarty.

Spojrzał na swoją kopię listy. Czterdzieści cztery. Osiągnął ten numer odwracając kolejność cyfr fałszywego numeru i odejmując kolejno 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7.

- Czyj to numer? - zapytał.

- Jest to zastrzeżony i utajniony prywatny numer - odpowiedziała. - Żeby go zidentyfikować, musiałam skorzystać z pomocy kilku osób mających wobec mnie różne zobowiązania. Jest to adres dużej posiadłości w Georgetown. Zgadnij, do kogo należy?

Powiedziała mu. Quinn głęboko westchnął. To mógł być przypadek. Wystarczy pobawić się siedmioma cyframi odpowiednio długo i trafi się na numer telefoniczny bardzo wysoko postawionej osobistości przez czysty przypadek.

- Dziękuję, Sam. Nic więcej nie mamy. Spróbuję i dam ci znać. Tego samego wieczora o wpół do dziewiątej senator Bennett Hapgood czekał w garderobie dużej stacji telewizyjnej w Nowym Jorku, aż młoda charakteryzatorka nałoży mu nieco więcej ochry na policzki. Podniósł brodę, aby mogła mu jeszcze odrobinę przypudrować szyję.

- Daj tu jeszcze trochę lakieru, kochanie - powiedział wskazując pasmo po chłopięcemu zburzonych siwych loków nad czołem. Mogą opaść za nisko, jeśli się ich nie zabezpieczy.

Zrobiła wszystko bardzo porządnie. Cienkie ślady żył wokół nosa znikły, błękitne oczy błyszczały od zapuszczonych kropli, traperska opalenizna, wynik długich godzin wysiłku pod lampą kwarcową, promieniała zdrowiem.

- Czekamy na pana, panie senatorze - powiedziała asystentka reżysera zaglądając przez przymknięte drzwi. W dłoni trzymała otwarty duży notatnik jak insygnia.

Bennett Hapgood wstał, poczekał, aż charakteryzatorka zdejmie mu peniuar i strzepnie ostatnie ślady pudru z perłowszarego garnituru, i ruszył za asystentką reżysera korytarzem do studia. Posadzono go po lewej stronie prowadzącego program redaktora, a operator dźwięku sprawnie przypiął mu do kłapy marynarki mikrofon wielkości guzika.

Redaktor jednego z najważniejszych programów publicystycznych o zasięgu ogólnokrajowym był zajęty przeglądaniem scenariusza; ekran ukazywał reklamę jedzenia dla psów. Redaktor spojrzął znad maszynopisu i błysnął do Hapgooda perłowym uśmiechem.

- Miło mi pana widzieć, panie senatorze.

Hapgood odpowiedział obowiązkowym uśmiechem od ucha do ucha.

- Cieszę się, że tu jestem, Tom.

- Mamy jeszcze dwie reklamy oprócz tej i wchodzimy.

- Oczywiście, oczywiście. Będę się trzymał twoich wskazówek.

I bardzo dobrze, pomyślał redaktor. Wywodził się z liberalnych tradycji dziennikarskich wschodniego wybrzeża i dla niego senator z Oklahomy był zagrożeniem porządku publicznego. Miejsce pokarmu dla psów zajął dostawczy samochód, a później płatki śniadaniowe. Gdy z ekranu znikł ostatni ślad chorobliwie roześmianej rodziny pochylonej nad talerzem czegoś, co wyglądało i smakowało jak mielona cegła, reżyser wskazał palcem w kierunku Toma. Nad kamerą nr 1 zapaliło się czerwone światło i dziennikarz spojrzął prosto w obiektyw z twarzą pełną obywatelskiej troski.

- Pomimo powtarzających się zaprzeczeń rzecznika prasowego Białego Domu, Craiga Liptona, otrzymujemy sygnały, że zdrowie prezydenta Cormacka nadal stanowi przedmiot głębokiego niepokoju, i to na dwa tygodnie przed tym, gdy akt najgłębiej związany z jego nazwiskiem i z jego prezydenturą, Traktat z Nantucket, zostanie przedstawiony Kongresowi do ratyfikacji.

- Jednym z tych, którzy najbardziej zdecydowanie przeciwstawiają się traktatowi - mówił dalej - jest przewodniczący ruchu "Obywatele na rzecz Silnej Ameryki", senator Bennett Hapgood.

Na słowo "senator" zapaliło się światło nad kamerą nr 2, przekazując obraz siedzącego senatora do 30 milionów domów. Kamera nr 3 pokazała widzom ujęcie obu mężczyzn w chwili, gdy redaktor pochylił się w stronę Hapgooda.

- Panie senatorze, jak pan widzi szansę na ratyfikację traktatu w styczniu?

- Cóż można powiedzieć, Tom? Z pewnością nie są dobre. Nie po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku tygodni. Ale nawet niezależnie od tych wydarzeń traktat nie powinien przejść. Podobnie jak miliony moich rodaków nie widzę dostatecznego uzasadnienia, aby właśnie teraz zaufać Rosjanom, a przecież do tego się wszystko sprowadza.

- Ale przecież, panie senatorze, nie jest to kwestia zaufania. Traktat obejmuje procedury kontroli dające naszym specjalistom wojskowym bezprecedensowy dostęp do radzieckiego programu zniszczenia broni objętej traktatem...

- Być może, Tom, być może rzeczywiście. Ale prawdą jest, że Rosja to duży kraj. Musimy im ufać, że nie zbudują innych, nowszych typów broni w głębi kraju. Dla mnie jest to proste: chcę, aby Ameryka była silna, a to oznacza zachowanie wszystkiego, co mamy w dziedzinie uzbrojenia...

- I produkowanie jeszcze więcej, panie senatorze?

- Jeśli będzie trzeba, jeśli będzie trzeba.

- Ale budżet wojskowy zaczyna osłabiać naszą gospodarkę, deficyt zaczyna wymykać się spod kontroli.

- To ty tak twierdzisz, Tom. Ale inni sądzą, że zagrożeniem dla naszej ekonomii są zbyt wysokie koszty opieki socjalnej, zbyt duży import, za dużo federalnych planów pomocy ekonomicznej. Wydajemy więcej na krytyków naszej polityki za granicą niż na własną armię. Uwierz mi, Tom, w przypadku przemysłu zbrojeniowego nie pieniądź stanowi główny problem, wcale nie pieniądź.

Tom Granger zmienił temat.

- Panie senatorze, poza tym, że sprzeciwia się pan amerykańskiej pomocy dla głodujących w Trzecim Świecie i popiera protekcyjne cła, wzywa pan również prezydenta Johna Cormacka do ustąpienia z urzędu. Czym pan to uzasadnia?

Hapgood z przyjemnością udusiłby dziennikarza. Użycie przez Grangera słów "głodujący" i "protekcyjne" wskazywało, co myślał o tych sprawach. Tymczasem jednak Hapgood utrzymywał na twarzy nadał wyraz zmartwionego przyjaciela i poważnie, choć z przykrością przytaknął.

- Tom, chcę powiedzieć tylko to: sprzeciwiam się niektórym propozycjom prezydenta Cormacka. Mam do tego pełne prawo w wolnym kraju. Ale...

Odwrócił się od dziennikarza, znalazł oczyma kamerę ze zgaszonym czerwonym światłem i patrzył na nią przez chwilę pozwalając reżyserowi obrazu przełączyć kamery i dokonać zbliżenia.

- ... nie mniej niż inni podziwiam siłę i odwagę, jaką John Cormack okazuje wobec przeciwności losu. i właśnie dlatego chcę powiedzieć...

Szczerota sęczyłaby mu się z każdego poru na twarzy, gdyby nie były zatkane pudrem.

- John, zniosłeś więcej, niż człowiek może znieść. Dla dobra narodu, dla partii, ale przede wszystkim dla własnego dobra i dla Myry, błagam cię, złoś ten ogromny ciężar urzędu i zrezygnuj.

W prywatnym gabinecie w części mieszkalnej Białego Domu prezydent Cormack nacisnął przełącznik w nadajniku zdalnego sterowania i wyłączył stojący po drugiej stronie pokoju telewizor. Znał i nie lubił Hapgooda, pomimo że obaj byli członkami partii republikańskiej; wiedział, że twarzą w twarz nigdy nie ośmieliliby odezwać się do niego po imieniu.

A jednak... a jednak wiedział, że tamten ma rację. Wiedział, że nie pociągnie już długo, że nie jest już w stanie przewodzić Ameryce. Dotknęło go nieszczęście tak głębokie, że utracił żądzę pracy, nawet żądzę życia.

Nie wiedział, że doktor Armitage już od dwóch tygodni obserwuje u niego bardzo niepokojące objawy. Pewnego razu, prawdopodobnie wiedząc, czego szuka, zwrócił uwagę na zachowanie prezydenta, gdy ten wysiadał z samochodu w podziemnym garażu po jednej z nielicznych wycieczek poza teren Białego Domu. Szef administracji przyglądał się rurze wydechowej swojego samochodu jak staremu przyjacielowi, któremu można powierzyć każde zmartwienie.

John Cormack wrócił do książki. Czytał właśnie tom poezji, coś, czego uczył niegdyś studentów w Yale. Był tam pewien wiersz Johna Keatsa, który właśnie sobie przypomniał. Będąc niskiego wzrostu, Keats utracił poczucie sensu życia wskutek niedostatku, kilku cali; zmarł w wieku dwudziestu sześciu lat. Lepszy znawca melancholii, niż ktokolwiek, inny, dawał jej również niedościgniony wyraz. Cormack znalazł fragment, którego szukał w *Odzie do słowika*:

*...Często na pół zakochany
Bytem w śmierci kojącej. Do niej ślałem pienie.
Przyzywając ją słodko przez rytm zadumany,
Iżby wzięła w przestworze ciche moje natchnienie.
Teraz - zda się - do śmierci najbardziej gotów,
By o północy odejść - bez mąk - w pokój wieczny...*

Odłożył otwartą książkę i odchylił się do tyłu w fotelu patrząc na ozdobne gzymsy prywatnego gabinetu najpotężniejszego człowieka na świecie. *By o północy odejść bez mąk*. Jakże to kuszące, pomyślał, jak bardzo kuszące...

Quinn postanowił zadzwonić o wpół do jedenastej tego samego wieczora, w porze, gdy większość ludzi jest już w domu po pracy, ale jeszcze nie idzie spać. Dzwonił z automatu w drogim hotelu, gdzie kabiny telefoniczne nadal są zaopatrzone w drzwi zapewniające rozmówcy minimum prywatności. Sygnał odezwał się trzy razy i ktoś podniósł słuchawkę.

- Tak?

Quinn wcześniej już słyszał głos tego mężczyzny, ale jedno słowo nie wystarczyło, żeby go rozpoznać. Odpowiedział cichym szepczącym głosem Mossa, przerywając co chwilę słowa świszczącym oddechem przez zniszczony nos.

- Tu Moss - powiedział. Zapadło milczenie.

- Nigdy nie powinieneś dzwonić pod ten numer, tylko w nagłych wypadkach. Mówiłem ci przecież.

Chwyciło. Quinn głęboko westchnął.

- To jest właśnie nagły przypadek - powiedział łagodnie. - Z Quinnem sprawa załatwiona. Z dziewczyną też. McCrea również został... skończony.

- Wydaje mi się, że nie muszę dowiadywać się o tym wszystkim - powiedział głos.

- Powinieneś - odparł Quinn, zanim tamten zdążył odłożyć słuchawkę. - Quinn zostawił rękopis. Mam go ze sobą.

- Rękopis?

- Tak jest. Nie rozumiem, skąd wziął szczegóły, jak je poskładał razem, ale jest tam wszystko. Pięć nazwisk, wiesz, ci, którzy za tym stoją. Także ja. McCrea. Orsini, Zack, Marchais, Pretorius. Wszystko. Nazwiska, daty, adresy, godziny. Co się stało i dlaczego... i przez kogo.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

- Czy to obejmuje również mnie? - zapytał głos.

- Powiedziałem wszystko. Quinn słyszał przyspieszony oddech.

- Ile egzemplarzy?

- Tylko jeden. Mieszkał w górach na północy Vermont. Tam nie ma kopiarek. Mam tu ze sobą jedyny egzemplarz.

- Rozumiem. Gdzie jesteś?

- W Waszyngtonie.

- Myślę, że powinieneś mi to oddać.

- Jasne - powiedział Quinn. - Żaden problem. Mnie to też obciąża i sam to zniszczę.

Tylko...

- Tylko co, panie Moss?

- Tylko, że coś mi się należy.

Nastąpiła kolejna dłuższa przerwa. Mężczyzna po drugiej stronie przewodu przełykał ślinę. Kilkakrotnie.

- Rozumiem, że zostałeś godziwie wynagrodzony - powiedział. - Jeśli jeszcze ci się coś należy, zostanie to wyrównane.

- Nie w tym rzecz - powiedział Quinn. - Było całe mnóstwo nie przewidzianych spraw, które musiałem uporządkować. Ci trzej faceci w Europie, Quinn, dziewczyna... Wszystko to wymagało sporo dodatkowej... pracy.

- Czego pan się spodziewa, Moss?

- Myślę sobie, że powinienem dostać jeszcze raz to samo, co na początku. Pomnożone przez dwa.

Słyszał, jak tamten nabiera powietrza. Uczył się teraz w mało przyjemny sposób, że wchodzenie w układy z mordercami może się skończyć szantażem.

- Będę się musiał porozumieć - odpowiedział mężczyzna z Georgetown. - Jeśli mam przygotować... hm... papierkową robotę, potrzeba czasu. Nie rób nic nie przemyślanego. Jestem pewien, że można to będzie załatwić.

- Dwadzieścia cztery godziny - powiedział Quinn. - Zadzwoń do ciebie jutro o tej samej porze. Powiedz tamtym pięciu, że niech się lepiej przygotowują. Ja dostaję honorarium, wy dostajecie rękopis. Następnie ja znikam, a wy jesteście bezpieczni... na zawsze.

Odłożył słuchawkę, pozostawiając mężczyźnie wybór między zapłaceniem a ryzykiem klęski.

Quinn wynajął motocykl i kupił wysokie motocyklowe buty i gruby lotniczy kożuch dla ochrony przed zimmem.

Następnego wieczora słuchawkę podniesiono po pierwszym dzwonku.

- No więc? - zaświstał.

- Twoje... warunki, mimo że raczej wygórowane, zostały przyjęte - powiedział właściciel domu w Georgetown.

- Masz "papierkową robotę"? - zapytał Quinn.

- Mam. Trzymam w ręku. Masz rękopis?

- Też trzymam w ręku. Zróbmy wymianę i skończmy z tym.

- Zgoda. Nie tutaj. W zwykłym miejscu o drugiej w nocy.

- Przyjedziesz sam. Bez broni. Wynajmiesz kogoś, żeby spróbować się mnie pozbyć, to skończysz w pudle.

- Masz moje słowo. Nie będzie żadnych sztuczek. Masz na to moje słowo. Nie ma potrzeby, skoro jesteśmy gotowi zapłacić, i żadnych sztuczek z twojej strony. Zwykły układ handlowy.

- O to chodzi. Potrzebuję tylko pieniędzy - powiedział Quinn. Tamten skończył rozmowę.

Za pięć jedenasta John Cormack siedział za biurkiem i przeglądał ręcznie napisany list do narodu. Był podniosły i smutny. Inni będą czytać go na głos, reprodukować w gazetach i tygodnikach, w programach radiowych i telewizyjnych. Ale jego już nie będzie. Do świąt Bożego Narodzenia zostało jeszcze osiem dni. Ale tym razem ktoś inny obchodzić je będzie w tym domu. Dobry człowiek, człowiek, któremu ufał. Michael Odell, czterdziesty pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych. Zadzwoił telefon. Przyjrzał mu się z lekką irytacją. Był to jego osobisty i prywatny numer, który znali tylko bliscy i zaufani przyjaciele i mogli dzwonić o dowolnej porze bez żadnych formalności.

- Tak?

- Czy rozmawiam z panem prezydentem?

- Tak.

- Nazywam się Quinn. Negocjator.

- Ach... tak, panie Quinn.

- Nie wiem, co pan o mnie sądzi, panie prezydencie. To teraz bez znaczenia. Nie udało mi się uratować pańskiego syna. Ale odkryłem, dlaczego tak się stało, i kto go zabił. Proszę słuchać, mam mało czasu: o piątej rano motocyklista zatrzyma się przy posterunku ochrony przy publicznym wejściu do Białego Domu na Alexander Hamilton Place. Przekaze paczkę, płaską sztywną teczkę. Zawiera rękopis przeznaczony bezpośrednio dla pana i tylko dla pana. Nie istnieją żadne kopie. Proszę wydać polecenie, aby przekazano go bezpośrednio panu. Po przeczytaniu wyda pan takie polecenia, jakie uzna pan za stosowne. Proszę mi zaufać, panie prezydencie. Tylko ten ostatni raz. Dobranoc, panie prezydencie.

John Cormack spojrział na milczący aparat. Wciąż jeszcze zaskoczony, odłożył słuchawkę, podniósł inną i wydał rozkazy dyżurnemu oficerowi Secret Service. Quinn miał pewien problem. Nie wiedział, gdzie jest „tam gdzie zwykle”, a przyznanie się do tego zmniejszyłoby do zera szansę spotkania. O północy odnalazł wskazany przez Sam adres, zaparkował wielką Hondę parę domów dalej i zajął stanowisko w głębokim cieniu między dwoma domami po drugiej stronie ulicy i około dwudziestu jardów powyżej.

Obserwowany dom okazał się elegancką zadbaną czteropiętrową rezydencją z czerwonej cegły. Stał u szczytu, to znaczy przy zachodnim końcu N Street, cichej alei, zamkniętej od zachodu terenami Georgetown University. Quinn oceniał wartość takiej posiadłości na ponad dwa miliony dolarów.

Z boku, na poziomie suterren widać było dwie pary drzwi podwójnego garażu. Drzwi otwierały się do góry i sterowane były elektronicznie. Światła paliły się na trzech piętrach.

Tuż po północy zgasły okna najwyższego piętra, w pokojach służby. O pierwszej paliły się już tylko światła na jednym piętrze. Najwyraźniej ktoś jeszcze nie spał.

Dwadzieścia po pierwszej zgasły wszystkie światła na wyższych piętrach, a zapaliły się na parterze. Dziesięć minut później żółty promień pojawił się za drzwiami garażu. Ktoś wsiadał do samochodu. Światła zgasły i drzwi zaczęły się podnosić. Wyłonił się długi czarny Cadillac, z wolna skręcił na ulicę i drzwi opadły. Gdy samochód powoli ruszył w stronę uniwersytetu, Quinn zobaczył, że w środku siedzi tylko ostrożnie prowadzący kierowca. Nie zwracając na siebie uwagi, Quinn podszedł do Hondy, uruchomił silnik i ruszył śladem limuzyny.

Skierowała się na południe w Wisconsin Avenue. Centrum Georgetown, pełne barów, kawiarni i późno otwartych sklepów było już ciche i ciemne o tej porze nocy w połowie grudnia. Quinn trzymał się tak daleko z tyłu, jak tylko mógł, obserwując tylne światła Cadillaca skręcającego na wschód M Street, następnie w prawo na Pennsylvania Avenue. Okrążyli Washington Circle i pojechali na południe Dwudziestą Trzecią Ulicą, dalej w lewo, do Constitution Avenue. Cadillac zaparkował po drzewami tuż za Henry Bacon Drive.

Quinn zjechał szybko z ulicy za zakręt i w kępę krzaków, wyłączając jednocześnie silnik i światła. Zauważył, że tylne światła Cadillaca zgasły. Kierowca wysiadł, rozejrzał się dookoła, przyjrzał przejeżdżającej pustej białej taksówce szukającej pasażera, nie zauważył nic podejrzanego i zaczął iść. Zamiast skorzystać z chodnika wzdłuż ulicy, przeszedł przez balustradę otaczającą Mall i ruszył przez trawnik w stronę Jeziora Zwierciadlanego.

Gdy mężczyzna w czarnym płaszczu i kapeluszu wyszedł poza zasięg ulicznych latarni, otoczyła go ciemność. Na prawo od Quinna jasna iluminacja pomnika Lincolna oświetlała wylot Dwudziestej Trzeciej Ulicy, ale prawie nie sięgała przez trawnik pomiędzy drzewa Mallu. Quinn zdołał zbliżyć się na pięćdziesiąt jardów i cały czas obserwował przesuający się cień.

Mężczyzna obszedł zachodni kraniec pomnika Weteranów Wojny Wietnamskiej i skręcił w lewo, idąc na ukos pod górę w kierunku drzew na szczycie między jeziorem w Ogrodach Konstytucji i brzegiem Jeziora Zwierciadlanego.

Dalej w lewo Quinn dostrzegł światła dwóch posterunków, gdzie weterani trzymali wartę za zaginionych w walce podczas tej odległej smutnej wojny. Śledzony wybrał okrężną drogę, aby nie zbliżać się do tego ostatniego śladu życia w Mallu o tej porze.

Pomnik Weteranów to długa ściana czarnego marmuru pośrodku zagłębiona na około siedem stóp w ziemię i przypominająca kształtem bardzo spłaszczony szewron. Quinn przeszedł przez ścianę za śledzonym w miejscu, gdzie miała tylko stopę wysokości i musiał

zaraz nisko przykucnąć w rzucanym przez nią cieniu, gdy idący z przodu mężczyzna odwrócił się, jakby usłyszał skrzypnięcie buta na żwirze. Z głową przy samej ziemi Quinn widział, że mężczyzna rozgląda się po parku i znów rusza przed siebie.

Blady sierp księżyca wyłonił się zza chmur. W jego świetle Quinn zobaczył całą długość pomnika pokrytą nazwiskami pięćdziesięciu ośmiu tysięcy żołnierzy poległych w Wietnamie. Zatrzymał się na chwilę, żeby pocałować zimny marmur i ruszył przed siebie, przecinając następny pas trawnika do dębowego zagajnika, gdzie stały trzy brązowe rzeźby naturalnej wielkości wyobrażające weteranów wojny.

Mężczyzna w czarnym płaszczu znów się zatrzymał i obejrzał. Nic nie zauważył; w świetle księżyca widniały tylko bezlistne i posępne dęby na tle odległego teraz blasku wokół pomnika Lincolna oraz połyskujące rzeźby czterech żołnierzy z brązu.

Gdyby sam pomnik obchodził go choć trochę więcej, wiedziałby, że na postumencie stoi tylko trzech żołnierzy. Gdy odwrócił się i ruszył dalej, czwarty żołnierz odłączył od pozostałych i poszedł za nim.

W końcu mężczyzna dotarł do miejsca „tego samego, co zwykle”. Na pagórku między jeziorem w Ogrodach Konstytucji a Jeziorkiem Zwierciadlanym, w dyskretnym otoczeniu drzew, stała publiczna toaleta oświetlona pojedynczą palącą się przez całą noc latarnią. Mężczyzna w czarnym płaszczu zatrzymał się obok. Dwie minuty później spoza drzew wyłonił się Quinn. Mężczyzna patrzył na niego jak sparaliżowany. Prawdopodobnie zbladł. Przy słabym świetle nie było tego widać, ale Quinn zauważył, że trzęsą mu się ręce. Patrzyli nieruchomo nawzajem na siebie. Mężczyzna stojący przed Quinnem walczył z narastającą falą panicznego lęku.

- Quinn - powiedział. - Przecież ty nie żyjesz.

- Owszem, żyję - odpowiedział spokojnie Quinn. - To Moss nie żyje. I McCrea. I Orsini, Zack, Marchais i Pretorius. i Simon Cormack, o tak, on nie żyje. A ty wiesz dlaczego.

- Spokojnie, Quinn. Zachowujmy się jak ludzie rozsądni. Musiał odejść. Wszystkich by nas zrujnował. Jesteś przecież w stanie to zrozumieć. - Wiedział, że walczy o życie.

- Simon? Student z Oksfordu?

Zaskoczenie mężczyzny w czarnym płaszczu było większe niż zdenerwowanie. Urzędował w Białym Domu, znał w szczególności możliwości Quinna i wiedział, że teraz walczy o życie.

- Nie chłopak. Ojciec. On musi odejść.

- Traktat z Nantucket?

- Oczywiście. Warunki tego traktatu mogą zrujnować tysiące ludzi, setki korporacji.

- Ale dlaczego ty? O ile wiem, jesteś niezwykle bogaty. Twój prywatny majątek jest ogromny.

Mężczyzna stojący przed Quinnem roześmiał się krótko.

- Na razie tak - powiedział. - Gdy odziedziczyłem majątek rodzinny, spróbowałem się jako makler w Nowym Jorku i ulokowałem wszystko w różnego rodzaju pakietach akcji. Nadal wszystko jest w akcjach. Zarząd powierniczy nic nie zmieniał.

- W przemyśle zbrojeniowym.

- Zobacz, Quinn, przyniosłem to dla Mossa. Teraz może być twój. Widziałeś kiedykolwiek coś takiego?

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął pojedynczy pasek papieru. W świetle samotnej latarni i księżycy Quinn mógł mu się przyjrzeć. Polecenie wypłaty ze szwajcarskiego banku o nieposzlakowanej reputacji, płatne okazielowi. Na sumę pięciu milionów dolarów amerykańskich.

- Weź to, Quinn. Nigdy w życiu nie widziałeś takich pieniędzy, i nigdy nie zobaczysz. Pomyśl, co możesz z nimi zrobić, jak możesz się za nie urządzić. Wygody, nawet luksus przez resztę życia. Daj mi rękopis i czek jest twój.

- A więc to wszystko było dla pieniędzy, prawda? - zapytał Quinn z namysłem. Bawił się czekiem, próbując zrozumieć.

- Oczywiście, dla pieniędzy i władzy. To jedno i to samo.

- Ale przecież jesteście przyjaciółmi. Ufa ci.

- Proszę cię, Quinn, nie bądź naiwny. Każdemu w tym kraju chodzi tylko o pieniądze. Było tak zawsze i zawsze tak będzie w przyszłości. Wszyscy modlimy się do Boga Dolara. Wszystko i każdy w tym kraju jest na sprzedaż, wszystko.

Quinn skinął głową. Pomyślał o pięćdziesięciu ośmiu tysiącach nazwisk na czarnym marmurze czterysta jardów z tyłu. Kupieni i opłaceni. Westchnął i sięgnął do wewnętrznej kieszeni lotniczego kożucha. Drugi mężczyzna odskoczył do tyłu zaskoczony.

- Tylko bez tego, Quinn. Mówiłeś, że nie potrzebujemy broni. Ale gdy Quinn wyjął rękę z powrotem, trzymał w niej dwieście kartek maszynowego białego papieru. Podał rękopis. Drugi mężczyzna rozluźnił się i wziął paczkę.

- Nie będziesz tego żałował, Quinn. Pieniądze są twoje. Używaj ich.

Quinn skinął ponownie.

- Jeszcze jedna sprawa.

- Cokolwiek zechcesz.

- Odprawiłem taksówkę na Constitution Avenue. Możesz podrzucić mnie do ronda?

Po raz pierwszy mężczyzna się uśmiechnął.

- Jasne - powiedział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Mężczyźni w długich czarnych skórzanych płaszczach postanowili wykonać rozkaz podczas weekendu. Kręci się wtedy mniej ludzi, a nakazano im pełną dyskrecję. Umieścili obserwatorów w pobliżu moskiewskiego biurowca, którzy w piątkowy wieczór zawiadomili ich przez radio, że śledzony właśnie wyjeżdża z miasta.

Grupa mająca dokonać aresztowania czekała cierpliwie na długiej wąskiej szosie w pobliżu miejsca, gdzie rzeka Moskwa zakręca, niecałe półtora kilometra od zjazdu do Peredelkina. W Peredelkinie wyżsi członkowie Komitetu Centralnego, najważniejsi członkowie Akademii i dowódcy armii mają swoje dacje.

Gdy oczekiwany samochód nadjechał, kierowca głównego auta oddziału specjalnego wyjechał w poprzek na środek drogi i całkowicie ją zablokował. Pędząca Czajka zwolniła i stanęła. Kierowca i ochroniarz, obaj należący do GRU i przeszkoleni przez Specnaz, byli bez szans. Mężczyźni z automatami podbiegli z dwóch stron i obaj ochroniarze zobaczyli po drugiej stronie szyby skierowane na siebie wyloty luf.

Starszy, ubrany po cywilnemu oficer zbliżył się do tylnych drzwi samochodu, otworzył i zajrzał do środka. Siedzący w samochodzie mężczyzna podniósł lekko znudzony wzrok znad dokumentów, które przeglądał bez zainteresowania.

- Marszałek Kozłow? - zapytał agent KGB w skórzanym płaszczu.

- Tak.

- Proszę wysiąść bez stawiania oporu i rozkazać swoim żołnierzom, aby zrobili to samo. Jest pan aresztowany.

Gruby marszałek wymamrotał rozkaz kierowcy i ochroniarzowi, i wysiadł razem z nimi. Oddech zastygł na mroźnym powietrzu. Kozłow zastanawiał się, kiedy znowu będzie mógł oddychać rześkim zimowym powietrzem. Jeśli się bał, to nie dawał po sobie tego poznać.

- Jeśli nie macie upoważnienia, będziecie odpowiadać przed Biurem Politycznym, czekisto - użył obraźliwego rosyjskiego określenia agenta tajnej policji.

- Działam z polecenia Biura Politycznego - odrzekł agent KGB z zadowoleniem. Był oficerem Zarządu Drugiego KGB w stopniu pułkownika. Stary marszałek zrozumiał, że po raz ostatni zabrakło mu amunicji.

Dwa dni później saudyjska policja bezpieczeństwa dyskretnie otoczyła skromny prywatny dom w Rijadzie, korzystając z panujących przed świtem głębokich ciemności.

Jednak nie dość dyskretnie. Ktoś potracił pustą puszkę i zaczął szczekać pies. Jemeński służący, który wstawał wcześniej, aby przygotować pierwszą poranną kawę, wyrztał przez okno i zawiadomił pana domu.

Pułkownik Easterhouse przeszedł bardzo dobry trening w amerykańskich jednostkach powietrzno-desantowych. Znając również Arabię Saudyjską wiedział, że w konspiracji trzeba nieustannie liczyć się z niebezpieczeństwem zdrady. Zawsze był przygotowany do obrony. Zanim rozpadła się potężna drewniana brama frontowa i zginęli broniący jej dwaj jemeńscy strażnicy, wybrał własną drogę pozwalającą uniknąć cierpień, jakie z pewnością by go oczekiwały w saudyjskim więzieniu. Główna część mieszkalna domu mieściła się na piętrze. Biegający po schodach w górę agenci policji usłyszeli pojedynczy wystrzał.

Znaleźli pułkownika leżącego twarzą w dół we własnym gabinecie, obszernym pokoju umeblowanym z nadzwyczajnym smakiem w arabskim stylu. Dowodzący oddziałem szturmowym oficer rozejrzał się wokół, zatrzymując spojrzenie na jedwabnym kilimie na ścianie za biurkiem. Centralny motyw tworzył arabski napis: Insz Allah. Znaczy to „Bóg tak chce”.

Następnego dnia Philip Kelly osobiście dowodził oddziałem FBI otaczającym posiadłość wśród wzgórz Hill Country w pobliżu Austin. Cyrus Miller przyjął Kelly'ego z wyszukaną uprzejmością i cierpliwie słuchał, gdy odczytywano mu jego prawa. Usłyszawszy, że jest aresztowany, zaczął się głośno i gorąco modlić, prosząc swego osobistego Przyjaciela o zemstę na czcicielach antychrysta, którzy najwyraźniej nie zdołali pojąć woli Najwyższego objawionej w działaniach Jego wybrańca.

Grupą, która niemalże w tym samym momencie zatrzymała Mellville'a Scanlona w pałacowym domu pod Houston, dowodził Kevin Brown. Inne grupy agentów FBI odwiedziły Lionela Moira w Dallas i usiłowały aresztować Bena Salkinda w Palo Alto i Petera Cobba w Pasadenie. Czy to przez przypadek, czy wiedziony intuicją Salkind poprzedniego dnia odleciał do Mexico City. Natomiast Cobb powinien być w chwili aresztowania w swoim gabinecie w biurze, jednakże przeziębienie zatrzymało go rano w domu. Był to jeden z tych przypadków, które udaremniają nawet najlepiej zaplanowane operacje. Wiedzą o tym dobrze policjanci i żołnierze. W czasie, gdy ekipa FBI w pośpiechu pojechała z biura do domu, lojalna sekretarka uprzedziła go telefonicznie. Wstał z łóżka, ucałował żonę i dzieci, i poszedł do przylegającego do domu garażu. Agenci FBI znaleźli go tam dwadzieścia minut później.

W cztery dni później prezydent John Cormack wkroczył do Sali Posiedzeń Gabinetu i zajął fotel w centrum, na miejscu zarezerwowanym dla głowy państwa. Ścisłe grono ministrów i doradców oczekiwało już na swoich miejscach po obu stronach stołu. Uwagę

obecnych zwróciło, że Cormack trzyma się prosto, z podniesioną głową i błyszczącymi oczami.

Za stołem naprzeciw prezydenta zasiedli Lee Alexander i David Weintraub z CIA, obok Don Edmonds, Philip Kelly i Kevin Brown z FBI. John Cormack skinął głową i zajął miejsce.

- Proszę o sprawozdania, panowie.

Na znak swego dyrektora pierwszy zaczął Kevin Brown.

- W chacie w górach Vermont, panie prezydencie, odnaleźliśmy karabin Armalite i automatycznego kolta kaliber 0,45, zgodnie z opisem, wraz z ciałami byłych agentów CIA Irvinga Mossa i Duncana McCrea. Zostali zidentyfikowani.

David Weintraub skinął potwierdzająco głową.

- Zbadaliśmy kolta w Quantico. Policja belgijska przesłała powiększenie odbitki śladów na kulach z czterdziestki piątki, odnalezionych w obiciu fotela diabelskiego młyna w Wavre. Ustalono, że kula, która zabiła najemnika o nazwisku Marchais alias Lefort pochodzi z tego kolta. Holenderska policja odnalazła kulę wbitą w deskę drewnianej beczki w piwnicy pod barem w Den Bosch. Nieco uszkodzona, ale ślady gwintowania lufy są zachowane. Ten sam kolt czterdzieści pięć. Ponadto policja paryska odnalazła sześć nie odkształconych kul w tynku w barze przy Passage de Vautrin. Ustalono, że pochodziły z karabinu Armalite. Karabin i rewolwer kupiono pod fałszywym nazwiskiem w sklepie z bronią w Galveston. Na podstawie fotografii właściciel rozpoznał w kupującym Irvinga Mossa.

- A więc się zgadza.

- Tak, panie prezydencie, wszystko.

- Panie Weintraub?

- Muszę z przykrością poinformować, że Duncan McCrea został istotnie zaangażowany na miejscu w Ameryce środkowej z polecenia Irvinga Mossa. Wykorzystywano go tam przez dwa lata jako informatora, a później wysłano do Ameryki na szkolenie w Camp Peary.

Po wyrzuceniu Mossa wszyscy jego protegowani powinni zostać sprawdzeni, ale nie zostali. Zaniedbanie. Bardzo mi przykro.

- Nie był pan wtedy zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych Agencji, panie Weintraub. Proszę kontynuować.

- Dziękuję, panie prezydencie. Z naszych... źródeł uzyskaliśmy informacje wystarczające dla potwierdzenia tego, co nieoficjalnie przekazał nam rezydent KGB w Nowym Jorku. Niejaki marszałek Kozłow został zatrzymany i jest przesłuchiwany w sprawie

dostarczenia na zachód pasa z ładunkiem wybuchowym, który zabił pana syna. Oficjalnie zrezygnował z powodów zdrowotnych.

- Będzie oczywiście zeznawał? Jak pan sądzi?

- W więzieniu Lefortowo, panie prezydencie, KGB ma swoje sposoby - zgodził się Weintraub.

- Panie Kelly?

- Pewnych rzeczy, panie prezydencie, nigdy nie będzie można sprawdzić. Nie ma śladu ciała Orsiniego, ale policja korsykańska ustaliła, że w sypialni na tyłach baru w Castelblanc rzeczywiście wystrzelono dwa magazynki amunicji. Służbowa broń specjalnego agenta Somerville, pistolet Smith&Wesson zaginął w rzece Prunelli i jest prawdopodobnie nie do odzyskania. Ale wszystko, co można było sprawdzić, zostało sprawdzone. Wszystko. Rękopis jest dokładny w najdrobniejszych szczegółach, panie prezydencie.

- A tak zwana Piątka z Alamo?

- Zatrzymaliśmy trzech, panie prezydencie. Cyrus Miller prawie na pewno nigdy nie stanie przed sądem i zostanie uznany za niepoczytalnego. Melville Scanlon przyznał się do wszystkiego włączając w to spisek o obalenie monarchii w Arabii Saudyjskiej. Jestem pewien, że Departament Stanu już się tymi sprawami zajął.

- Owszem. Rząd saudyjski został poinformowany i podjął odpowiednie kroki. A pozostali z tak zwanej Piątki z Alamo?

- Sądzymy, że Salkind uciekł do Ameryki Łacińskiej. Cobb powiesił się w garażu, zanim go znaleźliśmy. Moir w pełni potwierdził zeznania Scanlona.

- Czy są jakieś nie wyjaśnione szczegóły, panie Kelly?

- Żadnych, o których byśmy wiedzieli, panie prezydencie. W czasie, który mieliśmy do dyspozycji, zostało sprawdzone wszystko to, co zawierał rękopis Quinna. Nazwiska, daty, godziny, miejsca, wynajęte samochody i mieszkania, bilety lotnicze, rezerwacje hotelowe, użyte pojazdy, broń, wszystko. Policja i władze imigracyjne Irlandii, Anglii, Belgii, Holandii i Francji przekazały nam całą dokumentację i wszystko się zgadza.

Prezydent Cormack rzucił okiem na pusty fotel po jego stronie stołu.

- A mój... dotychczasowy współpracownik? Dyrektor FBI oddał głos Philipowi Kelly'emu.

- Na ostatnich trzech stronach rękopisu Quinn opisuje rozmowę z tym człowiekiem, jaka miała mieć miejsce krytycznej nocy. W tej sprawie nie mamy żadnego potwierdzenia, panie prezydencie. Nadal nie znaleźliśmy ani śladu Quinna. Jednakże przesłuchaliśmy pracowników posiadłości w Georgetown. Stały kierowca został odesłany do domu pod

pretekstem, że samochód nie będzie już potrzebny tej nocy. Dwóch pracowników pamięta, że około wpół do drugiej obudził ich dźwięk otwierających się drzwi garażu. Jeden z nich wyjrzał przez okno i zobaczył odjeżdżający samochód. Sądząc, że może to być kradzież, poszedł uprzedzić swego pracodawcę, ale ten znikł - razem z samochodem.

Sprawdziliśmy wszystkie jego aktywa umiejscowione w różnych towarzystwach powierniczych. Są to ogromne pakiety akcji wielu firm zbrojeniowych, których wartość rynkowa znacznie zmaleje po podpisaniu Traktatu z Nantucket. Ustalenia Quinna są zgodne z prawdą. Natomiast jeśli chodzi o motywy tego człowieka, to nigdy nie będziemy mieli pewności. Można albo wierzyć Quinnowi, albo nie.

Prezydent Cormack wstał.

- Wobec tego ja mu wierzę, panowie, ja mu wierzę. Proszę odwołać dalsze poszukiwania Quinna. Jest to oficjalne rozporządzenie. Dziękuję wam bardzo za dotychczasowe wysiłki.

Wyszedł drzwiami naprzeciwko kominka, przeszedł przez biuro osobistego sekretarza prosząc, aby mu nie przeszkadzano, wszedł do Pokoju Owального i zamknął drzwi.

Zasiadł za wielkim biurkiem pod opalizującymi na zielono oknami z trzynastocentymetrowego kuloodpornego szkła, wychodzącymi na Ogród Różany i odchylił się do tyłu w wysokim obrotowym fotelu. Od siedemdziesięciu trzech dni nie siadał w tym fotelu ani razu.

Na biurku stało oprawne w srebrną ramkę zdjęcie Simona w Yale na rok przed wyjazdem do Anglii. Miał dwadzieścia lat, a twarz promieniała żywotnością, żądzą życia i wielkimi oczekiwaniami.

Prezydent wziął zdjęcie w obie dłonie i przyglądał mu się przez dłuższy czas. W końcu otworzył szufladę po lewej stronie.

- Żegnaj, synu - powiedział.

Włożył fotografię do szuflady twarzą w dół, zamknął biurko i nacisnął guzik interkomu.

- Proszę przysłać do mnie Craiga Liptona.

Gdy rzecznik prasowy pojawił się w gabinecie, prezydent zawiadomił go, że wieczorem następnego dnia potrzebuje godziny w głównych programach telewizyjnych, aby przemówić do narodu.

Właścicielka pensjonatu w Alexandrii niechętnie rozstawała się z kanadyjskim gościem, panem Rogerem Lefevrem. Był spokojny i dobrze wychowany, nie miała z nim żadnych kłopotów. Nie tak, jak z niektórymi gośćmi, których dobrze pamięta.

Gdy wieczorem zszedł na dół uregulować rachunek i pożegnać się, zauważyła, że zgolił brodę. Bardzo dobry pomysł, wyglądał dzięki temu znacznie młodziej.

Telewizor w salonie na parterze był jak zwykle włączony. Wysoki mężczyzna zatrzymał się w drzwiach, chcąc się pożegnać. Na ekranie prezenter z powagą obwieścił: „Panie i panowie, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki”.

- Może zostanie pan jeszcze chwilę? - zapytała. - Będzie przemawiał prezydent. Mówią, że jest załamany i zgłosił dymisję.

- Taksówka czeka przed drzwiami - powiedział Quinn. - Muszę jechać. Nie mogę zostać.

Na ekranie pojawiła się twarz prezydenta Cormacka. Kamera pokazywała go lekko z boku siedzącego za biurkiem w Pokoju Ovalnym pod wielką pieczęcią. Od osiemdziesięciu dni nie pojawiał się niemal wcale publicznie i telewizzowie zauważyli, że wydaje się starszy, nieco szczuplejszy, bardziej skupiony niż przed trzema miesiącami. Ale znikło wrażenie bezsilności dominujące na pogrzebie w Nantucket. Trzymał się prosto i patrząc w obiektyw kamery nawiązywał bliski, choć telewizyjny kontakt wzrokowy z ponad stu milionami Amerykanów i wieloma milionami ludzi na całym świecie, którzy uczestniczyli w transmisji za pośrednictwem satelitów. W jego wyglądzie nie było śladu znużenia ani zwątpienia. Mówił głosem starannie odmierzonego, poważnym, ale zdecydowanym.

- Rodacy... - zaczął.

Quinn zamknął frontowe drzwi i zszedł po schodach do taksówki.

- Na lotnisko Dulles.

Kierowca ruszył na południowy zachód w stronę Henry Shirley Memorial Highway, skręcił w prawo do rzeki Turnpike i jeszcze raz w prawo na główną obwodnicę. Nad chodnikami po obu stronach ulic świeciły jasne świąteczne dekoracje, sklepowi Mikołaje wykrzykiwali z całych sił, trzymając przy uchu radia tranzystorowe.

Po kilku minutach Quinn zauważył, że coraz więcej kierowców zwalnia i zatrzymuje się przy krawężniku, żeby w skupieniu wysłuchać przez radio przemówienia. Na chodnikach wokół posiadaczy radiodbiorników zaczęły formować się grupy ludzi. Kierowca taksówki miał na głowie słuchawki radiowe. - O cholera, nie wierzę własnym uszom - wykrzyknął, gdy jechali Turnpike.

Odwrócił się do tyłu zapominając o bezpieczeństwie.

- Chce pan, żebym puścił przez głośnik?

- Później posłucham retransmisji - powiedział Quinn.

- Mogę się zatrzymać, jeśli pan chce.

- Proszę jechać dalej - odpowiedział Quinn.

Na międzynarodowym lotnisku Dulles Quinn zapłacił za taksówkę i wszedł do środka kierując się do stanowiska British Airways. Po drugiej stronie hali większość pasażerów i pracowników skupiła się wokół umieszczonego na ścianie odbiornika telewizyjnego. Za kontuarem stanowiska odpraw stała tylko jedna osoba.

- Lot dwieście szesnaście do Londynu - powiedział Quinn i położył na kontuarze bilet. Dziewczyna oderwała oczy od telewizora, obejrzała bilet, sprawdziła na monitorze komputera rezerwację.

- W Londynie przesiada się pan do Malagi? - zapytała.

- Tak.

Głos Johna Cormacka wypełniał nienormalnie cichą halę.

- Ludzie ci sądzili, że po to, aby zniszczyć traktat z Nantucket, muszą najpierw zniszczyć mnie...

Dziewczyna wydała mu kartę pokładową patrząc na ekran.

- Czy mogę przejść do poczekalni odlotów? - zapytał Quinn.

- Och... tak... oczywiście... Miłej podróży.

Po przejściu kontroli paszportowej znalazł się w poczekalni z bezcłowym barem. Za barem stał następny telewizor. Zebrali się tam wszyscy pasażerowie patrząc na ekran.

- Ponieważ nie mogli osiągnąć mnie, porwali mojego syna, jedyne i ukochane go, i zabili go.

W autobusie toczącym się w kierunku oczekującego Boeinga w czerwono-biało-niebieskich kolorach British Airways jeden z pasażerów miał przy sobie tranzystor. Nikt nie rozmawiał. W drzwiach samolotu Quinn oddał kartę pokładową stewardowi, który gestem wskazał mu pierwszą klasę. Quinn pozwalał sobie na ten luksus wykorzystując resztę pieniędzy od Rosjan z Londynu. Gdy wchodził do kabiny samolotu, usłyszał dobiegający z autobusu głos prezydenta.

- Oto, co się wydarzyło. Teraz wszystko zostało wyjaśnione. Ale mogę was zapewnić, rodacy, macie z powrotem prezydenta...

Quinn usiadł na fotelu przy oknie, zapiął pas i zamiast kieliszka szampana poprosił o czerwone wino. Wziął egzemplarz *Washington Post* i zaczął czytać. W czasie startu sąsiedni fotel pozostał pusty.

Boeing 747 wystartował i skierował się w stronę Atlantyku i Europy. Wszędzie wokół Quinna panował podekscytowany gwar, niedowierzający jeszcze temu, co usłyszeli,

pasażerowie dzielili się wrażeniami z trwającego niemal godzinę przemówienia prezydenta. Quinn siedział w milczeniu i czytał gazetę.

Główny artykuł na frontowej stronie zapowiadał przemówienie, które właśnie świat usłyszał. Autor zapewniał czytelników, że prezydent wykorzysta tę okazję i poinformuje świat, że podaje się do dymisji.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? Czy jest coś takiego na świecie, co mogłabym dla pana zrobić?

Obejrzał się i uśmiechnął z ulgą. W przejściu stała Sam nachylająca się nad nim.

- Potrzebuję po prostu ciebie, kochanie.

Złożył gazetę na kolanach. Na ostatniej stronie widniała notatka, której żadne z nich nie zauważyło. W dziwnym języku amerykańskich nagłówek głosiła: ŚWIĄTECZNA GRATKA DLA WETERANÓW WIETNAMU. Podtytuł wzmacniał jeszcze efekt: ANONIMOWE 5 MILIONÓW NA KLINIKĘ NEUROLOGICZNA.

Sam usiadła obok Quinna.

- Dostałam pański list, panie Quinn. I owszem, polecę z panem do Hiszpanii, i owszem, wyjdę za pana.

- To dobrze - powiedział. - Nie cierpię niezdecydowania.

- To miejsce, gdzie mieszkasz... jakie jest?

- Mała miejscina, małe białe domy, mały stary kościół, mały stary ksiądz...

- Jeśli pamiętasz jeszcze słowa ceremonii ślubnej...

Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie po długi przeciągający się pocałunek. Gazeta ześliznęła się Quinnowi z kolan i spadła na podłogę ostatnią stroną do góry. Stewardesa podniosła ją z pobłażliwym uśmiechem. Nie zauważyła albo nie zainteresowała się głównym tytułem z ostatniej strony. Brzmiał następująco:

PRYWATNY POGRZEB MINISTRA SKARBU HUBERTA REEDA: NADAL NIE WIADOMO, DLACZEGO SAMOCHÓD WPADŁ W NOCY DO POTOMACU.

KONIEC